



# POSZUKIWACZKA

ARWEN ELYS DAYTON



Arwen Elys Dayton

**POSZUKIWACZKA**

Przekład  
Bartłomiej Ulatowski



Tytuł oryginału: *Seeker*

Text copyright © 2015 by Arwen Elys Dayton

All rights reserved. First published in the United States by Delacorte Press, an imprint of Random House Children's Books, a division of Random House LLC, a Penguin Random House Company, New York.

Jacket art copyright © 2015 by Bose Collins

Jacket art photograph copyright © 2015 by Charles Day/Shutterstock

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Bartłomiej Ulatowski, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

## Spis treści

Dedykacja

Motto

Część pierwsza. Szkocja Rozdział 1. Quin Rozdział 2. John Rozdział 3. Quin Rozdział 4. John Rozdział 5. Shinobu Rozdział 6. Quin Rozdział 7. Quin Rozdział 8. John Rozdział 9. John Rozdział 10. Maud Rozdział 11. Shinobu Rozdział 12. Quin Rozdział 13. Maud Rozdział 14. Quin Rozdział 15. John Rozdział 16. Shinobu Rozdział 17. Quin Rozdział 18. Maud Rozdział 19. Shinobu Rozdział 20. Quin Rozdział 21. Quin Rozdział 22. Shinobu

Interludium. Inne czasy i miejsca Rozdział 23. John Rozdział 24. Maud Rozdział 25. John Rozdział 26. Quin

Część druga. Hongkong 18 miesięcy później Rozdział 27. Zatoka Wiktorii Rozdział 28. Quin Rozdział 29. Shinobu Rozdział 30. Quin Rozdział 31. Shinobu Rozdział 32. Quin Rozdział 33. John Rozdział 34. Maud Rozdział 35. Quin Rozdział 36. Shinobu Rozdział 37. John Rozdział 38. Quin Rozdział 39. Quin Rozdział 40. John Rozdział 41. Quin Rozdział 42. Shinobu Rozdział 43. Maud Rozdział 44. Quin Rozdział 45. John Rozdział 46. Quin Rozdział 47. John

Część trzecia. Dokąd prowadzą wszystkie drogi Rozdział 48. Shinobu Rozdział 49. Maud Rozdział 50. Shinobu Rozdział 51. Maud Rozdział 52. Quin Rozdział 53. John Rozdział 54. Maud Rozdział 55. Shinobu Rozdział 56. Maud Rozdział 57. Quin Rozdział 58. John Rozdział 59. Shinobu Rozdział 60. Maud Rozdział 61. Shinobu Rozdział 62. Quin Rozdział 63. Maud Rozdział 64. John Rozdział 65. Quin Rozdział 66. Quin

Podziękowania

O autorce

*Finnowi, Emer i Imogen, trzem furiom, które wydałam na ten świat.*

„Z tego, o czym pisano wyżej, wynika, iż nie można wykluczyć, że nasz Wszechświat ma dodatkowe zwinięte wymiary przestrzenne o bardzo małych rozmiarach”

Brian Greene, *Piękno wszechświata*, tłum. Bogumił Bieniok, Ewa L. Łokas

Część pierwsza  
Szkocja

## Rozdział 1

### Quin

Byłoby miło ujść z tego z życiem” – pomyślała Quin, uskakując w prawo.

Miecz przeciwnika przemknął ze świstem przy jej lewym boku, o mały włos nie odrąbując jej ręki. Jej własny morfer spoczywał zwinięty w jej dłoni w podstawowej formie bicza. Strzeliła nim przed sobą, a broń rozwinęła się i zastygła w kształcie prostego miecza.

„Nie byłoby dobrze, gdyby teraz rozłupał mi czaszkę. Jestem tak blisko...”.

Olbrzymi mężczyzna, z którym walczyła, wydawał się zachwycony perspektywą porażania jej na kawałki.

Ostre słońce oślepiało ją, ale instynktownie uniosła broń nad głowę, aby zatrzymać klingę przeciwnika, nim ta rozetnie ją na pół. Cios spadł na wzniesiony miecz z siłą powalonego drzewa. Nogi ugięły się pod nią i opadła ciężko na kolana.

– Już po tobie! – ryknął z satysfakcją mężczyzna.

Alistair MacBain był największym człowiekiem, jakiego Quin kiedykolwiek poznała. Stał teraz nad nią ze swoją rudą czupryną, która płonęła niczym aureola groźnego szkockiego świętego w przykurzonej strudze słonecznego blasku wdzierającego się do stodoły przez świetlik. Był także jej wujkiem, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

Dziewczyna zaczęła się wycofywać. Masywne ramię Alistaira wywijająco młyńce ogromnym mieczem z taką łatwością, jak gdyby była to pałeczka dyrygenta.

„On naprawdę zamierza mnie zabić” – uświadomiła sobie.

Omiotła wzrokiem pomieszczenie. John i Shinobu siedzieli na klepisku i patrzyli na nią bezradnie, ściskając w dłoniach morfery niczym pałki. Nie mogli w żaden sposób jej pomóc. To była jej walka.

– Na nich raczej nie licz – skomentował wujek.

Podciągając kolano pod siebie, Quin ujrzała, że Alistair poruszył nadgarstkiem. Jego morfer przeobraził się z długiej, smukłej klingi w szeroki, masywny claymore – ostrze wybierane przez Szkota, gdy chciał zadać ostateczny cios. Ciemna materia, z której była sporządzona broń mężczyzny, wchłonęła część swojej gęstej niczym olej esencji, po czym zastygła w nowym kształcie. Alistair uniósł miecz i potężnym zamachem opuścił go wprost na głowę przeciwniczki. Dziewczyna zastanawiała się, ilu jej przodków zamieniono w siekankę przy użyciu właśnie takiego ostrza.

„Te ciągle refleksje w końcu mnie zabiją” – skarciła się w duchu.

Poszukiwacze nie zwykli myśleć podczas walki. Quin wiedziała, że jeśli nie przerwie wewnętrznej pogawędki, Alistair rozsmaruje jej mózg na klepisku stodoły pokrytym czystym, świeżym sianem. „Które dopiero co tu rozrzuciłam –



pomyślała, aby zaraz dodać: – Na miłość boską, Quin, przestań!”.

W taki sam sposób, w jaki naprężyłaby mięśnie dłoni, aby uformować pięść, dziewczyna skupiła umysł. I natychmiast zapadła się w ciszę.

Claymore Alistaira ciął powietrze, sunąc w jej stronę. Oczy wujka, zwrócone w dół, były utkwione w tym miejscu na jej czaszce, dokąd ręce kierowały miecz. Stał na lekko rozstawionych nogach, z jedną stopą wysuniętą do przodu. Quin dostrzegła, że jego lewa stopa delikatnie drżała, co było oznaką nieznacznie zachwianej równowagi. To jej wystarczyło. Mężczyzna popełnił błąd.

W chwili, kiedy miecz Szkota już miał roztrzaskać jej czoło, dziewczyna zrobiła unik, nurkując naprzód. Jej nadgarstek nakazał morferowi przybrać nowy kształt. Broń wtopiła się w siebie, na ułamek sekundy stając się czarnym, oleistym płynem, który następnie zestalił się w formie sztyletu o grubym ostrzu. Claymore wujka chybił celu i ciężko rąbnął w ziemię tuż za nią. W tym samym momencie Quin skoczyła naprzód, zatapiając sztylet w lewej łydce Alistaira.

– Aaach! – krzyknął wielkolud. – Załatwiłaś mnie!

– Załatwiłam, wujku, czyż nie? – Dziewczyna poczuła, że usta rozciągają jej się w uśmiechu satysfakcji.

Po dotknięciu nogi Alistaira morfer roztopił się, zamiast odciąć ciało od kości. Podobnie jak miecz Szkota był nastawiony na tryb szkoleniowy i nie mógł wyrzucić przeciwnikowi krzywdy. Gdyby to była jednak prawdziwa walka – a z pewnością taką miała udawać – mężczyzna zostałby pokonany.

– Dość! – zawołał ojciec Quin, Briac Kincaid, z drugiego końca pomieszczenia, sygnalizując koniec walki.

Dziewczyna usłyszała wiwaty Johna i Shinobu. Odsunęła broń od nogi Alistaira, a ta przeobraziła się na powrót w sztylet. Ostrze wujka wniknęło na piętnaście centymetrów w mocno ubite klepisko. Szkot potrząsnął nadgarstkiem, aby złożyć morfer, który wysliznął się ze szczeliny w podłożu, skurczył i posłusznie zwinął w spiralę w jego dłoni.

Walczyli na środku olbrzymiej stodoły służącej im za salę treningową. Jej stare, kamienne ściany wyrastały nad prostokątem ubitej ziemi, pokrytej wyściółką z siana. Cztery duże świetliki, wprawione w łupkowy dach, wpuszczały do środka nieco słonecznego blasku. Od strony otwartych na oścież wrót, za którymi rozciągał się widok na szeroką łąkę, płynęły kojące podmuchy wiatru.

Ojciec Quin, ich główny instruktor, wystąpił na środek pomieszczenia i dziewczynę zmroziła świadomość, że jej walka z Alistairem była jedynie rozgrzewką. Morfer spoczywający w prawej dłoni Briaca był dziecięcą zabawką w porównaniu z bronią, którą nosił zawieszoną na piersi. Nazywano ją rozrywaczem. Była wykuta z opalizującego metalu i wyglądała niemal jak mała armata. Quin nie mogła oderwać wzroku od mieniającej się refleksami rury, kiedy mężczyzna wkroczył w plamę światła.

Zerknęła na Shinobu i Johna, którzy zdawali się w lot odgadywać jej myśli.

„Szykujcie się. Nie mam bladego pojęcia, co teraz będzie”.

– Nadszedł już czas – oznajmił Alistair, zwracając się do trojga uczniów. – Jesteście wystarczająco dorośli. Niektórzy z was – tu spojrzał na Johna – są nawet starsi, niżby wypadało.

John miał już szesnaście lat, rok więcej niż Quin i Shinobu. Zgodnie z tradycją powinien był już złożyć swoją przysięgę, ale przystąpił do szkolenia zbyt późno – liczył wówczas lat dwanaście, podczas gdy Quin i Shinobu zaczęli jako ośmiolatki. Fakt ten był dla niego niewyczerpanym źródłem frustracji i uwaga Alistaira zabarwiła mu policzki na czerwono. Rumieniec wyraźnie odcinał się od jego bladej skóry.

Był przystojny. Miał pięknie wyrzeźbioną twarz, błękitne oczy i włosy o barwie złocistego brązu. Był też silny i szybki. Quin od pewnego czasu była w nim zakochana. Chłopak wzrokiem odszukał jej oczy i bezgłośnie wyszeptał: „Wszystko w porządku?”. Odpowiedziała skinieniem głowy.

– Dziś musicie pokazać, ile jesteście warci – ciągnął Alistair. – Pokazać, czy jesteście Poszukiwaczami, czy cuchnącymi kupami końskiego łajna, które będziemy musieli zeskrobywać z podłogi.

Shinobu uniósł dłoń i dziewczyna pomyślała, że powie coś w rodzaju: „Melduję posłusznie, że jestem cuchnącą kupą końskiego łajna, sir...”.

– To nie są żarty, synu – powiedział Alistair, gromiąc chłopaka wzrokiem, zanim ten zdążył otworzyć usta.

Shinobu był kuzynem Quin i synem rudowłosego olbrzyma, który przed chwilą próbował skrócić ją o głowę. Matka chłopaka pochodziła z Japonii, więc jego rysy stanowiły mieszankę najlepszych cech wschodnich i zachodnich, które stworzyły całość bliską doskonałości. Miał proste, ciemnorude włosy, żylaste ciało i już teraz górował wzrostem nad przeciętnym japońskim mężczyzną. Skarcony przez ojca opuścił wzrok w niemych przeprosinach za strojenie sobie żartów w tak doniosłej chwili.

– Dla ciebie i Quin to może być ostatnia ćwiczebna walka – wyjaśnił Alistair, po czym przeniósł wzrok na starszego chłopaka. – A dla ciebie, John, szansa na udowodnienie, że wciąż zasługujesz na miejsce tutaj. Zrozumiano?

Wszyscy pokiwali głowami, ale wzrok Johna był utkwiony w rozrywaczu sterczącym groźnie na torsie Briaca. Quin wiedziała, co myślał: „To nie fair”. Faktycznie to było nie fair. Chłopak walczył najlepiej z całej ich trójki, chyba że... w starciu brał udział rozrywacz.

– Czyżby coś cię niepokoiło, John? – spytał Briac, poklepując dziwną broń wiszącą na piersi. – Czyżby ten przedmiot zakłócał twoją koncentrację? A przecież nie jest nawet włączony. Co się stanie, kiedy będzie działał?

Chłopak rozsądnie powstrzymał się od odpowiedzi.

– Przełączcie broń na tryb bojowy – rozkazał Alistair.

Quin spojrzała na rękojeść swojego morfera. Okrągłą końcówkę tuż pod uchwytem przecinała niewielka szczelina. Dziewczyna sięgnęła do kieszonki w skórzanej cholewie prawego buta i wydobyla z niej nieduży przedmiot w kształcie spłaszczonego walca, wykonany z tej samej oleście czarnej substancji co broń. Wsunęła obiekt w szczelinę w rękojeści, palcami wprawnie przestawiając malutkie tarcze umieszczone na końcu przystawki. Kiedy ostatnie z pokręteł znalazło właściwą pozycję, morfer zawibrował delikatnie i w tej samej chwili zaszła w nim nieuchwytna zmiana. Broń zaciążyła dziwnie w jej dłoni, jakby była nareszcie gotowa zrobić to, do czego ją stworzono.

Quin chwyciła lewą dłonią koniec klingi i patrzyła, jak roztapia się, rozlewając wokół jej palców. Nawet po uzbrojeniu morfer nie mógł jej skrzywdzić, ale wszystkie inne organizmy, żywe lub nie, od tej pory stanowiły dozwolony cel.

Serce dziewczyny biło coraz mocniej, podczas gdy Alistair i jej ojciec nieśpiesznie wyłączali tryb szkoleniowy w swoich morferach. Starcie „na ostro” nie było łatwym zadaniem, ale jeśli Quin dobrze się spisze, będzie bliska uzyskania aprobaty ojca i dołączenia do przodków – przejęcia szlachetnych obowiązków Poszukiwaczki. Od najwcześniejszego dzieciństwa wsłuchiwała się w opowieści Alistaira o Poszukiwaczach wykorzystujących swoje niezwykle umiejętności, aby czynić świat lepszym, a od ósmego roku życia sama pilnie ćwiczyła, aby nabyć owe umiejętności. Jeśli teraz jej się powiedzie, wreszcie stanie się jedną z nich.

John i Shinobu skończyli przełączanie swoich morferów. Stodołę wypełniała teraz energia innego rodzaju – złowróżbne oczekiwanie. Oczy Quin pochwyciły wzrok Johna i posłały mu spojrzenie, które mówiło: „Damy radę”. W odpowiedzi chłopak nieznacznie skinął głową.

„Bądź gotowy, John – pomyślała – przejdziemy przez to razem i będziemy razem...”.

Stodołę wypełnił przenikliwy pisk, tak wysoki, że Quin przez chwilę nie była pewna, czy nie słyszy go tylko w swojej głowie. Rzut oka na twarz Johna upewnił ją, że jest inaczej. Dziwna, armatokszałtna broń, w którą zakuty był jej ojciec, zbudziła się do życia. Szeroka podstawa rozrywacza zakrywała Briacowi całą pierś i musiała być podtrzymywana pasami, które obejmowały mu ramiona i plecy. Krótka lufa miała dwadzieścia pięć centymetrów średnicy, lecz zamiast jednego przewodu w opalizującym metalu czerniły się setki maleńkich otworów. Wyloty miały różne rozmiary i były rozmieszczone chaotycznie, co z jakiegoś powodu nadawało urządzeniu jeszcze bardziej złowrogi wygląd. Kiedy rozrywacz osiągnął stan pełnej gotowości, skowyt przycichł, ustępując miejsca skwierczeniu elektryczności w powietrzu wokół broni.

Shinobu potrząsnął głową, jakby próbował usunąć nieprzyjemny dźwięk z uszu.

– Czy wymachiwanie tą zabawką nie będzie ciut niebezpieczne przy tak wielu walczących? – spytał.

– Jeśli zawiedziecie w tym starciu, najpewniej zostaniecie ranni – powiedział Alistair – niewykluczone, że nawet... zakłóceni. Dzisiaj wszystkie chwytty są dozwolone. Zastanówcie się nad tym przez chwilę.

Uczniowie widzieli już wystrzał z rozrywacza, a nawet ćwiczyli unikanie jego ognia w ramach osobistych sesji treningowych, ale jeszcze nigdy nie podziwiali go w akcji podczas prawdziwej walki. Rozrywacz stworzono po to, aby budził strach, i cel ten został osiągnięty.

„Nasza sprawa jest słuszna – wyrecytowała w myśli Quin. – Nie będzie we mnie lęku. Nasza sprawa jest słuszna. Nie będzie we mnie lęku...”

Końcem morfera Alistair pochwycił przedmiot leżący w blaszanym korycie stojącym przy bocznej ścianie stodoły. Była to ciężka żelazna obręcz, mierząca około piętnastu centymetrów średnicy, obszyta grubym płótnem i nasączona smołą. Energicznym ruchem podrzucił ją wysoko w górę.

Zanim zdążyła zatoczyć łuk pod krokwiemi, mężczyzna zapalił zapalną, po czym złapał spadający przedmiot na czubek morfera. Przytknął zapalną do płótna. Uczniowie obserwowali, jak po obręczy rozchodzą się płomienie. Alistair zakręcił płonąącym kółkiem na klindze. W oczach rozjarzyły mu się złowrogie ogniki.

– Pięć minut – oznajmił, spoglądając na zegar zawieszony wysoko na ścianie. – Wasz cel: nie dopuścić do pożaru, utrzymać się przy życiu i zdrowych zmysłach, zakończyć walkę, będąc w posiadaniu pierścienia.

Uczniowie rozejrzeli się po stodole, tocząc niespokojnym wzrokiem po leżących pod ścianami belach siana, wysypanej sianem podłodze, starych drewnianych stojakach ze sprzętem treningowym, zwisających ze stropu linach wspinaczkowych, drewnianych krokwiach wspartych na kamieniach. Wszyscy mieli w głowie tę samą myśl. Oto przyjdzie im rzucać płonąca obręczą w budynku wypełnionym podpałką.

– Nie dopuścić do pożaru – prychnął Shinobu. – Będziemy mieli naprawdę wielkie szczęście, jeśli nie zjaramy tej budy do gołej ziemi.

– Damy radę – wyszeptali jednocześnie Quin i John.

Przelotny uśmiech przeskoczył tam i z powrotem pomiędzy nimi, a potem dziewczyna poczuła na ramieniu uścisk Johna, ciepły i silny.

Alistair cisnął obręcz wysoko w górę, pod sam dach.

– Pokażcie, co potraficie! – ryknął Briac, dobywając morfera.

Obaj mężczyźni ruszyli na uczniów z uniesioną bronią.

– Ja ją złapię! – wrzasnął Shinobu, uskakując z drogi Alistairowi i rzucając się na środek stodoły, aby przejąć wirującą obręcz, która spadała prosto na pokrywające podłogę siano.

Quin widziała, że Briac ruszył prosto na Johna. Mężczyzna nadał morferowi

kształt bułata i ciał szerokim łukiem, grożąc rozplątaniem chłopaka na dwie części. Dziewczyna ujrzała jeszcze błysk morfera Johna, parującego cios, a potem napadł na nią Alistair.

– Mam ją! – krzyknął Shinobu, przechwytyjąc płonąca obręcz czubkiem swojej broni.

Ognisty wieniec zsunął się aż po rękojeść i sparzył mu palce. Chłopak gwałtownie zakręcił klingą, przesuwając obręcz z powrotem na czubek.

Uchylając się przed atakiem Alistaira, Quin uskoczyła w bok, skracając klingę miecza, aby ciąć przeciwnika przez grzbiet. Szkot przewidział ten ruch, obrócił się ku niej i odtrącił nacierające ostrze.

– Za wolno, dziewczyno – zacmokał. – Wahasz się, kiedy masz uderzyć. Dlaczego? Będziesz mieć w swoich rękach najcenniejszy artefakt w posiadaniu ludzkości, czyż nie? Nie wolno ci się wahać. Kiedy będziesz *Tam*, kiedy wstąpisz *między*, wahanie cię zgubi. – Była to mantra Alistaira, którą od wielu lat wbijał swoim uczniom do głów.

John i Briac wymieniali się szybkimi ciosami. Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby miał szczery zamiar zabić chłopaka przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Mimo to John dotrzymywał mu pola – kiedy się skoncentrował, był pierwszorzędnym szermierzem. Szybkie spojrzenie na jego twarz powiedziało jednak Quin, że chłopak walczy w gniewie i jest przerażony obecnością rozrywacza. Niekiedy gniew i strach można było przekuć w użyteczną broń, ale na ogół emocje przynosiły tylko szkodę. Zanieczyszczały umysł i skłaniały do nierozważnego wydatkowania energii.

Nagle dziewczyna uświadomiła sobie, że Alistair zepchnął ją na Johna i teraz walczył z obojgiem. Briac zwrócił się w stronę Shinobu. Pomruk rozrywacza nabrał mocy, stając się niemal nieznośnie głośnym.

– Rzucam pierścień! – zawołał chłopak.

W tej samej chwili rozrywacz na piersi mężczyzny wypalił. Shinobu cisnął obręcz wysoko pod krokwie w stronę Quin i Johna. Lufa rozrywacza plunęła tysiącem wściekłych elektrycznych iskierek, które pomknęły w powietrzu w kierunku chłopaka, hucząc niczym rój pszczół.

Shinobu padł na ziemię, nurkując pod nadlatującym ładunkiem, i odtoczył się w bok. Nie mając żywego celu na swojej drodze, iskry zderzyły się z tylną ścianą hali ćwiczeń i znikły w krótkiej serii rozbłysków tęczowego światła.

– Mam! – krzyknął John, odskakując od Briaca i łapiąc spadającą obręcz na własny miecz.

Kropla płonącej smoły oderwała się od metalowego pierścienia i spadła na belę siana, która natychmiast zajęła się ogniem. Chłopak rzucił się, aby zdusić płomień, a obręcz zsunęła się aż do rękojeści jego morfera, parząc mu dłoń.

– Shinobu! – krzyknął i podrzuciwszy pierścień ognia pod same krokwie,

skoczył przed Quin, zajmując jej miejsce pod gradem bezlitosnych ciosów Alistaira. Na drugim końcu stodoły Shinobu zgrabnie pochwycił obręcz.

Dziewczyna chciała choć na chwilę rozluźnić rękę, zmęczoną parowaniem ciosów wuja, ale Briac zwrócił ku niej lufę rozrywacza. Strumień skwierczących szaleńczo iskier pomknął w jej stronę.

Gdyby pozwoliła dosięgnąć się iskrom, już nigdy by się od nich nie uwolniła. Nie zabiłyby jej, ale byłby to jej koniec.

„Pole zakłócające rozrywacza jest gorsze od śmierci...”.

Quin powstrzymała potok myśli. Miała zostać Poszukiwaczką, odkrywczynią ukrytych dróg. Istniała tylko walka, konsekwencje nie miały znaczenia.

Uskoczyła w bok, łapiąc zwisającą spod dachu linę i odfruwając na niej poza zasięg broni Briaca. Iskry rozrywacza śmignęły obok i zatańczyły na ścianie za nią, spalając się nieszkodliwie w feerii kolorowych rozbłysków.

Wylądowała za ojcem, który zaraz odwrócił się, przemieniając szeroką szablę w smukłą, groźną klingę. Nim stanęła pewnie na nogach, zadał cios, rozcinając jej rękaw koszuli na przedramieniu i pozostawiając krwawą bruzdę na skórze.

Po ręce pociekła jej ciepła strużka. Zapewne krwi towarzyszył też ból, ale nie miała czasu na jego odczuwanie. Powietrze znów rozdarł narastający wizg ładującego się rozrywacza.

Shinobu walczył teraz z Alistairem. John kręcił płonąca obręczą na końcu morfera, aby nie poparzyła mu dłoni, gorączkowo zdeptując kolejne ognisko pod belą siana.

Briac odwrócił się i wypalił z rozrywacza po raz trzeci.

– John! – krzyknęła Quin.

Na widok mknących ku niemu iskier chłopak odrzucił obręcz na oślep. Dziewczyna spodziewała się, że wykona unik, ale on stał jak skamieniały, wpatrując się w ogniki, nagle bezradny i zagubiony.

– John! – krzyknęła jeszcze raz.

Shinobu odskoczył od atakującego go Alistaira i mocnym rzutem powalił chłopaka na ziemię, w ostatniej chwili spychając go z linii strzału. Iskry trafiły w ścianę w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się głowa Johna, i znikły w rozbłyskach światła.

Zaprzątnięta troską o chłopaka Quin kompletnie zapomniała o obręczy. Płomienny krążek toczył się w podskokach po klepisku, podpalając kupki siana na swojej drodze.

Wizg rozrywacza znowu nabrał mocy. Dziewczyna dostrzegła uśmiech satysfakcji na twarzy swojego ojca, kiedy wymierzył w Johna po raz drugi.

Chłopak usiadł i spojrzawszy za siebie, skamieniał ze zgrozy. Wpatrywał się w nadlatujące iskry, zahipnotyzowany ich straszliwym pięknem. Nieodwracalny –

oto jaki był efekt działania rozrywacza. Trafiwszy w cel, iskry zajmowały umysł człowieka, aby już nigdy go nie opuścić. John czekał, aż dosięgnie go trzeszczący strumień.

Quin patrzyła, jak Shinobu kopnięciem odpycha chłopaka na bok, po raz drugi usuwając go z linii strzału. John rozciągnął się jak długi na ziemi i tym razem nawet nie próbował się podnieść.

Dziewczyna podniosła płonąca obręcz i zdeptała płomienie, jakie pozostawiła za sobą na sianie. Po raz pierwszy od początku tej walki poczuła narastającą złość. Jej ojciec wziął się na Johna. To nie było w porządku.

Cisnęła krążek do Shinobu, przebiegła przez stodołę i w pełnym pędzie staranowała Briaca, obalając go, wraz z rozrywaczem, na ziemię. Salwa iskieł wystrzeliła pod dach i spaliła się między krokwiami w chaotycznym fajerwerku.

Quin wzięła wściekły zamach, celując mieczem w twarz ojca.

– Dość! – ryknął Briac, zanim zdążyła uderzyć.

Natychmiast usłuchała rozkazu i zwinęła swój morfer. Shinobu po raz ostatni przejął płonąca obręcz. Quin spojrzała na zegar, zdumiona, że minęło dopiero pięć minut. Miała wrażenie, że upłynął rok. John powoli dźwignął się na nogi. Wszyscy ciężko dyszeli.

Briac wstał. Podszedł do Alistaira i przez chwilę dzielili się po cichu spostrzeżeniami z walki. Rudowłosy olbrzym uśmiechnął się. Potem Briac odwrócił się i ruszył w stronę magazynku ze sprzętem, nieznacznie utykając.

– Quin i Shinobu, o północy – rzucił, nie odwracając głowy. – Spotkamy się przy stojącym głazie. Czeka was pracowita noc. – Zatrzymał się na progu magazynku. – John, nieraz okazałeś się lepszy od pozostałych, nawet ode mnie, ale szczerze mówiąc, dziś nie dostrzegłem ani śladu tych umiejętności. Spotkajmy się na błoni w porze kolacji. Pogadamy sobie otwarcie. – To powiedziawszy, zatrzasnął za sobą drzwi.

Quin i Shinobu spojrzeli po sobie. Gniew dziewczyny ulotnił się bez śladu. Połowa jej duszy chciała krzyczeć z radości. Jeszcze nigdy nie walczyła tak dobrze. Dziś złoży swoją przysięgę. Życie, którego pragnęła od wczesnego dzieciństwa, nareszcie miało się rozpocząć. Jednak druga połowa jej duszy była przy Johnie, który stał na środku stodoły ze wzrokiem utkwionym w ziemi.

## Rozdział 2

### John

Słońce kończyło już przemierzać niebo nad szkocką posiadłością, kiedy John nareszcie opuścił salę ćwiczeń. On i Quin wyszli ze stodoły oddzielnie, jak zawsze, ale chłopak wiedział, że dziewczyna będzie na niego czekać.

Tysiąc lat wcześniej stał tutaj zamek należący do odległej gałęzi rodziny Quin. Dziś był w gruzach i straszył walącymi się kikutami baszt, sterczącymi wysoko nad brzegiem rzeki, która szerokim zakolem okrążała posiadłość. Wyteżywszy wzrok, chłopak mógł dostrzec w oddali najwyższy punkt ruin.

Zabudowania posiadłości składały się głównie ze starych chat wzniesionych w ciągu stuleci z kamieni skradzionych z zamku. Grupy domów wyrastały na obrzeżach rozległej łąki, zwanej przez wszystkich błoniem. Była wiosna i łąka skrzyła się gwiazdozbiorami polnych kwiatów. Za błoniem zaczynał się las, gęstwa prastarych dębów i wiązów, podchodząca pod same chaty, aby użyczyć im swego cienia, i ciągnąca się dalej, do ruin i kto wie jak daleko poza nie.

Po jednej stronie łąki stał szereg budynków gospodarczych. W niektórych trzymano zwierzęta, a inne, tak jak ogromna stodoła ćwiczebna, służyły uczniom do treningów i szlifowania umiejętności potrzebnych, aby zostać Poszukiwaczami.

John przekroczył cienie na granicy lasu i wszedł głębiej między drzewa. Choć świadomość sromotnej porażki na sali walk ciążyła mu, teraz inne emocje przyspieszały bicie jego serca. Wkraczał w odmienny świat. Kiedy był w lesie z Quin, oddalał się od wszystkich tych spraw, które zwykle kładły się cieniem na jego życiu. Nie był z nią sam na sam od wielu dni i odszukanie jej było w tej chwili sprawą najwyższej wagi.

Nigdy nie wybierała dwa razy tego samego miejsca, ale musiał być już blisko. Dotarł do ich ulubionej części lasu, gdzie korony wielkich drzew spotykały się wysoko u góry, broniąc dostępu słońcu i zatapiając świat poniżej w ciszy i półmroku. Kilka chwil później poczuł dotyk ręki obejmującej go w talii i podbródka wślizgującego się na ramię.

- Cześć – szepnęła mu do ucha.
- Cześć – odparł cicho, uśmiechając się.
- Chodź, zobaczysz, co znalazłam.

Wsunęła dłoń do jego dłoni i pociągnęła zachęcająco. Quin miała ciemne włosy, przycięte równo na wysokości podbródka, i uroczą twarz o skórze koloru kości słoniowej i wielkich oczach. Teraz te oczy zerkwały na niego figlarnie, gdy szedł za nią między drzewami.

Doprowadziła go do kępy dębów, które wyrosły w taki sposób, że pomiędzy nimi utworzyła się niewielka, osłonięta przestrzeń. Dziewczyna wsunęła stopę w szczelinę między dwoma pniami i pociągnęła Johna za sobą. Po chwili stali



naprzeciwko siebie wśród gęstwiny.

– Co prawda nie jest to najlepsza izba w wioskowej gospodzie... – wymamrotała Quin.

– Jest nawet lepsza – odparł chłopak. – W gospodzie musiałybyś stać dalej ode mnie.

W rzeczy samej nie było tam dość miejsca dla dwóch osób i John musiał przyciągnąć dziewczynę blisko do siebie, aby zmieścili się w kryjówce, co zresztą przyjął z zadowoleniem. Pochylił się, aby ją pocałować, ale powstrzymała go, ujmując jego twarz między dłonie.

– Boję się – wyszeptała.

Widział to. Czuł strach emanujący z niej falami niczym żar asfaltu w letnim skwarze. Miała prawo się bać, to jasne. Nauki, jakie im wpajano, pochodziły z prastarej, zazdrośnie strzeżonej wiedzy, zaś w wypadku Johna tylko doskonałość w wypełnianiu poruczonych zadań mogła zapewnić mu prawo do jej zdobycia. Problem polegał jednak na tym, że nie był faworytem ojca Quin. Porażka w dzisiejszej walce niewątpliwie była pretekstem długo oczekiwanym przez Briaca.

– Jeszcze nie słyszałam, żeby tata mówił do ciebie tak... tak ostatecznie – szepnęła dziewczyna. – A co, jeśli będzie chciał cię wywalić?

Perspektywa leśnego spotkania z Quin zdołała na kilka minut zepchnąć na bok niepokój Johna, ale teraz groza powróciła z całą mocą. Z całej trójki to on był najsilniejszym wojownikiem, a jednak zawiódł w walce. Zawiódł w chwili, w której najbardziej potrzebował zwycięstwa.

Pozwolił, aby głowa opadła mu w tył i oparła się o pień drzewa. Przez krótką chwilę czuł się tak, jakby walczył z przeogromnym ciężarem ciągnącym go na dno oceanu.

„Nie – pomyślał. – Nie mogę zawieść. Nie zawiodę”.

Całe jego życie koncentrowało się na myśli o złożeniu przysięgi. Był Johnem Hartem. Odzyska, co zostało mu odebrane, i już nigdy nie będzie zdany na niczyją łaskę. Obiecał to i zamierzał dotrzymać obietnicy.

– Briac musi traktować to poważnie – powiedział do Quin, ze wszystkich sił starając się mówić przekonująco, zarówno dla niej, jak i dla samego siebie. Musiał jakoś wyrwać się tej rozpacz. – Byłem dziś... Walczyłem fatalnie, prawda? On musi być surowy. W końcu jest „obrońcą ukrytych dróg” i tak dalej. Ale trenował mnie przez tyle lat. Jestem prawie gotowy. Wyrzucić mnie teraz... nie, to byłoby bez sensu.

– No jasne, że bez sensu. Kompletnie bez sensu. Ale on mówi...

– Twój ojciec jest człowiekiem honoru, prawda? Zrobi to, co należy zrobić. Nie boję się, że postąpi niesłusznie, i ty też nie powinnaś.

Quin skinęła głową, ale jej ciemne oczy wciąż były pełne wątpliwości. Nie

mógł jej winić. Sam nie wierzył w to, co mówił o Briacu. Wiedział doskonale, jakiego rodzaju człowiekiem był ojciec dziewczyny, ale kurczowo trzymał się nadziei, że mężczyzna dotrzyma danego słowa. Złożył obietnicę przy świadkach i musiał wypełnić swoje zobowiązania. Jeśli tego nie zrobi...

John odepchnął od siebie przerażającą myśl. Dobrze mu się żyło w posiadłości, z Quin u boku – lepiej niż kiedykolwiek przedtem, a nawet lepiej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał, że może być – i nie chciał, aby to się zmieniło.

Dziewczyna poznała Johna w dniu jego przybycia. Byli wtedy dziećmi – chłopak miał dopiero dwanaście lat – a mimo to pierwsze, co poczuł na jej widok, to zachwyt nad jej urodą.

W pierwszym roku Quin i Shinobu często odwiedzali Johna w jego chacie, ale to jej samotne wizyty cieszyły go najbardziej. Dziewczynę fascynowały jego opowieści o Londynie, a sama ochoczo oprowadzała go po całej posiadłości.

Kiedy żyła jeszcze mama Johna, doradzała mu, aby trzymał głowę wysoko wobec każdej poznanej osoby. Ale on lubił słuchać o rodzinie Quin, o tradycjach jej rodzinnej posiadłości, ona zaś wydawała się cieszyć jego towarzystwem nie dlatego, że był bogaty, a jego rodzina ważna, ale ponieważ się jej podobał. Taki, jaki był. To było całkowicie nowe doznanie. Choć miał zaledwie dwanaście lat, zachował ostrożność – jej zainteresowanie mogło być podstępem, sztuczką mającą na celu osłabienie jego czujności i poznanie sekretów – ale wciąż chętnie spędzał z nią czas. Z Shinobu ćwiczył sztuki walki, a z Quin chadzał na spacer.

A potem wyrosły jej... krągłości. Do tamtej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak szalenie rozpraszające potrafi być kobiece ciało. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że wpadł w tarapaty, mając czternaście lat, podczas lekcji niderlandzkiego, kiedy przyłapał sam siebie na kontemplowaniu geometrii miejsca, w którym smukła talia Quin przechodziła w biodra. Mieli czytać na głos zadany tekst, ale on nie mógł się skupić, wyobrażając sobie, że dłonią gładzi krzywizny jej ciała. Próbował wyrzucić dziewczynę ze swoich myśli, tak jak – był tego pewien – chciałaby jego matka, ale mimo wszystko nie mógł uwierzyć, że jej życzliwość była udawana.

Kiedy Quin miała prawie piętnaście lat, pojedynkowali się ze sobą w szczególnie trudnej sesji ćwiczebnej w stodole. Alistair stawiał ich przeciwko sobie raz za razem, zmuszając, aby walczyli, nie oszczędzając sił.

– No dalej, John, uderz ją! – wrzeszczał, najwyraźniej sądząc, że chłopak daje Quin fory.

Może rzeczywiście ułatwiał jej walkę. Była zima, policzki dziewczyny zalewał rumieniec, a jej ciemne oczy błyszczały od wysiłku, kiedy poruszała się zwinnie, parując cios za ciosem.

Uderzyła mocno i runął na ziemię. Może tak naprawdę pozwoił jej trafić, bo upadając, nie był nawet rozczarowany. Wyobraził sobie, że turlają się po podłodze

razem, w objęciach... A potem walka skończyła się i oboje wstali, ciężko dysząc, połączeni spojrzzeniami ponad areną.

Alistair odprawił ich i oszołomiony John odkrył, że nogi same wynoszą go ze stodoły, starając się jak najszybciej oddalić go od niej. Nie widział, dokąd idzie. Istniała tylko Quin. Potrzeba jej bliskości była przygniatająco silna.

Skręcił za stodołę i skrył się za pniami nagich, zimowych drzew. Tam oparł się plecami o kamienną ścianę i zamknął oczy. Jego ciężki oddech naznaczał powietrze parą.

Nie chciał czuć tego, co czuł. Matka nieraz przestrzegała go przed miłością. „Kochając, wystawiasz się na sztylet – powiedziała mu wiele lat temu. – Kochając głęboko, zatapiasz sztylet we własnym sercu”. Miłość nie przystawała do żadnego z jego planów, ale czy miał na to jakikolwiek wpływ? Uwiodła go nie tylko piękność dziewczyny. Pragnął jej całej i wszystkich jej wcieleń: tej, która z nim rozmawiała; tej, która tak uroczo przygryzała dolną wargę, kiedy mocno się na czymś koncentrowała; tej, która uśmiechała się, gdy przechadzali się razem po lesie.

Obrócił się i docisnął policzek do zimnego muru, czując, jak łomocze mu serce, gdy próbuje wypchnąć jej obraz z głowy.

I wtedy zjawiała się Quin, która wyszła zza stodoły zaledwie kilka kroków dalej, tak samo oszołomiona, z nieobecny wzrokiem utkwionym gdzieś w leśnej gęstwinie przed sobą. Ich oczy spotkały się i nagle John zrozumiał, pojął z absolutną pewnością, że przyszła tu go szukać.

Wyciągnął rękę i złapawszy ją za rękaw płaszcza, przyciągnął ku sobie. Żadne z nich jeszcze nigdy się nie całowało, ale John wpił się żarliwie w jej usta. Były ciepłe i miękkie. I oddawały pocałunek z podobną namiętnością.

– Miałam nadzieję, że to zrobisz – szepnęła dziewczyna, oderwawszy się na chwilę dla zaczerpnięcia tchu.

Chciał powiedzieć coś romantycznego i subtelnego, jak: „Jesteś bardzo piękna”, ale zamiast tego z gardła wyrwało mu się szczere wyznanie:

– Pragnę cię – wyszeptał chrapliwie. – Nie chcę już być sam... Kocham cię, Quin...

A potem wrócili do pieszczot.

Z miłosnego zapamiętania wyrwał ich szelest kroków i trzask łamanych gałązek. Alistair. Te ciężkie stąpania rozpoznałby wszędzie.

Szybko rozdzielili się, odpychając nawzajem. Zanim wielki Szkot wyłonił się zza ściany stodoły, Quin zniknęła po jej drugiej stronie, pożegnawszy Johna krótkim spojrzeniem.

Tak narodziła się tradycja ich leśnych spotkań. Dziewczyna nie miała wątpliwości, że jej rodzice nie zaaprobowałiby tych schadzek, więc zachowywali je w tajemnicy, starając się nie zdradzać ze swoimi uczuciami. Wkrótce jednak stało

się jasne, że wszyscy w posiadłości domyślają się prawdy. John zaczął dostrzegać lodowaty błysk w spojrzeniu Briaca oraz dyskretną irytację w postawie Shinobu.

Chłopak szukał racjonalnego wytłumaczenia dla tych nowych dla niego uczuć. Być może tym, co czuł, była miłość, ale czyż nie mogła ona zadziałać na jego korzyść? Czy Briac nie spojrzałby na niego przychylniejszym okiem, gdyby pojął, jak bardzo jemu i Quin zależało na sobie nawzajem? Gdyby zdołał przekonać ojca dziewczyny, aby pozwolił im wziąć ślub, stworzyłby w ten sposób sojusz. Przymierze z tym mężczyzną nie było czymś, o czym marzył, ale pomogłoby mu w wypełnieniu obietnicy. Byłoby użyteczne, przynajmniej przez jakiś czas.

Poza tym uczucie, które napełniało go takim szczęściem, nie mogło być aż tak złe, prawda?

Teraz, schowany wśród drzew, z Quin w ramionach, John nie mógł oprzeć się myśli, że jest dokładnie tak, jak powinno być. Kiedy byli sami, był skłonny uwierzyć, że dziewczyna będzie stać po jego stronie bez względu na wszystko. W końcu pojmie prawdę, nawet o swoim ojcu...

– Nie chcę, żebyś się martwiła – powiedział, skłaniając ją, aby spojrzała mu w oczy. – Zostanę Poszukiwaczem, tak samo jak ty. Nawet jeśli zajmie mi to trochę więcej czasu. To jest nam przeznaczone. My dwoje musimy być razem.

Quin na krótką chwilę przegoniła chmurę ze swojej twarzy. Niemal się uśmiechnęła.

– To jest nam przeznaczone – zgodziła się. – Oczywiście, że tak.

Pewność w jej słowach dodała mu otuchy.

– Słuchaj – podjęła po chwili. – Jesteś silniejszy od Shinobu. Jesteś o wiele silniejszy ode mnie. Być może jesteś mądrzejszy od każdego z nas. Po prostu są pewne rzeczy, z którymi nie radzisz sobie aż tak dobrze.

– Jeśli masz na myśli rozrywacz...

– Jasne, że mam na myśli rozrywacz, John. Wszyscy się go boimy.

– To nie był zwykły strach – odpowiedział, odtwarzając koszmar w pamięci.

– Nie mogłem się ruszyć, Quin. Wyobraziłem sobie, jak te iskry mnie dopadają...

– Stop – przerwała mu stanowczo i John uświadomił sobie, że znów ogarnia go rozpacz. Musi się skupić, zwłaszcza dzisiaj. – Nikt nie chce skończyć w agonii, z umysłem zwróconym przeciwko niemu – ciągnęła. – Oczywiście, że nie. Ale musisz myśleć o rozrywczu jak o każdej innej broni. Tylko zachowując kontrolę mentalną, możesz uniknąć trafienia.

– Mój umysł to mięsień, który zawsze jest lekko napięty – odrzekł John, cytując Alistaira, który był ich ulubionym instruktorem. – Tylko że... Nie jestem pewien, czy działa jak należy, kiedy na scenie pojawia się rozrywacz.

– Spróbuj skupić się na wyższym celu naszych nauk – powiedziała łagodnie Quin. – Na tym, jakie to szczęście, że właśnie to jest naszym powołaniem. Misja Poszukiwacza jest ważniejsza od ciebie i ode mnie, ważniejsza od naszych

prywatnych lęków. – W jej głosie zabrzmiała pasja, co zdarzało się często, kiedy poruszała ten temat. – Jesteśmy częścią czegoś... wyjątkowego. Ja też się boję, tak samo jak ty, ale właśnie w ten sposób walczę ze strachem. I nie chodzi tylko o rozrywacze. Kontrola mentalna będzie zawsze potrzebna, zwłaszcza kiedy przeniesiesz się Tam. Inaczej nigdy się nie wydostaniesz.

John przyłapał się na tym, że patrzy na Quin z politowaniem. Była dziewczyną z gwiazdami w oczach, urodzoną w niewłaściwej rodzinie i niewłaściwej epoce. Owszem, byli częścią czegoś wyjątkowego, czegoś ważniejszego niż oni sami, ale do opisanie tego zjawiska użyłby zupełnie innych słów, takich jak „bezwzględne” i „nikczemne”. Briac był właśnie taki. John wiedział, że jeszcze tego wieczoru Quin odejdzie Tam, a potem jeszcze dalej, kiedy złoży swoją przysięgę. Może nie zdawała sobie sprawy z intencji jej przewodników, ale on tak. Jego matka była wobec niego szczera w temacie, w którym Briac nie był szczery wobec własnej córki.

Co się z nią stanie, kiedy pozna prawdę? Jak się poczuje, kiedy odkryje, że być może dawniej istnieli szlachetni Poszukiwacze, ale szlachetność nie jest w stylu jej ojca? Że jej umiejętności zostaną wykorzystane do osiągnięcia całkiem innych celów?

Spojrzał na nią i odezwał się łagodnym głosem:

– Jak myślisz, co będziecie dziś robić, kiedy złożycie przysięgę?

– Briac powiedział, że będzie to zadanie, które wymaga pełni naszych umiejętności.

John patrzył, jak jej wzrok osuwa się w dal.

– Cokolwiek to będzie, czuję, że każde pokolenie mojej rodziny z minionego tysiąca lat czeka, abym do nich dołączyła – ciągnęła Quin. – Całe moje życie wiodło mnie do tej chwili.

Chłopak także czuł na sobie wzrok minionych pokoleń, czekających, aż złoży swoją przysięgę. Obiecał im: „Odzyskam to, co nam odebrali, i odpłacę im za to, co uczynili. Nasz ród podźwignie się z upadku”.

– A athamen? – zapytał cicho, wymawiając to słowo z niemym „h” i akcentem na pierwszą sylabę.

Oczy Quin znów skupiły się na nim. Była zaskoczona – spodziewał się tego – ponieważ wciąż nie był wtajemniczony w wystarczającym stopniu, aby posiadać wiedzę, którą przekazano już jej i Shinobu. Patrzył, jak dziewczyna przygląda mu się badawczo, zastanawiając się, skąd zna to słowo.

– Jeżeli już o tym wiesz – powiedziała powoli – to jesteś w połowie drogi do poznania wszystkich tajemnic.

– Wiem, że właśnie o nim mówi Briac, kiedy wspomina o „najcenniejszym artefakcie w posiadaniu ludzkości”. I wiem, że to kamienny sztylet.

– Ja tylko go widziałam, John. Dwa razy. Nigdy go nie użyłam.

– Aż do dzisiaj – zaznaczył.

– Aż do dzisiaj – przytaknęła i uśmiechnęła się. Radość oczekiwania na wielką chwilę zaczęła do niej powracać.

W oddali rozległy się głośnie, wesołe okrzyki. Quin pochyliła się i ostrożnie wyjrzała przez szczelinę między drzewami. John przykucnął tuż obok. Z tej pozycji mieli ograniczony widok na błonie.

Radosne porykiwania dobiegały od strony chat po drugiej stronie łąki. To Shinobu i jego ojciec rozmawiali o tym, jak świetnie chłopak spisał się w ostatniej walce. Alistair był zimny i brutalny na arenie treningowej, ale przy swoim synu, kiedy nie prowadził zajęć, przemieniał się w wielkiego serdecznego niedźwiedzia.

Johnowi zawsze wydawało się, że Shinobu jest zakochany w Quin, ale ponieważ byli kuzynami, nie było mowy, aby dziewczyna żywiła wobec niego jakiegokolwiek romantyczne uczucia. W końcu, kiedy miał już Quin tylko dla siebie, nauczył się traktować Shinobu z większą życzliwością.

– Świątują – wyszeptał. – My też powinniśmy.

– Co masz na myśli? – spytała miękkim głosem.

Chłopak powoli przyciągnął ją do siebie. Tym razem pozwoliła się pocałować.

Zawsze pilnowali się, aby nie przekroczyć tej granicy. Quin czekała. Miała przysięgę do złożenia i musiała spędzić jeszcze co najmniej rok pod opieką rodziców, zanim będą gotowi uznać ją za dorosłą. Na razie ona i John poprzestawali na snuciu marzeń o nocy pod namiotem za rzeką albo w pokoju jakiegoś ustronnego zajazdu, kiedy nareszcie będą mogli oddać się sobie nawzajem.

Tego dnia coś się jednak zmieniło. Może była to perspektywa nadchodzącego wieczoru, może żar triumfu niewygasły po walce, ale chłopak wyczuł w pocałunkach Quin coś więcej niż zwykle. „Kocha mnie – pomyślał – a ja kocham ją. Chcę z nią być, nawet kiedy dowie się wszystkiego”. Ziemię pokrywały wieloletnie warstwy opadłych liści i John pociągnął dziewczynę za sobą na miękką ściółkę. Zaczął mówić gorączkowym szeptem:

– Chodźmy do mojej chaty...

– Cii... – przerwała mu, unosząc palec do ust. – Spójrz.

Z miejsca, w którym leżeli, ujrzeli drobną postać wyłaniającą się z lasu i zmierzającą w ich stronę. John pomógł Quin wstać i oboje skryli się za konarem. Wkrótce postać zbliżyła się na tyle, że można ją było rozpoznać. Była to Młoda Sędzia niosąca przewieszony przez ramię pęk martwych królików.

Po twarzy oceniali jej wiek na czternaście lat, choć, rzecz jasna, u Sędziów młodość i starość były kwestią umowną. Młoda Sędzia przybyła na posiadłość przed kilkoma miesiącami wraz z innym Sędzią, którego nazywano Dużym – zwalistym, groźnym mężczyzną wyglądającym na nieco ponad trzydzieści lat.

Briac dość mglście tłumaczył powody przybycia Sędziów do posiadłości, ale z jego słów można było wywnioskować, że ich zadaniem jest nadzorowanie rytuału składania przysięgi. Mężczyzna, znany z tego, że nie kłaniał się nikomu, zwracał się do Dużego Sędziego z osobliwym respektem. Uczniowie uznali, że Sędzia musi być kimś w rodzaju arbitra oceniającego jakość szkolenia Poszukiwaczy, ale szczegółów mogli się najwyżej domyślać, za jedyne dane mając mętne aluzje instruktorów.

Jeśli Młoda Sędzia rzeczywiście miała czternaście lat, to była niska jak na swój wiek. Figurę miała tak szczupłą, że można by było pomyśleć, iż jest niedożywiona, ale jej mięśnie opowiadały całkiem inną historię. Były niczym delikatne stalowe liny utrzymujące w całości jej drobną postać. Jej włosy, o niewyróżniającym się szaroburym kolorze, były grube i sięgały niemal do pasa. Wyglądały, jakby nigdy nie były strzyżone, zaś szczotkowane tylko z rzadka, jakby wszelkich wskazówek pielęgnacyjnych udzielał jej Duży Sędzia, który nie miał pojęcia o wychowywaniu dziewcząt.

Szła w ich stronę tym osobliwym krokiem, wspólnym dla obojga Sędziów. Powolne, niemal dostojne ruchy budziły skojarzenie z balerina tańczącą wyjątkowo smutny lub poważny fragment przedstawienia, wiedzieli jednak, że w każdej chwili mogą nabrać niespotykanej chyżości. Podczas gdy dziewczyna zbliżała się do nich, od strony łąki rozległ się świergot ptaka, a wtedy głowa nadchodzącej zwróciła się w bok niemal zbyt szybko, aby ich oczy mogły nadażyć za ruchem. Zidentyfikowawszy źródło dźwięku, Młoda Sędzia szła dalej, miarowo i płynnie, niczym marmurowy posąg, w który tchnięto życie.

– Patrz teraz – szepnęła Quin tak cicho, że John musiał domyślać się, co powiedziała, choć ich głowy prawie się stykały.

Sięgnęła do pasa i powoli dobyła noża, czekając, aż Sędzia wkroczy w strugę słonecznego światła, które oślepiło ją, na chwilę czyniąc nieświadomą tego, co dzieje się w lesie. Quin zamachnęła się i rzuciła w dziewczynę najmocniej, jak potrafiła.

Ostrze mignęło wśród cieni, po mistrzowsku wycelowane w punkt tuż przed idącą w taki sposób, aby ugodziło ją w bok głowy w chwili, kiedy następny krok zanieśie ją prosto na linię rzutu.

A jednak stało się coś zupełnie innego.

Młoda Sędzia wciąż poruszała się dostojnie, dopóki wirująca klinga nie znalazła się w zasięgu jej ręki. Wtedy jej ciało eksplodowało działaniem. Prawa ręka wystrzeliła w górę i przechwyciła nóż w locie. Jednocześnie dziewczyna obróciła się – tak szybko, że na chwilę stała się zaledwie rozmytą plamą na leśnym tle – i wypuściła ostrze z powrotem w ich stronę niczym burzowa chmura wyzwalająca grot błyskawicy. Cisnęła je z tak wielką siłą, że słychać było świst powietrza, rozcinanego wirującą bronią. John i Quin pochylili się w gwałtownym

uniku.

Nóż zakreślił idealny łuk wokół kępy dębów i wbił się po samą rękojęść, zaledwie kilkanaście centymetrów od dłoni Quin wciąż opierającej się o drzewo. Wibracja uderzenia przebiegła w dół pnia i John poczuł ją pod stopami.

– Niezły rzut! – zawołała Quin, machając do dziewczyny. – Musisz mnie kiedyś nauczyć.

Oczy Młodej Sędzi przesuwają się powoli, badawczo, po ich kryjówce. Coś w jej spojrzeniu obudziło w nich niepokój. Instynktownie odsunęli się od siebie, jakby łączące ich więzi pękły pod naciskiem jej wzroku. Młoda Sędzia zaczerpnęła tchu, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążyła.

Nad lasem rozległ się hałas. Sędzia, Quin i John spojrzeli w górę i ujrzeli autolot wprawiający powietrze w niską wibrację, zataczający krąg przed lądowaniem na błoni. Autolot był tak rzadkim widokiem w posiadłości, że nawet Sędzia wpatrywała się w pojazd przez kilka sekund, zanim odwróciła się i podjęła swój nieśpieszny marsz.

John i Quin dobiegli do krawędzi łąki w samą porę, aby ujrzeć mężczyznę, który wysiadł z maszyny i skierował się do chaty Briaca, stojącej po drugiej stronie błonia. Na widok przybysza chłopak zerwał się do biegu. Wciąż trzymał się linii drzew, ale chciał mieć jak najlepszy widok.

Quin dogoniła go.

– Co się dzieje?

Przybysz przystanął na chwilę i odwrócił się, tocząc wzrokiem wokół posiadłości. John zatrzymał się. Czy ponosiła go wyobraźnia? Twarz mężczyzny wyglądała znajomo, ale czasem, kiedy przebywał w posiadłości przez wiele miesięcy, z dala od Londynu i tłumów, ze zdumieniem odkrywał, że każda nowa twarz wydaje mu się dziwnie znajoma.

– Nie wiem – sapnął. – Myślisz, że udałoby ci się podsłuchać, kto to jest?

– Jeśli to ważne, Briac na pewno sam nam powie.

– Nie byłbym taki pewny... – mruknął pod nosem chłopak, po czym zerknął na Quin i dodał zaczepnie: – Ale jeśli strach cię obleciał, to może faktycznie daj spokój.

– Strach?! – Odepchnęła Johna z udawanym oburzeniem, a on z zadowoleniem stwierdził, że zaczęła przyglądać się przybyszowi z większym zainteresowaniem.

Tam, gdzie w grę wchodził Briac, zdecydowanie wołał unikać niespodzianek.

– Hmm... – Quin zmrużyła oczy. – Znajdę cię, jeśli czegoś się dowiem. – Szybko pocałowała Johna w usta. – Wiem, że Briac postąpi z tobą jak należy. Na pewno ostro ci nagada, ale nie przerwie twojego szkolenia. Na pewno nie.

Powiedziawszy to, odwróciła się i odbiegła w stronę chat. Chłopak poczuł



chłód rozlewający się w sercu – wewnątrznie szykował się już do konfrontacji z Briakiem. Patrzył na oddalającą się Quin, na jej kołyszące się w rytm kroków włosy, na ruchy pełne wdzięku w porównaniu ze spowolnioną gracją Młodej Sędzi. Quin była pełna życia.

## Rozdział 3

### Quin

Quin oddalała się od lasu, biegnąc teraz przez wysoką trawę porastającą błonie. Zerknęła przez ramię na Johna – wciąż stał tam, gdzie go zostawiła, na krawędzi łąki, w cieniu wielkiego wiązu. Jego wzrok podążał za nią, ale spojrzenie miał skierowane do wewnątrz, jakby patrzył za nią bezwiednie, myśląc o czymś zupełnie innym.

Chłopak miał „głębokie” oczy. Quin zawsze myślała o nich w ten sposób. Kiedy był z nią, błyskały humorem i miłością, ale w innych momentach były ponure i głodne, jakby poszukiwały czegoś odległego i nieosiągalnego.

To jego oczy sprawiły, że zaczęła się nim interesować. Choć miał zaledwie dwanaście lat, kiedy przywieziono go do posiadłości, Briac umieścił go w odosobnionej chacie w głębi lasu. Samego. Quin i Shinobu odwiedzali go tam dość często, ciekawi nowego dziecka w osadzie, w dodatku tak światowego, które mieszkało w Londynie i bywało w wielu innych miejscach.

Z początku John wydawał się nieufny, a jego spojrzenie zniechęcało do zacieśniania więzi. Bardzo niewiele mówił o sprawach dotyczących go osobiście, ale dziewczyna w końcu odkryła, że burzowe chmury w jego błękitnych oczach nie rodzą się z gniewu ani obawy przed odrzuceniem, jak początkowo przypuszczała, ale ze zwyczajnej samotności. Zaczęli spędzać ze sobą więcej czasu i z radością obserwowała, jak jego spojrzenie zmienia się, a oczy zaczyna wypełniać coś na kształt szczęścia.

Teraz, biegnąc przez trawę, wciąż czuła pieszczotę jego warg na ustach, dotyk dłoni w dole pleców. Zbliżając się do swojej chaty, raz jeszcze obejrzała się na wiąz, ale Johna już pod nim nie było.

Kilka minut później weszła po cichu przez okno w tylnej ścianie domu jej rodziców. Przycupnąwszy w spiżarni sąsiadującej przez ścianę z główną izbą, usłyszała przybysza z autolotu pochłoniętego rozmową z ojcem.

– To może być zaginięcie – mówił Briac. – W takim wypadku poszukiwania mogłyby ciągnąć się w nieskończoność. Ma to swoje zalety, ale też i wady.

Quin bardzo ostrożnie przycisnęła ucho do wąskich drzwi spiżarni, aby lepiej słyszeć. Stąd, przez szczelinę między skrzydłem drzwi a framugą, mogła też obserwować mały wycinek izby.

Jej ojciec rozpierał się w starym skórzanym fotelu pod kolekcją prastarych kusz, porozwieszanych pod stropem tuż obok gabloty ozdobionej rzeźbionymi baranami – godłem rodziny Quin – zawierającej imponujący zbiór noży. Rozmawiał z przybyszem, mężczyzną w wieku dwudziestu kilku lat, który ogrzewał dłonie nad ogniem wesoło trzaskającym w palenisku. Odzienie nieznajomego wyglądało na kosztowne, ale dziewczyna nie była znawczynią mody.

Praktycznie całe swoje piętnastoletnie życie spędziła na terenie posiadłości.

– Kolejną opcją jest czysty finisz, bez żadnych pozostawionych tropów – ciągnął Briac, przeczesując dłonią ciemne włosy. Quin odziedziczyła je po nim. Głowa ojca wciąż była nietknięta siwizną. Briac nie miał jeszcze czterdziestu lat i był równie sprawny i silny jak w latach swojej młodości, ale dziewczynie wydawało się, że istniał od zawsze w niezmienionej formie, poza czasem, jak niebo albo ziemia. – Wszystko zależy od waszych potrzeb – mówił dalej do swojego gościa. – Stworzymy okoliczności, które najlepiej przysłużą się waszym celom. Czy wiecie, co chcecie osiągnąć?

Briac wychodził z siebie, aby okazać gościowi uprzejmość i życzliwość. Na Quin zrobiło to niepokojące wrażenie. Przywykła do twardości w twarzy i słowach ojca. Często ją przerażał, ale akceptowała jego sposób bycia jako postawę niezbędną przy szkoleniu: przygotowywał ją do trudnego życia, a jego szorstkość służyła dobrej sprawie. Być Poszukiwaczem znaczyło należeć do garstki wybrańców, którzy mogli wstępować *pomiędzy* i zmieniać świat.

Przybysz zaczął odpowiadać na pytanie Briaca tak cicho, że Quin nie była w stanie zrozumieć pojedynczych słów. Mężczyzna wydawał się bardzo zdeterminowany, ale być może bał się odezwać głośniej. Mocniej przycisnęła ucho do drzwi spiżarni.

Briac uniósł dłoń, przerywając rozmówcy w pół słowa.

– Najmocniej przepraszam – powiedział. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym kontynuować rozmowę na zewnątrz.

Młody człowiek skinął głową i obaj podnieśli się z miejsc. Kiedy gość był odwrócony plecami, ojciec trzema szybkimi krokami przemierzył pokój i mocno pchnął drzwi spiżarni, które grzmotnęły dziewczynę w bok głowy, przewracając ją na podłogę.

Quin powoli dźwignęła się na nogi i chwiejnie wytoczyła z pomieszczenia. Weszła do kuchni skrzywiona, pocierając głowę dłonią. Po drugiej stronie domu drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. Dziewczyna zobaczyła przez okno Briaca i jego gościa, idących razem ku łące. Najwyraźniej ojcu zależało na prywatności.

– Quin? Co tam robiłaś?

Fiona Kincaid siedziała za stołem, ściskając w dłoni kubek. Dziewczyna wciągnęła w nozdrza powietrze i ledwie uchwytna kwaśna woń podpowiedziała jej, że mama pije mocny cydr – w ostatnich latach stała się jego wielką miłośniczką. Na kuchni bulgotał gulasz na obiad, a w piekarniku dopiekał się chleb, napełniając chatę wspaniałym aromatem. Te kuchenne zapachy stanowiły tło jej dzieciństwa wraz z zapachem wysokiej trawy porastającej błonie i wilgotnej ziemi pod drzewami w lesie. I tylko kwaśna nuta alkoholu w powietrzu psuła poczucie szczęścia, które ją ogarnęło.

Johnowi na pewno się uda. Jej i Shinobu też. A jej życie z Johnem będzie dokładnie takie, jak zawsze je sobie wyobrażała.

– Podśluchiwałaś? – spytała jej matka.

– Myślałam, że to może coś w związku z dzisiejszym wieczorem – wyjaśniła Quin, opadając na krzesło naprzeciwko Fiony i podciągając kolana pod brodę.

Ciemnorude włosy jej matki były zaplecione w schludny warkocz, twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Fiona była piękna, nawet kiedy się nie uśmiechała. Wszyscy tak mówili. Przez chwilę patrzyła za okno, na malejące w oddali postaci Briaca i jego gościa, po czym przeniosła wzrok na swój kubek z cydrem. Dopiero teraz na jej twarzy pojawiła się troska.

– Co usłyszałaś? – spytała.

– Nic. – Quin wzruszyła ramionami, a potem naszła ją nieprzyjemna myśl. – Nie próbujesz chyba wydać mnie za mąż, co? – spytała podejrzliwie.

Pytanie zaskoczyło Fionę i jej usta mimowolnie ułożyły się w słaby uśmiech.

– Wydać cię za mąż? Czemu? Czyżby ten młody człowiek wpadł ci w oko?

– Ja... Sama nie wiem. Nie myślę zbyt często o... – Zawstydziała się i urwała.

– Oczywiście, że nie próbujemy wydać cię za mąż – powiedziała jej mama, uśmiechając się łagodnie.

– Nie mów „oczywiście” – odparła Quin. – Tak samo było z tobą, pamiętasz?

Tak naprawdę jej matka nigdy nie powiedziała tego wprost, ale właśnie takie wrażenie odniosła dziewczyna na podstawie matczynej opowieści z okresu zalotów i małżeństwa z Briakiem Kincaidem. Fiona wspominała nie tyle zakochanie i miłość, ile swatanie przez rodziców.

– No dobrze, w każdym razie nie wydajemy cię za *niego* – powiedziała Fiona, drocząc się z córką.

– Wiem, jak to się kiedyś robiło – ciągnęła Quin. – Czystość rodu, kontrola...

Rozumiała i akceptowała zalety kojarzenia małżeństw przez rodziców. Wydanie jej za kogoś, komu ufał ojciec, pomogłoby w zachowaniu wiedzy i broni pod jego bezpośrednią kontrolą. Briac i Alistair byli – co wpajano jej od zawsze – ostatnimi z Poszukiwaczy, a ona i Shinobu musieli podtrzymać tradycję, nie zakłócając ciągłości jej przekazu. John także, rzecz jasna, choć tu ciągłość została już zerwana, ponieważ z jego rodziny nie zostało wiele osób. W teorii Quin z radością poślubiłaby kogoś, kto odpowiadałby jej rodzicom, w rzeczywistości zaś miała ogromną nadzieję, że ich wybór pokryje się z jej własnym.

Matka pociągnęła długi łyk z kubka i pokręciła głową.

– Za nikogo cię nie wydajemy, Quin. Nawet jeśli twojemu ojcu spodobałby

się taki pomysł. Już dość twojego życia zaplanowano bez twojego udziału. Myślę, że powinnaś sama wybrać sobie partnera.

Spojrzenie dziewczyny powędrowało nad łąką do miejsca, w którym niedawno stała z Johnem. Znow ogarnęło ją poczucie szczęścia i płynąc na fali radości, nagle zebrała się na odwagę.

Już tylko godziny dzieliły ją od złożenia przysięgi. Wkrótce zaczną ją traktować jak osobę dorosłą.

– Mamo... Ty wiesz, że już go wybrałam, prawda?

Fiona podążyła za jej wzrokiem, ale za oknem widać było już tylko trawę i drzewa.

– A on?

– Co on?

– Czy John Hart wybrał ciebie?

Quin poczuła na policzkach palący rumieniec.

– Mamo!

– Wymykacie się razem do zagajnika od dłuższego czasu. Czy wy dwoje już...?

– Nie! – Ta rozmowa nagle postawiła ją w niekomfortowej sytuacji. – Czekaj. O co ty mnie właściwie pytasz?

– Czy zdarzyło się wam całować?

– Och... – Pomimo zawstydzenia twarz Quin rozkwitła uśmiechem. – Tak. To tak. To zrobiliśmy.

– A potem...? – naciskała Fiona.

– Co potem? – Dziewczyna pomyślała o chwili, kiedy John ułożył ją na ziemi, o jego samotnych oczach skupionych tylko na niej... Spojrzała na swoje dłonie i westchnęła. – Było całowanie. Owszem, całkiem sporo całowania, ale... Oj, przecież wiesz, mamo, nie męcz! Zwykle domyślasz się takich rzeczy bez moich tłumaczeń.

– Czasem tak, ale nie tym razem. Jesteś pewna, że to było wszystko?

– Nie jestem idiotką. Briac i tak wystarczająco daje mu w kość. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczął uganiać się za nim ze strzelbą.

Żart rozbawił Fionę, rozjaśniając jej twarz rzadkim u niej uśmiechem. Na krótką chwilę Quin ujrzała piękno swojej matki w pełnej krasie. Spłynęło na nią niczym żar wiosennego słońca wyłaniającego się przelotnie zza ciężkich chmur.

– Mamo... – zaczęła, uznając, że bardziej zażenowana już nie będzie i równie dobrze może mówić dalej. – Myślisz, że ojciec będzie temu przeciwny?

– Przeciwny czemu?

– Mojemu małżeństwu z Johnem.

Quin wyrzuciła z siebie te słowa i wstrzymała oddech, bojąc się reakcji matki. Właściwie czemu nie miałyby mówić o małżeństwie? John był doskonałym

partnerem. Czyż nie pochodził ze starego rodu jak ona sama? I tak jak ona zamierzał użyć zdobytych podczas szkolenia umiejętności, aby czynić dobro. Może zostanie z nią tutaj, w posiadłości, a może Quin zamieszka z nim w jakimś bardziej egzotycznym miejscu, ale gdziekolwiek skończą, będą pracować razem i walczyć razem, pomagając zmienić świat na lepsze. „Tyrani i złoczyńcy, strzeżcie się”. No i przecież tak bardzo go kochała. Rodzice z pewnością to dostrzegali.

Wyczekujące spojrzenie Quin powędrowało za Fiona, która wstała, aby doglądać kociołka z gulaszem. Co tam było do doglądania, pozostawało dla dziewczyny tajemnicą. Ostatecznie to był tylko gulasz. Mógł sobie pyrkotać na kuchni całymi dniami, jeśli komuś było z tym wygodniej.

Wciąż stojąc plecami do Quin, matka odpowiedziała pytaniem:

- Czy John poprosił cię już o rękę?
- N-no nie. Jeszcze nie. Ale chyba obie rozumiemy dlaczego.
- Jesteś taka młoda – powiedziała miękko Fiona. – Nie miałam pojęcia...

Mimo wszystko jestem trochę zaskoczona, że wybrałaś właśnie Johna.

Quin nie była pewna, jak ma rozumieć słowa matki. Niby kogo powinna sobie wybrać, obcego faceta, którego nie widziała na oczy? Jakiegoś starca, którego by wskazał jej ojciec? Opanowała się jednak i szybko odpowiedziała:

– Nie mówię, że *teraz*. Kiedyś. W przyszłości. Myślisz, że ojciec będzie miał coś przeciwko temu?

Fiona odwróciła się do niej, wycierając ręce o fartuch, spoglądając to tu, to tam, byle nie w oczy córki.

– Cóż, myślę, że twój ojciec będzie miał stanowczą opinię w tym temacie, to na pewno. I jeszcze wiele musi się wydarzyć do czasu, kiedy już będziesz gotowa do zamążpójścia.

– To nie jest odpowiedź, mamo.

– Ale pamiętaj, Quin – ciągnęła Fiona pośpiesznie, jakby dziewczyna wcale się nie odezwała, jakby musiała wyrzucić z siebie słowa natychmiast, inaczej przepadną na zawsze – nie ma znaczenia, co on myśli. Twoje życie należy do ciebie.

Lekko skonsternowana Quin przyjrzała się uważnie mamie, w której ruchach pojawiła się nagła nerwowość. Briac był, no cóż, Briakiem. Jego absolutna władza była częścią dziwnego i uprzywilejowanego życia, do jakiego się urodziła.

– Mamo...

– Twoje życie należy do ciebie – powtórzyła Fiona, siadając obok córki. Jej niespokojny wzrok powędrował za okno i z powrotem. – Jeśli uznacie... Gdybyś postanowiła pójść do Johna już teraz... Gdybyś postanowiła wyjechać z nim z posiadłości... wybrała inne życie, razem, w tej chwili, zrozumiałabym.

To było bardzo dziwne oświadczenie. Dziewczyna uznała, że jej matka musi być bardziej pijana, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

– Nie jestem pijana, Quin.

– Nic takiego nie powiedziałam! Ale... skoro o tym wspomniałaś, faktycznie wyczuwam coś mocniejszego w twoim kubku.

– Nie jestem pijana – powtórzyła Fiona.

– Nie powiedziałam, że jesteś.

– Powiedziałaś.

Uznawszy, że nie ma sensu spierać się o to, co naprawdę chciała powiedzieć, Quin ucięła temat:

– Składam przysięgę dzisiaj, mam. Briac ci nie powiedział? Nie mogę wyjechać z posiadłości.

– Powiedział. – Fiona przykryła dłoń córki własną i mocno uściśnęła. – A ja powiem ci tyle. Złóż przysięgę tylko wtedy, jeśli naprawdę tego pragniesz.

Zdumienie odjęło Quin mowę. Ledwie zdołała wykrztusić:

– A co... A do czego niby dążyłam przez całe swoje życie? Oczywiście, że tego pragnę. Wiem, jaką jestem szczęściarą!

– Jesteś pewna?

Dziewczyna uśmiechnęła się uspokajająco, tak jak uśmiecha się do dziecka, które opowiada o swoich irracjonalnych lękach. Jej matka nigdy nie złożyła przysięgi. Uczyła ich języków, matematyki i historii, przedmiotów niezwiązanych bezpośrednio ze szkoleniem na Poszukiwaczy. Choć Fiona nie lubiła o tym rozmawiać, Quin domyślała się – głównie z komentarzy wygłaszanych przez Briaca – że ukończyła szkolenie, ale coś przeszkodziło jej w zostaniu zaprzysiężoną Poszukiwaczką. Nie wszyscy uczniowie docierali do końca drogi i to niepowodzenie, do pewnego stopnia, zrujnowało jej życie, być może nawet stało za jej pociąganiem do alkoholu. Quin kochała jednak mamę i nie chciała, aby była smutna, zwłaszcza w tym wyjątkowym dniu.

Delikatnie uściśnęła dłonie Fiony.

– Jestem pewna – powiedziała. – I będziesz ze mnie bardzo dumna, wiesz? Zamierzam dokonać wielkich rzeczy.

Jej słowa nie odniosły zamierzonego skutku. Oczy jej matki przez chwilę pilnie szukały czegoś w oczach córki, a potem Fiona opuściła wzrok i pokiwała głową z rezygnacją.

– Oczywiście, że dokonasz – rzekła, zmuszając usta do uśmiechu. – A ja życzę ci wszelkiego szczęścia w twoim życiu, moja kochana córeczko.

Kobieta wstała i odwróciwszy się, podeszła do kuchni. Szybko – tak szybko, że Quin nie była pewna, czy to w ogóle się stało – otarła łzę z policzka. Dziewczyna porwała ze stołu kubek, powąchała zawartość i krzywiąc się, wylała resztę cydru do zlewu, aby jej matka nie miała już czego pić.

Słyszając dźwięk startującego autolotu, pocałowała mamę w policzek i podbiegła do drzwi frontowych. Z progu patrzyła, jak pojazd wznosi się nad łąką

szerokimi kręgami, a potem znika w chmurach. Odleciał na południe, aby zakończyć podróż gdzieś daleko od posiadłości, być może w Edynburgu albo Londynie, a może nawet jeszcze dalej. Być może ona sama też wkrótce odwiedzi te miejsca. Kiedy już uda się Tam, będzie mogła przenosić się dokądkolwiek. Wtedy świat stanie przed nią otworem i Quin zostanie graczem na olbrzymiej planszy, wypełniając swoje przeznaczenie.

Ruszyła w stronę lasu w nadziei, że spotka tam Johna i powie mu, że nie dowiedziała się niczego o mężczyźnie, który odwiedził posiadłość. Dotarłszy do połowy łąki, zobaczyła chłopaka idącego razem z Briakiem. Dłoń ojca spoczywała na jego ramieniu, zaś twarz Johna była zwrócona ku ziemi. Quin niemal czuła ciężar jego kroków. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna prowadził go na szafot.

„Wiem, że nie zrobi niczego niewłaściwego, John – pomyślała. – Zostaniesz w posiadłości i dokończysz szkolenie. Wszystko będzie dobrze”.

To był ostatni raz, kiedy myślała w ten sposób.



## Rozdział 4

### John

Dłoń Briaca ciążyła Johnowi, napełniając go niepokojem. Była jak topór bojowy, wsparty na jego barku, tak samo twarda i bezwzględna.

Szli przez błonie w milczeniu, aż chłopak poczuł, że nie znieśie już dłużej tej ciszy.

– Moja kontrola mentalna zawiodła – rzekł. – Nie będę zaprzeczał. Ale tak się dzieje tylko, kiedy masz rozrywacz...

Mężczyzna parsknął, przerywając mu, po czym dwadzieścia kroków przemierzeli w milczeniu. John zastanawiał się, czy powinien powtórzyć to, co powiedział wcześniej, czy wymyślić coś nowego, kiedy poczuł, że dłoń Briaca zaciska się na jego ramieniu. Uścisk stalowych obcęgow byłby bardziej komfortowy.

– Zawsze uważałeś, że to wszystko po prostu ci się należy, Johnie Harcie – rzekł mężczyzna.

Jego głos brzmiał miękko, co było przerażające. W naturze Briaca nie było niczego miękkiego.

– Moje szkolenie było...

– Nie tylko szkolenie – przerwał mu mężczyzna, zniżając głos prawie do szeptu i boleśnie wpijając palce w ramię ucznia. – To wszystko. – Wolną ręką wykonał krótki gest, jakby zagarniał całą osiemsethektarową posiadłość wokół nich.

– Nigdy nie pożądałem waszej ziemi, sir. – John usiłował mówić spokojnie, choć czuł gniew podnoszący się falą z głębi trzewi. Każdego dnia olbrzymim wysiłkiem woli zmuszał się do przyjaznego zachowania przy Briacu, on zaś wcale mu tego nie ułatwiał.

– Czyżby? – Mężczyzna uniósł brew. – I rozkochałeś w sobie moją córkę z nieskazitelnie czystych, bezinteresownych powodów, tak?

– Może sama się we mnie zakochała – warknął chłopak.

Miłość Quin była jedyną absolutnie prawdziwą rzeczą w jego życiu i Briac nie miał prawa mu jej odbierać.

Palce mężczyzny wbijały się teraz w jego szyję, ale John nie próbował się wyrwać. Przeciwdziałanie się ojcu dziewczyny mogło jedynie ściągnąć nań cięższą karę i utrudnić osiągnięcie wyznaczonych celów. „Kiedy odzyskam, co zostało mi odebrane, już nigdy nie będę na twojej łasce, Briac. I Quin też nie”.

– Ona nie należy do ciebie, John.

– Nie należy też do ciebie, sir.

Mężczyzna zwolnił uścisk i popchnął Johna przed siebie.

– Tu wszystko należy do mnie – odpowiedział. – Czyżbyś nie zauważył tego

do tej pory?

Szli blisko krawędzi lasu po rzecznej stronie błonia. Słońce skryło się już za wzgórzami, pograżając posiadłość w półmroku. Po lewej stronie chłopaka ciągnął się szeroki pas drzew, oddzielając łąkę od odległej rzeki. Na samej granicy, niemal dotykając błonia, kryły się trzy chaty Sędziów. W ciągu tych wszystkich lat, które John spędził w posiadłości, domy stały puste, aż do chwili, kiedy przed kilkoma miesiącami przybyli Młoda i Duży. Teraz tylko w trzeciej chacie było ponuro jak zawsze. Chłopak zastanawiał się czasem, czy istnieje gdzieś trzeci Sędzia, który wyczekuje stosownej chwili, aby się pojawić.

Osada była wyludniona, bardziej niż kiedykolwiek w ciągu minionych dziesięcioleci. Matka Johna opowiadała mu, że kiedy sama była małą dziewczynką, w posiadłości szkoliło się kilkanaście młodych osób, a w jeszcze dawniejszych czasach całe tuziny uczniów zamieszkiwały skryte głęboko w lesie kamienne chaty, które teraz straszyły pustkami. Obecna populacja posiadłości składała się z zaledwie trojga uczniów, rodziców Quin, ojca Shinobu, kilku robotników do pomocy przy krowach i owcach oraz, od niedawna, dwojga Sędziów.

Sędziowie siedzieli na zewnątrz, przy otwartym od góry palenisku. Młoda Sędzia była ubrana jak do walki, miała morfer i kilka noży ułożonych w szereg za pasem. Włosy upięła wysoko i skryła pod skórzanym hełmem. Przy świetle ognia ostrzyła długi sztylet, przesuwając osełkę po klindze z nieśpieszną, miarową precyzją. Pomarańczowy blask tańczył na jej twarzy, rzucając ciemne cienie wokół oczu. Naprzeciwko niej Duży Sędzia konserwował własny nóż olejem i monotonnie skandował słowa głosem tak zimnym i twardym jak ostrze w jego rękach. Od czasu do czasu milkł, a wtedy Młoda Sędzia uzupełniała jego litanie.

Żadne z nich nie zareagowało na obecność Johna i Briaca, ale kiedy znaleźli się blisko, oczy obojga podniosły się na chwilę. Chłopak wzdrygnął się na to spojrzenie.

Minęli chatę trzeciego Sędziego, ciemną i pustą, a potem oddalili się od lasu, kierując się przez łąkę w stronę obory i stajni. John ze wszystkich sił starał się trzymać emocje na wodzy, ale w głębi duszy czuł mrowienie narastającej paniki. Wiedział, dokąd idą. Mężczyzna znów złapał go za kark, popychając naprzód.

– Briac, ja złożę tę przysięgę. Muszę ją złożyć.

– Tu nikt niczego nie musi, John. Można tylko zawieść albo odnieść sukces. Ty zawiodłeś.

Te dwa słowa uderzyły go jak pięść wbita w żołądek. Dopóki nie usłyszał „zawiodłeś”, podtrzymywał w sobie nadzieję, że mężczyzna zachowa się fair, dotrzyma obietnicy i dokończy jego szkolenie.

– Jestem najmocniejszym uczniem – powiedział cicho. – Wiesz, że to prawda.

– Owszem, jesteś – zgodził się Briac. – Jesteś sprawnym wojownikiem, ale

też wojownikiem, który łatwo się rozprasza i ulega emocjom. To dwie cechy śmiertelnie niebezpieczne dla Poszukiwacza i jego towarzyszy.

Minęli kamienną stajnię, skąd od czasu do czasu dobiegało parskanie koni wypoczywających w swoich boksach. Przez jedną ulotną chwilę John wyobrażał sobie, że mężczyzna prowadzi go właśnie tam, aby zażądać kolejnego pokazu umiejętności jeździeckich. Ale nie zatrzymali się w stajni.

Minęli oborę i jej specyficzny zapach, nieprzyjemny, ale w dziwny sposób przyjazny. Briac szedł dalej. Jego dłoń opierała się mocno na plecach Johna. Ich celem była budowla o zupełnie innym charakterze.

Dotarli do starej stodoły. Połowa jej dachu runęła do środka, ale tylna część budynku wciąż była cała. Wysoko na szczytowej ścianie ocalałej połowy małe okienko promieniowało w mrok słabą poświatą o metalicznie błękitnym zabarwieniu.

John zatrzymał się. Dłoń Briaca wcisnęła mu się mocniej między łopatki, ale tym razem nie uległ.

- Nie chcę – powiedział.
- Idziemy.
- Widziałem to już.
- I zobaczysz jeszcze raz.
- Nie!

John nienawidził się za infantylne brzmienie własnego głosu. Mężczyzna doskonale wiedział, jak sprawić, żeby poczuł się bezradny. „Bez względu na okoliczności musisz panować nad sytuacją” – tak powtarzała mu matka. Musi znaleźć sposób na przejęcie kontroli.

Briac zdjął dłoń z pleców chłopaka i wyprzedził go.

– Możesz odejść, jeśli chcesz, ale wtedy nigdy nie dowiesz się, co mam ci do powiedzenia.

John milczał przez pełną minutę, patrząc, jak sylwetka odchodzącego mężczyzny z wolna roztapia się w zapadających ciemnościach. Przez większość czasu, jaki spędził w posiadłości, próbował zapomnieć, co jest w tej przeklętej stodole. To jednak wciąż tam było. Rzeczywistość nie mogła się zmienić, nawet jeśli unikał prawdy, dlatego więc jego stopy nie chciały przesunąć się naprzód? Całe jego ciało pragnęło tylko odwrócić się i puścić pędem przed siebie.

Przemógł się wreszcie i pobiegł za mężczyzną, który już otwierał wrota budynku.

Zapadnięty dach wpuszczał do środka dość blasku gwiazd, aby mogli bez trudu odnaleźć drogę. Z cienistych kątów atakowały ich wonie starej słomy, chwastów i gryzoni – zapachy, które John pamiętał ze swojej ostatniej wizyty w tym miejscu.

Na drugim końcu stodoły zbudowano nowoczesny, prostopadłościenny

budynek. Wyglądał jak ogromny dziecięcy klocek wciśnięty do wnętrza większej i starszej zabawki. Miał gładkie betonowe ściany, a w jedną z nich wprawiono stalowe drzwi. John i Briac przeszli przez stodołę i mężczyzna wystukał odpowiedni kod na klawiaturze. Stalowe drzwi otworzyły się z kliknięciem.

Briac gestem zaprosił swojego ucznia do środka. Chłopak przekroczył próg i w nozdrza uderzył go specyficzny szpitalny zapach: woń środków odkażających pomieszana z odorem rozkładu. Błękitna poświata, którą widział z zewnątrz, pochodziła od stojaków z urządzeniami medycznymi, ustawionych pod jedynym oknem pomieszczenia, wprawionym wysoko w ścianę naprzeciwko drzwi.

Na łóżku ustawionym na środku sali leżała ludzka postać, niemożliwa do rozpoznania w słabym poblasku ekranów, otoczona aurą kolorowych iskerek tańczących wokół jej głowy i torsu. Wiele lat temu, kiedy John wszedł tu po raz pierwszy, iskry te świeciły chyba jaśniej...

Kiedy Briac włączył górne światło, chłopak w pierwszym odruchu chciał zamknąć oczy, ale nieludzkim wysiłkiem woli zmusił się do patrzenia. Postać na łóżku wydawała się martwa, jednak wężyki kroplówek i otaczająca ją maszyna mówiły co innego. Leżący przed nim szkieletopodobny kształt wciąż był żywy – nawet jeśli tylko w sensie formalnym.

John poczuł ucisk w gardle. Płeć i wiek osoby leżącej na łóżku były niemożliwe do ustalenia. Ciało zdawało się uwiędłe z powodów innych niż czas. Siwe włosy, których większość już dawno wypadła, porastały czaszkę nieregularnymi kępami. Kości wypychały od środka napiętą skórę i choć mięśnie uległy niemal całkowitej atrofii, zdążyły powykręcać stawy, pozostawiając kończyny w nienaturalnych pozycjach. Zapadnięte policzki i wysunięta żuchwa nadawały twarzy trupi wygląd. Poniżej szyi stara i chyba nigdy nieprana szpitalna koszula zostawiała upiornej postaci odrobinę prywatności.

Briac nie odzywał się przez dłuższą chwilę, zmuszając chłopaka do przyglądania się ciału. W jaśniejszym świetle iskry były ledwie widoczne, przez co John nieustannie miał wrażenie, że coś mu się przywiduje. Od tego doznania kręciło mu się w głowie i dopadały go mdłości. Przypomniawszy sobie dzień, gdy jako siedmiolatek patrzył na podobną mgłę jasnych rozbłysków, zanim mocno zacisnął oczy. „Odplączę im za to...”.

– Oto Poszukiwacz, który spotkał się z polem rozrywacza – powiedział Briac, przerywając myśli chłopaka. – Czy podoba ci się to, co widzisz?

– Nie.

– To ciało leży tu od lat.

– Już mi je pokazywałeś. Wiesz o tym. Pokazałeś je każdemu z nas. – John z trudem panował nad głosem. Briac zdawał się czerpać perwersyjną przyjemność z prezentowania uczniom tej udręczonej istoty.

– Tak, trzymam to dla uczniów. Poszukiwacz powinien wiedzieć, z czym

będzie miał do czynienia, zanim złoży przysięgę.

John się skrzywił. Chełpliwy ton mężczyzny napełniał go odrazą.

– Skoro zależy ci na tym, żeby uczniowie wiedzieli, z czym będą mieli do czynienia, czemu nie powiesz im, co robią Poszukiwacze po złożeniu przysięgi?

Briac zignorował zaczepkę.

– Żądasz dostępu do najbardziej drogocennej rzeczy, która jest w posiadaniu ludzkości, choć wciąż nie dowiodłeś, że na nią zasługujesz. Choć konsekwencją byłoby to. – Mężczyzna wskazał postać leżącą na szpitalnym łóżku. – Konsekwencją dla ciebie i dla innych, którzy na tobie polegają. Jak Quin.

– Zasługuję na nią – wyrwało się Johnowi. – Mogę tego dowieść. To ty robisz wszystko, żeby mi to uniemożliwić.

– Potrzeba sporo zachodu, żeby utrzymać to przy życiu – powiedział Briac z udaną zadumą, ponownie kierując uwagę chłopaka na leżącą postać. – Na początku, kiedy mięśnie jeszcze działały, był problem z nieprzyjemnymi konwulsjami i drgawkami, ale ten etap mamy już dawno za sobą. Zostały tylko iskry, chociaż i one stopniowo gasną. Oprócz dostarczania składników odżywczych muszą przepuszczać przez ciało słaby prąd elektryczny, inaczej iskry wysałyby z niego życie w parę dni.

Mężczyzna palcem uniósł powiekę na trupiej twarzy, zajrzał w nieruchome oko – które męka wyprała z koloru, jaki miało za dawnego życia – po czym pozwolił, aby powieka opadła.

– Przestań to karmić – rzekł John. Choć starał się mówić stanowczo, usłyszał prośbę w swoim głosie. – Martwym powinno się pozwolić umrzeć.

– Uważasz, że to nieludzkie? – spytał Briac, udając zdumienie. – Toż to ważna pomoc szkoleniowa.

Chłopak patrzył na ciało – na kępkę włosów i zniszczone ubranie. Tak jak kilka lat wcześniej, kiedy po raz pierwszy ujrzał to straszne stworzenie, korciło go, żeby unieść szpitalną koszulę i poszukać śladów, których obecności był praktycznie pewien.

Jak gdyby czytając mu w myślach, Briac stanął pomiędzy nim a łóżkiem. Wzrok Johna spoczął na starych, skórzanych buciorach mężczyzny, z ciężkimi podeszwami i stalowymi okuciami, tak nie na miejscu w tym schludnym, medycznym otoczeniu. Były to buty człowieka, który nie wahał się robić strasznych rzeczy. Chłopaka załapała kolejna fala mdłości.

Zmusił się, aby podnieść wzrok i spojrzeć w oczy nauczyciela.

– Wielka szkoda, że nie zginąłeś podczas tamtej walki – rzekł Briac jadowniczym głosem. – To rozwiązałoby wiele problemów. I nikt nie mógłby mnie winić.

– Jesteś potworem – odpowiedział cicho John. – Co się stanie, kiedy Quin odkryje, czym jesteś i czego od niej oczekujesz?

– Ja jestem potworem? – spytał mężczyzna beznamiętnym tonem. – A ty? Chodząca niewinność?

– Podjąłeś się zobowiązania. Przy świadkach.

– Byłem ci winien szkolenie. Szkoliłem cię na tyle, na ile pozwalały mi umiejętności i doświadczenie. W zeszłym miesiącu skończyłeś szesnaście lat. Poszukiwacz powinien zostać zaprzysiężony, zanim skończy piętnaście.

– Zacząłem późno. Byłem starszy niż Quin i Shinobu...

– To nie mój problem.

– Byłem dzieckiem. Trzeba było czasu, żeby przekonać dziadka, że będę tu bezpieczny...

– Straciłeś swoją szansę.

John wpatrywał się w Briaca jak zahipnotyzowany. Latami dławił w sobie nienawiść. Teraz napierała na tamę jego woli z siłą, która prawie go paraliżowała. Nie mógł na to pozwolić. „Wiele jest rzeczy, które będą próbowały ściągnąć cię z obranej ścieżki. Nienawiść to jedna z nich...”

Nienawiść. John miał jej w sobie tyle, że zdawała się rozsadzać go od środka. Mimo to odezwał się tak spokojnie, jak tylko potrafił:

– Ta drogocenna rzecz, o której zawsze mówicie, czyja jest naprawdę, Briac? Do kogo należy?

Prawa dłoń mężczyzny wystrzeliła łukiem, aby wymierzyć Johnowi policzek, ale on uchylił się przed ciosem i zbliżył się o krok do nauczyciela.

– Powinieneś mi pomagać – powiedział. – Pewnego dnia Quin i ja będziemy małżeństwem. Mógłbyś zawrzeć ze mną pokój już teraz, odnowić stosunki między naszymi rodami, zasłużyć na to, co niesprawiedliwie odebrałeś. Zanim będę musiał...

– Ty nie masz rodu, John – szczerknął Briac ostro, przerywając mu. – Zadbalem o to. Jesteś sam i Quin nigdy nie będzie twoja. Athamen kończy u tego, do kogo należy, zaś w tym wypadku osobą tą jestem ja. – Obaj wytrzymali walkę na spojrzeń. – Zawiadomiłem twojego dziadka, że przegrałeś, raz i na zawsze. Bardzo się zdenerwował. – Poinformował o tym chłopaka z wyraźną satysfakcją. – Spodziewa się twojego rychłego powrotu do domu.

Wokół Johna wzbierał bezkresny ocean bezradnej rozpacz. Musiał stąd odejść, zanim w nim utonie.

– Idź, spakuj swoje rzeczy – powiedział Briac. – Jutro odwiozę cię na pociąg. A teraz odejdz.

Chłopak posłuchał. Jak pijany wytoczył się z prowizorycznej salki szpitalnej i walącej się stodoły. Za wrotami przystanął, aby zaczerpnąć rześkiego nocnego powietrza, napełniając płuca niczym atleta przed sprintem.

A potem pobiegł.



## Rozdział 5

### Shinobu

Miasteczko Corrickmore było spokojne tego wieczoru, jeśli nie liczyć śpiewów garstki wałęsających się rybaków, zbyt pijanych, aby wrócić do domu, i zbyt hałaśliwych, aby pozwolono im zostać w pubie. Ich głosy niosły się echem wzdłuż frontonów nadbrzeżnych kamienic, które odpowiadały hukami zatrząskiwanych okien i okrzykami mieszkańców przeklinających pijaków i grożących wezwaniem policji.

Shinobu i Alistair szli drugą stroną ulicy, wzdłuż linii brzegu. Brzuchy mieli wypchane plackiem z baraniną i cebulą z pubu Pod Kozą Mnicha w północnej części miasta, a teraz podlewali posiłek piwem z butli dość dużej, aby zaspokoić pragnienie czterech lub pięciu dorosłych mężczyzn, ale Alistairowi ledwie wystarczającej do przepłukania zębów.

– Tylko powoli z tym piciem – powiedział mężczyzna, kiedy Shinobu przechylił butlę. – Przed nami jeszcze cała noc. – Klepnął go w plecy, wskutek czego chłopak wykaszał sporą porcję piwa prosto na własne buty. – Ajajaj, możesz chlapanąć ciut więcej, synu – rzucił, znów przechylając butlę przy ustach Shinobu. – No, śmiało, jeszcze kapeczkę.

Chłopak pokręcił głową i oddał mu butelkę. Nie był zainteresowany piwem. Nie miał też ochoty, aby jego buty stały się jeszcze bardziej lepkie. Przyskoczył do ojca niczym bokser na ringu i zaczął okładać pięściami jego wielki brzuch. Z równym skutkiem mógłby jednak bić kamienny posąg. Alistair wznosił się nad nim jak wieża i istniało większe niebezpieczeństwo, że Shinobu uszkodzi sobie dłonie, niż że wyrządzi jakąkolwiek krzywdę ojcu. Mężczyzna parsknął śmiechem i pociągnął solidny łyk z butli.

– Lepiej gadaj, co dzisiaj robimy, papciu. – Shinobu tańczył w podskokach wokół wielkoluda, bombardując go ciosami, gdzie popadło.

– Nie ma mowy. – Alistair pokręcił głową.

Odwrócili głowy, aby spojrzeć na rybaków, którzy zbliżali się właśnie do zbiegu ulic i darli się coraz głośniejszymi, aż ostatnia strofa pijackiej piosenki rozmyła się w ogólnej kakofonii. Potem jeden z nich potoczył się do domu, pozostawiając resztę brnącą kłótliwie przez pierwszą zwrotkę nowej pieśni.

– Nie wyglądają na nieszczęśliwych, co nie? – powiedział nagle Alistair, przeczesując dłonią rudą czuprynę.

– Kto? Rybacy? – spytał Shinobu. – Czemu mają być nieszczęśliwi? Są pijani w sztok.

– A my nie?

– Ja nie. Mam dziś robotę, pamiętasz?

– Zdaje ci się, że roboty nie da się zrobić po pijaku? Czasem rauszyk dodaje



skrzydeł – odparł mężczyzna.

Shinobu żartobliwie grzmotnął pięścią twardy brzuch ojca.

– No dalej. Atakuj!

Alistair wziął leniwy zamach i chłopak bez trudu uniknął ciosu.

– Hej, twój syn składa dziś przysięgę! Tylko na tyle cię stać?

– Niby pijaczkowie, a jacy szczęśliwi – stwierdził mężczyzna filozoficznie, wyprowadzając kolejne uderzenie.

Shinobu odskoczył od ojca i spojrzał na trzech pozostałych rybaków, z których jeden właśnie wymiotował hałaśliwie do ulicznego kosza na śmieci.

– Widzisz, może i nie znają tajemnic Wszechświata – ciągnął Alistair – nie należą do naszego... ekskluzywnego klubu, a i tak dobrze się bawią.

– Tato, tamten facet wyciera się z rzygów koszulą drugiego. – Chłopak walnął ojca z siłą, która drobniejszego mężczyznę powaliłaby na ziemię.

– Uff... – stęknął Alistair, przyjąwszy cios.

Przyjrzeni się uważniej pijakom. Jeden z nich zaczął właśnie wymiotować na chodnik.

– Ano może faktycznie są ciut obrzydliwi – przyznał mężczyzna.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i oddalając się od brzegu, poprowadził syna w górę cichej uliczki obstawionej szeregami schludnych, ceglanych domków.

– No dobra – rzucił, przypuszczając kolejny atak na myśl, którą próbował ubrać w słowa. – Te męty nie są może najlepszym przykładem. Ale te domy, o tam, są pełne ludzi. Różnych ludzi.

– Tato, byłem tu już kiedyś, wiesz? – Shinobu przewrócił oczami.

– Ano to akurat wiem – powiedział jego ojciec z uśmiechem i postukał się palcem w bok nosa, jakby dzielił się sekretem. – Wiem znacznie więcej, niż mi mówisz.

Spośród okolicznych miasteczek Corrickmore znajdowało się najbliższej posiadłości, oddalone od niej zaledwie o czterdzieści kilometrów. Chłopak faktycznie odwiedził je więcej razy, niż raczył wspomnieć ojcu. W miasteczku były dziewczyny. A na dziewczynach – co Shinobu odkrył bardzo wcześnie – ogromne wrażenie robił wygląd chłopaka. Ponoć był atrakcyjny „jak azjatycki gwiazdor filmowy”, poruszał się „jak tygrys” i mówił niczym „prawdziwy dżentelmen”. Właściwie to wszystko w nim budziło ich zachwyt.

– Tak czy owak – podjął Alistair, pociągnąwszy kolejny długi łyk piwa – ludziska są szczęśliwe. Nawet bez tych wszystkich specjalności, których nauczono ciebie.

Shinobu w końcu przestał podskakiwać dookoła ojca i zastąpił mu drogę. Położył dłonie na jego szerokiej piersi i pchnął z całej siły. Przypominało to próbę zatrzymania lokomotywy i chłopak cofnął się o kilka kroków pod naporem hamującego Alistaira.

– Uważasz, że byłbym szczęśliwszy bez tego, czego się nauczyłem?

Ojciec spojrział na niego, a potem odwrócił wzrok.

– Tego nie twierdzę. Nie o to chodzi. – Minał syna i ruszył w dalszą drogę. Okolice była tu spokojna. Ulicę rozjaśniały nieliczne latarnie oraz okna pulsujące tu i ówdzie telewizyjną poświatą. Jedynym dźwiękiem był szum fal rozbijających się o molo kilka przecznic dalej. Alistair znów skręcił, wybierając kolejną ulicę. – Chodzi o to – ciągnął – że wychowałem cię w posiadłości i nabiłem łeb, no wiesz, moim własnym światem. – Nie był wytrawnym mówcą i Shinobu widział wysiłek, z jakim szukał w głowie właściwych słów. – To naturalne, że chcesz robić to, czego cię nauczono, ale... masz wybór, synu. Czy nigdy ci tego nie mówiłem?

– Nie potrzebuję wyboru, tato. Ja to uwielbiam. Walka, różne sztuczki z umysłem, te wszystkie stare historie i w ogóle... – Dla wzmocnienia efektu chłopak poczęstował ojca serią ciosów w nerki.

Alistair jakby tego nie zauważył.

– Tyle że już dawno przestało być jak w tych starych opowieściach – wymamrotał. Zamilkł na chwilę, po czym odezwał się znowu: – Twoja mama lubiła wycieczki do miasta. Pamiętasz? Lubiała patrzeć na wielki świat.

– Jasne, że pamiętam.

Zaskoczony zmianą tematu Shinobu zaprzestał okładania ojca pięściami i spojrział w górę, aby przyjrzeć się jego twarzy. Alistair z zasady nie rozmawiał z synem o jego matce, Mariko, która przed siedmiu laty zginęła w wypadku samochodowym. Chłopak pamiętał ją coraz słabiej, ale niektóre wspomnienia wciąż tkwiły twardo w jego głowie, takie jak spacer po błoniach na posiadłości, podczas którego objaśniała mu, czym jest honor. Pamiętał jej śliczną, japońską twarz i drobniutką postać – przy jego ojcu wyglądała jak porcelanowa lalka, a mimo to zawsze wydawała się równie silna jak on. Może z wyjątkiem ostatnich miesięcy, kiedy podupadła na zdrowiu, tuż przed wypadkiem.

– Twoja matka nie chciałaby, żebyś spędził całe życie w posiadłości – powiedział Alistair.

– Ale ja *spędziłem* całe swoje życie w posiadłości. Całe życie trenowałem, żeby móc przenieść się Tam, i dziś nareszcie jestem gotowy. Dziś wyruszymy razem.

Mężczyzna zatrzymał się i pochylił tak nisko, że jego oczy znalazły się na poziomie twarzy Shinobu.

– Nie tym, co jest Tam, należy się martwić – powiedział łagodnie – ale tym, dokąd idzie się potem.

– Opowiedz mi.

– Nie mogę. Chciałbym, ale nie mogę. – Alistair miał udęconą minę. Potarł twarz dłońmi, zatrzymując się przed frontem szeregowego domku. Zasłony były zaciągnięte, ale poruszały się na nich cienie ludzi, a ze środka dobiegały kuchenne

odgłosy: gwizdał czajnik, ktoś krzyczał, że ciastka już doszły. – Rozpoznajesz to miejsce, synu?

Shinobu obrzucił dom baczny spojrzeniem i uśmiechnął się.

– Jedna moja znajoma tu mieszka. – Odwrócił się do ojca, unosząc brwi ze zdumieniem. – Skąd wiedziałeś?

– Wie się to i owo – odrzekł Alistair. – To twoja dziewczyna?

Chłopak spojrzał w górę i dostrzegł postać w sypialni na piętrze. To była dziewczyna, o której rozmawiali. Alice. Ze swojego miejsca widział tylko jej głowę poruszającą się nad dolną krawędzią okna.

– A bo ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Chyba mnie lubi. W każdym razie dała się pocałować.

– Coś podobnego. I jak? Fajnie?

– No ba – prychnął Shinobu, śmiejąc się. Jakby ktokolwiek mógł mieć wątpliwości, że całowanie się z dziewczyną jest fajne!

– Spójrz na to miasto, synu, rozejrzyj się. Proszę. Przyjrzyj się tym domom, tym ludziom, ich życiu. Kiedy zostaniesz Poszukiwaczem, kiedy już złożysz przysięgę, nie będziesz patrzył na świat w taki sam sposób.

Chłopak strzelił wzrokiem w bok, lekko rozbawiony – rzadko słyszał ojca wypowiadającego tak wiele zdań nieprzerwanym ciągiem – ale też skonsternowany.

– Nie wiem, o co ci chodzi, tato. Przez całe życie Quin i ja...

– Wiem. I wiem, co czujesz do Quin.

Shinobu odwrócił wzrok, czując, że oblewa się rumieńcem. Potrafił rozmawiać swobodnie o każdej dziewczynie... z wyjątkiem tej jednej.

– Jest moją kuzynką – mruknął.

Kuzyni... Dorastali, używając tego określenia, choć stopień ich pokrewieństwa nie był aż tak bliski. Alistair i Fiona byli kuzynami w drugiej linii, co czyniło Quin i Shinobu kuzynami w linii trzeciej. I dawno temu, wiele pokoleń wcześniej, jeden z ich przodków wziął ponownie ślub, co oznaczało, że byli spowinowaceni tylko w połowie tak blisko, jak wynikałoby ze stopnia pokrewieństwa. Chłopak zbadał tę sprawę tak dokładnie, jak tylko się dało bez zwracania na siebie uwagi. Quin nazywała jednak Alistaira wujkiem, a Shinobu kuzynem, co czyniło go niemożliwym do kochania inaczej niż jako członek rodziny. I choć uważała, że jest piękny – to było jej własne określenie; sam słyszał, jak go użyła! – jego piękno traktowała jak piękno dzieła sztuki, coś, co się podziwia, ale nie dotyka. Dla niego był to najgorszy rodzaj atrakcyjności.

– Faktycznie jest twoją kuzynką – przytaknął łagodnie Alistair. – Ale nie tylko. Szkoliliście się razem od małego. Nie będziesz chciał jej opuścić. Chociaż...

– Zerknął na szczelinę między zasłonami, za którą widać było mieszkańców domu.

– Tam mieszka dziewczyna, której najwyraźniej się podobasz. Chcę, żebyś

wiedział, że gdybyś tylko zechciał, mógłbyś tu zostać. Zostałbyś, a ja bym odszedł. Nie wziąłbym ci tego za złe. Briac mógłby wziąć ci to za złe, ale już ja bym to załatwił. Chcę tylko, żebyś wiedział, że to twój wybór.

Oczy Alistaira patrzyły błagalnie. Shinobu jeszcze nigdy nie widział takiego wyrazu twarzy u ojca. Poczul niepokój, jakby grunt pod jego stopami zaczął się delikatnie kołysać.

– Tato, proszę, wytłumacz mi, dlaczego mówisz mi to wszystko?

– Nie mogę. Złożyłem swoją własną przysięgę – odpowiedział mężczyzna. Wzrokiem świdrował syna, jakby pragnął, aby czytał mu w myślach. – Ale wiedz jedno. Jeśli postanowisz wrócić ze mną do posiadłości, twoje życie się zmieni. Może będziesz kochał jakąś kobietę, tak jak ja kocham twoją matkę. – Shinobu zauważył, że Alistair użył czasu teraźniejszego, i przyszło mu do głowy, że musi być bardzo pijany. – Ale ona nigdy nie pozna całego ciebie.

Mieli spędzić ten wieczór na świętowaniu, ale chłopak czuł, jak jego dyskomfort rośnie pod badawczym spojrzeniem ojca. Coś w nim błagało, aby ogromny mężczyzna przełamał napięcie potężnym beknięciem albo wysikał się na czyjeś schody, ale w minie Alistaira nie było ani śladu uśmiechu.

Shinobu uznał, że niezręczność sytuacji nie minie, dopóki nie potraktuje słów ojca poważnie. Oddalił się od domu, cofając na środek ulicy, skąd mógł lepiej widzieć Alice w jej sypialni na piętrze. Siedziała nad biurkiem, zajęta być może odrabianiem lekcji. Była śliczną, miłą dziewczyną i uwielbiała, kiedy poświęcał jej uwagę. Powiedziała mu kiedyś, że jeszcze nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on i że jeszcze nigdy żaden „fajny chłopak” nie chciał z nią rozmawiać.

Alistair miał rację. Świat był pełen ludzi i może całkiem sporo z nich było szczęśliwych. Z całą pewnością było wśród nich wiele dziewczyn i gdyby zechciał, zapewne potrafiłby znaleźć najzabawniejszą, najładniejszą i najszcześniejszą z nich, a potem przekonać ją, że warto obdarzyć go miłością. Ale co zostałoby jemu samemu? „Pustka” – pomyślał. Liczyła się tylko jedna dziewczyna, ta, z którą się wychował. Być może nigdy nie pokocha go tak, jak tego pragnął, ale i bez tego wiedli już wspólne życie, mieli wspólny cel. Będą jak bohaterowie ze starych opowieści, z ich talentów i czynów zrodzą się nowe legendy. „Strzeżcie się, tyrani” – mawiali pradawni Poszukiwacze. Shinobu i Quin mieli chronić dobrych ludzi przed złem. Za żadne skarby z tego nie zrezygnuje.

Podszedł do Alistaira i położył dłonie na jego ramionach.

– Dziękuję, ojczu. Już dokonałem wyboru. Wracajmy do domu.

Shinobu był pewien, że wzrok płata mu figle, a może to migotanie latarni nieopodało wywołało ten efekt, bo przez krótką chwilę mężczyzna wyglądał, jakby miał wybuchnąć płaczem. Nie rozpląkał się jednak, tylko pokiwał głową ponuro, jakby właśnie zapadła najważniejsza decyzja na świecie.

– Dobrze, mój chłopcze. Zatem wracajmy do domu.



## Rozdział 6

### Quin

Ciepło minionego dnia jeszcze nie odpłynęło, ale w nocne powietrze wkradała się już przejmująca mroźna nuta. Quin szła za ojcem przez las. Odnajdywali drogę dzięki skąpej księżycowej poświacie, rysującej czarne kontury gałęzi ponad nimi i nadającej kształt wąskiej leśnej ścieżce pod ich stopami.

W puszczy pohukiwały sowy, które przebudziły się i właśnie wyruszały na polowanie. W oddali, jak zawsze, cicho szumiała rzeka, która zakręcała przed wzgórzem z ruinami zamku i okrążała je łukiem, mijając nizinne tereny położone za pastwiskami posiadłości i płynęła dalej, do odległej zatoki i morza.

Pod podeszwami butów dziewczyna czuła leśną ściółkę, miękką i przyjazną. Jej twarz i dłonie pieściło nocne powietrze. Ale było coś jeszcze. Swoją świadomością Quin ogarniała całą posiadłość, cały las, całą Szkocję. Była wielka, jak wszystkie te rzeczy naraz. Przez połowę życia wytrwale pracowała, aby doczekać tej nocy. Wszystko, czego się uczyła, każda lekcja i każdy trening, prowadziło do tej właśnie chwili. Już wkrótce złoży przysięgę, jak niezliczone pokolenia jej rodziny przed nią.

Jej ojciec nigdy nie zdradził ani słowem, co uczniowie będą robić po złożeniu przysięgi, ale Quin miała głowę nabitą starymi legendami. Alistair był znakomitym gawędziarzem i wcześniej, gdy była dzieckiem, wraz z Shinobu lubili zasiadać przy palenisku w zimne, ciemne noce i słuchać opowieści o Poszukiwaczach, którzy obalali tyranów i ciemnych; Poszukiwaczach, którzy wyzwalali starożytne krainy z macek straszliwych zbrodniarzy; Poszukiwaczach, którzy naprawiali wszelkiego rodzaju zło wyrządzone w Europie i jeszcze dalej. Dziewczyna dorastała ze świadomością, że stanowi część tej pradawnej tradycji.

Ujrzała przed sobą migocące światło. Pochodziło od niewielkiego ogniska rozpalonego na polanie ukrytej w głębi lasu. Sylwetka idącego przed nią ojca stała się wyraźniejsza. Jego szerokie bary odcinały się czernią od pomarańczowego poblasku płomieni.

Chwilę potem ścieżka wyprowadziła ich na otwartą przestrzeń. Na środku polany sterczał wysoki menhir, zielono-szary od mchu i porostów. Kamień tkwił tutaj na długo, zanim wzniesiono zrujnowany dziś zamek. Pochodził z czasów, kiedy ta ziemia należała do druidów. Ojciec powiedział jej kiedyś, że druidzi byli ich najdalszymi przodkami – od tak dawna żyła tutaj jej rodzina.

Przed menhirem trząskął jasny płomień. Shinobu i Alistair stali przy ognisku, podobnie jak dwoje Sędziów. Quin wiedziała, że nie ma cienia szansy, aby John dołączył do nich tego wieczoru. Nawet jeśli Briac zamierzał kontynuować jego szkolenie – a rzecz jasna, nie mogło być inaczej – chłopak musiał się jeszcze wiele nauczyć, zanim będzie gotowy do złożenia przysięgi. Mimo tej świadomości

zmarkotniała na myśl o nieobecności przyjaciela. Jakaś część jej duszy od lat żywiła nadzieję, że dokona tego wraz z nią i Shinobu. „To nie ma znaczenia – powiedziała sobie w duchu. – John ukończy szkolenie i wkrótce podąży za nami”.

Podchodząc do grupy, Quin spostrzegła, że wszyscy są ubrani tak jak ona: w proste, czarne stroje, skórzane pancerze założone na piersi oraz skórzane hełmy. Pomimo podobnego odzienia Sędziowie stwarzali wrażenie istot przybyłych z zupełnie innego czasu. Z uczernionymi powiekami i kamiennymi twarzami prezentowali się dziko i groźnie w migotliwym blasku płomieni. Jeśli rzeczywiście byli kimś w rodzaju mistrzów ceremonii, wydawali się ulepieni ze starożytnej, surowej gliny.

Dziewczyna stanęła obok Shinobu i oboje zerknęli na siebie. Chłopak miał upchnięte pod hełmem włosy, podobnie jak ona, a jego ciemne oczy kryły się w cieniu, ale i tak widziała, że z najwyższym trudem powstrzymywał się od uśmiechu. Stał wyprężony, jakby jego stopy miały lada chwila oderwać się od ziemi. Quin odczuwała to samo podniecenie i gorączkę oczekiwania. Pozdrowili się lekkim skinieniem głowy i nie wypowiadając ani słowa, wiedzieli, że oboje myślą to samo: „Udało się!”.

Jakie zadanie zostanie im powierzone? Dziewczyna zadawała sobie w myślach pytanie, na czym będzie polegać nowoczesna wersja wielkich czynów, o których opowiadano im w dzieciństwie. Na pewno zaczną skromnie, od drobnych aktów bohaterstwa. Czyż świat nie był pełen niesprawiedliwości? Z pewnością istniało nieskończenie wiele dobrych uczynków, które mogliby spełnić, wykazując się odwagą.

Młoda Sędzia, poruszając się z owym charakterystycznym powolnym dostojeństwem, zagarnęła ożogiem rozżarzone węgle na środek ogniska, po czym obłożyła je świeżym drewnem. Podniosła długi metalowy pręt i ułożyła tak, aby jego koniec znalazł się wśród żagwi. Quin powoli wypuściła powietrze. Ten metalowy przedmiot miał być ostatnim elementem nocnej ceremonii. Ukradkiem sięgnęła w bok i pociągnęła Shinobu za rękaw w geście koleżeńskiej solidarności. Odpowiedział, ściskając jej dłoń, a potem oboje spojrzeli na metalowy pręt tkwiący w ogniu i drżące nad nim fale gorącego powietrza.

– Zatem zaczynamy – powiedział Briac tonem niezbyt donośnym, a mimo to zdecydowanie rozkazującym. Dwoje Sędziów wyprostowało się za ogniskiem, stając twarzą do pozostałej czwórki. Shinobu i Quin zwrócili się w stronę swoich ojców.

Alistair stał obok dużego drewnianego kufra, który przyniósł na polanę. Uniósłszy wieko, zaczął wyciągać broń. Rzucił Quin i Shinobu ich morfery. Do tej pory trzymano je bezpiecznie zamknięte w budynku treningowym. Od tej chwili miały być ich własnością.

Mężczyzna rozdał im jeszcze garść noży i sztyletów, po czym wziął kilka dla

siebie. Następnie uniósł półkę wewnątrz kufra, odsłaniając kolejny poziom wypełniony bronią. Wyjął kilka sztuk i ułożył na ziemi przed sobą. W blasku ognia Quin spostrzegła, że była to nowoczesna broń palna.

Pistolety? Zerknęła niespokojnie na Shinobu, który wyglądał na równie zaskoczonego. Jasne, że potrafili ich używać, ćwiczyli posługiwanie się niemal każdym rodzajem broni, ale przecież nie było to narzędzie godne Poszukiwacza.

Dziewczyna patrzyła, jak Briac wybiera dwie sztuki i wkłada je do kabur tak zmyślnie ukrytych w fałdach ubrania, że zauważyła je dopiero teraz. Alistair zrobił to samo, po czym Briac skinął na uczniów.

– Dobieracie sobie dodatkową broń?

– Czy będziemy jej potrzebować, sir? – spytał Shinobu, odzyskując mowę, zanim zdumiona Quin zdążyła się odezwać.

– Raczej nie – odrzekł mężczyzna. – Wybór należy do was.

Po namyśle dziewczyna powoli wystąpiła naprzód i wybrała sobie mały pistolet z kaburą, którą przypięła na pasku za plecami. Shinobu nie wziął niczego.

Alistair zamknął skrzynię i stanął przodem do uczniów obok Briaca.

– Dziś swoją obecnością zaszczyliło nas dwoje czcigodnych gości – powiedział uroczyście Briac, wskazując gestem Sędziów. Mówił powoli, jakby powtarzał starannie wyuczony tekst. – Przybyli do nas, aby obserwować ostatni etap waszego szkolenia. Dziś dopełnią formalności i wysłuchają waszej przysięgi, jeśli przejdziecie próbę.

Dziewczyna jeszcze raz przyjrzała się Sędziom. Byli uzbrojeni, ale nie w broń palną. Prawa ręka Młodej Sędzi spoczywała w pobliżu jej morfera, lewa obok długiego sztyletu. Z ukrytymi pod hełmem włosami wyglądała znacznie młodziej niż Quin, przez co nieobecny wyraz jej twarzy wydawał się dziwnie niepokojący, jakby była dzieckiem ograbionym z naturalnych emocji. Duży Sędzia patrzył zupełnie inaczej, w skupieniu i wyczekująco. Ponieważ trwał w całkowitym bezruchu, Quin odnosiła wrażenie, że była to jedyna postawa, jaką kiedykolwiek przybrał, jakby wykuto go w takiej formie u zarania dziejów.

– Nasi czcigodni goście są uzbrojeni – ciągnął Briac, wciąż mówiąc o Sędziach – ale nie wezmą udziału w naszych działaniach, chyba że okoliczności zmuszą ich do tego. Okażmy swoją wartość, dbając, aby do tego nie doszło. Zgoda?

– Zgoda, sir – odpowiedzieli jednocześnie Quin i Shinobu, choć dziewczyna nie miała pojęcia, na co się zgadzają.

– Już czas przywdziać płaszcze – rzekł mężczyzna.

Były to rytualne słowa. Po chwilowej konsternacji w związku z pistoletami dziewczyna poczuła, że na powrót ogarnia ją wzruszenie.

Briac i Alistair zarzucili na plecy ciemne okrycia, które upięli na ramionach. Potem podeszli do uczniów i ich również okryli płaszcami. Quin poczuła na



barkach ciężar grubej tkaniny.

„Moje życie nareszcie się zaczyna” – pomyślała.

Wtedy jej ojciec płynnym, wyćwiczonym ruchem wyjął coś spomiędzy fałd swojego wierzchniego ubrania. Oczy wszystkich zwróciły się na przedmiot.

Był to długi puginał z jasnego kamienia.

Dziewczyna uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Sztylet miał około trzydziestu centymetrów długości, ale jego tępej główki z pewnością nie wykonano z myślą o cięciu i sztychach. Cylindryczną rękojeść tworzyło kilka kamiennych pierścieni, ułożonych płasko jeden na drugim, pokręteł, które – zgodnie z jej wiedzą – obracały się niezależnie jeden od drugiego. Puginał, skąpany w pomarańczowym blasku ogniska, zdawał się wysysać kolor ze światła i wzmacniać je, promieniując bladą poświatą.

Kamienny nóż nazywano athamenem, narzędziem Poszukiwaczy. John lubił natrząsać się z napuszonego opisu Briaca, który nazywał athamen „najcenniejszym artefaktem w posiadaniu ludzkości”, ale w tej chwili starożytny przedmiot nie budził żadnych zabawnych skojarzeń.

Do tej pory Quin widziała athamen dwukrotnie, za każdym razem z Shinobu, w nagrodę za szczególnie udaną walkę. W obu wypadkach pokazano im go zaledwie na moment. Dziś ich trening z kamiennym sztyletem nareszcie miał się rozpocząć. W całej historii ludzkości posługiwali się nim tylko zaprzysiężeni Poszukiwacze. Tkwił u źródła ich mocy.

– Oto athamen! – wyrecytował Briac. – Odkrywca tajemnych dróg.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, wyciągnął spod płaszcza i uniósł przed sobą kolejny przedmiot. Nie był to puginał, choć z kształtu trochę go przypominał. Zrobiony z tego samego białawego kamienia, był nieco dłuższy od athamenu, miał prostą, pozbawioną ozdób rękojeść i płaską, tępą, lekko zakrzywioną główkę.

Quin i Shinobu zerknęli na siebie z zaskoczeniem. Nigdy przedtem nie słyszeli o tym osobliwym przedmiocie. Briac utrzymywał jego istnienie w sekrecie – ostatnia tajemnica do odkrycia, zanim przystąpią do przysięgi.

– Oto krzesiwo! – zaintonował mężczyzna. – Towarzysz athamenu, którego dotyk pozwala mu przebudzić się do życia. – Trzymał narzędzie w górze jeszcze przez kilka chwil, pozwalając uczniom nasycić wzrok, a potem spytał: – Czy wasza broń jest gotowa?

Po szybkim sprawdzeniu oręża Shinobu, Quin i Alistair odpowiedzieli jednocześnie gromkim okrzykiem:

– Gotowa!

Sędziowie nie poruszyli się ani nie odpowiedzieli. Przyglądali się tylko w milczeniu.

Briac wsunął krzesiwo z powrotem pod połę płaszcza i skupił się na obracaniu pierścieni tworzących rękojeść athamenu. Pierścienie były graniaste,

szlifowane w płaskie fasetki, a na każdej z nich widniał symbol. Mężczyzna układał wzdłuż rękojeści określoną sekwencję znaków.

– Nie myślcie! Nie wahajcie się! – zakomenderował Alistair. – Wahanie jest wrogiem Poszukiwacza!

„Nie zawaham się! Nie zawaham się!” – zapewniła w myślach Quin.

Zerknęła na kuzyna, wiedząc, że Shinobu powtarza w głowie te same słowa.

– Przygotujcie hymn czasu! – zawołał Alistair.

Briac uniósł athamen i krzesiwo wysoko ponad głową i uderzył jednym narzędziem w drugie.

W chwili gdy główne zetknęły się ze sobą, athamen wystrzelił wibracją, niską i przejmującą, która wypełniła przestrzeń, rezonując wokół polany. Kamienne ostrze budziło się do życia.

Mężczyzna poruszył athamenem, ustalając kierunek wibracji. Strumieniem dźwięku zaczął kreślić przed sobą ogromny krąg. W ślad za przesuwanym się ostrzem materializowała się linia, rysując okrągłe przejście – grzmiącą pomrukami dziurę w tkance Wszechświata, otwartą na czerń po jej drugiej stronie.

„Anomalia...” – pomyślała Quin, zafascynowana zjawiskiem, które wyglądało dokładnie tak, jak opisywał jej ojciec. Otwarte przez niego przejście miało zabrać ich z tutaj do Tam.

Granica kręgu rwała się w drgające wici z czerni i bieli – tak wyglądała poszarpana krawędź świata, rozciętego wibracją athamenu. Nagle granica zestaliła się w ciągłą linię, okalającą portal, która pulsowała energią płynącą do środka, w stronę czerniejącej za przejściem otchłani.

Quin zaczęła recytować, tuż obok siebie słysząc głos Shinobu:

*Tu jestem ja,*

*Tam gniazdo me.*

*Dobrze wiem, gdzie*

*Początek mej drogi,*

*Gdzie znajdę jej kres.*

*Pęd rzeczy wpośród tych miejsc*

*Bezpieczny da mi powrót.*

Jeden po drugim Poszukiwacze i Sędziowie wstępowali w anomalie. Quin była ostatnia. Przekroczyła krawędź przejścia i wniknąwszy w czerń po drugiej stronie, odwróciła się. Krąg anomalii za nią wciąż huczał, ale basowy dźwięk zaczął się załamywać. Jeszcze przez chwilę widziała las i ognisko, a potem powoli czarne i białe wici rozciągnęły się, sięgając ku sobie przez otwór, zadrżały, wrastając w siebie nawzajem, i portal zniknął, pogrążając podróżników w ciemności.

„Jestem poszukiwaczką mrocznych i tajemnych dróg pomiędzy. Strzeżcie się, złoczyńcy...”

Dziewczyna zaczęła czuć osobliwe rozplywanie się umysłu, rozrzedzające jej kontrolę mentalną i wolę. Wypełniło ją poczucie zmieniającego się czasu, wydłużającego się, zwalniającego bieg. Powiew wieczności omył ją niczym chłodne wody jeziora. Wyobraziła sobie, jak zatraca się w tych wodach...

Zmusiła się do podjęcia recytacji:

*Tu jestem ja,*

*Tam gniazdo me.*

*Dobrze wiem, gdzie*

*Początek mej drogi,*

*Gdzie znajdę jej kres.*

*Pęd rzeczy wpośród tych miejsc*

*Bezpieczny da mi powrót.*

Słowa przywróciły jej panowanie nad sobą. Była Quin. Była *teraz*.

Byli Tam. Huczenie ucichło i martwą ciszę zakłócały tylko oddechy towarzyszy. Niewiele było widać. W ciemności jarzył się słabo podłużny obrys athamenu, na którym, wyęzając wzrok, ledwie mogła rozróżnić kształt poruszających się dłoni ojca. Briac obracał pokrętła rękojeści, ustawiając nową sekwencję symboli. Po chwili usłyszała dźwięk athamenu uderzającego o krzesiwo i raz jeszcze sztylet zatopił ich w oceanie wibracji.

Poprzez mrok obserwowała, jak athamen wykonuje okrągłe cięcie, otwierając im drogę powrotu z miejsca, w którym się znajdowali, z bezprzestrzeni, z beczasu, z pomiędzy, z Tam – do ich własnego świata.

Przed nimi rozpostarła się nowa anomalia, kolejny krąg okolony pulsującymi wiciami czerni i bieli, ale tym razem energia zdawała się wypływać na zewnątrz,

z ciemności do świata. Przez otwór widać było rozległą połąć trawnika, ciągnącą się przez ogrody aż po podjazd okazałej rezydencji w oddali. Budynek miał ciemne okna. Był środek nocy.

Wyszli przez anomalie na miękką trawę. Quin obejrzała się na portal, który tracił stabilność i zapadał się w siebie, a jego krawędzie zrastały się na powrót w nieharmonijnym pomruku. Spojrzała na stojącego obok Shinobu, który także przyglądał się znikającemu przejściu, a potem na dom. Nie była pewna, jak sobie wyobrażała drugą stronę, ale na pewno nie tak. „Czego się spodziewałam?” – zadała sobie w duchu pytanie. Gdyby miała być szczerą, odpowiedziałyby, że jako pierwsze zadanie chciałyby na przykład ścigać groźnego przestępcę albo uratować kobietę przed pobicie i zgwałceniem, albo ocalić dziecko z wichrów brutalnej wojny domowej w jakimś kraju Trzeciego Świata. Byłyby to na początek uczynki może nie największego kalibru, ale prawe. Na pewno spodziewała się jednak chaosu i zamieszania, a nie tego sennego spokoju. Myślała też, że pojawią się w miejscu nękanym biedą, a nie na terenie pięknej posiadłości.

Spojrzała jeszcze raz w stronę uspiętego domu w oddali. Być może, kiedy już dotrą do tego wielkiego, cichego budynku, skąpanego w księżycowym blasku, przyjdzie im przeciwstawić się jakiejś straszliwej niegodziwości. Może dom krył w sobie jakąś koszmarną tajemnicę.

Jej wzrok napotkał oczy Shinobu. On także wydawał się zbity z tropu.

Mieli wątpliwości.

– Myślimy – wyszeptła. – Jak nic przez to oblejemy.

– Niczego nie oblejemy – sprzeciwił się chłopak. – Są różni źli ludzie, co nie? Strzeżcie się, złoczyńcy.

– Strzeżcie się, złoczyńcy – powtórzyła i skinęła głową, próbując przekonać samą siebie.

„Nasza sprawa jest słuszna – powiedziała sobie w duchu. – Nie będzie we mnie lęku”.

Briac i Alistair biegli już po cichu w stronę rezydencji, a Sędziowie trzymali się tuż za nimi. Quin i Shinobu podążyli za swoimi ojcami pochylonym truchtem, który tak często stosowali podczas treningów.

„Nie zawaham się!” – obiecała sobie dziewczyna. Nawet nie spostrzegła, kiedy morfer znalazł się w jej dłoni, gotowy do walki.

## Rozdział 7

### Quin

Quin klęczała obok ogniska wsparta na obu dłoniach i wymiotowała na ziemię. Tuż obok na czworakach dygotał Shinobu, z trudem łapiąc oddech.

Byli z powrotem na polanie, ale nie potrafili ocenić, ile czasu minęło, odkąd wyruszyli z posiadłości. Czy upłynęła godzina? Dzień? A może rok? Każda z tych wersji wydawała się możliwa.

Chłopak padł na ziemię obok Quin. Twarz miał oblepioną brudem i zwiędłymi liśćmi.

Głównie w ognisku wciąż jarzyły się czerwienią, co oznaczało, że ich nieobecność nie trwała nawet godziny. Młoda Sędzia kładła w żar świeże polana, aby przywrócić płomieniom wigor.

Quin nie mogła złapać tchu. Przesunęła wzrokiem wzdłuż swojej ręki, od łokcia po palce pokryte krwią, która zakrzepła już w lepką maź, ale nie dostrzegła żadnej rany. Przypomniała sobie, że została zraniona wcześniej, podczas walki treningowej. Ale wtedy rozcięła drugą rękę. To nie była jej krew.

Shinobu, z twarzą wciąż całą w ziemi, łapał haustami powietrze, jakby tonął, choć na pierwszy rzut oka on także nie wydawał się ranny.

Wzrok Quin padł na długi, jasny kosmyk przyklejony krzepnącą krwią do jej ramienia. Znów zwymiotowała gwałtownie, po czym zgarnęła garść suchych liści i zaczęła gorączkowo pocierać nimi skórę, próbując oczyścić się z włosów, które budziły w niej przerażenie. Pistolet, który miała przy sobie, znikł bez śladu.

Briac pchnął ją stopą, przewracając na ziemię.

– Dość tego – syknął z irytacją. – Natychmiast przestańcie!

Leżący obok dziewczyny Shinobu wciąż próbował opanować swój paniczny oddech. Ściągnął z głowy hełm, odsłaniając rude włosy przyklepione do spoconego czoła. Jego twarz wyglądała blado nawet w ciepłym blasku ognia.

Alistair stał nieopodal, ale nie spoglądał na swoich uczniów. Wpatrywał się ponuro w rozżarzone węgle.

Briac zwrócił się do Sędziów, którzy znów stali po drugiej stronie ogniska w swoich formalnych pozach. Wyglądali równie beznamiętnie i posągowo jak przed opuszczeniem posiadłości. W rzeczy samej, gdyby Quin nie widziała ich, przemierzających ogrody rezydencji swoim rozważnym, pełnym wdzięku krokiem, gdyby nie pamiętała ich, stojących w milczeniu w holu wielkiego domu rozbrzmiewającego przeraźliwymi wrzaskami, mogłaby uwierzyć, że ani na chwilę nie oddalili się z polany. Młoda Sędzia wciąż miała nieobecny wyraz twarzy, sugerujący, że większa część jej umysłu przebywa gdzie indziej, daleko od tych mrocznych lasów.

– Czy warunki zostały spełnione? – Briac skierował to pytanie do Sędziów.

Duży Sędzia wystąpił naprzód.

– Warunki zostały spełnione. Ich biegłość w posługiwaniu się ciałem i umysłem jest wystarczająca, aby mogli władać athamenem. – Mężczyzna mówił dziwnym głosem, akcentując każdą sylabę, jak gdyby angielski nie był jego ojczystym językiem, jak gdyby sama czynność mowy była mu obca.

Briac skinął głową na znak, że akceptuje werdykt.

– Podajcie stempel.

Młoda Sędzia założyła grube, skórzane rękawice i ujęła metalowy pręt, który wcześniej umieściła w ognisku. Końcówka narzędzia – część, która przez cały czas ich wyprawy spoczywała wśród płonących żagwi – miała kształt małego athamenu.

Mężczyzna złapał klęczącego chłopaka za kark i szarpnął nim w górę, zmuszając do wyprostowania grzbietu.

– Shinobu MacBain, wzywam cię, żebyś wypowiedział słowa przysięgi i został Poszukiwaczem.

Chłopak spojrzał Briacowi w oczy. W jego wzroku było coś, czego Quin jeszcze nigdy nie widziała na tej doskonałej twarzy: nienawiść.

Mężczyzna podszedł do córki i dźwignął ją w górę, aby klęknęła obok Shinobu.

– Quin Kincaid, wzywam cię, żebyś wypowiedziała słowa przysięgi i została Poszukiwaczką.

Dziewczyna wpatrywała się w ojca, w jego ciemne oczy i włosy, jasną skórę, tak bardzo przypominającą jej własną. Mężczyzna, na którego patrzyła, nie był jednak taki jak ona. Czuła do niego taką samą nienawiść, jaką widziała na twarzy Shinobu. Przez cały czas karmił ją kłamstwami. Życie, które sobie wyobraziła, było tylko iluzją.

– Mówcie przysięgę – rozkazał Briac.

Żadne z nich się nie odezwało. Quin poczuła w nozdrzach zapach krwi z ręki i jeszcze raz napad mdłości zgiął ją wpół, wyciskając z żołądka ostatnie resztki kolacji.

Mężczyzna wymierzył jej policzek.

– Mówcie przysięgę!

Odpowiedzieli milczeniem.

Briac skinął głową w stronę Sędziów. Duży Sędzia obszedł ognisko i stanąwszy za Shinobu, przyłożył mu nóż do gardła. Jednocześnie Młoda Sędzia wślizgnęła się za Quin, która poczuła chłód stali na szyi. Kątem oka widziała Alistaira. Wielki Szkot wycofał się na sam brzeg polany i patrzył w inną stronę.

– Mówcie przysięgę! – jeszcze raz rozkazał Briac.

Młoda Sędzia przycisnęła nóż mocniej. Dziewczyna czuła na gardle nieustępliwą krawędź ostrza wrzynającą się w skórę, kiedy przetykała ślinę.

„Byłam ślepa – pomyślała, a jej oczy wezbrały gorącymi łzami. – Ale

zrobiłam to wszystko własnymi rękami”.

Grymas na twarzy ojca wskazywał, że mężczyzna byłby gotów ją zabić, jeżeli będzie to konieczne. Skoro już była Tam, musiała złożyć przysięgę lub umrzeć.

Mogła odmówić, mogła pozwolić temu potworowi w skórze czternastolatki, żeby ją zamordował. Czy była gotowa zakończyć wszystko już teraz i nigdy więcej nie zobaczyć mamy? Nigdy więcej nie zobaczyć Johna?

Ostrze przecięło jej skórę. Po szyi pociekła krew.

– Przysięga!

Wpojono w nią odruch posłuszeństwa wobec Briaca, więc z jej ust popłynęły w końcu odpowiednie słowa.

Kiedy zaczęła mówić, głos Shinobu przyłączył się do jej własnego i wyrecytowali tekst razem, tak jak zawsze to sobie wyobrażali:

*Wszystko, czym jestem,*

*Poświęcam świętym tajemnicom mojego rzemiosła,*

*O których milczeć ślubuję*

*Przed niewtajemniczonymi.*

*Ani strach, ani miłość, ani nawet śmierć*

*Nie złamie mojej wierności tajemnym drogom pomiędzy,*

*Kiedy złowrogim zstąpi na mnie cieniem.*

*Będę szukać właściwej ścieżki aż po czasu kres.*

Briac wyciągnął przed siebie kamienny athamen. Quin dostrzegła mały symbol wryty na rękojeści – subtelny szczegół kontrastujący z barbarzyństwem chwili. Godłem jej rodziny był baran, godłem rodziny Shinobu – orzeł, dlatego więc athamen ojca zdobił lis? W następnej chwili mężczyzna docisnął ich głowy do tępej główki kamiennego sztyletu, zmuszając ich do złożenia pocałunku na zimnej powierzchni.

Dziewczyna zawsze wiedziała, że jej ojciec jest surowy, ale godziła się z tym faktem, przekonana, że działa ze szlachetnych pobudek. Teraz zrozumiała, że w jego postępkach próżno byłoby doszukiwać się szlachetności – być może nigdy jej tam nie było. Briac zaś był nie tylko surowy. Był okrutny.

Sędziowie złapali ich w żelazny uścisk, uniemożliwiając poruszenie się.

Quin czuła, jak drobne, silne ręce Młodej Sędzi przemocą wysuwają naprzód jej lewe przedramię i przytrzymują na miejscu. W następnej chwili Briac przycisnął rozżarzony stempel do jej nadgarstka, wypalając w jej skórze symbol atheny i wydzierając jej z gardła przeciągły krzyk, podczas gdy metal zagłębiał się w dymiące ciało. Odtąd była Poszukiwaczką, naznaczoną na całe życie.

Zawsze sądziła, że ten znak będzie symbolem jej dumy, ale teraz stał się dla niej piętnem hańby. Była przeklęta.



## Rozdział 8

### John

John wyłonił się spośród drzew, przechodząc z leśnego półmroku w czerwone światło późnego popołudnia. Szedł prosto w stronę małej kamiennej szopy, widocznej w oddali na krawędzi urwiska. Rzeka napełniała powietrze jednostajnym rykiem. Zbliżając się do budynku, chłopak widział daleko w dole nurt, który okrężał podstawę urwiska w drodze na płaskie tereny na wschodzie i południu posiadłości.

Szopa mogła być kiedyś zamkowym posterunkiem albo mieszkaniem wartownika. Podczas gdy zamek już dawno popadł w ruinę, stary domek wciąż stał, przykryty łupkowym dachem, równie solidnym jak podtrzymujące go kamienne ściany.

Po rozmowie z Briakiem poprzedniego wieczoru John był zbyt rozbity, aby znieść czyjekolwiek towarzystwo, więc spędził noc samotnie. Następnego ranka został w chacie i zajął się pakowaniem swojego skromnego dobytku. Wieczorem mężczyzna miał zawieźć go na stację kolejową. Chłopak opuścił posiadłość do czasu, aż znajdzie sposób na powrót.

Po tym, co – jak podejrzewał – wydarzyło się poprzedniej nocy, tuż przed złożeniem przysięgi przez Quin i Shinobu, miał nadzieję, że dziewczyna złoży mu wizytę. Przez cały dzień wyobrażał sobie, jak wpada do jego chaty, rozjuszona, oburzona na nieuczciwość Briaca i wściekła, że mężczyzna wyrzucił Johna z posiadłości. Nie pojawiła się jednak. Co to mogło znaczyć? Czyżby poszła w ślady ojca? Czy ją stracił? Ta ostatnia myśl napełniła go udręką tak wielką, że nagle wyrzwał pięścią w ścianę, w nadziei, że bólem zagłuszy uczucia.

Wreszcie, nie mogąc już dłużej znieść nieobecności Quin, poszedł jej szukać. Nie znalazłszy jej w żadnym z domów i budynków gospodarczych wokół błonia, w końcu postanowił zajrzeć do kamiennej szopy na skarpie.

– Quin?! – zawołał, podchodząc do pozbawionego drzwi wejścia.

Odpowiedzi nie było.

Wszedł do szopy. Na parterze znajdowało się kilka zbutwiałych drewnianych przepierzeń oddzielających boksy dla zwierząt. Wnętrze było jaśniejsze, niż się spodziewał. W obu szczytowych ścianach budynku, tuż pod kalenicą, widniały duże okrągłe otwory – okna bez szyb. Przez otwór po zachodniej stronie zaglądało do środka słońce, rzucając żółty blask na krokwie i sypialną antresolę.

John odnalazł Quin na antresoli, małej drewnianej platformie osadzonej wysoko na legarach przy ścianie. Na deskach leżała świeża bela siana, którą dziewczyna musiała zataszczyć tam sama. Bela była rozcięta, a wyrzucona na platformę część ściółki tworzyła prowizoryczne posłanie. Na brzegu antresoli stała lampa naftowa, teraz zgaszona, ale w komplecie z leżącym obok pudełkiem

zapalek. Quin najwyraźniej zamierzała spędzić tu samotną noc.

Dziewczyna siedziała na antresoli, kołysząc się z kolanami podciągniętymi pod brodę, wpatrzona w stary i mocno poobijany turystyczny telewizorek. John wspiał się do niej na górę, ale nawet nie odwróciła głowy.

Widok Quin oglądającej samotnie telewizję w odosobnionej szopie był tak niecodzienny, że chłopak na chwilę zapomniał języka w gębie. A kiedy wreszcie otworzył usta, coś przykuło jego uwagę, zanim zdążył się odezwać. Sponiewierany telewizorek pokazywał wiadomości i reporter na ekranie mówił o zmianie układu sił w dużej francuskiej spółce, jednej z owych potężnych organizacji, które kontrolują po małym kawałku wszystkiego w niemalże każdym zakątku świata, tak jak przemysłowe imperium rządzone przez dziadka Johna. Prezes owej francuskiej spółki – jak twierdził reporter – znikł bez śladu razem z całą rodziną. Niektóre źródła spekulowały, że zniknięcie ma związek z nagłymi problemami zdrowotnymi. Inni obawiali się zbrodni, ponieważ w rezydencji zaginionego znaleziono ślady krwi. Tak czy owak miejsce pobytu prezesa, jego żony oraz dzieci było nieznane, zaś ta niewyjaśniona nieobecność niebezpiecznie potęgowała groźbę przejęcia władzy w firmie.

Ten francuski biznesmen... Czy John nie powinien kojarzyć tego nazwiska? Nigdy nie wykazywał zainteresowania biznesowymi rozmowami dziadka. Stanowiły dźwiękowe tło jego dzieciństwa. Były hałasem, który zawsze starał się ignorować, tym bardziej że jego matka uważała tego typu pracę za poniżej jego godności. Mimo to dziadek przez całe lata omawiał swoje sprawy biznesowe przy nim. A to nazwisko stanowczo brzmiało znajomo...

– Quin?

Nie patrząc na niego, dziewczyna wysunęła rękę przed siebie i wyłączyła telewizor.

Usiadł obok niej na deskach. Odgarnął jej włosy do tyłu i delikatnie pocałował w miejsce tuż pod uchem, gdzie zaczynała się szczeka. Zauważył niewielki opatrunek na jej szyi. Quin nie zareagowała na jego dotyk. Odwróciła tylko głowę i patrzyła w bezruchu za okno.

– Złożyłaś przysięgę?

Przez głowę przemknęła mu myśl, że jej dziwne zachowanie może oznaczać, że oblała ostateczny egzamin, ale wtedy, bez słowa, dziewczyna podsunęła mu pod nos zabandażowany nadgarstek.

– Mogę zobaczyć? – spytał cicho.

Jej spojrzenie prześlizgnęło się po nim i znowu uciekło w dal. John zwrócił uwagę na wyjątkową bladość jej skóry, wypranej z rumieńca, który zwykle gościł na jej policzkach. Jej śliczne, ciemne oczy były niczym węgielki rzucone w śnieg. Quin wzruszyła ramionami.

Chłopak ostrożnie odwinął bandaż i spojrzał na zakrwawiony, pokryty

straszliwymi pęcherzami kształt sztyletu wypalony na jej skórze.

– Zrobiłaś to – szepnęła.

– Zrobiłam – przytaknęła martwym głosem. – Zrobiłam wszystko, co kazał mi zrobić.

John spodziewał się, że będzie wstrząśnięta, ale dziewczyna była bardziej niż wstrząśnięta – była w ciężkim szoku. Zadanie, które przydzielił jej Briac, musiało być wyjątkowo paskudne. Chłopak zastanawiał się, jak sam zachowałby się w jej sytuacji. Czy byłby w stanie udźwignąć taki ciężar? „Zrób, co musi zostać zrobione” – nalegała jego matka. „Zrobiłbym to – zapewnił sam siebie teraz. – Nawet jeśli byłoby to trudne”.

– Nie było tak, jak się spodziewałaś – powiedział łagodnie.

Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Quin cofnęła rękę i wcisnęła sobie dłoń pod pachę.

– Nie – potwierdziła. Odwróciła głowę i zaczęła przyglądać się badawczo twarzy Johna, jakby usiłowała przypomnieć sobie, kim jest. Jej dłoń uniosła się powoli i dotknęła jego policzka. – Co będzie z tobą? – spytała po chwili milczenia. – Co powiedział Briac, kiedy spotkaliście się wczoraj?

– Wyrzucił mnie.

– To bez sensu. Musi dokończyć twoje szkolenie. – Wypowiedziała te słowa automatycznie, nie zastanawiając się nad ich rzeczywistym znaczeniem. Były niczym wersy sztuki, w której grała wiele lat temu.

– Bez sensu? No tak, bo przecież twój ojciec jest szlachetnym i honorowym człowiekiem, prawda?

Spojrzeli sobie w oczy, nareszcie dzieląc się między sobą prawdą o Briacu. Quin starała się powstrzymać wzbierające w niej łzy, ale przegrała tę walkę. Osunęła się w ramiona Johna, a on przycisnął ją mocno do siebie.

– Przez całe twoje życie wmawiał ci jedno, przygotowując cię do czegoś zupełnie innego – rzekł cicho, całując jej włosy. – Teraz już wiesz.

Dziewczyna dygotała w jego uścisku. Łzy płynęły coraz szybciej.

– Chcesz powiedzieć, że wiesz, co zrobiliśmy? – wyszeptwała, szlochając. – Skąd możesz to wiedzieć?

– Nie wiem, co dokładnie zdarzyło się tamtej nocy – odparł – ale wiem, czym zajmują się Poszukiwacze. Czym zajmuje się Briac. I widzę szok na twojej twarzy.

Delikatnie odsunął ją od siebie na tyle, aby móc spojrzeć jej w oczy. Tym razem uciekła przed jego spojrzeniem.

– Skąd wiesz, co naprawdę robią Poszukiwacze? – spytała twardo.

– Od... mojej matki – odpowiedział z ociąganiem.

– Twojej matki – powtórzyła szeptem. – Nigdy mi o niej nie opowiadałeś. Od Catherine?

– Tak.

Czuł się dziwnie, gdy rozmawiał z Quin o swojej matce, mając świadomość, że Catherine nie pochwalałaby jego związku z dziewczyną. „Kochając, wystawiasz się na sztylet”. Dźwięk imienia matki na ustach Quin wywoływał w nim dyskomfort, jak gdyby odślaniała coś bardzo osobistego.

Jakby wyczuwając jego myśli, rzekła:

– Moja mama wspomniała jej imię raz czy dwa, ale ona też nie chciała o niej rozmawiać. Twoja mama... Czy powiedziała ci konkretnie, co robią Poszukiwacze?

John poczuł ucisk w gardle. Jego matka nie tylko opowiedziała mu o tym, co robią Poszukiwacze. Uczyniła znacznie więcej. Nieumyślnie pokazała mu to.

– Opowiadała mi... różne rzeczy – odparł, starając się panować nad głosem.  
– No więc? Powiesz mi, co zrobiliście?

– Nie – rzekła Quin stanowczo, po czym ciszej dodała: – Nie chcę o tym rozmawiać. Nigdy. – Szybko otarła policzek wnętrzem dłoni. – Czy zawsze tak było? Przez wszystkie te wieki i tysiąclecia?

– Nie wiem. Ale tak to robi Briac. Powinien był cię ostrzec.

– Dlaczego? – To słowo z trudem wydostało się z jej ściśniętego gardła.

– Dlaczego powinien był cię ostrzec?

– Nie, dlaczego ty tu jesteś, John, skoro od dawna wiedziałeś? Dlaczego zostałeś?

– Ja... ja nie chcę robić tych rzeczy... które kazał robić wam – wyjąkał niepewnie. – Ale to moje dziedzictwo, Quin. Tak jak i twoje. Ja muszę złożyć tę przysięgę. Muszę zostać Poszukiwaczem i przejąć athamen. Sprawiedliwości musi stać się...

– Przejąć athamen? – przerwała mu z wyrazem twarzy bliskim politowania.

– Naprawdę sądzisz, że mój ojciec byłby skłonny oddać ci swój? Na serio myślisz, że on kiedykolwiek w ogóle spuszcza go z oczu?

– Są dwa, Quin. Dwa athameny. Tutaj, w posiadłości. I jednego z nich nie powinno tu być. Czy to kolejna rzecz, którą ukrywał przed tobą? Jeden należy do rodziny Alistaira, ale drugi...

– Nieważne, nieważne – ucięła, nawet nie słuchając. – Nie obchodzi mnie to, bo i tak wyjeżdżam. Wyjeżdżam z samego rana.

Mówiła cicho, ale stanowczo, bardziej do siebie niż do Johna, jakby rozmowa o athamenach nagle wyparła z jej umysłu wszystko oprócz pragnienia ucieczki.

– Pragnę, żebyśmy byli razem, Quin – powiedział chłopak. – Chciałbym, żebyś pojechała ze mną, tylko że... jeszcze nie teraz. – Wsunął dłoń pod jej podbródek i zmusił, aby spojrzała mu w oczy. – Quin, musisz zostać i nauczyć się od niego całej reszty. Wszystkiego o athamenie. Musimy to pojąć.

Z jej gardła dobył się dziwny, stłumiony śmiech.

– Już nigdy go nie użyję.

– Użyjesz – powiedział John miękko. – To nasze przeznaczenie.

– Nie! – zaprotestowała, gwałtownie odwracając wzrok. – Nie zrobię tego nigdy więcej.

Chłopak się zawahał. Miał zamiar poprosić ją o zrobienie czegoś, co nawet dla niego byłoby niewiarygodnie trudne. Ale gra toczyła się o znacznie większą stawkę.

– Quin, proszę, posłuchaj. Czy możesz po prostu... unikać najgorszego, a mimo wszystko nauczyć się posługiwać athamenem?

– Unikać najgorszego? – powtórzyła, podnosząc głos. – Z Briakiem nie da się uniknąć najgorszego!

– Ale jeśli zostaniesz, jeśli dowiesz się trochę więcej, to ja... Ja mam plan!

Dziewczyna miała kłopoty ze skupieniem się na jego słowach.

– O czym ty mówisz? – spytała.

– Wiesz, że teraz muszą ci wszystko powiedzieć, bo złożyłaś przysięgę?

– Co powiedzieć?

– Wszystko, co sami wiedzą! Wszystko, czego ich nauczono! Skoro złożyłaś przysięgę, wystarczy, że zapytasz.

– Czy to prawda? – W głosie Quin zabrzmiało zainteresowanie.

– Mama wszystko mi wyjaśniła.

Tak było w istocie. Była to jedna z ostatnich rzeczy, jakie od niej usłyszał. Krwawiła wtedy obficie, leżąc na podłodze, on zaś za wszelką cenę usiłował opatrzyć jej rany. Mimo to zachowywała się, jakby jej stan nie miał żadnego znaczenia. „Musi powiedzieć ci wszystko, co zechcesz wiedzieć – powiedziała. – Ale najpierw musisz złożyć przysięgę”.

– Jeszcze wczoraj byłabym tym zafascynowana – wymamrotała Quin, opuszczając wzrok na posłanie z siana. – Ale dzisiaj... Nic więcej nie chcę już wiedzieć, John. I ty też nie chcesz. Powinieneś mi zaufać. Wiem, co mówię.

Chłopak znów poczuł przyływ rozpacz.

– Jest jeszcze tyle rzeczy, które powinniśmy wiedzieć! – powiedział do niej z zapalem.

Mimo ogromnego wysiłku woli mówił coraz głośniej. Wyjął morfer z za pasa Quin i zaprezentował go jej na wyciągniętych dłoniach.

– Twój morfer. Alistair mówi, że każdy istniejący morfer został stworzony tysiąc lat temu. Ale jak? Nowoczesna firma zbrojeniowa nie poradziłaby sobie z takim zadaniem. Wiem, co mówię. Mój dziadek jest właścicielem takiej firmy.

Dziewczyna wzięła od niego morfer i przypięła go z powrotem na miejsce.

– Tak, jesteśmy w posiadaniu wiedzy, jakiej nie mają inni – rzekła obojętnie.

– Ale skąd mamy tę wiedzę? I ile osób ją ma?

– Jak to ile? – zdziwiła się Quin. – Przecież poza nami nie ma już innych Poszukiwaczy.

Briac i Alistair powtarzali im to wielokrotnie. Byli ostatnimi Poszukiwaczami na świecie, a większa część ich wiedzy i historii została bezpowrotnie utracona. John był jednak przekonany, że to fałsz, zasłona dymna utrzymywana przez mężczyznę po to, aby uczniowie nie zadawali kłopotliwych pytań.

– No to dlaczego tak się martwią rozrywaczami? – Chłopak rozłożył ręce.

Oczy Quin wciąż były puste.

– Ponieważ rozrywacz to najbardziej niebezpieczna broń będąca w posiadaniu Poszukiwaczy, stworzona, aby siać grozę – powtórzyła formułkę Briaca.

– Dopiero co powiedziałaś, że nie ma już żadnych innych Poszukiwaczy – ostrożnie zauważył John. – Dlaczego mielibyśmy obawiać się walki z kimś uzbrojonym w rozrywacz, skoro jesteśmy jedynymi Poszukiwaczami, jacy pozostali na świecie?

– Ktoś inny mógłby zdobyć broń – rzekła Quin powoli, jakby pomyślała o tym pierwszy raz w życiu.

– To możliwe – zgodził się chłopak. – Ale nie jest to najbardziej logiczne wyjaśnienie, prawda?

Wzrok dziewczyny stopniowo powrócił z oddali, aby skupić się na Johnie.

– Sądysz, że jest nas więcej? Że są inni Poszukiwacze?

– Na pewno jest nas więcej, Quin! A ja nie jestem pierwszą osobą, która zadaje te pytania. Istnieje... – Zatrzymał się w pół zdania. Chciał jej wszystko powiedzieć, ale nie potrafił wspomnieć o księdze. To była sprawa między nim a jego matką. Zamknął dłonie dziewczyny w swoich własnych. – A co z przeszłością? Pytasz, czy zawsze było tak jak teraz. Dlaczego Briac nie nauczył nas naszej historii?

– Bo jej nie zna. Tak wiele z naszej wiedzy przepadło.

– Doprawdy? Teraz możesz zapytać. Słuchaj, musisz tu zostać, dowiedzieć się jak najwięcej. Za kilka miesięcy już nie będziesz go potrzebować. Wtedy wyjedziesz z posiadłości i nauczysz wszystkiego mnie. Jesteś teraz zaprzysiężoną Poszukiwaczką. Masz takie samo prawo przyjąć moją przysięgę jak każdy inny. Będziemy razem. Już za kilka miesięcy będziemy razem.

Dziewczyna słuchała, rozważając w duchu słowa Johna. Palce ich dłoni splotły się.

– A co będzie potem? – spytała. – Kiedy już cię nauczę. Kiedy złożysz przysięgę.

– Weźmiemy jeden athamen dla siebie. A potem moglibyśmy... A potem zdecydujemy, co będziemy robić. Razem.

– Na przykład co?

– No... musielibyśmy ustalić właściwy kierunek działań – rzekł chłopak, starając się dobierać właściwe słowa, słowa, które mogłyby przekonać Quin. W końcu, pewnego dnia, opowie jej wszystko, a wtedy ona zrozumie i mu pomoże.

– Słuchaj, mam...

– Masz wszystko, John. Kim jest twój dziadek? Jednym z najbogatszych ludzi w Anglii? Po co ci athamen? Chcesz, żebym została tutaj, żebym robiła rzeczy, które każe mi robić Briac. Dlaczego?

– Wcale nie mam wszystkiego, Quin – odparł chłopak głosem, w który zaczęła wkradać się frustracja. – Moja rodzina, rodzina mojej matki, nie mieliśmy wszystkiego od bardzo, bardzo dawna. A mój dziadek... Sytuacja jest bardzo... skomplikowana.

Nie było to idealne słowo oddające istotę jego relacji z dziadkiem, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Powiesz mi, co się stało z twoją mamą, John?

Już kiedyś go o to spytała, dawno temu, kiedy byli znacznie młodszy. Odmówił wtedy odpowiedzi. Teraz dziewczyna zdawała się wyczuwać, że pytanie nabrało znaczenia, że miało bezpośredni związek z pasowaniem na Poszukiwaczy i życiem ich obojga.

Chłopak wypuścił powietrze w powolnym, jednostajnym wydechu.

– Zabili ją – rzucił. – Zanim zdążyłem ją dobrze poznać. Zabili ją w mojej obecności. Albo prawie.

– Och... – Na twarzy Quin pojawił się bezbrzeżny smutek. – Tak mi przykro, John. Tak bardzo mi przykro.

Objęła go, a on przyciągnął ją do siebie, czując ciepło jej ciała. Celowo nie wspominał o szczegółach śmierci Catherine. Wprawdzie w tym wypadku były one najistotniejsze, ale wciąż nie był gotowy, aby mówić o nich otwarcie.

– Kiedy zostaje nam odebrany ktoś, kogo kochamy, zaczynamy rozumieć, co jest naprawdę ważne – wyszeptał. – Nie chcemy, aby ktoś inny decydował, kto ma żyć, a kto umrzeć, bo nigdy nie zaznalibyśmy spokoju.

– Nie – zgodziła się dziewczyna, wtulając się w jego policzek. – Nigdy.

– A gdybyśmy to my decydowali, Quin? – szepnął John. – Wiedzielibyśmy, co robić. Dokonywalibyśmy lepszych wyborów. Słusznych. Z czasem moglibyśmy... Z czasem moglibyśmy robić tylko to, czym Poszukiwacze mieli zajmować się od samego początku. Wszystko znów byłoby takie, jakie powinno być. Dzięki nam.

Usta Quin musnęły jego policzek, po czym dziewczyna odchyliła się do tyłu i pochwyciła jego spojrzenie.

– Dokonywalibyśmy właściwych wyborów, John? Akurat tego nie byłabym taka pewna.

- Oczywiście, że tak. Nie jesteśmy tacy jak Briac.
- Ale to, co mówisz, jest... Dokładnie coś takiego mógłby powiedzieć Briac.

Nie widzisz tego?

- Nie sądzisz chyba, że Briac...
- Jeśli zostanę, jeśli będę cię uczyć – rzekła twardo dziewczyna, przerywając mu – staniemy się tacy jak on, nawet jeśli na początku będziemy mieć dobre chęci.
- A potem dodała ciszej, roztargnionym głosem: – John, ja chyba już teraz jestem taka jak on. Czuję to. Dla mnie już jest za późno.

– Quin...

Odwróciła głowę, aby spojrzeć przez okno na drugi brzeg rzeki. Nagle, owładnięta nową myślą, jeszcze raz spojrzała na chłopaka, a jej głos znów nabral ostrości.

– Moglibyśmy być razem... gdybyśmy odeszli stąd teraz, natychmiast. Zostawiłabym morfer, wszystko. Zapomnijmy o tym, czego nas nauczono. Możemy zejść po skarpie do rzeki i odpłynąć. W tej chwili. Czy to nie najlepsze wyjście?

Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, a John wyobrażał sobie, że mówi „tak”. Mógłby być z nią. Ich życie mogłoby być proste, przyjemne, a nawet bardzo szczęśliwe. Ale on podjął zobowiązanie, dawno temu, składając przyrzeczenie.

– Quin... W posiadłości jest coś, czego potrzebuję. Nie mogę tak po prostu tego zostawić. Briac mnie wyrzucił, ale ja muszę znaleźć sposób, żeby tu wrócić.

Jego słowa unosiły się między nimi, dopóki dziewczyna nie szepnęła:

– Nawet jeżeli ja nie mogę być częścią tej historii?

Zmuszenie się do kiwnięcia głową było jednym z najtrudniejszych wyzwań, z jakimi John musiał się kiedykolwiek zmierzyć.

– Tak – odpowiedział. – Nawet jeśli nie możesz być jej częścią. Ja jestem jej częścią. Przykro mi.

Zapadła cisza, którą po dłuższej chwili przerwała Quin:

– Kiedy jutro odejdę, nie wrócę tu więcej.

W jej głosie nie było nadziei i chłopak zrozumiał, że jej nie przekona. Jeszcze nie. Będzie musiał znaleźć inny sposób na zdobycie tego, czego potrzebował, i mieć nadzieję, że dziewczyna będzie wtedy daleko stąd, bezpieczna. Może tak było lepiej.

Już teraz jego umysł odruchowo zastanawiał się nad możliwościami. Poczł mrowienie w żołądku, przeczucie przyszłych niebezpieczeństw. Widział otwarty przed sobą jeden kierunek działania i od początku do końca miało to być igranie ze śmiercią.

Wstał, podszedł do okna i oparł dłonie na framudze, zbierając się w sobie. Kilka chwil później Quin dźwignęła się ze słomy i objąwszy Johna ramionami,



przytuliła się do jego pleców. Ciepło jej ciała było przyjemne.

Odwrócił się i ustami odnalazł jej wargi. Przywarli do siebie i trwali w melancholijnym uścisku, ogrzewani promieniami zachodzącego słońca. W głowie chłopaka zakiełkowało pytanie: „Czy całuję ją po raz ostatni?”.

## Rozdział 9

### John

Statek wisiał pięćdziesiąt pięter nad Londynem, wznosząc się na bezgłośnych pędnikach pomiędzy drapaczami chmur dzielnicy finansowej. Kształtem przypominał skrzyżowanie zeppelinu z transatlantykiem. Był olbrzymi, a jego połyskliwe metalowe poszycie skrzyło się refleksami, od czasu do czasu oślepiając ludzi na zewnątrz, zwłaszcza w południowej porze. Nazwano go Obieżyświatem.

John przemierzył korytarz na jednym z górnych pokładów Obieżyświata i zapukał do drzwi gabinetu swojego dziadka. Przybył na statek poprzedniego wieczoru, a teraz przygotowywał się wewnętrznie do pierwszego spotkania z Gavinem Hartem. Nie wiedział, czego spodziewać się po dziadku po tak długiej rozłące.

Mężczyzna osobiście otworzył drzwi, wciągnął wnuka za próg i rozejrzał się po korytarzu, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie widział.

– John! Jak dobrze cię widzieć.

Zatrzasnął drzwi, po czym jeszcze raz obejrzał się szybko przez ramię, jakby ktoś mógł czaić się w pokoju tuż za jego plecami. Następnie położył chłopakowi dłonie na ramionach i zacisnął palce, co było jego wersją serdecznego uścisku. Wysilek powitania zdawał się przekroczyć jego siły, bo Gavin zaniósł się nagle charkliwym, suchotniczym kaszlem.

– Ciebie również, dziadku. Czy jesteś na mnie zły?

– Siadaj, siadaj – powiedział staruszek, kiwając głową i starając się powstrzymać kaszel.

Posadził Johna na krześle stojącym przed antycznym biurkiem, a sam zasiadł w fotelu po drugiej stronie. Tłem dla jego głowy było olbrzymie okno, przez które chłopak widział londyńskie drapacze chmur, przepływające pod nimi. Najwyższe z budynków były niczym gigantyczne źdźbła metalowej pszenicy, kołyszące się majestatycznie wśród podniebnych prądów.

„Pozwolimy mu myśleć, że Obieżyświat należy do niego, John, ale zbudowano go dla ciebie – powiedziała mu matka, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Postawiła go wówczas na wysokim stołku, aby ich jednakowe, błękitne oczy znalazły się na tym samym poziomie. – Poszukiwacze nie mogą przenieść się na pokład Obieżyświata za pomocą atamenu. Dałam ci dom, który jest dokładnie tym, czego trzeba, aby zapewnić ci bezpieczeństwo. I dałam ci rodzinę z pozycją, co jest kolejną formą ochrony”.

Gavin był osiemdziesięcioletnim mężczyzną o siwych, krótko ostrzyżonych włosach. Jak zawsze ubrany był w świetnie skrojony garnitur i krawat, ale dziś węzeł krawata był krzywy, a marynarka pomięta, jakby staruszek

w niej spał. Zachowywał się dziwnie niespokojnie, bawił się klapami marynarki i pokasływał. Chłopak zauważył, że dziadek ma brudne dłonie. Nigdy wcześniej nie widział go w takim stanie.

– Nie jestem na ciebie zły, John, skądże znowu. Ale sytuacja jest niepokojąca, przyznaję.

– Kazałeś Briacowi odesłać mnie do domu?

Gavin wyglądał na zaskoczonego. W dłoniach trzymał kosztowne wieczne pióro, którego skuwkę na przemian zakręcał i luzował nerwowym gestem.

– Ja? Nie. To znaczy... Oczywiście zawsze chciałem, żebyś wrócił. W końcu jest nas tylko dwóch. Musimy dbać o siebie, chronić się nawzajem, nieprawdaż? Nie, nie. To Briac Kincaid dał do zrozumienia, że musisz wrócić. Już, już, już. Na zawsze, na zawsze, na zawsze. – Gavin zakończył wypowiedź słabym chichotem, który przeszedł w kolejny atak kaszlu.

Mężczyzna mówił w chaotyczny, roztargniony sposób i często pokasływał. Zawsze przejawiał skłonność do rozmaitych tików i dziwacznych zachowań i John domyślał się ich źródła, ale tego dnia wydawał się w znacznie gorszym stanie niż zazwyczaj. Poczul ukłucie paniki. Czyżby staruszka dopadła jakaś nowa dolegliwość?

– A oni wiedzą – powiedział Gavin, pochylając się nad biurkiem i wypowiadając słowa szeptem, jakby się bał, że ktoś może go usłyszeć.

– Jacy znowu oni? – John zmarszczył brwi.

– Mój bratanek Edward i jego syn – wyjaśnił starzec i znów zakaszłał. Chłopak skrzywił się, słysząc ten gardłowy, nieprzyjemny dźwięk. – Wiedzą, że poniosłeś porażkę i że odesłano cię do domu.

– Skąd mogą wiedzieć o tym, co robiłem w posiadłości? – spytał John, podnosząc głos, zanim zdążył się powstrzymać. – Nawet ty tego nie wiesz, dziadku.

– Cóż, to prawda, nie wiem. Ty i twoja matka nigdy nie mówiliście mi zbyt wiele. Ale wiem, że poszedłeś w jej ślady, a ja... ja musiałem wyjaśnić pewne rzeczy Edwardowi.

Twarz Gavina nabierała buraczkowej barwy i chłopak uświadomił sobie, że jego dziadek wstrzymuje oddech, aby nie kaszleć. Staruszek znowu obejrzał się przez ramię, jakby w ciągu tych paru minut rozmowy ktoś mógł niepostrzeżenie wślizgnąć się do pokoju.

– Wyjaśnić pewne rzeczy Edwardowi? – powtórzył John, zastanawiając się, czy rozmawiają o czymś rzeczywistym, czy poddają się paranoi mężczyzny, którą przejawiał od kilku lat, a która teraz zdawała się nabierać nowej mocy. – Dlaczego w ogóle musisz mu cokolwiek mówić?

– On podważa statut rodziny, John. Czy nie tłumaczyłem ci tego? Chodzi o to, no wiesz, że twoja matka i ojciec nigdy nie wzięli ślubu.

Gavin uczynił Johna swoim spadkobiercą zaraz po jego narodzinach. W owym czasie miał stare i szanowane nazwisko, ale niewiele pieniędzy, dlatego nikogo nie obeszło, że wyznaczył nieślubnego wnuka na swojego dziedzica. Ale kiedy matka Johna, Catherine, pomogła Gavinowi zgromadzić kolosalny majątek, kiedy we dwoje zbudowali Obieżyświata, który zdominował pejzaż Londynu, wszystko się nagle zmieniło. Inni członkowie rodziny zaczęli kwestionować jego decyzje, a zwłaszcza wybór spadkobiercy.

Dziadek rzeczywiście kilkakrotnie wspominał o tych atakach Johnowi, ale ten, pochłonięty szkoleniem w posiadłości i przekonany, że uda mu się zostać Poszukiwaczem, wołał nie zawracać sobie głowy szczegółami.

– Ale przecież walczysz z nim w sądzie, prawda? – spytał, próbując zachować cierpliwość w temacie, który śmiertelnie go nudził. – Czy nie mówiłeś tak parę lat temu?

– Tak, tak, tak. Wciąż z nim walczę. Walczę, walczę i walczę. Ale obawiam się, że w końcu zacznę przegrywać, John. – Ostatnie słowa Gavin wykrztusił z najwyższym trudem, zdjęty gwałtownym atakiem suchego kaszlu.

Chłopak poderwał się z krzesła, obiegił biurko dookoła i zaczął klepać dziadka po plecach, drugą ręką trzymając przycisk wzywający służbę. Z bliska zauważył, że źrenice mężczyzny są znacznie powiększone. Ukłucie paniki zbiło go na chwilę z tropu. A jeśli sprawy miały się naprawdę źle?

Do gabinetu weszła służąca, niosąc tacę z herbatą. Była to Maggie, która wyglądała na siedemdziesiąt lat, odkąd John pamiętał, a teraz musiała dobijać dziewięćdziesiątki. Opiekowała się nim od niemowlęctwa, a może nawet dłużej – od samego urodzenia. Chłopak uspokoił się trochę, patrząc, jak ze staroświecką gracją nalewa Gavinowi herbaty. Dziadek nie mógł być umierający, inaczej John wiedziałby o tym od Maggie.

Mężczyzna przyjął herbatę z wdzięcznością i podniósłszy się z fotela, zaczął siorbać ją małymi łykami. Podeszedł do okna. Nadal pokastywał, ale spazmy wyraźnie słabły. Starzec przetykał ciepły napój, wodząc wzrokiem po wieżowcach na zewnątrz.

Maggie nerwowo bawiła się imbryczkiem za plecami Johna, który stał obok fotela dziadka. Obejrzał się na nią i bezgłośnie poruszając ustami, zapytał:

– Co się z nim dzieje?

Podeszła i zaczęła mówić prosto do jego ucha, tak cicho, że chłopak ledwie mógł rozróżnić słowa, ale porozumiewali się w ten sposób od lat i jego słuch był doskonale dostrojony do mamrotania staruszki.

– Dawka znowu przestaje być skuteczna – poinformowała go swoim wyćwiczonym półszepem. – Zwiększam ją stopniowo. Wydaje mi się, że dojdzie do siebie. Prędzej czy później. Ale na razie trochę rwą mu się myśli. Może mu ciut odbijać. Uważaj na to, co mówisz.

John skinął głową, nie odwracając wzroku od dziadka.

Maggie wyszła z gabinetu, a na dźwięk zamykanych drzwi Gavin odwrócił się od okna. Powoli podszedł do biurka i opuszczył się na fotel, wciąż popijając herbatę. Chłopak wrócił na swoje krzesło po drugiej stronie blatu.

– Lepiej ci, dziadku?

Mężczyzna pokiwał głową, a potem ostrożnie odchrząknął. Po chwili znów obejrzał się gwałtownie przez ramię, ale szybko przeniósł wzrok na wnuka.

– W sytuacji, w której nasze aktywa są zagrożone, mój bratanek ma pewne prawa do wpływania na podejmowane decyzje – rzekł konspiracyjnie przyciszonym głosem. – Nic na to nie poradzę. W taki sposób prawo reguluje sprawy takich rodzin jak nasza. Obawiam się, że nasze aktywa są zagrożone. Powiedziałem Edwardowi, że pokładam w tobie wszelką, wszelką, wszelką wiarę, bo jesteś najlepszym spadkobiercą, jakiego mogła wydać na świat ta rodzina. Powiedziałem mu, że na pewno przywrócisz sprawom właściwy bieg. Najwłaściwszy. I dodałem, że pobierałeś prywatne nauki. W Szkocji.

– To brzmi całkiem niegroźnie. Więc co mu się właściwie nie podoba?

– Chodzi o to, że... W zeszłym roku mieliśmy kilka niepowodzeń. Całkiem sporych niepowodzeń, szczerze mówiąc. Finansowych. Przez które gorzej nam się powodzi, rozumiesz? Nie powodzi się nam od niepowodzeń. – Gavin uśmiechnął się w roztargnieniu, jakby udało mu się szalenie dowcipna gra słów.

– Fatalny z ciebie biznesmen, dziadku. – Chłopak nie silił się na okrucieństwo. Było to zwykłe stwierdzenie faktu. Jego matka wiedziała o tym od samego początku. Gavin nie miał głowy do interesów, ale kochał Johna, zaś Catherine właśnie to uważała za jego najważniejszą cechę. Była pewna, że ona sama i athena, który dawał jej dostęp do każdego praktycznie w każdym miejscu na świecie, są w stanie zrównoważyć inne słabości staruszka. I zapewne potrafiłaby tego dokonać – gdyby żyła.

– Uważasz mnie za fatalnego biznesmena? – spytał dziadek z urażoną miną. – Nie sądzisz, że to trochę niesprawiedliwe, John? Być może nie jestem tak skuteczny, jak wszyscy zakładali. Stroną finansową miał się zająć twój ojciec. Z pomocą twojej matki.

Taki był wielki plan, jak domyślał się chłopak: ożenić nazwisko i prestiż jego ojca z umiejętnościami matki, aby stworzyć niezwykły sojusz władzy i bogactwa. Chłopak nigdy nie mógł pojąć, dlaczego pozycja i pieniądze miały tak wielkie znaczenie, ale jego matka upierała się, że są ważne, że pomogą go chronić, tak jak pomagał go chronić Obieżyświat.

Gavin zmarkotniał, jak zawsze kiedy wspominał nieżyjących rodziców Johna. Chłopak nigdy nie poznał swojego ojca, Archiego, który zmarł jeszcze przed jego urodzeniem, ale dziadek często mawiał, że bardzo go przypomina. Zdawał się też tęsknić za Catherine, równie mocno jak za rodzoną córką.

– Potrzebny mi jest jakiś sukces, John, coś do pokazania. Czekałem, aż skończysz... wiesz, w posiadłości... żebyś mógł mi pomóc. Tak jak twoja matka. Miałem nadzieję, że razem coś zaplanujemy, że odnowimy nasze fortuny.

Gavinowi nigdy nie podobał się pomysł posłania wnuka na szkolenie do Briaca. Jak długo mógł, starał się trzymać go z dala od posiadłości, na Obieżyświacie, ale kiedy ich fortuna zaczęła topnieć, z ociąganiem przystał na to, aby John poszedł w ślady Catherine.

Mężczyzna zaczął szarpać węzeł krawata, jakby go dusił.

– John... – podjął po chwili. – Kiedy Briac zadzwonił do mnie dwa tygodnie temu, żeby powiedzieć mi, że musisz wrócić do domu...

– Dwa tygodnie? Dziadku, Briac powiedział mi, że nie zdałem egzaminu, dopiero dwa dni temu. Nie widzisz, co się dzieje? On nigdy nie miał zamiaru wypełnić swojego obowiązku wobec mnie. Wobec nas. Nie miał zamiaru dopuścić, żeby mi się udało. Moja porażka była przesądzona od samego początku.

– Proszę, pozwól mi skończyć, John. – Gavin zabębnił palcami o blat i ściągnął usta, jakby starał się dobrać najlepsze słowa z listy jednakowo nieprzyjemnych słów. – Jeżeli nie zdołam pomnożyć naszego majątku, i to szybko, przestaniesz być moim spadkobiercą, a ja stracę władzę. Odbiorą mi Obieżyświata. Odbiorą mi wszystko. Dlatego właśnie... Ja zrobiłem coś, co na pewno ci się nie spodoba. Coś, czego obiecałem nigdy... – Przerwał dla nabrania tchu, po czym wyrzucił z siebie: – Mamy konkurencję we Francji, dużą grupę spółek, i ja...

Rozległo się ciche pukanie i drzwi gabinetu się otworzyły. Do środka wszedł młody mężczyzna, obszedł biurko i zaczął szeptać Gavinowi do ucha. John ze zdumieniem uświadomił sobie, że widział już tego człowieka, i to zaledwie kilka dni wcześniej. To on przyleciał na posiadłość autolotem i rozmawiał na osobności z Briakiem. To jego miała podслуchać Quin.

Przypomniał sobie dziewczynę siedzącą na antresoli w szopie i oglądającą w telewizji wiadomości o francuskim biznesmenie i członkach jego rodziny, którzy zaginęli, a raczej, najprawdopodobniej, zostali zamordowani. Natychmiast pojął, co zrobił jego dziadek, i zalała go gorąca fala wściekłości. Najwyższym wysiłkiem woli pozostał na swoim miejscu w milczeniu, czekając, aż nieznajomy mężczyzna opuści gabinet.

Kiedy nareszcie wyszedł, John powoli podniósł się z krzesła i pochylił nad biurkiem, świdrując dziadka wzrokiem. Czuł, że wzbierająca furia maluje mu twarz czerwienią. Gavin, zawstydzony, skulił się w swoim fotelu, uciekając spojrzeniem na boki, aby nie patrzeć wnukowi w oczy.

– Dziadku... To ty posłałeś Briaca za tamtą francuską rodziną? Kiedy Briac zadzwonił w mojej sprawie, wynajęłeś go? Dałeś mu pieniądze, żeby to zrobił? Żeby się ich pozbył?

– Byłem zdesperowany, John. Nie miałem ciebie ani twojej mamy, żebyście

to dla mnie zrobili. Przyparli nas do muru! Teraz te firmy są dla nas łatwym celem. Nasze fortuny...

– Nie obchodzą mnie pieniądze! – ryknął chłopak, waląc obiema pięściami w stół. – Nie obchodzi mnie firma! Catherine ostrzegła cię, żebyś nigdy nie korzystał z usług obcych. A zwłaszcza z usług Briaca. On... Czy ty jesteś ślepy?! Dla niego to kolejny powód, żeby nigdy mnie nie wyszkolić, żeby nigdy nie dopuścić do mojego sukcesu. Po co, skoro ty przychodzisz do niego?! Znowu pozwalasz mu przejąć kontrolę nad naszym życiem.

– A mnie akurat obchodzą pieniądze, John – odparł Gavin, prostując się.

Mówił cicho, żeby nie prowokować kaszlu, ale jego głos miał w sobie intensywność krzyku. Chłopak uświadomił sobie, że jego dziadek po raz pierwszy od początku ich rozmowy wygląda na człowieka silnego. Niestety, wyglądał też na osobę popadającą w obłąd. Pociągając kolejny łyk herbaty, mężczyzna ścisnął ucho filiżanki tak mocno, że trzęsła mu się dłoń.

– Mnie pieniądze obchodzą. Właśnie to mi obiecano, kiedy wybrałem twoją matkę dla swojego syna. Sądziłem, że zdołam pociągnąć to dalej, kiedy umarła. Ale nie zdołałem. Nie potrafię. Przykro mi! – Znów przyłożył filiżankę do ust, ale nagle rozkaszał się i napój chlusnął na biurko. Spojrzał na wnuka płonącymi oczami, pośpiesznie wycierając blat rękawem. – Nie wykopią mnie tak łatwo! Ten statek, to bogactwo, to moje dziedzictwo, John. Moje i twoje. Ale jeśli zamierzasz mnie besztać, jeśli mi się sprzeciwisz... to nie odpowiadam za siebie!

Z wybałuszonymi oczami i kroplami herbaty kapiącymi z podbródka wyglądał teraz na kompletnego szaleńca. Chłopakowi ciężko było na to patrzeć. Pozwolił swoim oczom uciec w bok, a wtedy jego uwagę przykuła szafa stojąca za biurkiem dziadka. Za jej uchylonymi drzwiczkami widać było kilka otwartych pudełek, niedbale zwinięte ubrania i porzucone na półkach elementy jakichś mechanizmów. Wszystko to rażąco kontrastowało z gabinetem Gavina, zawsze nieskazitelnie czystym i profesjonalnie schludnym.

John zaczął przyglądać się z zaciekawieniem rzeczom widocznym przez otwarte drzwi szafy. Na dolnej półce leżała poobijana skrzynka z narzędziami, która mogłaby należeć do mechanika naprawiającego stare samochody – z upakowanymi smarem kluczami i małym palnikiem do lutowania. Były też części samochodowe: zabytkowa dźwignia zmiany biegów i oblepiona brudem rzecz wyglądająca na gaźnik. Powyżej wciśnięto kłęb koszulek i kurtek, które wyglądały, jakby mogły być własnością nastolatka.

Chłopak zrozumiał wszystko w jednej chwili. To były rzeczy Archiego. Należały do jego ojca, syna Gavina. Archie uwielbiał samochody – był to jeden z niewielu dotyczących go faktów, jakie dziadek wyjawiał Johnowi. Opowiedział mu o hobby syna z dumą wiele lat temu i chłopak z jednej strony ucieszył się, dowiadując się czegoś o swoim ojcu, z drugiej zaś napełniło go to smutkiem.

Naprawianie starych samochodów było tak bardzo oddalone od jego własnych celów, że poczuł, jakby on i jego ojciec byli obcymi sobie ludźmi.

Wiele lat wcześniej Gavin spakował rzeczy syna i przeniósł je do magazynu, twierdząc, że tylko tak będzie w stanie poradzić sobie z rozpaczą po śmierci Archiego. John nie spodziewał się ujrzeć go nurzającego się we wspomnieniach po swoim dawno zmarłym chłopcu.

Naraz, przyglądając się dziadkowi uważniej, spostrzegł smużki smaru na jego marynarce oraz czarne zabrudzenia na dłoniach i pod paznokciami. Gavin musiał bawić się rzeczami Archiego, być może całymi godzinami siedział samotnie w otoczeniu pamiątek, zagubiony w przeszłości. To było tak niepodobne do niego, że chłopak zaczął się zastanawiać, jak bardzo mu odbiło.

John nie dbał o bogactwa swojej rodziny, ale prawda była taka, że potrzebował dziadka z jego pieniędzmi i ludźmi. Potrzebował ich teraz, aby odzyskać athamen. Mimo iż Gavin najwyraźniej nie był w stanie pozwalającym na racjonalną konwersację ani tym bardziej na powierzenie mu kontroli nad jakimkolwiek przedsięwzięciem, to jednak wciąż stał za sterem.

„Kiedy już odzyskam athamen, będę mógł rzucić to wszystko w diabły, prawda?” – spytał sam siebie John. Z drugiej strony... „Poszukiwacze nie mogą przenieść się na pokład Obieżyświata za pomocą athamenu” – powiedziała kiedyś jego matka. Ten statek był szczególny. Obieżyświat wciąż mógł zapewnić mu ochronę. Poza tym był owocem ciężkiej pracy jego mamy. Myśl o tym, że obcy ludzie mogliby położyć na nim ręce, wzbudziła w chłopaku gniew.

Sięgnął ponad biurkiem i starannie otarł krople herbaty z podbródka Gavina. Starzec wciąż stał wyprostowany, ale wzrok miał utkwiony w blacie. Powiodł ręką po jego lśniącej gładzi, jakby próbował zrozumieć, dlaczego jest mokra. John poczuł nagły przyływ współczucia. Być może, jak twierdziła Maggie, Gavin dojdzie do siebie, ale jeśli tak się nie stanie, jeśli całkiem postrada zmysły, nie wyobrażał sobie go porzucić, skoro to Catherine była winna jego szaleństwa.

Usiadł ciężko na krześle. Był wyczerpany.

– Chciałbyś odnowić nasze bogactwo? – powiedział po chwili milczenia. – Daj mi kilka tygodni. Odbiorę, co skradziono mojej matce, a potem spróbuję ci pomóc.

Mężczyzna wydawał się odzyskiwać jasność myślenia. Powoli opuścił się na fotel, nie odrywając wzroku od wnuka. Wreszcie odezwał się:

– Kilka tygodni?

– Kilka tygodni, dziadku. Muszę opracować plan i zebrać właściwych ludzi. Tych też będziesz musiał mi dać.

– John, oni patrzą mi na ręce. Baczą na każdy mój ruch, gotowi w każdej chwili rzucić się na mnie. Zaatakować, żeby, żeby... żeby pokazać, że jestem niekompetentny. Nie wiem, czy mogę dać ci...



– Dziadku! Musisz wziąć się w garść. Nadal tutaj rządzisz. Jeśli zdobędę to, czego szukam, będziesz mógł zapomnieć o reszcie rodziny. Nie będą już groźni, rozumiesz? Będziemy robić, co się nam żywnie podoba.

– Tak, tak, już dobrze, wszystkim się zajmę – powiedział pośpiesznie Gavin, znów rozglądając się nerwowo za przyczajonymi szpiegami. Zauważył za sobą otwarte drzwi szafy z rzeczami Archiego w środku. Rzucając wnukowi ukradkowe spojrzenie, zamknął je i odwrócił się przodem do biurka. – Tylko już nie krzycz, John, proszę – wymamrotał. – Kręci mi się od tego w głowie.

Patrząc na mężczyznę siedzącego za biurkiem, zgarbionego, z obwisłymi ramionami, chłopak zmiękł. Odchrząknął i bardzo cicho powiedział:

– Wszystko będzie dobrze, dziadku. Wszystko ponaprawiam.

Opuściwszy gabinet Gavina, John podążył korytarzem na dziób Obieżyświata, po czym ruszył na górę. Jego apartament położony na najwyższym pokładzie statku powitał go zapierającą dech panoramą Londynu. Choć był jeszcze młody, pamiętał, jak budowano Obieżyświata, dawno temu, kiedy Catherine i jej athamen – który był jej prawowitą własnością – umożliwili Gavinowi zgromadzenie ich rodzinnego majątku.

Przeszedł przez apartament. Odkąd szkolił się w Szkocji, każdego lata przyjeżdżał do domu dziadka z wakacyjną wizytą, a przez resztę roku jego pokoje stały puste. Znajdowały się w dokładnie takim stanie, w jakim je zostawił.

Ze swojej kuchni, przy aktualnym kursie Obieżyświata, miał widok na drugi brzeg Tamizy. W oddali majaczył szczyt budynku, w którym po raz ostatni widział swoją matkę. Wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, rozmyślając o tamtym sekretnym mieszkaniu, które odkrył i do którego zakradał się nocami, nie mogąc przewidzieć ostatecznych konsekwencji tego zwykłego aktu nieposłuszeństwa. Patrzył na budynek, podczas gdy Obieżyświat sunął swoją zwykłą trasą, żeby w końcu rozpocząć majestatyczny zwrot w dolnej części wielkiej ósemki, którą zakreślał nad Londynem, i popłynąć w przeciwną stronę.

Gdy gmach znikł z pola widzenia, John oderwał się od okna i przeszedł na drugi koniec apartamentu, do swojej sypialni. Odsunawszy segment pokrytej boazerią ściany, otworzył garderobę, na której końcu znajdował się duży sejf, zespolony na stałe ze stalową konstrukcją statku. Był pewien, że służba, załoga, pracownicy, a być może nawet sam Gavin od czasu do czasu przyglądali się pancernym drzwicom, zachodząc w głowę, co też chłopak mógł za nimi ukrywać. Dziadek zarzekał się, że nie jest ciekaw metod Catherine i nie nurtują go jej sekrety, ale John był gotów się założyć, że staruszek wynajął najdroższych ślusarzy, aby spróbowali sforsować rygle, w nadziei, że znajdzie tam ratunek – jakiś magiczny talizman, który pomógłby mu przywrócić dawny układ sił, taki jak za życia Catherine. Ale matka Johna zaprojektowała sejf do spółki z konstruktorem Obieżyświata i aby dostać się do środka, należałoby rozebrać statek na części.

Chłopak wprowadził odpowiednią kombinację i podsunął oko do skanera. Syknęła pneumatyka i grube stalowe drzwi odsunęły się, odsłaniając strzeżony przedmiot, ostatnią rzecz, jaką John odziedziczył po matce. Na środku miękko wyściełanej komory sejfów leżał rozrywacz.

Na widok broni chłopak skrzywił się, ogarnięty falą obrzydzenia, mimo to sięgnął do skrytki i podniósł nienawistne mu urządzenie. Było tak ciężkie, na jakie wyglądało, ze swoim masywnym korpusem z opalizującego metalu i skórzaną uprzężą dodatkowo przydającą mu wagi. Zaniósł je do sypialni i usiadł na łóżku, kładąc sobie broń na kolanach. Jej zimny dotyk budził w nim nerwowość i wywoływał mdłości, ale przemógł się i zmusił do obejrzenia jej z każdej strony. Życie lub śmierć, zdrowe zmysły lub obłąd – decyzję o tym trzymał właśnie w rękach.

„Zrób to, co należy” – przykazała mu matka. Briac zawsze był jego wrogiem, Quin nie pomogłaby mu teraz, Gavin zaś tkwił nad przepaścią szaleństwa. John wiedział, że będzie musiał wypełnić swoją obietnicę, licząc tylko na siebie. Było więcej niż pewne, że przyjdzie mu robić nieprzyjemne, złe rzeczy, ale był gotów uczynić to, co należało, w najlepszy z możliwych sposobów.

Co pomyślałaby Quin, gdyby go teraz zobaczyła? Quin. Wyobraził ją sobie siadającą obok niego, w myślach pochylił się, aby ją pocałować...

„Wiele jest rzeczy, które będą próbowały ściągnąć cię z raz obranej ścieżki. Nienawiść to jedna z nich, drugą jest miłość”.

Odegnął wizję i spróbował się skoncentrować. Rozrywacz stworzono po to, aby siał grozę. Jeżeli spełni swoje zadanie, John nie będzie musiał naciskać spustu. A jeśli chodzi o Quin... Zapowiedziała przecież, że jej tam nie będzie.

## Rozdział 10

### Maud

Okolo północy księżyc wciąż jeszcze nie wzeszedł i była zupełnie sama w niemal nieprzeniknionej leśnej czerni. Poruszała się bezszelestnym krokiem, którego nauczyła się jeszcze jako mała dziewczynka. Nie potrafiła już nawet chodzić inaczej. Była rozciągana tyle razy, że ciało niosło ją naprzód tak, jak w jego postrzeganiu powinien płynąć czas: gładko, równomiernie oraz rytmicznie.

Dzieci z posiadłości nazywały ją Młodą Sędzią, choć rzecz jasna, nie tak się nazywała. Miała swoje prawdziwe imię, ale od dawna go nie używała. Gdyby tylko chciała, przypomniałaby je sobie.

O trojgu uczniów – dwoje było teraz zaprzysiężonymi Poszukiwaczami – myślała jak o dzieciach, choć według pewnych kalkulacji byli starsi od niej. Ta kwestia stanowiła zagadkę bez jednoznacznego rozwiązania.

„Maud. – To słowo samo do niej przyszło, wynurzając się w świadomości niczym skarb, który podniósł się z dna oceanu. – Mam na imię Maud”.

Słyszała, że jej towarzysza nazywano Dużym Sędzią, choć w rzeczywistości był Średnim Sędzią, podczas gdy jej drogi mistrz nosił przydomek Starego. Ci młodzi Poszukiwacze nie posiadli jeszcze całej wiedzy o Sędziach, jaka musiała im zostać przekazana.

Na ramionach niosła młodego jelenia, którego powaliła strzałą. Z każdym krokiem truchło zdawało się przybierać na wadze, ale ciężar ładunku nie zaprzętał jej uwagi. Robiła, co musiała, bez względu na dyskomfort.

Dla niewprawnego oka w leśnej gęstwinie nie było dość światła, aby odnaleźć drogę. Młodej Sędzi wystarczył jednak nawet słaby poblask odległych gwiazd. Być może był to efekt częstego rozciągania albo owoc nauk jej mistrza, w każdym razie jej oczy zawsze widziały dokładnie tyle, ile potrzebowały widzieć. Niewykluczone, że nauczyły się w jakiś sposób rozciągać czas, potrzebny im do gromadzenia światła z otoczenia, aż uzbierała się ilość wystarczająca w danych warunkach.

Gdzieś w oddali rozległ się dźwięk. Zatrzymała się w pół kroku, nadstawiając uszu, nieruchomiejąc ze stopą wiszącą centymetry nad ziemią. Słyszała daleką pieśń rzeki, harce nocnego ptactwa polującego wśród drzew, a nawet robactwo, drążące ściółkę pod jej nogami. Ale tamten dźwięk był inny, obcy. Nadciągnął z południowej strony, z leśnych ostępów w najdzikszej części posiadłości. Znów go usłyszała. Tak brzmiały kłopoty.

Ruszyła natychmiast, szybko nabierając rozpędu. W jednej chwili jelonek spadł jej z ramion i runął na ziemię. Nie zdążył nawet dotknąć gruntu, a ona już gnała między drzewami, kierując się w stronę olbrzymiego wiązu rosnącego na południowym brzegu polany. Poruszała kończynami tak szybko, że ledwie czuła

grunt śmigający jej pod stopami. Wreszcie dopadła drzewa i potężnym susem wskoczyła na niski konar. Niczym jaguar wspięła się po pniu na sam szczyt i stanęła tam, ukryta w listowiu, ze wzrokiem skierowanym na południe, w stronę źródła dźwięku.

Zobaczyła konie. Sześć koni z jeźdźcami na grzbietach. Ze swojego punktu obserwacyjnego mogła objąć wzrokiem całą posiadłość. Ludzie i ich zwierzęta nie byli widziani przez nikogo oprócz niej. Jeśli zamierzali wtargnąć na teren niepostrzeżenie, to wybrali zdecydowanie najlepszą trasę.

Rzuciła swój wzrok naprzód, tak jak uczył ją stary mistrz, posyłając go w dal, aby dotknął intruzów. Teraz mogła przyjrzeć im się z bliska, jakby stali tuż przed nią. Byli uzbrojeni, a twarze skrywali za maskami, mimo to jeden z nich wydał się jej znajomy.

Mieli rozrywacz. Mężczyzna o znajomej sylwetce pomagał swojemu kompanowi założyć go i dopasować uprząż.

Rzuciła za nimi słuch, ściągając ich słowa do swoich uszu, zupełnie jakby stała wśród nich.

– Ciężkie cholerstwo – stęknął mężczyzna, podczas gdy jego towarzysz dociągał za jego plecami szelki rozrywacza.

– Pamiętaj, mamy ich tylko nastraszyć – rzekł drugi, ten, którego rozpoznawała. Głos miał cichy i niepokojący. Mówił jak demon, nie człowiek, wydając sykliwe i skrzeczące przydźwięki. – Nie wolno ci strzelać bez mojego rozkazu, rozumiesz? Tam są niewinni ludzie. Chcę tylko dostać kamienny sztylet.

Człowiek z rozrywaczem chrząknął potakująco, przebierając palcami po pulpicie sterowniczym. Pozostali mężczyźni sprawdzali broń. Konie parskały, niecierpliwie przebierając nogami.

Posiadłość została zaatakowana.

Musiła postać myśli, sięgnąć umysłem do Średniego Sędziego, swojego towarzysza, i go zawiadomić. To był najszybszy sposób. A wtedy Średni zdecyduje, czy zawiadomić pozostałych w posiadłości.

Sięgnęła ku niemu mentalnie, posyłając umysł przez przestrzeń do jego małej kamiennej chatki. Był tam, czuła go wyraźnie, jednak już przy pierwszym otarciu się o jego psyche, wzdrygnęła się z odrazą. Ze starym mistrzem porozumiewała się w taki sposób bez najmniejszego kłopotu, ale ze Średnim Sędzią rzecz miała się całkiem inaczej. Dzieląca ich niechęć była tak silna, że myśli szczyły w niej, zanim zdążyła je wysłać.

Będzie musiała powiedzieć mu osobiście. Wiedziała, że ją uderzy – jak zawsze, kiedy mówiła coś, co nie było odpowiedzią na zadane przez niego pytanie – ale być może nie uderzy jej mocno, kiedy dowie się, o co chodzi.

Młoda Sędzia ruszyła w dół, zwinnie ześlizgując się z gałęzi na gałąź. Zeskoczywszy na miękkie leśne runo, puściła się pędem przed siebie.



## Rozdział 11

### Shinobu

Shinobu stanął naprzeciwko trzech kukieł treningowych, które rozstawił na środku areny w stodole. Było już po północy i miał to miejsce tylko dla siebie. Ruszył do ataku, z gracją tancerza przeskakując od jednej postaci do drugiej, w locie zadając wybuchowe ciosy. Tej nocy nie używał żadnej broni – oprócz własnych pięści.

Największa kukła rozmiarami dorównywała jego ojcu i tej poświęcał szczególną uwagę. Jedno uderzenie za każdy dzień minionego miesiąca – okładał pięściami tors manekina, pchając go do tyłu. Potem przypadł do drugiego. Ten był wielkości Briaca i Shinobu wyobraził sobie jego twarz, grzmocąc pięściami wypchany brezent. A trzecia kukła, ta najmniejsza, kim była? Może Quin? Ruszył do ataku, czując wzbierającą w piersi falę żalu. Bił w twarz, coraz mocniej, coraz zacieklej. Im straszniejsze ciosy zadawał, tym szybciej mógł skończyć tę walkę. Skracał cierpienia kukle. Potężnym hakiem powalił ją na ziemię.

– Nic nie było takie, jak myśleliśmy – wymamrotał z goryczą do małego manekina, leżącego w kurzu klepiska. – Zostałem tu tylko dla ciebie.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, Shinobu zwiesił głowę, patrząc na krople krwi kapiące na ziemię z jego zranionej kostki. Powoli uświadomił sobie, że słyszy odległy niski szum. Brzmiał jak burza albo jak... pożar? Kiedy wyszedł za bramę stodoły, usłyszał głosy ludzi nawołujących się na błoniu.

## Rozdział 12

### Quin

Jesteś paskudnie brudny, wiesz? – powiedziała Quin z wyrzutem, łapiąc zwierzę za pysk. – W tej chwili trudno nawet stwierdzić, czy jesteś koniem, czy świnią.

Była w stajni, zajęta oporządzaniem Yellena, ogromnego gniadego ogiera, którego dostała od matki na dziesiąte urodziny.

Yellen skubał ją przyjaźnie po dłoniach, podczas gdy ona energicznie szczotkowała mu grzbiet. Za nim, na końcu stajni leżała bela świeżego siana i dziewczyna zastanawiała się, czy nie spędzić tutaj nocy. Dawno temu, kiedy była znacznie młodsza, nocowała tu kilka razy, zwijając się w kłębek obok swojego wielkiego konia. W tej chwili była to znacznie miłsza perspektywa od spania w domu.

Kilka łez potoczyło się na jej podbródek i spadło na ziemię. Niecierpliwym ruchem otarła oczy wierzchem dłoni. W ciągu minionego miesiąca zdarzało się to bardzo często – nic, a potem nagle łzy. Kolejna kropla połaskotała ją w policzek, jednak zignorowała ją. Miała już dość swojej słabości.

– Odwróć się! – rozkazała.

Yellen spojrział na nią bezrozumnie, strzygąc uszami. Quin pociągnęła wielki łeb do tyłu, zawracając zwierzę, aby znaleźć się po jego drugiej stronie.

– Zapomniałeś angielskiego, kłocu jeden?

Dla konia zachowała jeszcze odrobinę poczucia humoru, dla ludzi nie miała już ani krzty. W tym roku nie spędziła zbyt wiele czasu z Yellenem, całą uwagę poświęcając Johnowi. Ale chłopak wyjechał. Ona też miała wyjechać, a jednak wciąż tu tkwiła, koń zaś stał się jedyną znaną jej istotą, której widok nie kierował jej myśli ku sprawom, o których wołałaby zapomnieć.

– Spokojnie! – syknęła, kiedy Yellen tupnął kopytem. – Albo zostawię cię tak, całego w błocie.

Przyrzekła sobie, że odejdzie, ale została. Noc, kiedy wyjechał John, spędziła samotnie na poddaszu szopy nad urwiskiem. Rankiem obudziło ją słońce, które wkradło się do budynku przez wschodnie okno.

Leżała wtedy jeszcze przez kilka minut, czując ciepło na zamkniętych powiekach. Słońce powoli pięło się w górę, a ona trwała w bezruchu, dopóki jego światło nie dosięgło jej ramion i rąk. Potem żar promieni zaiskrzył bólem w znaku athamenu, wypalonym na jej lewym nadgarstku. Choć zabandażowana, rana zaczęła ją rwać.

„To wciąż tam jest. Zawsze tam będzie, przypominając mi, co zrobiły moje własne ręce”.

Pomyślała wtedy, że mogłaby wyjechać, ale to niczego by nie zmieniło.

Wciąż wiedziałyby, kim jest, i każde spojrzenie obcego człowieka budziłoby w niej pytanie: „Czy on także to wie?”. Poza tym, gdyby odjechała, co stałoby się z Fioną i Shinobu? Zostaliby w posiadłości bez niej, uwięzieni z Briakiem.

No więc została.

Od tamtej pierwszej nocy Briac zabrał ją i Shinobu jeszcze na pięć wypraw. Teraz rozumiała już wszystko. Skąd się wzięło bogactwo posiadłości, jak jej rodzina zdołała przetrwać. I nie było w tym nic szlachetnego.

Z każdym kolejnym zadaniem myśl o wyjeździe stawała się bardziej odległa. Quin wyrosła w świecie, w którym słowo Briaca stanowiło prawo. Niełatwo było zerwać z tym nawykiem. Im dłużej mu pomagała, im więcej wykonywała poleceń, tym bardziej stawała się do niego podobna i tym mniej zasługiwała na odejście. John powiedział kiedyś, że urodziła się, aby władać athamenem. Zastanawiała się, czy nie urodziła się przede wszystkim po to, aby zostać drugim Briakiem.

Teraz, w stajni, patrzyła na swoje ręce, pracujące zgrzebłami na końskim grzbiecie, owładnięta uczuciem, że jej kończyny są odłączone od jej woli, że jej ciało już do niej nie należy. Jej nowe rany – pręga na przedramieniu, zrobiona przez ojca podczas ostatniej walki treningowej, płytkie skaleczenie na szyi od noża Młodej Sędzi oraz piętno wypalone na lewym nadgarstku – goiły się. Z poparzenia zeszły już pęcherze, pozostawiając sam kształt athamenu, wciąż jasnoróżowy i delikatny. Blizny robiły wrażenie obcych, niczym znaki na ciele innej osoby.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Quin czesała Yellena coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymała się ze wzrokiem utkwionym w swojej prawej dłoni, uwięzionej wewnątrz opaski zgrzebła. Poruszyła małym palcem, jakby sprawdzając, czy jej mięśnie wciąż są choć w części posłuszne jej woli.

– John... – powiedziała na głos i przerwała, zawstydzona.

Często wyobrażała sobie, że jest przy niej, że obejmuje ją ramionami, podczas gdy ona wtula twarz w jego pierś. Kiedy ten sen na jawie się kończył, ogarniał ją chłód, a wówczas zastanawiała się, czy z jego oczu wyzierała samotność, gdy nie było jej przy nim. A jednak w głębi duszy cieszyła się, że go nie ma. Chłopak wciąż chciał zostać Poszukiwaczem, pomimo jej ostrzeżenia. Wyjeżdżając, uchronił się przed popełnieniem potwornego błędu.

Yellen znów tupnął i zastrzygł uszami.

– Już, już, spokojnie – mruknęła Quin.

Koń tupnął jeszcze raz i niespokojnie podrzucił grzywą. Dziewczyna usłyszała też inne konie, parszające i tupiące w swoich boksach. Wtedy poczuła zapach.

Dym.

Znieruchomiała i zaczęła nasłuchiwać. Usłyszała dalekie okrzyki i coś jeszcze – stłumiony niski grzmot, który, jak sobie naraz uświadomiła, rozbrzmiewał już od pewnego czasu. Wyślizgnęła się z boksu Yellena



i przyskoczyła do wrót stajni.

Uchyliła drewniane skrzydło, a wtedy uderzył w nią żar bijący od ściany ognia. Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiała, na co patrzy. Drzewa w pobliżu stajni płonęły. Nie, nie płonęły – pożerała je hucząca, ognista burza.

Błonie rozbrzmiewało okrzykami. W oddali widać było rozpedzone sylwetki biegnących koni z jeźdźcami na grzbietach. Posiadłość została zaatakowana.

Quin zatrzasnęła wrota z powrotem i oparła się o nie plecami, rozważając swoją sytuację. Zaledwie kilka metrów dzieliło płomienie od drewnianych ścian stajni. Konie kręciły się nerwowo i rżały, niektóre wierzgały, kopiąc ściany boksów.

Podbiegła do Yellena. Położyła uspokajająco dłoń na jego chrapach, wsunęła mu uzdę na głowę, a potem szybko przykryła grzbiet kocem, na który zarzuciła siodło.

Wyjrzała przez wrota na drugim końcu stajni i ujrzała ciemność – intruzi i ogień nie dotarli tam jeszcze. Pchnięciem otworzyła oba skrzydła drzwi i zabrała się do zapędzania koni do wyjścia. Dym był coraz gęstszy i zwierzęta zaczęły wpadać w panikę, ale smagając je linką po bokach, zdołała w końcu wygonić wszystkie na zewnątrz. Wypadłszy w noc, konie stłoczyły się wokół niej, zbyt przerażone, aby oddalić się od stajni.

Coś błysnęło na linii wzroku Quin, jakieś dwadzieścia metrów przed nią. Złapała wodze Yellena, patrząc, jak korona dębu tuż obok obory staje w płomieniach. Wysoko między gałęziami wypatrzyła pochodnię i nagle dostrzegła także osobę, która ją rzuciła: postać w ciemnym stroju i masce, gnającą przez błonie na koniu.

Od wielu tygodni nie padało i suche drzewo szybko zajęło się ogniem, napędzając strachu koniom. Jeden z nich wyrwał na oslep naprzód, taranując pozostałe. Reszta, łącznie z Yellenem, również puściła się kłusem w stronę lasu, odpychając dziewczynę. Zachwiała się, ale czyjeś ręce pochwyciły ją, chroniąc przed upadkiem.

– Quin!

– Shinobu!

Chłopak miał popiół we włosach i brudne smugi na twarzy.

– Szybciej – ponaglił ją. – Musimy dostać się do lasu.

Biegli przez kłęby dymu, aż dopadli drzew. Zatrzymali się pod konarami, kaszląc i dysząc ciężko.

– Jedna chata stoi w ogniu – wysapał Shinobu. – Chyba twoja. Widziałem za błoniem.

Podobnie jak Quin, chłopak miał przypasany u biodra morfer. Na plecach zawiesił sobie starą kuszę, która wyglądała, jakby miała zaraz rozpaść się na kawałki, oraz kołczan pełen bełtów. Właśnie splądrował skromny skład broni

w stodole służącej za arenę treningową.

– Kim oni są? – spytała dziewczyna, wyobrażając sobie hordy upiornych widm, duchów ofiar, ściągających na posiadłość, aby dokonać na nich zemsty. Ale rzecz jasna, odpowiedź nie miała w sobie nic nadprzyrodzonego. Jeszcze zanim przebrzmiało jej pytanie, Quin odgadła, kto stoi za atakiem.

Poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. „Briac mnie wyrzucił – powiedział John – ale ja muszę znaleźć sposób, żeby tu wrócić”. Dziewczyna uświadomiła sobie, że jakaś część niej wyczekuje jego powrotu. Ale nie takiego! Czy on naprawdę usiłował puścić posiadłość z dymem?

– Lepiej chodźmy sprawdzić, co się dzieje po drugiej stronie – rzekł Shinobu, unikając wzroku Quin.

– Moja mama?

– Nie widziałem jej.

Dziewczyna znów poderwała się do biegu, ale chłopak złapał ją za ramię.

– Poczekaj – rzucił. – Poczekaj. Co chcesz zrobić?

– Odszukamy moją mamę, potem naszych ojców...

– Po co?

– Jak to „po co”?

– Zgadzam się, że powinniśmy znaleźć Fionę, ale dlaczego niby mielibyśmy szukać Briaca i Alistaira? – Rozłożył ręce.

– Atakują nas! A Briac i Alistair walczą lepiej niż my.

– To nie nas atakują, tylko ich, co znaczy, że w tej chwili są raczej zajęci, więc...

Shinobu wbił wzrok we własne stopy. Życie spędzone w bezwzględnej lojalności sprawiało, że ciężko mu było wypowiedzieć na głos myśl, która kołatała mu w głowie. Wreszcie spojrzął dziewczynie prosto w oczy i powiedział:

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, Quin, ale dlaczego mielibyśmy tu tkwić po tym, do czego nas zmusili?

Dziewczyna przez chwilę zmagala się z mimowolnym odruchem posłuszeństwa ojcu. Ale chłopak miał rację. Wypowiedział słowa, które powinny zostać wypowiedziane. Proponował zrobienie czegoś, co powinni byli zrobić już miesiąc temu. Posiadłość mogła płonąć, ale to już nie był ich dom.

– Możemy znaleźć Fionę i uciec stąd – rzekła powoli.

– Jeżeli dopisze nam szczęście, Briac i Alistair pomyślą, że zginęliśmy – odparł Shinobu. – To nasza szansa. Doskonała szansa. Szansa, jaka więcej się nie powtórzy.

Przytaknęła skinieniem głowy.

– Dobrze. Chodźmy po moją mamę.

Pobiegli wzdłuż linii lasu, okrążając błonie, aż zbliżyli się do domów. Tam przystanęli, kryjąc się za zwałonym drzewem. Mężczyźni siedzący na koniach

podkładali ogień pod domy. Chata Quin płonęła. Za nią widziała dom Shinobu, także w ogniu, oraz pozostałe, skryte głębiej w lesie, spośród których wiele stało nieużywanych od dziesięcioleci. Paliły się prawie wszystkie.

– Widzisz ją? – spytała dziewczyna.

– Nie... Tak! Jest tam!

Fiona była w połowie szerokości błonia. Biegła, kierując się w stronę pastwisk za oborą. Jej piękną twarz szpecił grymas przerażenia, końce jej włosów płonęły – pomarańczowy płomień na rudej głowie migotał, rozdmuchiwany pędem. Dlaczego uciekała przez łąkę, zamiast schronić się w lesie? Z lodowatym uczuciem w sercu Quin patrzyła na chwiejny krok matki. Fiona była pijana.

Chciała biec za nią, ale Shinobu złapał ją za ramię i zatrzymał szarpnięciem.

– Oni też ją widzą! – syknął.

Miał rację. Trzej jeźdźcy już galopowali za kobietą.

– Spójrz – powiedział chłopak.

Jeździec na czele był teraz dobrze widoczny. Na twarzy miał maskę, ale oni rozpoznaliby go zawsze i wszędzie.

To był John. Quin spodziewała się tego, co jednak nie złagodziło szoku, jakim było ujrzenie go, skrytego za maską, gdy zawiadywał ludźmi puszczającymi z dymem posiadłość. I pędził prosto na Fionę.

– On nienawidzi Briaca – rzekła szybko. – Zawsze go nienawidził. Nie skrzywdzi mojej mamy, wiem to. Nie zrobiłby tego. Shinobu, może powinniśmy mu pomóc? On chce tylko...

Zamilkła, kiedy jeźdźcy zrównali się z Fioną. Dwóch z nich złapało ją pod pachy i bez ceregieli wciągnęło na siodło. Nawet z drugiej strony łąki Quin słyszała swoją matkę przeklinającą napastników.

Podarwała się na równe nogi. Shinobu złapał ją za rękę i ściągnął z powrotem na dół.

– Co ty wyprawiasz?

W oddali rozległ się krzyk Fiony. Jeden z mężczyzn uderzył ją. Ten, który ją wiozł, pośpiesznie krępował jej rękę.

– Ja... ja muszę z nim pomówić.

– Nie! – Chłopak zacisnął dłoń mocniej na ramieniu Quin. – On nas atakuje. Chce spalić posiadłość. Może zrobić cokolwiek, rozumiesz? Skrzywdzić twoją mamę, skrzywdzić ciebie... To już nie jest twój ukochany. To zupełnie inny John. Jeśli mamy wydostać stąd Fionę, potrzebna nam będzie lepsza broń.

Dziewczyna się uspokoiła. Słowa Shinobu trafiły do niej.

– Tak... Masz rację.

Z niemałym trudem oderwała wzrok od Johna. On... W tej chwili nie miała pojęcia, kim był. Czy występował przeciwko niej, czy tylko przeciwko Briacowi? Czy naprawdę mógłby je skrzywdzić?

Spojrzała na Fionę, wciąż szamoczącą się z intruzami na błoni. Widziała, że jeźdźcy nie zamierzają się z nią patyczkować, i postanowiła, że za wszelką cenę wydobędzie ją z posiadłości. Żywią.

– Wiesz, gdzie trzymają spluwy? – spytał Shinobu. – Są u ciebie w domu?

– W stodole nie było?

Chłopak pokręcił głową.

– Chodźmy. Sprawdźmy u ciebie i u mnie.

Wziął ją za rękę i razem pobiegli w stronę płonących domów, wciąż trzymając się lasu. Minęli chatę, którą dawniej zajmował John – tę również podpalono, i to najwyraźniej niedawno. Wewnątrz zajęły się już meble i przez otwarte drzwi biły kłęby dymu. Palenie wszystkiego nie miało żadnego sensu. To był akt czystej nienawiści.

Wypadli z lasu i pognali przez otwartą przestrzeń do domu Kincaidów, choć niewiele już z niego pozostało. Zanim zdążyli do niego dotrzeć, przemienił się w huczącą kulę ognia.

## Rozdział 13

### Maud

Młoda Sędzia stała ze Średnim Sędzią daleko od chat i stodół. Czekali na szczycie niewysokiego wzgórza w lesie, oparci plecami o pnie drzew, szczelnie owinięci płaszczami, praktycznie niewidzialni. Z tej wysokości widzieli ogień. Wszystkie domy stały w płomieniach. Wszystkie z wyjątkiem chat Sędziów.

Policzek, w który uderzył ją Średni, wciąż pulsował tęnym bólem. Kiedy wpadła do jego chaty po opętańczym biegu, nie zdążyła nawet otworzyć ust, aby zawiadomić go, że są atakowani, a już pięść mężczyzny utorowała sobie drogę do jej twarzy. Niezrażona tym faktem, przekazała wiadomość. Na rozkaz Średniego Sędziego w ciągu kilku chwil zebrali całą swoją broń i wtopili się w las.

Na błoni wrzeszczała kobieta. Rudowłosa. Fiona – tak brzmiało jej imię. Młoda Sędzia patrzyła, jak dwaj mężczyźni duszą płomień w jej włosach i dźwigają ją na konia jednego z nich. Maud posłała za nimi swój wzrok i słuch, aby przyjrzeć się sytuacji z bliska. Jeden z mężczyzn uderzył Fionę, drugi zaś – młody człowiek, którego rozpoznała pomimo maski i chropawego, metalicznego brzmienia zmienionego głosu – związał jej ręce.

– Nie bij! Nie chcę, żeby cokolwiek jej się stało – rzekł tym dziwnym głosem, po czym zwrócił się do Fiony: – Proszę, przestań się opierać. Zależy mi tylko na Briacu.

– Chciałabym im pomóc – powiedziała Młoda Sędzia. Słowa wypływały z niej rytmicznie, statecznie. Podobnie poruszało się jej ciało i działał umysł. Jej głos zdawał się nie przenosić żadnych emocji, choć sama wyraźnie je czuła. – Niektórzy z nich to zaprzysiężeni Poszukiwacze.

Pięść Średniego wystrzeliła łukiem i dosięgła jej drugiego policzka. Wiedziała, że to zrobi. W swoim odmiennym poczuciu czasu obserwowała pięść, która zbliżała się niczym odległa burza. Mogła usunąć się z drogi, ale nie widziała w tym sensu. Gdyby nie przyjęła kary teraz, wybrałby inny moment, aby ją uderzyć, i wówczas zrobiłby to mocniej.

Miała ochotę pomóc mieszkańcom posiadłości, zwłaszcza gdyby mogła to uczynić, nie krzywdząc ucznia w masce, ale nie należało to do jej obowiązków. Zaprzysiężeni Poszukiwacze mieli być samodzielni. Rola Sędziów polegała na obserwowaniu, nadzorowaniu inicjacji nowych Poszukiwaczy i – tylko w wyjątkowych wypadkach – ingerowaniu w bieg wydarzeń. Rzecz, która miała miejsce w tej chwili – spór o kontrolę nad athamenem pomiędzy dwoma rodami, których roszczenia były równoważne – nie wchodziła w zakres ich odpowiedzialności. Nawet jej stary mistrz zgodziłby się ze Średnim w tej kwestii. Ich obowiązkiem była jedynie ochrona athamenu Sędziów, który w tej chwili wisiał bezpiecznie pod płaszczem jej towarzysza, tuż obok ręki, tak niedawno

użytej do wymierzenia jej ciosu.

Ingerowanie w bieg wydarzeń nie należało do ich zadań. A jednak w przeszłości zdarzało im się ingerować. W umyśle Młodej Sędzi powoli wypłynęła myśl: „Kobieta o jasnobrązowych włosach; chłopiec ukrywający się pod podłogą...”. Nie było ich rzeczą wtrącać się, a jednak to zrobili. „I spójrz, do czego to prowadzi”. Na błoni młody uczeń w masce wykrzykiwał rozkazy do pozostałych. „Chłopiec staje się mężczyzną, mężczyzna jest rozgniewany...”.

## Rozdział 14

### Quin

Przez okno swojego domu Quin widziała płomienie pożerające stół kuchenny i pełzące wzdłuż szpar po drewnianej podłodze. Ściany salonu, w tym stare gabloty z bronią, w całości stały w ogniu, podobnie jak masywne legary podtrzymujące strop. Od domu bił żar tak wielki, że nie sposób było się zbliżyć. Nawet jeśli w środku była ukryta jakakolwiek broń palna, mogli o niej zapomnieć.

Shinobu pobiegł sprawdzić własny dom, więc dziewczyna była zdana na siebie. Powiodła wzrokiem po obejściu. Niedaleko stała kamienna szopa, której ogień jeszcze nie zdążył osiągnąć. Mimo to fala żaru zaparła Quin dech w piersi, kiedy przypadła do kłódki i zaczęła układać odpowiednią kombinację. Wreszcie otworzyła drzwi składziku, w którym ona i Briac trzymali broń.

Morfer wisiał już jej u pasa, ale zgarnęła jeszcze sztylety i swój płaszcz. Następnie starannie obmacała ściany szopy, szukając tajnych schowków, w których ojciec mógłby ukryć inne rodzaje broni. To byłoby do niego podobne – ukrywanie przed nią ważnych rzeczy – a jednak nie znalazła niczego.

Przez ryk pożaru przedarł się głośny huk, niemal jak wystrzał z dubeltówki. Quin wyskoczyła z szopy w samą porę, aby zobaczyć, jak zapada się dach jej chaty. Jedna z przepalonych krokwi poddała się i łupkowe dachówki zawałyły się kaskadą w ogniste piekło. Komin pochylił się w bok i runął z łoskotem, łamiąc belki dachu. Dziewczyna uskoczyła do tyłu, a cała murowana kolumna rozbryznęła się na szopie, miażdżąc ją, jakby była zrobiona z papieru. Quin skuliła się, osłaniając głowę przed gradem gorących kamieni.

Kiedy spadły ostatnie kawałki gruzu, dostrzegła coś płaskiego, twardego i wyróżniającego się barwą, widocznego teraz wśród ruin szopy. Opadła na kolana i zaczęła kopać. To był metal. Osłoniła twarz, gdy do płonącej chaty wtargnął wiatr i uderzył w nią nową falą żaru. Gorączkowo odgarniała ziemię i kamienie, odsłaniając pancerną skrytkę, zatopioną w betonie pod powierzchnią ziemi.

Pokrywa sejfów była gładka, bez żadnych widocznych mechanizmów otwierających. Zapewne skonstruowano ją tak, aby reagowała tylko na dotyk Briaca. W posiadłości była tylko jedna rzecz dość cenna, aby zasługiwać na taki schowek.

Gorąco zaczynało być trudne do zniesienia. Quin dobyła morfera i kilkakrotnie poruszyła nadgarstkiem, nadając broni formę grubego miecza o klindze zwężającej się w ostry jak igła szpic. Złapała broń oburącz, kierując ostrze w dół, i z rozmachem wbiła czubek w pokrywę sejfów, blisko krawędzi, gdzie musiały kryć się zawiasy. Miecz odbił się, pozostawiając płytkie wgłębienie w metalu.

Wsunęła w bruzdę czubek klingi. Substancją morfera można było

manipulować aż na poziomie molekularnym, jeśli tylko opanowało się subtelne ruchy, jakich to wymagało. Dziewczyna oczyściła umysł i skoncentrowała się, ignorując spiekotę grożącą spaleniem jej włosów. Wykonała nadgarstkiem szereg drobnych ruchów, rozkazując klindze zwęzić końcówkę i wydłużyć ją.

Wiatr zmienił się i owionęły ją kłęby dymu. Zamknęła oczy i znów poruszyła ręką, wyobrażając sobie czubek miecza rozciągający się i zwężający w igłę tak ostrą, że mogłaby przebić metal.

Poczuła, jak miecz wnika w sejf na ułamek milimetra, niemal niedostrzegalnie. Wykonała kolejną manipulację nadgarstkiem, tym razem spłaszczając krawędzie ostrza, aby stały się równie ostre jak czubek. Kiedy to zrobiła, pod naciskiem jej ręki miecz zaczął zagłębiać się w stal powolnym, jednostajnym ruchem. Wkrótce przebił się na wylot, a wtedy pociągnęła broń ku sobie, tnąc pokrywę wzdłuż linii styku z korpusem. Jej dłonie wyczuły, jak poddaje się pierwszy zawias, potem drugi. Wreszcie brzęknęła zluzowana pokrywa. Quin podważyła ją morferem i odrzuciła na bok.

W skrytce był athamen i krzesiwo. Czekały na Poszukiwacza, swojego pana, aby przejął je i wykorzystał w kolejnej wyprawie.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że jeśli ona i Shinobu mieli na serio porzucić posiadłość i wszystko, co się z nią wiązało, nie powinna zabierać athamenu. Mogła zostawić go ojcu, on zaś używałby go nadal do tego, czym się zajmował, albo... albo mogła przekazać athamen Johnowi, który tak bardzo go pragnął.

Oślaniając twarz przed żarem, rozejrzała się, próbując dojrzeć chłopaka przez dym, ale powietrze wokół niej było czarne.

Odwróciła się i znów spojrzała w głąb skrytki. Mogła oddać athamen Johnowi i poprosić, aby uwolnił jej matkę. Mogła też oddać mu kamienny sztylet, uspokoić go, a potem odjechać z nim na grzbiecie jego konia. Odtąd byliby razem. Jego gniew, cały ten atak, to wszystko było efektem niesprawiedliwego potraktowania przez Briaca.

Nagle przypomniała sobie słowa, które wypowiedział w szopie na skarpie. „A gdybyśmy to my decydowali, Quin? – wyszeptał wtedy. – Wiedzielibyśmy, co robić. Dokonywalibyśmy lepszych wyborów. Słusznych”. Ławo było myśleć, że otrzymawszy władzę, będzie się podejmowało słuszne decyzje, ale John nie miał pojęcia, jak to jest ważyć życie i śmierć w swoich rękach, decydując o czyimś losie.

Gdyby dostał swój upragniony athamen, zażądałby, aby dziewczyna go uczyła. Aby pomogła mu postawić pierwsze kroki Tam, a potem dalej. Aby go poprowadziła.

– Przykro mi – wyszeptała, wyjmując kamienny pugał i krzesiwo ze schowka i ukrywając je pod fałdami płaszcza. – Nie przyłożę ręki do tego, żebyś



zmienił się w Briaca.

W metalowej skrytce było coś jeszcze: gruba księga oprawna w skórę i przewiązana rzemieniem. Okładka była stara i wyświecona, jakby niezliczone dłonie dotykały jej z pietyzmem przez wiele lat. Quin szybko przewertowała strony, odkrywając, że trzyma coś w rodzaju dziennika. Sporą część zapełniało schludne, dziewczęce pismo, ale na stronach pozostawiło swoje ślady wiele różnych rąk. Część kartek na samym początku zapisano wąskimi, zamasyżcicie kreślonymi literami, jakie były w modzie dawno temu. Inne olśniewały wykwinną kaligrafią, naznaczoną tu i tam kleksami od cieknącej stalówki. Książka zawierała też arkusze cienkiego, miękkiego pergaminu. „To welin” – pomyślała Quin, przywołując w pamięci jedną z lekcji historii swojej mamy. Zdobione skomplikowanymi rysunkami arkusze zostały starannie złożone i wsunięte luzem między kartki książki.

Podczas wertowania dziennika zwróciła uwagę na odręczne ilustracje, których całe tuziny ozdobiły kolejne strony, wśród nich było wiele prostych rysunków zwierząt. Jedna szczególnie przykuła jej uwagę. To był symbol umieszczony w górnym rogu strony: trzy splecione owale, niczym uproszczone przedstawienie atomu.

W oddali rozległ się okrzyk. Dziewczyna ostrożnie wsunęła książkę do kieszeni płaszcza, odwróciła się od chaty i puściła biegiem w stronę drzew.

Shinobu miał poszukać broni u siebie, ale kiedy dobiegła do jego domu, odkryła, że również ten budynek był obecnie wielkim, zapadającym się w sobie ogniskiem. Chłopaka nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Na południowym skraju błonia rozległ się huk, jakby coś wielkiego i ciężkiego roztrzaskało się o ziemię. Quin odwróciła się w tamtą stronę, ale kłęby dymu skutecznie przesłaniały źródło hałasu. Nadal jednak mogła dojrzeć swój dom, przy nim zaś, w świetle płomieni, dostrzegła przygarbioną sylwetkę ojca, który wyłonił się spośród drzew na wschód od miejsca, w którym stała, i biegł w stronę płonącej chaty, trzymając się nisko, aby trudniej go było zauważyć.

Briac miał na sobie zwyczajny, codzienny strój i dziewczyna uświadomiła sobie, że jej ojciec musiał właśnie wrócić z jednej ze swoich częstych wycieczek poza posiadłość – wycieczek, które zwykle skutkowały niedługo potem kolejnym zadaniem zrzucanym na barki jej i Shinobu. Nie знаła sekretnych kanałów, jakimi komunikowali się z mężczyzną tajemniczy mocodawcy, ale najwyraźniej już dawno temu opracował metodę, pozwalającą ludziom o specyficznych potrzebach odnaleźć go.

Briac zatrzymał się w pewnej odległości od ich rodzinnego domu i rozejrzał się, spoglądając na południe. Kapryśny wiatr przegnał na chwilę chmurę dymu, odsłaniając przed nim – oraz przed Quin, stojącą na wzniesieniu przy płonącym domu Shinobu – grupę jeźdźców Johna, którzy zebrali się nieopodal warsztatu.

Z tej odległości trudno było dostrzec szczegóły, ale jeden z wierzchowców niósł na grzbiecie dwie osoby. Jedna z nich miała długie, rude włosy. Ojciec obrzucił jeźdźców krótkim spojrzeniem, po czym podjął skradanie się do chaty, nie patrząc na jej matkę.

„Ona ani trochę go nie obchodzi” – uświadomiła sobie dziewczyna.

Briac wrócił po athamen i krzesiwo. Tego szukał w zgłiszczach domu. Quin stwierdziła, że chce być jak najdalej od tego miejsca w chwili, kiedy odkryje ich brak. Wcześniej uzgodniła z Shinobu, że jeśli się nie odnajdą, będą podążać za Fioną. Dziewczyna brnęła w stronę warsztatu poprzez kłęby gęstego dymu, który znów spowił błonie, dając jej osłonę przed niepożądanym wzrokiem.

## Rozdział 15

### John

Wrota warsztatu wystrzeliły z framugi, ciągnięte na linach przywiązanych do koni. Wewnątrz John i jego ludzie ujrzeli Alistaira MacBaina ze słuchawkami na uszach, skulonego nad stołem roboczym, zajętego manipulowaniem przy niewielkim urządzeniu mechanicznym. Urządzenie emanowało głęboką wibracją, która niosła się daleko poza budynek. Chłopak czuł ją we własnych płucach.

Kiedy drzwi wyłamały się z trzaskiem, wielki mężczyzna, zaskoczony, zerwał się na równe nogi, po czym odwrócił się w stronę sześciu intruzów stojących za progiem. Obrzucił szybkim spojrzeniem mężczyznę z rozrywaczem, a potem przeniósł wzrok na skępowaną Fionę, siedzącą na najdalszym koniu. Wreszcie spojrzął na Johna, zdejmując słuchawki.

– Musisz się chować za maską, kiedy na mnie napadasz? Gdzie twoja uczciwość? – spytał.

– Powinienem zapytać cię o to samo – odparł chłopak.

Mała skrzyneczka wisząca pod gardłem przekształcała jego słowa w demoniczne syki.

– Wstydzisz się gadać własnym głosem? – zadrwił Alistair. – Przez tyle lat uczyłem tchórza?

John spodziewał się, że zostanie rozpoznany, a mimo to nie potrafił zmusić się do powrotu na posiadłość bez maski. Przybył, aby zabrać to, co było jego prawowitą własnością. Wiedział, że aby to zrobić, będzie musiał sterroryzować mieszkańców osady, a łatwiej było stawić im czoło, przestraszyć ich, narzucić swoją wolę – w masce.

Maska była wyzwalająca. Przez długi czas trzymał swoją nienawiść do Briaca w ryzach, ale teraz, udając kogoś innego, nareszcie mógł pozwolić jej wypłynąć. Z dreszczem satysfakcji podpalił własną chatę, ukrytą głęboko w lesie. Mężczyzna trzymał go tam przez długie lata, w izolacji, niczym psa przybłądę, któremu wolno siedzieć na granicy obozu, skąd wciąż widać ognisko, ale nie odczuwa się jego ciepła. Jakże przyjemnie było wyzwolić swoje uczucia, patrzeć, jak budowlę pożerają płomienie! Tak przyjemnie, że aż budziło to w nim lęk.

Jego ludzie podpaliли pozostałe chaty, zanim zdążył ich powstrzymać, ale odkrył, że czuje jedynie ulgę, patrząc na pożar, zrównując dom Briaca z ziemią. Zresztą... to były tylko domy. Jego ludzie sprawdzili, czy były puste, zanim podłożyli ogień. Choć perspektywa przysporzenia Briacowi cierpienia nie budziła w nim sprzeciwu, pozostali mieszkańcy posiadłości w niczym mu nie zawinili i zależało mu na ich bezpieczeństwie.

Z ulgą stwierdził, że nigdzie nie było widać Quin. Musiała odjechać, tak jak zapowiedziała, kiedy widzieli się po raz ostatni. Przebywała gdzieś daleko,

bezpieczna.

Teraz, siedząc na koniu przed wylamanymi wrotami warsztatu, patrzył na urządzenie leżące na stole za Alistairem. Z kształtu przypominało imadło, ale zrobione było z tej samej oleście czarnej substancji, z której wykonano morfery. W jego niewzruszonym uścisku tkwił athamen.

John, któremu za czasów jego nauki w posiadłości nie pozwalano wchodzić do warsztatu, nigdy dotąd nie widział tego dziwnego przyrządu. Spojrzał na słuchawki wiszące mężczyźnie na szyi. Uświadomił sobie, że wibracja nie wypływała z imadła, ale z samego athamenu. Alistair robił coś ze sztyletem, być może stroił go w jakiś sposób, słuchawki zaś chroniły jego uszy przed hałasem.

– Czy to athamen? – spytał zniekształconym głosem.

– Tak się składa, że mój – odburknął mężczyzna, a potem, trochę łagodniej, dodał: – Zastanawiałeś się, czy nie był jej, co?

Chłopak zsunął się z konia i wszedł do warsztatu, kiwnięciem głowy dając znak jeźdźcowi niosącemu rozrywacz. Mężczyzna przesunął dłonią po boku broni, która nagle ożyła z narastającym piskiem.

– Tylko ostrożnie – rzucił Alistair do jeźdźca. – Ta zabaweczka jest ciut niebezpieczna. Pewnie nie powiedział ci, jak bardzo, co?

John przyglądał się athamenowi tkwiącemu w uchwycie imadła. Na główicy rękojeści widniał wyrzeźbiony maleńki symbol w kształcie orła – godło rodu Alistaira i Shinobu. Nie taki znak miał nadzieję ujrzeć, ale każdy athamen był lepszy niż żaden.

– Mówiłem, że jest mój – powtórzył mężczyzna.

Chłopak przyjrzał się imadłu. Miało bardziej skomplikowaną budowę, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Athamen był mocno ściśnięty w kilku uchwytach. Nad powierzchnią kamiennej główki wisiało coś w rodzaju frezu, który służył – jak domyślał się John – do ścierania mikroskopijnych ilości kamienia dla regulacji rezonansu i dokładnego dostrojenia wibracji. Jednak użyty w niewłaściwy sposób frez prawdopodobnie mógł wyrządzić szkodę. Chłopak wyciągnął rękę w stronę jednej dźwigni, ale powstrzymał się przed jej dotknięciem. Nie chciał ryzykować, że uszkodzi athamen.

– Jak go stąd wyjąć? – spytał cichym głosem, który po zniekształceniu przez aparat na jego szyi zabrzmiał jak warkot.

– Tego nie mogę ci powiedzieć – odparł wielkolud, zerkając na rozrywacz.

Trudno było nie darzyć sympatią Alistaira, który w pewnym momencie próbował pomóc Catherine, ale wielki Szkot od lat był także wiernym sojusznikiem Briaca Kincaida, a John nie miał zamiaru wracać do domu bez athamenu. Gdyby mężczyzna pomógł mu po dobroci, wszystko odbyłoby się gładko i nikomu nie stałoby się krzywda. Powoli, starając się opanować drżenie ręki, chłopak uniósł pistolet, mierząc w głowę Alistaira.

– Ależ możesz mi powiedzieć. Wiem, że możesz.  
– Dobra, tu mnie masz. Mogę. Ale nie powiem.  
– To nie musi się odbyć w ten sposób – oznajmił John, skrzecząc i sycząc aparatem na szyi.

– Obawiam się, że musi – odparł mężczyzna.  
John nieznacznie skinął głową. Rozrywacz zaskowytał głośniejsz, przygotowując się do strzału.

– Jak sądzisz, chłopcze, czy będę w stanie ci to wyjaśnić, uwięziony w polu rozrywacza?

– Dobrze więc... – John zawahał się, mając nadzieję, że jego ludzie posłuchają rozkazów, jakie im wydał, i nie spróbują nikogo zabić bez wyraźnego polecenia.

Obejrzał się i unikając wzroku Fiony, skinął ręką mężczyźnie, który siedział za nią na koniu. Kobieta wydała stłumiony okrzyk, kiedy jeździec przycisnął jej nóż do gardła. John wbił wzrok w Alistaira.

– Wyjmij sztylet z urządzenia – rozkazał równym głosem.  
– Nie mogę tego zrobić. – Mężczyzna pokręcił głową. – Bez względu na to, co sam czuję, athamen jest cenniejszy niż życie.

Jednakże jego oczy mówiły coś innego, wciąż kierując się ku Fionie.

John zebrał się w sobie i dał kolejny znak. Mężczyzna na koniu poruszył ostrzem, otwierając płytkie nacięcie na szyi swojej ofiary. Fiona szarpnęła się rozpaczliwie. Po jej gładkiej, białej skórze pociekła strużka krwi.

„To tylko odrobina krwi. Nie zatnie jej głęboko – uspokoił się w myślach chłopak. – Proszę, nie tnij głęboko!”

Przełknął ślinę, nie spuszczać oczu z Alistaira. Wielki Szkot patrzył w ziemię, zrezygnowany. Rana na szyi Fiony wydłużała się, aż wreszcie mężczyzna uległ i kiwnął głową z rezygnacją. Podszedł do imadła i zaczął odkręcać dźwignie, unieruchamiające sztylet w uchwytach. Nóż na szyi kobiety zastygł w bezruchu.

– Tylko spokojnie – powiedział John do Alistaira.

Dłonie mężczyzny poruszały się powoli nad licznymi dźwigniami urządzenia. Athamen zaczął wibrować i dygotać coraz silniej w miarę słabnięcia uścisku trzymających go szczęk. Kiedy John był już pewien, że w następnej chwili sztylet wyskoczy z uchwytów na stół, Alistair delikatnie ujął obiema rękami najdłuższą z dźwigni i jego potężne ramiona stężały w napięciu. Nagle obrócił dźwignię, pociągając ją do siebie jednym, brutalnym szarpnięciem. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt – ostry frez imadła wgrzył się głęboko w głównię sztyletu.

Wibracja, jaką emanował athamen, natychmiast przeszła w ogłuszający, przenikliwy brzęk. Czuli go w zębach i kościach. To było coś pomiędzy zgrzytem rozdieranego metalu a rozciągniętym w czasie hukiem tłuczonego szkła. John

poczuł, że jego mięśnie naprężają się bez udziału woli. Pięści zaczęły się zaciskać, łydkami targnęła fala skurczów.

Za progiem warsztatu mężczyzna z rozrywaczem i jego koń doświadczali tego samego uczucia naprężających się mięśni. Przeżalone zwierzę zatoczyło się w tył, a wtedy prawa dłoń jeźdźca samoczynnie zacisnęła się na uchwycie rozrywacza i broń wypaliła.

John nie mógł opanować zgrzytania zębów. Ujrzał pędzące ku niemu iskry rozrywacza, ale ledwie mógł poruszyć nogami. Największym wysiłkiem woli rzucił się na ziemię, lądując ciężko jak worek cegieł.

Iskry przefrunęły nad nim i rozprysły się na Alistairze.

Wibracja athamenu ucichła, jakby zdławiona przez niewidzialną siłę. Zapadła nagła cisza.

Zgromadzeni poruszyli się ostrożnie, powoli odzyskując panowanie nad własnymi ciałami. Wtem Alistair ryknął przeraźliwie i zaczął bić się pięściami w głowę.

John z wysiłkiem dźwignął się na nogi i przypadł do urządzenia przytrzymującego athamen. Od razu pojął, dlaczego wibracja ucichła. Frez przyrządu wniknął głęboko w głównię sztyletu, rozszczepiając ją i krusząc na kawałki. Niektóre fragmenty wciąż tkwiły w uchwytach imadła. Inne leżały rozrzucone na stole wśród drobniejszych okruchów i kamiennego pyłu. Kamień athamenu zmienił kolor, poszarzał, zmatowiał. Jakakolwiek energia żyła we wnętrzu tego prastarego artefaktu, zgasła bezpowrotnie.

Alistair ruszył chwiejnie w stronę wrót szopy warsztatowej. Jego rude włosy sterczały na wszystkie strony, a wielobarwne iskierki tańczyły wokół jego głowy i ramion. Nie był w stanie iść prosto i wciąż zawracał, potykając się i młócąc rękami powietrze, by zaraz znów zatoczyć się w stronę wyjścia. Na jego widok Fiona rozszłochała się żałościwie. Ludzie Johna patrzyli za nim w niemym przerażeniu.

John poczuł wzbierającą w nim falę mdłości, widząc, jak Alistair przetacza się przez próg pośród tęczy rozbłysków. Trzewia ścisnął mu żal tak silny, że sprawiał mu fizyczny ból.

„Nie! Nie Alistair!”.

Podbiegł do swojego wierzchowca i wskoczył na siodło. Podprowadziwszy zwierzę do jeźdźcy trzymającego rozrywacz, zamachnął się i uderzył go w twarz. Wiedział, że mężczyzna nie ponosi winy za stan Alistaira, a jednak nie potrafił pohamować swojej wściekłości – na Briaca za to, że postawił go w takim położeniu, oraz na siebie za to, że pozwolił sobie na utratę kontroli nad sytuacją.

– Jak mogłeś?! – krzyknął elektronicznie zniekształconym głosem. – Był dobrym człowiekiem, a ty go zniszczyłeś!

Złapał się za głowę i zamknął oczy. Po chwili rozkazał:

– Znajdźcie mi Briaca!

Wybuch z cewki strzałowej Johna zburzył pół ściany, ale uwiędła postać nie wykonała żadnego ruchu, nawet nie mrugnęła powieką. Jej pozycja na szpitalnym łóżku i chmura wątlých iskierek tańczących wokół jej głowy były takie same jak przed miesiącem.

Poprzez dym i kurz chłopak wkroczył do pomieszczenia. Omiótł wzrokiem medyczną maszynię pod tylną ścianą i przysiadł na krawędzi łóżka.

Nigdy dotąd nie był sam na sam z tą istotą. Do tej pory zawsze towarzyszył mu Briac, który ani na chwilę nie spuszczał go z oczu. Teraz, bardzo delikatnie, jego palce odnalazły brzeg zetlałej szpitalnej koszuli, okrywającej nieruchome ciało, i podciągnęły ją w górę zasuszonej nogi. Górną część uda przecinała ściągnięta blizna, długa jak męska dłoń, wyglądająca jak dawna rana od miecza albo dużego noża, którą zszyto pośpiesznie i bardzo niechlujnie.

John wiedział, że znajdzie tu tę bliznę, a jednak jej widok zaparł mu dech w piersi. Briac stał tu z nim dwukrotnie, czerpiąc perwersyjną rozkosz ze zmuszania go do patrzenia na to rozkładające się, udręczone stworzenie, podczas gdy chłopak udawał, że nie domyśla się, kto to jest.

Opuścił brzeg koszuli. Choć niełatwo mu było znieść choćby myśl o dotknięciu tego ciała, zmusił się do położenia dłoni na kościstym ramieniu. Przyjrzał się zapadniętym oczom, uwiędłemu nosowi, wysuniętej żuchwie. Nic już nie zostało z twarzy, którą kiedyś współtworzyły.

Wyjął nóż i uniósł ostrze nad piersią istoty. Wystarczyłoby jedno mocne pchnięcie – przekonywał sam siebie – aby przebić serce i położyć temu kres. Trzymał tak nóż przez całą minutę, próbując wykonać ten ruch, ale nie potrafił. W końcu opuścił rękę.

Siedział na łóżku przez dłuższą chwilę, niepewny, co powinien teraz zrobić. Powoli, jak gdyby nie był w stanie utrzymać ciężaru głowy, pochylał się do przodu, dopóki jego skroń nie spoczęła na materacu obok nieruchomego ciała. Zamknął oczy i wtulił czoło w stare prześcieradło. Łzy najpierw zwilżyły mu oczy, a potem popłynęły strumieniem. Jego ciałem wstrząsnął szloch. Płakał tak, jak mogłoby płakać małe dziecko, które właśnie odkryło, że jego świat runął.

Wreszcie, wciąż łkając, podniósł się z łóżka, chwycił w dłoń wiązkę przewodów kroplówek i przeciął je kilkoma wściekłymi ruchami. Potem podszedł do ściany aparatów medycznych i jedno po drugim wyłączył wszystkie urządzenia.

Kiedy maszyna ostatecznie umilkła, odwrócił się, aby spojrzeć na ciało leżące na łóżku, spodziewając się jakiejś zmiany. Nie dostrzegł żadnej. Postać była całkowicie nieruchoma, a wokół jej piersi wciąż tańczyły tęczowe iskierki.

Uświadomił sobie, że mogą minąć godziny, a może nawet dni, zanim istota nareszcie umrze, a iskry zgasną. Koniec, po tak długim czasie, z pewnością będzie bezbolesny.

Zatrzymawszy się przy dziurze w ścianie, sięgnął do szyi i poluzował aparat zniekształcający, aby jego mowa nie brzmiała demonicznie.

– Wkrótce odzyskam naszą własność – powiedział cicho swoim naturalnym głosem, który teraz brzmiał obco w jego uszach. – Odplacę im za to, co ci zrobili, i przywrócę wszystkiemu właściwy porządek. – Zamilkł na chwilę i po raz ostatni spojrzał na ciało. – Żegnaj, mamó.

Zaciskając pasek aparatu na szyi, wyszedł w chłodną noc.



## Rozdział 16

### Shinobu

Shinobu złapał ojca za szerokie ramiona, próbując go uspokoić. Alistair zamachnął się pięścią. Chłopak uchylił się, a po chwili poczuł, że dłonie wielkoluda zaciskają mu się na szyi. Zanim ręce mężczyzny zdążyły wyrządzić jakąkolwiek szkodę, jego umysł przeskoczył na inny tor. Alistair padł na kolana i zaczął grzmocić głową o ziemię.

– Tato! Poznajesz mnie?

Shinobu złapał głowę ojca w dłonie i obrócił tak, aby móc spojrzeć mu w oczy. Księżyc już wzeszedł, zalewając las upiorną poświatą. Mężczyzna przez krótką chwilę leżał nieruchomo, wytrzeszczając puste oczy, z zakrwawionym od ran czołem. Nagle skoczył. Ręce znów wystrzeliły ku szyi syna, a paznokcie przeorały mu skórę. Tak samo nagle powstrzymał się i jęcząc potępieńczo, zaczął okładać własne nogi.

„Pole rozrywa tok myśli. Za każdym razem, kiedy w głowie kiełkuje myśl, pole zakłócające przejmuje nad nią kontrolę, wypacza i zmusza umysł, aby rozpoczął od nowa – Shinobu przypominał sobie słowa ojca, który przez lata wbijał im do głowy, dlaczego powinni za wszelką cenę strzec się rozrywaczy. – Umysł rwie się na strzępy, które skręcają się w supły, zwijają, zapadają w sobie. Człowiek chciałby się zabić, ale nie może. Nawet ten zamiar wnet ulatuje i przekształca się w coś zupełnie innego...”

Ciężki dym spowijał większą część posiadłości, utrudniając oddychanie i ograniczając widoczność. Chłopak odwiedził swoją chatę, licząc, że znajdzie kufer wyładowany bronią palną, zastał jednak tylko słup ognia w miejscu, gdzie jeszcze niedawno stał jego dom. Poszedł więc dalej, do chat Sędziów, w nadziei, że u nich natknie się na jakąś broń, której będzie mógł użyć. Ale ich domy, choć nietknięte ogniem, okazały się puste. Sędziowie zabrali cały swój dobytek i odeszli.

Shinobu i Quin umówili się, że w razie rozdzielenia podążą za Fioną, ruszył więc z powrotem przez las, okrążając błonie, w stronę warsztatu. W połowie drogi, w tej części lasu, do której jeszcze nie dotarł dym, natknął się na ojca zataczającego się między drzewami, schwytanego w sieć iskier, które wkrótce miały przynieść mu zgubę.

Ze wstydem stwierdził, że nie jest mu żal Alistaira. Gdyby jego ojciec został zakłócony jeszcze kilka tygodni wcześniej, przed ich pierwszym zadaniem, Shinobu byłby zdruzgotany. Teraz nie czuł nic. Zupełnie nic. Mężczyzna pozwolił mu podjąć złą decyzję. Owszem, ostrzegł go, ale tak enigmatycznie, że chłopak nie miał najmniejszej szansy rozpoznać zagrożenia. Jakim cudem miałby je rozpoznać?

Jego własny ojciec pozwolił mu wykonać pierwsze zadanie i złożyć przysięgę. Wiedział, co to wszystko oznacza, a jednak nie kiwnął palcem, żeby

temu zapobiec. A potem towarzyszył im i Briacowi podczas kolejnych wypraw i nie zająknął się ani słowem.

– Dlaczego mnie nie powstrzymałeś! – ryknął Shinobu, pochylając się nad Alistairem. – Posłuchałbym cię, gdybyś mi powiedział...

Mężczyzna zgrzytał zębami z udręczoną twarzą, jakby toczył śmiertelną walkę we własnej głowie. Nagle krzyknął i wyrwał nóż z pochwy przy pasku. Machnął ostrzem w powietrzu, uderzył się w głowę rękojeścią, a potem wznosił broń i zamachnął się szaleńczo.

Shinobu osłonił się przed ciosem i pchnął. Alistair usiadł ciężko na ziemi, ale ręką z nożem wciąż napierał na syna. Chłopak uświadomił sobie, że to nie ostrze dotyka jego ciała, lecz rękojeść. Mężczyzna wpychał mu ją do ręki.

Złapał nóż, a jego ojciec odtoczył się na bok, ryjąc palcami ziemię i wydzierając z niej korzenie. Nagle machnął nogą. Shinobu odsunął się o krok i kopnięcie chybiło celu.

Powinien skrócić cierpienia ojca. Właśnie to należało uczynić dla towarzysza schwytanego w pole zakłócające – zabić go. Pole było nieusuwalne i tylko potwór pozwoliłby, aby ktoś cierpiał tak straszliwie.

„Jeżeli jestem potworem, to przez ciebie. Byłeś przy mnie i pozwoliłeś, abym to zrobił” – pomyślał Shinobu.

Wetknął nóż za pas i się oddalił.

## Rozdział 17

### Quin

Quin kierowała się głosem Johna, brnąc przez dym, który kłębił się wokół niej tak gęsto, że musiała czołgać się po ziemi, płaszczem osłaniając nos i usta. Podążała za głosem tam i z powrotem przez błonie, ale teraz nareszcie była blisko.

Głos, za którym szła, nie był naturalny. Był to sztuczny, chropawy i metaliczny pomruk, którego używał chłopak, jak gdyby mógł w ten sposób oddzielić się od tego, co robił. Quin miała nadzieję, że Shinobu także usłyszy ten zniekształcony skrzek i że jest gdzieś w pobliżu z naręczem broni. Nie chciałyby skrzywdzić Johna, ale broń była jej niezbędną, jeżeli miała odbić mamę.

– Nie mam tego, czego tu szukasz. – Przez dym przebił się nowy głos. Należał do jej ojca.

– Wiem, że to masz – odparł John. – Kiedy mi to oddasz, odzyskasz swoją żonę.

– Odzyskam żonę? – powtórzył Briac z drwiącym niedowierzaniem w głosie. – To twoja karta przetargowa?

Dmuchał wiatr i Quin nieoczekiwanie poczuła czyste powietrze. Księżyc wzeszedł już wysoko i w jego świetle odkryła, że znów znajduje się niedaleko dymiących szczątków swojej chaty na skraju łąki. Dokładnie na wprost siebie zobaczyła mamę, wciąż na końskim grzbiecie, trzymaną przez siedzącego za nią mężczyznę. Nieco dalej John i Briac stali naprzeciwko w wysokiej trawie, otoczeni kręgiem konnych postaci.

Dziewczyna przycupnęła pośród wysuszonych łądyg o wysokości metra, które zaledwie kilka godzin temu były jeszcze zieloną łąką.

– Możesz zabić moją żonę tylko raz – zadrwił Briac. – Co potem?

„Jesteś potworem...” – pomyślała Quin, świdrując ojca wzrokiem.

– Jesteś potworem – oznajmił John zniekształconym głosem, wypowiadając na głos myśli dziewczyny.

– Ano jestem – przytaknął mężczyzna. – Ale atamenu nie mam.

– Dobrze więc... – powiedział chłopak.

Quin patrzyła, jak John opuszcza lufę pistoletu i strzela jej ojcu w nogę. Briac krzyknął i usiadł na ziemi. Na nogawce nad udem wykwitła mu plama krwi.

– Blizna za bliznę – rzekł chłopak swoim nieludzkim głosem.

Dziewczyna wiedziała, że widok rannego ojca powinien ją zabołec, ale nie potrafiła obronić się przed uczuciem rozkosznej satysfakcji, jakim napełniała ją świadomość jego cierpienia.

„On zabiłby nas wszystkich, gdyby uznał to za konieczne – pomyślała, w końcu akceptując prawdę. Jej wzrok powędrował ku Johnowi. Nie widziała jego twarzy, wciąż zakrytej maską, ale z jego postaci zdawały się emanować nienawiść

do Briaca i rozpaczliwe pragnienie zdobycia athamenu. – Czy jest aż tak zdesperowany, aby skrzywdzić moją mamę? – zastanawiała się. Walczyła z silną chęcią wyciągnięcia athamenu spod płaszcza i rzucenia mu go pod nogi. Ten prosty czyn położyłby kres walce i uszczęśliwiłby Johna w jednej krótkiej chwili. – A potem? Co potem?” – spytała sama siebie.

„A gdybyśmy to my zdecydowali, Quin? – wyszeptał do niej wtedy, w szopie. – Wiedzielibyśmy, co robić”.

– Gdzie athamen? – szczechnął John swoim strasznym głosem, ściągając dziewczynę na ziemię.

– Nie mam go! – ryknął Briac, trzymając się za zranioną nogę. – Zabij mnie, zabij ją, zabij, kogo chcesz! Nie mam go!

Musiała działać, dopóki uwaga wszystkich była skupiona na jej ojcu. Trzymając się blisko ziemi, Quin zaczęła przekradać się przez trawę w stronę matki. Z bliska dostrzegła plamę czerwieni na jej dekolcie. Fiona została zraniona w szyję. Czy zrobił to John?

Wyciągnęła nóż z pochwy przy pasie.

„Mam nadzieję, że jesteś trzeźwa, mamó” – pomyślała.

Kobieta odwróciła głowę i spojrzała wprost na nią, jakby Quin wypowiedziała te słowa na głos. Widząc nóż w ręce córki, nieznacznie skinęła głową, dając znać, że pojęła jej zamiary. Koń, na którym siedziała, stał z tyłu, poza kręgiem jeźdźców, co sprawiało, że chwilowo nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Zdradzono mnie – sapnął gorączkowo Briac, kiedy John zrobił ku niemu krok. – Nie mam go, rozumiesz?!

Chłopak strzelił ponownie, tym razem w ramię. Impet pocisku odrzucił mężczyznę w tył. Z nowej rany trysnęła krew, szybko nasączając koszulę.

– Bez obaw – powiedział John swoim upiornym głosem, podchodząc coraz bliżej. – Załatam to jakoś. Mam tu gdzieś igłę z nitką.

Quin dostrzegła swoją szansę. Rzuciła nożem, wiedząc, że biegłością w tej sztuce nie dorównuje Młodej Sędzi, ale mając nadzieję, że jej umiejętności okażą się wystarczające. Nóż zawirował w zadymionym powietrzu i zatopił się w gardle jeźdźcy trzymającego Fionę. Mężczyzna sięgnął po ostrze, ale w chwili, kiedy je złapał, kobieta energicznie rzuciła głową w tył, uderzając go w rękę i wbijając nóż jeszcze głębiej.

Pochylona nisko nad ziemią Quin podbiegła do konia i ściągnęła z niego matkę oraz jej oprawcę rozpaczliwie ściskającego się za szyję. Sądząc po rżeniu, jakie z siebie wydawał, miał przed sobą minutę lub dwie życia. Dziewczyna wyrwała mu nóż z szyi, szybko przecięła więzy na nadgarstkach Fiony i po chwili biegły już z powrotem przez dym.

Kiedy minęły płonące domy i zagłębiły się w las, Quin zatrzymała się, aby obejrzeć ranę na szyi matki. Skaleczenie wciąż krwawiło, ale było na tyle płytkie,

że nie stanowiło bezpośredniego zagrożenia. Czy John i jego ludzie celowo zadali jej powierzchowną ranę, czy może Fiona po prostu miała szczęście?

– Twój ojciec... – wyszeptała kobieta.

– Wynosimy się stąd – powiedziała Quin twardo i choć nie powiedziała tego wprost, było oczywiste, że miała na myśli: „Wynosimy się stąd bez Briaca”. – Musimy tylko znaleźć Shinobu.

Ujęła mamę za rękę i pobiegły głębiej w las, kierując się wzdłuż zachodniego brzegu błonia. Jeśli Shinobu wciąż nie opuścił posiadłości, musiał gdzieś tam być.

– John może zabić twojego ojca – wysapała Fiona.

Z nowego miejsca znów widziały Briaca. Chłopak zbliżał się do niego z nożem w ręce. Quin uświadomiła sobie nagle, że całą duszą pragnie, aby John odebrał mężczyźnie życie. Czy był niebezpieczny, czy nie, obłąkany czy zdrow na umyśle, chciała, aby wykończył Briaca. Dla niej byłoby to wyzwoleniem – byłoby wyzwoleniem dla wszystkich. Już miała odpowiedzieć matce: „Jeśli on go nie zabije, to przyrzekam, że sama to zrobię”, kiedy jej uwagę przyciągnął duży ciemny kształt sunący przez leśną gęstwę.

– Patrz! – szepnęła. – To Yellen.

## Rozdział 18

### Maud

Młoda Sędzia i Średni Sędzia tkwili wśród gałęzi olbrzymiego dębu niedaleko granicy lasu. Obserwowali ucznia w masce, który z nożem w dłoni zbliżał się do rannego Briaca leżącego w wysokiej trawie na błoniu. Mężczyzna zaczął krzyczeć:

– Nie możesz stać z boku! Nie możesz stać z boku!

Choć Średni Sędzia stał nieruchomo jak głaz, oddychając tak powoli i płytko, że nawet ona miała trudności z usłyszeniem go, w jego ciele dało się wyczuć napięcie.

– Musisz mi pomóc! – zawołał Briac.

„On mówi do nas – uświadomiła sobie Młoda Sędzia. – Nie – poprawiła się – on mówi do Średniego. Ci dwaj mają swoje sekrety”.

A Średni słuchał. Obróciła delikatnie głowę, aby lepiej go widzieć. Jego ciało napinało się. Przygotowywał się do przyśpieszenia.

– Sir – powiedziała, artykułując słowa z wielkim skupieniem. – Tak jak pan powiedział, jesteśmy tu tylko obserwatorami.

Z gałęzi, na której stał, nie mógł jej dosięgnąć, ale tym razem zdawał się nawet nie rozważać uderzenia. Jego umysł zajęty był Briakiem.

Zamaskowany uczeń idący błoniem także zorientował się, że mężczyzna zwraca się do Sędziów. Wyprostował się i krzyknął:

– Nie wolno wam...!

Reszta jego słów utonęła w nieludzkim skrzeku jego fałszywego głosu. Spróbował zawołać znowu, ale wydawał z siebie tylko hałas. Aparat zmieniający nie działał już jak należy.

– Jeśli mnie zrani – wołał Briac – to nie ręczę za to, co mogę mu powiedzieć! Albo co on może znaleźć! Księga...!

Młoda bacznie obserwowała Średniego, który trwał w zawieszeniu pomiędzy powolnością a chyżością, ze stopami balansującymi na skraju gałęzi. Średni obawiał się czegoś, co wiedział Briac, czegoś, co mógł ujawnić. „Księga...” – przypomniała sobie książkę i chłopca ukrywającego się pod deskami podłogi.

Uczeń wściekłym szarpnięciem zerwał sobie aparat z szyi i krzyknął swoim prawdziwym głosem:

– Nie wolno wam ingerować! Macie swoje reguły! On złamał je jako pierwszy!

Młoda popatrzyła za Briakiem. Krwawił obficie z ran na ramieniu i udzie, wyraźnie tracąc siły. Gdyby poczekali dość długo, z pewnością wykrwawiłby się na śmierć.

– Sir, on ma słuszość – powiedziała. – Briac pierwszy zabrał atha...

Średni poruszył się niczym wystrzelony sprężyną. Sięgnął na drugą stronę pnia i strącił ją z gałęzi na ziemię. Lecąc z wysokości zaledwie trzech metrów, bez trudu zamortyzowała upadek przewrotem, ale nie miała wątpliwości, że było to upomnienie. Leżąc na ziemi, spojrzała w górę, na Średniego. W rękach trzymał kuszę, napiętą, z załadowanym bełtem.

– Ja decyduję – warknął. – Ty masz być posłuszna.

– Pomóż mi! – zawył znowu Briac.

Średni zwolnił cięciwę i jeden z ludzi Johna runął z siodła na ziemię.

– Strzelaj w nich! – rozkazał Sędzia.

Maud przyśpieszyła. W jednej chwili w jej rękach znalazł się łuk ze strzałą wczepioną w napiętą cięciwę. Wypuściła pierzasty pocisk i patrzyła, jak wbija się kolejnemu z ludzi Johna w ramię – tam, gdzie celowała – posyłając go na ziemię.

Uczeń i pozostali dwaj jeźdźcy rozpierzchli się. Średni wypuścił następny bełt w stronę mężczyzny, który uciekał, poganiając konia do galopu. Trafione zwierzę zorało pyskiem ziemię i mężczyzna pokoziołkował przed siebie.

Chłopakowi został już tylko jeden człowiek. Obaj uciekali w szaleńczym pośpiechu, uczeń pieszo, a mężczyzna z rozrywaczem wciąż na końskim grzbiecie. Młoda Sędzia wodziła grotem strzały za biegnącym uczniem. Z łatwością mogła go teraz zabić. Wystarczyłoby, że wyprostuje palce prawej dłoni. Jednakże nie było to jej obowiązkiem, bez względu na to, co powiedział Średni. Aby uniknąć wpływania na bieg wydarzeń, zabronił jej udzielić pomocy ludziom z posiadłości. Nie miał więc prawa domagać się, aby zabiła Johna. I bez tego uczynili zbyt wiele. Ten chłopiec, który był teraz mężczyzną, który uciekał, ratując życie, nie podlegał ich jurysdykcji.

Średni wybiegł na otwartą przestrzeń i powlókł Briaca w stronę drzew. Wyszła mu na spotkanie na brzeg lasu, zawiesiwszy łuk z powrotem na ramionach. Wciąż w przyśpieszeniu, Średni opuścił mężczyznę na ziemię i zamachnął się pięścią. Młoda Sędzia uchyliła się przed ciosem, ale druga ręka Średniego trzymała sztylet i w tej samej chwili zatopiła ostrze w jej boku.

Cofnęła się, czując, jak stalowa klinga wyslizguje się z niej. Przycisnęła dłoń do rany. Pomiędzy palcami pociekła jej krew.

Druga ręka Młodej wystrzeliła naprzód, błyskając nożem i tnąc Średniego przez pierś.

– Nie zabiłaś go – powiedział. Głos wciąż miał przyśpieszony, ale jego ruchy już hamowały do ich zwykłego, statecznego rytmu. Rana na jego piersi broczyła krwią, ale nie zwracał na nią uwagi. – Trzeba było go zabić.

Młoda Sędzia nie odpowiedziała. Oddarła kawałek własnej szaty i zatamowała nim krwawienie z rany na brzuchu. Drugim kawałkiem przewiązała się w pasie, aby utrzymać prowizoryczny opatrunek na miejscu. Wyczuwała, że jej ciało słabnie, ale – jak uczył ją stary mistrz – słabość nie znaczyła wiele. Należało

po prostu działać dalej.

– Zabandażuj mu ramię – rozkazał Średni.

Sam ukląkł przy lewej nodze Briaca, aby przewiązać ją opaską uciskową nad raną od kuli. Młoda uklękła po drugiej stronie mężczyzny i zabrała się do opatrywania mu ramienia.

Kiedy skończyli, Briac był na granicy utraty przytomności. Średni pochylił się nad nim i palcem podciągnął mu powiekę.

– Gdzie księga? – spytał.

Krew z rozciętej piersi Średniego kapała Briacowi na koszulę, ale zdawało się, że Sędzia wciąż nie zauważył rany.

– Bezpieczna – wymamrotał mężczyzna. – Dopóki mnie nic nie grozi.

– Gdzie? – naciskał Średni.

– Bezpieczna...

W tym momencie Briac stracił przytomność. Średni potrząsnął nim mocno, ale bezskutecznie.

Młoda Sędzia osunęła się na ziemię, obserwując ich. Kierując umysł ku swojej ranie, ujrzała, że krwawi powoli, w zgodzie z jej obecnym tempem. Jednakże w chwili zranienia krew musiała chlusnąć znacznie obficie, płynąc w rytmie jej bitewnych ruchów. Tuż obok niej wsiąkała w grunt wielka kałuża czerwieni. Rana nie przeszkadzała jej w niczym, ale utraciwszy zbyt wiele krwi, jej ciało zwyczajnie przestałoby funkcjonować.

Średni stanął nad nią i oderwał pas materiału od własnej szaty. Nie przerywając tej czynności, mocno wbił stopę w ranę na jej brzuchu. Spojrzał na nią z góry w taki sposób, w jaki patrzył na małe zwierzęta, jakby jej ból sprawiał mu rozkosz. Nie mogła uciec od kopnięcia, ale też nie krzyknęła.

Z kieszeni wewnątrz płaszcza Średni wydobył athamen Sędziów. Był mniejszy od innych athamenów i finezyjnie wykończony. Z miejsca, w którym leżała, Młoda Sędzia mogła dostrzec symbol wyrzeźbiony na główicy rękojeści: trzy splecione owale. Średni ostrożnie wysunął delikatne krzesiwo z podłużnego zagłębienia z boku athamenu. Uderzył jednym o drugie i powietrze zawibrowało przenikliwie.

Kreśląc krąg w powietrzu, Średni rozciął tkankę świata i otworzył wrota do Tam. Potem chwycił Briaca za klapy, podniósł go szarpnięciem i objął.

– Teraz możesz umrzeć – rzucił do Maud.

Trzymając mężczyznę w uścisku, zrobił krok nad krawędzią anomalii i wszedł w mrok po drugiej stronie.

Młoda Sędzia widziała przez portal, jak Średni układa Briaca na ziemi, po czym przewiązuje sobie krwawiącą pierś strzępem materiału wydartym z płaszcza. Wbiła paznokcie w ziemię, podciągając się w stronę przejścia, którego brzegi pulsowały energią płynącą do wewnątrz, do *tamtego miejsca*, ale ciało nie chciało



już słuchać poleceń woli. Zdołała przesunąć się zaledwie o kilkanaście centymetrów, kiedy wici ciemności i światła zaczęły zatracać kształt, wsączając się w siebie nawzajem. Otwór zarastał. Kilka chwil później anomalia zniknęła wraz z mężczyznami po drugiej stronie.

Średni przyrzekł kiedyś, że jej nie skrzywdzi, ale chaos na atakowanej posiadłości dał mu sposobność, której nie zdołał się oprzeć. Pewnego dnia, kiedy będzie musiał wyjaśnić mistrzowi, co się z nią stało, winą za jej śmierć obarczy Johna.

Młoda Sędzia złożyła głowę na ziemi. Leśny grunt przyjemnie chłodził policzek. Powoli zamknęła oczy...

## Rozdział 19

### Shinobu

Podążając za dźwiękiem zniekształconego głosu Johna, Shinobu docierał już do północnego krańca błonia, kiedy pod palcami wyczuł inskrypcję wyrytą na rękojeści noża. W pomarańczowym blasku płonącej nieopodal chaty podniósł broń do oczu, aby odczytać zdobiące ją litery i cyfry. Minęła dłuższa chwila, zanim, przyglądając mu się z bliska, zdołał odcyfrować napis. Na samym końcu trzonu rękojeści wyżłobiono misternie znaki „HK MMcB AMcB”, dalej zaś liczbę oznaczającą rok. Powiódł opuszką palca po literach, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że naprawdę tam są.

HK MMcB AMcB

I data zapisana na nożu – sprzed sześciu lat.

„MMcB”. „McB” to MacBain, to było oczywiste, jego własne nazwisko, a „MMcB” mogło oznaczać tylko Mariko MacBain, jego matkę. „AMcB” to mógł być Alistair. A „HK”...?

Ojciec uderzył go tym nożem, ale rękojeścią naprzód. Nie próbował go zabić. Nawet schwyty w straszną niewolę pola zakłócającego, na tyle panował nad swoim umysłem, aby przekazać synowi swój nóż. Nóż z wyrytą na nim wiadomością.

Matka Shinobu zginęła siedem lat temu, w wypadku samochodowym, a jednak na nożu widniały jej inicjały i późniejsza data. Czy to możliwe...?

– Mój Boże... – Słowa wypłynęły z ust Shinobu bez udziału jego woli.

Porzucił ojca, aby skończył w najstraszliwszy z możliwych sposobów. Odmówił mu nawet tej odrobiny współczucia, jaką człowiek winien jest każdemu, nawet nienawistnemu wrogowi. W obliczu agonii Alistaira zachował się jak rozwyrzony dzieciak. Teraz fragmenty wspomnień, zdarzenia z dzieciństwa, strzępki rozmów o rodzinie mamy zaczęły układać się w spójną całość i chłopak wszystko zrozumiał.

„Jest Japonką, Shinobu, ale jej rodzina przez długi czas mieszkała w Hongkongu – powiedział mu ojciec dawno temu, kiedy przechadzali się we dwóch po nabrzeżu Corrickmore. – Czasem wyobrażam sobie, jak tobie by się tam żyło...”

Chłopak jeszcze raz spojrzął na rękojeść noża. Wyobraził sobie Mariko zanoszącą broń do grawera, aby wykonał inskrypcję. Wyobraził sobie ojca przyjmującego sekretny podarek – pamiątkę, z którą nie rozstanie się ani na chwilę przez następne lata, dowód, że ona żyje, jest bezpieczna i nie zapomniała o nich. Czy to mogła być prawda?

Shinobu zawrócił i pobiegł, osłaniając twarz rękawem, aby choć trochę

zabezpieczyć płuca przed dymem, ale w lesie powietrze było czystsze i między drzewami mógł biec szybciej.

Znalazł Alistaira w połowie stoku wzgórza, rozciągniętego nieruchomo na ziemi, twarzą do dołu. Padając na kolana u boku ojca, chłopak szukał wzrokiem iskier pola zakłócającego, ale błyskała ich tylko garstka, a i te szybko przygasały, ledwie widoczne nawet w leśnym mroku, rozjaśnianym tylko księżycową poświatą. Z ciężkim sercem położył dłonie na ciele ojca i pchnął, przewracając go na plecy.

Wielkolud leżał całkowicie nieruchomo, z lekko uchylonymi powiekami. Twarz miał przeciętą paskudną raną. Wielka wilgotna plama zlepiająca mu włosy z boku głowy znaczyła miejsce, w którym coś wgniotło mu czaszkę.

Shinobu przytknął palce do szyi ojca, ale nie wyczuł pulsu. Alistair był martwy. Chłopak patrzył w milczeniu, jak ostatnia iskra rozrywacza rozbłysła nad ciałem i zgasła.

Człowiek uwięziony w polu zakłócającym zwykle nie jest w stanie połączyć swoich myśli na tyle długo, aby samemu skrócić swoją mękę. Ale leżący tuż obok kamień, ociekający krwią, opowiadał inną historię. Po nie wiadomo ilu próbach Alistair zapewne zdołał uderzyć weń głową dość mocno, aby ze sobą skończyć. Ojciec Shinobu zrobił dla siebie to, czego odmówił mu własny syn.

Chłopak usiadł na piętach, uderzony falą ciężkiego, pochłaniającego wszystko żalu.

– Przepraszam, tato... – załkał. – Tak strasznie mi przykro... Czy ona naprawdę tam jest? Przez cały ten czas tam była? O Boże! Jestem nędznym śmieciem...

Pochylił się, opierając czoło o pierś martwego ojca, przytłoczony ciężarem wstydu.

Dobiegający zza wzgórza tętent kopyt obudził go z odrętwienia, przypominając, że bitwa wciąż trwa. Żałoba musiała poczekać. Shinobu oderwał się od ciała ojca i puścił biegiem przez las.

Na szczycie wzgórza, w jaśniejszym świetle księżyca przedostającym się przez wyłom w leśnej gęstwie, powitał go znacznie miłszy widok. Poniżej, u stóp wzniesienia, zobaczył Quin i Fionę. Dziewczyna siedziała w siodle Yellena i pomagała matce wspiąć się na koński grzbiet. Kiedy Shinobu pojawił się na szczycie wzgórza, Quin podniosła na niego oczy i skinęła mu ręką. Potem sięgnęła za poję płaszcz i wydobyla stamtąd athamen. Kamienny sztylet zajaśniał w świetle księżyca, zdając się delikatnie świecić własnym światłem w jej ręce.

Chłopak poczuł przypływ nadziei. Mogli uciec z posiadłości razem, w tej chwili. Ruszył w dół stoku w stronę kobiet.

– Quin! Quin! Tu jesteś!

Głowa Shinobu gwałtownie obróciła się w stronę, z której dobiegł okrzyk. To był John. Wołał swoim prawdziwym głosem i wydawał się bardzo przejęty.

Jechał konno, podobnie jak człowiek z rozrywaczem, w którego towarzystwie przygalopował na polanę.

Wyhamował swojego wierzchowca przed Quin i Shinobu dostrzegł moment, w którym jego oczy wypatrzyły athamen w jej dłoni.

– A więc ty go masz – wysapał. – Dzięki Bogu, masz go!

Dziewczyna ściągnęła wodze Yellena i wielki koń zaczął się cofać. Wyglądała na niepewną tego, co powinna uczynić.

– Już wszystko dobrze – zapewnił ją John, wyciągając przed siebie dłoń w uspokajającym geście. – Jesteś bezpieczna. Mamy athamen. Odnależliśmy się. Sądziłem, że wyjechałaś.

Quin zerknęła szybko na Shinobu, wciąż skrytego przed wzrokiem Johna wśród drzew w połowie drogi ze szczytu.

„Ona chce uciec – pomyślał chłopak – ale tak, żeby nie skrzywdzić Johna”. Po tym, co przytrafiło się Alistairowi, Shinobu nie miał takich skrupułów.

– Nie mogę ci tego oddać, John. – Dziewczyna pokręciła głową. Jej głos drżał z emocji. – Nie powinieneś go mieć. Przykro mi.

Jej oczy znów dyskretnie odszukały Shinobu, który nagle zrozumiał, jakie miała intencje. Pozbędą się chłopaka i wykorzystają athamen.

Zanim John zdążył zbliżyć się do niej, szarpnęła głowę Yellena w tył, spięła konia piętami i razem z Fioną pogalopowała w las.

– Quin, czekaj! Posłuchaj mnie! – Chłopak spiał własnego wierzchowca i pognął za nimi.

„Ona nie zamierza go dłużej słuchać!” – uświadomił sobie Shinobu, zdjęty uczuciem złośliwej satysfakcji.

W jednej chwili ściągnął kuszę z grzbietu, napiął ją i posłał bełt w powietrze.

Pocisk chybił celu, ale utkwiał w siodle Johna, przebijając je i kalecząc konia. Zwierzę zakwiczało przeraźliwie i stanąwszy dęba, wpadło prosto pod nogi drugiego wierzchowca. Mężczyzna, obciążony masywem rozrywacza na piersi, zachwiał się, ale zdołał utrzymać w siodle. Shinobu dostrzegł swoją szansę. Wskoczył spomiędzy drzew i na złamanie karku pognął w dół zbocza, w stronę jeźdźców.

Zanim pokonał połowę drogi, John wyrwał bełt kuszy z siodła i odzyskawszy panowanie nad spłoszonym koniem, rzucił się w pogoń za Quin, uciekającą na błonie.

Shinobu podbiegł do drugiego jeźdźcy, złapał go za płaszcz i brutalnie ściągnął z siodła. Mężczyzna gruchnął ciężko na ziemię i stęknął pod ciężarem rozrywacza, który prawie zmiażdżył mu klatkę piersiową. Chwilę potem chłopak rąbnął go kuszą na odlew w głowę, roztrzaskując zabytkową broń na kawałki.

– To za Alistaira! – krzyknął, po czym wskoczył na siodło i pogalopował za Johnem.

Quin i Fiona pędziły szaleńczo na Yellenie przez błonie. John ścigał je, chłószcząc swojego rumaka wodzami. Po białym boku zwierzęcia pełzła w tył strużka krwi.

Shinobu wbił pięty w boki zdobycznego konia i siekł go wodzami, zmuszając do opętańczego cwału. Wypadł na łąkę i nagłym zrywem zdołał zrównać się z Johnem. Cwałowali łeb w łeb. Wiatr wzmógł się, zdmuchując dym z błonia, nad którym zaświecił oślepiająco jasny księżyc.

– Chcę tylko tego, co moje! – krzyknął chłopak zza swojej maski.

– A Alistair?!

– Nie chciałem, żeby to się stało! Słowo daję, nie chciałem!

Shinobu z impetem rzucił się w bok, próbując wysadzić Johna z siodła, ale ten, zamiast runąć na ziemię, chwycił jego rękę i nieoczekiwanie pociągnął ku sobie, wytrącając go z równowagi. Chłopak wczepił się dłonią w ramię przeciwnika, aby nie zlecieć z własnego siodła. Drugą ręką szukał lejców.

John wyszarpnął wodze spod dłoni intruza, sprawiając, że koń skręcił gwałtownie, ostatecznie ściągnając Shinobu z siodła. Wymachując nogami w powietrzu, chłopak wpił się w ramię jeźdźca żelaznym uściskiem i zawisł na nim całym swoim ciężarem. W ostatniej chwili zdołał uchronić się przed upadkiem, łapiąc między nogi łydkę Johna. Drugą ręką panicznie szukał łęku siodła.

Mimo dzikich podrzutów galopującego konia poczuł ruch ręki Johna, który sięgnął po pistolet, a w następnej chwili chłód twardego metalu na ramieniu. Chłopak na pewno strzeli! Dłoń Shinobu trzymała łęk; opuszki dotykały wodzy. Środkowym palcem przyciągnął płaski rzemień do dłoni i chwyciwszy go, szarpnął lejce z całej siły, ściągnając łeb konia w bok i ku dołowi.

Zwierzę stanęło dęba, obróciło się na tylnych nogach i omal nie przewróciło, zrzucając obu jeźdźców z grzbietu. Pistolet niegroźnie wypalił w powietrze, a John i Shinobu potoczyli się po łące, pozostawiając za sobą szlak wygniecionej trawy. A potem posypały się ciosy, jak podczas bijatyki w pubie, tyle że ręka Johna – ta, w której trzymał broń – nie działała jak należy. Uszkodził ją sobie, spadając z konia. Wypalił z pistoletu jeszcze raz, na oślep, a Shinobu wyrznął pięścią w jego nadwerżony nadgarstek. Chrupnęła pękająca kość, wydzierając ryk bólu z gardła Johna. Broń upadła miękko w trawę.

Trzydzieści metrów dalej przez łąkę biegł ku nim mężczyzna z rozrywaczem. Shinobu słyszał skowyt broni przygotowującej się do strzału. Bez namysłu zerwał się na równe nogi i puścił biegiem w stronę, w którą uciekła Quin.

## Rozdział 20

### Quin

Quin ściągnęła wodze Yellena, osadzając go w miejscu. Kłujący ból, a potem uczucie drętwoty rozlało się jej w piersi, coraz bardziej utrudniając oddychanie. Obejrzała się i zobaczyła biegnącego w jej stronę Shinobu. Wzniosła nad głową athamen, a drugą ręką wydobyla krzesiwo z fałd płaszcza.

– Trzymaj się mnie mocno, mamó! – poleciła. Widziała ręce Fiony, obejmujące ją w talii, ale nie czuła ich dotyku.

Chłopak pokonał już połowę dzielącego go od niej dystansu, ale John znów dosiadł konia i właśnie spinał go do biegu. Też był ranny, ale popychała go naprzód rozpaczliwa furia. Quin wiedziała, że może zakończyć to wszystko w jednej chwili. Wystarczy, że odda mu athamen. Przecież błagał ją o pomoc.

Ale nie mogła tego zrobić. Chłopak zranił Fionę i próbował zastrzelić Shinobu. Skrzywdził dwoje ludzi, którzy nigdy nie zrobili mu nic złego. A skoro był w stanie skrzywdzić ich, aby odzyskać swój kamienny sztylet, co mógłby zrobić, gdyby dostał go w swoje ręce?

– Trzymaj się, mamó! – zawołała znowu i popędziła Yellena w stronę Shinobu. – Szybciej, Shinobu!

Choć mięśnie miała zwiotczałe od wyczerpania, zdołała uderzyć athamenem o krzesiwo, wznosząc falę dźwięku.

Przez tętent końskich kopyt i swój własny umęczony oddech usłyszała, a właściwie poczuła przejmującą wibrację, rozsiewaną przez kamienny sztylet. Zakręciło się jej w głowie, a ręce zaciążyły jej jak głazy, ale udało jej się zatrzymać Yellena. Ściskając jego grzywę, pochyliła się naprzód i ostrzem athamenu nakreśliła wielki krąg tuż przed końskim łbem.

Shinobu był już blisko. Biegł, ile sił w nogach ze smugami popiołu w rudej czuprynie i dziką determinacją w oczach. John deptał mu po piętach.

Wici z ciemności i światła wyrastały znikąd, rysując przed nimi koliste przejście, którego krawędzie pulsowały energią zasysaną do wewnątrz, w stronę ciemności.

– Quin, nie! Proszę, zaczekaj! – krzyknął John.

Nie miała już czucia w piersiach, a odrętwienie rozszerzało się na ręce. Poczowała dziwny ucisk w brzuchu – to mama objęła ją mocniej. Ścisnęła piętami boki Yellena i koń wybił się naprzód do wysokiego, doskonałego skoku, takiego samego, jak te, którymi przenosił dziewczynę ponad płotami. Przebrnęli gładko przez przejście dokładnie w chwili, kiedy wici zaczęły mięknąć, sycząc i rozplatając się w nicość.

– Shinobu! – próbowała krzyknąć Quin, ale z jej gardła wydobywały się tylko stłumione dźwięki.

Chłopak dobiegł do anomalii i w ostatniej chwili zdążył wskoczyć w zamykające się przejście. Czarno-białe wici roztrzepotały się rwącym nurtem energii, który poniósł go w ciemność. Spojrzawszy za siebie, dziewczyna zdołała jeszcze ujrzeć Johna, który przycwałował do przejścia i zerwał z twarzy maskę. Z udręczoną miną patrzył na nią przez kurczący się otwór, ale wzrokiem omijał jej twarz, koncentrując się na jej piersi.

– O, Boże... Quin... Nie... – usłyszała jeszcze jego głos.

Spojrzała w dół i ujrzała wielką, ciemną plamę czerwieni, która rozlewała się na przedzie jej koszuli. Została postrzelona.

Wtedy anomalia zarosła całkowicie, odcinając posiadłość wraz z jej całym światem i pogrążając uciekinierów w mroku.

## Rozdział 21

### Quin

Quin zsunęła się z grzbietu Yellena i wylądowała w nicości.

Jej matka była z nią, gdzieś blisko. Dziewczyna czuła jej ręce, które szukały po omacku ciała córki.

– Nie widzę cię... Nie widzę cię... – Mowa Fiony brzmiała dziwnie, jak echo jej prawdziwego głosu, cienkie i rozciągnięte.

Quin nie miała czucia w piersi, ale domyślała się, że odrętwienie nie będzie trwało wiecznie, a kiedy się skończy, ustąpi miejsca męce agonii. Już rwał się jej oddech, a ciałem zaczynały wstrząsać dreszcze.

– Postrzelili mnie – szepnęła. – Może i dobrze się stało...

– Cii, nic nie mów – powiedziała Fiona.

Tkwiły w płątaniu rąk i nóg, jak gdyby wraz z nimi wkroczyło w anomalię co najmniej dziesięć osób.

– John mógł cię zabić... Wszystko przepadło...

– Cicho, Quin. – Głos matki zdawał się dobiegać z daleka, choć dziewczyna była pewna, że dłoń dotykająca jej brzucha należy właśnie do niej. – Co przepadło? Jesteś tutaj ze mną. Wyrwałyśmy się stamtąd.

– Robiłam złe rzeczy, mamó. Zrobiłam ich tak wiele, że nie potrafię od nich uciec.

Quin usłyszała szept Shinobu recytującego hymn czasu:

– *Dobrze wiem, gdzie początek mojej drogi, gdzie znajdę jej kres...* – Szept zdawał się przybliżać.

Jej własne poczucie czasu ulegało subtelnym zmianom.

– Jak długo...

– Jak długo co?

– ...tutaj jesteśmy? – dokończyła Quin słabym głosem.

– Nie wiem – odpowiedziała Fiona z oddali.

Czyjaś dłoń spoczęła na prawej ręce dziewczyny, a potem druga dotknęła lewej. Nawet w ciemności wiedziała, że to Shinobu. W dotyku jego rąk, które zsunęły się po jej przedramionach, aby wyjąć jej z dłoni athamen i krzesiwo, wyczuwała przemyślaną pewność siebie. Było jej zimno, on zaś był tak ciepły...

– Nie wiem, dokąd mam pójść – poskarżyła się szeptem.

– Ja wiem – zapewnił chłopak, przyciągając ją do siebie. – Dasz radę nie zasnąć?

– Nie wiem...

– Postaraj się. Musisz się postarać.

– Wszystko w ruinie – wyszeptała.

– To prawda – przytaknął.



W słabej poświacie athamenu zobaczyła jego dłonie manipulujące pokrętłami rękojeści, ustawiające je na nowy zestaw współrzędnych.

Wibracje przeszły ją sennym dreszczem, kiedy Shinobu uderzył krzesiwem w kamienną klingę. Powoli opadły jej powieki.

– Quin, proszę, nie zasypiaj! – Poczwała jego gorączkowe ruchy. – Fiona, musisz ją złapać za stopy. Fiona!

Dziewczyna z wysiłkiem podźwignęła powieki i przed oczami zamajaczyła jej nowa anomalia. Słyszała jej huczenie. Nieśli ją. Podmuchał świeżego powietrza owionął jej twarz. Kiedy znów otworzyła oczy, znajdowali się na jakiejś jasnej, otwartej przestrzeni. Natarczywy żar słońca palił jej skórę.

Chwiała się na krawędzi świadomości. Przestrzeń wokół niej wypełniało zawodzenie syren i głosy ludzi mówiących w obcym języku. Otaczały ją twarze o azjatyckich rysach, pierś zaś wypełniał rozpalony do czerwoności ból, przytłaczający w swojej intensywności.

Wizja odpłynęła w mrok, a potem pojawiła się nowa – ciche pomieszczenie oświetlone pełgającymi płomykami świec i drobny mężczyzna o siwych włosach, skośnych oczach i pogodnej twarzy. Ból z wolna ustępował. Jak długo tu leżała? Minuty? Godziny? Dni? A może wcale jej tutaj nie było, może wciąż tkwiła Tam. Z oddali dobiegał ją własny głos. Powieki nie chciały pozostać otwarte.

Drobny mężczyzna coś do niej mamrotał. Quin nie była pewna, czy dobrze go rozumiała. Miała wrażenie, że uszy wypchano jej watą. Mimo to ogarnęło ją uczucie błogości, z którym znów odpłynęła w nieświadomość.

## Rozdział 22

### Shinobu

Shinobu zaczekał do późnej nocy, kiedy Most prawie w całości opustoszał. Odnajdywał drogę, klucząc przez wąskie korytarze i ciemne klatki schodowe, aż dotarł do zewnętrznej kratownicy i przeszedł po belce nośnej do samej krawędzi niczym akrobata na równoważni.

Ze swojego miejsca widział zatokę i setki tysięcy miejskich świateł po obu stronach Mostu – więcej świateł, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się zobaczyć w jednym miejscu. Przy brzegu ocean jarzył się jasno, odbijając blask gmachów tak smukłych i wysokich, że wyglądały niczym monstrualne źdźbła trawy chwiejące się lekko w nocnym powiewie. Ale tutaj, pod Mostem, woda była ciemna.

Obraz ojca tkwił wypalony w jego umyśle – Alistair zgrzytający zębami, z twarzą wykrzywioną bólem, zalaną krwią i pokrytą ranami od bicia głową o kamień.

Wciąż jeszcze czuł dotyk rękojeści noża, który ojciec wciskał mu w otwartą dłoń, usiłując – ostatnim przebłyskiem zdrowych zmysłów – pomóc mu. A Shinobu nie uczynił dla niego nic w zamian.

Wszystkiemu winny był John. To on zorganizował atak. Ale czy można było go obwiniać za nienawiść do Briaca? Czy Shinobu mógł go winić za napaść? Nie mógł. Na miejscu chłopaka prawdopodobnie postąpiłby tak samo. On także marzył o zemście na Briacu.

Ale on, Shinobu, był synem Alistaira. Mógł okazać mu miłosierdzie w chwili, w której ojciec najbardziej tego potrzebował, ale odmówił. To była jego własna decyzja.

Oparł dłoń na stalowej belce nad głową, zbierając się w sobie i wychylając naprzód ponad czarną wodą, płynącą z odpływem daleko pod Mostem. Wyjął krzesiwo, które trzymał ukryte pod ubraniem, i cisnął je najdalej, jak potrafił, w głębiny. Nie czekając, aż spadnie, przeskoczył na sąsiedni dźwigar, a potem na kolejny, poruszając się wzdłuż zewnętrznej konstrukcji Mostu. Kiedy dotarł mniej więcej do połowy długości przęsła, wyjął athamen. Rzucił go wysokim łukiem pod nocne niebo i patrzył, jak spada, wirując, aby w końcu uderzyć w wodę i natychmiast zniknąć w mrocznej toni.

„Niech zabierze je morze; niech pochłonie wspomnienie tych iskier. Niech pochłonie wszystko...”

Wrócił na główny pasaż Mostu, do domu Mistrza Tana. Wspiąwszy się po zewnętrznych schodach budynku, zajrzał do mieszkania przez okno na drugim piętrze. Quin leżała na stole w oświetlonym świecami pokoju. Pierś miała owiniętą skomplikowanym bandażem, z różnych miejsc na całym ciele sterczały jej igły

akupunktury z tłącymi się ziołami na końcach. Przez okno sąsiedniego pokoju zobaczył Fionę z zabandażowaną szyją, śpiącą twardo na kanapie.

Dziewczyna umarła, był tego pewien. Kiedy zaniósł ją na Most, nie oddychała już i zaczynała stygnąć. Teraz wciąż miała zamknięte oczy, ale jej policzki wydawały się lekko zaróżowione. Shinobu odniósł wrażenie, że próbuje coś powiedzieć.

Mistrz Tan pochylił się nad jej głową, mówiąc coś cicho. Chłopak ścisnął dłońmi ramę okna i przesunął skrzydło o kilka centymetrów w górę, aby lepiej słyszeć.

– Dziecko... Dziecko... – szeptał mężczyzna głosem niczym z malarycznych majaków. – Nie ma potrzeby tak cierpieć. – Jego ręka wygładziła zmarszczki na czole Quin. – Możesz zapomnieć, jeśli chcesz. Wszystko. – Dziewczyna rzucała głową z boku na bok. – Zapominanie jest... proste jak podjęcie decyzji, kojące jak zakopanie się w ciepłej pościeli – mamrotał Mistrz Tan. – Dziecko, odeszłaś i zdołałaś wrócić. Wolność. Oto dar, który mogę ci zaoferować. – Brwi Quin znów zmarszczyły się nad zamkniętymi powiekami. – Wybór może być szybki jak uderzenie serca albo tak długi jak całe życie. Możesz zostawić to wszystko za sobą – wyszeptał Mistrz Tan. – Jaka jest twoja decyzja?

Wyraz wzburzenia przemknął przez jej twarz, a potem, pod skupionym wzrokiem obserwującego scenę Shinobu, dziewczyna mruknęła coś do mężczyzny i wyraźnie rozluźniła się. Po chwili wyglądała po prostu jak ktoś, kto zapadł w naturalny sen.

Czy to możliwe? Czy można tak po prostu zetrzeć tablicę życia i zacząć od nowa? Chłopak potarł powieki grzbietem dłoni, próbując pozbyć się wizji własnego ojca leżącego w leśnym runie z zakrwawioną głową.

Tam leżała Quin, jego kuzynka (daleka kuzynka! – jak zawsze podkreślał). Powinien czuwać u jej boku. Być może, kiedy dojdzie do siebie, spojrzy na niego tak, jak on zawsze patrzył na nią. Po tamtej nocy, kiedy złożyli przysięgę, chciał zabrać ją ze sobą i uciec, ale nie odważył się. A teraz? Z czasem nazbierało się zbyt wiele nieprzyjemnych rzeczy, które musiałby wspominać za każdym razem, kiedy na nią patrzył. Prawda była taka, że nawet on sam nie widział już siebie takim, jakim chciałby być w oczach Quin. Wykonywał bez szemrania wszystkie polecenia Briaca. Opuścił swojego ojca. Nie był człowiekiem, którym powinien być.

Musiał odejść. Dziewczyna w końcu wydobrzeje pod opieką Mistrza Tana, a potem wraz z Fioną ruszy w świat i zniknie gdzieś daleko, gdzie nikt, łącznie z Shinobu, nigdy jej nie znajdzie.

– Żegnaj, Quin – wyszeptał i zbiegł po schodach na dół.

Po krótkim marszu zszedł z Mostu i odszedł w noc w tym nowym, dziwnym mieście, gdzie być może czekała na niego matka i gdzie – jak miał nadzieję – mógł rozpocząć życie od nowa.



Interludium  
Inne czasy i miejsca

## Rozdział 23

### John

John położył się na niewielkim łóżku i wkrótce zmorzył go sen. Zbudził go głośny rumor – ktoś był w salonie i bardzo hałasował. Chwilę później rozległ się drugi łoskot, po nim kolejne, a potem głos miotający przekleństwa. Był to głos, na który czekał. Mama wróciła do domu!

Chłopiec przerzucił nóżki nad brzegiem łóżka i pobiegł do drugiego pokoju. Zastał mamę stojącą na środku salonu, nad przewróconą komodą. Drewniane szuflady były wyciągnięte na zewnątrz, a ich zawartość rozrzucona po podłodze.

Zauważył te szczegóły tylko przelotnie, ponieważ jego uwagę przykuło coś znacznie ważniejszego. Krew. Była wszędzie. Przez krótką chwilę sądził, że to farba, ale plamy i smugi wyglądały jakoś inaczej. Były jakby... prawdziwsze. Krew plamiła spodnie jego mamy, rozpląwała się kałużą pod jej stopami i czerwieniała wielkimi bryzgami na wyrzuconych z szuflad papierach. Catherine miała jasnobrązowe włosy, upięte w kucyk za głową, i one także były upstrzone krwawymi smugami.

– Mama?! – zawołał chłopiec, zbyt przestraszony, aby podejść bliżej.

Kobieta przerwała gorączkowe przetrząsanie szuflad.

– John...

Jego widok tak ją zaskoczył, że przez dobrych kilka sekund trwała w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w synu, z brwiami i ustami ściągniętymi w wyrazie niezrozumienia.

Uwaga chłopca skupiła się na ranie, przecinającej jej lewą nogę w górnej części uda. Mama miała rozdarte spodnie, a rozcięcie obwiązała sobie paskiem jakiegoś materiału, ale wciąż krwawiła. Obficie.

– Kochanie – wykrztusiła wreszcie – co ty właściwie tutaj robisz?

– Ja... Bo ja znalazłem ten adres. Na takim czymś, co miałas w kieszeni, w domu.

Zrobił krok w jej stronę, ale zatrzymał się, tknięty nagłym przeczuciem, że mama może się na niego rozzłościć.

Catherine znów się krzątała, przerzucając rozrzucone na podłodze papiery. Zatrzymała się dopiero, kiedy jej palce zacisnęły się na grubej księdze w skórzanej oprawie. Patrzyła na nią, jakby nie potrafiła sobie przypomnieć, co też miała z nią zrobić, kiedy już ją znajdzie.

– Nie chciałam, żebyś tu przychodził – powiedziała, nie odrywając wzroku od książki.

Johnowi zrobiło się przykro. Przyszedł do tego mieszkania zupełnie sam, żeby zrobić jej niespodziankę.

Catherine z trudem łapała oddech. Słaniając się, podeszła do synka i opadła

ciężko na kolana. Jej błękitne oczy zawisły tuż przed jego twarzą. Ścisnęła dłońmi jego drobne ramiona, a wtedy w nozdrza wdarł mu się słodki, metaliczny zapach jej krwi. To było przerażające.

– Powinieneś być na Obieżyświacie. Bezpieczny.

– Ja... chciałem się z tobą zobaczyć. Nie było cię tak długo. I leci ci krew.

Widział, że prawie go nie słucha. Nasłuchiwała czegoś innego. A może kogoś innego. A może tylko liczyła coś w myśli.

– Wkrótce tu będą. Mało czasu. Damy radę, co nie?

Mimo swoich siedmiu lat John domyślił się, że mama mówi do siebie i nie oczekuje od niego odpowiedzi. Wepchnęła mu skórzany tom za pasek spodni, po czym ze stęknieniem dźwignęła się na nogi.

– Chodź – powiedziała, biorąc synka za rękę. – Nie odstawię cię do samego domu, ale będziesz miał już blisko. Poszukaj pana policjanta. Powiedz mu, kto jest twoim dziadkiem. Musisz bardzo pilnować tej książki. Maggie powie ci, gdzie ją schować.

– Ale jak to? – spytał, szarpiąc ją za rękę, próbując zmusić, aby na niego spojrzała. – Powinniśmy chyba pójść do lekarza?

Catherine wyjęła spod kurtki coś, co wyglądało jak sztylet, ale było wykute z kamienia. Zaczęła obracać kamiennymi pierścieniami, tworzącymi rękojeść. Nagle znieruchomiała, mrużąc oczy, jakby słabo widziała, chociaż sztylet miała tuż przed sobą.

– Mogę jakoś pomóc? – spytał John.

Spojrzała w dół, na ranę ziejącą na jej lewym udzie. Przy butach chłopca rosła już kolejna kałuża krwi. John zwrócił uwagę, że przy wejściu do mieszkania było zupełnie czysto. Krwawe zamieszanie zaczęło się i skończyło na środku pokoju.

Kobieta straciła równowagę i opadła ciężko na jedno kolano.

– Nie, nie, nie – wymamrotała.

Położyła dłonie na ramionach Johna i spróbowała się podnieść, wykorzystując go jako podporę, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Wyraźnie opuszczały ją siły. Chłopiec nie był pewien, jak mógłby jej pomóc. Zaczęła ogarniać go panika.

– Nie mogę cię zabrać – wyszeptała wreszcie. – Sama mogłabym zaryzykować, ale gdybyś został Tam sam jeden... Nie mogę cię na to narazić.

Gojące łzy płynęły jej po policzkach i kapały na podłogę, mieszając się z krwią.

– Mamo, proszę, nie moglibyśmy pójść do lekarza? Mają bandaże i inne rzeczy. Na pewno wyleczą ci tę nogę.

Usiadła chwiejnie. Wydawało się, że z trudem utrzymuje otwarte oczy. Przysunęła się bliżej i pochyliwszy się w jego stronę, zakrwawioną dłonią

odgarnęła mu włosy z twarzy.

– Mam tylko kilka minut – powiedziała. – Domyślą się, dokąd uciekłam. Nie zajmie im to długo. – Przeczesała dłońmi włosy, starając się skupić myśli. – Schowaj książkę tam – poleciała nagle, wskazując szafę pod ścianą. – Zajrzyj na dół.

Drżącymi dłońmi John wyjął książkę z zapaśnika i przeszedł przez pokój. W dolnej części szafy znalazł sejf, którego metalowe drzwi były otwarte.

– Włóż to do środka i zamknij. Czerwony guzik blokuje drzwi. Będzie tego szukał... Będę mogła się targować... – Catherine słabła.

John zrobił to, co mu kazała. Zamknąwszy książkę w sejfie, odwrócił się do mamy. Wciągała powietrze panicznymi haustami.

– Chcę, żebyś... zrobił dokładnie... to, co ci powiem. Szybko i bez gadania. Obiecujesz?

Skinął głową ponuro.

– Dobry z ciebie chłopak. W tamtej ławie... jest skrytka. Ja nie mogę dotykać, bo krew. Poznają... Ty otwórz. Czeka! Buty. – Obejrzała jego obuwie, które jakimś cudem nie zabrudziło się krwią. – Dobrze. Idź, otwórz.

John podszedł do długiej ławy dobudowanej do ściany salonu i uniósł ciężką deskę, tworzącą siedzisko. Skrzynia pod spodem przypominała trumnę i zawierała kolekcję przypadkowych przedmiotów: kilka poduszek, jakieś narzędzia, koc.

– Mam tam wejść? – spytał.

– Nie tam. Pod spód. Drugie dno. Wyczujesz... taką małą dźwigienkę. Dno się przesunie, jak naciśniesz.

Chłopiec powiodł ręką wokół ścianek skrzyni. Jego drobne palce natrafiły na dźwigienkę. Naciśnął ją, a wtedy dno odsunęło się na kilka centymetrów w głąb ściany.

– Rzeczy zostaw na wierzchu, jeśli dasz radę – powiedziała Catherine.

John wgramolił się do środka i wcisnął dolną część ciała pod fałszywe dno. Szczelina nie była szeroka, ale prowadziła do skrytki pod podłogą, gdzie mógłby się zmieścić dorosły człowiek.

– Teraz zasun dno z powrotem – usłyszał głos mamy.

Odsunął poduszki i inne rzeczy na jedną stronę, żeby niczego nie przyciąć, po czym przykucnął pod drewnianym dnem skrzyni i zapierając się obiema rękami, przesunął je, zamykając szczelinę nad sobą.

Bał się, że będzie musiał tkwić w całkowitej ciemności, ale z ulgą odkrył, że do skrytki wciąż wpada trochę światła. U podstawy skrzyni wycięto wąskie szczeliny, przez które mógł wyglądać na wewnątrz salonu.

Mama leżała na podłodze niedaleko od niego. Oczy miała otwarte, ale wzrok pusty. Jej pierś na przemian unosiła się i ciężko opadała. Po kilku chwilach zamknęła oczy. Mobilizując siły i postępując, przyczołgała się nieco bliżej skrzyni.



John widział jej twarz przez szczeliny.

– Za tobą jest dźwignia – wykrztusiła. – Zamyka wieko.

Chłopiec cofnął się i pomacał tylną ścianę. Jego palce zamknęły się wokół płaskiej metalowej sztaby, którą zdołał nacisnąć w dół. Wzdrygnął się, kiedy ciężkie siedzisko ławy zatrzasnęło się z hukiem na skrzyni.

Catherine sięgnęła po leżący na podłodze kamienny sztylet i przesunęła go tak, aby John dobrze go widział. Oddychała teraz w dziwny sposób, jakby powietrze opierało się przed wciągnięciem do jej płuc.

– Mamo, proszę, czy możesz pójść do lekarza? – chlipnął. Próbował powstrzymać się od płaczu, ale nie potrafił. – Ja zostanę tutaj, jeżeli chcesz.

– Chcę, żebyś posłuchał mnie bardzo uważnie. – Pauza na oddech. – Czy widzisz ten sztylet?

– Tak, mamo.

– Nazywa się athamen. Powtórz... Tak, żebyś zapamiętał. „A-tamen”.

– „A-tamen” – wyszeptał.

– To twoje dziedzictwo, John. Należy do naszej rodziny od... setek... może tysiąca lat. – Znowu przerwała, próbując złapać oddech. Zajął to kilka chwil.

– Może opowiesz mi po lekarzu, co? – poprosił.

Kałuża krwi wokół Catherine była już znacznie większa, niż kiedy wpełzał do swojej kryjówki. Przysunął się z powrotem do szpar w podstawie ławy, potracając stopą coś twardego. Sięgnąwszy w dół, poczuł pod dłonią gładki, zimny metal. Na podłodze skrytki leżało coś w rodzaju hełmu. Odepchnął go z drogi i przykucnął z twarzą tuż przy szczelinach.

– Należymy do starożytnego rodu. Ale zdradzono nas... wymordowano... ograbiono. – Znowu przerwała na kilka oddechów. – Cholera, nie ma czasu... Maggie ci opowie.

Przechyliła kamienny sztylet tak, aby go lepiej widział przez szpary tuż nad podłogą.

– Skradziono nam to... Sto lat temu. Ale odzyskałam naszą własność.

Przysunęła athamen jeszcze bliżej.

– Widzisz to? – Wskazała na rękojeść.

Na głowicy widniał wyryty w kamieniu mały rysunek zwierzęcia.

– Lis – wykrztusił chłopiec przez ściśnięte gardło.

– Lis. Nasze godło. Z athamenem... Władza nad życiem i śmiercią. – Zaśmiała się cicho. – Tyle że teraz... Dla mnie już tylko śmierć.

– Mamo, proszę...

– Ty będziesz miał władzę nad życiem i śmiercią, John. Będziesz decydował. Oni... zdradzili mnie. Oni myślą... że jesteśmy mali, słabi, bezbronni... że łatwo nas pokonać, zabić... Czy łatwo nas zabić, John?

– Nie – szepnął.

– Nie. Athamen pozwoli ci... decydować... Oni go zabiorą, ale ty znów go odzyskasz.

– Jak...?

– Zmuszę ich do ugody... Wytarguję... Briac. Briac Kincaid. Powtórz to imię.

– Briac Kincaid – szepnął chłopiec.

– Byli z nim inni, widziałam, więc myślę, że będą... świadkowie. Zmuszę go, żeby przyrzekł... Będzie cię uczył... jeśli poprosisz. A kiedy złożysz przysięgę, będzie musiał powiedzieć ci... wszystko, co zechcesz wiedzieć. Wszystko, John. Ale najpierw musisz ukończyć szkolenie i złożyć przysięgę. I być dość silnym, żeby odebrać z powrotem...

– Czego mam się uczyć? Co przysięgnąć?

– Wszystko nabierze sensu, John. Ta księga... Bo widzisz, ja wiem więcej niż oni... Jedno i drugie... – Catherine uśmiechała się. – We właściwych rękach jest równie cenna jak athamen. Teraz będę musiała oddać mu ją, ale ty znów ją odnajdziesz i jeszcze... Spisywaliśmy... Przez tysiąc lat... Tak blisko...

Musiała przerwać. Chłopak widział, że matka wciąż oddycha, ale jej stan pogarszał się z każdą chwilą. Plama krwi powoli rosła. Jak wiele krwi może pomieścić ludzkie ciało? Po chwili Catherine znów się odezwała:

– Twoja przysięga i twój athamen. Ten z lisem. Przyrzeknij mi...

– Przyrzekam – wybełkotał przez łyzy.

– Powiedz to jeszcze raz, John.

– Przyrzekam – zaszlochał. – Moja przysięga i mój athamen! Ten z lisem.

Łzy spływały mu po policzkach strumieniem. Słyszał, jak kapią na deski u jego stóp.

Catherine ułożyła athamen na podłodze obok siebie. Jej pierś unosiła się i opadała w przyśpieszonym tempie.

– Nie możesz bać się działania... Bądź gotów zabijać...

– Jak to, mamie?

– Tak trzeba... żeby przeżyć... czasem dla pieniędzy... Tak zdobyłam dla nas Obieżyświata... To drobne śmierci... Będą i większe... Odplacisz im za to... – Gestem wskazała kałużę krwi rozlewającą się wokół niej. – Zrób co należy. Nie będziesz na niczyjej łasce, rozumiesz?!

– Tak. – Głos Johna był słaby.

– Nasz ród podźwignie się, a inne upadną... jak powinny były już dawno temu – mówiła coraz ciszej, aż przeszła do szeptu. – Zamknij oczy.

– Nie możesz pojechać do szpitala...?

Pokój rozhuczał się wibracją, niską i przenikliwą. Chłopiec czuł ją w samych trzewiach.

– Już idą... – szepnęła Catherine, zamykając oczy. – Bez względu na to, co

zobaczysz... masz być absolutnie cicho. Powiedz Maggie, co się stało...

Jej głos ucichł, głowa opadła na bok i chłopcu wydało się, że mama zasnęła. Nagle poruszyła się.

– John, obiecaj mi. Nie wolno ci nawet pisnąć, słyszysz?!

– Obiecuję – szepnął, pociągając nosem.

Catherine uśmiechnęła się.

Chłopiec otarł łzy dłonią i w słabym świetle, sączącym się przez szczeliny, ujrzał, że pobrudził sobie rękaw czerwienią. Musiał mieć na policzkach krew mamy.

Wibracja przybierała na sile, wypełniając przestrzeń wokół niego. Nagle, zupełnie znikąd, pojawiły się głosy i kilka par stóp zatupało na podłodze salonu, choć drzwi wejściowe nie otwarły się ani na chwilę. Wibracja osłabła i John usłyszał dwa męskie głosy. Jeden był dziwny i powolny, drugi szorstki i pośpieszny. Przez szpary tuż nad podłogą pokoju nie mógł dostrzec twarzy mówiących, ale jeden z nich stanął pomiędzy ławą a Catherine i chłopiec zobaczył buty mężczyzny – stare, skórzane z wysokimi cholewami, masywnymi podeszwami i stalowymi okuciami. „Buty zabójcy” – przyszło mu do głowy.

Nogi drugiego z mężczyzn poruszały się dalej, praktycznie poza zasięgiem wzroku Johna, ale była też trzecia para butów, bliżej, znacznie mniejszych, uszytych w staroświeckim stylu z miękkiej skóry. Wyglądały, jakby mogły należeć do młodej dziewczyny, ale obuta w nie drobna postać nie wypowiedziała ani jednego słowa. Uklękła tylko na podłodze, plecami do chłopca, i zabrała się za opatrywanie ran jego mamy. W pewnej chwili obejrzała się i John ujrzał błysk oczu w cieniu pod skórzanym hełmem. Przestraszony, że mogły go dostrzec, zacisnął powieki, jak gdyby to mogło uczynić go niewidzialnym. Nie był w stanie powstrzymać się od płaczu. Wtulił usta w zgięcie łokcia i zagryzł rękaw, aby stłumić szloch.

Rozkazujący, męski głos zapytał:

– Gdzie to jest?

Catherine zaczęła odpowiadać. Oddech miała ciężki, świszczący, ale jej głos emanował spokojem:

– Tam. Możesz włamać się do sejfów i zniszczyć jego zawartość albo możesz złożyć mi przyrzeczenie... Przy świadkach.

John usłyszał nowy głos, głos innego mężczyzny, dobiegający z drugiej strony pokoju, z miejsca tuż nad podłogą.

– Będę twoim świadkiem, Catherine – rzekł. Był wyteżony, jakby wydobywał się przez gardło ściśnięte wielkim bólem.

Chłopiec odważył się otworzyć oczy na chwilę, w nadziei, że zobaczy, kto to powiedział. Mignęła mu sylwetka olbrzymiego, rudowłosego mężczyzny, leżącego na podłodze i ściskającego własną pierś, jakby był ciężko ranny, a potem

drobniejsza postać stanęła wprost przed ławą, zasłaniając Johnowi widok. Znow ta straszna dziewczyna. Zacisnął powieki i cofnął się, przyciskając plecy do ściany kryjówki.

Jego mama mówiła przez pewien czas, ale tak cicho, że nie mógł nic zrozumieć. A potem rozległ się przeraźliwy, narastający gwizd, do którego szybko dołączyło dziwne skwierczenie. Dźwięk był koszmarny i John odruchowo przycisnął dłonie do uszu. Po pewnym czasie otworzył na chwilę oczy i zobaczył kolorowe światełka, tańczące wokół pokoju. Natychmiast znow zacisnął powieki i skulił się w swojej kryjówce, starając się być tak małym i cichym, jak tylko potrafił.

Minęło jeszcze wiele godzin, zanim wreszcie odważył się wyjść ze skrytki pod ławą i zostawić za sobą opustoszałe już mieszkanie o podłodze zalanej krwią. Przemierzając ulice Londynu, dotarł w końcu do Obieżyświata. Siedmioletni chłopiec bez mamy, za to z ciężącym mu na duszy straszliwym przyrzeczeniem.

## Rozdział 24

### Maud

Bawili się w ucieczkę z więzienia. Przyszła właśnie kolej Maud, żeby wybiec spomiędzy dzieci, uchodząc przed prześladowcą. Z radosnym piskiem wystartowała przez błoto. Zerknąwszy za siebie, ujrzała, że ściga ją wysoki chłopiec, ten z krzywą nogą. Michael.

Chłopiec, choć chromy, był szybki. Biegał wynalezionym przez siebie, zamasyście wahadłowym krokiem, a ponieważ miał długie nogi, bez trudu dotrzymywał kroku Maud, gnającej przez kałuże i koleiny wyżłobione kołami wozów.

Pozostałe dzieci – cała rozwrzeszczana piętnastka – rozpierchła się po rynku i odchodzących od niego alejkach. Jedni gonili za drugimi, starając się dotknąć ściganego, aby zdobyć kolejnego więźnia dla własnej drużyny.

Siedmioletnia Maud przebierała nogami najszybciej jak się dało w grubej warstwie błota i zwierzęcego łajna zalegającej po niższej stronie rynku. Dół jej sukienki, pierwotnie w bardzo jasnym kolorze, był teraz upstrzony brudnymi smugami i przyklejonymi kawałkami liści, którymi jesienny wiatr miotał tego ranka po całym mieście.

Odważywszy się zerknąć przez ramię, dziewczynka odkryła, że kulawy się chłopiec zatrzymał. Stracił w błocie but i właśnie usiłował wcelować weń stopą, balansując chwiejnie na drugiej nodze. Korzystając z okazji, czmychnęła w boczną uliczkę, przebiegła dziesięć kroków i skoczyła w bok, w wąskie przejście prowadzące za gospodę. Tam przypadła plecami do kamiennej ściany i znieruchomiała, nasłuchując.

Usłyszała kroki nadbiegającego chłopca. Próbowwała trzymać zaciśnięte powieki – sądząc, że to w jakiś sposób pomoże jej pozostać niezauważoną – ale nie mogła powstrzymać się od ciekawskiego zerknięcia, kiedy tupot rozległ się tuż obok niej. Rozpędzony Michael minął wylot wąskiego zaułka i nie spostrzegł jej.

– Maudy, gdzie jesteś? – usłyszała jego oddalający się głos. – Wyszłaś za granicę? Pole kończy się tutaj!

Dziewczynka uśmiechnęła się i weszła głębiej w mroczny zaułek. Wiedziała, że doprowadzi ją do sąsiedniej ulicy, skąd będzie mogła wrócić do bazy, unikając schwywania, a do tego wciąż pozostając w granicach pola gry.

– Maudy! – zawołał Michael ostrzegawczo. – Nie oszukuj!

Głos był jeszcze dalej niż poprzednio. Wciąż szukał jej w głównej alei, co znaczyło, że będzie zbyt daleko, aby ją dogonić, kiedy wyskoczy na rynek z drugiej strony.

Ostrożnie posuwała się wzdłuż ciemnej i błotnistej uliczki, wciągając w nozdrza zawieszistą woń zwierząt. Po lewej stronie zaułek otworzył się na małe

kamienne podwórze na tyłach gospody, gdzie stało kilka koni przywiązanych do żerdki. Od tygodni nikt nie wywoził stąd gnoju i smród był obezwładniający. Maud przemknęła przed wylotem podwórza z zamiarem zniknięcia w dalszej części mrocznego zaułka, kiedy coś przykuło jej uwagę.

Na tyłach gospody znajdował się pokój z oknem wychodzącym na wąską uliczkę. To właśnie pod nim teraz stała. Okiennica była częściowo rozwarta, a z wnętrza dobiegały odgłosy kłótni.

– Niech ci się nie zdaje, że zdołasz przekabacić Starego – powiedział jeden głos. – Wielu było Młodych przed tobą, a ja wciąż tu jestem, wciąż ten sam.

Ciekawość nakazała Maud zatrzymać się. Mężczyzna mówił szorstkim głosem okrutnika, który budził w niej lęk, ale brzmiał też z cudzoziemska, co było intrygujące. Mówił jej językiem, ale w osobliwy sposób.

– Nie możesz bronić mi rozmawiać o tym z moim własnym mistrzem – odparł drugi głos, brzmiący znacznie młodziej. – Obaj złożyliśmy tę samą przysięgę.

– Przysięga! – prychnął starszy, jakby wypluwał coś wstrętnego. – Już nadto jestem rozciągnięty. Przez lata zbyt długie, by liczyć.

„Co on ma na myśli, mówiąc «rozciągnięty»?” – zastanawiała się. Czyżby był długi i cienki? Męczono go na madejowym łożu? Ciekawość wzięła górę nad strachem. Maud podkraśniała się bliżej. Wspiąwszy się na palce, zdołała zajrzeć przez szparę między okiennicą a kamiennym murem. W pokoju było ciemno, niemal tak ciemno jak w uliczce, w której się kryła, a jednak zdołała wypatrzyć w mroku twarze dwóch mężczyzn. Jeden był starszy, drugi bardzo młody, zaledwie chłopiec. Ale żaden nie wyglądał na rozciągniętego.

– Byłeś z niewiastą – powiedział ten młody. – Widziałem was. W alkierzu na górze.

Młodszy także mówił w śmieszny sposób. Nie miał dziwnego akcentu, z jakim mógłby mówić przybysz z obcych stron, ale w jego słowach była monotonna powolność, jakby wszystkie przemyślał zawczasu i teraz tylko wysypywał je z ust równomiernym, nieśpiesznym strumieniem.

– Nikogo nie obchodzi, coś widział.

– Stronimy od ludzkich spraw, aby nasze umysły pozostały czyste i nic nie mąciło naszego osądu. Tak każe przysięga. Stary mistrz o tym usłyszysz.

Młodszy poruszył się, jakby zamierzał wyjść na podwórze, ale starszy zastąpił mu drogę. W odróżnieniu od spowolnionych głosów, ruchy mieli tak szybkie, że Maud nawet nie zauważyła, kiedy znaleźli się po drugiej stronie pokoju. Musiała nieznacznie przestawić stopy, aby wciąż ich widzieć. W desce okiennicy była niewielka dziura po wybitym sęku i przesunawszy się w lewo, Maud ujrzała ich na nowo przez ukośny otwór.

– Stary nie usłyszysz niczego – powiedział starszy mężczyzna, zagradzając

ramieniem drzwi, które musiały prowadzić na stajenne podwórze.

– Puść – zażądał chłopiec.

– Przejdiesz, kiedy pozwolę.

W ręce starszego błysnęło coś, czego nie było tam jeszcze przed chwilą. Maud zgadywała, że to nóż, ale jakim cudem znalazł się w jego dłoni tak szybko? Naraz uświadomiła sobie, że młodszy także trzyma ostrze. Broń pojawiła się znikąd, jakby za sprawą magii.

– Co się stało z poprzednim Młodym? – spytał chłopak, trzymając nóż naprzeciw noża starszego, wzrokiem badając jego twarz. – To była twoja sprawka.

– Czyżby? – Starszy uniósł brwi. – Nie było cię tam. Starego też nie. Któż może to wiedzieć?

Klingi zderzyły się z metalicznym szczękiem i rozpoczęły szaleńczy taniec. Dla Maud wyglądało to jak chmura rozmazanych w pędzie ramion, poprzątkana rozbłyskami migoczących ostrzy. Nagle wydało jej się, że jedno z nich zagłębiło się w piersi młodszego. Pod chłopcem ugięły się nogi, ale zanim runął na podłogę, starszy otoczył go ramieniem, aby bez hałasu ułożyć ciało na deskach.

Ranny wciąż żył. Leżąc na podłodze, podniósł oczy na starszego i wyszeptał:

– Wszystko zapisałem. Wszystko. – Głos miał tak cichy, że Maud nie od razu zrozumiała, co mówi.

Starszy mężczyzna złapał go za przód koszuli i szarpnął brutalnie.

– Coś zapisał? Gadaj! – warknął.

– Wiele rzeczy. O tobie – odpowiedział chłopiec, jeszcze ciszej niż poprzednio. – Inni dowiedzą się, czym jesteś...

Starszy potrząsnął mocniej.

– Gdzie?

Chłopiec rozciągnął usta w słabym uśmiechu, ale nie odpowiedział. Patrzył na starszego mężczyznę nieruchomym wzrokiem i nagle Maud domyśliła się, że ranny już nie oddycha.

Zachłysnęła się ze zgrozy. W swoim krótkim życiu widziała już kilka trupów. Zimą natrafiało się czasem na żebraków, którzy zamarli na śmierć na rynku albo przy gościńcu za miasteczkiem. Jednakże jeszcze nigdy nie widziała, jak człowiek umiera. Uświadomiwszy sobie, że zachowała się zbyt głośno, natychmiast przycupnęła przy ścianie, aby usunąć się z pola widzenia.

Nie upłynęła nawet sekunda, a mężczyzna już był przy oknie, dokładnie ponad nią. Musiał przemknąć przez izbę w mgnieniu oka i teraz stał tuż za okiennicą. Maud słyszała jego oddech.

Okiennice otworzyły się gwałtownie. Dziewczynka zamknęła oczy, próbując stać się niewidzialną, tuląc się całym ciałem do ściany, jakby liczyła na to, że zdoła wsiąknąć w kamień. Pod okiennicą sterczał szeroki parapet. Czuła jego obecność ponad głową. Czy był dość szeroki, aby ukryć ją przed wzrokiem mężczyzny? Nie

była pewna. Przeczuwała, że z mokrym błotem na sukience i ramionach wygląda jak ciemna plama w mrocznym zaułku. Może jej nie zauważy...

Równie nagle, jak się pojawił, mężczyzna zniknął. Maud nie czekała, aby przekonać się, co robi. Poderwała się i zaczęła przeciskać uliczką tak wąską, że niekiedy musiała iść bokiem. W pośpiechu potrąciła wieżę z blaszanych wiader ustawioną przy świńskim korycie za sklepem rzeźnika i zaułek wypełnił przeraźliwy łoskot spadającego metalu oraz kwiczenie zwierząt. Ogarnięta paniką dziewczynka zerwała się do biegu, ocierając sobie ramiona o ściany budynków.

Wreszcie wypadła na szerszy trakt, szczęśliwie wypełniony ludźmi. Błota było tam tyle, że wessało jej stopy po same kostki, ale ona miała większe problemy na głowie. Skręciła w stronę rynku. Dotarłszy do wylotu alejki, z ulgą stwierdziła, że plac jest równie rojny i gwarny jak wtedy, kiedy go opuściła. Nie zwlekając, wtopiła się w tłum kobiet i mężczyzn, kręcących się przed sklepem rzeźnika i ciągnących swoje wózki w stronę kramów.

Kiedy przechodziła przed wejściem do gospody, czyjaś dłoń złapała ją mocno za ramię. Obejrzała się i omal nie krzyknęła z przerażenia, kiedy spojrzała w oczy mężczyźnie z tamtego pokoiku. Ramiona okrywał mu teraz długi płaszcz, ale tej twarzy nie pomyliłaby z żadną inną.

– Ty! – powiedział do niej.

Bała się poruszyć. Napięła się wewnętrznie, oczekując błysku noża w dłoni zabójcy.

– Przynieś mi wody – rozkazał mężczyzna. – Chcę się obmyć.

Musiał wziąć ją za jedną z posługaczek z gospody. Nie chciał jej zabić. Szarpnięciem wykręciła ramię z uścisku i puściła się biegiem przez plac.

Chwilę później znowu chwyciła ją czyjaś dłoń. Zacisnąwszy pięść, Maud odwróciła się i z furią zamachnęła na napastnika. Trafiła Michaela – chłopca z krzywą stopą – prosto w twarz, aż zatoczył się w tył i usiadł ciężko w błotnistej kałuży.

– Złapałem cię, Maudy! Jesteś moim jeńcem! – zawołał płaczliwie, próbując wstać, ale nie mógł znaleźć oparcia w śliskim błocie.

– Ano racja – przytaknęła skwapliwie, czując ulgę na widok kolegi. – Jestem twoim jeńcem. – Podała chłopcu rękę i pomogła mu dźwignąć się na nogi.

Razem poszli na skraj rynku, gdzie dotarła już większość dzieci. Właśnie zbierały się na kolejną rundę gry. Kulejący chłopiec wkroczył między nie z triumfalną miną – wrócił z jeńcem i nie przeszkadzał mu fakt, że dostał od niego w twarz.

Wiele tygodni później, kiedy wspomnienie gospody i mężczyzn z nożami zaczęło już blaknąć w jej pamięci, Maud wyszła przed dom, aby powitać czcigodnego gościa. Tego ranka wyszorowano ją do czysta w cebrzyku gorącej wody, a potem matka i pokojówka wtłoczyły ją z niemałym trudem w równie



wykwintną, co niewygodną sukienkę. Włosy zapleciono jej w warkocze i przyozdobiono wstążkami.

Ojciec dziewczynki był kuzynem ich władcy, barona, i jej rodzina mieszkała w dużym kamiennym domu na szczycie wzgórza za osadą. Choć Maud chętnie wymykała się na zabawy z wioskową dzieciarnią, dobrze wiedziała, że nie jest jedną z nich. Na przykład potrafiła czytać, a ta umiejętność dla większości miejscowych dzieci miała na zawsze pozostać niedostępną.

Przeczuwała, że to właśnie z powodu jej wykształcenia odsyłano ją teraz z domu z nieznanym przybyszem. Był rok pański 1457 i oddawanie dzieci do terminu było powszechnie stosowaną normą. Jej starszy brat mieszkał i pobierał nauki u mnichów, drugi zaś służył za giermka u ich kuzyna, barona, właściciela zamku na wzgórzu za szeroką rzeką, który mogła dostrzec w oddali.

Dziewczęta często posyłano na służbę do wielkich dam mieszkających w odległych, egzotycznych miejscach, ale ich gość z pewnością nie mógł być wysłannikiem wielkiego rodu. Gdyby nim był, jego odzienia nie stanowiłaby prosta, mnisza szata przewiązana w pasie sznurem. Na niej nieznanomy nosił długi płaszcz, najwyraźniej wyposażony w niezliczone wewnętrzne kieszenie, wypchane tajemniczymi przedmiotami, których dziwaczne zarysy były widoczne przez materiał. Poza tym był stary. Jako siedmiolatka, Maud nie potrafiła ocenić, jak bardzo stary, ani nawet nie próbowała się nad tym zastanawiać. Wystarczył jej fakt, że miał długie włosy poprzetykane pasmami siwizny oraz brodę sięgającą poniżej szyi.

Ojciec dziewczynki nie kłaniał się nikomu i był postrachem wszystkich domowników, łącznie z nią samą, a jednak wobec tego starca w ubogiej szacie zachowywał się tak, jakby przyjmował co najmniej kogoś z rodziny królewskiej. Służbę posłano po wino i jadło, gościowi zaproponowano łoże, a potem znów wino.

Gość odpowiadał uprzejmie na propozycje, lecz żadnej nie przyjął; spożył zaledwie jeden prosty posiłek. Od chwili, gdy przedstawiono mu Maud, to na niej koncentrował całą swoją uwagę. Gdy go zobaczyła, natychmiast uznała, że w jego postaci najbardziej niezwykle są oczy. Widziały ją całą naraz – nie tylko strój, buty i włosy, które ostatecznie były dziełem jej matki, ale coś więcej, co mieszkało w jej duszy. Choć minę miał śmiertelnie poważną, oczy mężczyzny wręcz się do niej śmiały.

Zrazu dziewczynka odmówiła odejścia z domu z nieznanym przybyszem. Wyraz głębokiego zażenowania na twarzy ojca jednocześnie wstrząsnął nią i napełnił błogą satysfakcją. Starzec nie naciskał. Zamiast tego w jego dłoni nieoczekiwanie pojawił się kwiat. Nie spostrzegła, w jaki sposób się tam znalazł, ale oto był, jak wyczarowany, w ręce jednoznacznie wyciągniętej ku niej.

Maud ogarnął niepokój, ale uczucie to trwało tylko chwilę. Kwiat roztaczał

słodki zapach, a przybysz zatknął jej go za uchem. Ani się obejrzała, jak szła z nim wzdłuż traktu. Mały tobołek z jej rzeczami przetaczał się po plecach starca w powolnym rytmie jego kroków. Obejrawszy się, dziewczynka spostrzegła oboje rodziców stojących na końcu drogi, patrzących w ślad za odchodzącą córką. Jej ojciec, który miał w zwyczaju krytycznie odnosić się do jej zachowania i nigdy jej nie chwalił, tym razem – po raz pierwszy, odkąd pamiętała – wyglądał, jakby był z niej naprawdę dumny.

– Jeszcze zobaczysz swoją matkę i ojca – powiedział starzec, pochwyciwszy jej spojrzenie. – To mogę ci obiecać. W ciągu następnych kilku lat ujrzysz ich wiele razy.

Mówił z osobliwą manierą, Słowa wypływały mu z ust jak pieśń albo poemat. Niektóre brzmiały zabawnie, jakby nauczył się je wymawiać inaczej, niż nauczono ją. Na początku czuła się przez to nieswojo, ale już zaczynała się przyzwyczajać.

– Kiedy znów ich zobaczę? – spytała.

– Wkrótce – obiecał. – A po pewnym czasie, jeśli życie ze mną nie będzie ci odpowiadać, będziesz mogła do nich wrócić... Zatem, jak widzisz, nie masz się czego obawiać.

– Jak wyczarowałeś ten kwiat?

– Miałem go w kieszeni.

– Nie widziałam, żebyś wyciągał go z kieszeni. Nie miałeś go w dłoni, a potem nagle miałeś.

– Ach, zwracasz uwagę na szczegóły. Podziwiam cię za to – pochwalił ją z błyskiem w swoich przyjaznych oczach. – Widzisz, jeśli chcę, mogę poruszać się bardzo szybko.

– Ale ty nawet nie drgnąłeś!

– Poruszyłem się, tylko bardzo szybko – tłumaczył cierpliwie. – I ty też będziesz się tak poruszać, kiedy cię wyszkolę.

Maud uśmiechnęła się na te słowa. Już wcześniej domyśliła się, że przybysz zamierza ją uczyć. Miała przeczucie, że będzie to o wiele bardziej interesująca edukacja niż ta planowana dla niej przez rodziców, kładąca duży nacisk na haft i biegłość w grze na rozmaitych instrumentach muzycznych.

Przez pewien czas szli w milczeniu. Dziewczynka odbierała tę ciszę jako coś bardzo przyjemnego.

– Mam nadzieję, że życie z tobą będzie mi odpowiadało – oznajmiła w końcu.

Jednakże jej zadowolenie prysło, kiedy spotkali ich towarzysza wędrowni. Maud już niemal zdążyła zapomnieć o mężczyźnie z gospody. Teraz znów stał naprzeciw niej. Został jej przedstawiony jako towarzysz i nauczyciel. Jego okrutne oczy zmierzyły ją od stóp do głów, po czym mężczyzna skinął starcowi głową, nie

zaszczyciwszy jej choćby słowem powitania.

Maud poczuła przypływ paniki. Czy rozpoznał w niej dziewczynę z rynku, która zignorowała jego żądanie przyniesienia mu wody? Czy rozpoznał w niej dziecko podglądające go w zaułku na tyłach gospody? Nie, nie, nawet jeśli ją wtedy zobaczył, była przecież okropnie brudna, miała na sobie stare ubranie, a zresztą nie wydawało jej się, aby taki ktoś potrafił zapamiętywać twarze przypadkowo spotkanych dzieci. Dla niego pewnie wszystkie wyglądały tak samo.

– Otoczymy tę Młodą najtroskliwszą opieką – rzekł starzec swoim monotonnym głosem.

Mężczyzna z gospody odpowiedział chrząknięciem, po czym zarzucił sobie worek na plecy i cała trójka ruszyła w dalszą drogę.

Drobna rączka Maud wślizgnęła się w dłoń starca i siedmiolatka poczuła się lepiej, kiedy ten uścisnął ją serdecznie. Wcześniej było ich trzech – domyśliła się. Stary mężczyzna, ten w średnim wieku i młody, którego widziała w gospodzie. Teraz to ją nazywali „Młodą”. Zastąpiła martwego młodzieńca, który w swoim czasie zastąpił kogoś innego.

Dziewczynka szła w milczeniu, nie śmiąc podnieść wzroku na Średniego. Jeśli w gospodzie mówił prawdę, przed nią było już wiele podobnych jej młodych osób, spośród których żadna nie przeżyła. Na tę myśl nagle zapragnęła odwrócić się i pobiec z powrotem do domu, ale to mogłoby wzbudzić podejrzenia Średniego i skłonić go do jej śledzenia. Poza tym nie chciała porzucać starca.

Być może wyczuwając zmianę w jej nastroju, starzec pochylił się nad nią i znów zaczął mówić:

– A teraz, moje dziecko, jeżeli masz z nami zostać, musisz wiedzieć, że żyjemy inaczej niż reszta ludzkości. Dlaczego? – Postukał się znacząco w bok głowy. – Aby nasze umysły pozostały czyste i nic nie mąciło naszego osądu. Tyrani i złoczyńcy, strzeżcie się.

Podobne słowa wypowiedział młodzieniec z gospody. Maud ośmieliła się zerknąć na drugiego mężczyznę, ale wyraz jego twarzy nie wskazywał na jakiegokolwiek zainteresowanie ich rozmową.

Starzec spojrzał na nią. Na jego ustach zagrał pogodny uśmiech.

– Na początku był pomruk Wszechświata – zaczął.

## Rozdział 25

### John

Ja wcale nie płaczę! – upierał się chłopiec, wciskając twarz głębiej w stertę ubrań.

– John, wyjdź już stamtąd. – Łagodny głos Maggie dobiegał zza zamkniętych drzwi garderoby.

– Ja nie płaczę! – powtórzył, czując, jak jego łyzy wsiąkają w niebieski szal mamy.

Klamka garderoby zagrzechotała gwałtownie – kobieta próbowała dostać się do środka. W ciemności John zagarniał rękami rzeczy mamy, piętrząc je wokół siebie. Wcześniej zablokował drzwi, upychając pod nimi ciasno jeden z szalików Catherine, ale teraz pojawiła się tam kreska światła, poszerzająca się z każdym natarciem Maggie.

Znów ukrył twarz w miękkim materiale. Słyszał, jak kobieta przemocą rozwiera drzwi, a potem poczuł jej dłonie pod pachami, podciągające go w górę. Stał, a kiedy otworzył oczy, spojrzał prosto w pooraną zmarszczkami twarz służącej, klęczącej przed nim na podłodze swojej własnej garderoby.

– Ja nie płaczę – wyszeptał jeszcze raz, choć wciąż czuł wilgoć na policzkach.

– Co to jest? – spytała Maggie, wodząc zdumionym wzrokiem po rozrzuconych na podłodze przedmiotach. – Rzeczy twojej mamy?

Były tam szale i kapelusze, fotografie i różne drobiazgi, które wcześniej stały na półkach. Były to rzeczy, które najmocniej przypominały chłopcu o Catherine.

– Wrzucali je do pudeł! Chcieli je zabrać!

– John...

– Dziadek mówi, że nie mogę tak dużo patrzeć na jej rzeczy. Nawrzeszczałem na niego i nadepnałem mu na nogę. Kazałem mu iść do diabła!

Dłonie Maggie zacisnęły się mocniej na jego ramionach. Jej zwykle łagodne oczy błysnęły niezbyt łagodnym spojrzeniem.

– On cię kocha, chłopcze – powiedziała.

– Wcale że nie!

– Dobrze wiesz, że tak, John! – Potrząsnęła nim lekko dla podkreślenia, że ma jej słuchać. – Po prostu nie chce, żebyś tak długo cierpiał. Minął już rok. On martwi się o ciebie.

– On chce, żeby mama całkiem znikła.

– Nie. Martwi się, że będziesz próbował być taki jak ona. Nie chce stracić także ciebie.

– Ja będę taki jak ona, babciu!

– John, nie wolno ci tak mnie nazywać. Nie tutaj. Nie, jeśli chcesz, żebyśmy

byli razem. Powiedziałam ci, żebyś wiedział, że nie jesteś sam, że masz rodzinę, ale nasze pokrewieństwo musi pozostać tajemnicą.

- Przepraszam. Nie będę tak mówił.
- Tak naprawdę nie jestem twoją babcią.
- Jesteś babcią mamy.
- Och, jestem o wiele starsza, chłopcze. Chodź.

Ujęła go za rękę i wyprowadziła z garderoby. John pozwolił posadzić się na starej, haftowanej narzucie, przykrywającej jej małą koję w kajucie dla służby na Obieżyświacie. Pokój mieścił się na dolnym pokładzie i docierał do niego bez ustanku głęboki pomruk silników.

Ściany kajuty ozdobiło kilka obrazków w ramkach, a każdy przedstawiał zamek. Niektóre były fotografiami, inne kunsztownymi grafikami. Kobieta podeszła do pierwszego z nich i zdjęła go. Była to czarno-biała fotografia fortecy o niskich, okrągłych basztach i częściowo zburzonym murze.

– Gdzie jest ten zamek, Maggie? – spytał John.

– Tak się składa, że we Francji, ale sam zamek ma mi tylko przypominać, co kryje się za nim. – Usiadła obok niego na łóżku i odwróciła ramkę. Bardzo ostrożnie zdjęła tył. Pomiedzy podkładką a zdjęciem ukryty był niewielki plik fotografii. Drżącymi dłońmi kobieta wyjęła go i położyła na łóżku białą stroną do góry. – Uważam, że jesteś na to stanowczo za młody, John. Nie pokazywałabym ci tego teraz, ale w obecnej sytuacji konieczne jest, abyś wiedział. – Zaczęła wykladać fotografie na narzutę, jedną obok drugiej. – Z najdawniejszych lat nie mamy zdjęć, ale i te, które mamy, opowiadają dość historii.

Chłopiec z początku nie potrafił rozpoznać kształtów na czarno-białych obrazach. Poraziły go niezrozumiałym chaosem, ale już po chwili, wszystkie jednocześnie, wyostriły się w obiektywie jego umysłu, nagle nabierając sensu. Pokazywały śmierć. Martwych ludzi w zdemolowanym pomieszczeniu. I nie była to śmierć, jaką widuje się w filmach. Ta była nieporównanie gorsza, znacznie brudniejsza.

Fotografie ukazywały mężczyznę, kobietę i czworo dzieci, wszystkich w strojach, które umiejscawiały ich w przeszłości odległej o ponad sto lat. Byli potwornie poranieni. Ktoś siekł ich głęboko, gęsto i z rozmysłem.

Mężczyzna i kobieta zwisali przy ścianie, jakby przyklejeni do niej plecami, z głowami opadłymi na piersi. Przyjrząwszy się uważniej, John dostrzegł sterczące im z ramion rękojeści długich noży, którymi ktoś przeszył na wylot ofiary, przybijając je do boazerii.

Na zdjęciach nie było czerwieni – jak zresztą żadnego innego koloru – ale siła sugestii tkwiąca w czarno-białym obrazie narzuciła chłopcu wyobrażenie głębokiego szkarłatu posoki tryskającej z tych ran i zalewającej podłogę. Dzieci, którym oszczędzono ukrzyżowania na ścianie, leżały w agonalnych pozycjach,

w pociemniałych od własnej krwi ubraniach porozrywanych w miejscach, gdzie zadawano im cięcia. Najmłodsze nie mogło mieć więcej niż pięć lat. Chłopiec. Leżał twarzą w dół obok swoich siostr, z głową otoczoną ciemną aureolą. Na czystym spłachetku białej koszuli malca nakreślono coś palcem unurzany w tej krwi. Rysunek przedstawiał zwierzę.

– Co to za ludzie? – spytał.

Maggie podniosła fotografię, ukazującą małego chłopca w zbliżeniu.

– Ten maluch przeżył – powiedziała. – Zauwa... Fotograf zauważył, że wciąż oddycha. To był prawdziwy cud, choć chłopiec został kaleką na całe życie. To twój praprapradziadek, John.

Nie mógł oderwać oczu od postaci małego chłopca, mniejszego nawet od niego, skulonego na podłodze obok rąbka sukienki siostry.

– Czy to niedźwiedź? – spytał, kładąc palec na krwawym symbolu.

– Tak, to znak rodu, z którego pochodzi ich morderca – odpowiedziała Maggie.

– My mamy lisa – wyszeptał John.

– Nie inaczej.

W innych ramkach były kolejne pliki fotografii. Jeden po drugim Maggie wyjmowała je i rozkładała przed chłopcem, zmuszając go do oglądania. Obrazy tworzyły kalejdoskop gwałtu i grozy, przesuwały się w czasie, aż kolejny rozpostarty przed Johnem wachlarz odbitek nabrał kolorów. Fotografię zaludniali jego dalecy wujowie, ojcowie dziadów i pociotkowie wszelkiego rodzaju, większość w młodym wieku. Umierali straszną, gwałtowną śmiercią – siekani, żgani, rozstrzeliwani, duszeni i topieni. Na wielu zdjęciach gościł upiorny symbol, zwierzę wymalowane krwią na jednej z ofiar.

Nieznane twarze zacierały się w umyśle Johna, ale nagle pojawiła się młoda kobieta, którą rozpoznał. Żrenice jej błękitnych oczu rozszerzyła śmierć, ręce ścisnęły skrwawiony, okrutnie rozplątany brzuch.

– M-mama? – zająknął się.

– Nie, chłopcze, choć rzeczywiście podobieństwo jest znaczne, nieprawdaż? To była starsza siostra twojej matki. Anna.

Dziewczyna była piękna pomimo straszliwej rany przecinającej jej policzek i tak bardzo przypominała Catherine, że John miał trudności z przekonaniem samego siebie, że to nie ona.

– Anna sfilmowała swoją śmierć – powiedziała Maggie cicho. – Mam ten film. Chcę, żebyś go obejrzał.

W ramce schowany był cienki wideoekran. Kobieta wyjęła go i ułożyła chłopcu na kolanach. Włączyła urządzenie i stukając w wyświetlacz, ożywiła kadr. Film sprawiał wrażenie zarejestrowanego przez telefon komórkowy, ustawiony na podłodze i częściowo ukryty pod łóżkiem, obraz był jednak wystarczająco

wyraźny.

John nie miał ochoty tego oglądać, ale nie potrafił odwrócić wzroku od ekranu. Patrzył na siostrę swojej mamy pełną z wysiłkiem po podłodze. Młody człowiek o ciemnych włosach stanął pomiędzy nią a kamerą. Jego słowa utonęły w przeraźliwym wrzasku dziewczyny, ale jego ruchy były jednoznaczne. Ciął ją powoli, okrutnie, odwrócony plecami do kamery. W pewnej chwili spojrzął w prawo, mówiąc coś podnieconym głosem do kogoś w niewidocznej części pokoju. Kilka słów dało się rozpoznać: „nie posłuchał... wściekł się...”.

W końcu dziewczyna umilkła. Kiedy mężczyzna zniknął z kadru, John zobaczył jego dzieło. Anna wykrwawiła się na śmierć przez ranę, którą morderca otworzył w jej brzuchu. Na bluzie widniał symbol barana, wymalowany jej własną krwią.

Chłopiec kręcił głową, oszołomiony, ale to nie był koniec. Ostatnie fotografie wykonano w pomieszczeniu, które rozpoznał. Przedstawiały salon w mieszkaniu jego mamy, taki, jakim widział go po raz ostatni. Na podłodze rozlewała się wielka kałuża krwi, roztrąta szeroką smugą w miejscu, z którego zabrano ciało. Widział to na własne oczy, kiedy uciekał stamtąd. Wtedy jednak nie dostrzegł kształtu zwierzęcia, nakreślonego tuż przy brzegu krzepnącego jeziora czerwieni. Był to baran.

Oczy chłopca walczyły z mrokiem wkradającym się w jego pole widzenia; trzewiami wstrząsały fale mdłości. Maggie potrząsnęła go za ramię, budząc z letargu, w jakim trwał, skulony na jej łóżku, ściskając się za brzuch.

– Siadaj, John – powiedziała.

Głos miała łagodny, lecz stanowczy i chłopiec niezwłocznie wykonał polecenie. Maggie uklękła przy łóżku, zrównując się z nim wzrokiem. Do tej pory zawsze myślał o niej jak o bardzo leciwej kobiecie, ale w tej chwili wyglądała jednocześnie staro i młodo, jakby rozkwitła z emocji.

– Próbowali nas unicestwić, John. Nie spoczna, dopóki nie obrócą nas w nicość.

– Kto? – wymamrotał.

– Pozostałe rody. Jesteśmy początkiem i ostoją Poszukiwaczy. Pragną naszej zagłady. Od setek lat robią wszystko, aby nas zmiażdżyć.

– Mnie też zabijają, prawda? – Skierował na nią oczy pełne łez.

– Z całą pewnością spróbują, kiedy tylko zwęszą taką sposobność.

John rozszlochał się żałością.

– Płacz, jeśli musisz – powiedziała Maggie. – Ale łyż to krok w stronę śmierci. Twoja matka obrała inną drogę. Czy rozumiesz jej drogę?

Chłopiec obrzucił szklanym wzrokiem fotografie na łóżku, a potem znów spojrzął na kobietę. Pokiwał głową.

– Muszę złożyć przysięgę – chlipnął. – Muszę odzyskać athamen i odpłacić

im za to, co zrobili. Muszę odnaleźć księgę, bo zabrali ją, kiedy...

– Tak – przerwała mu Maggie. – Wszystko się zgadza. Ale dlaczego?

Popatrzył na nią niepewnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Mając athamen i księgę, John, pewnego dnia zniszczysz rody, które nas krzywdziły. I przywrócisz właściwy ład. Staniesz się kimś, kim byliśmy na samym początku, człowiekiem potężnym, ale prawym.

Przez dłuższą chwilę chłopiec siedział na łóżku w milczeniu, myśląc o ciemnowłosym mężczyźnie, który zabił siostrę jego mamy. Uświadomił sobie, że widział go już przedtem. Widział jego buty, kiedy stał w salonie Catherine, zanim ten okropny gwizdzący dźwięk i wielobarwne iskry położyły kres także i jej życiu.

– Masz osiem lat, John. Jesteś zbyt młody, ale nic nie możemy na to poradzić. Wybór drogi twojej matki oznacza, że musisz dorosnąć w przyśpieszonym tempie. Musisz być gotów...

– Zrobić to, co musi zostać zrobione – dokończył za nią. – Nawet zabijając. Wiem.

– Łatwo to wszystko powiedzieć, ale jest wiele rzeczy, które będą próbowały zepchnąć cię z raz obranej ścieżki. Nienawiść to jedna z nich, drugą jest miłość. Obie czyhają wszędzie i obie są niebezpieczne.

– Zdaje się, że wszystko jest niebezpieczne.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Dla ciebie tak.

– Ja już zdecydowałem, Maggie – powiedział chłopiec. – Przyrzekłem to jej i przyrzekam im. – Skinieniem głowy wskazał fotografie. – Jego głos brzmiał jakoś inaczej, nawet w jego własnych uszach, jakby w ciągu kilku ostatnich minut gwałtownie wydozrosł.

– Bardzo dobrze, John. A teraz posłuchaj, co ci powiem o twoim dziadku. – Mówiąc to, Maggie ujęła w ręce jego dłoń i przyciągnęła do siebie, zmuszając go, aby na nią spojrzał. – On troszczył się o twoją matkę, potrzebował jej. Teraz, kiedy jej nie ma, kiedy odeszła tak jak twój ojciec, zostałeś mu tylko ty. Jest słabym człowiekiem i bardzo przejmuje się kwestią twojego bezpieczeństwa.

– Obiecałem, że będę się uczył...

– Będiesz. Przekonamy Gavina. W odpowiednim czasie. A na razie pozwól mu cieszyć się twoją bliskością. Jego pozycja, ten dom, będą chronić cię, dopóki jesteś młody. Miałam dobre powody, aby wprowadzić twoją matkę do tej rodziny.

– Kobieta szerokim gestem wskazała fotografie, wciąż rozrzucone na łóżku, po czym ujęła głowę chłopca między dłonie i spojrzała mu głęboko w oczy. – John, twój dziadek sądzi, że jest silny, ale wcale taki nie jest. Dlatego nie będziemy kłopotać go naszymi sekretnymi planami, jasne? Czy mnie zrozumiałeś? To musi pozostać między nami.

Pokiwał głową ponuro. Rozumiał bardzo dobrze.



– Nikt się nie dowie – powiedział.

– Tymczasem poproszę go, aby sprowadził na Obieżyświata trenerów. Niech ucą cię walczyć. Co na to powiesz?

Chłopiec znów pokiwał głową, błędząc wzrokiem po obrazach śmierci, rozłożonych przed nim na wyszywanej narzucie. Dobrze byłoby umieć się bronić.

Maggie przysunęła się bliżej i wyszeptała:

– Jest jeszcze jedna tajemnica, John. Kochasz swojego dziadka, on zaś kocha ciebie. Ale gdyby to kiedykolwiek miało się zmienić, znam sposób na zachowanie nad nim kontroli...

– Chłopiec chciałby coś panu powiedzieć, sir.

John stał za progiem apartamentu dziadka, trzymając w ramionach duże pudło wypełnione rzeczami Catherine. Maggie stała tuż za nim, opierając dłonie na jego ramionach. Kiedy Gavin uśmiechnął się i odstąpił na bok, wpuszczając ich do środka, chłopiec poczuł, że uścisk jej palców wzmacnia się. Wszedł do pokoju.

– Przepraszam, że cię przeklinałem, dziadku – wyszeptał. – Rozumiem, że nie powinienem ciągle patrzeć na rzeczy po mojej mamie.

– Nic nie szkodzi, John – zapewnił go Gavin, siadając na niedużej sofie przy kominku. Wnuk wspiał się na mebel obok niego, porzuciwszy pudło z rzeczami mamy na podłodze.

Mężczyzna położył mu dłoń na głowie i odchrząknął, jak to miał w zwyczaju, wydając dziwny, skrzekliwy dźwięk.

– Twoja matka dała mi tak wiele, John. Zależy mi, abyś ją pamiętał. – Patrzył z góry na chłopca, uśmiechając się dobrotliwie. – Ale kiedy tkwisz wśród jej rzeczy przez cały dzień, martwi mnie to. Pamiętaj, że ty... nie musisz robić wszystkich tych rzeczy, które robiła Catherine. Niebezpiecznych rzeczy. Odbudowała naszą fortunę. Udało się. Dalej możemy już pracować, nie narażając ciebie.

Chłopiec podniósł wzrok na starszego mężczyznę i kiwnął głową, jakby się z nim zgadzał.

– Rozumiem – wyszeptał.

Gavin przyciągnął go do siebie i przez pewien czas siedzieli w ciszy, przytuleni, zapatrzeni w hipnotycznie migoczące płomienie. Wkrótce jednak wzrok chłopca powędrował do otwartego pudła na podłodze. Na szczycie wypełniającej go sterty przedmiotów leżała fotografia. Przedstawiała Johna i jego mamę siedzących razem na podłodze jej sypialni na pokładzie Obieżyświata. Catherine obejmowała syna ramionami i uśmiechała się. Na widok jej oczu, patrzących na niego z fotografii, chłopiec poczuł, że gardło znów ściskają mu łyzy.

Zsunął się z kanapy i pchnął pudło w stronę mężczyzny.

– Proszę, dziadku, weź to.

Gavin zajrzał do środka. Zdjął obrazek z wierzchu i powiódł wzrokiem po

pozostałych przedmiotach.

– Powinieneś je zatrzymać, John. To tylko kilka rzeczy.

– Nie – szepnął chłopiec. – Masz rację. Nie powinienem ciągle na nie patrzeć. Nie chcę być smutny i zły przez cały czas.

– Nie chciałbyś wziąć sobie chociaż zdjęcia? – spytał dziadek.

– Może kiedy będę trochę starszy. Na razie mogę pamiętać ją w sercu. – Przycisnął sobie dłoń do piersi. – Tak jak ty pamiętasz mojego tatę.

– Tak, tak jak pamiętam twojego tatę – mruknął Gavin.

Nie trzymał pod ręką fotografii swojego zmarłego syna, Archiego – Archiego, który zginął, zanim zdążył poślubić Catherine, jeszcze przed urodzeniem Johna. Mężczyzna mawiał, że zdjęcia syna sprawiają mu ból, który za bardzo utrudnia mu życie. Teraz John to rozumiał. On także musiał żyć dalej i miało to być życie niebezpieczne, życie wymagające jego pełnej uwagi.

Gavin zamknął pudło i fotografia Catherine znikła z pola widzenia. Chłopiec czuł jednak, że mama wciąż z nim jest. Była z nim też jej starsza siostra, byli wszyscy torturowani i wymordowani członkowie jego rodziny. Miał ich wszystkich w sercu.

## Rozdział 26

### Quin

Na początku był pomruk Wszechświata.

Shinobu i Quin siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na klepisku w stodole treningowej. Alistair przytaszczył tam starą tablicę, a teraz stał przed nią, próbując wyglądać na nauczyciela na tyle, na ile pozwalała mu jego fizjonomia. Na dobry początek pod swoją rozwichrzoną, rudą czuprynę założył okulary, niestety, jednocześnie miał na sobie obcisły bezrękawnik do ćwiczeń, który odsłaniał jego masywne, węzłaste ramiona. Na nogi wciągnął swoje nauczycielskie spodnie, zarezerwowane specjalnie na takie okazje. Zostały starannie zaprasowane w ostry jak brzytwa kant, ale uzyskany efekt rujnowały częściowo włochate, bose stopy.

– Na początku był pomruk Wszechświata – powtórzył wielkolud i spojrzał znad okularów na uczniów. – Co to może znaczyć?

Ręka Shinobu wystrzeliła w górę.

– Tak, młody?

– Pomruk oznacza wibrację wszystkich rzeczy – powiedział chłopak.

Quin podniosła rękę.

– Tak, młoda?

– Cała materia we Wszechświecie wibruje – rzekła. – Atomy, elektrony, nawet jeszcze mniejsze cząstki.

– Ano zgadza się. Oboje macie rację.

Alistair rozplótł swoje wielkie ręce, podniósł kawałek kredy i zabrał się za rysowanie atomu. Naciskał zbyt mocno i złamał kredę dwa razy, nim zdołał ukończyć schemat. Quin uśmiechnęła się.

– Nie nabijaj się ze mnie, dziewczyno – powiedział dobrodusznie olbrzym. – Bo się jeszcze zawstydzę. Dobra. Czymże jest pomruk, jeśli nie wibracją? Kiedy coś wibruje, potrzebuje do tego co najmniej dwóch wymiarów, prawda? Jakby góry z dołem i lewej z prawą. Zgadza się?

Quin i Shinobu pokiwali głowami, zafascynowani ilością słów wysypujących się z ust Alistaira, który zwykle starał się mówić jak najmniej. Sprawiał wrażenie, jakby ta lekcja była równie ekscytująca dla niego co dla nich – w czym być może należało upatrywać źródła jego wysiłków, aby wyglądać uczenie. Szkot odwrócił się do tablicy i wyrysował schemat dwuwymiarowej fali.

Quin pochwyciła wzrok Shinobu, który patrzył na nią w zamyśleniu. Oboje skończyli czternaście lat w minionym miesiącu i choć uczyli się walczyć od lat, Briac dopiero teraz udzielił im zgody na rozpoczęcie tych lekcji z Alistairem. Najwyraźniej wierzył, że zdołają wytrwać do przysięgi, uznał, że są wystarczająco dobrzy, aby zostać Poszukiwaczami. Quin uśmiechnęła się do kuzyna, ciesząc się za nich oboje.

Alistair odchrząknął znacząco.

– Jeśli nie jesteś w stanie nawet skupić się na lekcji, synu, to może jednak powinieneś jej powiedzieć, he?

– Że co, sir? – wybąkał zaskoczony Shinobu, odrywając wzrok od dziewczyny.

Quin zauważyła czerwieniejące policzki Shinobu, który nagle jakby zapadł się w sobie. Zapewne ojciec przyłapał go na marzeniu na jawie o jednej z licznych dziewczyn, które poznał w Corrickmore. To by wyjaśniało nieobecny wzrok, jakim gapił się na nią przez kilka ostatnich minut – jego umysł fruwał daleko stąd. Jej kuzyn był taki przystojny. Nic dziwnego, że uganiały się za nim dziewczyny. Aby dać mu trochę czasu na otrząśnięcie się, Quin uniosła rękę.

– W jaki sposób czyta pan w myślach, sir? I dlaczego ja nie potrafię?

– Jak czytam w myślach, pytasz. Otóż nie czytam wcale – odparł Alistair. – Myśli mojego syna są wręcz wypisane na jego twarzy. Nie trzeba zaglądać do głowy. – Zdjął okulary i zaczął z namaszczeniem czyścić oprawki brzeżkiem podkoszulka, nadając swojej twarzy wyraz profesorskiej zadumy. – A czemu ty nie możesz czytać w myślach? Odpowiedź brzmi: może możesz.

– Naprawdę nie umiem, sir.

– Nie jest wykluczone, że umiesz, dziewczyno, ale nie jest też powiedziane, że będziesz umieć. Jeśli ćwiczysz umysł, tak jak my to robimy, to może się stać zupełnie nagle, w dowolnej chwili, zanim dorośniesz.

Założył okulary na nos i Quin dopiero wtedy spostrzegła, że nie ma w nich szkielec – były tylko ozdobą.

– Kiedy dorośniesz, będziesz wiedziała, czy masz ten dar, czy nie. Ja nie mam. Za to twoja matka, Fiona... Kiedy była młodą dziewczyną, spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. Z dnia na dzień nauczyła się czytać w myślach jak w otwartej księdze. Teraz już chyba tak nie potrafi...

– Wciąż potrafi, sir – zapewniła Quin. – Zwłaszcza kiedy myślę o rzeczach, o których wolałabym, żeby nie wiedziała.

– Ach, no tak, oczywiście. A teraz, skoro policzki mojego syna przestały już płonąć, może wrócimy do naszej lekcji. Powiedzcie mi, czy coś mogłoby wibrować w trzech wymiarach?

Oboje szybko zgodzili się, że jak najbardziej.

– A co powiecie na cztery?

Shinobu uniosł rękę.

– Młody, to będziesz wiedział. Czym jest czwarty wymiar?

– To czas – odpowiedział chłopiec.

Uczyli się tego, ale związek tego faktu z tematem lekcji wciąż nie był dla nich oczywisty.

– Zgadza się. Mistrz MacBain otrzyma po lekcji lizaczka. Którym może się

podzielić z kimś, na kim mu zależy, jeśli ma ochotę. – Alistair zerknął znacząco na Quin i Shinobu znów zrobił zakłopotaną minę.

Mężczyzna podjął wykład. Narysował na tablicy trójwymiarowy sześciąt, a pod nim długą strzałkę.

– Czas. Każda wibracja zachodzi w czasie. Ale nasz Wszechświat ma w sobie coś bardzo dziwnego...

– Dziwniejszego niż facet w podkoszulku i spodniach od garniaka, sir? – spytał Shinobu.

Quin zdusiła w sobie chętkę parsknięcia śmiechem. Odkąd umarła mama chłopaka, Alistair był mu zarówno ojcem, jak i matką i chętnie przymykał oko na jego błazeństwo, ale czy będzie je tolerował podczas lekcji, tego nigdy nie wiedziało się z góry.

Na szczęście tym razem mężczyzna uśmiechnął się i westchnął ciężko.

– Nie macie w sobie ani krzty szacunku... To przecież mój wyjściowy podkoszulek. A teraz skupcie się, proszę... Wszechświat ma w sobie coś bardzo dziwnego. Wibracje atomów, elektronów i nawet mniejszych cząstek elementarnych niezupełnie sumują się w wibracje samej materii. Coś jest z nimi nie tak, wiecie? Przynajmniej dopóki nie założymy, że wibrują w większej liczbie wymiarów niż te, które potrafimy zaobserwować.

Quin wpatrywała się w niego z przejęciem. Alistair miał powiedzieć im coś ważnego. Czowała to.

– Mamy trzy wymiary, które widzimy i jeden, który czujemy: czas. Ale w rzeczywistości jest ich więcej. Zwinięte tak ciasno, że swobodnie mieszczą się wewnątrz jednego wahnięcia najslabszej wibracji Wszechświata, istnieją inne wymiary, które przenikają się z naszymi własnymi jak ruchome, splatające się nici.

Odwrócił się do tablicy i narysował coś na kształt nitek splecionych ze sobą w kawałku tkaniny.

– No i weźmy teraz czas. Tutaj płynie o tak. – Postukał kredą w długą, prostą strzałkę z poprzedniego rysunku. – Ale tam? – Wzruszył ramionami. – Czas może nie być już taki prosty. Co by było, gdybyśmy mogli rozwinąć tamte wymiary? Rozpostrzeć je i wstąpić do ich wnętrza? Jak byśmy je odczuwali? Dokąd moglibyśmy się w nich przenieść?

Uczniowie milczeli przez dłuższą chwilę, wpatrując się w Alistaira i jego prosty rysunek. Ciszę przerwała Quin:

– Czy naprawdę można to zrobić, sir?

Mężczyzna odłożył kredę, otrzepał dłonie i skrzyżował swoje potężne ramiona na piersi. Uśmiechnął się.

– To wszystko na dziś.

Część druga  
Hongkong 18 miesięcy później

## Rozdział 27

### Zatoka Wiktorii

Małeńki pojazd podwodny przemierzał nieśpiesznie głębiny zatoki, fotografując wszystko, co przesuwano mu się pod brzuchem. Pływał zygzakowatym kursem, bardzo powoli, co pozwalało mu na przeszukanie każdej piędzi dna. Każdego ranka wynurzał się, aby naładować akumulatory w słońcu i przesłać zarejestrowane obrazy na brzeg, a potem znowu nurkował, kontynuując ślimaczą wędrówkę wzdłuż morskiego dna.

Gdzieś na lądzie komputery analizowały przesłane fotografie, porównując zapisane na nich kształty z zapytaniami klientów i decydując, czy wśród zaśmiecających głębiny obiektów jest coś, co mogłoby ich zainteresować. W zatoce tak starej jak Wiktorii, w mieście tak wielkim jak Hongkong, pod wodą zawsze znajdzie się coś interesującego.

Tamtego dnia, kiedy pojazd niczym spławik wyskoczył na powierzchnię w kilwaterze wielkiego kontenerowca, wśród setek tysięcy przesłanych obrazów zawarł zdjęcie smukłego przedmiotu wykutego z kamienia i niemal całkowicie pogrzebanego w piasku. Dla ludzkiego oka była to nic nieznacząca fałda w morskim dnie, ginąca w tłumie podobnych nierówności, ale przedmiot był widoczny w dostatecznym stopniu, aby komputer zdołał dopasować jego kształt do konkretnego zlecenia od klienta z drugiego końca świata.

## Rozdział 28

### Quin

Ocean pod nią był bardzo głęboki i bardzo zimny. Blisko dna, dokąd nie docierało światło słońca, woda była czarna. Tam w dole coś było i poruszało się. Czowała, jak unosi się z mroku i lodowatej otchłani, z wolna dążąc ku powierzchni. W miarę wznoszenia płynęło coraz szybciej przez głęboką ultramarynę, a potem coraz jaśniejsze odcienie błękitu. Jeszcze tylko chwila i przebiję się przez powierzchnię – wyskoczy w powietrze, w wielkim pędzie wnosząc się między dźwigarami mostu, przez każdy z niższych poziomów, aż zatrzyma się w jej pokoju, razem z nią, wszędzie wokół niej. Już teraz czowała, jak otula ją swoją mocą i ściąga w dół, do oceanu, w którym utonie...

– Wyjeżdżamy stąd!

Quin się obudziła.

Leżała na łóżku obok okrągłego okienka. Potoczyła spojrzeniem po pokoju, niczego nie rozpoznając. Jedną ze ścian zdobił duży schemat ciała człowieka, pokazujący punkty nakłuć akupunkturowych i odruchy mięśniowe. Obok schematu wisiał kalendarz z rysunkiem chińskiego smoka u góry. Była też szafa, otwarta, wypełniona prostymi, ciemnymi ubraniami wiszącymi rzędem na drążku, a w kącie stał medyczny szkielet z białą opaską na czaszce ubrany w niebieski kitel. Nad szkieletem na ścianie widniały fotografie ludzi, którzy wydali się Quin kompletnie obcymi osobami.

Obróciła oczy ku górze i skupiła wzrok na niskim suficie, na którym przypięto mapę, zajmującą niemal całą jego powierzchnię. Utrzymana w stylu imitującym stary sztych, pokazywała gęste miasto przycupnięte na wyspie i przelewające się na pobliski kontynent. Była to mapa Hongkongu – dziewczyna widziała nazwę, wypisaną rozstrzelonymi przez środek, ozdobnymi literami.

Na mapie, pomiędzy regionem Koulun a wyspą Hongkong widać było duży most. „To właśnie tu teraz jestem” – przypomniała sobie Quin. I rzeczywiście była – w swoim pokoju, w domu, w którym mieszkała z matką, na Moście Tranzytowym, stanowiącym samodzielny świat, łączącym Koulun z wyspą Hongkong, w mieście Hongkong na kontynencie zwanym Azją. To był jej dom i być może był nim od zawsze.

Odwróciła głowę, aby wyrzec przez okno. Przez szybę zobaczyła drapacze chmur po drugiej stronie Zatoki Wiktorii, w dole zaś szarą wodę zatoki, uciekającą od niej z odpływem. Patrząc na nurt, poczuła zawroty głowy. Wyglądało na to, że był właśnie ranek.

– Wołałaś coś...

Fiona stała w progu jej sypialni. Miała na sobie jasną jedwabną sukienkę. Płomiennorude włosy upięła w skomplikowaną fryzurę, która okalała jej



porcelanowobiałą twarz i błękitne oczy. Wyglądała prześlicznie. Przez chwilę czekała niepewnie przy drzwiach, ale potem podeszła do łóżka Quin i usiadła na nim ostrożnie, jakby bała się, że córka może ją ugryźć. Uwadze dziewczyny nie uszedł fakt, że ruchy jej mamy były zdecydowane i pełne wdzięku, co oznaczało, że tego dnia jeszcze nie zaczęła pić.

– Wszystko w porządku? – spytała ją Fiona. – Mówiłaś coś o wyjeździe.

Quin zamknęła oczy. Wciąż kręciło jej się w głowie wypełnionej strzępami snu z tym dziwnym poczuciem, że coś wznosi się i wznosi...

– Dobrze się czujesz? – spytała kobieta jeszcze raz.

Chłodna dłoń mamy dotknęła jej czoła. Sen odpłynął, ustały zawroty głowy, jej własne życie osiadło na powrót wokół niej. Quin otworzyła oczy.

– Moja mała dziewczynka – powiedziała Fiona, uśmiechając się do niej z góry.

Quin wzdrygnęła się, pragnąc w duchu, aby matka zabrała dłoń z jej głowy. Ciekawe, kiedy ostatnio myła ręce. Byli na niej wszyscy mężczyźni, z którymi kobieta spędzała czas, wszystkie narkotyki z palarni opium w mieście. Ślady wszystkiego, czego jej matka dotykała, pozostały na tych białych palcach – małe drobiny ludzi i miejsc, które wcierała jej teraz w czoło. Było jej od tego niedobrze.

Obróciła się w stronę okna, odsuwając od Fiony i strząsając jej dłoń z głowy.

– Nie jestem niczym zarażona, Quin – powiedziała cicho kobieta.

– Nie powiedziałam, że jesteś.

– Nie musiałaś. – Jej matka wstała i wycofała się pod drzwi. – Mam umówione spotkanie. Wrócę na kolację. Jeśli czujesz się na siłach, może zjadłybyśmy razem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Fiona odwróciła się i wyszła z pokoju.

„Nazywa to spotkaniami – pomyślała dziewczyna, słuchając kroków mamy na schodach. – Jak jakaś businesswoman”.

Kilka chwil później zadźwięczały dzwonki zawieszony na drzwiach wejściowych. Fiona wyszła z domu.

Quin zamknęła oczy i naciągnęła kołdrę na głowę. Leżała tak przez kilka minut, ale sen nie wrócił. Zresztą i tak nie była pewna, czy chce jeszcze spać – tamten koszmar wciąż mógł na nią czekać.

Czoło paliło ją w miejscu, w którym dotknęła ją dłoń matki. Były tam – te maleńkie cząsteczki na jej skórze, być może niewidzialne, ale dziewczyna czuła je bardzo wyraźnie.

Odrzuciła kołdrę i poczłapała do łazienki. Poświęciła kilka minut na szorowanie twarzy i rąk, unikając – jak zawsze – widoku swojego nagiego lewego przedramienia. Kiedy nareszcie poczuła się czysta, założyła koszulę z długimi rękawami, które starannie naciągnęła na nadgarstki, po czym stanęła przed lustrem.

– Quin – powiedziała, jakby ćwicząc wymowę własnego imienia.

Jej ciemne włosy były długie, skórę zaś miała bledszą niż kiedykolwiek przedtem od spędzania większości czasu w cienistych zakamarkach Mostu Tranzytowego. Pomyślała, że jej ciemne oczy wyglądają na starsze niż jej szesnaście lat.

Podeszła do szkieletu stojącego w kącie sypialni i zdjęła zeń białą opaskę, którą przewiązała sobie głowę. Zabrała też niebieski kitel, który założyła sobie na koszulę. Kitel i opaska były atrybutami uzdrowicielki. Jako szesnastolatka była bardzo młoda jak na normy obowiązujące w tej profesji, ale rzecz jasna wciąż się uczyła. Przebiegła wzrokiem po fotografiach przyklejonych taśmą do ściany. Teraz rozpoznawała tych ludzi – swoich pacjentów. Dla każdego z nich zrobiła coś dobrego. Uważała za wielkie szczęście fakt, że odkryła w sobie tak szlachetne powołanie. W swoim własnym, niewielkim wymiarze czyniła świat lepszym.

Przycisnęła czoło do zimnej czaszki szkieletu i wyszeptwała:

– Dziś znów komuś pomogę. Jeśli dopisze mi szczęście, pomogę wielu osobom. Jeśli poszczęści mi się bardzo...

Stukanie do drzwi na dole przerwało jej poranny rytuał. Zanim zdążyła zbiec do połowy schodów, pukanie rozległo się znowu, znacznie głośniejsze.

– Już idę, idę! – zawołała po chińsku.

– Nagły wypadek! – odpowiedział kobiecy głos zza drzwi, także po chińsku.

Był to jeden z garstki chińskich zwrotów, które Quin знаła bardzo dobrze. Otworzyła drzwi i ujrzała mniej więcej czterdziestoletnią Azjatkę z małym chłopcem na rękach.

– Nagły wypadek – powiedziała raz jeszcze kobieta, przechodząc na angielski na widok europejskiej twarzy dziewczyny.

Quin wyjęła chłopca z jej ramion i śpiesznie ruszyła z nim do pokoju na tyłach domu.

– Co się stało? – spytała, układając malca na stole zabiegowym między wysokimi regałami zastawionymi zapasami chińskich ziół i igieł do akupunktury, których wciąż uczyła się używać.

– To był jakiś narkotyk – odpowiedziała kobieta.

Jej akcent był prawie niezauważalny, jakby angielski był jej językiem ojczystym. Była przerażona, ale mówiła wyraźnie – nie należała do osób, które łatwo tracą panowanie nad sobą.

– Jego starszy brat musiał zostawić coś w szufladzie. Akio znalazł to i połknął. Nie wiem, co to było. Może sziwa, może nawet opium...

Sziwą nazywano jeden z nowych narkotyków błyskawicznie zdobywających popularność w barach na dolnych poziomach Mostu.

– Wie pani, że jestem tylko uczennicą? Powinnyśmy sprowadzić mojego nauczyciela, Mistrza Tana.

– Już u niego byłam – oznajmiła kobieta. – Mistrza Tana nie ma dziś

w domu. Jego matka skierowała mnie tutaj.

Tak, Quin mogła sobie wyobrazić, jak ta drobna, zasuszona staruszka kieruje kobietę do niej. Dziewczyna mieszkała zaledwie trzy domy od Mistrza Tana, co jednak nie oznaczało, że nie było lepszych miejsc, do których można było zabrać chłopca. Kobieta przyglądała się jej uważnie, jakby szukała czegoś w jej twarzy.

– Proszę...

Quin zaczęła już badać bezwładne ciało malca, zaglądała mu w oczy, oglądała paznokcie, sprawdzała kolor skóry we wszystkich miejscach, w których Mistrz Tan uczył ją szukać symptomów dolegliwości. Coś zwróciło jej uwagę. Jej mały pacjent miał twarz swojej matki, ale włosy przyprószone rudawym odcieniem. Było w tej kombinacji coś dziwnie znajomego...

Szybko wetknęła trzy igły w punkty na głowie, nadgarstku i kostce dziecka.

– Jak dawno temu to połknął?

– Może pół godziny – odpowiedziała kobieta.

– Myślę, że powinniśmy zawieźć go do szpitala... – zaczęła dziewczyna.

– Quin?

– Tak?

Kobieta pokiwała głową jakby do samej siebie.

– Quin, Mistrz Tan ufa ci. Jego matka tak powiedziała. Dlatego ja też ci ufam, Quin.

To było dziwne, że nieznajoma wciąż wypowiadała jej imię, tak jak ona sama wypowiadała je kilka minut wcześniej w łazience. Kobieta położyła dłonie na jej ramionach.

– Proszę. Jest już za późno, żeby wieźć go dokądkolwiek. Pomóż mu.

Dziewczyna skinęła głową. Oczyściła umysł i skoncentrowała się, wprowadzając w stan podwyższonej wrażliwości. Mistrz Tan, jeden z najsłynniejszych uzdrowicieli Mostu Tranzytowego, nazywał to jej wyjątkowym darem. Mawiał, że większość uzdrowicieli pracuje przez całe życie, aby osiągnąć to, co jej przychodziło naturalnie. Dostrzegłszy jej potencjał, przyjął ją do siebie na nauki.

Stojąc nad chłopcem, Quin uspokoiła oddech. Wyrzuciła z umysłu wszystko oprócz leżącego przed nią dziecka. Jej postrzeganie rzeczywistości zaczęło się zmieniać i już po chwili zaczęła widzieć rzeczy skryte poza granicą percepcji zwyczajnego wzroku. Zobaczyła jasne, miedzianobrazowe linie unoszące się wokół chłopca – pole elektryczne jego ciała. Każdy człowiek wytwarzał wokół siebie takie pole. Można było je zmierzyć za pomocą specjalnych przyrządów, ale zdolność jego dostrzegania – tak jak dostrzegała je Quin – była czymś niezwykłym, oznaką nieprzeciętnej kontroli mentalnej. Linie pola chłopca były porozrywane wokół ciemnych, nieregularnych plam wiszących nad organami dotkniętymi działaniem toksyny.

– Musi wydalić truciznę – oznajmiła. Pomagała Mistrzowi Tanowi w tuzinach podobnych przypadków – na Moście problemy z narkotykami były powszechne – ale jeszcze nigdy nie leczyła kogoś tak młodego. – Czy zdołała pani zmusić go do wymiotów?

– Nie, choć próbowałam.

Chłopcu nie zostało już wiele czasu. Zaczynała się zapaść. Quin pogłębiła swoją percepcję. Teraz widziała własne pole energii – jasne linie poruszające się w górę i w dół jej ramion oraz niewielki, mętny wir wokół starej rany na piersi. Skoncentrowała się i poczuła energię spływającą ku jej dłoniom niczym elektryczna rzeka. Mistrz Tan był pod wrażeniem jej zdolności do panowania nad mocą umysłu, ale jej przychodziło to z łatwością, jakby przyuczano ją do tego od najmłodszych lat. Być może zresztą tak było. Jej życie przed przybyciem na Most Tranzytowy było dla niej tajemnicą, wielką dziurą w jej pamięci, mogła więc wyobrazić je sobie, jak tylko miała ochotę. Lubiła przekonywać sama siebie, że szkolono ją od urodzenia w sztuce mentalnej kontroli specjalnie po to, aby kiedy dorośnie, mogła pomagać ludziom.

Powiodła palcami ponad chmurami wiszącymi nad chorymi narządami chłopca, pozwalając swojej energii połączyć się z jego. Ciemne obłoczki poruszyły się i przez chwilę wydawały się rozpierzchać. Malec jęknął.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się jego matka.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Skupiła strumień własnej energii na odruchach żołądkowych malca i jego ciałem targnął spazm. Ostrożnie przewróciła go na bok i przysunęła wiadro. Chłopiec znów szarpnął się w konwulsji, a po chwili zaczął wymiotować, łamiąc się wpół pod wpływem skurczów, wyrzucających na zewnątrz zawartość jego żołądka.

Ciemne chmury zaczęły zmieniać się, rozpraszać. Malec z wysiłkiem rozchylił drżące powieki. Quin zbadała mu puls w kilku miejscach i pozwoliła sobie na odprężające westchnienie. Nic mu już nie groziło.

– Akio... Akio... – wyszeptała matka, pochylając się nad nim.

Chłopiec wybełkotał coś w odpowiedzi.

Przez krótką chwilę, podczas gdy wzrok dziewczyny powracał do normalności, twarz kobiety i rudawa czupryna malca wydały się jej osobliwie znajome. Prawie mogła sobie ich wyobrazić na łące, w słońcu igrającym w źdźbłach wysokiej trawy...

– Quin?

Jej wzrok skupił się na matce, która klęczała przed nią na podłodze. Akio siedział na stole zabiegowym, wciąż blady i osłabiony, ale wyglądał już znacznie lepiej. Dziewczyna nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło niepostrzeżenie dla niej. Uświadomiła sobie, że musiała odpluć, siedząc na krześle, z zamkniętymi oczami i głową wspartą na dłoni. W drugiej ręce trzymała szklankę z wodą.

– Przez chwilę myślałam, że zemdlałaś – powiedziała do niej kobieta.

– Przepraszam – wymamrotała Quin. – Ja... zamyśliłam się.

– Ile ty masz lat?

Pytanie zabrzmiało dziwnie, jakby kobieta chciała tylko potwierdzić coś, co już wiedziała.

– Szesnaście – odparła.

Przez pewien czas, gdy dochodziła do siebie po postrzale w pierś, miała kłopoty z przypomnieniem sobie własnego wieku, ale potem zaczęła powtarzać to sobie wystarczająco często, aby pamiętać. Wtedy miała piętnaście lat, teraz – prawie siedemnaście.

– Szesnaście – powtórzyła kobieta, mrużąc oczy w skupieniu, jakby liczyła coś w myśli. Może zastanawiała się, jak długo Quin uczyła się fachu uzdrowicielki.

– Znakomicie sobie radzisz. Masz tu jakichś przyjaciół?

– Przyjaciół? Nie, raczej nie.

Dziewczyna była trochę zaskoczona osobistą naturą pytania, ale także własną odpowiedzią. Dlaczego idea posiadania przyjaciół wydała jej się tak obcym konceptem?

Wstała i wręczyła kobiecie szklankę.

– Niech wypije wszystko, a potem kolejne trzy szklanki, jeszcze dziś rano. Muszę przygotować dla niego zioła. Proszę wrócić po nie za kilka godzin.

Podczas gdy chłopiec kończył pić wodę, Quin jeszcze raz bardzo starannie umyła ręce. Podczas wizyty kobieta kilka razy dotknęła jej ramion, ale dziewczyna była pewna, że dłonie gościa nie weszły w kontakt z jej skórą. Nie chciała przejmować się zarazkami na materiale, nawet jeśli podejrzewała, że tam są. Gdyby pozwoliła sobie na to, spędzałaby całe dnie na praniu ubrań.

Skończywszy wycierać dłonie, ściągnęła rękawy w dół tak nisko, jak tylko się dało. Lewy zakrywał znamię, które ją niepokoiło. Nie lubiła na nie patrzeć.

Kobieta wzięła chłopca na ręce i ruszyła do wyjścia.

– Dziękuję ci, Quin. – Znowu wypowiedziała jej imię w ten osobliwy, ostrożny sposób, jakby delectowała się jego brzmieniem.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za gośćmi, dziewczyna przez kilka minut nie ruszała się z miejsca.

„Ocaliłam życie dziecku – rzekła do siebie w duchu. – Ocaliłam życie dziecku”.

Może kobieta podarowałaby jej zdjęcie syna, aby mogła powiesić je na ścianie wśród innych.

Coś pociągnęło ją delikatnie za kąciki ust. To uczucie zaskoczyło ją – odzwyczaiła się już od uśmiechu.

## Rozdział 29

### Shinobu

Shinobu się pocił. Czuł, jak pot cieknie mu po czole pod maską pomimo lodowato zimnej wody wokół. Zamrugał, aby strząsnąć krople z powiek, i poprawił latarkę na czole. Zanurzali się coraz głębiej – on i jego przyjaciel Brian, obaj obciążeni ciężkimi narzędziami wydobywczymi, zawieszonymi u pasa stroju nurkowego. Wielki brzuch Briana upodabniał go do opasłego sandacza sunącego w dół, na żer w mrocznej głębinie. „A ja jestem barakudą” – pomyślał Shinobu. W ciągu minionego roku schudł tak przeraźliwie, że żebra sterczały mu nawet przez gruby kombinezon.

Wpłynęli do Parowu, głębokiej szczeliny w dnie Zatoki Wiktorii, do której trafiało wiele różnych szczątków wymiatanych przez prądy morskie. W miarę jak opuszczali się między ścianami Parowu, woda wokół nich stawała się coraz ciemniejsza i zimniejsza. Blask ich czołówek zdobił mrok płaszącymi cieniami. Shinobu co kilka chwil zaciskał powieki, broniąc się przed potem, który zalewał mu oczy.

– Brian! – zawołał. – Mówię ci, tu straszy!

W rzeczywistości nie wymówił ani jednego zrozumiałego słowa – był przecież pod wodą, a w zębach ścisnął ustnik reduktora – niemniej zdołał wydobyć z siebie serię bełkotliwych dźwięków, które uleciały w morze wraz z pióropuszem baniek powietrza. Jak zwykle kiedy próbował prowadzić rozmowę pod wodą, Brian po prostu go ignorował.

Pot doprowadzał Shinobu do szału. Odsłonił twarz, pozwalając aby obmyła mu ją woda, po czym przedmuchał maskę i przyśpieszył, aby dogonić przyjaciela. W pobliżu przepływała grupa prawdziwych sandaczy japońskich, odcinających się upiornymi sylwetkami na tle ściany wąwozu. Jeszcze tego ranka chłopak palił laski sziwy, wciągając narkotyczny dym w obskurnym pokoiku, który dzielił z Brianem, położonym nad tanim kinem w slumsach na obrzeżach Koulunu. Sziwa zmieniła sposób, w jaki widziało się świat i słyszało dźwięki, dlatego nie było dobrym pomysłem palenie jej przed pracą fizyczną, zwłaszcza tak skomplikowaną i niebezpieczną jak nurkowanie. Jednak Shinobu nie potrafił już cieszyć się życiem, jeśli nie napędził sobie porządnego strachu.

Złapał Briana za ramię.

– Cienie... Prześladowają mnie! – wrzasnął, znów posyłając w górę chmurę bąbelków.

Jego przyjaciel przeciągnął przed brzuch tabliczkę z klipsem na dokumenty, którą miał przypiętą do paska, i napisał na odwrocie specjalnym flamastrem:

ZAMKNIJ SIĘ.

– Sam się zamknij! – wrzasnął Shinobu, rozsiewając bąble.

Krzycząc, niechcący wciągnął do płuc haust słonej wody. Wykaszłał ją, a potem roześmiał się, przerażony do utraty zmysłów i rozanielony. Nurkowanie różniło się od jego poprzedniego życia tak bardzo, jak tylko mogło się różnić. Bardziej nawet niż skoki z drapaczy chmur i mostów, którymi zajmował się przez pierwsze pół roku swojego pobytu w Hongkongu.

Zbliżali się do dna Parowu. W przykrywających je głębokich, mulistych nanosach kryły się prawdziwe skarby. W mieście wielkości Hongkongu, z portem otwartym dla żeglugi od setek lat, nie było rzeczy, której nie można by znaleźć w okolicznych wodach. Jakiś czas temu Brian i Shinobu, uzbrojeni w podwodne palniki, wydobyli kawałek po kawałku całego rolls-royce'a, tkwiącego we wraku na południowym końcu Parowu. Innym razem za pomocą materiałów wybuchowych otworzyli sobie drogę przez stalowe pokłady starego japońskiego transportowca, aby wykraść mu z ładowni skrzynie z bronią z czasów drugiej wojny światowej.

Brian podążał za wskazówkami przyrządu nawigacyjnego przypiętego do jego nadgarstka. Omietli okolicę snopami światła z czołówek, a wtedy wokół nich znów roztańczyły się cienie. Shinobu mógłby przysiąc, że wszędzie wokół roiło się od nurków przyczajonych na skraju pola widzenia i pierzchających bez śladu, kiedy tylko odwrócił wzrok w ich stronę.

Złapał przyjaciela za tabliczkę na pasku i szybko napisał:  
OBSERWUJĄ NAS.

Brian pacnięciem odtrącił natrętne ręce. Plama światła z jego czołówki przemknęła po szczątkach naczyń kuchennych i starym telewizorze, z którego nadtłuczonego kineskopu czmychnął spłoszony węgorz.

Shinobu znów porwał tabliczkę i przewertował przypięte do niej wodoodporne arkusze w poszukiwaniu kartki z aktualnym zleceniem. Wcześniej zrzucił całą papierkową robotę na przyjaciela, a przed nurkowaniem nie zadał sobie nawet trudu, żeby sprawdzić, czego właściwie szukają. Na górnej połowie strony widniała fotografia przedmiotu, po który ich wysłano, wykonana przez pojazd podwodny, patrolujący dno zatoki. Przedmiot był prawie całkowicie pogrzebany w mule i trudny do rozpoznania na zdjęciu, ale obok fotografii zamieszczono rysunek obrazujący, jak poszukiwany obiekt wygląda w całej okazałości. Był to rodzaj sztyletu o rękojeści wykonanej z kilku złożonych razem wielokątnych pierścieni, których fasetki ozdobiono wyrytymi symbolami.

Shinobu ogarnęła nagła panika. Przez odmienione sziwą zmysły była niczym lodowata dłoń, która złapała go za trzewia i ścisnęła je bezlitośnie. Oto posłano go po athamen, który sam cisnął do morza z Mostu Tranzytowego półtora roku temu.

– Nie możemy! – krzyknął do Briana, gwałtownie kręcąc głową. Tak jak

przedtem, z jego ust popłynęły jedynie bąble. Chłopak nawet się nie odwrócił, więc Shinobu złapał go za ramię. – Stój! Musimy wracać.

We wzburzeniu znów się zapomniał i przez otwarte wokół ustnika usta zachłysnął się potężną ilością wody. Podczas gdy wykrztuszał ją z płuc, Brian kontynuował poszukiwania, płynąc powoli wzdłuż dna. Kiedy Shinobu znów zaczął oddychać normalnie, zobaczył swojego przyjaciela machającego do niego triumfalnie prawą ręką. W lewej trzymał athamen.

Chłopak rzucił się naprzód, szybko podpłynął do Briana i nerwowym uderzeniem wytrącił mu kamienny sztylet z dłoni. Wirując powoli, athamen opadł na dno Parowu. Brian natychmiast rzucił się w ślad za nim, ale Shinobu złapał go za kostkę i pociągnął w górę. Brian Kwon był typem dobrodusznego olbrzyma, którego trudno było rozgniewać, ale teraz był zły. Okręcił się wokół własnej osi i wolną nogą wierzgnął w stronę przyjaciela, ale ten uchylił się przed kopnięciem i szarpnął jeszcze raz, odciągając chłopaka od sztyletu, który utkwiał w piasku trzy metry pod nimi.

Brian próbował odepchnąć napastnika, ale Shinobu złapał go wpół i ścisnął ramionami. Chłopak wykręcił z uchwytu swoją mięsistą dłoń i machnął nią, wyrывая przewód powietrzny z ustnika przyjaciela. Z wylotu trysnął potężny strumień baniek, a Shinobu zaczął panicznie wymachiwać rękami, próbując złapać końcówkę węża. Uwolniony Brian zanurkował głębiej.

Zagrożenie życia zmusiło Shinobu do zapanowania nad paniką. Uspokoił się i zamiast płynąć za Brianem, sięgnął ręką za siebie, namacał główny zawór i go zakręcił. Powietrze przestało uchodzić z butli.

Przymocowanie węża do ustnika zajęło mu dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie znów napełnił płuca powietrzem, które wdychał łapczywymi haustami, ujrzał chłopaka płynącego ku niemu z dołu z athamenem przypiętym bezpiecznie do pasa z narzędziami. Przyjaciel zatrzymał się przed nim i uniósł podkładkę z dokumentami. Na formularzu zlecenia, tuż pod rysunkiem athamenu, widniała kwota, jaką mieli otrzymać w zamian za wydobycie obiektu. Brian kilka razy dźgnął palcem w cyfry. Obiecano im potrójne wynagrodzenie za dostarczenie kamiennego sztyletu w nienaruszonym stanie.

Chłopak odwrócił się i odpłynął w stronę, z której przybyli.

„Sandacz postawił na swoim – pomyślał Shinobu. – Nie ma mowy, żeby wypiął się na taką kasę”.

Przez chwilę unosił się w toni bez ruchu. Działanie sziwy powoli ustępowało i zaczynała go boleć głowa. Z wolna ruszył w ślad za Brianem, od czasu do czasu gwałtownie odwracając głowę w nadziei, że przyłapie któregoś z tych nieuchwytnych, szpiegujących go nurków.

To właśnie w jednej z takich chwil je zobaczył. Krzesiwo leżało niemal całkowicie przysypane piaskiem. Tylko końcówka płaskiej klingi sterczała ponad



dnem tuż obok pękniętej muszli klozetowej. Shinobu podpłynął bliżej i wyciągnął przedmiot z osadów.

Kamienne narzędzie wyglądało dokładnie tak jak osiemnaście miesięcy wcześniej. Podróż w głąbiny Zatoki Wiktorii, a potem wzdłuż dna do czeluści Parowu nie wyrządziła mu żadnej szkody.

Shinobu spojrzął na Briana, płynącego nieśpiesznie przed nim. Nic nie wskazywało na to, aby ktokolwiek poszukiwał krzesiwa, bez niego zaś athamen był bezużyteczny. Złapał znaleźisko za oba końce i uniósł kolano, zamierzając przełamać kamień na pół, ale powstrzymał się w połowie zamachu. Osiemnaście miesięcy temu zdobył się na wyrzucenie krzesiwa w morze, ale zniszczenie go było rzeczą nieporównanie większego kalibru. Pomyślał o zagrzebaniu go w mule, ale odkrył, że tego też nie potrafi zrobić. Trzymał właśnie w rękach jeden z najcenniejszych skarbów ludzkości, jak zawsze mawiał jego ojciec.

„Mój ojciec...”.

Nie miał ochoty o nim myśleć. A jednak nie mógł pozbyć się uczucia, że Alistair nie chciałby, aby jego syn pozbył się krzesiwa.

– Niech to szlag! – zaklął, wypuszczając chmurę bąbelków.

Ten przedmiot pomagał w... robieniu rzeczy, o których nie miał zamiaru myśleć. Ale, ujmując rzecz ściśle, krzesiwo nie było winne temu, do czego je wykorzystywano. Przez chwilę Shinobu unosił się w wodzie, mamrocząc przekleństwa, które wlatywały chmurami baniek ku powierzchni. Patrzył na krzesiwo, który wciąż trzymał w dłoniach. Wreszcie schował je do sakwy przypiętej do pasa.

Dopędził Briana na przystanku dekompresyjnym. Dwaj młodzieńcy mierzyli się gniewnym wzrokiem, unosząc się w wodzie i odmierzając czas pozostały do chwili, w której będą mogli bezpiecznie kontynuować wynurzenie. Po kilku minutach pełnego napięcia czekania, Brian złapał swoją tabliczkę i skreślił kilka słów:

CO CI ODBIŁO?

Shinobu wyjął mu tabliczkę z rąk i odpisał:

PRZEPRASZAM, SANDI, MÓJ BŁĄD.

Jego wielki przyjaciel najwyraźniej przyjął przeprosiny, a kiedy już szli nabrzeżem w stronę miasta do firmy poszukiwawczej, Brian śmiał się głośno i wymyślał sposoby spożytkowania zarobionych pieniędzy.

– Zjemy parę lasek? – spytał, omal nie przewracając Shinobu przyjaznym szturchańcem.

– Nie, bo w życiu nie zasnę.

– A od kiedy ty w ogóle śpisz? – Brian wzruszył ramionami.

– Racja.

Rozmawiali mieszaniną chińszczyzny i angielszczyzny, popularną wśród hongkońskiej młodzieży. Shinobu jakoś dawał sobie z tym radę. Był Japończykiem, nie Chińczykiem, rzecz jasna, i wszystkiego, co umiał powiedzieć po chińsku, nauczył się w ciągu minionego półtora roku – ale uczył się szybko.

Wyszli z wody w rejonie zwanym Kwun Tong, na północno-wschodnim skraju Zatoki Wiktorii. Patrząc na zachód z miejsca, w którym byli, Shinobu widział olbrzymi, wysoki masyw Mostu Tranzytowego, przerzuconego nad wodami zatoki, z ochronnym baldachimem zaprojektowanym tak, aby wyglądał jak gąszcz żagli statków płynących ze wschodu i zachodu. Za Mostem, po drugiej stronie zatoki majaczyły drapacze chmur z dzielnicy Central and Western, ledwie widoczne w wiszącym nad miastem popołudniowym oparze.

Shinobu spojrział na athamen, wciąż zatknięty za pas Briana. Zastanawiał się, kiedy zostanie dostarczony osobie, która zleciła jego odszukanie. I kto mógłby go szukać.

Odpowiedź na swoje pytanie otrzymał niemal natychmiast. Przez skład magazynowy firmy poszukiwawczej, między stosami wyłowionego z morza elektronicznego złomu, części samochodowych i fragmentów starych statków, szli ku nim dwaj mężczyźni. Pierwszym był ich kierownik, drobny Filipińczyk, który z upodobaniem na nich wrzeszczał, choć w rzeczywistości nigdy naprawdę się nie złościł, dopóki wyławiali z zatoki to, czego chciał. Drugi mężczyzna był biały, młody i maszerował przez kałuże, kompletnie nie zważając na błoto oblepiające mu buty i nogawki.

To był John. No jasne! Przez minione półtora roku zapewne zarzucał zleceniami firmy poszukiwawcze na całym świecie, a teraz athamen ściągnął go do Hongkongu. A jednocześnie, dodatkowym splotem okoliczności, do Shinobu.

Daleką cząstką swojego jestestwa Shinobu czuł, że powinien go zabić. Powinien w tej chwili, nie zwlekając, podbiec tam i skończyć z nim raz na zawsze bez cienia wahania. To byłby chlubny czyn. Z drugiej strony wiedział już, że tego nie zrobi. To z powodu Johna Alistaira spotkał tak straszny koniec. To była jego wina. Ale z drugiej strony przecież nie tylko jego. W ogromnej mierze winę za to wszystko ponosił Briac, a nawet sam Alistair. Ojciec i wuj Shinobu wybrali własną drogę i mieli na koncie czyny, o których chłopak postanowił nigdy więcej już nie myśleć.

To prawda, że John odpowiadał za inne rzeczy, na przykład za ranę Quin, a także jej obsesję na jego punkcie, z drugiej strony jednak... Dziewczyna nie znajdowała się już w sferze odpowiedzialności Shinobu. Pożegnał się z nią i zostawił za sobą wszystko, co wiązało się z życiem w Szkocji, łącznie z własnym ojcem. Tym, czego naprawdę teraz potrzebował, było coś, dzięki czemu mógłby nareszcie zapomnieć...

– No to co w końcu robimy potem? – denerwował się Brian, zniecierpliwiony milczeniem przyjaciela. – Może skoczmy do jednej z tych wyczesanych opiumiarni?

– Dobra, okej. – Shinobu skinął głową z roztargnieniem.

Wciąż był ubrany w swój strój nurkowy. Rude włosy miał ścięte na jeża i ufarbowane w żółto-czarne lamparcie cętki, a w nozdrzach i brwiach błyszczały mu kolczyki. Był też wyższy i szczuplejszy niż półtora roku wcześniej. Z drugiej strony, John przebywał w jego towarzystwie przez wiele lat i już za kolejnych trzydzieści metrów znajdzie się dostatecznie blisko, aby rozpoznać dawnego kolegę.

– Fajnie, tylko do której? – dopytywał się Brian. – Słyszałem, że jest takie miejsce na czwartym poziomie tranzyciaka. Palarnia opium w stylu Chin Cesarskich...

Shinobu odwiódł łokieć i palnął przyjaciela pięścią w sam środek twarzy. Impet uderzenia wystarczył, aby posłać niebagatelną masę Briana na ziemię, po czym chłopak skoczył mu na pierś i zasypał głowę gradem ciosów. Zgodnie z jego oczekiwaniami złapał go za gardło i przerzuciwszy pod siebie, przyszpilił do mokrej ziemi. Zamiast się bronić, Shinobu nabrał pełne garście cuchnącego błota i zaczął nacierać nim sobie twarz i włosy.

– A to za co było, baranie?! – pieklił się Brian. – Przecież nie musi być opium. Możesz sobie wybrać, co tylko chcesz!

Wciąż dusił Shinobu, który przestał smarować się błotem i wczepił się w wielkie, podobne do kiełbas palce kolegi, próbując oderwać je od swojej szyi. Kierownik już biegł w ich stronę, wołając na pomoc swoich pracowników. Chwilę później tuzin ramion złapał Briana i oderwał od jego ofiary.

Ktoś pomógł Shinobu odkleić się od błota i chłopiec usiadł na ziemi, kaszłąc i wciągając powietrze łapczywymi haustami, z twarzą kompletnie upačkaną cuchnącą mazią. Z tej pozycji obserwował, jak John pośpiesznie pokonuje resztę dzielącego ich dystansu, zapewne obawiając się, że podczas bójki znaleźisko mogło ulec uszkodzeniu. Kierownik krytycznie przyglądał się athamenowi, wykorzystując fakt ubrudzenia go błotem do urządzenia Brianowi ostentacyjnej połajanki.

– Przecież i tak przed chwilą był na dnie morza, szefie – zauważył przytomnie chłopak.

W następnej chwili John stanął dokładnie nad Shinobu, a kierownik wytarł athamen szmatą i podał mu go. Chłopak ujął sztylet z niemal nabożną czcią i uniósł przed sobą, oglądając kamień pod światło – był nieskazitelny, doskonały. Kciukiem potarł głowicę rękojeści, na której – Shinobu dobrze to pamiętał – widniał mały, delikatnie rzeźbiony rysunek lisa. Jego twarz promieniowała taką mieszaniną ulgi i nadziei, że patrzenie na to prawie bolało. Wreszcie ukrył swój skarb pod połą

płaszcz, odwrócił się i poczłapał w górę błotnistego wzniesienia, nie zaszczyciwszy Shinobu nawet przelotnym spojrzeniem.

Chłopak otarł czoło wierzchem dłoni, patrząc spode łba, jak kierownik odlicza ich zapłatę z pliku banknotów i wręcza ją Brianowi. Znow zaczął się pocić, a do tego paskudnie go suszyło.

– No chodź, wstawaj. – Przyjaciel wyciągnął do niego rękę i pomógł mu dźwignąć się na nogi, po czym niezwłocznie przyłożył mu w szczękę, posyłając z powrotem w błoto.

Shinobu podniósł na niego wzrok i splunął pecyną szlamu.

– A to za co?

– Powaliło cię, Barakuda?

– Właśnie dusił mnie wielki sandacz!

Obaj parsknęli śmiechem. Nic z tego, co między nimi zaszło, nie miało znaczenia. Tego dnia skończyli już pracę. Opiumowe bary czekały.

Obmyli się rdzawą wodą, sikającą z węża na tyłach składu, i przebrali z powrotem w codzienne ciuchy. W przypadku Shinobu i Briana oznaczało to wąskie dzinsy, skórzane kurtki, strzępiaste, podarte koszulki, trzymające się na agrafkach oraz bransolety wysadzone metalowymi ćwiekami tak ostrymi, że należało się dziwić, iż do tej pory nie wykłuli sobie nimi oczu. Swoją najszerszą bransoletę Shinobu lubił nosić na lewym nadgarstku. Zasłaniała starą bliznę, której wolał nie oglądać.

Bardzo schudł i jego spodnie nie były już tak obcisłe jak dawniej, dzięki czemu zdołał ukryć krzesiwo w nogawce, wsuwając koniec tępej klingi w cholewę lewego buta.

Po wyjęciu telefonu zauważył wiadomość od mamy. Nadeszła, gdy był pod wodą i zawierała prośbę o jak najszybszy kontakt. Sprawa musiała być ważna, inaczej nie próbowałaby się z nim porozumieć. Po latach rozłąki półtora roku temu chłopak odnalazł matkę, która wcale nie zginęła w wypadku, lecz całkiem dobrze się miewała. Kobieta zdążyła już poczuć do niego odrazę. I nie mógł jej za to winić.

Zaczął wybierać jej numer, kiedy Brian załomotał w drzwi szatni, krzycząc, żeby się pośpieszył. Shinobu przewrócił oczami, wsunął telefon z powrotem do kieszeni i pobiegł za przyjacielem, czując, jak kamienna klinga obija mu się o nogę przy każdym kroku. Razem wyszli przez bramę i ruszyli w miasto.

## Rozdział 30

### Quin

Quin była w swoim gabinecie na tyłach mieszkania i sprzątała po pracy nad mieszanką ziół dla małego rudowłosego pacjenta, kiedy odgłos dzwonek na drzwiach wejściowych dał jej znać, że ktoś właśnie wszedł do poczekalni.

– Mama?! – zawołała. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie mogła się doczekać powrotu Fiony. Chciała jej opowiedzieć, jak ocaliła chłopca.

Przeszedłszy do frontowego pokoju, odkryła, że to nie Fiona.

Odwiedził ją młody mężczyzna. Był mniej więcej w jej wieku, całkiem przystojny, o jasnej skórze i jasnobrązowych włosach. Stał oparty plecami o drzwi wejściowe, a jego błękitne oczy patrzyły na nią tak, jakby tonął, ona zaś mogła ocalić mu życie.

Nie wiadomo czemu na chwilę straciła panowanie na dłońmi, z których wysunęła się puszka z ziołami. Brzęknęła na posadzce, rozsypując zawartość wokół siebie.

– Quin – powiedział cicho gość. – To naprawdę ty?

Spodziewała się, że będzie miał inny głos – przykry, syczący, wręcz przerażający – ale jej obawy okazały się płonne. Głos młodziana brzmiał zwyczajnie, a przy tym bardzo znajomo. Obserwował ją z uwagą, jakby bał się, że mogłaby nagle zaskoczyć go jakimś szalonym i niebezpiecznym czynem. Jego oczy podążały za nią, kiedy przykucnęła, aby zebrać zioła. Ona także czuła, że mogłaby zrobić coś nieprzewidywalnego. Ale co?

Powoli, aby zyskać na czasie, podniosła puszkę z podłogi i ustawiła ją na blacie. Jej własne ruchy wydały się jej dziwnie niezręczne, jakby mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa w obecności gościa.

– Quin – powiedział jeszcze raz.

Znała ten głos bardzo dobrze. Jego zresztą też. Oczywiście, że go znała. W jakiś sposób był ważną osobą w jej życiu.

– Poznajesz mnie? – spytał. Zrobił krok w jej stronę.

– Oczywiście – odparła bez zastanowienia. Cofając się bezwiednie, poczuła pod plecami twardość framugi drzwi. Dobrze było oprzeć się o solidny mur. Znała go, a jakże. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak podchodzi i składa głowę na jego piersi. Istniał jednak ważny powód – jak podpowiadała jej cząstka własnego umysłu – dla którego nie powinna go pamiętać. – Oczywiście, że cię znam.

Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę, jakby nie potrafił utrzymać dystansu.

– Jak się nazywam? – spytał.

Quin zagryzła wargę. Miała to imię na końcu języka. Wiedziała, że jest raczej pospolite, a mimo to nie była w stanie wywołać go z pamięci. Należało do szarej strefy w jej umyśle, miejsca, gdzie u innych ludzi znajdowały się

wspomnienia. Szarość była jej własną Zatoką Wiktorii, w której utopiła pierwszych piętnaście lat swojego życia.

Coś jednak zaczynało jej świtać. Te jego ruchy... Widziała go już kiedyś w stodole, na łąkach, bardzo daleko stąd. W oddali płynęła rzeka. Te wizje były jak plamy atramentu na bibułkowej suszce odjętej od świeżo zapisanej kartki – bardziej je wyczuwała, niż była w stanie zobaczyć.

Staął tuż przed nią i dziewczyna, wyprężona, przywarła plecami do ściany. Roztaczał woń mydła i słonego morskiego powietrza.

– Jak się nazywam, Quin?

Zamknęła oczy.

– John... – szepnęła.

Fala zawrotów głowy zakręciła światem wokół niej. Nogi ugięły się pod nią i dziewczyna poczuła, że osuwa się wzdłuż ściany. Chłopak podtrzymał ją, zanim upadła. Szybko dzwignęła się w górę i odepchnąwszy go, uciekła do gabinetu.

Nie pamiętała go, ale z jakiejś przyczyny owo niepamiętanie było szalenie wyczerpujące. Z trudem przesuwiała stopy. Słaniając się na nogach, straciła na podłogę kolejną puszkę z ziołami. Usłyszała brzęk metalu i szelest rozsypującego się suszu. Nie mogła być blisko tego człowieka. Nie mogła być z nim.

– Tak bardzo się bałem – mówił do niej. – Ja myślałem... Od tamtej nocy, kiedy...

– Nie! – Jej dłoń sama rozpostarła się w odruchu protestu, powstrzymując go w pół słowa.

Twarz Johna. Widziała ją przez zasklepiający się otwór, czując rozpełzające się w jej piersi odrętwienie...

– Jak dobrze, że nic ci nie jest – sapnął i tym razem nie ruszył za nią, kiedy zatoczyła się na stół zabiegowy.

Próbując złapać równowagę, straciła z półki następną porcję pojemników. Stara rana w piersi pulsowała bólem. Poczula, że upada. Nogi nie podtrzymywały już jej ciężaru.

Zamiast uderzenia podłogi poczuła uścisk silnych ramion chłopaka. Wydał się jej tak naturalny... Choć sam John był groźny. W jakimś sensie był niebezpieczny. I ona także. Razem byliby bardzo niebezpieczni.

– Mam cię – wyszeptał uspokajająco. – Mam cię.

Nióśł ją po schodach do sypialni i czuła się tak, jakby leżała na pokładzie rozkołysanej łodzi. Nie przeszkadzało jej, że ją dotyka; nie obchodziło jej, co niosły na sobie jego ręce. Pozwoliła swoim powiekom opaść. A potem byli już w sypialni i chłopak układał ją delikatnie na łóżku.

Zawroty głowy wzmogły się. Przeżywała to wielokrotnie podczas pierwszych miesięcy swojego pobytu w Hongkongu. „To twoje zdarzenia z przeszłości usiłują doścignąć teraźniejszość – tłumaczył jej cierpliwie Mistrz Tan.

– Możesz pozostawić je w przeszłości, jeśli chcesz. Musisz po prostu poczekać, aż ta chwila przeminie”.

– Już jestem – szeptał. – Jestem tu z tobą. Tęskniłem. Boże, tak strasznie mi przykro...

Dlaczego bycie z nim miałoby być niebezpieczne? Nie, to nie miało sensu. Mogła spać spokojnie, ponieważ on czuwał. Wszystko znów było w porządku, ponieważ był z nią John.

– Ja też tęskniłam – wymamrotała, ściskając jego dłoń, po czym odpłynęła w nieświadomość.

## Rozdział 31

### Shinobu

Poprzez chmurę opiumowego dymu Shinobu spojrzął na przedmiot, który trzymał w dłoni. Przedmiot wibrował.

Chłopak z wysiłkiem skupił wzrok i po chwili rozpoznał telefon. Kto mógł do niego dzwonić o tej porze? Był środek dnia. Ziomkowie z ekipy, z którą on i Brian trzymali sztamę, zwykle nie budzili się przed zmrokiem.

Wypuścił z płuc chmurę dymu zaciągniętego z fajki, którą czule tulił do piersi. To była już siódma fajka, on zaś osiągał właśnie ów błogi stan nieważkiej równowagi pomiędzy własnym ciałem a niebem: żadnych trosk, żadnych problemów, żadnych ludzi.

Ale przeklęty telefon wciąż wibrował. Trząsał się już od długich godzin – choć odmierzanych w czasie opiumowym. W czasie rzeczywistym równie dobrze mogło upłynąć zaledwie kilka sekund.

– Weź się zamknij, dobrze? – wyszeptał chłopak łagodnie do urządzenia.

Nie posłuchało.

Gramoląc się nieporadnie, Shinobu odłożył fajkę na podstawkę i dźwignął się na łokciach, posykując z irytacją. Przetarł oczy i wlepił błędny wzrok w telefon.

– To moja matka. – Szturchnął Briana Kwona, który kulił się na leżance obok niego, z własną fajką leżącą obok twarzy.

Przyjaciół stęknął w odpowiedzi i wymamrotał:

– Barakudzia mama...

Telefon przestał wibrować i pisnął sygnałem dźwiękowym oznaczającym nadejście wiadomości. Mama nigdy do niego nie dzwoniła. Umysł Shinobu podrażniło mgliste wspomnienie – niedawne, pochodzące z tego samego dnia. Czy nie dzwoniła do niego już wcześniej? Dwa telefony od matki jednego dnia byłyby czymś niesamowitym. Już prędzej spodziewałby się, że podczas nurkowania trafi go meteoryt. Kiedy ostatnio widział się z matką, było to po tym, jak znalazła go nieprzytomnego w kuchni wśród płonących lasek sziiwy. W przedpokoju leżał jego młodszy brat otumaniony dymem. Mariko cisnęła w niego wtedy ciężkim garnkiem, krzycząc, żeby nigdy, przenigdy nie ważył się przychodzić do jej domu. Zdarzyło się to wiele miesięcy temu i od tamtej pory nie miał od niej żadnych wiadomości.

Bezwiednie znowu się położył. Przyłożył cybuch do ust i wciągnął do płuc długi haust dymu.

Jego wzrok błędził po ścianach pomieszczenia. Pierwszy raz był w tym lokalu, z jego kunsztownie udrapowanymi jedwabiami i rzeźbionymi, drewnianymi leżankami, zdobionymi srebrem. Na Moście Tranzytowym było wiele tańszych narkobarów. Zwykle odwiedzał te najtańsze, usytuowane na najniższych



poziomach spelunki, gdzie leżało się na styropianowym granulacie z opakowań w ścisku tuzinów miłośników opium, ale Brian nalegał, aby uczcili premię zarobioną na dzisiejszym nurkowaniu. Tutaj atrakcyjne kelnerki i kelnerzy w jedwabnych pidżamach poruszali się bezszelestnie między klientami, przygotowując fajki i proponując drinki. Shinobu zauważył, że obsługa nosiła filtry na nosach, aby nie uzależnić się od toksycznego dymu.

„Dym – pomyślał, wytrącając się z błogostanu. – Dym i ogień. Powinienem był cię zabić, John, ale Briaca i Alistaira nienawidziłem bardziej...”. – Zobaczył ojca w aureoli barwnych iskier wokół ciemnorudej czupryny. Widział tę rudą głowę przed sobą, jakby znajdowała się po drugiej stronie sali, w której leżał.

Powoli dotarło do niego, że ruda głowa, na którą patrzy, należy do prawdziwej osoby. Choć jego umysł wciąż błędził, oczy powoli odzyskały ostrość widzenia i Shinobu spojrzał na kobietę, rozpartą na leżance pod przeciwległą ścianą palarni.

Nie miała jeszcze czterdziestu lat, a jej włosy miały dokładnie taki sam odcień jak włosy jego ojca. Była piękna – tak piękna, za jaką dawniej uważał swoją ciotkę Fionę. Kobieta była ubrana w suknię w stylu chińskim. Towarzyszył jej starszawy jegomość, europejski biznesmen, który leżał z głową wspartą na jej kolanach, podczas gdy ona podsuwała mu pod usta cybuch fajki. Jej szyję otaczał żółty szal – chłopak wiedział, że noszą go damy do wynajęcia. Na Moście była to legalna profesja. Mężczyzna musiał być klientem, który kupił sobie jej towarzystwo na czas eskapady po narkotykowych spelunach. Przemawiała do niego czule, chroniona dyskretnym filtrem, ledwie widocznym ponad górną wargą.

– Patrz, Sandi, ona wygląda jak Fiona – wybełkotał Shinobu.

– Kto? – nadeszła senna odpowiedź Briana.

– No tamta babka. – Próbował wskazać palcem, ale niełatwo mu było poruszać dłońmi, kiedy pływał tak wysoko ponad nimi. W końcu dmuchnął w jej stronę dymem, uświadamiając sobie poniewczasie, że przyjaciel leży za nim i nie może tego zobaczyć.

– A kto to Fiona? – zaburczał Brian.

– No tam. Tam – zniecierpliwził się Shinobu, kaszląc.

Kobieta uniosła wzrok, zupełnie jakby usłyszała ich rozmowę, co przy takiej odległości nie było możliwe. Jej spojrzenie przebiegło wokół pomieszczenia, zatrzymało się na chwilę na twarzy chłopaka, a potem popłynęło dalej.

To była Fiona. Nie ktoś do niej podobny, lecz ona we własnej osobie.

Żołądek Shinobu wykonał nieprzyjemne salto. Wrażenie nieważkości pierzchło i chłopak runął z powrotem w głąb własnej głowy.

– To ona – szepnął, wytrzeszczając oczy i szarpiąc Briana za ramię. – To ona! O, tam!

– Błagam, zamknij się, Barakuda – jęknął przyjaciel, odtrącając jego rękę. –

Stul pysk, dobra? I trzymaj stulony jak... jak coś, co ma stulony pysk!

Bąbel paniki powoli wędrował z żołądka Shinobu do głowy. Od półtora roku nie widział nikogo ze swojego poprzedniego życia, a teraz, w ciągu jednego dnia, natknął się najpierw na Johna, a potem Fionę.

– Dlaczego akurat dzisiaj? – spytał Briana.

– Jak żółw – odparł chłopak. – Żółwie siedzą cicho. Bądź jak żółw, Barakuda.

Shinobu skoncentrował się, tocząc z opium wewnętrzny bój o panowanie nad własnym umysłem. Jeśli Fiona była kurtyzaną, to znaczy, że musiała mieszkać na Moście. To prawda, że tamtej pamiętnej nocy, wiele miesięcy temu, pozostawił kobietę i Quin na Moście, pod opieką Mistrza Tana, ale nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że mogłyby zostać tutaj na stałe. Niełatwo było stać się mieszkańcem Mostu. Należało dysponować bardzo szczególnymi umiejętnościami. Podczas gdy patrzył na Fionę siedzącą po drugiej stronie sali, z jej egzotyczną, zachodnią twarzą, rzadko spotykanym kolorem włosów i jeszcze rzadszą urodą, uświadomił sobie, że kobieta mogła posiadać te umiejętności.

Zakładał, że kiedy tylko Quin wydobrzeła, matka wywiozła ją z Hongkongu i znalazła jakiś odległy zakątek świata, gdzie mogły żyć długo i szczęśliwie. Oto jednak miał ją przed sobą.

– Znikaj stąd – wyszeptał.

Fiona znów potoczyła wzrokiem po sali, przypatrując się gościom na leżankach. Shinobu zasłonił twarz ramieniem.

– Sam znikaj – burknął Brian. – A jak już znikniesz, to się wreszcie zamknij.

Shinobu czekał z zasłoniętą twarzą, dopóki uwaga Fiony nie skupiła się znowu na męskiej głowie spoczywającej na jej kolanach. Widząc, że spuściła wzrok, chwycił brzeg leżanki i dźwignął się na nogi, omal nie przewracając przechodzącego obok kelnera. Drobnym mężczyzną skinął na innych członków obsługi, którzy natychmiast przyskoczyli do chłopca, aby przytrzymać go w pionie. Choć ledwie szesnastoletni, Shinobu mierzył grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i trzeba było trojga ludzi, aby uchronić go przed runięciem na podłogę.

– Sir, może wolałby pan jeszcze poleżeć...

– Nie – zaprotestował, machnięciem ręki próbując przegonić natrętów i omal nie przewracając się przy tym na Briana.

Zatoczył się i oparł o ścianę. Kolanem szturchnął przyjaciela w nogę.

– Rusz się, Brian. Wychodzimy.

– Cii, Barakuda – syknął chłopak. – Żółw, pamiętasz? Gęba na kłódkę.

– No chodź, spadamy stąd. – Shinobu potrząsnął jego ramieniem.

– ...cię na żółwiową zupę – wymamrotał Brian.

Mięsista ręka zatoczyła łuk, próbując uderzyć natręta, ale ten odskoczył w porę, znów łapiąc się ściany, aby nie zwalić się na podłogę.

– No to idę bez ciebie.

Wytoczył się z palarni, pstrykając plikiem banknotów w kelnera, który ruszył za nim do wyjścia.

– Sir, na Moście Tranzytowym obowiązują ściśle przepisy dotyczące przebywania w miejscach publicznych w stanie odurzenia. Naraża się pan na cofnięcie przepustki.

To była prawda. Shinobu zawrócił i porwał jedną z masek tlenowych zwisających ze stropu przy wyjściu. Oddychał przez nią przez kilka minut, oparłszy się o ścianę. Cokolwiek płynęło przez maskę, natychmiast oczyściło mu umysł. Nadal odczuwał trochę opiumowego dryfu, ale przynajmniej odzyskał kontrolę nad rękami i nogami.

– Dziękuję – powiedział, skłaniając głowę, po czym dał całkiem udany pokaz maszerowania normalnym krokiem, kierując się na mostowy korytarz zaludniony tłumem bogaczy.

Ten poziom Mostu zajmowały głównie ekskluzywne kluby nocne i palarnie opium najkosztowniejszego sortu. Obszarpane ubranie Shinobu i jego lamparcie włosy już zaczęły przyciągać niepożądaną uwagę. Zaczął torować sobie drogę do aerowind, kiedy nagle przypomniał sobie o telefonie.

Wyłuskawszy aparat z kieszeni, sprawdził, czy odzyskał ostrość widzenia w wystarczającym stopniu, aby odczytać wiadomość od mamy. Ostatnie resztki opiumowego haju ulotniły się bez śladu, kiedy zobaczył, co napisała. Akio był bardzo chory. Dobrał się do czegoś w pokoju Shinobu i omal nie umarł. Chłopak próbował sobie przypomnieć, co mógł tam zostawić, ale to mogło być wszystko. Od półtora roku dradzy byli stałymi towarzyszami jego życia i w domu matki mogła zostać każda z dostępnych na rynku substancji odurzających. W żołądku formował mu się kłęb grozy wymieszanej z poczuciem winy.

Ktoś pchnął go bezceremonialnie. Chłopak uniósł wzrok i ujrzał Briana, który wytoczył się za nim z budynku.

– Co teraz? – spytał przyjaciel. – Zmieniamy palarnię czy skoczymy na jakieś żarcie?

– Czekaj...

Przeżytał kolejną wiadomość od matki i ulga wypełniła go błogą falą. Akio przeżył. Upłynęło kilka ładnych chwil, zanim Shinobu odzyskał równy oddech.

– Muszę coś załatwić.

– Żarcie?

– Nie, Sandi.

– Browarek? Umiemy żłopać jak rybki, co nie, Barakuda?

– Później. Muszę zanieść coś do domu.

Stwierdzenie wprowadziło Briana w konfuzję.

– Jakiego domu?

Od miesiąca sypiali w klitce nad kinem, którą dzielili z karaluchami i szczurami, co boleśnie przypominało Shinobu, że nie przebywa już na szkockiej prowincji.

– Domu mojej matki – odpowiedział.

Zanim przyjaciel zdążył zadać kolejne pytania, Shinobu wszedł do aerowindy, której podmuch wypchnął go na najwyższy poziom Mostu. Oslaniający go rozłożysty baldachim przepuszczał tylko niewielką część słonecznego blasku, przez co pokład konstrukcji nawet w pogodne dni tonął w nieco posępnym półmroku. Potoki popołudniowych spacerowiczów przepływały głównym pasażem wzdłuż szeregów restauracji wyspecjalizowanych we wszelkich odmianach kuchni azjatyckiej.

Brian wychynął z aerowindy krótką chwilę później i razem wtopili się w gwarne tłum przechodniów. Ponad lokalami handlowymi i usługowymi znajdowały się mieszkania. W większości okien paliło się światło; w niektórych widać było poruszające się postacie. Ciąg jadłodajni poprzetykany był gabinetami akupunkturzystów, ziołarzy i uzdrowicieli innych specjalności, często tak egzotycznych, że Shinobu nie potrafił sobie nawet wyobrazić, na czym miałyby polegać ich praktyki.

– To tam – powiedział po pewnym czasie.

Zerknął jeszcze raz na adres, który matka przysłała mu esemesem, i ruszył przez jezdnię na drugą stronę.

– To nie jest dom twojej matki.

– Nie gadaj tyle, Sandi. Jak będziesz bardzo pomocny, to postawię ci piwo, kiedy skończę.

Ten plan miał spalić na panewce, Shinobu zaś czekało już trzecie dziwne spotkanie tego dnia.

Podszedł do miejsca, którego szukał. Stał przed frontem schludnego gabinetu uzdrowicielskiego z mieszkaniem na piętrze. Wsunął dłoń do metalowej skrzynki wrzutowej umiejscowionej na drzwiach wejściowych i wyjął z niej dużą foliową torbę z ziołami podpisaną imieniem Akio.

Kiedy odchodził w stronę ulicy, upychając torbę pod kurtką, drzwi gabinetu otworzyły się z hukiem, jakby ktoś kopnął je od środka. Zanim Shinobu zdążył odwrócić głowę, padł jak długi na chodnik, staranowany przez postać, która wypadła na ulicę, pędząc jak ktoś, kto rozpaczliwie walczy o życie.

## Rozdział 32

### Quin

Dom rozbrzmiewał krzykami. Odgłosy walki za ścianą makabrycznie kontrastowały z pogodnym wystrojem dziecięcego pokoiku, w którym teraz stała. Oczy chłopca wpatrywały się w nią, rozszerzone przerażeniem.

– Co się dzieje? – spytał cicho po francusku. Sepleniał lekko, tak jak to robią często małe dzieci.

– Nic – odpowiedziała, także po francusku. – Wszystko jest w porządku. Chodź ze mną.

Ale chłopiec był skamieniały ze strachu.

– No pośpiesz się – ponagliła bardziej szorstkim tonem. Nie było czasu do stracenia.

Odrzuciła przykrywającą go kołdrę i złapała malca za ręce, aby pomóc mu zejść z łóżka. Gdzieś w innym pokoju rozległ się przeraźliwy wrzask, głośniejszy od innych. Głos mógł należeć do kobiety, ale Quin nie miała pewności.

Chłopiec wykrzywił buzię i się rozplakał.

– Już dobrze – uspokajała go. – Chodź, zabiorę cię stąd.

Nie chciał z nią iść, ale nie wiedział, jak odmówić. Ujęła go za rękę i pociągnęła do drzwi. Uchyliwszy je lekko, ujrzała innych ludzi w dużym salonie na końcu korytarza. Na razie nikt nie patrzył w jej stronę.

Zarzuciła połę płaszcza na chłopca. Przyciskając go do siebie, przekradła się korytarzem do schodów i szybko zbiegła na dół. Po chwili wypadli przez boczne drzwi i pobiegli przed siebie, oddalając się od domu. Kiedy znaleźli się w wysokiej trawie, porwała malca na rękę.

– Dokąd mnie zabierasz? – spytał chłopiec.

– Jak najdalej stąd – wysapała mu do ucha. – Tam, gdzie już nic nie będzie ci grozić.

Biegąc co tchu z dzieckiem w ramionach, Quin uświadomiła sobie, że śni. To nie była rzeczywistość, nie tak to wszystko się potoczyło. Ale w tym konkretnym momencie dokonywała właściwego wyboru, podejmowała decyzję, którą powinna była podjąć. I przepelniało ją uczucie szczęścia. To nie była prawda, ale cudownie było być odważną i szlachetną. Nawet jeśli tylko we śnie.

## Rozdział 33

John

John stał oparty o zamknięte drzwi sypialni i przyglądał się śpiącej Quin. Właśnie uśmiechała się w poduszkę, jakby unosząc się w objęciach rozkosznego marzenia.

„Czy śni o mnie – zastanawiał się – tak jak ja śniłem o niej?”

Niestety, wiele z jego snów o dziewczynie nie raczyło go przyjemnymi wizjami. Kiedy widział ją po raz ostatni, znikła po drugiej stronie tego osobliwego portalu, z plamą krwi rozlewającą się jej na piersi. Zabłąkana kula z jego własnej broni omal jej nie zabiła i wspomnienie bolało go niczym sopel lodu tkwiący w jego trzewiach.

„Jak mogłem do tego dopuścić?”

Kiedy wchodził do poczekalni na dole, spodziewał się, że będzie krzyczała, wzywała pomocy, że spróbuje go zaatakować – każda z tych reakcji byłaby zrozumiała i usprawiedliwiona. Tak się jednak nie stało. Quin, choć zdawała się rozpoznawać jego twarz, zrazu nie potrafiła nawet przypomnieć sobie jego imienia. Jakimś sposobem rozpoczęła swoje życie od nowa. Czy to możliwe, aby nie pamiętała wydarzeń ze swojej ostatniej nocy w posiadłości? A jeśli tak, to czy oznaczało, że winy zostały mu odpuszczone, że otrzymał od losu kolejną szansę na ułożenie sobie z nią życia?

– Jak udało ci się zapomnieć? – spytał ją cicho, podchodząc do łóżka.

Dziewczyna poruszyła się pod kołdrą, ale się nie obudziła. Bardzo delikatnie John rozpiął górny guzik jej koszuli i odciągnął materiał. Nie chciał patrzeć, ale pchało go do tego poczucie winy. Pod lewym ramieniem znalazł bliznę, w miejscu gdzie pocisk wyrwał się z jej ciała. Znak był okrągły, wypukły i wciąż zaogniony. Chłopak pomyślał, że musi dokuczać jej od czasu do czasu. Kilka centymetrów bliżej serca, a nie miałyby szans na przeżycie.

– Myślałem, że cię zabiłem – wyszeptał, znów zdjęty grozą tamtego wspomnienia. – Myślałem, że już nie żyjesz. – Ostrożnie położył się obok niej i zamknął oczy. Jej zapach przywołał jasną wizję ich ostatniego wspólnego popołudnia spędzonego wśród drzew. – Nie chcę przechodzić przez to sam – powiedział cicho. – Możemy być razem.

– Razem... – mruknęła, wciąż pogrążona we śnie. Po twarzy błąkał się jej marzycielski uśmiech.

Czując dotyk jej dłoni na policzku, John odwrócił się na bok i musnął wargami jej usta. Quin sennie przyciągnęła go do siebie i objęła ramionami.

– Dlaczego my nigdy... – zaczęła, powoli budząc się ze snu.

– Ja chciałem – wyszeptał.

Wtuliła nos w zgięcie jego szyi.

– John – tchnęła to imię w jego skórę, jakby było obcym słowem, którego wymowy dopiero się uczyła. – John.

Otoczył ją ramionami, rozkoszując się dotykiem jej ciała na całej długości. „Wiele jest rzeczy, które będą próbowały ściągnąć cię z raz obranej ścieżki. Nienawiść to jedna z nich, drugą jest miłość...”. Chciał powiedzieć swojej matce i Maggie, żeby się wreszcie zamknęły. Czy nie mógł przeżyć dnia – tygodnia albo i miesiąca – w spokoju? Czy nie mógł choć przez chwilę mieć Quin tylko dla siebie? Przyrzeczenie, które złożył, paliło go jednak niczym rozżarzony węgielek w środku serca, ich słowa zaś nie opuszczały go nigdy.

Potrzebował pomocy dziewczyny, a nie miał nawet tyle czasu, aby przygotować ją do tego, o co miał zamiar ją poprosić. Dom był pełen śladów Fiony. Quin nie mieszkała tu sama i prędzej czy później jej matka musiała wrócić. John zniszczył posiadłość, spalił jej dom i postrzelił córkę. Nie łudził się, że spotka go z jej strony serdeczne przyjęcie.

W istocie ostrożność nakazywała wręcz założyć, że Fiona, jeśli jest trzeźwa, wyczuła już, że jej córce przytrafiło się coś dziwnego i właśnie wraca, aby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Musiał przekonać dziewczynę natychmiast.

– Quin... Czy zgodzisz się mi pomóc? – wyszeptał. – Bardzo cię potrzebuję. Usta dziewczyny dotknęły jego policzka.

– Oczywiście, że ci pomogę – odpowiedziała również szeptem. – Zrobię, co tylko zechcesz.

Może i wciąż trwała w dziwnym półśnie, ale John pozwolił sobie na nadzieję.

Usiadł i przesunął się w bok, odsłaniając przed nią przedmiot, który leżał na krześle obok wejścia do sypialni: athamen.

W jednej chwili czar przysł.

Quin rzuciła się w tył i z paniczną gwałtownością podniosła do pozycji siedzącej z plecami przyciśniętymi do ściany, otulając się ramionami w obronnym geście.

– Co to jest? – wykrztusiła. – Dlaczego to tutaj jest?

– Quin... – zaczął łagodnym tonem. – Ty wiesz, co to jest. Być może będziesz potrzebowała czasu, żeby sobie przypomnieć, tak jak kiedy zobaczyłaś mnie na dole, ale na pewno wiesz.

– Nie.

– Proszę, nie musisz się bać. Jesteśmy tu tylko my...

Dziewczyna bez ostrzeżenia poderwała się z łóżka i wystartowała do wyjścia, ale John zdążył przyskoczyć do drzwi pierwszy. Zastąpił jej drogę.

– Puszczaj – zażądała. – Wypuść mnie stąd, słyszysz?!

Popchnęła go, ale nie ustąpił. Plecami przycisnął drzwi do framugi,

uniemożliwiając ich otwarcie.

– Tylko sobie leży – uspokajał ją. – Nawet tego nie dotykamy. Wszystko jest w porządku. Quin, proszę...

Ale dziewczyna wpadła w panikę.

– Zejdź mi z drogi, John! – krzyknęła, a potem głośniej: – Mamo! Fiona!

– Nie musisz brać sztyletu do ręki. Nie musisz nawet na niego patrzeć. Chcę tylko, żebyś mnie nauczyła...

Nie słuchała go. Wzięła zamach i plasnęła go dłonią w policzek.

– Wypuść mnie z pokoju! Mamo! Mamo! – Nagle nogi ugięły się pod nią, tak jak wcześniej w poczekalni. Osunęła się na podłogę. – To nie ja – wyszeptała. – Już nie. Robię dobre rzeczy...

Chłopak ukląkł przy niej.

– Nie próbuję cię skrzywdzić. Chciałbym być z tobą na zawsze. Ja tylko...

– Niedobrze mi... Niedobrze mi... – mamrotała Quin. – Wypuść mnie.

Proszę.

Naprawdę wyglądała, jakby miała zaraz zwymiotować. John ostrożnie pomógł jej wstać i podtrzymując, wyprowadził z sypialni. Kiedy weszli do łazienki, dziewczyna opadła na kolana przy muszli klozetowej, ściskając się za brzuch. Mimo to, oddaliwszy się od athenenu, zdołała się trochę uspokoić. John przykucnął obok, próbując nakłonić ją, aby na niego spojrzała.

– Dlaczego tu jesteś? – spytała. – Nie chcę czuć tego, co czuję przy tobie.

– A jednak zostałeś wtedy w posiadłości. Potrafisz posługiwać się athenenem...

– Nie mów o tym! – szepnęła.

– Muszę. Briac uciekł. Alistair...

Na wspomnienie Alistaira John zamilkł na chwilę, przygnieciony falą dławiącego żalu.

„To był wypadek – przypomniał sam sobie. – A resztą... Dlaczego nie chciał mi pomóc? Mógł zrobić to, co należało”. – Odepchnął te myśli od siebie i skupił uwagę na Quin.

– Jesteś tylko ty – powiedział do niej. – Albo... Shinobu. Czy on tu jest? Czy on jest z tobą?

Zwykle nie poświęcał chłopakowi wiele uwagi, ale nagła myśl, że mógłby być jej partnerem, przeszyła go boleśnie igłą zazdrości.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – wyszeptała dziewczyna.

Może zapomniała także o Shinobu. Bardzo dobrze.

– Pokaż mi, jak dostać się Tam – poprosił. – Naucz mnie. A potem odejdę, jeśli... jeśli zechcesz, żebym odszedł.

– Nie jestem już tamtą Quin – odpowiedziała. – Nie zajmuję się tym.

– Naucz mnie i... i już nigdy w życiu nie będziesz musiała mnie oglądać.



– John...

– Już niedługo mój dziadek nie będzie mógł mi pomagać. Sam sobie ledwie radzi. – W głosie chłopaka zaczynała pobrzmiwać desperacja. – Ja przyrzekłem, Quin. Teraz mam go z powrotem. Naucz mnie, proszę...

– Przestań! – Dziewczyna przyciskała dłonie do uszu, kiwając się w przód i w tył na podłodze. – Ja nie pamiętam tych rzeczy! Niczego nie pamiętam! To wszystko jest już poza mną.

Delikatnie złapał ją za ramiona.

– Nie widzisz, że jeszcze możemy to wszystko naprawić? – wyszeptał jej do ucha. – Jesteśmy tutaj, tylko ty i ja. Razem możemy wyrwać się z mocy wszystkich tych złych rzeczy, które się wydarzyły. Zacząć samodzielnie decydować, co jest dla nas najlepsze.

– Przestań, proszę...

– Kocham cię. – Zdjął jej dłonie z uszu. – Proszę, Quin. Pomożesz mi?

Kłęczał przed nią, trzymając ją za nadgarstki. Wyraz twarzy dziewczyny przywołał na myśl zwierzę otoczone przez bestie w dzikiej głuszy.

– Pomyśl tylko – nalegał łagodnie. – Czy nie byłoby miło być razem? Tak jak zawsze marzyliśmy? Naucz mnie używać athamenu.

Rozbiegane oczy Quin rozszerzał strach. Nagle jej głowa wystrzeliła do przodu, trafiając chłopaka w czoło i oslepiając go na chwilę błyskiem bólu.

Dziewczyna poderwała się z miejsca, zatoczyła się, odbiła od framugi i wypadła za próg. John usłyszał jej tupot na schodach.

– Quin!

Zerwał się na równe nogi. Porwał athamenu z krzesła i pobiegł na dół za uciekinierką.

Ale ona była już przy drzwiach. Praktycznie staranowała je ramieniem i wypadła na zewnątrz. Chłopak wyskoczył za próg akurat na czas, aby zobaczyć, jak przeciska się przez tłum przechodniów, a potem wpada na jednego z nich, przewracając się z impetem na głównym pasażu Mostu.

John wciąż czuł na wargach dotyk jej ust, ale ogarnęła go fala rezygnacji. Po raz kolejny nie zdołał przekonać jej do swoich planów i po raz kolejny porzucił ją.

Patrzył, jak wyplątuje się z kończyn pieszego, aby puścić się dalej szalonym pędem. Uciekała mu, ale on nie widział już Quin ani Mostu. Widział wątłe ciało pięcioletniego chłopca skulone obok zwłok jego sióstr. Widział tuzin trupów, utopionych, przybitych do ściany. Widział młodą kobietę, tak bardzo podobną do jego matki, krzyczącą, podczas gdy Briac Kincaid zadawał jej okrutne rany, aby wykrwawiła się na śmierć. Przyrzekł im wszystkim.

Czy istnieli inni Poszukiwacze, którzy mogliby odsłonić przed nim sekrety athamenu? Gdzieś na świecie – naprawdę tak sądził – musieli istnieć. Ale Quin

była tu i teraz. Pomoże mu, nawet gdyby miał ją do tego zmusić. Wierzył zresztą, że w głębi duszy chciała mu pomóc. Może w końcu zrozumie i wybaczy mu?

John otrząsnął się z zamyślenia i skupił wzrok na Moście. Skinął na ludzi, ukrytych w pobliżu domu Quin – ludzi, których sprowadził, mając ogromną nadzieję, że nie będzie musiał korzystać z ich pomocy. Teraz zmaterializowali się wokół niego, wychodząc ze swoich kryjówek, a potem wtopili się w tłum, podążając w ślad za dziewczyną.

## Rozdział 34

### Maud

Umysł Młodej Sędzi nie błdził. Podążał w jednym kierunku tak długo, jak uznawał za konieczne, a potem wybierał następny. Pojedyncze myśli mogły unosić się w świadomości w nieskończoność, jeśli Sędzia nie zdecydowała, że pora je uciąć. Myśl, która zajmowała jej uwagę od bardzo długiego czasu, brzmiała: „Chcę zabić Średniego”.

Czasem wyobrażała sobie, że zabija go w pojedynku na miecze, czasem trucizną, innym razem sztyletem, we śnie. Nie były to zwyczajne marzenia czy sny na jawie – Młoda Sędzia planowała. Na razie jednak musiała poprzestać na planach. Średni był gdzieś daleko. Być może szkolił już jej następcę.

Podrzuciła siana krowom, a teraz je doiła. Zostały jej tylko dwie. Pomagały jej utrzymać się przy życiu. Kiedy wiadro było już pełne mleka, zaniósła je z obory na drugą stronę błonia, do warsztatu. Podobnie jak obora, był to jeden z nielicznych budynków w posiadłości, które nie zostały spalone podczas ataku.

Wokół błonia sterty zwęglonych belek i osmalonych kamieni znaczyły miejsca po sielskich chatach, które wcześniej zdobiły tutejszy krajobraz. Także na skraju lasu czerniały rozległe pogorzelska, najeżone kikutami drzew. Chaty Sędziów pozostały nietknięte, ale pozostanie tam byłoby jak dzielenie intymnej przestrzeni ze Średnim, dlatego Młoda Sędzia przeniosła się do warsztatu.

Jej płynny krok doskonale sprawdzał się przy noszeniu mleka – płyn ledwie kołysał się w wiadrze. Czowała tępe rwanie w lewym boku, w miejscu, gdzie dźgnął ją Średni, ale ból nie miał znaczenia. Martwił ją jedynie brak treningu. Od półtora roku była tu całkiem sama. I starzała się.

„Życie bez treningu jest jak woda wylewana na piasek. – Słowa przebiegały jej przez umysł w rytmie kroków. – Nie mam swojego czasu. Nie mam swojego miejsca. Nie mam nikogo”.

Tamtej nocy w lesie, kiedy Średni porzucił ją i kazał umrzeć, omal go nie posłuchała. Życie wyciekało z niej przez ranę, wsiąkając w leśny mech. Jej oczy zamknęły się same, a ona zastanawiała się, co dzieje się z kimś takim jak ona, kiedy przychodzi śmierć. Czy przyjdzie w jednym, wyrazistym momencie, czy będzie jak trwanie w stanie rozciągnięcia, zawieszona w nieskończonej chwili, zawierającej cały czas wszechświata.

Tamtej nocy, balansując na granicy między życiem a śmiercią, Młoda Sędzia poczuła, że odruchowo zaczyna zwalniać i uświadomiła sobie, że trening jej starego mistrza przygotował ją nawet na to. Spowolniła swoje procesy życiowe niemal do zera, ale nie zatrzymała ich całkowicie. Jej serce wciąż biło, raz albo dwa na minutę, powietrze wciąż wpływało do płuc. Przestała umierać i leżała tam, w lesie, w stanie prawie-śmierci.

Przeczekała tak całą noc i kiedy rankiem słońce wstało nad lasem, ona wciąż żyła. Później przyjechali pracownicy, wynajmowani do roboty na posiadłości. Szukając ludzi ocalałych z ataku, natknęli się na nią między drzewami. Sądzili, że nie żyje, dopóki nie poruszyła ręką, łapiąc jednego z nich za kostkę. Usłyszała okrzyki zdumienia, nawoływania, a potem wiele rąk uniosło ją z mchu i dokądś zaniosło.

Spędziła miesiąc lub dłużej w dziwnym, wysokim budynku zaludnionym przez lekarzy, gdzie robiono dziwne rzeczy z jej krwią, jej skórą i jej kośćmi. Jej pierwszym językiem była stara mowa, którą posługiwała się, kiedy była dzieckiem. Potem nauczyła się angielskiego w jego licznych odmianach zmieniających się z pokolenia na pokolenie, ale trudno jej było zrozumieć nowe słowa tych mężczyzn i kobiet, którzy pochylali się nad jej łóżkiem i kłuli ją metalowymi instrumentami.

A potem była znów w posiadłości, z długą, czerwoną blizną na boku, zdana tylko na siebie. Potrafiła polować, no i miała krowy. Kwestia przetrwania nie spędzała jej snu z powiek, kwestia samotności owszem. Nie chodziło o samopoczucie – odosobnienie było przyjemną odmianą po tylu latach spędzonych w towarzystwie Średniego. Martwił ją jednak fakt, że nie było przy niej nikogo, kto mógłby ją uczyć, i nikogo, z kim mogłaby ćwiczyć. Nawet Średni, choć w przebywaniu z nim nie było nic przyjemnego, czasem wypełniał swój obowiązek wobec niej, ucząc pradawnych umiejętności Sędziów.

– Twój własny nauczyciel tak cię urządził? – spytał ją uczeń po powrocie do posiadłości.

Patrzył na jej bliznę, widoczną pod brzegiem koszuli, a uwaga, jaką poświęcał jej osobie, niepokoiła ją. Był to ten sam chłopak w masce, którego jeźdźcy spalili posiadłość. Jego pozycja w szeregach Poszukiwaczy była niejasna.

Pojawił się kilka miesięcy po tym, jak Młoda Sędzia wróciła ze szpitala. Pewnego wieczoru, kiedy wróciła do domu z bażantem na kolację, natknęła się na niego, siedzącego w warsztacie wśród jej własnej broni. John. Tak się nazywał. I był tam, wśród jej rzeczy.

– Mieszkasz tu całkiem sama? – spytał ją.

Nie odpowiedziała i zabrała się do swoich zwykłych czynności: układania drewna na ognisko, skubania upolowanego ptaka. Zaczął jej pomagać, odzywając się tylko z rzadka. Młoda Sędzia zauważyła, że gość budzi w niej odruch czujności, ale wydaje jej się też fascynujący. Spotykała go przelotnie we wcześniejszych etapach jego życia, ale oto teraz stał przed nią, mając prawdopodobnie mniej więcej tyle samo lat co ona. Jaki był dla niego ten czas? Jak minęły mu te wszystkie lata po tamtej... po tamtej nocy, kiedy dostrzegła błysk jego małych, przerażonych oczu pod podłogą?

Jej fascynację pogłębiał fakt, że do tej pory praktycznie nie spędzała czasu z ludźmi w swoim wieku. To prawda, że trudno było określić, jaki właściwie to

wiek, ale jeśli zliczyć czas, który przeżyła w normalnym świecie, to wedle takiej rachuby powinna mieć jakieś piętnaście lat.

Siedząc obok siebie i posilając się bażantem, w końcu nawiązali rozmowę.

– Athamen, którego używał Briac Kincaid, skradziono mojej rodzinie – zagaił John. – Wiesz o tym, prawda?

Odpowiedziała swoim zwykłym, spowolnionym głosem:

– Nasze prawo stanowi, że athamen musi pozostać we własnym rodzie, ale linie rodowe Poszukiwaczy bardzo się poplątały, uczniu. My, Sędziowie, wierzymy, że wewnątrz rodu athamen kończy w rękach tego, do kogo należy.

– I tak się stanie. – John kiwnął głową. – Athamen trafi do mnie.

Maud nic na to nie odparła.

– Kiedy go odzyskam – ciągnął chłopak – będę musiał nauczyć się, jak prawidłowo nim władać. Nie sądzisz, że byłoby uczciwie z twojej strony, gdybyś mi w tym pomogła?

Przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, kształtując w głowie myśl. Wreszcie odezwała się:

– To nie jest moim obowiązkiem.

To właśnie wtedy zauważył bliźnię. Zorientowawszy się, na co patrzy, próbowała zasłonić ślad ręką, ale było już za późno. Spytał ją, w jaki sposób została zraniona, a ona opowiedziała mu. Nie była pewna, co ją do tego skłoniło poza osobliwym poczuciem zobowiązania wobec niego – poczuciem, które zrodziło się tamtej strasznej nocy, przed wielu laty.

– Skoro twój towarzysz porzucił cię tu na śmierć, wszelkie twoje powinności wobec niego są raczej nieaktualne, nie sądzisz? – rzekł. – Ale nawet jeśli twoim zdaniem winna mu jesteś posłuszeństwo, to czy nie mogłabyś nauczyć mnie posługiwania się athamenem, a potem wrócić do niego, kiedy już dowiem się wszystkiego, co powinienem wiedzieć? Jeśli rzecz jasna życzysz sobie do niego wrócić.

– Jeśli sobie życzę – powtórzyła, starając się pojąć znaczenie tego zwrotu.

– Mogłabyś też zostać ze mną – zaproponował. – Uczyć mnie. Sama zostać mistrzynią.

Jej dłoń wystrzeliła w bok, złapała go za lewe przedramię i obróciła je w uścisku silnym jak chwyt imadła. Przyjrzała się nadgarstkowi Johna, całkiem gładkiemu, bez wypalonego athamenu.

– Nie nosisz piętna – oznajmiła. – Nie jesteś Poszukiwaczem.

– Briac wyrzucił mi wielką krzywdę – powiedział chłopak i musiał dostrzec coś w jej twarzy, bo zaraz dodał łagodniejszym tonem: – Byłaś świadkiem części tej krzywdy, prawda?

Spojrzał w dół, na starą, miękką skórę jej butów.

– Zawsze zastanawiałem się, kim była ta drobna postać. Aż pewnego dnia

uświadomiłem sobie, że wiem. To byłaś ty.

Nie odpowiedziała, ale przywołała z pamięci obraz małego chłopca, przycupniętego w skrytce pod ławą, zaciskającego powieki najmocniej, jak tylko potrafił, jakby mogło to powstrzymać straszne rzeczy, które musiał oglądać. Uczynili wtedy zbyt wiele. Dokonali czynów, które w żadnej mierze nie były ich obowiązkiem. Czy wolno jej było znów wyjść poza obowiązek, aby zadośćuczynić tamtym krzywdom?

– Nie chciał dokończyć mojego szkolenia – ciągnął John. – Ale ty możesz to zrobić.

Patrzył na nią w ten sposób, w jaki często patrzyli zwyczajni ludzie – jakby spodziewał się, że nagle poczuje to samo co on i zrozumie, co jest dla niego ważne, po prostu zaglądając mu głęboko w oczy. Ale ona nie czuła tego co on. Była Młodą Sędzią. Istniała od wielu wieków w swoim piętnastoletnim wcieleniu i jej obowiązki znacznie różniły się od jego. Ona i pozostali Sędziowie na zmianę rozciągali się w czasie i budzili się, aby nadzorować przysięgi nowych Poszukiwaczy, utrzymując ścisły rozdział od ludzkości, podejmując sprawiedliwe decyzje. Ten uczeń był zielony jak świeży kiełek trawy. Nie było mowy, aby mógł zrozumieć.

„Tak, ale... – zawahał się jej umysł – wiele decyzji nie było sprawiedliwych. Sprawiedliwość stała się pojęciem niejednoznacznym i tak wielu rzeczy dokonano, podczas gdy spałam”.

Odsunęła się od Johna i wstała, wpatrując się w ogień. W końcu wyszedł

Po odejściu ucznia przez długi czas rozmyślała: „Czym jestem?”.

Znów była sama w posiadłości. Weszła do warsztatu, niosąc wiadro z mlekiem. Przestała obmyślać sposoby na zadanie śmierci Średniemu i zamiast tego zastanawiała się nad tym, co powiedział jej chłopak. A kiedy po południu spożywała swój skromny posiłek, w głowie zawisła jej inna myśl: „Ciekawe, czy John tu wróci. Co wtedy zrobię?”.

## Rozdział 35

### Quin

Quin zderzyła się z przechodniem z impetem, który oboje powalił na chodnik. Próbowwała uciekać dalej, przetaczając się po jego ciele prosto pod nogi innych ludzi. John stał w progu jej domu, zaledwie kilka kroków od niej, a wraz z nim był też kamienny sztylet. Sztylet, który porzuciła w przeszłości z większością jej pamięci i który miał pozostać tam na zawsze.

Podźwignęła się i uklękła, ale mimo wysiłków nie była w stanie wstać. W głowie wciąż jej szumiało po grzmotnięciu Johna w czoło i minęła długa sekunda, zanim zdała sobie sprawę, że chłopak o azjatyckich rysach, którego właśnie przewróciła, obejmuje ją, trzymając przy ziemi.

– Hej! – zawołał, zacieśniając uścisk. – Co robisz?

Quin uświadomiła sobie, że można go było nazwać „chłopakiem” tylko przy założeniu, że definicja tego słowa obejmuje bardzo wysokich nastolatków w przerażających strojach. Szarpnęła się, próbując się uwolnić, ale zdołała tylko przyciągnąć go bliżej. Podczas upadku podciągnął się jej rękaw i ostre, metalowe ćwieki na bransoletce chłopaka wrzynały się jej w lewy nadgarstek. Ranka zaczynała krwawić, a ból kazał jej spojrzeć na własną rękę. Tuż przy przegubie zobaczyła nadgarstek chłopaka opasany szeroką bransoletą. Pod bransoletą, na wewnętrznej stronie ręki, odcisnięta na białym ciele widniała blizna w kształcie sztyletu. Uderzona nagłym zawrotem głowy Quin zobaczyła identyczne piętno na swoim własnym nadgarstku, w miejscu, którego tak bardzo starała się nigdy więcej nie oglądać.

Przestała walczyć i spojrzała chłopakowi w twarz. Miał kolczyki w nozdrzach i brwiach, krótkie włosy zaś ufarbował sobie w lamparcie cętki, ale były to powierzchowne detale, kompletnie bez znaczenia. To był...

On także przyglądał się jej uważnie.

– Quin – sapnął.

Jego ręce puściły ją.

Kątem oka dziewczyna spostrzegła Johna wciąż stojącego w drzwiach jej domu. Byli też inni ludzie, przyczajeni w cieniach ulicy. Odsunęła się od azjatyckiego chłopaka, którego imienia nie знаła, i zerwała się na równe nogi, nerwowym ruchem z powrotem naciągając rękaw aż po nadgarstek. Jej nogi same poderwały się do biegu, dłonie uniosły do pasa, jakby spodziewały się znaleźć tam jakąś broń. „Na Moście broń jest zakazana – odezwał się głos w jej umyśle. – Dobrze o tym wiesz”. – Dlaczego zatem miała takie uczucie, jakby brakowało jej kawałka ręki?

Obejrzała się na Johna i jego ludzi, przeciskających się przez tłum. Następnym kilka minut minęło w szaleńczym pędzie. Stado zachodnich turystów

tamowało ruch na pasażu. Przepchnęła się między nimi, czując, że z każdą sekundą ścigający ją ludzie są coraz bliżej. W następnej chwili zbiegała już w aerowindzie, poruszając się tak szybko, że maszyna ledwie zdążyła ją wyhamować, zanim wyskoczyła na niższym poziomie, gdzie królowała głośna muzyka, a tłum był znacznie gęstszy. Jej bystre oko wkrótce wyłowiło ścigających z ciżby, ale chwilowo zostali daleko w tyle.

Świst kolejnej aerowindy, a potem bieg wśród mętnych spojrzeń podejrzanych typów, kręcących się przy tanich barach narkotykowych. Quin za każdym razem skręcała w prawo, zbyt późno uświadamiając sobie, że jej prześladowcy celowo zapędzają ją w tamtą stronę.

Zbiegała pośpiesznie w dół kolejnej aerowindy, mniejszej i dostępnej tylko dla mieszkańców Mostu. Kiedy z niej wyskoczyła, znalazła się w pustym przejściu, naprzeciwko mężczyzny, który biegł w jej stronę od klatki schodowej. Skręciła w lewo – w jedynym możliwym kierunku – i odkryła, że biegnie wzdłuż szerokiego, mrocznego korytarza.

Tej części Mostu jeszcze nigdy nie widziała. Miejsce było kompletnie wyludnione, zamieszkane jedynie przez ogromne mechanizmy niewiadomego przeznaczenia, napełniające przestrzeń rytmicznym dudnieniem i sykiem pary. Kroki mężczyzny rozbrzmiewały za nią, coraz bliżej, zlewając się z pulsem maszynierii. Dogoni ją. Dogoni ją przeszłość, a wszystko stało się tak po prostu. Nawet nie krzyknęła o pomoc.

Jej oczy zamknęły się bez udziału woli. Nawet uciekając przed niebezpieczeństwem, zatraciła się na chwilę – a może było to wiele chwil. Kiedy zmusiła się do rozchylenia powiek, była na samym końcu holu wśród gigantycznych klimatyzatorów, zionących ciepłem o zapachu oleju silnikowego. Nie biegła już. Odwróciła się powoli i ujrzała stojących wokół niej mężczyzn. Była w pułapce.

Było ich pięciu, niektórzy młodzi, ale i tak znacznie starsi i więksi od niej. Rozpoznała tego, który stał najbliżej niej – już wcześniej, podczas pościgu, mignęła jej ta twarz z policzkami porośniętymi ciemną szczeciną.

Oparła się plecami o metalową ścianę klimatyzatora. Mężczyźni otoczyli ją luźnym półokręgiem. Niektórzy mieli noże u pasa, choć wartownicy na rogatkach podobno skutecznie wyłapywali wszelkie niebezpieczne przedmioty, które próbowano przemycać na Most Tranzytowy. Quin poczuła, że jej ciało szykuje się do walki, jakby panowanie nad nim przejął instynkt.

Człowiek ze szczeciną na twarzy rzucił jej coś. Odruchowo złapała przedmiot i w chwili, w której jej dłoń dotknęła go w półmroku, uświadomiła sobie, że trzyma kamienny sztylet. Odrzuciła go, jakby sparzył jej skórę. Mężczyzna skoczył naprzód, złapał sztylet, zanim zdążył upaść na beton i wcisnął jej rękojęść w dłoń.



– Proszę, nie rzucaj tym znowu – powiedział szczeciniasty podbródek.  
Dziewczyna poczuła na skórze chłód kamienia. Zaciśnęła palce wokół trzonu.

– Daj mi znać, że rozumiesz – rzekł szczeciniasty.

Skinęła głowę.

– Bardzo dobrze. Teraz zademonstruj – rozkazał.

– Zademonstruj? – bąknęła.

Mężczyzna gestem wskazał sztylet.

– Ale co mam zademonstrować? Nie wiem jak. Czy... czy John wie, co robicie?

Pomimo oczywistości faktu, że ścigający ją mężczyźni pracują dla chłopaka, jakaś część jej umysłu podpowiadała jej, że wszystko dobrze się skończy, jeżeli tylko odłoży sztylet i znajdzie go. John był zdesperowany – widziała to w jego oczach – ale przecież nie chciał jej skrzywdzić. Kochał ją.

Mężczyźni rozstąpili się nieznacznie, odsłaniając przed nią widok na korytarz za nimi. On tam był. Czekał, kucając pod ścianą, patrząc na dziewczynę udreżonymi oczami.

– John... – Zrobiła krok w jego stronę, ale mężczyźni zastąpili jej drogę.

– Proszę cię, Quin – powiedział chłopak. – Musisz to dla mnie zrobić. Musisz mi pomóc. Nie odmawiaj.

Dziewczyna kręciła głowę.

– Nie mogę... Nie wiem jak.

– Przypomnisz sobie. Tak jak przypomniłaś sobie mnie. – W ton jego głosu wkradła się błagalna nuta. – Możesz mi pokazać. Po prostu pokaż.

Dziewczyna czuła, że chwieje się na krawędzi hysterii.

– John, proszę! Ja już nie jestem tamtą Quin.

– Quin, ja muszę...

– Nie mogę! – odparła. Słyszała panikę w swoim głosie, ale nie mogła w żaden sposób jej okiełznać. – Po prostu nie mogę.

John zmusił się do odwrócenia od wzroku. Wpatrzony we własne stopy, skinął lekko głową, po czym ukrył twarz w dłoniach, a wtedy mężczyźni zwarli szeregi, jeszcze raz usuwając go z pola widzenia. Dziewczynie znów zakręciło się w głowie.

– Zademonstruj – zażądał szczeciniasty.

– Nie mogę! – krzyknęła.

Mężczyzna zamachnął się. Quin instynktownie odchyliła się w bok i pięść z impetem wbiła się w blaszaną ścianę klimatyzatora, czyniąc ogłuszający hałas. Szczeciniasty zawył z bólu, a jeden z jego towarzyszy złapał dziewczynę od tyłu i wykręcił jej ręce za plecami.

Szczeciniasty zamierzył się na nią drugą ręką. Nie była w stanie wyrwać się

z uścisku i tym razem pięść wbiła się jej w brzuch, składając ją na wpół eksplozją bólu. Nie mogła oddychać. Cios wycisnął z niej całe powietrze. „Przeszłość może pozostać w przeszłości”. Mistrz Tan obiecał jej. Nie musiała pamiętać.

Mężczyzna za nią puścił jej ręce, pozwalając, aby upadła na twarz. Kolejne sztydło bólu targnęło jej starą raną na ramieniu, czoło pulsowało tępo po brutalnym kontakcie z głową Johna, ale najgorsze było to, że jej skóra dotykała betonowego pokładu Mostu z jego brudem, zarazkami i wszystkim innym! Poczula, że wzbiera w niej fala paniki.

– Jestem tylko uzdrowicielką – zdołała wykrztusić. – Dlaczego...

– Pokaż nam – powiedział mężczyzna.

Podniosła na niego wzrok, wciąż dzierżąc w dłoni kamienny sztylet. W głowie rozbłysła jej nagła myśl: „Czegoś brakuje!”.

– Nie mogę – westchnęła.

Przez łoskot pracujących maszyn przebił się wysoki, narastający wizg. Piąty mężczyzna, który stał za pozostałymi, wystąpił naprzód. Na piersi niósł źródło przeraźliwego dźwięku: masywny, szpetny przedmiot, zawieszony na czymś w rodzaju szelek. Wyglądał jak mała armatka wykonana z opalizującego metalu, który skrzył się lekko nawet w słabo oświetlonym korytarzu. Gwizd urządzenia ustabilizował się, a wokół lufy zaskwierczały elektryczne iskry.

– Nie chcecie tego użyć – powiedziała Quin bez zastanowienia, nie wiedząc nawet, skąd przyszły jej do głowy te słowa.

Przyrzekła sobie kiedyś, że nigdy więcej nie weźmie do ręki kamiennego sztyletu. Przyrzekła sobie także – była tego całkiem pewna – że nigdy nie spojrzy na broń, którą teraz widziała na piersi tego mężczyzny. Poczula, jak ogarnia ją groza. „Kolorowe iskry...”.

Leżąc na betonowej posadzce, dziewczyna zacisnęła dłonie na rękojeści sztyletu.

„Mogłabym użyć tego, żeby się stąd wydostać. Gdybym tylko... Gdybym tylko...”.

Mężczyzna przebiegł palcami wzdłuż boku urządzenia i wizg stęzał w jednostajnym tonie. Lufa broni patrzyła na Quin tuzinami małych, skwierczących otworków. Rozwidlone minibłyskawice prześlizgiwały się tam i z powrotem po palcach, które drżały niecierpliwie nad spustem.

– Dobrze, pokażę wam – wyszeptała. – Pokażę.

Dwaj mężczyźni pomogli jej wstać. Wśród pozostałych zapanowało poruszenie. John podszedł bliżej, żeby posłuchać. Twarz miał poszarzałą, cierpiącą, jakby jego ludzie pobili jego, nie ją.

– Te obrączki... – zaczęła, dotykając kamiennych pierścieni tworzących trzon rękojeści sztyletu. Było ich sześć, każdy okolony szeregiem wyrytych symboli. – Można je obracać. W ten sposób ustawia się... współrzędne. –

Wypowiadała słowa, nie planując ich zawczasu, zupełnie jakby odczytywała treść istniejącą jedynie w jej podświadomości. Lęk przed śmiercią, nie, nie śmiercią, lecz czymś o wiele gorszym, jak podpowiadał jej umysł, wypychał wyjaśnienie na powierzchnię. – Najpierw tak. – Ustawiła rządki symboli wzdłuż rękojeści, dziwiąc się w duchu własnej pewności, że sekwencja jest prawidłowa. – Ta kombinacja przenosi Tam.

– Co to znaczy Tam? – spytał mężczyzna, który stał najbliżej.

John uciszył go gniewnym syknięciem. Dziewczyna odszukała wzrokiem jego oczy i ujrzała w nich wstyd, ale oprócz niego coś jeszcze. Chłopak wydawał się nieskończenie wdzięczny. Znów przywodził na myśl tonącego człowieka, któremu właśnie rzucono koło ratunkowe.

– Pozwólcie jej mówić. Te symbole na pokrętłach, aby przenieść się Tam... Proszę, kontynuuj, Quin.

Spojrzała na sztylet i pierścienie, ale nie znajdowała już w sobie słów. Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco, ale ona potrzebowała czegoś jeszcze, jeśli miała pokazać im cokolwiek więcej. „Czegoś dla drugiej ręki – pomyślała. – On nie chce zrobić mi nic złego. Widzę wyraźnie, że nie chce mnie skrzywdzić. Mogłabym mu pomóc... – Na chwilę zastygła, ściskając w dłoni kamienny sztylet. – Jeżeli mu pomogę, stanę się tym, czym byłam wcześniej. A John... On stanie się... Ja myślę! – skarciła się w duchu. – Myślę i to mnie zgubi. – Zmusiła umysł do oczyszczenia się i nagle zobaczyła wyraźnie, co zrobi. Wciąż była wolna. Wciąż mogła decydować o tym, czego chciała.

– Obracam pokrętła – powiedziała, ujmując sztylet pewniejszym chwytem – a potem łapię go obiema rękami i unoszę nad głową.

John obserwował ją w skupieniu.

– Biorę zamach, o tak...

Wkładając w ten ruch całą swoją siłę, Quin opuściła kamienny sztylet na szyję szczeciniastego, uderzając rękojeścią. Zanim mężczyzna zdążył unieść ramiona, aby się nimi osłonić, głowica broni wbiła mu się w gardło. Ręce dziewczyny odruchowo sięgnęły do jego pasa i w następnej chwili w jej prawej dłoni błysnął nóż. Kopnięciem posłała oszołomionego mężczyznę w stronę jego towarzyszy. Jeden z nich zdołał uchylić się przed padającym ciałem szczeciniastego i złapał ją za ramię. Jej prawa ręka sama wystrzeliła w górę, zdobycznym ostrzem tnąc napastnika przez gardło.

Powietrze wybuchło raniącym uszy piskiem i z broni przytwierdzonej do piersi piątego mężczyzny wystrzeliły trzeszczące iskry.

„Rozrywacz!” – krzyknął umysł Quin.

Bez namysłu padła na beton i szybko podczołgała się na kolanach i łokciach. Czyjeś ręce łapały ją, próbując postawić na nogi. Jakiś ciężar zwałił się na nią, ale zaraz odtoczył na bok – człowiek miotający się dziko w obłoku tęczowych isker

tańczących wokół jego głowy i ramion.

John krzyczał do swoich ludzi, aby nie ważyli się zrobić jej krzywdy. Ktoś złapał ją i poderwał w górę. Zamachnęła się nożem, ale ktoś inny przechwycił jej rękę. Kopnęła i ten, który ją trzymał, puścił ją. W następnej chwili poczuła na plecach kolano, które brutalnie przycisnęło ją do betonu. Znowu zakręciło się jej w głowie. Uderzyła nożem. Poczuela, jak ostrze przebija but. Napastnik zawył z bólu, ale ona wciąż nie mogła się ruszyć.

Z jakiegoś powodu walka toczyła się dalej, choć już bez jej udziału. Padały ciosy, słychać było odgłosy szarpaniny. Człowiek, który przyciskał ją do ziemi, przyłożył jej do twarzy coś mokrego. W jej nozdrza wdarł się gryzący zapach, jakby lekarstwa wymieszanego z benzyną. Wstrzymała oddech i szarpnęła się, walcząc z falą zawrotów głowy. Silna ręka wyłamała jej nóż spomiędzy palców. Próbowwała strącić z siebie mężczyznę, ale czuła, że słabnie. Jej ciało domagało się powietrza. Pozwoliła sobie na wdech. Czymkolwiek nasączono materiał, zaczęło wypełniać jej płuca...

Nagle ciężar na plecach zniknął. Jakaś siła poderwała ją w górę i postawiła na nogach, po czym ręka objęła w talii, chroniąc przed upadkiem. Pokręciła głową, jakby chciała wytrząsnąć z niej oszołomienie. Wzięła głęboki oddech.

– Chodźmy – usłyszała szept obok siebie.

To był ten chłopak z lamparcią fryzurą. Puścił się biegiem, praktycznie wlokąc ją za sobą. Nie od razu zdołała zmusić nogi do pracy, ale już po chwili biegła obok niego w stronę jaśniejszej plamy na końcu mrocznego korytarza, uciekając przed bitewnymi odgłosami, które wciąż rozbrzmiewały za jej plecami.

– Z kim oni walczą? – zadała pytanie.

– Z moim kumplem Brianem. Pewnie właśnie go gonią. Ale bez obaw, chłopak jest szybki, choć nie wygląda. No i zna Most na pewno lepiej niż oni.

– Oni chcieli mnie, no wiesz, te iskry... – rzuciła Quin, kiedy chłopak pchnął ją w prawo, w boczne przejście.

Szli teraz korytarzem zbyt wąskim, aby można było poruszać się w nim szybciej. Po chwili znów skręcili w prawo i przeleźli przez ciasny przesmyk pomiędzy olbrzymim zbiornikiem paliwa a betonową ścianą. Chłopak pociągnął Quin do siebie, dając znak, aby się zatrzymała, a potem prześlizgnął się obok niej, wysuwając się naprzód. Na ścianie, przy samej ziemi czerniała okrągła plama głębszego mroku, wyglądająca na coś w rodzaju przejścia.

– Tędy – powiedział cicho, wskazując na dziurę. – Za tym wjazdem jest szyb, który schodzi na sam dół. Uważaj, jak będziesz wchodzić. Znajdź drabinkę i idź za mną.

Przykucnął i po chwili znikł w wylocie tunelu. Dziewczyna wcisnęła się w otwór za nim i namacawszy w ciemności stalową drabinkę, zaczęła schodzić. Jej wzrok szybko przyzwyczaił się do ciemności, ale i tak ledwie mogła dostrzec

kształt swojego wybawcy, który daleko pod nią zwinnie ześlizgiwał się na dół. Próbowła za nim nadażyć. W pewnej chwili zobaczyła drzazgę światła pomiędzy szczelbami – szczelinę w metalowej ścianie. Zbliżywszy do niej oko, ujrzała wodę. Musieli schodzić wzdłuż zewnętrznej skorupy Mostu.

Drabina skręcała kilka razy w prawo i w lewo, a potem, po długiej wędrówce, Quin ujrzała pod sobą otwartą przestrzeń. Wychodzili na zewnątrz drogą pod brzuchem Mostu.

– Teraz ostrożnie – powiedział chłopak, który czekał na nią w plamie światła. – Ostatni kawałek jest trudny.

Sięgnął poza szyb drabiny, złapał coś i wciągnął się poza pole widzenia. Dziewczyna zeszła o kilka szczelbi w dół, aż zrównała się z dziurą w ścianie szybu, otwartą na światło dnia. Wysunąwszy głowę, ujrzała swojego przewodnika stojącego wewnątrz masywnej stalowej kratownicy. Podał jej rękę i wciągnął na belkę obok siebie. Stanęli razem w środku stalowej struktury, z Zatoką Wiktorii czterdzieści pięć metrów pod sobą i masywem Mostu Tranzytowego ponad głowami.

Chłopak poprowadził ją po wąskim dźwigarze. Idąc za nim, Quin próbowała odwrócić uwagę od zięjącej pod jej stopami otchłani, przyglądając się jego strojowi. Był ubrany jak członek jednego z owych gangów, które kupowały narkotyki legalnie od handlarzy z Mostu i sprzedawały nielegalnie na ulicach miasta na lądzie.

– Skąd wiedziałeś, że można tędy przejść? – spytała.

Odpowiedział, nie oglądając się na nią:

– Lubię skakać z różnych rzeczy, wspinać się na nie, a czasem także pod nimi pływać. Mam wiele różnych kryjówek w Hongkongu.

Lawirując między belkami, zaprowadził ją do miejsca, gdzie plastikowe płyty przywiązane do stalowej konstrukcji tworzyły rodzaj legowiska na wysokości – sztucznego gniazda, w którym można było prawie wygodnie się rozsiąść.

– Czy ktoś może nas tutaj znaleźć? – spytała Quin. – To znaczy, no wiesz, ludzie, z którymi... pracujesz?

Dopiero co uciekła jednemu gangowi i nie miała ochoty na spotkanie z kolejnym.

– Nikt jakoś nie lubi tu przychodzić. Boją się, że spadną i się zabiją, czy coś.

– Wzruszył ramionami. – Pochylił się, aby spojrzeć w dół, na wodę zatoki. Wystarczyłby jeden nieostrożny ruch, aby oboje runęli na spotkanie śmierci. Uśmiechnął się. – Osobiście uważam, że to relaksujące miejsce.

Wspinając się na plastikowe gniazdo, Quin zauważyła, że jej ręce pokrywa krew. Był też brud, wszędzie, na całym ciele. Teraz, kiedy na krótką chwilę poczuła się bezpieczna, wróciła jej też świadomość obecności mikroobów na skórze.

– Muszę się wykapać – szepnęła do siebie. – Muszę się wykapać.

Wzięła głęboki oddech. Nie pozwoli, aby znów zawładnęła nią panika.  
Chłopiec przyglądał się jej, przeczesując dłonią swoje krótkie, dziwaczne włosy. Zauważyła, że skórę na knykciach miał zdartą w kilku miejscach.

- Jesteś jakaś inna – rzucił.
- Słuchaj, przykro mi, że muszę cię o to spytać – powiedziała – ale powiesz mi, jak masz na imię?

## Rozdział 36

### Shinobu

Jaja sobie robisz? – Shinobu uśmiechnął się krzywo. Quin właśnie zapytała go o imię. Zaczął się śmiać, ale ona nie wyglądała jak ktoś, kto żartuje.

– Jestem pewna, że wiem, jak się nazywasz – powiedziała szybko, przyglądając się swoim dłoniom, których wierzch pokrywała gruba, lepka warstwa krwi. – A w każdym razie wiedziałam. Przypomnę sobie, jeśli dasz mi trochę czasu. Ja po prostu... po prostu trudno mi myśleć, kiedy mam na sobie tyle plugastwa. Naprawdę bardzo, ale to bardzo potrzebuję umyć ręce.

Chłopak rozejrzał się między belkami kratownic, jakby szukał zawieruszonej gdzieś w pobliżu umywalki i kostki mydła, a potem wzruszył ramionami. Jej roztrzęsiony głos robił wrażenie zgrywy. Quin nigdy nie była nerwowa.

– Spójrz, mam coś na twarzy? – W jej głosie pobrzmiwała desperacja. – Czuję, że mam krew na twarzy. Tu, przy ustach. Widzisz?

– Przestań! Quin! – Zirytowany potrząsnął ją za ramiona i poczekał, aż skupi wzrok na jego oczach. W rzeczywistości miała na twarzy całkiem sporo krwi, ale chłopak pomyślał, że mądrzej będzie jej o tym nie mówić. – Naprawdę mnie nie znasz? – spytał. – Jestem Shinobu.

– Shinobu... – Powtórzyła to słowo, jakby było odpowiedzią na zagadkę, która od długiego czasu doprowadzała ją do szału, a jednocześnie tak, jakby nie mogła uwierzyć, że ktoś może mieć tak na imię. – Słyszałam już to imię. Wypowiedział je, kiedy był u mnie w domu.

– Kto taki?

– John – szepnęła.

– Ach, no tak – burknął chłopak, czując głęboką irytację, jak zawsze, kiedy wspominała o Johnie. Najwyraźniej z zapamiętaniem tamtego nie miała problemu.

Quin znów wpatrywała się rozszerzonymi oczami w swoje brudne dłonie.

– Masz może wodę, Shinobu? Choćby troszeczkę.

– Daj spokój swoim rękóm!

Westchnął gniewnie. Właśnie uchronił ją przed groźnymi porywaczami, a ona martwiła się o higienę? Mieli poważniejsze problemy, takie jak zagadkowa obecność Johna i jego uzbrojonych siepaczy w Hongkongu oraz pojawienie się athamenu.

– Jak myślisz, czyja to krew? – spytała Quin. – Moja? Może jestem ranna.

Shinobu przestraszył się, że dziewczyna może mieć rany, które przeoczył. Obejrzał ją jeszcze raz, tym razem dokładniej.

– Nie wyglądasz na ranną – powiedział po chwili, czując ulgę, ale też lekkie rozczarowanie: ewentualne obrażenia mogłyby wyjaśnić jej zachowanie. – Przynajmniej nie jakoś poważnie.

– Chyba nie jestem, tylko ciągle mnie boli, gdzie mnie uderzył – rzekła Quin bardziej do siebie, jakby szukała drogi przez mentalną mgłę spowijającą jej pamięć.

Wyglądała zupełnie jak tamta dziewczyna, którą Shinobu pamiętał ze Szkocji, ale mówiła jak obłąkana.

– To było tak, jakbym miała nóż – wyszeptała, nie podnosząc wzroku. – I ten nóż ranił jednego z nich w szyję.

– Nóż chlasnął któregoś w gardło, tak? A to podstępny drań. To by wyjaśniało tę krew wszędzie wokół.

– Tylko że ja... Dziś rano uratowałam życie dziecku. Umarłoby, gdyby nie ja. Ale uleczyłam je. – Mówiła, nie mogąc oderwać wzroku od czerwonych smug na swoich dłoniach. – Tylko że nie wiem, czy to się w ogóle liczy, jeżeli... jeżeli zabiłam kogoś innego. – Ostatnie słowa wypowiedziała bardzo cicho.

– Jeśli już liczymy ofiary, to chyba załatwiłaś dwóch tam na górze – powiedział Shinobu. – Ten pierwszy, którego walnęłaś, nie oddychał zbyt sprawnie, kiedy się stamtąd zmyliśmy.

– Ja nie chciałam ich zabić! Wierzysz mi, prawda? Ten nóż po prostu... tam był. – Spojrzała na chłopaka. Jej oczy błyszczały dziko.

Złościł go jej opór przed przyznaniem, że sama jedna walczyła z tymi pięcioma mężczyznami, zanim przybył z odsieczą. I dziwnie mu było widzieć, jak patrzy na niego bez głębszej świadomości, kim jest. Wzięła go chętką, żeby ją uderzyć, obudzić, ale sądząc po sińcach na jej twarzy, John i jego ludzie zdążyli ją już solidnie poobijać.

– Nie jesteś aż tak przewrażliwiona, Quin.

– Nie wiesz, jaka jestem – nadąsała się.

Chłopak zaśmiał się drwiąco.

– Masz rację. Może i nie wiem.

Przez chwilę milczała, a potem oderwała wzrok od własnych dłoni.

– Przepraszam cię. Dziękuję, że mi pomogłeś, Shinobu. – Wymówiła jego imię z wielką starannością.

Wzruszył ramionami i westchnął, godząc się wewnętrznie z niemożnością nawiązania z nią normalnej rozmowy.

– Nie ma sprawy. Akurat miałem wolną chwilę.

– Czy to japońskie imię? Jesteś Japończykiem? – Nie brzmiało to jak przypominanie sobie, skąd go zna, raczej jak wstęp do uprzejmej konwersacji.

– Jeśli nie przypominasz sobie, kim jestem, to nie ma sensu wyjaśniać. – Słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż chciał, ale starał się ukryć fakt, że Quin sprawiała mu przykrość.

– Ja naprawdę cię znam... – powiedziała takim tonem, jakby nareszcie ujrzała znajomy kształt wyłaniający się z mgły. – Tak jak znam Johna.

– Oczywiście jego przypomniałaś sobie wcześniej niż mnie – wymamrotał



Shinobu z przekąsem.

– Tylko dlatego, że jego zobaczyłam najpierw. Ale jak on mnie znalazł? Czy ja nie byłam... jakby w kryjówce czy gdzieś? Myślę, że się ukrywałam.

– Znalazł cię, bo znalazł athamen. Kiedy dowiedział się, gdzie jest, pewnie wysłał swoich ludzi na poszukiwania. A ty byłaś w pobliżu.

– Athamen – powtórzyła, jakby było to słowo, które usłyszała we śnie. – John też tak to nazywał.

– Pewnie dlatego, że tak się to nazywa. – Shinobu pokiwał głową.

Sięgnął pod połę skórzanej kurtki i wydobył athamen. Kamienny sztylet znów był w ich posiadaniu. Na klindze były smugi krwi, ale poza tym wyglądał na nieuszkodzony. Położył go na plastiku obok Quin, która odsunęła się gwałtownie.

– Po co to wzięłeś? – Jej głos znów nasiąkł panicznym drżeniem. – Nie chcę tego.

– Wiesz, ja też nie, ale pomyślałem, że może lepiej nie zostawiać go Johnowi.

Nie odpowiedziała, ale w jej milczeniu było coś, co sugerowało, że argument trafił jej do przekonania. To było już coś. Niewiele, ale zawsze.

– Może powinniśmy wrzucić to do morza? – zasugerowała cichutko, jakby tylko sprawdzała, jak zabrmi ten pomysł wypowiedziany na głos.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która na to wpadła. Masz.

Włożył jej sztylet do ręki i gestem zachęcił do wrzucenia go w wody zatoki. Quin zsunęła się z ich prowizorycznego legowiska i posuwając się wzdłuż dźwigara, dotarła do miejsca, z którego rozpościerał się niczym niezakłócony widok na wodę. Shinobu patrzył, jak unosi rękę, szykując się do wyrzucenia athamenu. A jednak coś ją powstrzymało. Zamarła w posągowym bezruchu, ze sztyletem nad głową, patrząc w dół na Zatokę Wiktorii.

Po kilku chwilach pozwoliła, aby jej ręka opadła wzdłuż boku. Potem przyjrzała się sztyletowi dokładnie, jakby badała całkowicie dla niej nowy przedmiot. Chłopak patrzył na jej palce, błędzące po głowicy i wyrytym na niej wizerunku lisa. Wreszcie wróciła na ich półkę i odłożyła athamen na plastik.

– Nie mogę go wyrzucić.

– Dlaczego? – spytał, znając odpowiedź.

– Kiedy trzymam go w ręce... Po prostu nie mogę – odparła.

Przez chwilę miała błędny wzrok, jakby zakręciło się jej w głowie, ale to szybko minęło.

– To jak, mam to oddać Johnowi? – zaproponował Shinobu głosem, w którym czaiła się drwina. Drażnił się z nią.

– Nie. – Odwróciła wzrok. – On nie powinien go mieć. To nie skończyłoby się dobrze.

Chłopak prychnął w odpowiedzi na to komicznie oględne stwierdzenie,

mając nadzieję, że Quin także się roześmieje, ale tak się nie stało. Było tak, jakby przyjemne cechy jej charakteru ulotniły się bez śladu, pozostawiając jedynie powagę i oddalenie. Po chwili gniożącej ciszy Shinobu spytał wreszcie:

- No to co chcesz zrobić?
- Dlaczego on tu przyjechał?
- Quin, przecież wiesz dlaczego – zachnął się. – Myśl!
- Chce się nauczyć posługiwać athamenem – rzekła cicho, patrząc na sztylet.
- Ale ja nie pamiętam, jak się go używa.

Chłopak milczał.

– Może potrafiłabym sobie przypomnieć. – Zamilkła na chwilę, być może rozmyślając o wszystkim, czego dokonała w ciągu minionych osiemnastu miesięcy. Shinobu zastanawiał się, czy jej pogrzebane wspomnienia nie próbują wywęszyć sobie drogi na powierzchnię. – Jeśli nie zechcę sobie przypomnieć, będę musiała odejść, prawda? – powiedziała wreszcie. – On już wie, że tu jestem. Będzie mnie szukał. Mnie i tego... athamenu. Może zostanę uzdrowicielką w Tybecie albo gdzieś, gdzie nigdy mnie nie znajdzie.

Opuściła wzrok i zniżywszy głos prawie do szeptu, dodała:

– Ciekawe, czy mama zgodzi się ze mną wyjechać. Nie byłam zbyt dobrą córką.

Shinobu westchnął i przysunął się do niej na plastikowym arkuszu. Po narkotycznych wzlotach nie zostało już nawet wspomnienie, pojawiło się za to nowe, bardzo nieprzyjemne uczucie. Podniósł athamen i uniósł go przed sobą, patrząc jej w oczy.

– Jest pewien problem z twoim planem – powiedział. – Bo widzisz, ja już raz cisnąłem to na dno zatoki. Tak, tej wielkiej zatoki, po której pływają tam i z powrotem tysiące statków i na której dnie kończą całe góry śmieci. A jednak... oto jest, półtora roku później, znowu w mojej dłoni. Fakt, to ja wyciągnąłem to znowu na światło dzienne, ale nie celowo. – Położył sobie athamen na kolanach i w zamyśleniu przeciągnął kciukiem wzdłuż klingi. – Tak jak obiecałem sobie, że już nigdy więcej cię nie zobaczę. Ale oto jesteś i siedzisz ze mną pod Mostem.

– Nie chciałeś mnie więcej widzieć? – Jej myśli wciąż biegły w niewłaściwą stronę i ton jej głosu sugerował, że poczuła się urażona.

– A ty nie chciałaś widzieć mnie – odparł natychmiast.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Jej ciemne oczy badały jego twarz, jakby naprawdę szukały na niej odpowiedzi.

– Zapomniałaś, jak się nazywam, Quin.

– Zapomniałam wszystko. Nie konkretnie ciebie.

– Dziś rano miałaś pacjenta – powiedział Shinobu, próbując innego podejścia. – Tego, któremu ocaliłaś życie. Kto to był?

– Mały chłopczyk. Przedawkował. Dobrał się do dragów starszego brata.

Zebrawszy się w sobie, aby przetrwać falę wstydu, chłopak wskazał na siebie.

– Japończyk? Rudawe włosy?

Pochylił głowę, aby mogła zobaczyć jej czubek. Dziewczyna powoli przytaknęła, patrząc na rude odrosty pod lamparcimi cętkami.

– Ty masz rude włosy – rzekła.

Przez krótką chwilę wydawała się mniej oddalona, bardziej świadoma rzeczywistości, jakby kolor włosów był tym jednym drobnym szczegółem, do którego była w stanie się odnieść.

– Tak, mam rude włosy, kuzynko Quin. A tamten chłopiec ma na imię Akio.

– Ty jesteś tym bratem?

Shinobu wyjął coś z kieszeni kurtki i uniósł przed sobą. Była to torba z ziołami – ta sama, którą dziewczyna własnoręcznie napełniła zaledwie kilka godzin wcześniej, z imieniem Akio wypisanym jej własną ręką.

– Wygląda na to, że bez względu na to, jak daleko od siebie rzuci nas los, coś ściąga nas wszystkich z powrotem do ciebie – powiedział.

Quin zamyśliła się, trąc wierzchem zakrwawionych dłoni o spodnie.

– A może wszyscy wracamy do ciebie – powiedziała po chwili.

Shinobu potrząsnął głową przecząco.

– Ty o mnie zapomniałaś, John nie wie, że tutaj jestem, moja matka udaje, że nie istnieję. Jestem duchem, Quin. A jeśli John weźmie mnie na celownik, to ja... to stanę się duchem naprawdę. Ja muszę szukać powodów do życia, ale ty... – Nerwowość, z jaką wycierała ręce o nogawki, denerwowała go, więc złapał jej dłonie i przytrzymał. – Ty najwyraźniej jesteś skazana na Johna, dopóki... dopóki się go nie pozbędziesz.

– Co ma znaczyć „pozbędziesz”? – Zmarszczyła groźnie brwi, choć widać było, że doskonale rozumie, co miał na myśli.

– Nie udawaj takiej wstrząśniętej – prychnął. – Koleś zmusza cię do zrobienia czegoś, czego nie chcesz zrobić. – Opuścił wzrok na swoje brudne dżinsy. Myślami ocierał się o te obszary swoich wspomnień, dokąd już dawno zabronił sobie wstępu. – Możesz się go pozbyć, Quin. Albo możesz mu dać to, czego chce. Zwykle robiłaś to drugie. – Usłyszał gorycz w swoim głosie, ale taka była prawda, ona zawsze wybierała Johna.

Dziewczyna nie odpowiadała. Może myślała o tym, że powinna spędzić więcej czasu z Johnem, zanim postanowi, czy naprawdę jest tak niebezpieczny, czy nie.

Wreszcie potrząsnęła głową i oznajmiła zdenerwowanym głosem:

– Nie mogę się nikogo pozbywać. Jestem uzdrowicielką. Nie krzywdzę ludzi...

– Tak, wszystko jasne. A ta krew na twoich rękach znalazła się tam czystym

przypadkiem. Nóż niechcący zaciął kogoś w szyję. Ty nie miałaś z tym nic wspólnego.

– Nie chciałam tego zrobić! Nawet nie wiesz na pewno, czy nie żyją.

– Kto wie, może facetowi odrośnie szyja. Zdarza się, nie?

Odwrócił się od niej. Nawet jeśli przez krótką chwilę czuł odradzającą się więź, teraz znikła bez śladu. Dziewczyna popadała w obłęd.

– Nie znasz mnie – powiedziała.

Miała rację. Nie znał jej. W Hongkongu stała się innym człowiekiem. Nie chciała jego pomocy, naprawdę, i nie był już za nią odpowiedzialny. Budziła stanowczo zbyt wiele nieprzyjemnych wspomnień.

Ciszę przerwała Quin, ale mówiła do siebie:

– Lubię moje życie tutaj. Dlaczego to musiało się stać?

Shinobu usłyszał ponury rechot wydobywający się z jego własnego gardła.

– Żadne z nas nie może już żyć jak dawniej, Quin. Mogę sprowadzić cię z Mostu. I mam dla ciebie coś jeszcze, jeżeli zechcesz to przyjąć. Potem możemy pójść każde swoją drogą.

Kiwnęła głową, patrząc między belkami na wodę poniżej, nabierającą ciemnoszarej barwy w gasnącym świetle popołudnia.

Wykorzystując chwilę, kiedy dziewczyna w milczeniu patrzyła w drugą stronę, Shinobu zerknął na nią ukradkiem. Dostrzegł w niej ślady dawnej Quin, tej sprzed półtora roku. Rozpoznawał nawet odrobinę tej Quin, którą znał jeszcze wcześniej. Na twarzy tańczyły jej kosmyki czarnych włosów, poruszane wieczorną bryzą, ciemne oczy wpatrywały się w wodę. Mógł sobie niemal wyobrazić, że on i ona są znacznie młodszy i właśnie przekradają się razem przez wysoką trawę na granicy błonia...

Powstrzymał się od marzeń.

– Słońce niedługo zajdzie. Kiedy zrobi się ciemno, ruszamy dalej.

## Rozdział 37

John

Nie da się zgasić tych iskier – powiedział John. – To nie działa w ten sposób.

Jeden z ich ludzi, Fletcher, w końcu przestał wymachiwać rękami i leżał bez ruchu na betonie, dając znać, że żyje, jedynie wydawanymi z rzadka jękami i podrygami od mimowolnych skurczy mięśni. Iskry tańczyły wokół jego czaszki, tworząc barwne wzory, od których Johna bolała głowa. Było mu niedobrze. Znowu do tego doszło. Kolejny człowiek z rozerwanym umysłem.

A on musiał skrzywdzić Quin. Patrzenie, jak Gauge ją bije, było gorsze, niż gdyby chłopak sam miał zostać pobity. A tak niewiele brakowało, aby mu pomogła! Już zaczynała mu pomagać!

– No to co robimy? Znosimy go z Mostu w takim stanie? – Pytanie zadał Paddon.

– Nie, jeśli chcemy stąd wyjść w normalny sposób – odpowiedział John.

Otarł skroń wierzchem dłoni i spostrzegł, że krwawi, a czoło ma opuchnięte. Podczas walki otrzymał potężny cios w głowę.

Paddon przykucnął nad drugim mężczyzną – tym, któremu Quin poderznęła gardło.

– Brethome nie żyje – oznajmił beznamiętnie.

– A Gauge? – spytał John.

Gauge był mężczyzną ze szczeciniastym zarostem. To on prowadził akcję.

– Przeżyje – odparł Paddon. – Trafiała go w tchawicę, ale oddycha już prawie normalnie.

Stracili też trzeciego człowieka. Ten, który strzelił z rozrywacza, leżał nieopodal z karkiem skręconym przez tego wysokiego Azjatę, który zjawił się znikąd. Dwaj ludzie nie żyją, jeden z rozerwanym umysłem, jeden ranny.

– Kim byli ci mężczyźni? – spytał Paddon.

– Nie wiem.

Wysoki Azjata i ten drugi, ten duży, wyglądali na drobnych rzezimieszków, szemranych typków, jakich pełno kręciło się po niższych poziomach. Kiedy John oberwał w głowę, Paddon puścił się w pogoń za dużym, ale zgubił go w stalowych trzewiach Mostu. Z tego, co John mógł stwierdzić, Quin po prostu uciekła z zamieszania, zabierając athamen ze sobą. Ale dlaczego? Przecież nie chciała nawet go dotknąć. Po półtora roku poszukiwań dostał sztylet w swoje ręce tylko po to, aby kilka godzin później znów go utracić.

– Dużo trupów. Nie będzie łatwo wyjaśnić to mojemu dziadkowi.

– Zapewne nie – zgodził się Paddon, pakując rozrywacz do plecaka.

– Kiedy nasz celnik kończy służbę?

John przekupił agenta celnego na rogatce Mostu. Musieli wynieść się stąd,

dopóki był na służbie, albo czekała ich moc niewygodnych pytań na temat tego, jak weszli. A gdyby odkryto ich broń...

– Za dwadzieścia minut, mniej więcej. – Paddon spojrział na zegarek, a potem przyjrzał się krwi na czole chłopaka. – Musimy jeszcze doprowadzić się do porządku, a potem wrócić tą samą drogą, którą przyszlismy. Oddzielnie. – Kiwając do siebie głową, obliczył w myślach, ile potrzebują czasu. – Musimy ruszać, John.

– Czy Gauge da radę pójść sam? – spytał chłopak.

Paddon pochylił się nad mężczyzną, który wciąż trzymał się za gardło, niemal zmiażdżone ciosem rękojeści kamiennego sztyletu. Ranny z wysiłkiem skinął głową.

– Mówi, że pójdzie – rzekł Paddon. – Ale musimy jeszcze... zająć się pozostałymi.

– Tak – potwierdził chłopak, nienawidząc tego słowa, jeszcze zanim wypłynęło mu z ust.

Pochylił się nad Fletcherem, który znów jęknął pośród iskier rozrywacza. Seria grymasów przepłynęła mu przez twarz – jedyny ślad męczarni, jaką musiał przechodzić jego umysł. „Bądź gotów zabijać”. To nigdy nie było łatwe, choć jego matka nazwałaby to małą śmiercią. Pocieszał się myślą, że w tym wypadku zgładzenie człowieka było aktem miłosierdzia.

Sięgnął po nóż.

## Rozdział 38

### Quin

Quin stała w pokoju dziecięcym, nasłuchując hałasów dobiegających z dalszej części domu. W pomieszczeniu było z nią dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka. Wyglądali na bliźnięta, ale trudno było stwierdzić to z pewnością. Tulili się do siebie w kącie pod kwiecistą tapetą. W bladym świetle księżycy kwiaty wyglądały jak czarne smugi krwi na jasnej ścianie.

„Ja śnię – odpowiedziała jej obca myśl, przybyła z najdalszych rubieży jej umysłu. – Zawszę śnię o tamtej nocy. Czasem jest tylko jedno dziecko, ale naprawdę było ich dwoje. Dwoje dzieci”.

– Boję się – powiedziała dziewczynka po francusku. Długie jasne włosy opadały jej w nieładzie na ramiona.

– Ja też – przyłączył się jej brat.

Dygocąc z przerażenia, dzieci mówiły te słowa do siebie nawzajem, ale także do Quin, jak gdyby spodziewały się, że coś zrobi.

„Sądzą, że im pomogę”.

W sąsiednim pokoju rozległ się straszny krzyk. Głos mógł należeć do kobiety albo mężczyzny – nie sposób było odgadnąć.

– Czy to mama? – złękła się dziewczynka. Jej oczy otworzyły się szerzej.

– Oczywiście, że nie – powiedziała Quin po francusku, starając się mówić kojącym tonem, choć sama czuła w piersi klujące sople strachu. – Chodźcie, zabiorę was stąd. Złapcie mnie za rękę.

Dzieci się wahały.

„Gdybym tylko potrafiła je uspokoić” – odezwała się w niej owa odległa cząstka świadomości.

– No już, łapcie – ponagliła.

Nie posłuchały, więc sama ujęła drobniutkie dłonie i pociągnęła dzieci do drzwi. Ukrywszy oboje pod płaszczem, wyśliznęła się na korytarz i pobiegła ku głównym schodom.

Wypadłszy na podest, zahamowała gwałtownie na widok postaci stojącej przy głównym wejściu. Szybko wciągnęła dzieci za tralki balustrady, usuwając je z pola widzenia. Mały chłopczyk kulił się u jej stóp. Drobnym ciałakiem wstrząsało miękkie, paniczne łkanie.

– Cii, cii... – syknęła. – Musicie być cicho. Błagam.

Dziewczynka płakała strumieniami łez, ale nie wydawała przy tym prawie żadnych odgłosów.

– Właśnie tak – szepnęła do niej Quin.

Ostrożnie wyjrzała za balustradę. Mężczyzna przy drzwiach zatrzymał się

i patrzył w górę, w stronę piętra. Czy ich usłyszał? Odwróciła się i przywarła plecami do szerokiego słupa kończącego balustradę. Tak bardzo pragnęła, aby jej nie zobaczył. Okuty but stanął ciężko na pierwszym stopniu schodów. Potem na następnym. Usłyszał ich! Szedł do nich po schodach. Złapała dzieci za ręce, gotowa rzucić się do ucieczki w głąb górnego korytarza.

Wtem w jednym z pomieszczeń na parterze rozległ się hałas. Kroki na schodach zawróciły i zaczęły się oddalać. Quin odważyła się zerknąć za balustradę i zobaczyła go, jak łopocząc brzegiem płaszcza przy łydkach, oddala się od schodów w stronę innej części domu. Rzecz jasna nie był to po prostu jakiś nieznaną mężczyzna. To był Briac.

„Briac – pomyślała tą częścią umysłu, która wiedziała, że to sen. – Tak brzmi jego imię, ale ja nazywam go jeszcze inaczej”.

Kiedy tylko zniknął jej z pola widzenia, zbiegła czym prędzej po schodach z dziećmi kurczowo uczeponymi jej rąk. Dziewczynka potknęła się na ostatnim stopniu i strąciła wazon ustawiony na małym stoliku pod ścianą.

Jeszcze zanim naczynie dotknęło ziemi, Quin zagarnęła dzieci ramionami i puściła się pędem w stronę drzwi. Za sobą usłyszała huk tłukącego się wazonu, a potem te ciężkie, złowrogie kroki zawróciły i przyśpieszając, ruszyły za nią. Briac puścił się w pogoń.

– Quin! – krzyknął. – Quin!

„Co by było, gdybym się nie zatrzymała? – zastanawiała się ta część jej, która nie śniła. – Co by było, gdybym biegła dalej? Mogę biec dalej...”.

Wypadła za próg w ciemny chłód nocy. Dzieci były o wiele za ciężkie, aby mogła biec z nimi dalej, ale oto ujrzała Yellena. Jak za sprawą cudu, koń czekał na nią przed domem, niecierpliwie grzebiąc w ziemi kopytem.

„Yellena tam nie było – odpowiedziała jej pamięć. – A co, gdyby był?”.

Gniewny tupot przybierał na mocy z każdym krokiem. Dzieci wciąż płakały, ale teraz wyczuwały jej pośpiech i starały się współpracować. Quin błyskawicznie podsadziła je na grzbiet Yellena, po czym sama wskoczyła na siodło pomiędzy nimi.

Kroki Briaca grzmiały jak burza. Był tuż za drzwiami.

– Trzymaj się mocno! – nakazała chłopcu, który siedział za nią, obejmując ją w pasie ramionami. Malec posłusznie zacieśnił uchwyt.

Cień w otwartych drzwiach. Głos wzywający jej imię. Nie tracąc czasu na oglądanie się za siebie, wbiła pięty w boki Yellena i koń wyrwał naprzód, pędząc wzdłuż zwirowej ścieżki przecinającej rozległy ogród rozświetlony blaskiem księżyca.

– Quin! Musisz to zrobić! Nie masz wyboru! Już!

„To mój sen – pomyślała. – Mogę go zignorować. Mogę zrobić to, co należy”.



Dzieci trzymały się mocno, mrużąc oczy od wiatru, który rozwiewał im włosy. Yellen niósł wszystkich troje daleko stąd, w bezpieczne miejsce. Prawie nie czuła łez, które ciekły jej po policzkach.

## Rozdział 39

### Quin

Quin, ty z-zasnęłaś.

Ktoś szarpał ją za ramię. Dziewczyna otworzyła oczy, powoli odzyskując przytomność. Uświadomiła sobie, że jej twarz, rozplaszczona na twardym plastiku, jest mokra. Musiała płakać przez sen. Z wysiłkiem dźwignęła się na łokciu, obróciła i usiadła.

– Och... Boże. – Ręce miała pokryte zaschniętą krwią, której część rozmiękła od łez. Na plastiku widniały rozarte, czerwone smugi. Koniecznie musiała się umyć i bolały ją wszystkie mięśnie.

Wciąż tkwili w gąszczu stalowych belek pod przęsłem Mostu Tranzytowego, ale miała wrażenie, że myśli rysują się jej w głowie znacznie ostrzej niż przedtem, jakby łyzy rozproszyły mgłę panującą w jej umyśle.

– M-musimy j-już iść, d-dobrze? S-spałaś dosyć d-długo.

Shinobu. Rudowłosy Shinobu, którego włosy nie były już rude. Siedział skulony na krawędzi plastikowej płyty, dygocąc gwałtownie. Powietrze rzeczywiście kęsało już nocnym chłodem, ale gruba skórzana kurtka chłopaka powinna skutecznie chronić go przed zmarznięciem.

– O B-Boże, wyglądasz okrop-pnie – powiedział, patrząc na nią.

– Tak jak i ty.

Quin-uzdrowicielka przyjrzała się chłopakowi badawczo w półmroku. Pod oczami miał ciemne kręgi i był stanowczo za chudy. Trząśł się tak bardzo, że jego dłonie bębniły o plastikową płytę.

– Jak się stąd wydostaniemy? – spytała.

– Popłyniemy – rzucił, uśmiechając się, co nie było łatwe przy szaleńczo szczękających zębach.

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem, po czym zorientowała się, że Shinobu nie żartuje.

– Zejdziemy po p-podporze, p-popłyniemy. Niedaleko.

– Jesteś na głodzie – rzekła bez zastanowienia. Patrząc nań wytrenowanym okiem, spytała: – Opium?

– T-trudno powiedzieć. – Wzruszył ramionami, uśmiechając się słabo. – Sziwa, opium, to może być wszystko. Nie planowałem ratować cię dziś po południu. Zamierzałem spędzić dzień, włócząc się po palarniach.

– Połóż się. – Twardość, jaką właśnie odkryła w swoim głosie, spodobała jej się. Nawet krew na rękach nie przeszkadzała jej już tak bardzo, kiedy postanowiła zaopiekować się kimś innym. – Łażenie pod mostem kilkadziesiąt metrów nad wodą nie jest najlepszym pomysłem, kiedy komuś tak latają ręce.

– P-pewnie masz rację – przytaknęła.

Położył się przed nią na wznak, a ona uklękła obok. Skoncentrowała myśli i zaczęła stopniowo przemieniać swoje widzenie. Przypominało to wyprowadzanie oczu poza zakres ostrości tak daleko, aż zaczynały dostrzegać aspekty zwykle ukryte przed wzrokiem. Zobaczyła miedziane linie pola energii płynące wokół ciała Shinobu. U zdrowej osoby linie tworzyły regularny wzór, niemal piękny w swojej symetrii. Jednak pole chłopaka było podziurawione ciemnymi plamami praktycznie na całej powierzchni.

Quin zamknęła umysł na wszelkie inne wpływy z zewnątrz i skoncentrowała się na energii płynącej wzdłuż jej własnych rąk. Rozpościerając szeroko palce, powiodła dłońmi nad ciałem Shinobu. Wyobraziła sobie swoją energię jako wodę płynącą w niej i wylewającą się z opuszek prosto w ciemne zmętnienia, wiszące ponad chorymi narządami, jako rzekę, która obmyje i oczyści zabrudzone obszary.

Trzeba było szczególnego rodzaju koncentracji – podobnego mięśniowi, który stale jest lekko naprężony – aby postrzegać energię w ten sposób. Dziewczyna przez długi czas pracowała w ciszy, aż wreszcie plamy zaczęły się rozmywać, a Shinobu przestał dygotać. Leżał spokojnie, patrząc na nią, podczas gdy kończyła zabieg, i nagle w wieczornym półświecie dostrzegła chłopaka, który krył się za tym dziwnym ubraniem, lamparcią fryzurą i kolczykami. Nareszcie ujrzała twarz, którą rozpoznawała.

„Oczywiście – pomyślała. – To przecież Shinobu. Mój piękny kuzyn. – Zaraz potem ogarnął ją smutek z powodu jego żeber, sterczących pod koszulą, jego brudnego ubrania, jego uzależnienia. – Nie zawsze taki byłeś – pomyślała. To coś nowego”.

– Wiesz, to pasuje do ciebie – wyszeptał.

Uniósł dłoń i dotknął jej policzka. Był co najmniej tak brudny jak ona, a prawdopodobnie znacznie brudniejszy, ale nie cofnęła się.

– Co takiego?

– Używanie umysłu do czegoś dobrego.

Zatrzymał wzrok na jej twarzy, jakby chciał, aby pochyliła się nad nim niżej. Wcześniej, zanim usnęła, wydawało się, że z trudem znosi przebywanie w jej towarzystwie, ale teraz cały jego gniew wyparował.

– Nie chcę sprowadzić na ciebie kolejnych kłopotów – wyszeptała, pochylając głowę nad jego twarzą. – Pomóż mi tylko uciec z Mostu, a pozbędziesz się mnie na zawsze. Obiecuję.

– Próbowałem pozbyć się ciebie przez bardzo długi czas – odparł, odwracając wzrok. – Nie, nie dasz mi spokoju.

To, co powiedział, ukłuło ją, ale Shinobu miał rację. To ona sprowadziła Johna oraz przeszłość z powrotem do jego życia. Był narkomanem, który i bez niej miał dość problemów z dbaniem o samego siebie. Bez względu na to, jak wiele znaczyli dla siebie dawniej, troszczenie się o nią nie należało teraz do jego

obowiązków. Musiała sama radzić sobie ze swoimi problemami.

Jakiś czas później szli po dźwigarach Mostu, zmierzając w stronę gigantycznego filaru, w którego betonową ścianę wpuszczono stalowe szczeble. Chłopak ruszył w dół, Quin kilka kroków za nim. Choć słońce już zaszło, księżyc stał wysoko i uciekinierzy opuszczali się z wolna w stronę jego odbicia drgającego na czarnej powierzchni zatoki. Wszędzie wokół siebie dziewczyna widziała jasne światła statków płynących w różne strony świata, ale bezpośrednio pod nimi woda była czysta i nieruchoma.

Kiedy byli już bardzo nisko, Shinobu wskazał prostopadłościan wiszący tuż nad powierzchnią wody w połowie drogi pomiędzy filarem, po którym schodzili, a jego bliźniakiem wznoszącym się sześćdziesiąt metrów dalej. Prostopadłościan był szczytowym zakończeniem pionowej rury szybu prowadzącego w głąb zatoki.

– Jesteś pewien? – spytała. Nie uśmiechała jej się tak daleka droga przez nieprzyjazny ciemny ocean.

– To szyb serwisowy metra i tuneli biegnących na wyspę. W zatoce jest pełno takich. Kiedyś z Brianem naliczyliśmy ponad pięćdziesiąt i liczylibyśmy dalej, ale kończyło się nam powietrze. Możemy przejść tamtędy pod wodą do Koulunu.

– Czy ja umiem pływać? – Zdawała sobie sprawę z tego, jak dziwnie brzmi to pytanie, ale naprawdę nie pamiętała.

– Ha! – Uśmiechnął się. – Przekonajmy się!

Powiedziawszy to, Shinobu puścił szczebel i runął do wody. Sekundę później wynurzył się, parszkając. Nie czekając, aż obleci ją strach, Quin skoczyła za nim. Przeszył ją mroźny dreszcz, kiedy zatoka wchłonęła ją w siebie, a po chwili, kiedy wyskoczyła na powierzchnię, odkryła, że w rzeczy samej potrafi pływać. Ruszyła w ślad za chłopakiem w stronę szybu, z księżycową smugą na wodzie zawsze o kilka machnięć ramionami przed nimi.

Nareszcie się wykąpała. Nigdy dotąd żaden prysznic nie przyniósł jej tak ogromnej ulgi. Quin wyszorowała skórę i włosy tuzin razy, dopóki nie pozbyła się ostatnich śladów brudu i krwi. Znajdowała się w pawilonie basenowym przycupniętym w tylnej części rozległego ogrodu. Kiedy uznała, że jest już dostatecznie czysta, przeszła na podgrzewaną podłogę przebieralni i okryła się szlafrokiem. Spojrzała na swoje poprzednie ubranie, leżące w pomiętej stercie pod drzwiami kabiny prysznicowej. Za żadne skarby świata nie założyłaby ani jednej z tych rzeczy. Szybko wepchnęła wszystko do kosza na śmieci i jeszcze raz dokładnie wymyła ręce.

Pamiętała, że Shinobu znikł gdzieś w okolicy domu. Wyszła z pawilonu do ogrodu i cicho podeszła do jednego z dolnych okien. Dom był nieduży, ale piękny, wybudowany w najładniejszej dzielnicy, spośród tych, które Quin zwiedzała w Hongkongu. Znaleźli się tu po trwającej godzinę wędrówce przez mroczne

tunele pod zatoką i absurdalnie zatłoczone ulice nocnego Koulunu oraz przejażdżce taksówką z mrukliwym kierowcą, łypiącym podejrzliwie w lusterku na swoich brudnych i mokrych pasażerów.

Przez okno zobaczyła chłopaka, który wyszedł z dużej garderoby, przyciskając do piersi torbę. Patrzyła, jak zatrzymuje się przy małym łóżku ustawionym przy ścianie. Spał tam Akio, malec, którego tego ranka przyjęła w swoim gabinecie. Shinobu pochylił się nad skuloną postacią młodszego brata i przez długi czas szeptał coś do niego. Potem ucałował go w czoło, nie raz, a kilkakrotnie. Kiedy wyprostował się, Quin zanurkowała pod okno, nie chcąc, aby zobaczył, że była świadkiem tej intymnej chwili.

– Masz tu trochę ciuchów – powiedział, kiedy wreszcie wyszedł na zewnątrz.  
– Są moje, więc będą za duże, ale leżały u mamy i na pewno są czyste.

Wróciwszy do przebieralni, Quin włożyła stare dżinsy i sweter Shinobu, podwijając za długie rękawy i upychając nogawki w cholewach mokrych butów. Chłopak czekał na nią, siedząc na trawie przy brzegu basenu. Obok siebie na ziemi położył athamen oraz jeszcze jedną broń, która wyglądała jak bicz z rękojeścią miecza. Dziewczyna wyszła z pawilonu w chwili, kiedy podwijał lewą nogawkę dżinsów, odsłaniając dociśniętą do łydki kamienną klingę, której czubek tkwił w cholewce buta. Ostrożnie wysunął ją spod spodni i ułożył obok pozostałych przedmiotów.

Quin usiadła na ziemi nieopodal i wyciągnęła palec w stronę broni zwiniętej w spiralę.

– Bicz?

– Morfer.

– Morfer – powtórzyła.

Teraz, kiedy sama wymówiła tę nazwę, wydała się jej oczywista.

– Przechowałem go dla ciebie – powiedział Shinobu. – Zabrałem, kiedy byłaś chora, ale to ty powinnaś go mieć.

– Jest mój?

– Tak. Naprawdę nie pamiętasz?

– Mam wrażenie, że powinnam to znać. Ale nie znam. Raczej. Jeszcze nie.

Oglądała morfer, nie dotykając go.

Chłopak zamyślił się, wpatrzony w swoje zdarte glany. Nagle odezwał się:

– Byłaś na wpół martwa, kiedy zaniósłem cię do Mistrza Tana. Myślę nawet, że naprawdę byłaś martwa przez parę minut, zanim cię ożywił.

Quin nie pamiętała tego, ale w jej umyśle zachodziły subtelne zmiany. Sprawy wcześniej pogrzebane głęboko na dnie oceanu zaczynały wznosić się ku powierzchni.

– Mistrz Tan nie wiedział, czy zdoła sprowadzić cię z powrotem – ciągnął Shinobu lekko drżącym głosem. – Powiedział wtedy, że nie chcesz już żyć.

To w jakiś sposób pamiętała.

– Skąd mógł to wiedzieć?

– To w końcu Mistrz Tan. – Chłopak postukał się w głowę. – On wie takie rzeczy. A ty ciągle nas odpychałaś, kiedy próbowaliśmy ci pomóc. Później leżałaś u niego na stole. Byłem przekonany, że już po tobie, ale kiedy Mistrz Tan powiedział ci, że możesz zacząć nowe życie, jeśli tylko chcesz, że stare możesz po prostu zostawić za sobą, zaczęłaś znowu oddychać. – Shinobu odwrócił wzrok od dziewczyny. – Jesteśmy Poszukiwaczami, Quin. Jesteśmy ludźmi, którzy robią dziwne rzeczy. Ale Mistrz Tan rzucił na ciebie urok.

– Czemu użyłeś tego słowa? – spytała cicho.

– Jakiego słowa? Urok?

– Nie. Poszukiwacze.

Obrzucił ją badawczym spojrzeniem, jakby szacował szczerść jej pytania. Przekonawszy się, że mówi całkiem poważnie, odpowiedział:

– To właśnie my, Quin.

Uniósł lewy nadgarstek i ostrożnie zdjął z niego grubą, najeżoną kolcami skórzaną bransoletę. Następnie sięgnął po rękę dziewczyny i podciągnął rękaw jej swetra. Przysunawszy jej nadgarstek do własnego, powiódł palcem wokół dwóch identycznych blizn w kształcie sztyletu. Quin zmusiła się do obejrzenia piętna wypalonego na jej ręce. Nie była to zwykła skaza, jak wmawiała sobie do tej pory. To było coś zupełnie innego: została naznaczona.

– Jestem Poszukiwaczką – wyszeptała, smakując wrażenie, jakie wywoływały w niej te słowa. Nie było przyjemne.

– Chociaż to nie do końca tak, że nimi jesteśmy – powiedział Shinobu, ciszej. – Byliśmy nimi. Albo raczej: mieliśmy nadzieję być.

Patrzył w dół, w trawę, uciekając wzrokiem od Quin. Na twarzy błysnęła mu iskierka i dziewczyna uświadomiła sobie, że to łza spływająca mu po policzku. Jej obecność wydała się nienaturalna, jakby płakało dzikie, drapieżne zwierzę.

Chłopak otarł łzę rękawem kurtki, rozsmarowując sobie brud na twarzy. Zawstydzona Quin odwróciła wzrok.

– Moja matka żyła tu przez cały ten czas. Przez wszystkie te lata – powiedział cicho, jakby mówił do siebie.

Dziewczyna skojarzyła fakty. Kobieta, która tego ranka przysłała do jej gabinetu, znała ją. Poznała ją dawno temu. W Szkocji.

Wezbrało w niej uczucie, w którym smutek mieszał się ze zgrozą. Zaczynała sobie przypominać...

– Moja matka nie żyła – ciągnął Shinobu. – Tak przynajmniej myślałem. Tak mi mówiono. Tylko że to nie była prawda. Była tutaj z moim bratem. Kiedy odkryła, że jest w ciąży z Akio, uknuła z ojcem plan, żeby się stamtąd wydostać. Moi przodkowie mieli tutaj majątek. Mój ojciec żył bez niej przez siedem lat, żeby

ona i Akio mogli być wolni. Nie mógł mi powiedzieć, nie mógł mnie ostrzec, bo Briac... Ale ciągle myślał, jak uwolnić także i nas, żebyśmy znów mogli być rodziną.

– Uwolnić od Briaca – wyszeptała Quin.

Briac. Jej ojciec. Widziała go we śnie.

„Obiecałam sobie, że go zabiję – pomyślała – żebym mogła być wolna. I Fiona także”.

– A ja zostawiłem go tam, konającego w męczarniach. – Głos Shinobu stał się drewniany. Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę, ale odsunął się gwałtownie.

– Pewnego dnia zapomnę zjeść, zapomnę sprawdzić butlę z powietrzem, wciągnę za dużo fajek w barze. Żaden ze mnie Poszukiwacz. Myślę, że nie jestem już nawet osobą. Jestem duchem czekającym na śmierć.

Siedzieli bez ruchu w ciężkiej ciszy. Wreszcie odezwała się Quin:

– Czuję się tak samo. Tyle że ja jestem chyba duchem, który czeka na życie.

Ostrożnie podniosła morfer. Rękojeść doskonale leżała jej w dłoni. Bez zastanowienia, korzystając wyłącznie z instynktu, pozwoliła swojemu nadgarstkowi na automatyczny ruch. Podobna do bicia część broni rozwinęła się z głośnym kłaśnięciem i przestraszony Shinobu odtoczył się na bok. W błyskawicznej sekwencji ruchów dziewczyna przeprowadziła morfer przez pięć różnych kształtów, po czym chwyciła klingę i patrzyła, jak roztapia się pod dotykiem jej palców. Uniosła wzrok na Shinobu.

– To mnie zna – powiedziała.

– Oczywiście, że cię zna.

Quin przerzuciła morfer przez kilka kolejnych form: szabli, rapiera i miecza długiego. Potem znów złapała za ostrze, pozwalając, oleistym, ciemnym kałużom przelewać się wokół jej dłoni.

– Nigdy nie byłem Poszukiwaczką – mruknęła. – Byłam pionkiem.

Nie odpowiedział. Znów zaczął dygotać. Dziewczyna miała nadzieję, że z zimna.

– Byłam pionkiem w rękach mojego ojca – ciągnęła. Nie była pewna, czy zawdzięczała to powracającej pamięci, ale z jakiegoś powodu była wewnętrznie przekonana, że taka jest prawda. – Zawsze byłam jego pionkiem. A teraz Johna...

Przeistoczyła morfer w długi sztylet i zdecydowanym ruchem wbiła go w trawę. Pokonując swoją niechęć, wzięła do ręki athamen, aby przyjrzeć się symbolom na trzonie rękojeści. Po chwili wsunęła go sobie za szlufkę spodni. Podniosła płaską, kamienną głownię, którą Shinobu ukrywał wcześniej pod nogawką.

– Krzesiwo – powiedział chłopak.

– Krzesiwo – powtórzyła.

Wsunęła je w szlufkę przy drugim boku, przywieszając kamienny oręż

u bioder niczym dwa sześciostrzałowce. Podnosząc morfer z trawnika, ubrudziła dłoń ziemią, ale nie pozwoliła sobie na jej wytarcie. Kryła się w swoim domku na Moście od ponad roku, bojąc się własnego cienia. Dziś ocaliła życie dziecku i zabiła człowieka. Być może dwóch. Brud chyba mógł zaczekać.

Wstała.

– Nie chcę dłużej być pionkiem. – Przypięła sobie morfer do pasa, po czym wysunęła ze szlufek athamen i krzesiwo. Patrzyła na własne palce poruszające pokrętłami athamenu, ustawiające sekwencję znaków. Serce biło jej dziwnie szybko. Była przerażona i uczucie to sprawiało jej przyjemność. Czuła, że żyje po ponad roku spędzonym we śnie. – Pokaż mi – zażądała.

Shinobu podniósł się i podszedł do niej. Spojrzał na szereg symboli na rękojści athamenu i skinął głową.

– A więc – zaczął – ta konfiguracja zabierze cię Tam. Ale potrzebne będą też współrzędne miejsca, do którego wybierasz się potem.

– Co mam powiedzieć? Przypomnij mi.

Chłopak ustawił się za nią i złapawszy za rękę, uniósł athamen i krzesiwo tak, aby móc uderzyć jednym narzędziem o drugie. Kiedy ich ciała złączyły się, jego dygot zaczął słabnąć. Był znacznie wyższy niż dawniej – uświadomiła sobie Quin – i choć przeraźliwie wychudł, wciąż był bardzo silny niczym mur za jej plecami, o który mogła się oprzeć.

– Na początku był pomruk Wszechświata – wyszeptał jej do ucha.

Było tak, jakby tym zdaniem odkręcił kran w jej głowie. Z ust dziewczyny polały się słowa i dokończyli jednym głosem:

– Athamen odnajduje drogę, tnąc przez drżącą tkanę, aby zaprowadzić nas Tam.

– A teraz hymn – wyszeptał. – Recytuj ze mną. *Tu jestem ja, tam gniazdo me. Dobrze wiem, gdzie...*

– ...początek mej drogi – dokończyła dziewczyna – *gdzie znajdę jej kres.*

– Dokąd pójdziesz? – zapytał.

Czuła za sobą dotyk jego ciała, ciepłego i nieruchomego jak skała. Teraz to Quin zaczęła drżeć.

– A jak myślisz?



## Rozdział 40

John

John stanął na progu, chwilowo oniemiały na widok dziadka, którego sylwetka odcinała się czarnym cieniem na tle olbrzymich okien gabinetu. Gavin siedział za swoim antycznym biurkiem, zgięty wpół nad blatem, z głową opartą na przedramieniu. Wygięty w pałąk grzbiet podrygiwał, wstrząsany seriami spazmów. Starzec kaszlał, ale wydawało się też, że płacze. W powietrzu wisiał zapach spalenizny.

– Dziadku?

Gwałtownym podrzutem mężczyzna oderwał czoło od ręki. Na widok jego twarzy John odruchowo cofnął się o krok. W oczach jego dziadka czaił się obłęd. Prawa źrenica była dwukrotnie większa od lewej, oba białka nabiegłe krwią.

– Drzwi! – wykrztusił Gavin pomiędzy kaszlnięciami. – Nie chcę, żeby mnie takim widzieli!

Chłopak zerknął niespokojnie w obie strony korytarza. On także był zdania, że nikt nie powinien zobaczyć jego dziadka w takim stanie.

Staruszek znów się rozkaszał, ale teraz, przy zamkniętych drzwiach, do świadomości Johna dotarł syczący dźwięk, dobiegający z nieokreślonego miejsca w pokoju, w przerwach między atakami dziadka.

– Gdzie jest Maggie? – spytał, podchodząc szybko do barku przy ścianie, aby napełnić wodą szklankę, którą następnie zaniósł Gavinowi. – Co to za dźwięk?

Starzec porwał szklankę lewą ręką i wlał w siebie kilka łapczywych łyków, krztusząc się i zachlapując sobie wodą ubranie.

– Gdzie jest Maggie? – spytał John jeszcze raz.

Syczący odgłos stał się wyraźniejszy. Przypominał syk sprężonego powietrza uchodzącego z nieszczelnego przewodu. Jego źródłem było coś w pobliżu, ale słabe światło przedświt nappełniało gabinet cieniami i przyglądając się otoczeniu biurka, chłopak niczego nie zobaczył.

– Zostawiłeś w Azji trzy trupy, trzech moich ludzi, John, i to będzie mój koniec – zaskrzeczał Gavin, po czym znowu zaniósł się kaszlem.

Woda już znikła ze szklanki, częściowo wypita, w większości rozlana. Chłopak zabrał naczynie i podszedł do barku, aby napełnić je ponownie.

– Dziadku, gdzie jest Maggie? Nie znalazłem jej nigdzie na statku.

– Gdzie jest Maggie?! – zawołał Gavin za jego plecami, głosem, w którym drżała histeria. – Gdzie jest Maggie, pytasz? Odprawiłem ją. Oni chcą się mnie pozbyć! Chcą tego, co moje! I Maggie tak samo!

Nagle mężczyzna wrzasnął z bólu. John obejrzał się i ujrzał jasny, błękitny płomień w prawej dłoni dziadka.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołał, rzucając się do biurka.

W chwili, której potrzebował na pokonanie szerokości pokoju, ujrzał, jak Gavin kieruje płomień w swojej prawej ręce na rękaw lewej.

To był niewielki palnik – mieszczący się w dłoni pojemnik z zakrzywioną rurką na górze – ale zionący intensywnym, niebieskim płomieniem, i głośno syczący. Mężczyzna musiał ukrywać go pod biurkiem. W przeblysku wspomnienia John uświadomił sobie, że to ten sam palnik, który zauważył w szafie dziadka półtora roku temu, wśród rzeczy należących do jego ojca, Archiego. Gavin przeszedł od bawienia się pamiątkami do wykorzystywania ich przeciwko samemu sobie. W powietrzu rozeszła się kolejna fala zapachu spalenizny, silnego i gryzącego.

– Przestań!

John złapał dziadka za prawy nadgarstek, ale w przyływie oszalałej siły mężczyzna wyrwał mu się i odszedł od biurka. Ponownie wycelował palnik we własną rękę i wrzasnął z bólu, kiedy płomień przepalił materiał marynarki.

Chłopak wyciągnął ręce, aby go powstrzymać, ale Gavin zamachnął się palnikiem i John uchylił się odruchowo, czując na twarzy przelotne uderzenie żaru. Dopiero teraz dostrzegł dziury wypalone w rękawie marynarki dziadka. Spod zwęglonych brzegów otworów przeświecało różowe mięso. Od jak dawna to robił?

– Dziadku, co ty wyprawiasz? Robisz sobie krzywdę!

– Nie, nie... Ja... Nie... – Gavin znów się rozkaszał. – Muszę koncentrować umysł. Archie tego używał, kiedy pracował przy autach. Zawsze tak dbał o szczegóły... Jeśli pozostanę skupiony... będę wiedział, co zrobić.

Prawe oko mężczyzny odplynęło w bok, zupełnie nie zważając na lewe. Starzec nie przestawał opędzać się palnikiem od wnuka.

– Mój ojciec nie używał tego do przypalania się – rzekł chłopak. – To nie... Nie jesteś sobą, dziadku! Jak dawno temu odeszła stąd Maggie?

– Odprawiłem ją, kiedy tylko wyjechałeś do Azji, John. Catherine tak powiedziała: oni chcą nas pozabijać. Oni wszyscy!

W swojej narastającej paranoi Gavin pozbył się Maggie, ale czyniąc to, wydał na siebie wyrok. Jego umysł rozstrajał się coraz mocniej. Chłopak uskoczył, ale staruszek cofnął się o krok, wydłużając płomień palnika i kreśląc nim szeroki łuk w powietrzu.

– Dziadku, to źle, że Maggie tu nie ma. Musimy sprowadzić ją z powrotem. – John znów spróbował dosięgnąć Gavina, ale ten trzymał się poza zasięgiem jego rąk. – Nie możesz żyć bez...

– Zabiłeś moich ludzi, John.

– Nie zabiłem ich! Przysięgam! – Przyskoczył do Gavina, natykając się na kolejny gorący podmuch, kiedy starzec wycelował mu palnik w twarz. – Doszło do walki.

– Teraz na pewno mnie załatwią... – zaczął mężczyzna, po czym gwałtowny

atak kaszlu zgiął go wpół.

John wykorzystał sposobność i zamknął go w uścisku ramion. Gavin podniósł ręce, próbując odepchnąć wnuka od siebie. Był od niego znacznie słabszy, ale desperacja dodawała mu sił, chłopak zaś nie chciał zrobić mu krzywdy. Lewa dłoń dziadka wpiła mu się boleśnie w ciało, prawa, unieruchomiona tylko częściowo, wściekle wywijiała w powietrzu syczącym płomieniem. Nagle John poczuł piekący ból na przedramieniu. Mężczyźnie udało się wykręcić palnik w jego stronę. Płomień przepalał mu skórę.

Krzyknął i z całej siły odepchnął Gavina. Starzec upadł na plecy. Palnik potoczył mu się po piersi, zostawiając dymiące ślady, a potem zawirował, grzechocząc, na podłodze. John skoczył za nim, zakręcił dopływ gazu i odrzucił na drugą stronę gabinetu. Kiedy znów się odwrócił, ujrzał mężczyznę rozciągniętego na podłodze, skulonego, słabego i poranionego.

Gavin podniósł na niego przerażony wzrok. Prawe oko powoli przesunęło się, aby spojrzeć w ten sam punkt co lewe. Żrenice wciąż miały różną wielkość, ale teraz przynajmniej obie patrzyły prosto na chłopaka.

– I ty też? Ty też jesteś przeciwko mnie, John?

Chłopak ukląkł przed nim i złapał go za ramiona.

– Nie jestem przeciwko tobie. Nie jesteś sobą! – Zmusił Gavina, aby na niego spojrział, po czym wypowiedział słowa, których wypowiedzenia unikał od lat: – My... my cię otruliśmy, dziadku. Słyszysz mnie? To trucizna ma ci umysł, sprawia, że myślisz w taki sposób.

Mężczyzna nerwowo odskoczył od wnuka, wciąż mierząc go dzikim wzrokiem, ale znaczenie tego, co powiedział, wydawało się z wolna przesączać do jego świadomości. Stopniowo jego twarz uspokoiła się.

– Co takiego? – spytał. – Co powiedziałeś?

Pokój wciąż tonął w półmroku wczesnego poranka, ale spojrzawszy na własną rękę, John dostrzegł na niej jasnoczerwoną pręgę, która szybko pokrywała się pęcherzami. W całym ramieniu, od nadgarstka po bark, czuł narastający tępy ból. Złapał dziadka i podwinął mu rękaw, żeby przyjrzeć się poparzeniom. Były poważne, podobnie jak te na piersi. Nie ulegało wątpliwości, że obaj potrzebują pomocy lekarza.

John usiadł ciężko na podłodze obok Gavina.

– Twój kaszel. To jeden z objawów. Duszności, skurcze tchawicy. Twoje spazmy mięśniowe i tiki. Rozszerzone źrenice. Zaburzenia psychiczne. To wszystko od trucizny.

– Podaliście mi truciznę? – wyszeptał mężczyzna z miną człowieka zdruzgotanego. – Taką prawdziwą, prawdziwą truciznę?

– Moja matka... – zaczął John. Westchnął głęboko, powoli, zgrzytając zębami z powodu bólu, którego ciemne fale pulsowały mu w ramieniu w rytmie

bicia serca. Przycisnął rękę do tułowia. – Zrobiła to Catherine. Wiele lat temu.

Poczuł delikatne drżenie przy biodrze. Zdrową ręką wyjął telefon z kieszeni i spojrzął na obraz, który wyświetlił się na ekranie. Na krótką chwilę zapomniał o bólu, porwany nagłym przypływem nadziei. Skontaktowała się z nim. Nie spodziewał się, że to zrobi, a jednak zrobiła. Miał jeszcze szansę, musiał tylko przez pewien czas utrzymać Gavina przy zdrowych zmysłach i jeszcze raz uzyskać jego pomoc.

– Catherine otruła mnie – powiedział cicho mężczyzna, ze wzrokiem utkwionym w podłozie. W jego głosie zabrzmiał ból. Prawe oko znów samowolnie odjeżdżało w bok. – Ale... dlaczego?

– To było, zanim zdążyła dobrze cię poznać, zanim się zbliżyliście. Ona... chciała mieć sposób na zachowanie nad tobą kontroli, jeśli kiedykolwiek stałbyś się zagrożeniem.

– Dała mi tak wiele. Ja nigdy, przenigdy...

– Popełniła błąd, dziadku. Okropny błąd. Trucizna okrada cię ze zmysłów od lat. Mama nie powinna była tego robić. Ona po prostu... Ona nie wierzyła, że będzie mogła komukolwiek zaufać. To nie było jej najlepsze zagranie.

– Nigdy nie wystąpiłbym przeciwko niej – oświadczył Gavin, przyglądając się oparzeniom na swojej ręce w taki sposób, jakby dopiero w tej chwili zaczynał je czuć. – Zatem czy ja... umieram?

– Nie wiem, dziadku. Trucizna pozostanie w twoim ciele na zawsze.

John starał się mówić jak najłagodniejszym tonem. Krzywiąc się, przesunął rękę, szukając pozycji, w której ból będzie najmniejszy.

– Zaczęto podawać ci odtrutkę na długo, zanim mama zginęła. To Maggie ci ją podawała. Ale od pewnego czasu nie działała już tak dobrze jak kiedyś. Nie wiem dlaczego. A teraz odesłałeś Maggie i nie dostajesz niczego.

Gavin spojrzął na wnuka znad swoich oparzeń. John spodziewał się gniewu, ale zamiast tego w oczach starego człowieka zobaczył ulgę.

– Nie jestem szalony? – spytał jego dziadek. – Nie tracę zmysłów?

– Przed chwilą przypalałeś się palnikiem – powiedział chłopak. – Myślę, że możesz być szalony. Ale nie z własnej winy. Przykro mi.

Dziwnie było przeproszać człowieka, który dopiero co go zranił, ale widok starca w stanie kompletnego załamania budził w Johnie jedynie żal.

Patrzył, jak na twarz Gavina z wolna powraca paranoja. Starzec potoczył błędnym wzrokiem po pokoju i wyszeptał:

– Już po mnie idą! Pozbędą się mnie!

– Nie! – powiedział John stanowczo, łapiąc mężczyznę zdrową ręką. – Nikogo tutaj nie ma, dziadku. Obieżyświat nadal jest twój. – Złapał starca za podbródek, zmusił do odwrócenia głowy i zajrzał mu głęboko w oczy. – A ja byłem już bardzo blisko. Miałem to w rękach. – Zerknął na telefon leżący obok

niego na podłodze, po czym znów spojrzał w szalone oczy dziadka. Szorstki śmiech wyrwał mu się gardła bez udziału woli. Matka powierzyła go opiece Gavina, chcąc zapewnić synowi stabilność i bezpieczeństwo, ale mężczyzna dawał mu coś dokładnie przeciwnego. Obecnie był kolejnym ciężarem spoczywającym na barkach Johna. – Maggie wróci i pomoże ci – powiedział. – A ja wiem, dokąd się potem udam. Tym razem odzyskam to, co moje.

## Rozdział 41

### Quin

Czas się wydłużał. W ciemności Quin słyszała własny oddech, każdy wdech i wydech ciągnący się dłużej i dłużej, by ustać, zdawałoby się, po wielu minutach. Wieczność omywała ją niczym nurt rzeki, która okalała posiadłość.

Słowa przysięgi unosiły się w jej pamięci strzępkami: *tajemnym drogom pomiędzy... złowrogim zstąpi na mnie cieniem.*

Zgubiła wątek hymnu czasu. Znała słowa. Miała je na końcu języka, o tutaj, tuż tuż, były tutaj zawsze...

Powietrze powoli, powoli wypełniało jej płuca.

„Po co w ogóle oddychać? – zastanawiała się. Łatwiej było zaniechać kolejnego wdechu i po prostu trwać, pozwalając ciemności pochłonąć się bez reszty. – Ja tutaj umrę!” – pomyślała nagle i impuls tej świadomości okazał się dość silny, aby znów ją przyśpieszyć. Płuca ruszyły i wciągnęły kolejną porcję powietrza. Potem następną...

*Tu jestem ja* – słowa hymnu powróciły do niej. – *Tam gniazdo me.*

Zmusiła słowa, aby wypłynęły z jej ust i otoczyły ją w bezprzestrzeni.

– *Dobrze wiem, gdzie początek mej drogi, gdzie znajdę jej kres. Pęd rzeczy wpośród tych miejsc bezpieczny da mi powrót.*

Była *teraz*. Choć w tym nie-miejscu nie istniał czas, ona przyniosła ze sobą swój własny.

„Teraz mój umysł oczyści się” – rozkazała sama sobie. I tak się stało. W przyptywie wdzięczności pojęła, że obowiązki uzdrowicielki utrzymały jej mentalne mięśnie w znakomitej kondycji.

W dłoniach czuła rękojęści athamenu i krzesiwa. Athamen jarzył się wążką poświatą, akurat tak jasną, aby w ciemności mogła dostrzec jego kształt.

Quin powtarzała słowa hymnu:

– *Tu jestem ja, tam gniazdo me. Dobrze wiem, gdzie początek mej drogi, gdzie znajdę jej kres...*

Wiedziała, dokąd wiedzie ją ta droga. W słabym blasku kamiennej głowni obróciła pokrętła rękojęści, wyczuwając pod palcami kształty symboli na fasetkach pierścieni. Te współrzędne były pierwszymi, jakie ojciec kazał jej wbić sobie do głowy. Były wypalone w jej pamięci głęboko poniżej poziomu świadomości.

– *Pęd rzeczy wpośród tych miejsc bezpieczny da mi powrót...*

Uniosła athamen i zamachnęła się, aby uderzyć nim o krzesiwo, ale w połowie zamachu kamienny sztylet zatrzymał się na czymś innym. Quin wyciągnęła rękę i jej dłoń natrafiła na tkaninę, wełnianą, grubą i drapiącą, dokładnie taką, jaką nosiła, kiedy była małą dziewczynką. Zatopiła w niej palce i wyczuła pod spodem coś miękkiego, być może ciało.

Przysunęła athamen bliżej, próbując dostrzec coś więcej w jego słabym świetle. Rozmiary i pozycja obiektu, którego dotykała, sugerowała, że jest to postać ludzka, nieruchoma jak posąg. Quin nie mogła dostrzec żadnych szczegółów, ale badając figurę dłońmi, namacała głowę i ramiona kogoś, kto musiał być znacznie większy od niej. Badala dalej, popadając w coraz głębszą konfuzję – kończyn było zbyt wiele i znajdowały się w niewłaściwych miejscach...

Jak długo stała tu, przy tej postaci? Ile minęło oddechów? Dziesięć? Sto? Nie sposób było policzyć, tym bardziej przy płucach pracujących tak powoli.

– *Tu jestem ja...* – Słowa wypłynęły leniwie, niczym bąble powietrza w budyniu. – *Tam gniazdo me...*

Nie mogła zostać tu dłużej, bo musiałaby zostać na zawsze. Odwróciła się od nieruchomej postaci, pocierając athamenem o krzesiwo. Kiedy wszystko utonęło w wibracji, wycięła nową anomalię, największą, na jaką pozwoliły jej ręce.

Wici światła i mroku oddzieliły się od siebie, przeistaczając w granicę, tworząc przed Quin huczące wibracją przejście. Jego energia uciekała ssącym nurtem na zewnątrz, z ciemności w stronę świata. Za przejściem widać było nocne niebo. I drzewa. Cały las drzew.

– *Dobrze wiem, gdzie początek mej drogi, gdzie znajdę jej kres...* – wyrecytowała.

Odwróciła się i odnajdując drogę po omacku, stanęła za osobliwą postacią. Położywszy dłonie na wełnianej tkaninie, ze wszystkich sił pchnęła ludzką bryłę naprzód. Była ciężka i niewygodna w manipulowaniu, ale zastygła tak trwale, że można było ją przesuwac niczym posąg. Quin napierała na nią, atakując wściekle raz za razem, przesuwając po kawałku w stronę dziury pomiędzy nicością a światem. Wreszcie, ostatnim wyteżonym pchnięciem wcisnęła ją w przejście, którego pulsujące krawędzie pomogły wyssać figurę na drugą stronę. Wypadłszy z dziury w rzeczywistości, potoczyła się po leśnym mchu, a dziewczyna wyskoczyła w ślad za nią.

Kiedy jej stopy dotknęły gruntu, wyprostowała się i rozejrzała. Była na polanie ze wszystkich stron otoczonej gęstym lasem. Niebo na wschodzie jaśniało szarością – zbliżał się świt. Jej oddech i puls z wolna przyspieszały, wracając do normalnego tempa.

W blasku księżycy mogła lepiej przyjrzeć się postaci, którą ściągnęła ze sobą Stamtąd. Nie był to jeden człowiek, lecz troje – mężczyźni odziani w okapturzone płaszcze, spleceni kończynami. Jeden trwał wczepiony w rękę drugiego, który z kolei ścisnął ramiona trzeciego. Leżeli w takich samych pozycjach, w jakich wcześniej stali, z dziwnie wykręconymi, celującymi w niebo nogami.

Pierwszy z mężczyzn był leciwym człowiekiem, którego twarz nic jej nie mówiła. Drugiego znała. Choć nie potrafiła przypisać mu żadnych konkretnych wspomnień, jego widok natychmiast wywołał jej z pamięci imię: Duży Sędzia. To

odblokowało kolejną wizję z przeszłości: wspomnienie dwojga Sędziów, z których jeden był znacznie drobniejszy od drugiego. „Dziewczyna – podpowiedział jej umysł. – Pamiętam ją”.

Trzecim mężczyzną był Briac Kincaid.

Quin sprowadziła swojego ojca do posiadłości.



## Rozdział 42

### Shinobu

Shinobu siedział przy basenie, wpatrując się w miejsce, w którym Quin wstąpiła w anomalie i zniknęła z jego rzeczywistości. Niełatwo mu było znosić jej towarzystwo z powodu bolesnych wspomnień, jakie budziła jej obecność, a jednak wciąż czuł na skórze wszystkie te miejsca, w których dotykało go jej ciało, jakby jego zmysły specjalnie wyróżniały te punkty. Czy ona poczuła to samo, kiedy stanął za nią, aby pomóc jej przy athamenie? Czy raczej nadal był dla niej tylko odległym kuzynem, ślicznym jak z obrazka i równie niedotykalnym? Nie. Teraz przynajmniej był zbyt brudny, aby mogła uznać go za atrakcyjnego.

Przestraszył go dotyk dłoni na ramieniu. Jego mama, Mariko MacBain, przykucnęła w trawie niedaleko za nim, owijając się ciasno szlafrokiem w obronie przed nocnym chłodem.

Jeśli spodziewał się, że wybuchnie gniewem, rozczarował się. W jej ruchach była jednak niepewna ostrożność, jakby obawiała się, że Shinobu może ją uderzyć. Zauważył to i poczuł wstyd.

– Przyszedłeś – powiedziała cicho. – Czy to była Quin?

– Widziałas? – spytał szybko, przestraszony, że mogła zobaczyć, jak dziewczyna wstępuje w anomalie.

Jego mama poświęciła dużo, aby pozostawić za sobą lata spędzone w posiadłości. Nie chciał znów wprowadzać tego we jej życie.

– Co widziałam? – spytała.

– Widziałas, jak odchodzi?

– Nie. Słyszałam ją obok domu kilka minut temu. – Przysunęła się trochę bliżej syna, ale nie tak blisko, aby go dotykać. – To ona uratowała twojego brata dziś rano. Nie wiedziała, kim jestem, ale ja poznałabym ją wszędzie. Bardzo wyładniała, prawda?

Shinobu wyjął spod kurtki torbę z ziołami. Gruba folia ochroniła zawartość przed wilgocią.

– Tu jest lekarstwo, o które prosiłaś – powiedział. – Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu tego, co stało się Akio, mamó.

Niemal czuł na sobie jej ciężkie spojrzenie.

– „Przykro mi” nie naprawi wyrządzonej krzywdy, Shinobu. Dziś rano naprawdę niewiele brakowało, aby twój brat... – W jej głosie wciąż nie było gniewu, tylko wyczerpanie. To było jeszcze gorsze.

– Pójdę przejrzeć swój pokój. Upewnię się, że nic więcej...

– Już się tym zajęłam, oczywiście.

– Chciałem podrzucić ci zioła tak, żebyś nie musiała mnie oglądać. Przebac mi, proszę, że przedłużyłem swoją obecność tutaj. Powinienem był odejść.

Przy Mariko zawsze stawał się bardziej japoński. Kiedy był dzieckiem, raczono go wykładami omawiającymi takie kwestie, jak maniery i godność. Te nauki wiele dla niego znaczyły – przynajmniej wówczas, kiedy wierzył, że będzie wiódł życie cnotliwe i honorowe.

– Być może powinieneś już pójść. Zanim znów ogarnie mnie gniew. Dziś rano mogłabym cię zabić, gdybyś był gdzieś w pobliżu.

– Przykro mi, mammo.

Podniósł się.

– Powiedz mi, jak Quin dostała się do Hongkongu? – spytała go, zanim zdążył się oddalić.

– Tą samą drogą co ja – odpowiedział, wtłaczając pięści w kieszenie kurtki, aby powstrzymać ich dygot.

Odwrócił się w stronę furtki prowadzącej do ogrodu.

– W tym samym czasie?

Mariko też wstała i ruszyła w jego stronę. Mierząc niewiele ponad metr pięćdziesiąt dwa wzrostu, była malutka w porównaniu ze swoim synem. Jej bardzo japońska twarz uniosła się, aby posłać mu przesywające spojrzenie.

– Tak – odparł. – Przybyliśmy tutaj w tym samym czasie.

– Nigdy mi nie mówiłeś. Sądziłam, że uciekłeś sam.

– To nie ma znaczenia. Nigdy nie byliśmy razem. Nie tak naprawdę.

– Pomagasz jej?

– Nie... Tak – poprawił się, patrząc na swoje buty, wciąż mokre i brudne. – Pomogłem w jednej rzeczy. Nic więcej.

– Już kiedy byliście mali, widziałam, że coś się między wami dzieje. Twój ojciec zawsze ją lubił, biedaczkę.

– Pójdę już – mruknął chłopak, odwracając się.

– Myślisz o ojcu! – zawołała za nim Mariko. – To nic złego, ja też o nim myślę. Nieustannie. Właśnie tego pragnął. Żebyś był tutaj ze mną i Akio.

– Wiem, mammo. Wiem, że tego pragnął.

– Proszę cię, Shinobu. Wiesz, że możesz... zmienić się. I wrócić do nas. – Siliła się na stanowczy ton, ale w jej głosie słyhać było błaganie.

Kiedy odnalazł matkę, próbował opowiedzieć jej o Alistairze, o ostatniej nocy w posiadłości, ale nie był w stanie wydusić z siebie tych słów. Mariko wyczuła, że usiłuje zdobyć się na wyznanie, i zapewniła go, że nie musi nic mówić. Powiedziała, że jego przeszłość została mu wybaczona i że nie muszą już nigdy więcej o tym rozmawiać.

Na początku był w euforii. Cieszył się owym odpuszczeniem grzechów, nie rozumiejąc, że wybaczenie samemu sobie to zupełnie inna kwestia. Tylko narkotyki oferowały mu tę łaskę. Narkotyki sprawiły, że nie był w stanie żyć wśród swoich bliskich i omal nie zabiły jego młodszego brata, ale palarnie na Moście były

jedynymi miejscami, gdzie mógł znaleźć chwilowe ukojenie. Jakże mógłby z tego zrezygnować?

– Nie myślę o ojcu – skłamał i ruszył w stronę furtki, nie oglądając się za siebie. – Myślę o duchu.

Brian Kwon nie był duchem, ale już niewiele mu do tego brakowało. Po dwóch godzinach poszukiwań Shinobu odnalazł go skulonego na zaśmieconym chodniku za kontenerem na odpady, dwie przecznice od Szpitala Królowej Elżbiety, z którego najwyraźniej uciekł, wlokąc za sobą przewód kroplówki i wstęgi na wpół rozwiniętych bandaży.

– Musiałem zwiewać – tłumaczył się chłopak. – Zaczęli zadawać pytania.

Jedno oko skrywał mu opatrunek, ramię przecinała rana, oczyszczona, ale zaszyta zaledwie do połowy. Krew ściekała mu z niej na koszulkę. Twarz i szyję miał całą w sińcach.

– Wyglądasz masakrycznie – stwierdził Shinobu.

– Szkoda, że nie widziałeś tego drugiego. – Brian uśmiechnął się z wysiłkiem.

Chłopak sprowokował ludzi Johna do szalonego pościgu pod Mostem, odciągając ich od Shinobu, aby ten mógł bezpiecznie ewakuować Quin. Podwinawszy przyjacielowi koszulkę, Shinobu obejrzał jego tors, także pokryty paskudnymi sińcami.

– Nie jest tak źle – wychrypiał Brian. – Najgorsze było to.

Wskazał na długą, ciemną pręgę, która zaczynała się na czole, skąd schodziła w dół przez twarz, aby skończyć się na piersi. – Nadziałem się na przewód parowy, kiedy próbowałem wciągnąć ich we wschodni techniczny. Wszystko na nic, bo zaraz zorientowali się, że nie mam ze sobą twojej dziewczyny. Dali mi parę zastrzyków na ból, znaczy w szpitalu dali, nie ci ludzie na Moście.

– Dobry z ciebie worek treningowy, Sandi – powiedział Shinobu, wyciągając rękę do wielkiego przyjaciela, aby pomóc mu wstać. – Ale ona nie jest moją dziewczyną.

– Jak tam sobie chcesz, Barakuda. Bez przerwy tłukę się na noże za laski, które są tylko dobrymi znajomymi.

– To moja kuzynka. W trzecim stopniu pokrewieństwa. Właściwie to pół-kuzynka w trzecim stopniu.

Brian jęknął przeciągle, dźwigając się na nogi.

– Co to znaczy „w trzecim stopniu”?

– To znaczy, że... że jest osobą ledwie ze mną spokrewnioną, która wciąż myśli o mnie jak o krewnym.

– Och, współczuję, Barakuda.

Shinobu próbował podtrzymywać chłopaka, który krzywił się, udając, że robi to w reakcji na słabe rokowania dla związku przyjaciela z Quin, a nie

z powodu fizycznego bólu. Brian zrobił jeden chwiejny krok, po czym runął na towarzysza niczym ściana z pustaków. Shinobu stęknął pod ciężarem, ale zdołał przesunąć się pod nim tak, aby chłopak mógł iść uwieszony na jego plecach.

W jaki sposób zdołał wtaszczyć Briana do autobusu, a potem na Most? Nie był do końca pewien.

Wybiła północ, kiedy dotarli do kouluńskiego końca Mostu Tranzytowego. Żaglokształtny baldachim tonął w mgle toczącej się przez zatokę.

– Do kogo mam skierować waszą prośbę o zaproszenie? – spytał strażnik na granicy.

Mężczyzna zadał pytanie z obojętną miną, jakby o tej porze na przejściu nie było bardziej normalnego widoku niż sponiewierany członek gangu dźwigający na plecach równie sponiewieranego większego kolegę, który na dodatek najwyraźniej był ranny.

– Do Mistrza Tana – powiedział Shinobu.

Mężczyzna pochylił się, aby zrobić chłopakowi zdjęcie, które zgodnie z procedurą należało przesłać Mistrzowi Tanowi do zatwierdzenia. Shinobu uśmiechnął się zwycięsko do obiektywu, prostując się z pojękującym Brianem na plecach.

– Myślę, że będzie mnie pamiętał.

## Rozdział 43

### Maud

We wcześniejszym stuleciu szkocka posiadłość była bardziej dzika, a mimo to liczniej zaludniona. Życie koncentrowało się w murach górującego nad okolicą zamku, wzniesionego na cyplu nad rzeką. Jednakże tamtego dnia kamienną fortecę wypełniały cisza i bezruch. Podczas obecności Sędziów mieszkańcy starali się być niewidzialni, nie opuszczając domostw bez potrzeby i wychodząc z zamku wyłącznie tylną bramą, kiedy wzywały ich obowiązki.

Chłodny letni dzień miał się już ku końcowi, ale Młoda Sędzia wciąż kręciła piruety na piasku zamkowego dziedzińca. Z lewą stopą spoczywającą na ziemi obracała się zwinnie to w jedną, to w drugą stronę, podczas gdy jej ramiona i prawa noga kreśliły łuki w powietrzu, chwytając i odbijając przedmioty rzucane jej przez Średniego.

– Łap! Blok! Blok! Łap! – wołał, zarzucając ją gradem dużych kamieni i wirujących ostrych noży.

Młoda złapała nóż i odrzuciła go z powrotem, odbiła nogą dwa kamienie, a trzeci chwyciła w lewą dłoń.

– Szybciej! – ponaglił Średni.

Lewa noga bolała ją od stopy po biodro, ale to nie miało znaczenia. Podczas treningu Sędziów zawsze jakaś część ciała cierpiała. Młoda Sędzia posłała świadomość ku mięśniom, rozkazując im, aby poruszały się szybciej. Obserwator z zewnątrz – gdyby ktokolwiek ośmielił się patrzeć – zamiast jej kończyn widziałby tylko rozsmarowane w pędzie smugi.

Średni rzucił serię noży, każdy wycelowany ze śmiertelnością precyzją w inną wrażliwą część jej ciała.

– Łap! Łap! Łap! – krzyczał.

Musiała odrzucić każdy złapany nóż, celując w mężczyznę równie dokładnie, jak on mierzył w nią. Średni Sędzia dotrzymywał jej tempa z taką łatwością, że zostawało mu jeszcze dość wolnego czasu na znajdowanie innych nieprzyjemnych przedmiotów do rzucania pomiędzy nożami. Następny poleciał krótki odcinek łańcucha oraz podkowa.

– Blok! – zawołał Średni. – Szybciej!

Zbliżał się mistrz Maud. Podczas gdy większa część jej umysłu koncentrowała się na nadlatujących pociskach, niewielką cząstką świadomości obserwowała, jak Stary Sędzia kroczy przez dziedziniec. Zauważyła, że jego ruchy były wolniejsze niż poprzedniego dnia. Od ponad tygodnia obserwowała to przejście do coraz bardziej sennych poruszeń. Mistrz podpłynął do trenujących, zatrzymał się i bardzo powoli uniósł dłoń, kończąc jej sesję ćwiczeń.

Grad noży i kamieni ustał, a te, które pozostały w rękach Średniego, wróciły

za jego pas lub spadły na ziemię. Młoda Sędzia zgrabnie odwinęła się z ostatniego piruetu i miękkiem krokiem ruszyła w stronę swojego mistrza. Właśnie wtedy ostatni kamień śmignął z dłoni Średniego w stronę jej głowy, szybki i podstępny, obliczony na zaskoczenie jej, kiedy nie będzie patrzeć. W ostatniej chwili uniosła rękę, strącając pocisk na piasek.

– Chodźmy – powiedział Stary Sędzia głosem tak powolnym i cichym, że z trudem go rozumiała. Powieki miał na wpół zamknięte.

Pozostawiony samemu sobie Średni Sędzia dobył morfera i oddalił się, obchodząc dookoła wyludniony dziedziniec. Młoda i Stary przeszli powoli przez główną bramę zamku i ruszyli w stronę lasu.

– Nie spodoba ci się to, co powiem – zagaił starzec. – Już pora, abym spoczął.

– Byliśmy w rozciągnięciu tak wiele razy, Mistrzu – odparła. – Czy nie zaznałeś w tych przerwach odpoczynku?

– Zaznałem, ale nie dosyć. Przerwa, o której mówię, będzie dłuższa. Dotychczas zabierałem cię na krótkie skoki: dziesięć lat, dwadzieścia, czterdzieści. Teraz muszę pozostać w ciemności o wiele dłużej.

– Może spoczniesz, mistrzu?

Duży głaz nieopodal zapraszał, aby na nim przysiąść. Poruszali się w tak ślimaczym tempie, że dalszy marsz wydawał się pozbawiony sensu.

Mistrz pokręcił głową. Na ruch, który zwykłemu człowiekowi zajęłoby kilka sekund, on potrzebował pół minuty.

– Spożytkowuję ostatek sił, aby utrzymać się na nogach i poruszać. Jeśli usiądę, będzie po mnie. Nie, nie odpocznę, dopóki nie znajdę się Tam.

Młoda Sędzia obejrzała się przez ramię na otwartą bramę, za którą Średni ćwiczył ze swoim morferem, kręcąc nim młyńce tak szybkie, że sprawiał wrażenie otoczonego złowrogą czarną chmurą. Jeśli jej mistrz naprawdę zamierzał odejść, oznaczało to, że ona pozostanie ze Średnim, skazana na jego towarzystwo na wiele, wiele lat.

– Jak długo? – spytała.

– Trudno powiedzieć. Sto, może dwieście...

– Dwieście lat!

– Być może więcej, dziecko.

To był wstrząsająco długi czas.

Kiedy Młoda Sędzia pokazała już, że jest dobrą uczennicą i ostatecznie pożegnała się z rodziną, spędzili rok w ciemności *tamtego miejsca*, by wyłonić się w świecie starszym o rok, podczas gdy ona nie postarzała się ani trochę. Następny rok poświęciła treningom. Potem wrócili do mrocznej przestrzeni na kolejne dwa lata. I tak toczyło się jej życie, w którym szkolenie przeplatało się z tym, co Sędziowie nazywali rozciąganiem albo spoczynkiem i co w istocie oznaczało

pozostawienie za sobą kolejnego czasu i miejsca, do którego zdążyła przywyknąć. Najdłuższy z jej skoków liczył pięćdziesiąt lat, a zatem minęło w sumie sto lat, odkąd jej mistrz zabrał ją z rodzinnego domu, ona jednak wciąż miała lat dwanaście. Obecnie był mniej więcej 1570 rok.

– To nie jest tak długo, jak ci się wydaje. Kiedy posuniesz się odrobinę dalej w swoim szkoleniu, sama będziesz mogła skakać o stulecia.

– Co będzie z moim szkoleniem pod twoją nieobecność, mistrzu?

Stary Sędzia zatrzymał się i położywszy dłonie na ramionach swojej uczennicy, spojrzał jej w oczy.

– Średni ma wiele cennych talentów. Jest mnóstwo rzeczy, których możesz się od niego nauczyć.

Młoda Sędzia nic na to nie odpowiedziała. Miała nadzieję, że jej milczenie opowie wszystko o gwałtowności Średniego, jego okrucieństwie, może nawet o czynach, których jej mistrz nie widział, takich jak zabójstwo chłopca w gospodzie – poprzedniego Młodego Sędziego zaszlachtowanego za zgłoszenie obiekcji co do sposobu postępowania Średniego.

Oczu mistrza prawie nie było widać spod w półprzymkniętych powiek, a jednak nie opuszczało jej wrażenie, że starzec bacznie ją obserwuje.

– Jesteś silna – powiedział, jakby słyszał jej myśli. – Potrafisz się obronić.

– Doprawdy? – Miała wątpliwości.

Poprzedni Młody, chłopiec z gospody, był od niej starszy, a jednak nie zdołał się obronić. Przypomniała sobie jego oczy. Czy oprócz gniewu nie było w nich czegoś jeszcze? Żądzy wolności? Czy był gotów umrzeć, jeżeli oznaczało to uwolnienie od Średniego?

Cisza, która między nimi zapadła, trwała bardzo długo. Młoda patrzyła na pierś mistrza, wzbierającą i opadającą niczym fale przyływu na szerokiej plaży. Wreszcie mężczyzna odezwał się:

– Właśnie po to trenowałaś, dziecko. Nazywamy cię Młoda, bo jesteś najmłodsza wśród nas, ale jesteś Sędzią, tak samo jak ja, tak samo jak Średni. Decydujesz, co jest sprawiedliwe, tak jak musi to robić każdy z nas. Średni wie, że musisz żyć, kiedy się przebudzę. Inaczej się rozgniewam.

Jeszcze nigdy nie widziała swojego mistrza ogarniętego gniewem, więc nie była w stanie ocenić, na ile taka perspektywa może wystraszyć Średniego. Jej mistrz był stary. Choć tu i tam dostrzegała świadectwa jego umiejętności, przez wszystkie te lata, które z nim spędziła, przeważnie był po prostu zmęczony. Owszem, wciąż miał posłuch u Średniego, ale Młoda Sędzia nie miała pewności, czy ten szacunek okaże się trwały.

– Domyślałam się, jakie myśli wędrują teraz przez twoją głowę, dziecko – powiedział do niej. – Po powrocie ze spoczynku jestem zupełnie innym człowiekiem. Powinienem był zrobić to lata temu. Zatrzymało mnie... twoje

przybycie.

„Spowodowane przedwczesną śmiercią poprzedniego Młodego Sędziego” – pomyślała.

– Już zanadto przekroczyłem swój czas.

– Jak się obudzisz? Jak odliczysz te dwieście lat, mistrzu?

Na wargach starca zadrgał cień uśmiechu.

– To sekret, który poznasz w stosownym czasie. Kiedy wrócę, nauczę cię wielu rzeczy, nauczę cię wszystkiego. Wtedy zrozumiesz. – Stary Sędzia wyciągnął rękę, aby wesprzeć się na jej ramieniu, po czym usiadł ciężko na ziemi. – Wezwij do mnie Średniego, dziecko. Szybko! Nie trać czasu. Muszę spocząć teraz.

Oczy miał już niemal całkowicie zamknięte. Ramiona osuwały mu się w dół, jakby kuliły się w sobie. Młoda Sędzia odwróciła się w stronę zamku i pobiegła.



## Rozdział 44

### Quin

Quin przyglądała się ojcu w ostatku księżycowej poświaty.

– Ty żyjesz. – Słowa wypadły z niej jak kamienie rzucone na powierzchnię jeziora, roznosząc kręgi docierające do najdalszych zakątków umysłu.

Natychmiast wróciło do niej wspomnienie chwili, kiedy widziała go po raz ostatni. Leżał wówczas na trawie, z pewnością gdzieś niedaleko miejsca, w którym byli teraz, z twarzą wykrzywioną grymasem nienawiści.

Teraz, w wilgotny poranek, jego skóra była chłodna, a dłonie wczepione kurczowo w materiał płaszcza Dużego Sędziego. Żaden z trzech mężczyzn nie wydał z siebie tchu. Nie dawali żadnych oznak życia, a jednak skóra każdego z nich była różowa i zdrowa w dotyku. Ich ciała nie skuł mróz, trwali zamrożeni w czasie.

Quin zastanawiała się, w jaki sposób natknęła się na nich Tam. Jakie były rozmiary tej bezprzestrzeni?

W głowie dziewczyny toczyła się dziwna wojna. Jeszcze nie tak dawno temu przekonywała Shinobu, że jest uzdrowicielką i nie ma zamiaru nikogo krzywdzić. Teraz doświadczała jednak zupełnie innej żądzy.

Oderwała Briaca od reszty, podważając mu palce i wyszarpując spomiędzy nich płaszcz Sędziego. Stękając z wysiłku, pociągnęła ciało w tył, rzucając je na ziemię. Odsunęła go dalej, ciągnąc za ręce i nogi, które sterczały w swoich nienaturalnych pozycjach.

Szarpięciem odwróciła go twarzą ku niebu, po czym dobyła morfera. Pozwoliwszy działać odruchom – jej mięśnie pamiętały, co należy robić, lepiej niż umysł – strzeliła z bicia, usztywniając go w postaci długiego sztyletu. Uniosła klingę nad piersią Briaca.

– Przynależę, że cię zabiję, jeśli nie zrobi tego John – wyszeptała.

Wspomnienie raptownie wypłynęło z głębin jej pamięci, pociągając ku światłu kolejne.

Oczy mężczyzny patrzyły w bok, lekko rozchylone usta sprawiały wrażenie zamrożonych w pół słowa. Quin uniosła sztylet wyżej, zamierzając dokonać dzieła jednym, starannie wymierzonym pchnięciem, ale... mijały sekundy, a jej ramię wciąż trwało w bezruchu.

– Och, Boże... – westchnęła z irytacją, niezdolna do wykonania swojego zamiaru.

To było niemożliwe, kiedy tak leżał, kompletnie bezradny. Potarła twarz dłońmi. Pozostawienie go przy życiu oznaczało...

„Co by to właściwie oznaczało? – spytała samą siebie. – Dalszy ciąg – brzmiała odpowiedź. – Dalszy ciąg tych okropności, które robiliśmy wcześniej. –

Nie była pewna, co takiego robiła z Briakiem wcześniej, ale sam zarys tych wspomnień zalegał w zakurzonej zakątku jej pamięci wielkim, ciemnym masywem, niczym drzemiący olbrzym, którego wołała nie budzić. – Jeśli przeżyje, boję się, że będę mu posłuszna, tak jak zawsze byłam”. – Mimo to nie potrafiła tak po prostu go zabić.

Świt rozjaśniał już niebo. Quin próbowała obliczyć, jak długo pozostawała Tam. Subiektywne odczucia były tu na nic. Jej umysł podpowiadał jej, że minęło zaledwie kilka minut albo spędziła w czarnej nicości całe dni. Opuściła Hongkong około północy. Hongkong wyprzedzał Szkocję o siedem godzin, zatem tamtejsza jedenasta w nocy równała się czwartej po południu w posiadłości. A jednak był wczesny ranek, co mogło oznaczać jedynie to, że krótkie przejście przez Tam zajęło jej co najmniej piętnaście godzin, choć równie dobrze mogła stracić półtora dnia albo jeszcze więcej.

W coraz jaśniejszym świetle rodzącego się dnia zauważyła ciemną plamę na lewej nogawce Briaca. Przytknęła dłoń do jego uda, po czym odjęła ją moką i zaczerwienioną. Krew. Koszulę miał podobnie poplamioną, na prawym ramieniu. Został postrzelony – przypomniała sobie – półtora roku temu. Tak wiele wspomnień wciąż kryło się w mrokach niepamięci, ale ta wizja nagle stanęła przed nią w pełnej wyrazistości. John postrzelił go dwukrotnie. „Blizna za bliznę!” – powiedział wtedy.

„Co też mógł mieć na myśli?” – zastanawiała się Quin.

Przez wszystkie te miesiące, w czasie których mężczyzna trwał zagubiony Tam, jego krew nie zdążyła nawet zakrzepnąć. Po prostu przestała płynąć, tak jak Briac i pozostali przestali oddychać, a ich serca przestały bić.

Przyjrzała się dokładniej pozostałym. Najstarszy mężczyzna, którego twarz kryła się pod grubym sukiennym kapturem i gęstą, siwą brodą, wyglądał na całego i zdrowego. Trzeci – ten, którego zwano Dużym Sędzią – miał rozcięcie na piersi, niechlujnie zabandażowane strzępem materiału oddartym z jego własnego płaszcza. Ta rana także wciąż była wilgotna.

Quin zastanawiała się, czy zranienia mogły być przyczyną, dla której jej ojciec i Duży Sędzia utknęli Tam. Wydawało się prawdopodobne, że osłabieni nie byli w stanie dokończyć recytacji i otworzyć sobie dalszej drogi.

Wstała, po raz pierwszy uświadamiając sobie, gdzie dokładnie się znalazła. Anomalia wypuściła ją na leśnej polanie. Po swojej lewej stronie miała stojący głaz, a w oddali przed sobą, na końcu wydeptanej w leśnym runie dróżki, widziała błonie.

„To tutaj wszystko się zaczęło. Dokładnie tutaj” – pomyślała.

Obrzuciwszy ojca ostatnim spojrzeniem, ruszyła wzdłuż ścieżki.

Kiedy wyszła na szeroką łąkę, ujrzała zarośnięte sterty gruzu w miejscach, gdzie dawniej stały domy, ale jak dotąd nie wypatrzyła żadnych oznak obecności

ludzi.

Łańcuchy wspomnień wypływały coraz szybciej i coraz więcej obrazów z tamtego wieczoru pojawiało się w jej umyśle: moment, kiedy ukrywała się przy swoim płonącym domu, kiedy rzuciła nożem w człowieka, który trzymał jej mamę. Jej prawa ręka drgnęła na to wspomnienie i Quin obejrzała swoje dłonie, wyczuwając w nich wiele ukrytych umiejętności.

Minęła budynek z mroczną wyrwą ziejącą w miejscu, gdzie dawniej były drzwi, ale poza tym wyglądający na nieuszkodzony. W jej głowie wypłynęła nazwa: „warsztat”. A na wprost siebie miała stodołę treningową, której, dla odmiany, nie dopisało szczęście. Z dachu pozostał zaledwie wystrzępiony fragment okapu nad węglem. Kamienne ściany pokrywały czarne smugi sadzy, wewnątrz było zavalone gruzem.

Przelazszy przez szczątki spalonych wrót stodoły, znalazła się w chłodnym półmroku jej wnętrza. Pod ścianami majaczyły kształty stojaków na broń, częściowo zwęglonych i rozpadających się na kawałki. Magazynek sprzętu na końcu budynku był pełen gruzu. Quin znalazła tam tylko jedną rzecz godną uwagi: niewielką metalową skrzynię, niemal całkowicie pogrzebaną pod kamieniami i skruszoną zaprawą w kącie pomieszczenia.

Pojawiło się kolejne wspomnienie – ojciec Shinobu na leśnej polanie, otwierający kufer pełen pistoletów. Quin uniosła wieko skrzyni, ale zamiast broni znalazła tylko kłębowisko splątanych kabur i pochew. Niemal bez zastanowienia sięgnęła po pas z gumowatego, czarnego materiału, zapięła go sobie w tali i wsunęła morfer do kabury na jednym z jego zaczepów. Automatyczną sekwencją ruchów przeciwoczyła dobywanie broni i odwieszanie jej z powrotem.

Na dnie skrzyni odkryła wąskie futerały przeznaczone do noszenia pod ubraniem, tuż przy ciele. Przytroczyła je sobie po wewnętrznej stronie paska spodni. Dżinsy, które miała na sobie, były dość obszerne, aby mogła bez trudu ukryć athamen i krzesiwo w pochwach pod nogawkami. Nie wiedziała, co ma nadzieję znaleźć w posiadłości, ale uznała, że lepiej będzie nie nosić tych kamiennych narzędzi na widoku.

Główna arena w stodole była zasłana szczątkami, ale przecinała ją wyraźna ścieżka, jak gdyby ktoś chadzał tędy od czasu pożaru. Dobyła morfera z jego nowej kabury, zamknęła oczy i pozwoliła działać ciału.

Dopóki nie próbowała myśleć, jej mięśnie wiedziały, co mają robić. Jej dłoń wstrzeliła morfer w kształt miecza i Quin pobiegła przez środek areny, wywijając bronią w sekwencjach ruchów, które przychodziły jej równie naturalnie co chodzenie.

Zakończywszy ćwiczenie, stanęła w otwartych wrotach, zataczając kręgi ramionami, aby rozluźnić mięśnie, w których już zaczynała odczuwać zakwasy – była w fatalnej kondycji, a w dodatku bolała ją stara rana na ramieniu.

Niebo było coraz jaśniejsze i kątem oka dziewczyna dostrzegła ruch w oddali. Ktoś szedł przez błonie. Kiedy postać znalazła się bliżej – ale wciąż nie dość blisko, aby można było rozpoznać rysy jej twarzy – Quin zwróciła uwagę na sposób, w jaki się poruszała: powoli, niemal dostojnie, z taneczną płynnością ruchów. W następnej chwili dostrzegła bardzo długie jasnobrązowe włosy i w jej umyśle natychmiast pojawiło się miano: „Młoda Sędzia”.

Dziewczyna zmierzała w stronę warsztatu i Quin także ruszyła w tamtym kierunku, aby przeciąć jej drogę. Kiedy Sędzia przeszła przez łąkę i wkroczyła między drzewa na jej krawędzi, Quin nagle naszła dziwna chęć, aby dobyć noża i rzucić w nią. Jej umysł przywołał bardzo wyrazisty obraz Młodej Sędzi – wspomnienie jej smukłych, węzlastych mięśni wystrzelających rękę w górę, aby pochwycić nadlatujący nóż i cisnąć nim z powrotem w stronę Quin.

Niewątpliwie spostrzegła dziewczynę z daleka, a jednak nic w jej zachowaniu nie wskazywało na to, dopóki Quin nie zastąpiła jej drogi przed warsztatem. Kierunek i tempo marszu Sędzi nie zmieniały się, oczy wciąż wpatrywały się w ten sam punkt w oddali.

– Cześć – zagaiła Quin, kiedy Młoda zatrzymała się przed nią.

Dziewczyna niosła na ramionach niedużego jelonka, wciąż broczącego krwią z rany po strzale na szyi. Nie odpowiedziała, ale powoli, z namysłem skinęła głową, po czym pełnym gracji krokiem okrążyła Quin i weszła do warsztatu. Złożyła jelonka na podłodze i podeszła do regału w głębi pomieszczenia, gdzie roztopiła się wśród cieni, znikając dziewczynie z oczu.

Quin odczekała kilka chwil na progu, ale nie usłyszała zaproszenia.

– Czy mogę wejść? – spytała wreszcie.

Młoda Sędzia odwróciła się w jej stronę, niechęć strącając coś z półki. Jej dłoń natychmiast wystrzeliła w dół, łapiąc przedmiot, zanim uderzył o podłogę. Quin oniemiała na widok tego drobnego aktu niezręczności – ruchy dziewczyny zawsze były tak precyzyjnie wymierzone, że każdy błąd wydawał się osobliwym, nienaturalnym zgrzytem. Młoda Sędzia odłożyła strącony przedmiot na półkę i odwróciła twarz w stronę gościa.

– Możesz wejść – rzekła.

Barwa jej głosu pasowała do nastoletniej dziewczyny, czego nie dało się jednak powiedzieć o sposobie mówienia. Słowa formowały się powoli w jej ustach i płynęły wyraziste, niepowstrzymane, niczym strużka krystalicznej wody, cierpliwie złościąca granitową skałę.

Quin weszła do warsztatu niemal onieśmielona. Sędzia była drobną dziewczynką, a jednak wkraczając w jej prywatną przestrzeń, miało się wrażenie wstępowania do jamy żbika. Niepewnie rozejrzała się wokół, zauważając palenisko do gotowania urządzone w pobliżu wyrwy po drzwiach, z szerokim kręgiem z kamieni i grubą warstwą popiołu z poprzednich ognisk. Opodal paleniska ciemna

plama znaczyła miejsce, gdzie Sędzia oprawiała zwierzęta, którymi się żywiła. Ponad pniakiem do rąbania suszyło się kilka skór i Quin zauważyła, że Sędzia nosi kamizelkę wykonaną ręcznie ze skóry jelenia. W jednym z kątów ujrzała siennik a na nim stertę złożonych koców. Warsztatowe półki były zavalone różnymi przedmiotami wygrzebanymi z ruin posiadłości. Był też stojak z kolekcją noży i mieczy, który wyglądał na przyniesiony ze zbrojowni w stodole.

Młoda Sędzia zebrała swoje długie, potargane włosy w kok i zabrała się do oprawiania jelenka.

– Byłaś tu przez cały ten czas? – spytała Quin.

Dziewczyna nie raczyła odpowiedzieć. Nawet nie przerwała swojego zajęcia, zdejmując skórę ze zwierzęcia delikatnymi, wprawnymi ruchami w sposób, w jaki – jak wyobraziła sobie Quin – mogłaby to robić księżniczka wikingów. Zresztą odpowiedź na pytanie była oczywista. Sędzia nie była typem turystki, która wybierałaby się na wycieczki krajoznawcze, albo urządziła sobie wypady do kina do Glasgow.

Quin przysunęła się bliżej do dziewczyny, podsuwając jej nadgarstek z blizną w kształcie athamenu wyraźnie odcinającą się na tle białej skóry.

– Zobacz, jestem zaprzysiężoną Poszukiwaczką.

Nie przerywając pracy, Młoda Sędzia omiotła jej rękę wzrokiem, by zaraz znów skupić się na zwierzęciu. Kiedy przemówiła, w jej głosie pobrzmiwał ton zdumienia.

– Nie musisz pokazywać mi swojego znaku. To ja ci go dałam.

– Och... no tak – bąknęła zmieszana Quin. Przypomniała sobie o tym dopiero w tej chwili i poczuła się jak idiotka. – To ty wypaliłaś mi to piętno. W lesie. Ty odebrałaś moją przysięgę.

– To prawda – przytaknęła Młoda Sędzia.

– A teraz o cokolwiek cię zapytam, musisz mi odpowiedzieć, czyż nie?

Jak przez mgłę pamiętała, że ktoś jej to powiedział... John! To był John. W szopie nad urwiskiem.

– Nie – odparła dziewczyna. – To reguła Poszukiwaczy. Inny Poszukiwacz musi odpowiedzieć ci na twoje pytania. Na przykład twój ojciec. My, Sędziowie, mamy własną wiedzę.

– Och... – Quin nie była pewna, czy kiedyś to wiedziała czy nie. Odnosiła wrażenie, że jednak nie. Poszukiwacze i Sędziowie z dwiema różnymi dziedzinami wiedzy. Co to mogło oznaczać?

Sędzia milczała przez pewien czas, patrosząc jelenka. Wreszcie się odezwała:

– Możesz zadać mi pytanie. Nie jest wykluczone, że odpowiem.

Quin zastanowiła się, o co powinna spytać. Co chciała wiedzieć? Odpowiedź brzmiała: „wszystko”. Jeżeli nie chciała dłużej być pionkiem, musiała dowiedzieć

się wszystkiego, czego mogła się dowiedzieć. Ale jednej rzeczy w szczególności.

– Czy athamen z wyrytym lisem jest jedynym, jaki pozostał?

Głowa Młodej obróciła się, aby przeszyć dziewczynę nieodgadnionym spojrzeniem. To było nieprzyjemne, jak być obserwowaną przez tygrysicę, ale Quin oparła się pokusie cofnięcia na bezpieczną odległość.

– Czy masz ów athamen w swoim posiadaniu? – spytała Sędzia.

Quin nie odpowiedziała.

– Kto jest twoim mistrzem, młoda Poszukiwaczko?

– Ja... ja nie mam mistrza. – W jej słowach było więcej pewności siebie niż w sercu, ale dziewczyna chciała wierzyć w to, co mówi. – Teraz jestem swoim własnym mistrzem.

Być może tylko sobie to wyobraziła, ale jej odpowiedź zdawała się wzbudzać w Młodej rodzaj zadowolenia.

– Nie – rzekła Sędzia. – Athamen z lisem nie jest jedynym istniejącym.

Jelonek został wypatroszony i dziewczyna zaczęła dzielić mięso na kawałki nadające się do pieczenia.

– Ile ich jest? – naciskała Quin.

– Na to pytanie nie znam odpowiedzi. – Po tych słowach Sędzia podeszła do sterty porąbanego opału i w milczeniu zaczęła układać ognisko. – W ostatnich latach widziałam trzy – podjęła, kiedy stos polan zapłonął ogniem. – Jeden został zniszczony tutaj. Był naznaczony znakiem orła.

Kolejne wspomnienie – orzeł był symbolem rodziny Shinobu. Mieli athamen i został on zniszczony.

Ogień trzaskał przyjaźnie. Czując jego żar, Quin uświadomiła sobie, jak bardzo zmarzła od czasu swojego przybycia do posiadłości. Sędzia przyniosła metalową kratę, którą ustawiła nad ogniskiem, po czym zaczęła układać na niej plastry dziczyzny.

– Kto ma ten drugi? – spytała Quin.

– Drugi athamen jest athamenem Sędziów.

– Athamen Sędziów – powtórzyła Quin cicho. Oczywiście, że Sędziowie musieli mieć athamen. – Symbolem mojej rodziny jest baran. Dlaczego nasz athamen nie nosi tego znaku?

Dłuższa chwila upłynęła w ciszy, zanim Młoda Sędzia odpowiedziała:

– Nie mnie powinnaś zadać to pytanie.

Głos dziewczyny nie zachęcał do kontynuowania tematu. Quin spróbowała odmiennego podejścia.

– Powiedziałaś, że w ostatnich latach widziałas trzy athameny. Gdzie są pozostałe?

– Odpowiedziałam na twoje pytanie – oznajmiła dziewczyna tonem sugerującym chęć zakończenia rozmowy.

Młoda Sędzia spłynęła w bezruch, ze wzrokiem utkwionym w płomieniach. Quin także zamilkła, a po niedługim czasie aromat pieczonej dziczyzny pochłonął większą część jej uwagi. Kilka minut później mięso jelonka zostało zdjęte z kraty i obie zabrały się do jedzenia. Jadły długo, w skupieniu. Quin nie pamiętała już, kiedy ostatnio miała coś w ustach i poparzyła sobie język w pośpiechu, w jakim konsumowała swoją porcję. Tłuszcz ściekał jej po palcach, wywołując gwałtowną tęsknotę za wodą i mydłem, ale to nie powstrzymywało jej od obżarstwa. W końcu wytarła tłuste dłonie o nogawki dżinsów, odkrywając, że nie wywołało to w niej tak silnych uczuć, jak się spodziewała.

Skończywszy jeść, brudna i syta, przyjrzała się twarzy Młodej Sędzi i odważyła się zadać kolejne pytanie:

– Czy kiedykolwiek istniał szczytny cel? Dla nas? – spytała dziewczynę. – Kiedy byłam mała, myślałam... Te wszystkie opowieści o Poszukiwaczach zbawiających świat. Złoczyńcy, strzeżcie się, tyrani, strzeżcie się... Czy to zawsze były kłamstwa?

Sędzia nie odzywała się przez dłuższy czas – tak długo, że Quin uznała, iż nie doczeka się odpowiedzi. W końcu jednak dziewczyna zaczęła mówić:

– My, Sędziowie, istniejemy po to, aby pilnować przestrzegania trzech reguł. Czy znasz trzy reguły?

Quin zawahała się, czekając na kolejne wynurzające się z niepamięci wspomnienie, ale na próżno.

– Nie, raczej nie.

– Młoda Poszukiwaczko, chodzi o nasze przeświète prawa. Twój ojciec winien nauczyć cię ich przed wszystkim innym.

– Jest wiele rzeczy, których Briac nie zrobił, chociaż powinien – mruknęła Quin ponuro.

– To prawda. – Sędzia skinęła głową dostojnie. – Trzy reguły winny były zostać wypowiedziane, zanim złożyłaś przysięgę, ale Briac Kincaid zaniedbał to, a Średni Sędzia nie zaprotestował. Dobrze zatem. Po prawdzie, nie jest on jedynym, który to zaniedbał. – Przerwała, jakby zaniepokoiły ją jej własne słowa. – Reguły są proste – podjęła po chwili – ale karą za ich złamanie jest śmierć. Reguła pierwsza: Poszukiwaczowi nie wolno zawłaszczyć atheny innej rodziny. Reguła druga: Poszukiwaczowi nie wolno zabić innego Poszukiwacza, chyba że w samoobronie. Reguła trzecia: Poszukiwaczowi nie wolno krzywdzić ludzi.

– Ale my... – wypaliła Quin.

– Złamaliście przynajmniej jedną z tych reguł, nieprawdaż? Być może wielokrotnie – powiedziała Sędzia. Mówiła dalej, odmierzając słowa tak dokładnie, jak średniowieczny kupiec mógłby odliczać złote monety na kontuarze: – Nie zawsze tak było. Niegdyś nasze prawa były święte. Ale z czasem wkradły się cienie. To, co było przejrzyste, stało się mętne.

Quin obserwowała refleksy ognia tańczące w oczach dziewczyny, zatopionej w przeszłości.

– Rodziny się mieszają. Skąd my, Sędziowie, mamy wiedzieć, kto jest prawowitym panem athamenu? Wiele roszczeń może być słusznych. Poszukiwacz zabija Poszukiwacza, ale ma dowód, że ów był zagrożeniem. Jak my, Sędziowie, mamy to osądzić? Czy to akt samoobrony czy morderstwo? A ludzie? Czyż trudno dowieść, że krzywdząc jednych, ocaliło się wielu innych? A takich właśnie zapewnień pełno w ustach Poszukiwacza, który skrzywdził człowieka: „Zrobiłem to dla wyższego dobra!”, „To było konieczne, przysięgam!”.

– Zatem kto to osądza? – spytała cicho Quin. – Kto decyduje, czy reguła została złamana?

– Kiedy mój pan odpoczywa, jak teraz, od długiego czasu, decyduje Średni Sędzia – odpowiedziała dziewczyna. – To on osądza, ale jego osąd jest wypaczony. Nie wybiera pomiędzy dobrem a złem, lecz orzeka na korzyść swoich wybrańców. Tych, którym chce dać władzę. Ostatnio faworyzował twój ojca. A wcześniej innych podobnych jemu.

– To znaczy... że wasze reguły są bez wartości – rzekła Quin.

– W rękach mojego mistrza trzy reguły mają wielką wartość – odparła dziewczyna. – Mistrz potrafi zajrzeć w głąb duszy Poszukiwacza i ujrzeć go takim, jakim jest naprawdę. Widziałam, jak to robi. Ale w rzeczy samej w rękach Średniego prawo jest bez wartości. Zaś na podstawie jego osądu unicestwiamy Poszukiwaczy, całe ich rodziny, albo utrzymujemy przy życiu. Dlatego zwą nas Sędziami. – Dziewczyna zamilkła, ale po kilku chwilach znowu zaczęła mówić: – Pytasz mnie, czy to zawsze były kłamstwa. Widziałam to z obu stron. Istnieli prawdziwi Poszukiwacze i Poszukiwaczki, ludzie szlachetni i zaci. Przez całe stulecia walczyli z niesprawiedliwością i okrucieństwem, wspomagając dobro. Opowieści, których słuchałaś jako dziecko, są prawdziwe.

Quin poczuła w duszy iskierkę radości, ale wiedziała, że Młoda Sędzia jeszcze nie skończyła.

– Ale byli też inni – ciągnęła dziewczyna. – Ci, którzy za pomocą swoich athamenów nie poszukiwali niczego prócz bogactwa i władzy. Dopuszczali się haniebnych czynów tylko dlatego, że widzieli w nich jakąś korzyść dla siebie.

– Jak Briac – szepnęła Quin.

– I jak wielu przed nim. Ale niewykluczone, że Briac jest najgorszy ze wszystkich.

Przez dłuższy czas milczały obie, a potem Młoda Sędzia wytarła dłonie w szmatę i uniosła głowę, aby przeszyć dziewczynę tysiącletnim spojrzeniem. Kiedy znów się odezwała, w jej głosie pobrzmiwało coś na kształt troski:

– Kochałaś drugiego ucznia.

Quin się zawstydziała. Tak niedawno pozwoliła Johnowi zanieść się do jej



sypialni na Moście. Otoczyła go ramionami i przyciągnęła do siebie, mocno...

– Tak – szepnęła.

– Czy nadal go kochasz? – spytała Sędzia.

Bardzo pragnęła powiedzieć, że nie. Owszem, John tulił się do niej na jej łóżku, całował, ale potem stał tam i patrzył, jak jego ludzie ją biją. Mimo to jakiś drobny okrucieństwo jej duszy rozumiał jego desperację. Po długim namyśle potrząsnęła głową i powiedziała:

– Nie wiem już, co czuję.

Sędzia odwróciła wzrok i Quin wydało się, że na twarzy dziewczyny dostrzegła zmieszanie. Był to rodzaj emocji, który kompletnie nie pasował do kogoś tak nieludzko opanowanego.

– Dlaczego o niego pytasz? – spytała Quin. – Znasz go? Bliżej niż z widzenia, z czasów naszego szkolenia na posiadłości?

– Nie znam go – rzekła stanowczo Młoda Sędzia. – Ale rozmawialiśmy. I zastanawiam się... ciekawi mnie, jakim jest człowiekiem.

Quin rzuciła gałązkę w płomień, zastanawiając się, jak odpowiedzieć.

– Kiedy jestem przy nim – rzuciła po chwili – czuję, że mnie kocha. Widzę to w jego oczach. – Przerwała, patrząc, jak gałązka skręca się i znika trawiona ogniem. – Ale wiem, że pragnie athamenu bardziej, niż pragnie mnie. Bardziej, niż pragnie czegośkolwiek na świecie. – Przerwała znowu, a po chwili, głosem niskim i poważnym, dodała: – Tamtej nocy, tutaj w posiadłości, napadł na nas, szukając zemsty. Co zrobiłby, gdyby miał athamena? To nie byłoby dobre. Jak mogłoby być?

Młoda Sędzia wpatrywała się w ogień. Jej twarz była, jak zwykle, nieodgadniona, ale Quin wyczuwała, że coś ją trapi.

Wreszcie, powoli i z namaszczaniem, Sędzia powiedziała:

– Spotkałam się z nim.

Wymówiła te słowa w sposób, który do niej nie pasował.

– To znaczy... ostatnio?

Dziewczyna skinęła głową. Żołądek Quin podszedł jej do gardła, jakby jechała windą, a ta nagle spadła o dwa piętra w dół.

– Gdzie? – sapnęła. – Tutaj?

Sędzia nie odpowiedziała.

Quin poderwała się na równe nogi. Bezwiednie zaczęła cofać się ku wyjściu, wpatrując się bacznie w dziewczynę. Czy pomagała Johnowi? Kiedy rozmawiali? Czy to znaczyło, że wciąż na nią poluje?

Młoda Sędzia siedziała przy ogniu, patrząc na własne dłonie. Rozglądając się po wnętrzu warsztatu, Quin poczuła, że jej umysł sygnalizuje obecność czegoś, co wydawało się dziwnie nie na miejscu. Pozwoliła, aby jej wzrok potoczył się po ścianie, powoli, szukając. Coś ciągnęło się wzdłuż półki przy tylnej ścianie. Kabel elektryczny.

Fakt, że na posiadłości wciąż był prąd, był zaskakujący – choć z drugiej strony warsztat był prawie nietknięty, więc być może nie było to aż tak dziwne. Na pewno dziwniejsza była myśl, że Młoda Sędzia może mieć coś, co wymaga zasilania prądem. Do czego mogła być jej potrzebna taka rzecz?

Quin podeszła do półki. Widziała, że Sędzia obróciła głowę, śledząc ją wzrokiem, ale nie uniosła się ze swojego miejsca przy ogniu. Quin powiodła ręką wzdłuż kabla, aż dotknęła leżącej na półce sterty szmat. Wsunęła pod nie dłoń i wyjęła...

Telefon komórkowy.

Ekran był aktywny, a wyświetlony na nim napis głosił: „Wiadomość wysłana”. Sygnatura czasowa była sprzed godziny – mniej więcej wtedy Quin weszła do warsztatu. Co więcej, skorzystała z okazji i spojrzała na datę. Przejście przez Tam kosztowało ją prawie dwa dni.

Sędzia obserwowała ją z drugiego końca pomieszczenia. Na jej twarzy nie drgnął nawet mięsień, ale z jakiegoś powodu Quin odniosła wrażenie, że dziewczyna jest zawstydzona.

– John dał ci ten telefon? Zawiadomiłaś go, że tu jestem? – Pytania brzmiały raczej jak oskarżenie. – Nasza rozmowa... Grałaś na zwłokę!

Dziewczyna skinęła głową z namaszczeniem, niczym sędzia potwierdzający wyrok śmierci.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś? On nawet nie złożył przysięgi.

Quin próbowała obliczyć, gdzie na świecie mógł być John godzinę temu i ile czasu może mu zająć dotarcie z owej hipotetycznej lokalizacji do posiadłości.

– Dokonała się niesprawiedliwość – oznajmiła Młoda Sędzia, jakby to miało wyjaśnić jej czyny.

– Czy to nie jest niesprawiedliwością? – spytała Quin. – Jestem zaprzysiężoną Poszukiwaczką. Jedyne, czego chciałam, to trochę czasu, aby sobie przypomnieć. Aby postanowić, co dalej.

– Ja... Ja chciałam... – zaczęła Młoda Sędzia z nietypowym dla niej zmieszaniem. – Chciałam naprawić rzeczy, które uczyniono. Mój mistrz wiedziałby, jak odczynić zło. Mój mistrz wiedziałby, jak powstrzymać Briaca. Ale ja... Ja jestem rozdarta.

– Briac – rzekła Quin, przypominając sobie o ojcu, którego pozostawiła na polanie w lesie. – Dobrze, zatem zajmę się tym od razu. Zanim będę miała na karku kolejnego prześladowcę.

Odwróciła się, aby opuścić warsztat, ale uszła zaledwie kilka kroków, nim zatrzymała się tknięta nagłą myślą. Była zła, ale trudno jej było kierować ostrze tego gniewu na Młodą Sędzię. Czyż sama nie była rozdarta w kwestii pomagania Johnowi?

– Ten twój mistrz... – powiedziała, odwracając się. – Jak on wygląda?

Młoda Sędzia zaczęła mówić, ale zanim zdążyła dokończyć dwa zdania, Quin wybiegła z warsztatu, wołając przez ramię:

– Za mną! Szybko!

Słońce stało już wysoko, kiedy w polu ich widzenia pojawili się trzej mężczyźni. Nadal leżeli na polanie, opodal stojącego głazu, z rękami i nogami sterczącymi pod nienaturalnym kątem, ale Quin od razu zauważyła, że coś się zmieniło. Kończyny jej ojca sprawiały wrażenie lekko opadłych, jakby stopniowo miękły mu mięśnie.

W dodatku mężczyźni oddychali. Ich torsy wznosiły się i opadały w tempie tak powolnym, że trudnym do spostrzeżenia na pierwszy rzut oka, ale ruch był na tyle widoczny, że gasił wrażenie kamiennej posągowości leżących, przemieniając ich w żywe istoty. Na ich ciałach poruszało się coś jeszcze – rany mężczyźni broczyły krwią.

Na widok leciwego mężczyzny z brodą Młoda Sędzia wydała okrzyk zdumienia. Spośród trzech mężczyźni postać starca miała w sobie najmniej ruchu i życia – być może spędził Tam najwięcej czasu. W mgnieniu oka dziewczyna padła na kolana i bardzo ostrożnie ujęła w dłonie jego głowę. Przynęła ucho do jego ust, nasłuchując oddechu, po czym zaczęła doń mówić w języku, który z grubsza przypominał angielski. Nie doczekawszy się reakcji, potrząsnęła nim za ramiona i przemówiła jeszcze raz, bardziej stanowczym tonem.

Quin dobyła morfera, uklękła przy Briacu i uniosła uzbrojone ramię. Nadeszła pora wypełnienia obietnicy. Gdyby mężczyzna się obudził, przypomniałby jej o rzeczach, których nie chciała pamiętać, zmusił do czynów, których nie chciała popełniać i Quin nie wierzyła, że potrafiłaby mu się przeciwstawić. Nigdy tego nie potrafiła. Musiała położyć temu kres teraz.

Briac mrugnął.

Zrobił to w zwolnionym tempie. Jego powieki zsunęły się w dół, milimetr po milimetrze, aż zamknęły się całkowicie, po czym wykonały ten sam ruch w drugą stronę. Źrenice zaczęły przesuwac się w bok, bardzo, bardzo powoli, aż zatrzymały się na jej twarzy.

„Teraz! – Dziewczyna ponagliła się w myśli. – Teraz albo nigdy tego nie zrobisz!”.

Uderzyła z całej siły. Na wpół skamieniałe ręce Briaca ożywił odruch obronny: prawa odtrąciła klingę morfera, lewa złapała Quin za szyję. Wszystko trwało ułamek sekundy, a potem mężczyzna znowu znieruchomiał z rękami zastygłymi w nowych pozycjach. Zagrożenie wepchnęło go w strumień czasu dziewczyny, ale tylko na krótką chwilę. Gniewnie odepchnęła jego ręce i uniosła morfer jeszcze raz.

– Quin!

Jej głowa sama odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos. John stał na

krawędzi polany pomiędzy dwoma mężczyznami, rozstawionymi w pewnej odległości od niego. Jednego z nich pamiętała ze starcia na Moście. Wszyscy trzej mierzyli do niej z pistoletów.

– Proszę, Quin – powiedział John. – Proszę, odłóż broń.

## Rozdział 45

John

Tym razem wzięłaś spluwy – rzuciła Quin do zbliżającego się powoli Johna.  
– Musisz się mnie bardzo bać.

– Cóż, noże na moście zignorowałaś – odparł, próbując nieco rozluźnić atmosferę. Nie było mu w smak, że musi trzymać ją na muszce.

Dziewczyna podniosła się i upuściwszy morfer na ziemię tuż obok stopy, znieruchomiła z rękami nad głową. John patrzył, jak jej oczy przeskakują pomiędzy mężczyznami, których przyprowadził ze sobą. Wydawała się znacznie bardziej energiczna i czujna niż kilka dni temu na Moście – bardziej niebezpieczna.

Lewa ręka chłopaka pulsowała bólem od oparzenia, ciasno zabandażowanego pod rękawem koszuli. Ból przydawał mu determinacji, przypominał, jak ważne jest, aby tym razem odniósł sukces. Jego dziadek tracił zmysły i niebawem miał stracić także swoje imperium. A kiedy to się stanie, John nie będzie mógł dłużej liczyć na jego pomoc.

– Widzę, że nie możesz beze mnie żyć – wyszeptała Quin, kiedy znalazł się blisko.

Słowa miały ranić szyderstwem, ale i tak zabrzmiały intymnie i wbrew temu, co podpowiadał chłopakowi rozsądek, zapaliły w nim iskierkę nadziei, że Quin jednak mu pomoże. Choćby ten jeden raz.

– Nie chcę bez ciebie żyć – wyszeptał w odpowiedzi. – Możemy być razem.

Kilka metrów dalej Młoda Sędzia pochylała się nad starcem, spoczywającym w nienaturalnej pozycji na leśnym runie. Nieopodal leżeli dwaj pozostali mężczyźni, wyglądający jak zamrożeni w trakcie wykonywania czynności wymagającej wielkiego wysiłku. Obaj mieli twarze zasłonięte kapturami, ale oddychali – bardzo, bardzo powoli. Tylko starzec był nieruchomy jak głaz. Młoda Sędzia mówiła do niego w języku, który mógłby być angielskim, ale jeśli tak, to tak starym, że John nie był w stanie odgadnąć znaczenia wypowiedzianych zdań.

Quin miała na sobie o wiele za duże dzinsy podtrzymywane szerokim paskiem. Wepchnąwszy pistolet z powrotem do kieszeni, John mógł bez trudu włożyć jej rękę w spodnie, aby poszukać pod nimi athamenu. Trudno mu było nie myśleć o jej skórze pod jego dłonią, ale odepchnął emocje na bok – musiał się skoncentrować. Kiedy jego palce dotknęły czegoś twardego, wykonanego z kamienia i zawieszzonego u jej prawego biodra, serce zabiło mu żywiej. Dziewczyna gwałtownie odwróciła ku niemu głowę, a mężczyźni unieśli wyżej lufy w geście ostrzeżenia.

– Nie bierz go, John – powiedziała, patrząc na niego błagalnie. – Zostaw.

Położyła dłoń na jego dłoni, próbując zepchnąć ją z przedmiotu kryjącego się pod materiałem spodni.

– Gdybyś tylko zechciała, to wszystko mogłoby być tak proste! Zmień zdanie. Zgódź się mi pomagać.

– Możesz być pewien, że ci pomagam – odparła. – Jeżeli weźmiesz athamen, wszystko zmieni się na gorsze. Uwierz mi.

– Nie, Quin, wszystko zmieni się na lepsze. Nareszcie!

Dlaczego nie mogła tego zrozumieć? Jej dłoń była na jego przegubie i wyobraził sobie, że unosi ją do ust. Gdyby zgodziła się mu pomóc, nareszcie mógłby ją pocałować... Zamiast tego podniósł rękę, wysuwając przedmiot spod jej spodni.

Był wykonany z szarego kamienia, ciepły od dotyku jej ciała. Podniecony faktem, że trzyma go w swoich rękach, John odsunął się nieznacznie, aby obejrzeć zdobycz. Dwoma szybkimi krokami Quin okrążyła go, umieszczając między sobą a pistoletami. W czasie ułamka sekundy, którego potrzebował na odwrócenie się w jej stronę, porwała z ziemi morfer i puściła się biegiem między drzewa.

– Niech to szlag, Quin! Znów to samo!

Potał twarz dłońmi, rozdarty i sfrustrowany, po czym gniewnym gestem rozkazał swoim ludziom ruszyć w pogoń. Mężczyźni natychmiast zniknęli w lesie. Chciał biec za nimi, ale nagle zwątpił w sens swojego udziału w pościgu. Przed przybyciem na posiadłość poinstruował swoich żołnierzy, że mają zapobiec ucieczce Quin, nawet jeśli oznaczałoby to konieczność postrzelenia jej w nogę. Sam nigdy nie byłby w stanie zrobić tego osobiście.

Opuścił wzrok na przedmiot, który trzymał w ręce i wytrzeszczył oczy, zrozumiał swój błąd. Nie dostał athamenu. To było coś innego. Przypominało krótką szablę, z kamienną rękojeścią i płaską, zakrzywioną głownią, tępą jak nóż do masła. Owszem, rzecz przypominała athamen, ale z pewnością nim nie była. Atrapa? Jeśli tak, to czemu nie wykonano jej dokładnie na wzór oryginału? W dodatku przedmiot zrobiono z tego samego kamienia co athamen – co do tego nie miał wątpliwości. Zatem czym była rzecz, którą dzierżył w dłoni?

Do jego świadomości dotarł czyjś głos.

– Mistrzu, mistrzu – mamrotała Młoda Sędzia, wciąż przemawiając do starca cichym, jednostajnym głosem, jakby nuciła pieśń.

John podszedł do dwóch pozostałych skamieniałych mężczyzn, aby przyjrzeć im się dokładniej. Jeden z nich – dostrzegł to dopiero teraz – był Sędzią, tym, którego za czasów jego szkolenia nazywano Dużym. Twarz trzeciego człowieka wciąż skrywał kaptur. Chłopak stanął wprost nad nim i spojrzawszy w dół, odkrył, że patrzy na Briaca Kincaida.

Fala nienawiści wezbrała w nim niepowstrzymanym nurtem, natychmiast przenosząc go do starej stodoły, gdzie stał wpatrzony w uwiedłą postać własnej matki na szpitalnym łóżku, znosząc drwiny Briaca, ponieważ nie był dość dobry – nigdy nie miał stać się dość dobry – aby dostąpić zaszczytu złożenia przysięgi.

Briac traktował Johna i Catherine, jakby byli mali, słabi, łatwi do pokonania. Nigdy więcej! Ród Johna odradzał się i nadszedł czas, aby skończyć z Briakiem Kincaidem.

Odłożył na ziemię dziwną kamienną szablę Quin i sięgnawszy do pasa, pogładził palcami wystającą mu z kieszeni rękojeść pistoletu. Jednakże zamiast ją złapać, jego dłoń powędrowała do morfera. Wydawało się jak najbardziej stosownym zabrać go ze sobą, kolejny raz wracając do posiadłości. Wyćwiczonym ruchem rozwinął ostrze.

Ręce Briaca zastygły mu nad twarzą, jakby chronił się przed ciosem. John ukląkł i rozepchnął je na boki, ale ramiona bardzo powoli wróciły na dawne miejsce. Oczy leżącego stopniowo skupiły się na twarzy chłopaka. Mężczyzna się budził.

W głębi lasu rozległy się okrzyki, a potem huknął pojedynczy strzał. John poderwał głowę, ogarnięty nagłą paniką. Jego ludzie byli wysmienionymi strzelcami, co jednak nie znaczyło, że nie mogą popełnić błędu. „Proszę, nie zróbcie jej nic złego...”. Wyteżał wzrok w stronę, z której rozległ się strzał, ale z miejsca, gdzie klęczał, nie widział nic oprócz drzew. Musiał zaufać swoim ludziom i mieć nadzieję, że wypełnią jego rozkazy co do joty.

Z ociąganiem przeniósł uwagę na to, co działo się na polanie i zauważył, że Duży Sędzia przebiera rękami i nogami. Ruchy miał niezdarne, jałowe, rozpoczynane nagłymi zrywami, po których następowały powolne, gasnące przesunięcia. On także z wolna dochodził do siebie.

Uwagę Johna przykuło coś, co Sędzia ukrywał pod połą płaszcza. Przedmiot wystawał częściowo z wewnętrznej kieszeni. Jego kolor, kształt... Chłopak w jednej chwili zapomniał o Briacu i wystrzale. Przypadł do mężczyzny, włożył rękę pod jego szatę i zacisnął palce na zimnej, kamiennej rękojeści.

To był kolejny athamen. Wyciągnął go spod ubrania Sędziego, wyczuwając pod dłonią fasetki pierścieni nastawczych. Wzniósł go przed sobą, obrzucając zachwyconym wzrokiem... i wtedy polana wokół niego ożyła nagłym ruchem.

Młoda Sędzia uniosła gwałtownie głowę, wbijając świdrujące spojrzenie w Johna i athamen w jego rękach. Miała szczery zamiar zignorować go, dopóki nie dotknął kamiennego sztyletu.

Za jego plecami Briac poruszył się niezgrabnie, odtaczając o mały kawałek w stronę lasu. W tej samej chwili Duży Sędzia poderwał się jednym płynnym ruchem, prostując się na klęczkach twarzą w twarz ze złodziejem athamenu. Sędzia zastygł znowu – równie gwałtownie, jak wcześniej się poruszył – ale w skamieniałej dłoni tkwił teraz morfer. Czubkiem niemal dotykał piersi Johna i delikatnie drżał resztkową wibracją po gwałtownym utwardzeniu broni w nowym kształcie.

Ponownie zamarł w całkowitym bezruchu, podobnie jak Briac, i chłopak

pomyślał, że być może zyskał kilka chwil, zanim poruszą się znowu. Młoda wciąż wpijała palce w szaty starca, podtrzymując jego ramiona i głowę na kolanach, ale John nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna spręży się do ataku. Jego jedyną szansą było rzucenie się do ucieczki, natychmiast i bez ostrzeżenia.

W ułamku sekundy poderwał się i pognął w stronę lasu, w lewej dłoni ściskając upragniony athamen, a w prawej dzierżąc morfer.

Przez dłuższą chwilę po prostu biegł, nie mając odwagi obejrzeć się za siebie. Potem, w tej części lasu, gdzie gęstwa drzew nieco się przerzedzała, dogonił własnych ludzi.

– Quin... – sapnął w panice. – Czy ona...?

Gauge pokręcił głową.

– To był tylko strzał ostrzegawczy.

Skinął głową w stronę szerokiego pnia drzewa trzydzieści metrów dalej. John zrozumiał: Dziewczyna kryła się tam, bez możliwości ucieczki. Jego niepokój zelżał.

Szybko omiótł wzrokiem las za sobą. Wyglądało na to, że nikt go nie ściga. Spojrzał jeszcze raz na drzewo, za którym ukrywała się Quin. Bez względu na to, który athamen był w jego posiadaniu, John potrzebował kogoś, kto nauczyłby go, jak się nim posługiwać. I to musiała być ona. Pragnął jej. Pragnąłby, nawet gdyby nigdy w życiu nie słyszała o athamencie Poszukiwaczy.

„Błagam, nie odwracaj się ode mnie” – prosił ją w myślach.

Drugi z jego ludzi, Paddon, okrążył drzewo w pewnej odległości, aby zająć Quin od drugiej strony. Gestem wskazał miejsce, w którym się ukrywała i otworzył usta, aby coś powiedzieć.

Jak za sprawą magii na szyi wyrosła mu stercząca rękojeść noża. Paddon parsknął bryzgiem krwi i runął na twarz.

John obejrzał się gwałtownie, by ujrzeć Młodą Sędzię biegnącą przez las długimi, płynnymi susami. W uniesionej dłoni trzymała już następny nóż, przygotowany do rzutu.

Za szerokim pniem drzewa gwałtownie zaszeleściły liście. Quin nie czekała, aby przekonać się, kto będzie następnym celem dziewczyny, i pognęła w głąb lasu, w stronę szopy nad urwiskiem.

John wystartował za nią. Za plecami słyszał kroki biegnącej Sędzi, ale jakoś do tej pory go nie zabiła. Traktował to jako dobry znak.



## Rozdział 46

### Quin

Nogi Quin odmawiały już posłuszeństwa. W ciągu minionych dwóch dni przebiegła więcej niż przez cały ostatni rok i jej mięśnie docierały już do kresu swojej wytrzymałości. Znajdowała się blisko granicy lasu. Drzewa przed nią przerzedzały się, między koronami przeświecał błękit nieba.

Młoda Sędzia zabiła jednego z ludzi Johna, ale kiedy Quin po raz ostatni odważyła się spojrzeć za siebie, drugi mężczyzna nadal ją ścigał, a i sam chłopak, rzecz jasna, nie mógł być daleko w tyle.

Widok tamtego mężczyzny padającego bez życia na ziemię z nożem utkwionym w szyi nie wstrząsnął nią tak bardzo, jak jej zdaniem powinien.

„Czy to znaczy, że przywykłam do śmierci? – zadała sobie pytanie, a w jej głowie natychmiast wypłynęła odpowiedź: – Tak, przywykłam do niej zdecydowanie za bardzo”.

Pewne obszary jej pamięci wciąż były skryte we mgle, ale przypominała sobie coraz więcej.

Kilka chwil później wypadła na otwartą przestrzeń. Sto metrów przed nią grunt kończył się urwiskiem, pod którym płynęła rzeka. Z miejsca, w którym się znajdowała, wyraźnie słychać było jej szum. Niedaleko krawędzi skarpy stała stara kamienna szopa, od której odchodziła w lewo kolejna ścieżka, prowadząca z powrotem do lasu. Do Quin wróciło kolejne wspomnienie – tamtędy chodziło się do ruin zamku.

Zawahała się. Jeśli pójdzie tą ścieżką, prześladowcy podążą za nią, a ona potrzebowała odpoczynku, zanim znów dokąds pobiegnie. Zresztą co miałyby robić w ruinach? John miał krzesiwo, bez którego athamen był bezużyteczny. Musiała jakoś je odzyskać. Jedynym wyjściem było oddać chłopakowi athamen, pokazać mu, jak się nim posługiwać, i nareszcie skończyć z uciekaniem.

Bezwiednie ruszyła w stronę szopy.

– Quin, stój!

Głos należał do Johna. Nie zatrzymując się, dziewczyna odwróciła głowę i ujrzała go stojącego na granicy lasu. Był sam. Rozglądał się wokół w poszukiwaniu swojego towarzysza.

– Może Młoda Sędzia dopadła ich obu – powiedziała Quin, zbliżając się do wrót szopy.

Była już blisko krawędzi skarpy – drugi koniec budynku niemal dotykał jej brzegu. Szum rzeki był tu głośniejszy.

– Quin, poczekaj. Proszę cię.

John wyjął pistolet z kieszeni i nerwowymi ruchami próbował go odbezpieczyć. W jego rękach nie było krzesiwa – musiał ukryć je gdzieś w ubraniu.

– Naprawdę chcesz mnie zastrzelić? – spytała. – Nie wierzę.

Nie czekając na odpowiedź, wstąpiła w cienie za progiem szopy. Otoczył ją dokładnie ten zapach, którego się spodziewała – aromat wilgotnej ziemi i zbutwiałego siana. Przemierzyła chłodne wnętrze i podeszła do drabiny pod przeciwległą ścianą. Szybko wspięła się na sypialną antresolę. Stamtąd mogła wyjrzeć przez duże okrągłe okna w szczytowych ścianach, dające jej widok w dół skarpy oraz wzdłuż rzeki aż po majaczące w oddali wzgórza.

– Już wtedy prosiłem cię, żebyś mi pomogła. Tutaj, w tej szopie – powiedział John, stając w wejściu poniżej.

Quin milczała.

– Jakim godłem pieczętuje się twój ród? – spytał chłopak.

– Baranem – odparła.

– Na gałce tego athamenu wyryty jest lis, symbol mojego rodu. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej: – Przecież ty go nawet nie chcesz, Quin. Dlaczego nie pozwalasz, abym miał go ja?

To była prawda – nie chciała go. Chciała zapomnieć o athamencie i wszystkim, co z nim związane. Wtedy była pionkiem. A teraz?

Wyrzwała za krawędź antresoli – John stał dokładnie pod nią. W dłoni trzymał pistolet, ale opuszczony i lekko odsunięty od boku, jakby wstydził się jego obecności.

– Idę tam do ciebie – oznajmił, łapiąc drabinę.

Dziewczyna zebrała się w sobie, pośpiesznie formułując w głowie prosty plan. Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze z płuc.

Chłopak wspiął się po drabinie i postawił stopę na deskach antresoli. Zamiast wycofać się – czego oczekiwał – Quin skoczyła naprzód i złapała go za poły kurtki. Robiąc krok w tył, obróciła się gwałtownie, wytrącając Johna z równowagi i wypychając go poza platformę. Uratował się, zawisając na krokwi, ale musiał wypuścić pistolet, który z kłasnieniem upadł na mokrą ziemię.

Przez chwilę przebierał nogami nad pustką, szukając stopami punktów zaczepienia, próbując rozhuścić się i przedostać z powrotem na antresolę. Dziewczyna wykorzystwała sposobność i przykleknawszy na brzegu platformy, szybko przebiegła dłońmi po jego grzbiecie i talii, szukając krzesiwa. Nie znalazła go. Pod kurtką namacała coś twardego – podłużny przedmiot, ale o wiele za mały. Czyżby oddał krzesiwo swoim ludziom? A może zostawił je w lesie.

Podniosła się i weszła na wąską deskę, ułożoną na legarach wzdłuż szopy i biegnącą od antresoli do drugiego okna na przeciwległej ścianie. Była w połowie jej długości, kiedy usłyszała głos Johna:

– Nie chcę cię zmuszać, Quin – powiedział.

Obejrawszy się, zobaczyła, że chłopak zdołał wspiąć się z powrotem na antresolę i właśnie wchodził na deskę w ślad za nią.

– Czy nie byłoby nam lepiej razem? Chciałbym, żebyś pomogła mi z własnej woli.

– A co z tym, czego ja chcę?! – zawołała, sunąc ostrożnie po desce w stronę okna. – Chcę, żebyś był tym Johnem, którego znałam przedtem. Tym, który pragnął robić tylko szlachetne rzeczy, pomagać ludziom!

– Ja jestem nim, Quin.

Był coraz bliżej.

Dziewczyna przerzuciła nogi przez krawędź okna – był to zwykły okrągły otwór w kamiennej ścianie, bez szyb. Wychyliwszy się najdalej, jak potrafiła, uwiesiła się na końcówce płatwi i zawisała pod okapem na zewnątrz budynku.

Spojrzała w prawo, spodziewając się ujrzeć koronę wielkiego wiązu. Kiedy byli dziećmi, razem z Shinobu wspinali się na to drzewo tuziny razy. Miała zamiar zeskoczyć na konar, ześliznąć się na ziemię i umknąć w las, zanim John zdąży odzyskać pistolet i ruszyć w pościg.

Ale wiązu nie było. W którymś momencie w ciągu minionych osiemnastu miesięcy nad posiadłością musiała przejść potężna burza, ponieważ drzewo leżało zwalone na bok, nad wielką jamą, którą korzeniami wyrwało z ziemi. Czując, że żołądek podchodzi jej do gardła, Quin spojrzała w dół, prześlizgując się spojrzeniem obok szczątków martwego wiązu i wzdłuż urwiska aż do wody szumiącej daleko poniżej. Przepaść ziała chłodnym powiewem. Dziewczyna skupiła wzrok na własnych stopach, dyndających nad pustką.

Panicznym ruchem zarzuciła nogi na końcówkę płatwi, wczepiając się kurczowo w drewnianą belkę. Z nowej pozycji ujrzała coś, czego nigdy wcześniej nie dostrzegła. Obok okna widniał rzeźbiony symbol, który do tej pory skrywał się za koroną wiązu. Trzy splecione owale wykute głęboko w kamiennej ścianie tworzyły coś w rodzaju uproszczonego rysunku... Wyglądało to jak atom.

Nie miała czasu przyglądać się ścianie. John balansował na desce zaledwie kilka metrów od okna, ona zaś wisiała nad urwiskiem. Stękając z wysiłku, wgramoliła się na dach.

Stąpając ostrożnie po spękanych łupkowych dachówkach, zeszła na okap i wyjrzawszy poza krawędź, odkryła, że wciąż jest zbyt wysoko, aby skoczyć. Mogłaby spróbować opuścić się pod okap i zejść po ścianie, ale nie było na to czasu. Niedaleko za nią chłopak znajdował się już połową ciała na dachu.

Podniosła się i odwróciła, by stanąć z nim twarzą w twarz. Zamiar podjęcia walki z Johnem po półtorarocznej przerwie w treningach mógł wydawać się nedorzeczny, ale i tak dobytek morfera, aby jednym strzałem utwardzić klingę w nowym kształcie. Myślała o Shinobu i być może dlatego wybrała formę katany, miecza japońskich samurajów. Kręcąc próbnego młyńca nad głową, poczuła się tak, jakby kuzyn stał za nią i dodawał jej otuchy. Nie będzie niczym pionkiem.

– Zważ, że wyszłaś z wprawy, a ja nie – powiedział chłopak, prostując się na

końcu dachu. – Jego morfer wciąż wisiał zwinięty u pasa. Niemal prosząco dodał: – Nie sądzę, żeby udało ci się mnie pokonać, Quin.

– Jesteś dobrym człowiekiem, John. Pomimo tego, co zrobiłeś do tej pory. Jeśli oddam ci athamen, przestaniesz nim być i ja także.

– Athamen nie czyni nas złymi, Quin. Daje nam tylko wolność wyboru. To wszystko.

Potrząsnęła głową gwałtownie, ściskając mocniej rękojeść morfera.

– Czyżby? Pomyśl o tym, co już zrobiłeś, próbując go zdobyć. Postrzeliłeś mnie, strzelałeś do Shinobu, zraniłeś moją matkę! Poderżnąłeś jej gardło, John!

– Nie chciałem nikogo skrzywdzić! Zrobiłem wszystko, żeby nie musiało do tego dojść. Czy ty tego nie widzisz, Quin? I dlaczego obchodzi cię tylko to, co zrobiłem ja?

Twarz zmieniała mu się z każdą sekundą. Dziewczyna widziała, że walczy z gniewem, ale przegrywał.

– Może porozmawiamy o twoim ojcu? – spytał śliskim od jadu głosem, przesuając się ostrożnie, stopa za stopą w jej stronę. – Co takiego on zrobił, żeby zdobyć athamen? Co zrobili inni?

Morfer Johna nagle znalazł się w jego dłoni, zupełnie jakby miał własną wolę.

Quin miała świadomość, że jeszcze nie panuje w pełni nad swoim umysłem. Mimo to wyczuwała, że chłopak chce jej powiedzieć więcej, niż kiedykolwiek wiedziała. Chciał opowiedzieć jej o czymś, o czym nie chciała się dowiedzieć.

– Właśnie o to chodzi – odparła, odruchowo sprawdzając, czy ma stabilne oparcie dla stóp, szykując się do walki. – Cokolwiek zrobił, nie chcę, żebyś był taki jak on.

– Nie jestem oprawcą! – ryknął, jakby słowa wyrwały się z niego bez udziału woli. – Nie jestem potworem! – Morfer rozwinął się z trzaskiem i chłopak natarł na Quin, pozwalając ponieść się gniewowi. – Nie jestem jak Briac!

Muskuły dziewczyny zareagowały automatycznie, parując cios. Może i miała długą przerwę w treningach, ale jej ciało nie zapomniało. Odepchnęła morfer Johna własnym i oboje odskoczyli w tył, chwiejnie łapiąc równowagę na stromym dachu.

– Owszem, nie jesteś jak Briac – przytaknęła, prostując się. – I mam nadzieję, że pozostaniesz taki, jaki jesteś.

– Taki, jaki jestem? – Słowa Quin rozgniewały go jeszcze bardziej. – Czyli bezradny, tak? Takim chcesz mnie widzieć? Pokonanym przez Briaca? Moja matka zamordowana, wszyscy zamordowani. Mój ród w ruinie!

Natarł znowu, a ona znowu odparła cios. Nie miała pojęcia, o czym mówi. Co się stało z matką Johna? Co zrobił Briac?

– Decydowali o losie mojej rodziny od wieków. Wieków! Ale mój ród

powstanie z popiołów, rozumiesz! Już czas!

– Chcesz rodu morderców, John?

– A ty? Nie jesteś morderczynią, Quin?

W tym właśnie momencie kątem oka dziewczyna ujrzała ruch. To była Młoda Sędzia, przemykająca między drzewami na skraju lasu, zbliżająca się szybko do szopy. Quin nie śmiała odwrócić głowy.

John uderzył mocniej. Tym razem ledwie zdołała odeprzeć atak, ale dostrzegła, że jej przeciwnik oszczędza lewą rękę.

– Zamierzałaś zabić Briaca – powiedział. – Widziałem.

Jego miecz znów spadł z impetem na uniesioną klingę Quin. Lewe ramię, to ze starą raną, bolało ją coraz mocniej.

– Nie pomożesz mi?! – zawołała dziewczyna do Sędzi, która zbliżała się bezszelestnie.

– Łatwo ci mnie osądzać, Quin. Ale co z tym wszystkim, co zrobiłaś ty? – wysyczał John. Zaatakował jeszcze raz, spychając ją w tył.

Skąd mógł wiedzieć, co zrobiła? Skąd mógł wiedzieć, skoro nawet ona tego nie wiedziała, nie chciała wiedzieć? Spychał ją na brzeg dachu, ale w jej wyobraźni pchał ją ku innej przepaści, tej, która oddzielała terazniejszą Quin od tej sprzed półtora roku.

Jeszcze dwa kroki i stanęła przy krawędzi. Dalej nie mogła się cofnąć.

– Proszę! – krzyknęła do Sędzi.

Dziewczyna stała pod nimi bez ruchu. John uniósł miecz, ale nie uderzył.

– Powiedz mi, Quin, co takiego robiłaś razem z Briakiem?

Pytanie dotknęło czegoś w jej pamięci. W jej umyśle opadła ostatnia zasłona szarości i nagle ujrzała wyraźnie wszystkie te wydarzenia, o których najbardziej pragnęła zapomnieć.

Popełniała czyny, jakie jej zdaniem chciał popełniać John. Robiła to wszystko własnymi rękami. Ogrom tego zła spadł na nią niemal fizycznym ciężarem, prawie rzucając na kolana. Oczywiście, że zapomniała. Oczywiście, że rozpoczęła życie od nowa. Ignorancja była cudownym błogosławieństwem.

– Zabijaliśmy... – wyszeptwała, pozwalając, aby słowo zawisło w powietrzu, po czym natarła na chłopaka bez przekonania, próbując oddalić się od krawędzi dachu. – Jeśli Briac jest potworem, to ja także.

– Kogo zabiliście? – spytał, cofając się o krok, dając jej więcej miejsca.

– Wielu ludzi, John, wiele razy.

Teraz, kiedy zaczęła przyznawać się do tego sama przed sobą, nie potrafiła powstrzymać potoku słów. Wypowiadając je głośno, czuła ulgę. Nareszcie.

– Te dzieci... Ja chciałam uciec. Zatrzymał mnie. Powiedział, że muszę. Zabrnęliśmy w to za daleko. Ich rodzice, niania... Nie było ucieczki.

Oczami wyobraźni ujrzała Briaca z tamtej nocy, stojącego u stóp głównych

schodów w wielkim domu. Przeżalone dzieci chowały się za nią.

– Powiedziała im, że wszystko będzie dobrze i zaprowadziłam do Briaca.

– Zmusił cię do tego – powiedział chłopak łagodniejszym głosem, jakby sugerował, że jej grzechy mogą zostać odpuszczone, jakby rozumiał i nie obarczał jej winą. – Nie ty podejmowałaś decyzje. Te śmierci nie czynią cię morderczynią.

– One sądziły, że im pomagam, John! Wciąż śnią mi się te dzieci. Chciałam wymknąć się z nimi z domu, ale Briac mnie przyłapał. Wykopał mi pistolet z ręki, kiedy zobaczył, że się waham, a potem... A potem on...

Słowa nie przechodziły jej przez gardło. Briac zabrał te dzieci i zrobił z nimi to samo, co robili ze wszystkimi podczas nocnych wypraw. Nawet jeśli nie... dokończyła sama tej sprawy z dziećmi, byli jeszcze inni – ci, których ranił i zabijał jej własny morfer. Podczas późniejszych akcji z Briakiem nie było już dzieci i było to taką ulgą, że... że nie trzeba było już tak wielkiej presji, aby robiła to, czego żądał od niej ojciec.

„Już i tak jestem przeklęta – pomyślała. – Jakie znaczenie ma, co zrobię?”

– Briac jest potworem – powiedział John. – Mógł wybrać łatwiejsze zadania. Coś bardziej... fair. Chciał cię złamać. Zniszczyć.

– Myślałam, że być Poszukiwaczką...

– Quin, nie jesteś pierwszą Poszukiwaczką, która zabijała, aby przeżyć. Jak myślisz, skąd się wzięło bogactwo mojego dziadka? Skąd się wzięła wasza posiadłość?

– To samo mówił Briac!

– Ale nie to samo robił! – krzyknął John. – Zabijanie dla pieniędzy, odnawianie fortun, to jest próba przetrwania! Każdy ród musi to robić od czasu do czasu. Moja matka tak robiła, kiedy musiała. Wybierała zadania, których wykonanie pozwalało jej dalej żyć; zabijała tak sprawiedliwie, jak tylko się dało, ludzi, którzy zasłużyli na śmierć. Ale twój ojciec i inni jemu podobni, oni zabijali wszystkich. Zabijali nas, rozumiesz? Całe rodziny Poszukiwaczy: dzieci, matki, ojców. Bez żadnego powodu, poza zawiścią, próbowali zmiążdżyć mój ród, zetrzeć nas z powierzchni ziemi. I właśnie za to... Nie widzisz, że muszę wyrównać rachunki?

Żadne z nich już nie atakowało. Stali naprzeciwko siebie z opuszczonymi mieczami, dysząc ciężko i mierząc się wzrokiem. Wizja świata Poszukiwaczy, którą roztaczał przed nią John, była dla dziewczyny kompletną nowością. Tą historią Briac nie raczył się z nią podzielić.

– Czekaj, czyli zabijanie jest w porządku, jeśli tylko wybierzesz akceptowalną ofiarę? – powiedziała, słysząc niedowierzanie we własnym głosie. – Albo jeśli zabijasz z zemsty? Jest w porządku, dopóki ostrza nie są zwrócone przeciwko tobie?

– Ja... ja nie wybrałem sobie takiego życia, Quin. Wybrano je za mnie. Będę

podejmował najlepsze decyzje, jakie można podjąć. Będę starał się być sprawiedliwy, ale przyrzekłem...

– John, czy ty słyszysz, co mówisz? Naprawdę sądzisz, że możesz zabijać ludzi i że to cię nie zmieni? Myślisz, że wystarczy wybrać kogoś, kto twoim zdaniem zasługuje na śmierć i to usprawiedliwi twój czyn? Nie, John, to nie działa w ten sposób.

– Wiem, że mamy ciężkie życie...

– Chciałam zrobić coś dobrego – podjęła Quin, przerywając chłopakowi łamiącym się głosem. Była wyczerpana. – Wszystko było takie proste, kiedy byłam mała.

– Możesz robić dobrze rzeczy. Athamen pozwala nam decydować, dokąd się wybierzemy i co tam zrobimy. To jest dobre.

Słońce wisiało za Johnem, chowając w mroku jego sylwetkę, ale dziewczyna miała wrażenie, że po raz pierwszy widzi go wyraźnie takim, jakim był. Szkoliła się u ojca w nadziei, że dzięki temu przejdzie godnie przez życie. Pragnęła tego nade wszystko na świecie, nawet jeśli jej nadzieja okazała się fałszywa. Chłopak sądził, że chciał tego samego: szlachetnego celu, sprawiedliwości, ale spoglądał już w tę samą stronę co Briac i był gotów podjąć tę samą drogą. Był niczym miecz, który został zgięty podczas wykuwania. Takie ostrze zawsze będzie skrzywione, tak jak serce Johna zostało skrzywione przez życie i śmierć matki, o której nigdy nie chciał nawet rozmawiać. W tym momencie wciąż jeszcze był chłopakiem, którego znała, ale nie pozostałby nim, gdyby mu pomogła.

– Nie – powiedziała, kręcąc głową. – Nic z tego.

Mobilizując resztę sił, cięła znienacka od jego rannej strony. John dał się zaskoczyć i mając osłabioną lewą rękę, ledwie zdołał zatrzymać cios. Wykorzystując swoją przewagę, Quin złapała za oba końce miecza i gwałtownie naparła na ostrze przeciwnika. Chłopak zachwiał się, a wtedy, odruchowo, podcięła go zamaszystym kopnięciem, zwalając z nóg. John zaczął zsuwać się w stronę krawędzi wraz z dużym splechciem dachówek obruszonych jego upadkiem. Zanim zdołał znaleźć pewny chwyt na jednej z drewnianych łat i zatrzymać się, dolną połową ciała zwisał już nad przepaścią.

Dziewczyna zaczęła schodzić ku krawędzi dachu, aby go złapać, ale ujrzała, że trzyma się mocno i już podciąga się z powrotem.

– *Quin!*

Obejrzała się akurat na czas, aby ujrzeć przedmiot lecący łukiem w jej stronę. Było to krzesiwo, to samo, które odebrał jej John. Rzuciła je Młoda Sędzia. Dopiero kiedy je złapała, Quin uświadomiła sobie, że dziewczyna nie wypowiedziała jej imienia na głos. Skierowała wołanie bezpośrednio do jej umysłu, a ona jej usłyszała.

Wysunęła athamen z dzinsów. Teraz rozpoznawała wszystkie symbole na

rękojeści. Szybko ustawiła właściwą sekwencję.

Poniżej John ostrożnie pełził po klekoczących resztkach dachówek, próbując przedostać się na bezpieczniejszy fragment dachu. Miała niewiele czasu, zanim znów stanie na nogach.

Uderzyła athamenem o krzesiwo i wzdrygnęła się od spływającej na nią wibracji. Podbiegła do krawędzi dachu, stanęła dokładnie nad urwiskiem i spojrzała na płynącą w dole rzekę. Potem wyciągnęła w jej stronę athamen i nakreśliła nim krąg w powietrzu. Kamienne ostrze wycięło otwór w tkance rzeczywistości, siejąc pulsującymi czarno-białymi strzępami, które na jej oczach twardniały w wyraźną granicę.

John wciągał się właśnie na kalenicę dachu, kiedy na końcu budynku Quin skoczyła w huczący pod nią portal. Żołądek podszedł jej do gardła, włosy rozwiały zimny wiatr. Daleko poniżej wartki nurt niestrudzenie atakował stromą skalną ścianę. Ciało dziewczyny mówiło jej, że właśnie skoczyła po śmierć, ale wpadała do anomalii i kiedy ułamek sekundy później przekroczyła granicę, spadanie ustało.

Obejrzała się. Ponad sobą miała otwór, który wycięła w przestrzeni i przez który widziała teraz fragment dachu szopy na tle błękitu nieba. Na krawędzi stał John. Wyglądał na zdruzgotanego. Cofnął się o dwa kroki, szykując do skoku, ale krąg zaczął się już rozpadać; syczące wici na powrót zarastały przejście. Chłopak zatrzymał się przy samym brzegu i zachwiał, łapiąc równowagę. W następnej chwili anomalia zamknęła się nad Quin, pogrążając ją w ciemności.



## Rozdział 47

### John

Było za późno, aby skoczyć. Ziejąca dziura, wisząca w powietrzu poniżej dachu szopy, zamykała się. John patrzył, jak krąg traci kształt. Niczym nitki wyłazące z postrzępionej tkaniny cienkie macki czerni i bieli wyrastały z brzegów otworu i sięgały ku sobie przez środek, aby wibrując energią, zaszyć go rzeczywistością. Po kilku chwilach po portalu nie było nawet śladu.

Quin porzuciła go znowu, tak samo jak tamtej nocy w posiadłości, kiedy zabrała Yellena i ruszyła przez podobne mroczne przejście. Obejrzała się wtedy, ale wołała Shinobu, nie jego. Być może nigdy by go nie wybrała – ta myśl leżała mu nieznośnym ciężarem na piersi, podczas gdy patrzył w dół skarpy na rzekę.

W myśli odtworzył ostatnie chwile na dachu, zanim skoczyła. Uderzyła athamenem o ten drugi przedmiot. Najwyraźniej była to rzecz równie niezbędna przy podróżach Tam. Tylko dlaczego Catherine nigdy mu o tym nie powiedziała? Odpowiedź była prosta: „Bo właśnie wykrwawiała się na śmierć na środku salonu. Nie było czasu na szczegóły”.

John odwrócił się od krawędzi dachu i podszedł do miejsca, skąd mógł spojrzeć z góry na stojącą na ziemi Sędzię.

– Pomogłaś jej. Myślałem, że pomagasz mnie.

Dziewczyna obserwowała ucieczkę Quin, ale teraz obróciła głowę, aby spojrzeć mu w oczy. Nie odezwała się.

– Gdzie jest sprawiedliwość Sędziów? – spytał, czując, jak znów wzbiera w nim gniew. – Mogłaś zabić mnie tam, w lesie, ale nie zrobiłaś tego. Dobrze wiesz, że athamen powinien należeć do mnie, ale pozwoliłaś jej go zabrać. Dlaczego?

Przez twarz dziewczyny przemknął wyraz niezdecydowania, ale jej usta nadal milczały. Patrzyła na niego badawczo, jakby rozmyślała nad swoim następnym posunięciem.

Ze skrytki pod połą kurtki John wyciągnął drugi athamen – ten, który znalazł pod szatą Dużego Sędzięgo. Kamienny sztylet różnił się od tego, z którym umknęła Quin. Po pierwsze, był mniejszy, mierzył może dwadzieścia pięć centymetrów długości, i w porównaniu z tamtym wyglądał na delikatniejszy. Pokręta na rękojeści też były trochę inne – takie odniósł wrażenie. Czy nie było ich więcej? Każde było wąskie i doskonale dopasowane do sąsiednich. A na głowicy rękojeści, zamiast rysunku zwierzęcia, wryto trzy splecione owale.

John obracał pierścienie po kolei, dotykając symboli wrytych na fasetkach. Każdy z nich mógł wskazywać miejsce lub jakąś możliwość, a razem tych możliwości było nieskończenie wiele.

Trzask pękających gałęzi gwałtownie wyrwał go z zadumy. Pomiedzy

drzewami poruszały się dwie osoby zmierzające w stronę szopy. Pierwszy szedł Duży Sędzia. Stawiał długie, niezgrabne kroki, z szarpnięciem na początku i końcu każdego, jakby stawy w jego ciele mogły w każdej chwili zaklinować się i stanąć.

Drugą osobą był nieznajomy starzec, który – jak stwierdził od razu John – musiał być trzecim Sędzią. Chłopak patrzył, jak mężczyzna stawia niezwykle powolny krok, w którym wszystkie ruchy odbywały się z lodowcową prędkością, po czym wystrzeliwuje naprzód kilkoma susami tak prędkimi, że na chwilę wysforował się przed swojego towarzysza. Następnie cykl powtórzył się i starzec znów został w tyle, spowolniony w kolejnym żółtym stąpanięciu.

Idący razem mężczyźni sprawiali wrażenie filmu wyświetlanego z nierównomierną prędkością. Jednakże kiedy wyszli spośród drzew i ujrzeli Johna na dachu, obaj jednocześnie przestawili się na nowe, niemal oślepiająco szybkie tempo i w mgnieniu oka znaleźli się pod szopą.

– Nie zbliżać się! – zawołał do nich chłopak. – Stójcie albo to rozwałę!

Stary Sędzia stał najbliżej, wpatrując się w Johna wzrokiem, który zdawał się przeszywać go na wylot i śledzić odległe chmury na niebie.

Zapadła cisza. Przez długą chwilę mężczyzna wyglądał, jakby zbierał swój głos, po czym słowa popłynęły mu z ust rytmicznym strumieniem, niczym pieśń:

– To byłoby złym wyjściem dla wszystkich.

– Ale najbardziej dla was – powiedział John. – Odejdźcie, proszę.

Sędziowie nawet nie drgnęli. Tym razem odpowiedziała dziewczyna:

– Nie jest łatwo zniszczyć athamen.

– To kamień, czyż nie? – Chłopak rozejrzał się i podszedł do tej krawędzi dachu, która znajdowała się nad urwiskiem i rzeką. – Nawet kamień pęknie, jeśli spadnie z odpowiedniej wysokości.

Dopiero teraz zauważył, że pierś Dużego Sędziego przecina rana, brocząca krwią. Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi. Patrząc z dołu na Johna, z kamienną twarzą, przypominał posąg, który wykuto dla zilustrowania tylko jednego uczucia: nienawiści.

– Może i tak – zgodził się Stary Sędzia. – A może nie. Postąpiłbyś głupio, próbując. Przedmiot, który trzymasz w ręce, jest jedyny w swoim rodzaju.

John machnął athamenem nad przepaścią.

– Nie jedynym. Quin ma drugi.

– Nie – powiedział Stary Sędzia. – Tamten wygląda podobnie, ale nie jest taki sam. Ten, który trzymasz, jest wyjątkowy.

Chłopak przyjrzał się jeszcze raz kamiennemu sztyletowi i zauważył część, która najwyraźniej była oddzielnym elementem: długą, smukłą głównię z kamienia. Pomysłowo ukształtowana, tkwiła wciśnięta w zagłębienie wzdłuż klingi athamenu, dopasowana tak dokładnie, że na pierwszy rzut oka wydawała się jej fragmentem. Nacisnął koniec kciukiem, a wtedy smukła listewka wysunęła się

z rowka.

Średni Sędzia poruszył się nieznacznie i w jego dłoni pojawił się nóż. John uświadomił sobie, że nawet ranny i oszołomiony mężczyzna prawdopodobnie mógł go zabić z dziecinną łatwością. Starzec powstrzymał go jednak gestem.

– Czy cenisz sobie swoje życie? – spytała Młoda Sędzia.

– Powiedz raczej, czy ty cenisz moje życie – odparł John. – Najpierw mi pomagasz, a potem działasz przeciwko mnie. Nie wolno ci mieć własnego zdania?

– Jeżeli cenisz sobie swoje życie – rzekła, ignorując jego słowa – nie użyjesz narzędzi, które trzymasz w dłoniach. Bez przeszkolenia nie zdołasz ich opanować. Skończą z tobą szybko, a kiedy to się stanie, stracisz athamen i krzesiwo gdzieś w głębinach oceanu albo w ognistym sercu góry. Nigdy ich nie odzyskamy.

John delikatnie stuknął krzesiwem – tak nazwała ten przedmiot dziewczyna – o athamen, nadal trzymając oba przedmioty nad przepaścią. Natychmiast rozległa się niska wibracja. Czuł, jak dudnienie przenika jego płuca i serce, zmieniając oddech i puls. Wypełniało też jego uszy, zniekształcając inne dźwięki. Chłopak w panice odsunął od siebie kamienne główne i czekał, aż wibracja zgaśnie. Stał tak prawie minutę, mocno wzburzony. Jeśli taki był efekt lekkiego stuknięcia, co by się stało, gdyby uderzenie było naprawdę mocne?

Młoda Sędzia miała rację – nawet mając athamen, bez szkolenia nie zdziała zbyt wiele.

Quin go zawiodła. Odmówiła mu pomocy, on zaś nie chciał jej zmuszać. Z drugiej strony, na całym świecie istniała zaledwie garstka osób, które mogły nauczyć go posługiwania się narzędziami Poszukiwacza. Jedną z nich był Briac Kincaid, ale ten prędzej by zginął, niż zgodził się pomóc Johnowi. Młoda Sędzia powinna mu pomóc, ale właśnie pokazała, że nie ma takiego zamiaru. A zatem Quin. Zawsze w końcu zostawała Quin.

Ostrożnie wsunął krzesiwo w zagłębienie w klindze athamenu i stopniowo wzmacniał nacisk, aż z kliknięciem wskoczyło na miejsce. Następnie dobył morfera i trzasnąwszy nim jak biczem, utwardził broń w formie prostego ostrza.

– Zamierzasz walczyć z Sędziami? – spytał Średni, po raz pierwszy przerywając milczenie.

– A mam jakiś wybór? – odpowiedział John.

Stary Sędzia znów poruszył dłonią, dając Średniemu znak: „Zostaw to mnie”. Potem ponownie przeniósł wzrok na chłopaka.

– Zwróć nam nasz athamen, a nie wyrzadzimy ci krzywdy – oznajmił.

John prawie uwierzył, że starzec mówi szczerze. Zerknął w stronę Młodej – nie sposób było odczytać jej uczucia, ale wyczuwał, że pójdzie za Starym. W twarzy Średniego nie zobaczył nic prócz własnej śmierci. Nie miał wątpliwości, że ten człowiek i inni jemu podobni byli odpowiedzialni za zagładę jego rodu. John podjął decyzję.

– Dziękuję za twoje uprzejme słowa – powiedział i wzięwszy potężny zamach, cisnął athamenem najdalej jak potrafił, za krawędź urwiska.

Sztylet zatoczył łuk w powietrzu i opadając ku rzece, znikł im z oczu.

Ręka Starego Sędziego wystrzeliła w górę, wskazując spadający athamen gestem, który nakazywał pozostałym Sędziom ruszyć w ślad za nim. Ale rozkaz nie był potrzebny – Młoda i Średni już biegli ku brzegowi skarpy, szukając ścieżki prowadzącej na dół.

Stary Sędzia spojrział na Johna, ale nie ruszył się z miejsca. Chłopak nie czekał, aby się przekonać, do czego jest jeszcze zdolny starzec. Zbiegł do krawędzi dachu po stronie przeciwnej do urwiska. Tam opuścił się pod okap i zeskoczył na ziemię. Było wysoko, ale wylądował bezpiecznie. Natychmiast poderwał się na nogi i pognął w stronę lasu, nie oglądając się za siebie.

Część trzecia  
Dokąd prowadzą wszystkie drogi

## Rozdział 48

### Shinobu

Nie będę twoim chłopcem na posyłki – wysyczał ze złością Shinobu, przepychając się przez tłum na głównym pasażu Mostu Tranzytowego. Jacyś ludzie przystanęli i spojrzeli na niego zdziwieni. – Co jest? Wyglądam, jakby mówił do was? – ofuknął ich, a kiedy poszli swoją drogą, niektórzy wystraszeni, większość zirytowana, znów zaczął mamrotać: – Ciągłe na Moście, ciągle załatwiam coś dla ciebie... Obiecałaś, że będę miał cię z głowy, a tu proszę.

W rzeczywistości mówił do Quin, mimo iż drobna część jego sponiewieranej świadomości zdawała sobie sprawę, że dziewczyna nie jest obecna przy tej rozmowie. Tym razem nie raczył skorzystać z maski tlenowej wiszącej przy wyjściu z palarni i teraz słał się niebezpiecznie między przechodniami, kierując się w stronę domu Fiony.

Kiedy znalazł właściwy budynek, zastanawiająco przekrzywiony i falujący, pośród wielu mu podobnych w centralnej części Mostu, ogromnym wysiłkiem woli postarał się wyprostować i wyrównać krok. Władze Mostu nie patrzyły przychylnie na odurzonych gości pałających się poza wyznaczonymi strefami.

– Nigdy nie obchodziło cię, co czuję – burknął z wyrzutem do Quin. Mówił z trudem, bełkotliwie, ale dziewczyna była nieobecna, a on miał pewność, że i tak by jej to nie przeszkadzało. – Czego ci trzeba, złotko? Znaleźć matkę? Proszę bardzo! Uratować przed zabójcami? Przygotować kąpiel? A co z moimi potrzebami?!

Zatrzymał się chwiejnie przy drzwiach domu Quin i na chwilę oparł się czołem o drewno, aby pomóc sobie w utrzymaniu równowagi. Potem delikatnie zapukał.

„Czego ja potrzebuję?” – zastanawiał się. Ostatecznie dziewczyna poprosiła go tylko, aby przekazał jej mamie, że z nią wszystko w porządku. Zrobił to już parę dni temu. I jakoś tak wyszło, że został na dłużej.

Drzwi, o które się opierał, otworzyły się gwałtownie, napędzając mu strachu – zdążył już zapomnieć, że pukał. Runął przez próg prosto w ramiona Fiony, kończąc w przykłęku na jednym kolanie, podtrzymywany przez kobietę za koszulę. Ona też nie stała na nogach zbyt pewnie.

– Co z moimi potrzebami? – spytał ją.

– Czego ci trzeba, Shinobu? – odparła Fiona spomiędzy pasm rudych włosów opadających jej w nieładzie na twarz. – Powiedz mi.

Wychyliwszy się do przodu, zdołała zamknąć drzwi, po czym przeciągnęła chłopaka przez przedpokój i posadziła na krześle w gabinecie Quin, kilka razy omal się przy tym nie przewracając. Stół zabiegowy w pokoju przemieniono w łóżko i przykryto prześcieradłem i kocami, pod którymi leżał Brian Kwon,

niczym wielorybie dziecko, wciąż lecząc rany odniesione w walce z ludźmi Johna.

– Czego mi trzeba? – powtórzył Shinobu, usiłując przypomnieć sobie, jak przedostał się przed drzwi wejściowych na krzesło. – Trzeba mi...

Nie był pewien. To miało coś wspólnego z Quin. Pamiętał jej ciało przyciśnięte do swojego; pamiętał, jak obejmował ją ramionami. Wciąż czuł ślady, jakie pozostawił na nim jej dotyk.

– W każdym razie na pewno nie opium – skomentowała Fiona, której też plątał się język. – Tego dostałeś już więcej niż dosyć.

Najwyższym wysiłkiem woli Shinobu skupił wzrok i powiódł nim wokół skąpo oświetlonego pomieszczenia, po półkach z ziołami i pękatej sylwecie Briana obserwującego go z łóżka.

– Tylko dwie fajeczki – rzucił do kobiety.

– Twoje ciało mówi coś innego.

– Może dwanaście... Nie wiem, ale była w tym dwójka. Mogło ich być dwadzieścia, dwadzieścia dwie i dwie dziesiąte, dwieście dwadzieścia dwie...

– Hmm... – Fiona zmarszczyła brwi.

Przeszła do kuchni, po drodze próbując upiąć za głową niesforne włosy. Potem zabrała się za parzenie herbaty.

Brian uniósł się na łokciu.

– Bądź dla niej miły – powiedział. – Nie czuje się... najlepiej.

– Jest pijana.

Od awantury na dolnych poziomach Mostu minęły trzy dni i paskudne rozcięcie na ramieniu Briana zaczynało się goić. Jego połamane żebra owinięto grubo bandażami w sposób, który upodabniał go do ogromnej chińskiej kiełbaski.

– Przepraszam, że nic dla ciebie nie mam, Sandaczku – rzekł Shinobu, zakładając, że to fakt, iż nie przyniósł Brianowi narkotyków, jest powodem, dla którego przyjaciel patrzy nań z wyraźną dezaprobatą. – Wiesz, że nie pozwalają wynosić fajek z lokalu. Musisz być umierający czy coś.

– Jestem zaproszony do domu Mistrza Tana na obiad – oznajmił chłopak. – Mówi, że od dziś mogę zacząć więcej chodzić.

– No, opium to od niego nie dostaniesz.

Brian się nie roześmiał.

– Nie potrzebuję opium. Wystarczy herbata.

– Dobra, Sandi, jak sobie chcesz.

Krzywiąc się, ranny chłopak opuścił nogi z łóżka, siadając na jego brzegu. Bardzo ostrożnie postawił jedną stopę na podłodze. Potem drugą. Bolesny grymas na jego twarzy pogłębił się, kiedy przeniósł na stopy ciężar ciała. Ale po kilku chwilach spędzonych w pozycji pionowej zaczął się rozluźniać.

– Całkiem nieźle dzisiaj – wymamrotał.

Shinobu patrzył, jak Brian kuśtyka przez pokój do krzesła, na którym

czekało na niego czyste i schludnie złożone ubranie. Tam, sycząc z bólu i postępując, zabrał się do naciągania koszulki na głowę. Szło mu ciężko pomimo użycia wielu wyrafinowanych chińskich przekleństw.

– Pomóc ci? – zaoferował Shinobu.

– Lepiej nie – sapnął chłopak. – Wystarczy mi połamanych żeber.

– Może i racja.

Fiona wróciła z herbatą, którą wcisnęła Shinobu w dłoń, przelewając odrobinę przez brzeg filiżanki. Z jej pomocą Brian w końcu zdołał ubrać się i założyć buty, choć jej udział zdawał się raczej wydłużać ten proces. Wyszykowany do wizyty, ostrożnie wysunął jedną stopę przed drugą i powoli wyszedł z pokoju.

– Skoro już wstałeś, zabiorę cię dziś na dolne poziomy! – zawołał za nim Shinobu. – Co ty na to? Fiona nie może trzymać nas tu wiecznie.

– Jak to „trzymać”? – prychnął Brian. – Ona wcale cię tu nie chce. To ty ciągle tu przyłazisz.

– To idziesz ze mną czy nie?

– Skończyłem z opium.

– Dobra, i tak miałem dziś smaka na Srogiego Iwana.

Brian zignorował go. Z brzękiem dzwonek drzwi otworzyły się i zanim ponownie się zamknęły, Shinobu usłyszał jeszcze ciężkie sapanie i przekleństwa odchodzącego przyjaciela.

– Herbata. Już – zarządziła Fiona, pchając mu w twarz filiżankę.

Chłopak siorbnął łyk i natychmiast wypluł napój. Była to jedna z owych zdrowych mieszanek, które Mistrz Tan przyrządzał dla Briana.

– A gdzie twoja herbata? – spytał.

Kobieta spiorunowała go spojrzeniem. Włosy miała już z grubsza upięte, choć spora ich część wciąż zwisała swobodnie, zasłaniając jeden bok jej twarzy.

– Wypijesz herbatę albo natychmiast opuścisz ten dom. I oby cię aresztowali, zanim zejdziesz z Mostu.

– To herbatki są tylko dla ćpunów? Dla alkoholików nie ma? – Wydało mu się niedorzecznym, że zbiera połajanki od kobiety zbyt pijanej, aby mogła choćby prosto stać.

– Nie musisz mnie tak nazywać – powiedziała Fiona, dokładając starań, aby mówić wyraźnie. – Komu szkodzi, że wypiję sobie co nieco od czasu do czasu? Ty bez przerwy szprycujesz się najgorszymi świństwami.

– Jakby to nie było to samo – oburzył się Shinobu.

– Bo nie jest.

– Twoją truciznę sprzedają w butelkach, moją w fajkach, laskach i strzykawkach, ot i cała różnica.

– To nie jest to samo! – Fiona krzątała się przy łóżku Briana, ale pościel za



nic nie chciała z nią współpracować. – Ty nie widziałeś tego, co ja. Nie musiałeś słuchać rzeczy, których wolałbyś nigdy nie usłyszeć, prawda?

– Bez przerwy słucham rzeczy, których wolałbym nie usłyszeć – odparł chłopak. – Chodź ze mną odwiedzić moją matkę, to zobaczysz.

– Twoją matkę? – Kobieta przerwała walkę z łóżkiem, nagle zbita z tropu, ale zaraz znów zebrała myśli. – A masz może córkę, Shinobu? Córkę, która ukryła przed sobą swoją przeszłość, ale wciąż widuje ją w snach? Wyobraź sobie, że kiedy ona widzi pewne rzeczy, ty możesz zobaczyć je także. Że wiesz dokładnie, jakie rzeczy musiała robić. Jakie rzeczy pozwoliłam jej robić.

Shinobu patrzył, jak Fiona ścieli łóżko Briana. Niesforne pasemka rudych włosów wciąż opadały jej na twarz, ale z chwili na chwilę była coraz bardziej trzeźwa.

– Widzisz tylko to, co na powierzchni – ciągnęła. – Nigdy nie byłeś żoną Briaca Kincaida. Gdybyś był, nie chciałbyś zaglądać do jego umysłu, uwierz mi. Sam nie odmówiłbyś sobie paru głębszych, żeby świat wydawał się miłszy.

Chłopak na próżno szukał w głowie odpowiedzi. Może i była pijaczką, ale... czy nie starała się być dobrą matką dla Quin? Zresztą wciąż kręciło mu się w głowie, więc po prostu skupił się na sączeniu swoich paskudnych ziółek.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Fiona ogarnęła się szybko i wyszła z gabinetu, aby otworzyć. Kilka chwil później Shinobu usłyszał oficjalnie brzmiące głosy domagające się wstępu do domu. Poszukiwano młodych ludzi zamieszanych w rozróbę, która rozpętała się na dolnych poziomach Mostu na początku tygodnia.

Usłyszał, jak kobieta odpowiada spokojnym i stanowczym głosem, prawie nie zniekształcając słów. Spytała, dlaczego wybrano akurat jej dom. Shinobu nie czekał, aby poznać odpowiedź. Groźba aresztowania przez tutejszą policję wzbudziła w nim panikę. Władze Mostu były bardzo surowe i choć nie mogły wtrącić go za kratki, z łatwością odcięłyby mu dostęp do narkotyków – być może na stałe.

Poderwał się na równe nogi, cicho wbiegł po schodach na górę i wyskoczył na balkon. Nigdy nie dowiedział się, co zostało powiedziane potem, ponieważ w chwili, kiedy znów ujrzał Fionę, był już ponad jej domem, między belkami baldachimu Mostu, i patrzył na główny pasaż ze stalowej grzędy niedostępnej dla nikogo, poza takimi samymi szczurami ściekowymi jak on. Zakaz wstępu na Most uczyniłby jego życie wielce nieprzyjemnym.

Ze swojego miejsca na wysokości ujrzał, jak kobieta opuszcza dom, wciąż nieco chwiejnym krokiem, otoczona przez kilku mężczyzn, z których dwaj trzymali ją pod ręce, co wyglądało, jakby szła z nimi niezupełnie z własnej woli. Podczas gdy przycupnięty w swojej kryjówce patrzył, jak znikają w tłumie, natrętna myśl próbowała przebić mu się do świadomości: „Coś tutaj nie gra”.

Dopiero wiele godzin później, kiedy opium wywietrzało mu z głowy, uświadomił sobie kilka spraw. Po pierwsze, mężczyźni, którzy uprowadzili Fionę, wcale nie należeli do tutejszej policji, bo nie mieli mundurów. Po drugie, jednym z owych ludzi był John. Po trzecie, Shinobu zatrzymał się u Fiony, bo czuł, że powinien ją chronić (choć za nic nie chciał tego przyznać), a jednak nafaszerował się narkotykami i uciekł przy pierwszej najdrobniejszej sugestii zagrożenia – i to nie zagrożenia dla jego życia lub zdrowia, ale dla jego dostępu do substancji odurzających.

Te trzy myśli wykazywały jasno coś jeszcze. On, Shinobu MacBain, były Poszukiwacz, a obecnie szkocko-japoński nurek i opiumista, mógł powtarzać sobie do upadłego, że przynajmniej wciąż jest dobrym człowiekiem, ale w rzeczywistości był całkowicie bezwartościowym ludzkim śmieciem. Dokonywał złych wyborów w najistotniejszych kwestiach, a za jego błędy płacili inni: ludzie, których zabijał podczas wypraw z Briakiem, Akio, który otarł się o śmierć, jego ojciec udreńczony przez tańczące iskry, a teraz Fiona, schwytna i uprowadzona tuż pod jego nosem.

## Rozdział 49

### Maud

Słońce już zachodziło. Policzek Młodej Sędzi eksplodował bólem w miejscu, gdzie ugodziła weń pięść Średniego. Dziewczyna padła na kolana przy ognisku, które rozpalili w pobliżu ruin zamku. Przyjęła cios biernie, zdecydowawszy, że nie będzie się bronić.

– Dlaczego jej pomogłaś? – spytał Średni.

Spróbowała wstać, ale wtedy pchnął ją butem, powalając z powrotem na ziemię. Spoglądał na nią z góry, jakby była szczurem, którego zamierzał poćwiartować. Bardzo powoli.

– Nie ma powodu do gniewu – powiedział jej mistrz.

Mężczyzna siedział po drugiej stronie ogniska, opatrując Briaca Kincaida, który cierpiał katusze, odkąd wrócił do normalnego strumienia czasu. Stary Sędzia oczyścił mu rany i przy akompaniamencie jego potępieńczych wrzasków wydobył z nich pociski. Teraz okładał je ziołami, które zebrali w lesie, i bandażował ciasno pasami sukna, podczas gdy Briac wciąż miotał się i jęczał głośno.

Młoda i Średni zeszli stromą ścieżką prowadzącą od szopy na szczycie urwiska do brzegu rzeki poniżej. Tam dziewczyna przepłynęła na drugi brzeg po athamen, który wylądował w mule, nie odnosząc żadnej szkody. Teraz znajdowali się przy ruinach zamku, gdzie trenowała setki razy w ciągu minionych setek lat, podczas gdy forteca stopniowo rozpadała się na kawałki, z wolna pochłaniane przez trawę i ziemię.

Średni opanował głos i spytał jeszcze raz:

– Dlaczego pomogłaś dziewczynie?

Młoda Sędzia podniosła się do pozycji siedzącej i wierzchem dłoni otarła kroplę krwi z kącika ust.

– Nie jest po prostu dziewczyną – powiedziała, podnosząc wzrok na swojego oprawcę. – Jest zaprzysiężoną Poszukiwaczką, ostatnią posiadaczką rodzinnego athamenu i była w niebezpieczeństwie. Dlaczego miałabym jej nie pomóc?

Jej mistrz odezwał się łagodnym tonem:

– Briac Kincaid jest najstarszym z jej rodu. Wedle jego osądu sztylet należy się jemu.

– Wierzymy, że athamen kończy w rękach tego, do kogo należy, czyż nie? – odparowała.

Briac z wielkim wysiłkiem podźwignął się do siadu i spojrzał na nią przez ogień. W jego twardych oczach dostrzegła tylko nienawiść.

– Nie! – powiedział, tocząc ciężką walkę z bólem o panowanie nad głosem. – Wtrąciłaś się i dałaś jej krzesiwo. Pozwoliłaś jej odejść z czymś, co należy do mnie. Sędziowie muszą to dla mnie odzyskać.

– Zrozumiałaś? – spytał Średni. – Popełniłaś błąd. Aby go naprawić, musimy teraz odzyskać athamen Briaca Kincaida i zaprowadzić sprawiedliwość.

Oto Średni znów przychodził z odsieczą temu mężczyźnie, naginając prawo, aby służyło tylko jemu. Młoda Sędzia zachodziła w głowę, jakież to sekrety Briac skrywał dla niego, jaką władzę nad nim posiadał. Sama wiedziała o wielu plugawych uczynkach, jakich dopuścił się Średni, ale mężczyzna musiał wiedzieć więcej. Była gotowa założyć się, że wiele z tych czynów popełnili wspólnie.

– Sprawiedliwość? – zadrwiła. – Mistrzu, co oznacza to słowo w jego ustach?

Stary Sędzia spojrział jej w oczy ponad ogniskiem, ale się nie odezwał.

– Czy jesteś Sędzią? – spytał Średni. – Którego wyroków obawiają się Poszukiwacze? Popełniłaś błąd i musisz go naprawić.

– A ty? – odparowała. – Czy ty naprawisz swoje błędy?

Jego ciężka pięść wystrzeliła w jej stronę, ale tym razem dziewczyna nie życzyła sobie zostać uderzoną. Szarpnęła się w bok, falistym ruchem odsuwając się od niego. W jej dłoni, jak za sprawą magii – bez udziału świadomej myśli – pojawił się nóż. Zamachnęła się na Średniego i ostrze zderzyło się dźwięcznie z jego własnym nożem, którego zdążył dobyć w tym samym ułamku sekundy. Obie klingi zaśniły pomarańczowo w blasku ognia.

– Dość – powiedział Stary Sędzia.

Młoda i Średni zastygli w bezruchu, ale nie cofnęli ostrzy.

– Czy jestem osobą, mistrzu? – spytała Młoda.

– Niepotrzebne pytanie, dziecko – odpowiedział.

– Jestem osobą czy rzeczą, mistrzu? – naciskała. – Czy mam własną wolę?

– Masz wolę – odparł.

– Przekazałeś mnie pod opiekę Średniemu i kazałeś być mu posłuszną.

– Czy to właśnie powiedziałem, dziecko? – Słowa Starego Sędziego spływały na nią łagodnie.

Jej nóż świsnął w powietrzu. Średni odbił go własnym i niemal w tej samej chwili jego lewa dłoń wystrzeliła pchnięciem, trzymając drugi nóż, który nagle się w niej pojawił.

Średni prawidłowo opatrzył ranę na własnej piersi, ale nadal był osłabiony i Młoda miała nadzieję, że zapewni jej to przewagę. Jak sprężyna odbiła w bok, wyslizgując się spod ciosu i jednocześnie dobywając drugiego noża z pochewki u pasa.

– Przysięga sędziów każe nam pilnować przestrzegania trzech reguł i stronić od ludzkich spraw, aby nic nie mąciło naszego osądu – powiedziała. – Mistrzu, czy wiesz, co się stało z Młodym Sędzią przede mną?

Średni natarł na nią obiema rękami, ale odparła ciosy.

Starzec nie odpowiedział.

– Czy wiesz, co się stało z Młodym Sędzią przede mną? – spytała jeszcze raz. – I co się stało z matką Johna? Czy Średni wyjawiał ci to? Tylko moją przysięgę zawsze ma na ustach. Co z jego własną?

Średni się nie odzywał. Starzec, siedzący po drugiej stronie ogniska, przypatrywał się jej bez słowa i dziewczyna uświadomiła sobie, że jej mistrz wiedział – a przynajmniej miał pewne podejrzenia – o czynach, których Średni Sędzia dopuścił się pod jego nieobecność. Zresztą jakże mógł nie wiedzieć? Czytał Młodej Sędzi w myślach z taką samą łatwością, z jaką oddychał. Umysł Średniego z pewnością również nie miał przed nim tajemnic.

Kiedy znalazła swojego mistrza w posiadłości, powitała go z wielką radością, przekonana, że nareszcie zaprowadzi sprawiedliwość. Ale okazuje się, że on wiedział o ciemnych sprawkach Średniego i nie kiwnął palcem, aby go powstrzymać. W błysku olśnienia pojęła, że Stary Sędzia, jej dobry mistrz, był w jakiś sposób powiązany z tym potworem.

Ale ona nie była.

– Pozwól mi go zabić! – powiedziała.

Jej mistrz nie wydał z siebie słowa i w tamtym momencie jego milczenie samo w sobie niosło pewną odpowiedź. Jeśli Stary Sędzia nie rozkazał jej poniechać ataku, to cóż mogło ją powstrzymać? Mogła usunąć Średniego ze swojego życia. Mogła odplacić mu za tak wiele krzywd...

Jej ciało przestawiło się na pełną szybkość bojową. Noże śmignęły w blasku ognia, kreśląc pomarańczowe smugi w powietrzu. Średni zareagował niemrawo. Wciąż jeszcze w pełni nie doszedł do siebie po długim pobycie Tam. Rzuciła się naprzód i wtedy spostrzegła swój błąd.

Średni zwabił ją na nierówny grunt. Zachwiała się, łapiąc równowagę, a wtedy, jednym błyskawicznym ruchem, wyłamał jej nóż z dłoni i grzmotnął w ucho rękojęścią. Dziewczyna runęła w piach.

Zanim otrząsnęła się z zamroczenia, przydepnął jej lewy nadgarstek, unieruchamiając dłoń i tkwiące w niej ostrze. Potem pochylił się i wsunąwszy jej dłoń za kołnierz, starannie rozerwał jej koszulę od szyi aż po brzuch. Odrzucając na bok rozdarty materiał, odsłonił jej małe piersi. Chciała się zasłonić, ale zanim zdążyła się ruszyć, nadepnął jej także na prawą rękę. Stał nad nią, patrząc na jej nagość z odrazą. Po chwili pochylił się tak nisko, że poczuła jego oddech na twarzy, i bardzo mocno uszczypnął ją w pierś. Kiedy przez twarz przemknął jej wyraz bólu, uśmiechnął się.

– Jeszcze nawet nie kobieta – powiedział płaskim głosem. – Jesteś tylko małą dziewczynką. Zostałaś Sędzią tylko dlatego, że zabrakło nam kogoś lepszego. Twój mistrz wie, że nie jesteś warta nawet czasu potrzebnego, aby cię zabić.

Mierzył ją wzrokiem jeszcze przez kilka sekund, dając do zrozumienia, że jest zdana na jego łaskę. Potem odstał od niej.

Młoda Sędzia naciągnęła na siebie płaszcz i skuliła się pod nim na zimnej ziemi. Gniew i upokorzenie na długi czas odebrały jej chęć wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Znacznie później Młoda Sędzia siedziała w miejscu, w którym Średni powalił ją na ziemię, opatulona płaszczem zakrywającym strzępy jej koszuli. Przez pewien czas kołysała się rytmicznie w przód i w tył, ale kiedy zdała sobie z tego sprawę, natychmiast przestała. Postanowiła, że opanuje nienawiść. Będzie siedzieć w całkowitym bezruchu.

Briac zapadł w niespokojną drzemkę. Jego pojękiwania słabły, ustępując miejsca bełkotliwemu mamrotaniu przez sen. Średni Sędzia, owinięty szczelnie w swój płaszcz, leżał przy ognisku na wznak, z zamkniętymi oczami.

Młoda Sędzia nie mogła oderwać od niego wzroku. Patrzyła, jak pierś unosi mu się i opada – pierś, w której wnętrzu musiało kryć się serce, odmierzające puls, utrzymujące go przy życiu. „Dopóki nie przestanie bić” – pomyślała.

Jej mistrz nie zrobił nic, aby pomóc jej w uśmierceniu Średniego. Być może pozwolił jej stoczyć tę walkę tylko po to, aby dać jej nauczkę, pokazać, że Średni zawsze będzie w stanie ją pokonać i dlatego powinna być posłuszna.

Delikatne palce dotknęły boku jej głowy, badając ucho, które Średni zranił rękojeścią noża. Miała tam rozciętą skórę – czuła to.

– Nie wygląda to źle – powiedział Stary Sędzia, oglądając ranę w blasku ognia.

Po chwili poczuła chłodną ulgę, kiedy zaczął okładać jej ucho balsamem z rozartych ziół.

– Pokaż mi tę drugą ranę – rzekł. – Tę, która niby nie jest jego sprawką.

Młoda odchyliła płaszcz i pozwoliła mu obejrzeć bliznę z boku brzucha, gdzie Średni dźgnął ją nożem. Tkanka pod skórą była twarda i zgrubiała, ale linia cięcia już zanikała. Medycyna tej epoki robiła dziwne rzeczy z jej ciałem, pozwalając ranom zagoić się niemal bez śladu. Stary Sędzia powiódł palcem wzdłuż cienkiej blizny.

– Jest okrutny – powiedział po chwili.

– Jest okrutny. A ty pozostawiłeś mnie pod jego rozkazami, mistrzu.

– On jest mój – odparł starzec. – Stworzyłem go takim, jaki jest. Walczy dobrze, choć ze złych pobudek. Zabija często i niepotrzebnie. I popełnia błędy, takie jak podróż Tam z obrażeniami dość poważnymi, aby rozproszyć jego uwagę. Mógł utknąć pomiędzy na zawsze.

Młoda rozważała te słowa, utrzymując neutralny wyraz twarzy. Jej mistrz mówił dalej:

– Złożyłem jednak pewne obietnice... – Przerwał na chwilę. – Przykro mi, że musisz żyć w jego towarzystwie.

„Zatem pozwól mi go zabić!” – chciała wywrzeszczyć mu w twarz. Ale

wyszeptała tylko:

– Co się stało z naszą szlachetną sprawą, mistrzu?

Było to pytanie, które zadała Quin, ale także jej własne pytanie od wielu stuleci.

Starzec nie odpowiedział od razu. Przez chwilę wydawał się zagubiony w kręgu własnych myśli.

– Athamen stworzono po to, aby pozwalał wielkiemu umysłowi, potężnemu umysłowi, na przekraczanie granic ludzkiego życia – rzekł wreszcie powoli, poważnym tonem. – Dlaczego taki umysł miałby być przykuty do jednego miejsca? Jeśli mógłby swobodnie się poruszać, swobodnie działać, wyobraź sobie, czego mógłby dokonać. Poszukiwacz, posługujący się athamenem, może pojawić się gdziekolwiek: wewnątrz pilnie strzeżonej twierdzy, w prywatnej komnacie króla, na słynnym uniwersytecie na drugim końcu świata. W ten sposób może... pomagać losowi. Może poszukiwać najlepszej drogi dla ludzkości, czyż nie? Było moim głębokim przekonaniem, że wielkie umysły wyposażone w odpowiednie narzędzia mogłyby zmieniać historię.

Oczy starca zwróciły się na nią. Patrzyły niemal błagalnie, prosząc o zrozumienie.

– Widzieliśmy już takie zmiany. Poszukiwacze wpływali na przebieg wielkich bitew, obalali tyranów...

– Ale to nie wszystko, czym się zajmowali, czyż nie, mistrzu?

Potoczył wzrokiem po obozowisku i dogasającym ognisku.

– Nie – przytaknął. – Byli i tacy, którzy nadużywali athamenu, pchani do działania chciwością, podłością, żądzą zemsty.

– Było ich całkiem sporo.

– Mamy swoje prawa. – Były to słowa protestu, ale zabrzmiały pusto, jakby z głosu starca wyssano życie.

– Mówisz tak, jakby wszystko zaczęło się od ciebie – powiedziała Młoda. – Jakby athamen pochodził od ciebie. Czy tak jest? – Odwróciła nieznacznie głowę, aby spojrzeć na mistrza, który uniósł kącik ust w półuśmiechu.

– Athamen... – westchnął starzec. – Jego pochodzenie to opowieść na przyszły czas, dziecko. Jeżeli jestem pierwszym, to jestem także ostatnim. Ale która strona naszej historii jest początkiem? Która jest końcem? Pomiędzy terażniejszością a końcem, albo początkiem, muszę spędzać dużo czasu we śnie, rozciągnięty, starając się pozostać przy życiu, aby móc zaprowadzać ład. Nasze ciała nie są stworzone do robienia rzeczy, do których robienia my, Sędziowie, wciąż je przymuszamy. Obciążane zbyt mocno, nie znoszą tego dobrze. Znów zostałem przebudzony zbyt wcześnie. Zawsze jest zbyt wcześnie. Obawiam się, że potrzebowałbym tysiąca lat snu, aby nadrobić swoje zaległości. Nie mam aż tyle czasu. Uporamy się z tym tu i teraz, a potem znowu się rozciągnę.

Zapadła cisza i dopiero po dłuższej chwili Młoda Sędzia ośmieliła się zapytać:

– Czy byłeś wielkim umysłem, mistrzu?

Twarz starca rozjaśnił szczerzy uśmiech.

– Czemu nie pytasz, czy *jestem* wielkim umysłem? Bo gadam te wszystkie banialuki? Otóż musisz wiedzieć... Tak, kiedyś sądziłem, że jestem wielkim umysłem.

– A teraz?

– Teraz nie ma to znaczenia. Wielkie umysły nie są tym, czego potrzebuje świat, moje dziecko. Potrzebne są dobre serca. Dobre serce wybiera mądrze.

– Jak odnaleźć dobre serce, mistrzu?

– Trzeba łutu szczęścia, dziecko, bez tego ani rusz. A ty byłeś dla mnie prawdziwym uśmiechem losu.



## Rozdział 50

### Shinobu

Skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym dać ci coś takiego? – spytał Mistrz Tan Shinobu.

Mężczyzna stał przy stole w swoim gabinecie i rozcierał jasnozieloną roślinę w porcelanowym moździerzu. Jego ręce pracowały wprawnymi ruchami eksperta, podczas gdy oczy badały zawstydzoną twarz gościa.

– Życie to wybór – rzekł Shinobu. – Słyszałem, jak mistrz powiedział to Quin.

– Kiedy to powiedziałem? – Uzdrowiciel podniósł szczyptę ziela do oczu, sprawdzając jego konsystencję, po czym strzepnął palce i wrócił do rozcierania.

– No... wie mistrz.

– Ach! – Mężczyzna przypomniał sobie. – Być może faktycznie powiedziałem wtedy coś takiego. To był wieczór pełen wrażeń. Rzecz jasna, wybrała życie.

Mistrz był żywym antykiem o rosochatych dłoniach, jednocześnie silnych i miękkich, a na jego twarzy prawie nie było zmarszczek. Patrzył na Shinobu z zainteresowaniem, z jakim mógłby oglądać nowe zioło na targu w Koulunie.

– Ona mogła umrzeć, gdyby tylko chciała. Dał jej mistrz wybór – nalegał chłopak. – Sam słyszałem.

– Tak ci się wydaje? Że nic tylko pomagam ludziom umrzeć? – spytał starzec, jakby zafascynowany tą ideą. – Czy dlatego tak wielu klientów odwiedza mnie w moim sklepiku? Bo to najkrótsza droga do piachu?

– Przecież lubisz pomagać ludziom, mistrzuniu – prychnął Shinobu ponuro. – Dlaczego nie możesz pomóc mnie i po prostu dać mi, o co cię proszę? Jestem...

Chciał powiedzieć: „Jestem ćpunem, który zawiódł wielu dobrych ludzi, kiedy na niego liczyli, a co więcej, jestem mordercą”. Odkrył jednak, że nie jest w stanie wypowiedzieć tych słów. Rozpłynęły się w gardle, zanim zdążył otworzyć usta, aby wypuścić je na świat – tak jak rozpierzchnęło się wyznanie o Alistairze w polu rozrywacza, zanim zdążył opowiedzieć o jego śmierci matce.

Nie miał zamiaru sprzeczać się ze starcem. Postanowił już, co zrobi i doświadczał uczucia spokoju i pogodzenia ze sobą na myśl o mrocznej nieuchronności tego, co miało nastąpić.

„Powinienem było to zrobić już rok temu” – pomyślał.

Przez chwilę oglądał w milczeniu swoje stopy, po czym zmienił taktykę.

– Nikt nie będzie za mną tęsknił, Mistrzu Tan, chyba że właściciele narkotykowych spelun na dolnych poziomach, a i w to raczej wątpię. Męczyli mnie, żebym się kąpał, ale ja nie lubię...

– Jakie to narkotyki, najczęściej? – spytał mężczyzna z nagłym

zainteresowaniem. – Pytam, co najchętniej brałeś. Opium? Srogi Iwan? Które narkobary będą tęsknić najbardziej?

– A co to za różnica? – odburknął Shinobu. Pytania zaczynały go złościć. Nagle stracił ochotę na rozmowę.

– Nie robię takich rzeczy codziennie. Muszę mieć powód, aby ci pomóc. Proszę, powiedz mi, jak nisko upadłeś. Co zażywałeś?

Westchnąwszy ciężko, chłopak zaczął recytować długą listę substancji. Mistrz Tan skrzętnie wszystko notował, potrząsając głową i mamrocząc komentarze w rodzaju: „Straszne, straszne. Papierosy też? Ojejku. I wódka? Doprawdy, młody człowieku...”.

W końcu Shinobu poczuł, że traci wątek. Wepchnął ręce głęboko do kieszeni i zaczął tłumaczyć:

– Niech pan posłucha... Mój ojciec... – Urwał. Spróbował jeszcze raz: – Moja matka i brat, i Fiona, oni... potrzebują ochrony. To ich ochroni. Czy mógłby mistrz pomóc mi zrobić tę jedną rzecz w życiu jak należy?

– Czekaj, czekaj. Powiedz mi. Ta jedna rzecz, odebranie sobie życia, ma naprawić inne rzeczy, tak?

Shinobu wzruszył ramionami.

– Tamtych rzeczy nie mogę naprawić. Co się stało, to się nie odstanie. Ale mogę sprawić, żeby wszyscy przestali na mnie polegać. Mogę powstrzymać siebie od zawalenia kolejnej ważnej sprawy. Bo ja zawalę ją na pewno. Rozumie pan?

Mistrz Tan przyglądał mu się w milczeniu przez dłuższy czas, jak gdyby ważył w głowie decyzje.

– Obawiam się, że twój argument trafił mi do przekonania – powiedział wreszcie. – Nie będę cię powstrzymywał.

Shinobu, który przez cały czas wpatrywał się we własne buty, był trochę rozczarowany tą nagłą zgodą, ale ostatecznie właśnie po to tu przyszedł.

Staruszek odłożył miksturę, nad którą pracował, i podszedł do gigantycznej komody, wznoszącej się aż po sklepiony strop pomieszczenia. Niezwykły mebel zawierał szeregi maleńkich szufladek – z pewnością było ich ponad tysiąc – z których każdą opisano kaligrafowanymi chińskimi znakami i do których dostęp dawała drabina na kółkach. Popychając ją to tu, to tam, Mistrz Tan wspinał się do wybranych skrytek i napełniał ich zawartością foliową torebkę. Za każdym razem, kiedy Shinobu był przekonany, że staruszek już kończy, ten przypominał sobie o czymś i znów włąził na drabinę. W ten sposób upłynęło prawie pół godziny. Torba pękała już w szwach. Nucąc beztrąsko pod nosem, uzdrowiciel dosypał do niej ostatni składnik i zszedł na podłogę.

– Szybciej umrę tu z nudów – mruknął chłopak.

Był wdzięczny Mistrzowi Tanowi za pomoc, ale wesołość staruszka zaczynała poważnie działać mu na nerwy. Czyż nie miał prawa oczekiwać od

uzdrowiciela, aby choć troszkę przejął się sytuacją?

Wciąż nucąc cicho, mężczyzna minął Shinobu i zabrał się do parzenia naparu z przygotowanej mieszanki ziół.

– Wolałbym, abys nie odbierał sobie życia – oznajmił takim tonem, jakby rozmawiał o pogodzie. – W istocie niewiele mnie to obchodzi, ale władze Mostu Tranzytowego wymagają ode mnie, abym powiedział, że wolałbym, abys się nie zabijał. Nie wyglądałoby to dobrze, gdyby uzdrowiciele otwarcie pomagali ludziom popełniać samobójstwa. Jestem pewien, że to rozumiesz.

Shinobu skinął głową.

Wkrótce napar był gotowy i mężczyzna przelał płyn do dużego termosu.

– Musisz wypić wszystko naraz – poinformował chłopaka – żeby nikt nie znalazł potem żadnych śladów. Proponuję, żebyś wybrał sobie jakieś bezpieczne i spokojne miejsce, ale w pobliżu miejskich zakładów utylizacji odpadów. Może w jakimś kontenerze na śmiecie. Wtedy twój trup sprawi najmniej kłopotów. I zrób to wkrótce. Ta herbatka nie zachowuje mocy zbyt długo.

Shinobu porwał termos z rąk Mistrza Tana i niedługo później kluczył wśród stalowych belek zewnętrznej konstrukcji Mostu, przyciskając pojemnik do piersi. Był blisko strony kouluńskiej i ze swojego miejsca widział światła miasta przebijające się przez gęstą mgłę po jego prawicy. Idąc po wąskim dźwigarze, oddalał się od serca Mostu w stronę krańców jego struktury. Wkrótce, daleko pod sobą, zobaczył wodę, tego wieczoru atramentowo czarną pod oparem mgły.

– „Wolałbym, abys nie odbierał sobie życia” rzekł mistrzunio, sypiąc do rondla trującą zielsko – zadrwił Shinobu. – Normalnie nie mógł się doczekać, kiedy się mnie pozbędzie. Człowiek wie, że stuka w dno od spodu, kiedy nawet uzdrowiciel życzy mu mogiły.

Zatoka nie była tu tak głęboka, jak pod środkową częścią mostu. Chłopak uznał, że płytsza woda będzie lepszym wyborem. Znajdą jego trupa szybciej i jego matka nie będzie musiała czekać w niepewności, nie wiedząc, co się z nim dzieje. To prawda, śmietnik gwarantowałby jeszcze szybsze powiadomienie Mariko, ale skok był jego ubezpieczeniem: dwie zastosowane równocześnie metody śmierci były pewniejsze niż jedna. Poza tym wolał nie umierać w śmietniku bez względu na to, jak szalenie czarujący wydał się ten pomysł Mistrzowi Tanowi.

Dotarłszy do końca belki, Shinobu usiadł z nogami dyndającymi nad przepaścią. Ostrożnie odkręcił wieko termosu, powąchał zawartość i wzdrygnął się z obrzydzeniem. Napar wydzielał mdlący zapach i był gęsty prawie jak melasa. Zrobiło mu się żal, że miała to być ostatnia rzecz, jakiej kosztował w swoim życiu. Powinien był kupić sobie lody do zjedzenia po wypiciu trucizny.

– „Następnym razem, kiedy pójdę się zabić, muszę to sobie lepiej zaplanować – pomyślał. – Ha, ha”.

Wychylił się i spojrzął w dół, pod swoje stopy, upewniając się, że ma wolną

drogę do samej wody. Nie uśmiechało mu się odbijać od stalowych kratownic podczas lotu w dół. Belka, na której usiadł, sterczała dalej niż jej sąsiadki. Pod sobą miał ponad czterdzieści pięć metrów pustki. Doskonale.

Nie było sensu przeciągać sprawy. Gdyby się zawahał, mógłby zmienić zdanie, a wtedy prawdopodobnie znowu by kogoś zdradził – zapewne tym razem Quin. Nie chciał tego.

„Teraz, kiedy cię znalazłem, Quin, nie mogę sobie zaufać, że zachowam dystans”.

Zatkał sobie nos i wypił zawartość termosu na jednym oddechu.

Efekt był natychmiastowy. Żołądek ścisnął mu się tak nagle i mocno, że Shinobu zgiął się wpół, odruchowo łapiąc za krawędź belki, aby nie zsunąć się w przepaść.

Kiedy pierwszy skurcz zelżał, podźwignął się z wysiłkiem i wstał. Zaczynał dygotać. Gwałtownie. Po chwili zaczął się kolejny atak i chłopak ledwie zdołał utrzymać się na nogach.

Odrzucił pusty termos i po kilku chwilach usłyszał pod sobą odległy plusk. Opierając się o ukośną rozpórkę, rozebrał się do bielizny i cisnął ubranie do wody w ślad za termosem.

Wstrząsał nim dygot i skurcze tak silne, że musiał iść, przesuwając stopy centymetr po centymetrze w obawie, że straci równowagę, zanim będzie gotowy. Nareszcie dotarł do samego końca belki i zatrzymał się z palcami poza krawędzią. Zacerpnął tchu, szykując się na koniec wszystkiego.

I skoczył.

Żołądek podszedł mu do gardła, adrenalina runęła potokiem przez żyły. Spadał! Za chwilę umrze!

To był długi upadek – dość długi, aby Shinobu miał czas podziwiać przelatujący mimo stalowy szkielet mostu; dość długi, aby mógł kontemplować czarną wodę, mknącą ku niemu przez mgłę. Zamierzał uderzyć w nią płasko, brzuchem, co zabiłoby go na miejscu, ale podczas gdy leciał na łeb na szyję, wziął w nim górę instynkt doświadczonego skoczka (wcześniej nie raz rzucał się z mostów do wody dla zabawy). Całkiem mimo woli spadł do zatoki w doskonale pionowej pozycji, stopami w dół, przebijając powierzchnię fachowo niczym *high-diver* skaczący z urwiska ku ucieście turystów.

Plan zapasowy zakładał, że wbije się w dno z wystarczającą siłą, aby zabiło go to wtórne uderzenie. Niestety, pomylił się co do głębokości zatoki w tym miejscu. Być może faktycznie było tam płycej niż pod środkiem Mostu, ale woda zdążyła wyhamować jego pęd, zanim dotknął dna. Kilka chwil po skoku Shinobu unosił się w ciemnej głębinie, daleko pod powierzchnią, wciąż żywy i w jednym kawałku. Przejmujące zimno przyprawiło go o wstrząs, ale jednocześnie złagodziło ból żołądka.

Doświadczenie mówiło mu, że jego ciało wkrótce zmusi go do zachłyśnięcia się wodą, ale na razie miał w płucach zapas powietrza na pół minuty, może trochę dłużej, ponieważ przed skokiem wziął głęboki wdech. Dlatego zamiast ku powierzchni zanurkował głębiej, płynąc na oślep w dół.

Z każdym potężnym wymachem ramion Shinobu wciągał się dalej w głębinę, ale jednocześnie działo się z nim coś dziwnego – coś, czego nie mógł zrzucić na karb grozy i zastrzyku adrenaliny po skoku. Żołądek nadal skręcał mu się w supły, a mięśnie dygotały jak w febrze, ale odczucie silniejsze od każdego z tych dwóch z osobna stopniowo zaczynało dochodzić do głosu. Tak, do głosu: jego ciało mruczało.

To było dziwne słowo, ale zdawało się pasować najlepiej. Wciąż płynął w stronę dna, ale czuł się tak, jakby wszystkie komórki jego ciała wibrowały, każda z osobna, a czyniąc to, otrząsały się z najprzeróżniejszych rzeczy, nie tylko fizycznie.

Najpierw narkotykowa pomroka, którą jego umysł nasiąkał przez półtora roku, została mu dosłownie wytrzepana z głowy. Podczas gdy miarowymi ruchami ramion przeciągał się przez czarną wodę, doświadczył nagle mentalnego wyostrenia, jakiego nie czuł od wieków. Następnie jego serce, pobudzone wibracją, wybuchło wściekłym łomotem i zaczęło pompować krew w opętańczym tempie niczym partyzant witający Nowy Rok serią z karabinu maszynowego. Płuca Shinobu zaczynały domagać się powietrza, ale on płynął coraz głębiej.

Wreszcie wibracja zaczęła wytrząsać wspomnienia:

Znajdował się w posiadłości, przy szopie nad urwiskiem. Szukał Quin. Był już wszędzie i w końcu uświadomił sobie, że dziewczyna musi kryć się właśnie tutaj. Poprzedniej nocy wykonali swoje pierwsze zadanie jako Poszukiwacze. Jego nowe piętno, wypalony na nadgarstku athamen, pulsowało bólem pod opatrunkiem. Mdłości skręcały mu żołądek od prawie dwudziestu czterech godzin.

Zamierzał odnaleźć dziewczynę i zabrać ją ze sobą. Przekona ją do wyjazdu i opuszczą posiadłość jeszcze dziś tak, jak stali. Mogli przepłynąć się przez rzekę u podnóża skarpy i pójść przeciwnym brzegiem do najbliższego miasteczka.

Quin zapewne wciąż kochała Johna, ale przekona się do Shinobu. John wyjeżdżał – Briac wyrzucił go z posiadłości. To Quin i Shinobu powinni stanowić parę. Mogli zapomnieć o minionej nocy, zapomnieć o posiadłości, odejść dokąds, gdzie już nigdy nie będą musieli oglądać swoich rodziców. I pewnego dnia, kiedy będą bezpieczni gdzieś daleko, razem, ona spojrzy na niego i pomyśli o nim inaczej. Wtedy ją pocałuje...

Podchodząc do wrót szopy, zdumiał się, słysząc dobiegające z wnętrza głosy. Przystanął na progu i nadstawił ucha. Usłyszał głos Quin i... Johna. A więc John dotarł tu pierwszy.

Shinobu wstąpił bezszelestnie w półmrok szopy. Quin i John byli na

antresoli. Mówili cicho, ale brzmiało to jak sprzeczka. W nagłym przyplywie nadziei chłopak pomyślał, że być może jest świadkiem zerwania. Zaczął przesuwając się wzdłuż ściany i po chwili zobaczył Johna stojącego naprzeciwko okrągłego okna na platformie z desek.

Czekał, skryty w cieniu. Quin w końcu odeśle chłopaka, a wtedy Shinobu wejdzie po drabinie i przekona ją. Nawet gdyby wciąż był dla niej tylko kuzynem, nie miałyby to znaczenia. Razem mogli rozpocząć nowe życie.

Ale John nie odchodził. Shinobu patrzył, jak Quin wstaje i zbliża się do chłopaka. Po chwili ich wargi zetknęły się, dłonie popęzły po plecach...

Shinobu był w rezydencji, w której wykonywali pierwsze zadanie. Ujrzał Quin zbiegającą pośpiesznie po głównych schodach, ciągnącą za sobą dwoje dzieci z pokoju na górze. Od razu domyślił się, co miała zamiar zrobić. Razem z dziewczyną zostali zmuszeni do uczestnictwa w morderstwie rodziców, ale teraz Quin powiedziała dość. Chciała zabrać dzieci, ocalić je. Sprzeciwiła się Briacowi – ta świadomość dodała mu siły.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem swojego ojca. Mógłby ukraść Alistairowi athamen wraz z krzesiwem i przyłączyć się do dziewczyny. Mając kamienny sztylet, uratowaliby dzieci, a potem uciekli dokądkolwiek.

Ale jego ojca nie było w pobliżu. A kiedy znów spojrzął na schody, Quin siedziała tam z twarzą ukrytą w dłoniach. Dzieci nigdzie nie było.

Shinobu był na błoni, ćwicząc szermierkę z Johnem. Walczyli za pomocą starodawnych mieczy i szcęk stalowych głowni odbijał się echem od ściany drzew. Shinobu miał dwanaście lat, John trzynaście.

Shinobu walczył sprawniej niż jego przeciwnik, ale różnica nie była znaczna – John uczył się walczyć jeszcze przed swoim przybyciem na posiadłość.

Chłopak obronił się zgrabną paradą, którą zakończył podstępny cięciem. Shinobu zatrzymał cios, ale impet uderzenia był wystarczająco mocny, by pchnąć go o krok do tyłu.

– Uczysz się – powiedział nieco aroganckim tonem.

– Jestem silniejszy od ciebie – odparł John.

– Ale ja jestem szybszy.

Płazem pacnął przeciwnika w łydkę, aż ten odskoczył w tył z przestachu.

– Ty się tu wychowałeś. Nic dziwnego, że jesteś szybszy.

– Mój tata mówi, że posiadłość to najlepsze miejsce, aby wychować Poszukiwacza. Jest tu coś takiego w powietrzu, w wodzie, w kamieniach.

– Być może. – John kiwnął głową. – Ale u mnie w domu jest bezpieczniej.

Chłopak zawsze rywalizował, niestrudzenie szukając dziedzin, w których byłby silniejszy, lepszy, ważniejszy – wszystko, byle ulżyć krępującej świadomości, że rozpoczął szkolenie o cztery lata za późno.

Wyprowadził kolejny cios, ale Shinobu zręcznym zwodem wytrącił mu oręż

z dłoni, posyłając miecz wysokim łukiem w powietrze. Zwycięzca wyprostował się, opuszczając broń.

– Niby dlaczego u ciebie jest bezpieczniej? – spytał zaciekawiony. – Jak gdzieś indziej może być bezpieczniej niż w posiadłości?

John patrzył na niego takim wzrokiem, jakby zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd i powiedział zbyt wiele, ale pokusa pochwalenia się była nie do odparcia.

– Obieżyświata zbudowano dla mnie – rzekł, brnąc przez wysoką trawę w poszukiwaniu straconego miecza. – Żaden Poszukiwacz nie może się tam dostać, dlatego Poszukiwacze nigdy nie będą mogli mi nic zrobić. Na teren posiadłości może wejść każdy.

– Ale jak wejdzie, to będzie musiał najpierw pokonać mojego tatę – powiedział Shinobu i przyłożył dłoń do piersi. – I mnie.

John znalazł swój miecz i chłopcy wznowili walkę.

Shinobu był teraz młodszy, ale znów znajdował się na błoni. Siedział na skraju łąki w trawie mierzącej grubo ponad metr wysokości. Brzęczące pszczoły fruwały z kwiatka na kwiatek wśród wysokich łądyg, powietrze pachniało wiciokrzewem. Był to jeden z pierwszych dni lata, ciepły i pogodny. Quin siedziała obok ze skrzyżowanymi nogami; ciemne włosy miała związane wstążką. Oboje mieli po dziewięć lat.

Nagle, bez ostrzeżenia, Shinobu pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Wolno ci mnie całować? – Zachichotała.

– A dlaczego nie? – odpowiedział pytaniem. – Nasi rodzice są z tej samej rodziny, więc my też, a ja zawsze całuję wszystkich z rodziny. Zresztą zaczęliśmy już szkolenie, więc praktycznie jesteśmy dorośli.

Quin pomyślała przez chwilę, a potem pochyliła się i oddała pocałunek.

– Błee! – skrzywił się. – Obrzydliwość.

– Wcale nie.

– Ano właśnie że tak.

Pocałował ją jeszcze raz. Zajadali chleb z miodem, który zwędzili Fionie z kuchni, więc pocałunki były ciut lepkie.

Shinobu położył się na plecach, patrząc na wycinek nieba okolony żdźbłami wysokich traw.

– Tata mówi, że dopóki ludzie są razem we dwoje, to wszystko będzie w porządku. Mama umarła, ale wciąż jest nas dwóch: tata i ja. No i my też – rzekł, ujmując jej dłoń. – Ty i ja to razem dwie osoby, czyli w porządku.

Quin nie odpowiedziała, tylko pochyliła się nad nim do kolejnego pocałunku. Tym razem ich wargi otarły się przelotnie.

– Fuj, trafiłaś mnie w usta! – krzyknął Shinobu.

Odkoczyli od siebie, ocierając wargi i panicznie popluwając na ziemię.

- Dlaczego dorośli w ogóle to robią? – Dziewczynka wzruszyła ramionami.
- Są dziwni.
- Czy my też będziemy dziwni, kiedy dorośniemy? Jak myślisz?
- Na pewno – odpowiedział i pocałował ją znowu.

Shinobu uderzył ręką w coś miękkiego. Zacisnął dłoń, czując zimny muł, przeciskający mu się między palcami. Dalej już nie popłynie. Dotarł do dna zatoki i do początków uczucia, jakie żywił do Quin.

Płuca piekły go jak wypełnione ogniem. Za kilka chwil odruch oddechowy zmusi go do zaciągnięcia się słoną wodą i będzie po wszystkim. Tymczasem jego ciało przestało dygotać, a umysł miał jaśniejszy niż kiedykolwiek, odkąd sięgał pamięcią.

„Ty stary draniu – pomyślał. – To wcale nie była trucizna!”

Wtedy, kiedy jako dziewięciolatek leżał z Quin na błoni, życie było dobre. Wręcz idealne. Tamtą chwilę dzieliła jednak od terażniejszości długa lista paskudnych błędów.

„Jeśli teraz umrę, pozostaną błędami już na zawsze”.

Wystarczy, że wciągnie do płuc haust wody, a przeszłość na wieczność zastygnie w obecnej postaci. Ale gdyby przeżył...

Shinobu zaparł się nogami o muliste dno i wypchnął w górę z największą siłą, jaką potrafił wycisnąć z mięśni. Przecinał wodę, przeciągając się przez nią potężnymi wymachami ramion, pchając wściekłymi kopnięciami. Jego płuca docierały już do granicy swojej tolerancji. Musiał zaczerpnąć tchu, nawet jeśli miało go to zabić. Jego ciało było gotowe zaciągnąć się czymkolwiek, co było wokół niego: morską wodą, mułem, ławicą rybek, starą pieluchą – wszystkim.

I wtedy się poddał. Otworzył usta i uwolnił płuca z kajdan woli... odkrywając, że właśnie przebił głową powierzchnię i oddycha mglistym, nocnym powietrzem Hongkongu.



## Rozdział 51

### Maud

Porzucili Briaca Kincaida, skrupowanego i z opaską na oczach, na dawnym dziedzińcu w ruinach zamku. Mistrz Młodej Sędzi obłożył rany mężczyzny ziołami i dał mu korzeń kozłka do żucia, aby nieco ulżyć mu w bólu. Teraz Poszukiwacz leżał półprzytomny pod fragmentem zamkowego muru, jęcząc do siebie w świetle poranka.

Młoda Sędzia miała o Briacu podobne zdanie co o Średnim i nie potrafiła wzbudzić w sobie współczucia. Mimo to odetchnęła z ulgą, kiedy wraz z mistrzem i Średnim zeszła w pozostałości po zamkowych katakumbach, gdzie krzyki ucichły, wytłumione przez grubą warstwę ziemi ponad jej głową.

Katakumby, w których wciąż stały kamienne sarkofagi szkockich wodzów – jej krewnych – były w częściowej ruinie. Spora część stropu runęła, grzebiąc duże obszary podziemia pod gruzem, ale ścieżka, którą szli, była od wieków utrzymywana w czystości. Dbali o nią Sędziowie. Młoda także wynosiła stąd kamienie, tuziny razy, jednak nigdy nie zeszła głębiej niż do krypty. Dziś miała to zrobić.

Posadzka komory grobowej prowadziła w dół i kończyła się ścianą, która wydawała się być litą skałą. Poszli wzdłuż niej w prawo aż do miejsca, w którym Średni zatrzymał się i powiódł dłonią wzdłuż jednego z naturalnych zagłębień w falistej powierzchni. Po chwili jego palce wśliznęły się w głębszy rowek – uchwyt ukryty w nierównościach kamienia. Starzec pomógł Młodej ustawić dłonie we właściwych pozycjach i wspólnym wysiłkiem we troje, mobilizując całą swoją niebagatelną przecież siłę, pociągnęli masywną kamienną płytę, która obróciła się z chrzęstem, odsłaniając otwór w ścianie.

Za otworem znajdowały się wykute w skale stopnie, wiodące w dół, w głąb ziemi. Przy świetle pełgającej pochodni Sędziowie zstąpili głęboko pod kryptę, przeciskając się pomiędzy skalnymi ścianami, które zbiegały się z każdym metrem, coraz bardziej zwężając przejście.

Nareszcie schody skończyły się, wprowadzając ich do obszerniejszej komory. Stamtąd ruszyli wzdłuż długiego tunelu, niemal ocierając głowami o łukowaty strop z surowych kamieni. Tunel kończył się kolejną skalną blokadą. Pomiedzy jej gładką powierzchnią a obmurowaną kamieniami boczną ścianą korytarza kryła się zakamuflowana szczelina o nierównych brzegach i szerokości ledwie wystarczającej, aby mógł się przez nią przecisnąć człowiek.

Podążając w ślad za swoimi towarzyszami, Młoda Sędzia prześliznęła się przez szczelinę i znalazła się na kolejnych schodach. Przejście było tak wąskie, że mężczyźni przed nią musieli przeciskać się przez nie bokiem. Schodzili długo, ocierając się o wilgotne ściany. Powietrze było tu zatęchłe i gęste, gryzące od dymu

poходni, ale wciąż dało się nim oddychać.

Wreszcie wstęga schodów zatoczyła niemal pełny krąg i wypuściła Sędziów do wnętrza komory tak obszernej, że należałoby nazwać ją grota, tym bardziej że sprawiała wrażenie formacji naturalnej. Nierówny skalny strop wisiał dziesięć metrów ponad ich głowami, wilgotny i połyskujący refleksami ognia. W ścianach komory ziały wyloty odchodzących od niej tuneli, ale światło pochodni było zbyt słabe, aby pokazać, jak daleko i głęboko można nimi zejść.

Kiedy Sędziowie wkroczyli do groty i Młoda po raz pierwszy ogarnęła spojrzeniem ogromną przestrzeń, jej wzrok padł na fragment skały, który zapewne został obrobiony ręką człowieka. Nierówną naturalną powierzchnię skuto w tym miejscu w gładką ścianę. Mężczyźni zmierzali w jej kierunku, a kiedy znaleźli się blisko, blask pochodni zamigotał na kamiennej płaszczyźnie, ujawniając wyrzeźbione w niej kształty – rysunki wykute głęboko, aby były widoczne przez tysiąclecia. Niewykluczone, że same liczyły sobie już ponad tysiąc lat.

„To miejsce musi należeć do Sędziów – pomyślała Młoda. Zastanawiała się, ile wiedzy Sędziów wciąż przed nią skrywano i nagle w jej głowie rozbłysło pytanie: – Od jak dawna żyje mój mistrz? Mówi o starodawnych sprawach, jakby wydarzyły się wczoraj”. – Czy grota mogła być jego dziełem?

Naliczyła dziesięć rysunków na ścianie; większość przedstawiała zwierzęta. Ułożono je w krąg – najwyższy sytuował się ponad jej głową, najniższy na poziomie stóp. Pod każdym znajdowało się prostokątne zagłębienie, pozostałe po usunięciu dużego fragmentu skały, pod każdym zagłębieniem zaś, precyzyjnie wykuta w ścianie, widniała romboidalna szczelina.

Oświetlona pochodnią ściana nieoczekiwanie roziskrzyła się refleksami światła. Nie był to zwykły szary kamień, ale coś drogiego. Pochodnia rzucała pomarańczowy blask, ale ściana – jak uświadomiła sobie Młoda – była prawdopodobnie szarawobiała i opalizująca jak...

„Jak athamen”.

Rysunki nagle nabrały znaczenia – koń, lis, baran, dzik, jeleń, orzeł, niedźwiedź oraz dwa bardziej fantastyczne stworzenia: smok oraz żbik z wielkimi kłami. Ostatni rysunek, w najwyższym punkcie kręgu, przedstawiał nie zwierzę, lecz trzy splecione owale, trochę przypominające kwiat, ale bardziej regularne w kształcie.

Młoda Sędzia знаła ten symbol. Taki sam znak był wyryty na gałce athamenu Sędziów, który spoczywał teraz bezpiecznie w kieszeni płaszcza jej mistrza.

– Jaki to symbol? – spytał starzec.

Milczeli od tak długiego czasu, że dźwięk ludzkiego głosu przeszył Maud dreszczem przestrachu. Słowa odbiły się echem od odległych ścian groty.

– Lis – odpowiedziała.

– Jesteś pewna? – To pytanie zadał Średni.

– Jestem pewna. Drugi, ten z orłem, został zniszczony podczas ataku. Miałam wiele okazji, aby go oglądać.

„Po tym, jak porzuciłeś mnie na śmierć na terenie posiadłości” – pomyślała, ale nie dodała na głos.

Jej mistrz wyjął athamen Sędziów i wsunął go w szczelinę pod wyrytym w skale wizerunkiem lisa. Głownia idealnie pasowała do otworu i gładko wśliznęła się weń aż po jelec.

Inne athameny, które widziała, były większe niż ten i nie pasowałyby do otworów pod rysunkami. Owych dziesięć szczelin wykonano zatem dla tego jednego konkretnego athamenu – athamenu Sędziów.

Stary i Średni zaczęli recytację. Po chwili starzec sięgnął do jednej ze swoich licznych kieszeni i wyjął stamtąd niewielki metalowy pręt. Młoda nigdy przedtem nie widziała tego przedmiotu i nie po raz pierwszy zadumała się nad tym, jakież to skarby znalazłaby, gdyby przyszło jej opróżnić wszystkie ukryte schowki w płaszczu jej mistrza.

Starzec wyciągnął pręt przed siebie i zaczął stukać nim rytmicznie w kamienną ścianę, tuż obok sterczącej z niej rękojeści athamenu. Kiedy metal dotknął skały, ściana zaczęła wibrować.

Trwało to kilka długich minut. Stary Sędzia stukał w ścianę w rytmie recytacji i wkrótce cała grotła rozdygotała się tak, jakby to ziemia wpadła w nieopanowany rezonans. Kiedy huk i dygot stały się nie do zniesienia, a Młoda Sędzia była pewna, że strop zaraz posypie się im na głowy, mężczyźni umilkli. Wstrząsy ustały, a pomruk skalnej ściany stopniowo wygasł.

„Kiedy on nauczy mnie tego wszystkiego? – zadała sobie pytanie dziewczyna. – Muszę to umieć, jeżeli mam przetrwać. Jeżeli mam być prawdziwą Sędzią”.

Jej mistrz schował metalowy pręt do kieszeni, a potem wysunął ze ściany athamen.

– A teraz, moje dziecko – powiedział – zaczekamy.

## Rozdział 52

### Quin

Quin pojawiła się w nocy na terenach parkowych za Wzgórzem Wiktorii w Hongkongu. Wbiła sobie te współrzędne do głowy już dawno temu, kiedy ojciec zaczął uczyć ją o athamenie. Briac wyjaśnił jej, że wzgórze jest czymś w rodzaju uniwersalnej drogi ucieczki Poszukiwaczy – ma łatwe do zapamiętania koordynaty, jest przyzwoicie wyludnione w pobliżu punktu przejścia, a zarazem leży blisko ogromnego skupiska ludzi, w którym łatwo zgubić się i ukryć.

Klucząc stromymi, krętymi ulicami, dziewczyna zesła ze wzgórza, by przemierzywszy labirynt niebosiężnych apartamentowców i biurowców, dotrzeć w końcu do morza. Potem ruszyła na wschód, wzdłuż wybrzeża, w stronę wyspowego końca Mostu Tranzytowego. Stojąca przy drodze tablica świetlna z migoczącą datą poinformowała ją, że był czwartek i dochodziła północ. Znowu straciła dwa dni.

Wkroczyła na Most z jego zagłopodobnym baldachimem, wznoszącym się ponad nią na tle nocnego nieba, podsunęła dłonie i twarz do skanera, a kiedy potwierdzono jej tożsamość jako mieszkańca, wtopiła się w tłum przechodniów i pomaszerowała w mrok.

Teraz, kiedy odzyskała wspomnienia, Most wydawał się jej dziwnie obcy. Nie był już jej miejscem. Nie czuła się tu tak bezpiecznie jak dawniej. Światła, rozjaśniające okna jej domu, zdawały się jednak zapraszać ją serdecznie do środka. Odkryła, że nie może doczekać się spotkania z mamą – przez cały miniony rok nie tęskniła za nią tak bardzo. Teraz widziała wszystko jasno i wyraźnie. Fiona była ofiarą Briaca Kincaida, podobnie jak ona sama, i Quin chciała wynagrodzić jej chłód, z jakim traktowała ją ostatnimi czasy. Otworzyła drzwi.

– Mamo? Jesteś w domu?

Wchodząc po schodach, usłyszała hałas w gabinecie i oglądając się przez ramię, zawołała:

– Czy Shinobu przekazał ci, że ze mną wszystko w porządku?! Chodź na górę!

Nie czekała na odpowiedź Fiony. Ścigała obraz w swojej głowie i bała się, że się jej wymknie – obraz trzech owali.

W swoim pokoju natychmiast przypadła do szafy i zaczęła ją plądrować, wyrzucając na zewnątrz poskładane koce i fartuchy. Ale nie znalazła tego, czego szukała.

– Mamo?! – zawołała. – Potrzebuję pomocy!

Znieruchomiała na chwilę, wracając myślą do tych dziwnych miesięcy, kiedy Most i ten dom wciąż były dla niej nowe; kiedy dochodziła do siebie po niemal śmiertelnym postrzale. Gdzie ona to wetknęła?

Po namyśle przeszła do sypialni mamy i otworzyła drewniany kufer stojący u stóp łóżka. Były w nim jedwabne sukienki, spinki do włosów, ozdobne pantofle – akcesoria przemieniające Fionę w piękną towarzyszkę dla mężczyzn, którzy odwiedzali ją na Moście. Było tam także – jak z bólem serca skonstatowała Quin – co najmniej tuzin na wpół opróżnionych butelek z alkoholem.

A na samym dnie leżała nieduża metalowa skrzynka.

– Tu jesteś – wyszeptała.

Przez półtora roku usilnie starała się zapomnieć o tej skrzynce i jej zawartości. Ręce dygotały jej z emocji, kiedy wyjmowała pudełko z kufra, aby postawić je na podłodze.

Kiedy uniosła wieko i spojrzała do środka, poczuła, że kręci jej się w głowie. Były tam rzeczy, które miała w swoim płaszczu w dniu, w którym przybyła na Most Tranzytowy – przedmioty, których nie życzyła sobie oglądać nigdy więcej, a jednak nie potrafiła się zmusić do ich wyrzucenia. W tamtych pierwszych dniach spędzonych na Moście dała je wszystkie Fionie na przechowanie, aby nie musieć już o nich myśleć.

Był tam stary nóż, bardzo ostry i doskonale wyważony, znakomity do rzucania. Na jego widok w jej głowie rozbłysło wspomnienie mężczyzny spadającego z konia i ściskającego się za gardło. Był kosmyk włosów z grzywy Yellena – miała te włosy zakręcone na palcach, kiedy Shinobu przeniósł ją Stamtąd do Hongkongu. Była jedwabna chusteczka z brzegiem ubrudzonym zaschniętą krwią. Był to podarunek od Johna przywieziony z jednego z corocznych wyjazdów do domu w Londynie. Dał jej ją pod drzewem w lesie, a wtedy ona pocałowała go... Krew na rąbku także należała do Quin – pochodziła z rany po kuli, którą posłał jej tamtej nocy, kiedy spalił posiadłość.

Oszołomiona, na chwilę zapomniała, gdzie jest. Kiedy uczucie niepewności nareszcie minęło, znalazła to, czego szukała. Na samym dnie, pod innymi przedmiotami, leżała gruba książka w skórzanej oprawie.

Okładka, wyświechtana na gładko palcami wielu osób, wyglądała na bardzo starą, ale smuga zaschniętej krwi ciągnąca się wzdłuż krawędzi wydawała się świeższa. Quin zastanawiała się, czy krew należała do niej czy raczej do kogoś, kto miał tę książkę przed nią.

Tom rozchylił się miękko pod jej dotykiem. Był to dziennik, wypełniony wpisami bardzo różnych rąk. Widniały tam teksty skreślone nowoczesnym kobiecym pismem i pajęczynowe zawijasy pachnące odległą historią. Część wpisów wklejono do tomu, ale było też trochę oddzielnych kartek, z papieru i starszych, szlachetniejszych materiałów, pergaminu i welinu, złożonych i wsuniętych luźno pomiędzy strony. I były tuziny rysunków.

Pośpiesznie przeglądała szkice zwierząt i proste atramentowe pejzaże. Wreszcie w górnym rogu jednej ze stron zobaczyła znak, który utkwiał w jej

pamięci: trzy splecione owale. Symbol ten miał coś wspólnego z korzeniami Poszukiwaczy – tego była pewna. Tekst poniżej znaku zapisano nie w nowoczesnej angielszczyźnie, ale w starszym języku.

Briac nigdy nie opowiadał jej o historii Poszukiwaczy. Nawet kwestię Sędziów objaśnił tylko ogólnikowo, opisując ich jako kogoś w rodzaju kapłanów nadzorujących składanie przysięgi. Powściągliwość ojca sugerowała istnienie rzeczy, które wołał przed nią zataić. Ten symbol musiał być jedną z nich. Jak wiele musiała się jeszcze nauczyć? Czuła się tak, jakby pokazano jej zaledwie wierzchołki najwyższych drzew, podczas gdy poniżej czekał na odkrycie cały gęsty las.

Przez chwilę przyglądała się rysunkowi w zamyśleniu, wodząc po liniach opuszkami palca, po czym zmusiła się do zamknięcia książki. Oprawny w skórę tom zasługiwał na wnikliwe zbadanie, ale najpierw chciała zobaczyć się z mamą i opowiedzieć jej o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu minionych kilku dni. Znowu była w swoim pokoju w Hongkongu.

– Mamo?! Fiona! – zawołała.

Przyciskając księgę do piersi, wstała i zawróciła do wyjścia z sypialni, o mały włos nie zderzając się z dwiema postaciami stojącymi przed drzwiami.

Zaskoczona, zrobiła krok w tył. Wśród przybyszów nie było jej matki. Był tu za to Mistrz Tan, drobny i schludny w swoim fartuchu uzdrowiciela. Towarzyszył mu korpulentny nastolatek o azjatyckiej urodzie i skórze pokrytej żółknącymi sińcami. Podniecenie wywołane znalezieniem księgi ulotniło się bez śladu. Wyraz obu twarzy natychmiast powiedział jej, co się stało.

– Moja mama... Zabrali ją?

Mistrz Tan powoli pokiwał głową.

– Tak. Wczoraj.

– Czy to był John? – spytała.

Żaden z nich najwyraźniej nie miał pojęcia, kim był John, ale Quin już potakiwała głową. Oczywiście, że to był on. Nie zamierzał się poddać, dopóki athamen nie będzie jego, a Fiona była sposobem na jego zdobycie.

– Shinobu jest bardzo przykro z powodu tego, co się stało – powiedział duży chłopak. – Wiem, że żałuje tego, jaki był głupi, kiedy postanowił dać nogę. On zdaje sobie sprawę, że nawet idiota albo małe dziecko sprawdziłby najpierw, kto stoi za drzwiami. Shinobu nie jest małym dzieckiem, ale całkiem możliwe, że jest idiotą. A tak w ogóle to jestem Brian. Mieszkałem tu razem z nim.

– Shinobu tu mieszkał? U Fiony?

Po potyczce na Moście chłopak zgodził się przekazać Fionie wiadomość, że jej córka jest cała i zdrowa, ale nie prosiła go przecież o nic więcej. Wydawało się, że wręcz nie może się doczekać, kiedy Quin zniknie z jego życia.

– Tak. Widział, jak zabierają twoją mamę – wyjaśnił Brian. – A przecież

miał ją chronić.

– Chronić?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Uznał, że to dobry pomysł. I w sumie był dobry, tylko realizacja nawaliła, no i zwiął.

– A potem poszedł się zabić z poczucia winy – dodał Mistrz Tan grobowym głosem.

– Zabić się?! – Quin przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą w nadziei na lepsze wyjaśnienie albo przynajmniej odrobinę adekwatnych emocji. Skoro obydwaj milczeli, zaczęła mówić sama: – Ja go nie prosiłam... Czy on... To znaczy... Chcecie powiedzieć, że on nie żyje?

– Och, skąd, raczej nie. – Uzdrowiciel ożywił się i potrząsnął głową. – Bardzo bym się zdziwił, gdyby tak było.

– Mało prawdopodobne – przytaknął Brian.

– W rzeczy samej – ciągnął Mistrz Tan spokojnie, wyławiając z kieszeni zabytkowy czasomierz i zerkając na tarczę – jeżeli nie zrobił czegoś wysoce nieoczekiwanego...

Na dole rozległ się huk i oszalały brzęk dzwonek potraconych przez gwałtownie otwarte drzwi. Quin nagłym zrywem przepchnęła się między swoimi gośćmi i pobięła w dół schodów. Słyszała, że Mistrz Tan i Brian ruszyli w ślad za nią. Na ułamek sekundy rozbłysła w niej myśl, że to być może jej mama wróciła do domu. Ale to nie była Fiona.

Na dole ujrzała obramowaną prostokątem wejścia bardzo wysoką i bardzo mokrą postać Shinobu, który był kompletnie nagi, jeśli nie liczyć bokserok ozdobionych wizerunkami postaci z komiksów. Chłopak sam wyglądał jak postać z komiksu. Ze swoimi węzlastymi mięśniami, podświetlonymi blaskiem latarni za jego plecami, ociekający lśniącymi kroplami wody, mógłby być półbogiem zesłanym za karę na Ziemię przez rozgniewanego rodzica. Włosy miał przyklepione do skóry głowy i mocno dygotał.

– Wciąż chodzisz w moich dżinsach – powiedział do Quin, która zatrzymała się u podnóża schodów.

Z jakiegoś powodu zarumieniała się na te słowa.

Oprócz niekompletnego stroju w postaci Shinobu zaszła jeszcze inna zmiana od czasu ich ostatniego spotkania. Znacząca zmiana. Nie zerkał nerwowo na boki, nie uciekał przed nią wzrokiem, nie łypał z mrocznej czeluści kaptura skórzanej kurtki ani nie przyglądał się czubkom swoich schodzonych glanów. Patrzył wprost na nią, a jego ciemne oczy promieniowały mocą, którą pamiętała z dawnych czasów. Były to oczy, którymi spoglądał na nią, kiedy razem walczyli – wzrok, który ostrzegał wrogów, z jak silnym zmagają się przeciwnikiem, jak wiernym, jak niebezpiecznym.

Gdyby spojrzął tak na nią kilka dni temu, rozpoznałaby go natychmiast. Te oczy sprawiały, że chciała podejść i objąć go, jak gdyby dopiero teraz nastąpiła chwila ich prawdziwego połączenia po latach.

– Obiecuję ci, że odzyskamy Fionę. Mam plan. Nie spodoba ci się. A może tak. Nie, raczej nie. Jestem całkiem pewien, że nie. Nie ma mowy. – Słowa wyskakiwały z niego szybkimi, nierytmicznymi seriami. – Ale powinien zadziałać. Od biedy. W której jesteśmy, bo nie wiemy, co planuje John. Przynajmniej ja nie wiem. Ty prawdopodobnie też.

– Dziwnie mówisz – powiedziała Quin ostrożnie.

Była zawstydzona nagłą potrzebą otoczenia go ramionami. Zrobiła krok naprzód, ale powstrzymała się od dalszego skrócenia dystansu.

– On mi coś podał – odparł chłopak, wyciągając oskarżycielski palec w stronę Mistrza Tana.

Quin obejrzała się na staruszka.

– Mieszanka w pełni naturalna, zapewniam – tłumaczył się uzdrowiciel, unosząc dłonie. – Ale skuteczna. Kazałem ci znaleźć bezpieczne miejsce, Shinobu. Czy ty skoczyłeś z Mostu?

– Próbowałem się, zabić, pamiętasz? A kiedy wypłynąłem na powierzchnię, wszystkie myśli, którymi nie zawracałem sobie czaszki przez półtora roku, przewaliły mi się przez łeb w sekundę. – Spojrzął na całą trójkę, wciąż obserwującą go nieufnie. – Czy mógłbym dostać ręcznik? Bynajmniej nie wpuścili mnie takiego przez bramę. Musiałem wspiąć się z powrotem i zaraz padnę wam tu z zimna.

Mistrz Tan poszedł po ręcznik, wołając przez ramię:

– Zadziałałoby równie dobrze w śmietniku.

Shinobu przewrócił oczami.

– Mistrzunio i jego śmietniki... – Spojrzął na Quin i Briana. – Mój plan...

– Mnie chyba nie uwzględniłeś w tym planie, co nie, Barakuda? – spytał go przyjaciel. – Mam jeszcze parę całych żeber i wolałbym, żeby tak zostało.

– Nie, nie, Sandi, ty masz najlepszą rolę.

Piwnica była wąska i długa, zastawiona ozdobnymi szafkami i kuframi, piętrzącymi się pod ścianami w schludnych stertach rozdzielonych wąskim przejściem. Królował tu duch Azji. Quin dorastała z Shinobu w Szkocji i przez większą część życia obcowała ze szkocką częścią jego duszy. Tutaj, pod domem jego matki, ujrzała japońską połowę. Było tu co najmniej dziesięć katan, samurajskich szabli, umocowanych na lśniącym drewnianym wieszaku ponad lakierowaną na czarno szafą, ozdobnie rzeźbioną i inkrustowaną wizerunkami orłów – symbolem rodu Shinobu. Drewniane kufry, poustawiane wokół pomieszczenia, wyglądały na zabytkowe. Wszystkie były ozdobione malowanymi scenami z życia samurajów, na szafkach zaś dominowały tradycyjne japońskie motywy ze smokami i mnichami.



Chłopak uspokoił się trochę, ale wciąż poruszał się dwukrotnie szybciej niż normalny człowiek. To oznaczało, że był stale czymś zaabsorbowany i nie dostrzegał dyskomfortu Quin. Założył na siebie jakieś stare ciuchy, ale jej myśli wciąż wracały do wspomnienia Shinobu sprzed drzwi jej domu i do tej chwili, kiedy powiedział, że zrobiłby wszystko, aby jej pomóc.

Teraz klęczał na końcu piwnicy, odpinając zatrzaski na dużej metalowej skrzyni. Kiedy zdjął wieko, ścianki rozpadły się na boki, odsłaniając kłęb pasków, klamer i metalowych rurek. Ręce chłopaka poruszały się z wprawą w tym bałaganie, sortując i montując jednocześnie. Po kilku minutach rzecz, którą składała, zaczęła nabierać kształtu.

– Co to jest? – spytała Quin.

Przyrząd przypominał trochę uprząż spadochronową z przymocowanymi do niej silnikami rakietowymi – którą w istocie był.

– Na początku, kiedy tu przyjechałem, skakałem trochę z budynków. Bardzo przyjemna sprawa. Matka omal nie padła na zawal; parę razy trafiłem za kratki. Znaczący to akurat nie było takie fajne, ale chociaż poznałem masę ciekawych ludzi. Tak to już jest w kiciu.

Słowa sypały się lawiną, ale Shinobu przerwał opowieść, widząc sposób, w jaki Quin patrzyła na uprząż.

– To całkowicie bezpieczne – rzekł, a po krótkim namyśle dodał: – Właściwie to nie, to w ogóle nie jest bezpieczne. Nie wiem, czemu to powiedziałem. W każdym razie nie zginąłem. To oczywiste. Żyję i mam się dobrze.

– Jak wysokie były te budynki?

– Wysokie.

– Tak wysokie jak... – Urwała nagle.

Athamen, wciąż ukryty w futerale wsuniętym w jej lewą nogawkę, łaskotał ją. Złapała go przez dżinsy i poczuła, że kamień bardzo delikatnie wibruje. Pod jej dotykiem wibracja stopniowo nasiliła się, wprawiając jej kości w rezonans, który poczuła aż w zębach.

– Jak co? – spytał Shinobu.

– Athamen drży.

Wyciągnął rękę i wsunął jej dłoń pod nogawkę, aby sprawdzić samemu. Quin odruchowo cofnęła się o krok, zaskoczona jego nagłą bliskością.

– Właśnie... właśnie przestał – szepnęła. – Coś musiało go wzbudzić.

– W pobliżu jest tunel metra – rzekł chłopak, wracając do dłubania przy swojej uprząży. – Może to infradźwięki. Tu, w piwnicy, czasem czuję metro przez stopy. Chyba, że jestem na sziwie, bo wtedy wszystko się trzęsie, więc w sumie trudno powiedzieć. Ale ty nie paliłaś, więc może to właśnie to. – Shinobu odpinał zużyte rakiety i odkładał je na bok. Kiedy skończył, zaniósł uprząż na drugi koniec

piwnicy i ułożył przy drzwiach. – Teraz wdzianka – powiedział do Quin. – Na szczęście mama odbębniła za nas tę część planu już wieki temu. – Otworzył szafę obok dziewczyny, odsłaniając imponującą kolekcję bojowych strojów ochronnych, od zabytkowych pancerzy, pasujących do samuraja, po nowoczesne kamizelki kuloodporne. – To mojego praprapra... zapomniałem, ile było tych „pra”, dziadka w każdym razie – powiedział, skinieniem głowy wskazując samurajską zbroję.

Składała się z wielu skomplikowanych elementów wykonanych z lakierowanego drewna połączonych misternie pasami z jedwabiu.

– Jest piękna.

– Wciąż działa. Przeciwno mieczom i takim tam.

– A cała ta reszta? A w ogóle to skąd wy...? – Quin wytrzeszczyła oczy na kilka kompletnych nowoczesnych strojów taktycznych.

– Kiedy moja mama uciekła tutaj, zakładała, że Alistair wkrótce do niej dołączy, a wtedy Briac ruszyłby za nim w pościg. Pomyślała, że to może się skończyć, no wiesz, wielką bitwą czy czymś, no więc zrobiła stosowne zakupy. Ona taka jest: lubi myśleć z wyprzedzeniem. W dodatku należy do ludzi, którzy kupują trzy rzeczy tam, gdzie wystarczyłaby jedna. Pewnie dlatego, że ma kupę pieniędzy. – Szybko przerzucił kilka ubrań, wyciągając te, które wydawały się być w rozmiarze Quin. – To jest taka jakby kolczuga – wyjaśnił, przyglądając się krytycznie pełnemu kombinezonowi z czegoś cienkiego i połyskującego, który przymierzył jej do ramion. – Zwinął go w kłęb i wcisnął dziewczynie w rękę. – I to do kompletu – powiedział, machając parą rękawic z tego samego materiału. Na koniec wyjął z szafy i rzucił Quin kamizelkę kuloodporną. – Śmiało, przymierz – zachęcił, zabierając się do kompletowania podobnego zestawu dla siebie. – No co jest?

Dziewczyna się wahała. Przestrzeń między stertami kufrów była wąska, ona zaś nie potrafiła zmusić się do obnażenia przed nim – zwłaszcza kiedy dopiero co przekonała się, jak imponujące jest jego własne ciało.

– Wiesz, ja... – zająknęła się. – Po prostu jestem wstydliva, no i...

– O, przepraszam, nie pomyślałem. Nie żebym nie chciał zobaczyć cię nagiej. Marzyłem o tym, odkąd skończyliśmy trzynaście lat. A może wcześniej? – zadumał się. – W każdym razie wtedy, kiedy zaczęły mnie kręcić gołe dziewczyny. Może dwanaście. Udało mi się rozebrać parę lasek z miasteczka, ale ciebie... – Urwał nagle, a jego twarz nabrała buraczkowej barwy po same czubki uszu. Wytrzeszczył oczy, jakby się dusił, a potem bez słowa odchylił skrzydło szafy, tworząc rodzaj prowizorycznego przepierzenia, za które wsunął się chyłkiem, znikając jej z pola widzenia. Zapadła długa cisza. Wreszcie przerwało ją zakłopotane chrząknięcie. – Przepraszam. To te ziółka – usłyszała Quin zza drzwi szafy, po czym doszło ją cichsze mruknięcie: – Idiota.

Uśmiechnęła się. Wciąż nie mogła wyrzucić z głowy obrazu półnagiego

Shinobu stojącego na jej progu. Świadomość, że myślał o niej, mieszała jej w brzuchu przyjemnym niepokojem.

Zaczęła się rozbierać, słysząc, jak chłopak za drzwiami robi to samo. Zdołała naciągnąć lśniący kombinezon na nogi aż do pasa, ale górna połowa stroju była podzielona na kilka części mocowanych do siebie nawzajem w sposób, który nie był ewidentny na pierwszy rzut oka.

– Quin? Wszystko w porządku? – spytał Shinobu po chwili.

– Próbuję to jakoś rozgryźć – odpowiedziała, podejmując trzecią próbę przyciągnięcia pasków do klamer, do których teoretycznie powinny być przypięte.

– Czekaj, pomogę ci.

Położył dłoń na krawędzi drzwi, przygotowując się do ich odsunięcia, więc dziewczyna zakryła się pośpiesznie. Kiedy wyłonił się zza osłony, miał na sobie taki sam cienki kombinezon, podobnie niekompletnie pozapinany i odsłaniający połowę jego nagiego torsu. Wciąż zawstydzony, starannie unikając wzroku Quin, Shinobu szybko obejrzał efekt jej wysiłków.

– Em... ta część idzie do góry i przypina się z przodu – powiedział, wskazując gestem jedną z klap zwisających u jej boku. – Dosięgniesz?

Spróbowała, o mały włos nie puszczając części materiału, którą przesłaniała sobie piersi.

– Nie bardzo – odparła ze sztuczną nonszalancją, rozpaczliwie próbując zapobiec obnażeniu. – Ślizga się...

– Czekaj...

Ostrożnie otoczył ją rękami i poczuła jego dłonie łączące na grzbiecie dwa segmenty tkaniny. Następnie chłopak pociągnął zapiętą część w górę, naciągając jej kombinezon na plecy, ale materiał wysliznął mu się z palców, a kiedy odruchowo pochylił się, aby go złapać, jego tors otarł się przypadkiem o jej pierś.

– Wybacz – bąknął.

– Nie szkodzi.

Quin nie spuszczała z oczu podłogi, podczas gdy Shinobu naciągał jej tylną część stroju na ramiona, aby przypiąć ją do frontu. Nie sposób było nie zwrócić uwagi na ciepło jego dłoni. I był silny – nagle przyszło jej to do głowy – dość silny, aby unieść ją w ramionach, gdyby chciał...

Powstrzymała tę myśl. Wciąż nie patrząc mu w oczy, wsunęła ręce w zwisające rękawy, które chłopak zwęził rzepami tak, aby ciasno opinały jej ramiona. Kombinezon przypominał długie, obcisłe śpiochy o metalicznym połysku.

– Jest ciasny, ale połączenia rękawów dają ci pełną swobodę ruchów – zapewnił, odstępując o krok, aby trochę zwiększyć dystans pomiędzy nimi. – Wypróbowałem to parę razy, kiedy musiałem, no wiesz, powalczyć z kimś.

Quin wykonała kilka próbnych wymachów ramionami, odkrywając, że strój jest zaskakująco elastyczny.

– Pomożesz mi z moim? – spytał Shinobu, wciąż patrząc wszędzie byle nie na nią.

Zorientowała się, jak prawidłowo połączyć przód i kołnierz górnej części stroju, po czym zajęła się rzepami spinającymi bluzę z talią. Wymagało to chwilowego objęcia go w pasie i jej serce, ignorując rozkazy woli, zaczęło bić szybciej.

– Dobrze chroni przed zranieniem, na przykład nożem – wyjaśniał chłopak. – Chyba że ktoś dźgnie cię z całej siły, wtedy nie wytrzyma. Mocne pchnięcie przebije go, ale ochroni cię za to przed poparzeniem. No, chyba że zrobi się naprawdę bardzo, bardzo gorąco.

Quin kiwnęła głową. Trudno jej było skupić się na tym, co mówił. Miała wrażenie, że dotąd nie dostrzegła Shinobu, przynajmniej odkąd przestali być dziećmi. Była zbyt pochłonięta Johnem. Ale dostrzegła go teraz.

Zmusiła ręce, aby opadły jej wzdłuż boków. Musiała powstrzymać ten łańcuch myśli. Chłopak zapewne mówił prawdę, zrzucając na zioła winę za swój bełkot. A zresztą byli przecież krewnymi – tak jakby. Który to był stopień, trzeci? Czy to w ogóle jeszcze jest pokrewieństwo? I czy któryś z ich odległych pradziadów nie wziął drugi raz ślubu? Pamiętała, że kiedyś jej o tym opowiadano. A to oznaczało, że dzielili o połowę mniej wspólnej krwi, niż wynikałoby ze stopnia pokrewieństwa, czyż nie? Ich związek rodzinny nagle wydał się jej odległy – ale Shinobu zawsze nazywał ją kuzynką.

– A teraz reszta – powiedział chłopak, odwracając się do niej.

Pomogli sobie nawzajem włożyć zwyczajne koszule, nadal skwapliwie unikając patrzenia sobie w oczy. Quin wyobrażała sobie wszystko w odwrotnej kolejności: zdejmowanie koszul, wyslizgiwanie z obcisłych kombinezonów, otrząsanie z lat spędzonych z Johnem. Shinobu mógłby zanieść ją na górę...

Odwróciła się, aby ukryć przed nim twarz i wsunęła nogi w nogawki spodni. Chłopak naciągnął na kombinezon dodatkową warstwę wełnianej bielizny z długimi rękawami i nogawkami. Wszystko to – jak zakładała Quin – miało za chwilę zniknąć pod jakąś wyrafinowaną zbroją zewnętrzną.

Teraz układał na jej tułowiu kamizelkę kuloodporną, zapinając ją ciasno.

– I jak ci teraz? – spytał.

– Dobrze.

Ich twarze znajdowały się kilka centymetrów od siebie, podczas gdy Shinobu walczył z zapięciami kamizelki. W jego włosach widziała odrosty w tym głęboko rudym kolorze, który pamiętała. Chłopak usunął koleczki z twarzy i jego doskonałe rysy były nieskazitelne. Nie pytając o pozwolenie, Quin położyła dłonie na jego piersi i pozostawiła je tam, czując bicie jego serca.

– Jesteś ciepły – szepnęła.

Spojrzał na nią. Jego ciemne oczy zawisły nad jej twarzą, dłonie

powędrowały ku talii. Wyobraziła sobie to tylko czy rzeczywiście delikatnie ją do siebie przyciągał?

Quin przegrała walkę ze sobą. Pochyliła się naprzód, ich wargi zetknęły się...

Niewiarygodnie głośny łoskot eksplodował tuż za drzwiami piwnicy kilka metrów od nich, sprawiając, że odskoczyli od siebie jak odepchnięci sprężyną.

Drzwi otworzyły się, odsłaniając Briana Kwona stojącego u stóp schodków wychodzących na podwórko. Jedną dłonią trzymał uchwyt wózka paletowego, chwiejącego się niebezpiecznie na najwyższym stopniu. Na palecie piętrzyło się kilka tuzinów walcowatych metalowych pojemników, liczne wiązki przedmiotów podejrzanie przypominających fajerwerki oraz trochę sprzętu spawalniczego, który wyglądał, jakby spędził długi czas pod wodą. Źródłem hałasu była bardzo duża i bardzo ciężka beczka, która stoczyła się z palety, a potem po stopniach, aby w końcu grzmotnąć w stalowe drzwi piwnicy.

– Zrobiłem nalot na nasz magazyn, Barakuda – oznajmił chłopak i stęknął, podnosząc beczkę, aby odłożyć ją na miejsce. – Mam nadzieję, że nie zamierzałeś prosić, żeby przyjeśli cię z powrotem do roboty. Po drodze miałem też parę przystanków.

Shinobu uśmiechnął się i ruszył do drzwi. Mijając Briana, klepnął go w ramię i wspiał się po schodkach, aby obejrzeć przywiezione przezeń skarby. Quin wyszła za nim, czując, że się rumieni pod znaczącym spojrzeniem Briana.

Kiedy Shinobu przejrzał i zatwierdził dostawę sprzętu, cała trójka zajęła się pakowaniem wszystkiego do plecaków. Potem dokończyli ubieranie się, przy czym dziewczyna pożyczyła sobie stary płaszcz Shinobu, w którego kieszeniach łatwo mogła ukryć athamen i krzesiwo.

Kiedy byli już gotowi, chłopak zniknął we wnętrzu domu, a Quin i Brian mieli poczekać na niego na zewnątrz. Myśli dziewczyny wróciły do oprawnego w skórę tomu, który wydobyła z kufra w sypialni swojej matki.

– Brian, masz może telefon? – spytała.

Jakiś czas później Shinobu pojawił się w najbliższym z okien. Stał w holu domu swojej matki, w motocyklowych butach i samurajskiej zbroi swojego przodka założonej na kamizelkę kuloodporną. Quin i Brian patrzyli, jak Mariko i Akio składają przed nim głęboki, formalny ukłon, a Shinobu odpowiada tym samym.

## Rozdział 53

### John

Jak on się czuje? – spytał John, patrząc na monitor, na którym widać było sylwetkę jego dziadka.

Gavin leżał w łóżku, zgięty w pół atakiem kaszlu, z wciąż zabandażowanym poparzonym torsem i ręką.

– Lepiej niż wczoraj, nie tak dobrze, jak poczuje się jutro – odpowiedziała Maggie.

Licząca około dziewięćdziesięciu lat kobieta o długich siwych włosach i doskonale prostej postawie trzymała życie Gavina w swoich rękach. John sprowadził ją na pokład Obieżyświata w dniu, w którym wyruszył do posiadłości. Natychmiast zaczęła podawać dziadkowi antidotum w najwyższych dopuszczalnych dawkach, ale jego umęczone ciało potrzebowało czasu na reakcję. Był stary, a kilkutygodniowa przerwa w zażywaniu odtrutki omal nie wpędziła go do grobu.

Mężczyzna nie opuszczał swojej sypialni i John miał teraz pełną kontrolę nad Obieżyświatem. Choć prawdą było, że krewni dziadka walczyli z nim w sądzie o władzę nad rodzinnym majątkiem, Gavin znacznie wyolbrzymił stopień zagrożenia z ich strony. Trucizna sprawiła, że widział nieprzyjaciół za każdym rogiem.

„Jakbyśmy nie mieli dość prawdziwych wrogów” – pomyślał chłopak.

– Przynieść pani coś do picia, pani Kincaid? – spytała Maggie.

Fionę posadzono przy stole w rogu kabiny, z ręką przykutą do łańcucha, którego drugi koniec był przytwierdzony do ściany. Łańcuch był długi i zostawiał jej dużą swobodę ruchów, nie pozostawiał jednak wątpliwości, że jest więźniem.

– Dziękuję, nie – odpowiedziała, nie odwracając głowy, wpatrzona w okno, za którym przesuwał się z wolna pejzaż Londynu.

Widok metalowej obręczy na jej nadgarstku wywoływał u Johna uczucie przygniatającego smutku.

„Tym razem muszę zrobić to tak, aby ani jej, ani Quin nie stała się krzywdą”.

– W ciągu ostatnich dwóch dni te słowa przelatowały mu przez głowę setki razy, obawiał się jednak, że nie zdoła zapewnić im bezpieczeństwa, jeżeli żadna z nich nie zechce mu pomóc.

Przełączał kanały nadzoru wideo, zerkając pobieżnie przez zewnętrzne kamery Obieżyświata, a potem oglądając obrazy nadawane z przepływających pod nimi ulic Londynu. Posłał swoich ludzi, aby przeczesywali miasto, szli w ślad za statkiem, czekali na pojawienie się Quin. W końcu przecież przybędzie po swoją matkę. Musiała przyjść.

– Czy mógłbym w jakiś inny sposób zadbać o twoją wygodę? – spytał, kiedy

Maggie wyszła z kabiny.

– Mógłbyś mnie rozkuć i wypuścić – zaproponowała Fiona. – Nie ukrywam, że byłoby mi wówczas znacznie wygodniej.

– Tej jednej rzeczy na razie nie mogę zrobić – powiedział łagodnie. Wyłączył monitor i usiadł przy stole obok niej. – Po prostu czekamy. Nie chcę, żebyś się niepokoiła albo czuła się zagrożona. Jesteś głodna?

– Jak na porywacza jesteś szalenie uprzejmy.

– Staram się nie zapominać o manierach – odrzekł, mając nadzieję, że wywoła tym jej uśmiech, ale twarz Fiony pozostała kamienna.

– Nie tak jak tamtego wieczoru w posiadłości? – spytała lodowatym tonem.

– Owszem, nie jak wtedy – odpowiedział cicho, porażony błyskiem grozy, którą zawsze odczuwał na myśl o tamtej nocy.

– Dziękuję, John, nie jestem głodna.

Wbrew temu, co właśnie powiedziała, w oczach miała pewien szczególny rodzaj głodu. Chłopak pamiętał go z czasów swoich nauk w posiadłości. Fiona była wspaniałą nauczycielką, odpowiedzialną za języki i matematykę, ale późnym popołudniem jej umysł zawsze był zmacony.

Z barku pod ścianą kabiny wyjął kryształową karafkę i nalał słuszną porcję brandy do jednej z ciężkich, grubościennych szklanek swojego dziadka. Bez słowa wrócił za stół i puścił naczynie po blacie w stronę swojego więźnia. Kobieta uniosła je i pociągnęła długi łyk, unikając jego wzroku.

– Już kiedy miałem dwanaście lat, było mi cię szkoda, Fiona. Że masz Briaca za męża – powiedział do niej. Miał nadzieję, że doceni jego szczerłość. Pamiętał ją bardzo dobrze z czasów swojego szkolenia: jej piękną twarz i martwe oczy. To, jak sztywniała, kiedy Briac był w pobliżu; miękkość jej głosu, pozostała po łzach. Quin i Shinobu wydawali się nieświadomi niczego, ale John rozumiał. Wiedział, jak to jest żyć w pohańbieniu, być zależnym od kogoś, kto nie dbał o jego przetrwanie i życzył mu źle. – Briac traktował cię tak, jak traktował mnie. Jesteśmy bardziej podobni, niż myślisz.

– Nie jesteśmy podobni, John – wyszeptła kobieta.

– Nie mów tak. Potrzebuję tylko odrobiny pomocy. Nadal wierzę, że Quin zrozumie i pomoże mi.

– Jak miałyby to zrobić? Nie jest w stanie, w którym mogłaby komukolwiek pomagać.

– Ona przyszła już do siebie, Fiona. Widziałem. Pomożesz mi ją przekonać?

– Jesteś pewien, że porwanie mnie było najlepszym sposobem na przekonanie nas do twoich racji? – spytała, a w jej głosie słychać było drwinę.

– Musiałem sprowadzić cię tutaj, aby oddała mi moją własność i nauczyła mnie, jak się nią posługiwać. Przyniesie ją, aby odzyskać cię. A wtedy puszcze was wolno.

– Sądzisz, że athamen jest twój – powiedziała Fiona z w zadumie. Pociągnęła kolejny łyk ze szklanki i powiodła spojrzeniem po ciężącym jej łańcuchu. – Nie jesteś pierwszą osobą, która tak twierdzi.

– Proszę, przestań mówić jak Briac. Dobrze wiesz, że athamen jest mój.

– To zależy, jak daleko wstecz jesteś gotów spojrzeć.

– Ten athamen należał do mojego rodu od setek lat, a pewnie i dłużej. Musisz to wiedzieć, Fiona.

– W ciągu setek lat rodzina rozrasta się w wielkie powykręcane drzewo, John. Niektóre jego gałęzie sięgają tak daleko, że trudno je rozpoznać. Jak możesz być pewien, że właśnie ty powinieneś go mieć?

Odstawiła szklankę na stół. Była pusta.

Z jakiegoś powodu słowo „powykręcane” sprawiło, że chłopak pomyślał o mamie, wykrwawiającej się na podłodze, z kończynami ułożonymi w dziwnych pozycjach wokół jej ciała. Nagle poczuł, że traci panowanie nad emocjami.

– Czy chociaż raz nie może zadziałać prosta sprawiedliwość? – spytał, zły na siebie za ton rozpaczy w swoim głosie. – Czy nie można zrobić czegoś po prostu dlatego, że to jest słuszne?

Powstrzymał się. Skarżenie się na niesprawiedliwość kobiecie, której mężem był Briac Kincaid nie miało sensu. Fiona, tak jak John, dobrze wiedziała, że życie nie jest sprawiedliwe. Sprawiedliwość należało sobie wywalczyć.

Potrzebował chwili na ukojenie nerwów, więc przeszedł przez kabinę i napełnił szklankę kobiety kolejną porcją brandy. Postanowił zmienić temat.

– Dlaczego wybrałaś Hongkong?

Podał Fionie szklankę, a ona natychmiast uniosła ją do ust.

– Musiałyśmy się tam zatrzymać na czas leczenia Quin. Z postrzału. Być może pamiętasz tę ranę.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Jej dłoń powędrowała do szyi, na której wciąż dało się wypatrzeć ledwie widoczną bliznę.

„To było konieczne – zapewnił John sam siebie. – Ale tamtej nocy posunąłem się za daleko. Czy posuwam się za daleko teraz? Czy Quin miała rację? Czy staję się taki jak Briac?”

– Sądziłam, że będziemy tam tylko przejazdem – ciągnęła Fiona. – Ale Quin przez długi czas była bardzo osłabiona, a kiedy wydobrzała, powiedziała, że chce zostać.

John pozwolił oczom odpłynąć w dal.

– Wyobrażam sobie, że byłaś szczęśliwa, będąc z dala od Briaca, bez względu na to, gdzie mieszkaliście. Bez względu na to, co musiałaś robić.

Po tamtej straszliwej nocy w posiadłości jedynym pocieszeniem był dla niego fakt, że Fionie udało się uciec od Briaca. Ale informator, który pomógł mu odnaleźć Quin na moście, zauważył jej mamę z żółtą szarfą kurtyzany na szyi.



Uderzyło go to wówczas jako szczególnie okrutne zrządzenie losu.

Wzrok kobiety powędrował z powrotem do okna. Roztaczał się z niego widok na Tamizę, czerwono-złotą w tej odrobinie słońca, jakiej udało się przebić przez chmury w stronę horyzontu.

– Rozumiem, dlaczego go nienawidziłeś, John – powiedziała. – Ja także często go nienawidziłam. Wziął to, czego nauczyliśmy się jako dzieci, i przemienił w potworność. Ale był moim mężem. Staralam się być mu wierna.

– Dlaczego używasz czasu przeszłego? – syknął chłopak, płonąc gniewem roznieconym na nowo myślami o Briacu. – Ja wciąż go nienawidzę, nawet bardziej niż wtedy, jeśli to w ogóle możliwe. Potworności, do których zmusił Quin... – Nagle zrozumiał. Fiona po raz ostatni widziała swojego męża tamtej nocy na terenie posiadłości, kiedy ranny mężczyzna leżał nieprzytomny na błoniu. – Ty myślisz, że on nie żyje – sapnął. – Myślisz, że go zabiłem!

Kobieta gwałtownie odwróciła ku niemu głowę i wyraz jej twarzy powiedział mu, że ma rację.

– Nie wiedziałam tego na pewno, jednak sądziłam, że być może...

– Przykro mi, Fiona. – Nie istniały słowa, których mógł użyć, aby złagodzić wiadomość. – Briac... On żyje. Kilka dni temu widziałem go w posiadłości.

Drżącą ręką kobieta odstawiła szklankę na stół,omal nie rozlewając zawartości. Przyjrzała się Johnowi z uwagą. Jej twarz szpecił teraz subtelny, ale głęboki lęk.

– Czy ty... Czy zamierzasz...?

– Czy zamierzam mu ciebie oddać? O to chcesz spytać? W zamian za athamena?

Fiona bardzo powoli pokiwała głową.

– Nie. Tego już próbowałem, pamiętasz? Briac nie oddałby athamenu za nic na świecie, nawet za swoją piękną żonę – rzekł najdelikatniej jak potrafił. – Ale Briac nie ma athamenu. Ma go Quin.

– Zresztą teraz i tak by mnie nie zechciał – wymamrotała kobieta, nie słysząc niczego więcej z tego, co powiedział. – Wiem, że nie.

John pojął, co miała na myśli. Fiona była inteligentna i piękna. Po ucieczce z posiadłości mogła zostać, kim chciała, a jednak wybrała zawód kurtyzany. Wybrała profesję, która w oczach Briaca czyniła ją niedotykalną. Wierzyła, że Briac nie żyje, a jednak wolała zabezpieczyć się nawet przed samą jego ideą. Upadlając się, miała nadzieję uciec spod jego władzy, jak oni wszyscy.

– Nie – przytaknął. – Masz go z głowy.

## Rozdział 54

### Maud

Młoda Sędzia nie mogła oderwać oczu od twarzy swojego mistrza. Starzec zgolił brodę, ściął włosy i zmienił się w stopniu trudnym do ogarnięcia umysłem. W jakiś sposób człowiek, który urodził się – jak podejrzewała – tak dawno temu, że widział Rzymian na Wyspach Brytyjskich, teraz wyglądał, jakby należał do tej nieprzyjemnie nerwowej i zatłoczonej epoki, w której się znaleźli.

Inna sprawa, że założył nowe ubrania. Zamiast mniszej szaty miał teraz na sobie spodnie, sweter oraz buty, których wygląd wywoływał w Maud bolesne skojarzenia. Jej także nakazano włożyć buty, a oprócz tego założyć sukienkę. Obuwie okazało się koszmarnie niewygodne, sukienka zaś wisiała groteskowo na jej smukłym ciele, nadając jej wygląd pantery wciśniętej w kostium.

Ale inność jej mistrza nie polegała tylko na ogolonej twarzy i przebraniu. Zmiana zaszła także w jego chodzie i ruchach. Nawet głos miał inny, a kiedy rozmawiał z pielęgniarką, jego mowa niemal nie różniła się od jej mowy. Używał dziwacznych słów i tych samych terminów medycznych, które Młoda Sędzia słyszała tak często, kiedy leżała w podobnym szpitalnym pokoju, dochodząc do siebie po zranieniu przez Średniego. Mistrz trwał w rozciągnięciu setki lat i obudził się zaledwie kilka dni temu, kiedy Quin wyciągnęła go Stamtąd na posiadłości. Kiedy nauczył się tak mówić?

Stary Sędzia i pielęgniarka rozmawiali o Briacu Kincaidzie, który leżał przed nimi na szpitalnym łóżku. Rany na jego ramieniu i nodze zostały zaszyte i zabandażowane. Młoda wyłapała z rozmowy dość dużo, aby zrozumieć, że mężczyźnie już nic nie grozi i że jeśli dać mu czas, wyzdrowieje całkowicie. To nie była dobra wiadomość. Jego wcześniejsze jęki i drgawki dawały jej nadzieję, że obrażenia okażą się śmiertelne.

Średni stał w kącie pokoju ze skrzyżowanymi na piersi rękami, w długim płaszczu zwisającym mu z ramion. Pozwolił zaszyć sobie ranę na piersi, ale nie zmienił swojej postawy ani na jotę. W uporządkowanym środowisku szpitala wyglądał szorstko i dziko.

Wreszcie pielęgniarka zakończyła rozmowę ze Starym Sędzią i po wypowiedzeniu kilku słów do pacjenta i nerwowym zerknięciu na Średniego wyszła z pokoju.

– Pozostaniesz tutaj – powiedział Stary Sędzia do Briaca, wracając do starych manieryzmów. W jednej chwili przemieniły go na powrót w mistrza, którego Maud znała od zawsze (potrafił przełączać się między trybem starodawnym a nowoczesnym niczym aktor wkładający różne maski). – Wrócimy po ciebie, kiedy przyjdzie pora. A wtedy dostaniesz...

Starzec przerwał. Jego ręka szybko powędrowała do wewnętrznej kieszeni

jesionki, gdzie był ukryty athamen.

Po chwili Młoda także to poczuła. Wibracja nabierała mocy. Gdzieś na świecie Quin Kincaid używała athamenu. Po rytuale w grocie athamen Starego Sędziego miał odpowiadać rezonansem przy każdej aktywacji sztyletu dziewczyny.

Średni, który do tej pory wykazywał aktywność mebla, ożywił się nagle, podbiegł do drzwi i zamknął je szybko.

Stary Sędzia wyjął athamen z płaszcza i uniósł go, trzymając luźno w dłoni. Wibracja nasiliła się i wypełniła pokój basowym pomrukiem, aż skrzydło drzwi zagrzechotało we framudze. Przez szyby dzielące pokój od korytarza, także rozdygotane, Młoda widziała pracowników szpitala zatykających uszy i rozglądających się w przerażeniu.

Starzec trzymał kamienny sztylet przed sobą, balansując nim w dłoniach. Po dłuższej chwili wibracja zaczęła gasnąć.

– Odeszła Tam – powiedział.

Pozostało im czekać na następną, ważniejszą wibrację. Ten drugi wstrząs, który nastąpi po skrzesianiu przez Quin kolejnej anomalii i przejściu Stamtąd do świata, powie im, gdzie pojawiła się na powierzchni Ziemi.

Młoda Sędzia wiedziała, że może upłynąć długi czas, zanim Quin powróci do świata. Zagubienie się Tam było jednym z największych niebezpieczeństw związanych z używaniem athamenu. Nawet umysł doświadczonego Poszukiwacza mógł pobłądzić, rozproszyć się i wreszcie zamarznąć w wiecznym bezruchu, jeśli podróżnik nie dość starannie skupiał się na utrzymaniu mentalnej kontroli. Hymn czasu pomagał Poszukiwaczom w osiągnięciu stosownej koncentracji, ale pomimo środków wspomagających athamen pozostawał niebezpieczną metodą transportu. Quin była nowicjuską i ryzyko, że zatraci się po wejściu pomiędzy – na krótszy bądź dłuższy czas – było całkiem realne.

Upłynęły dwie godziny, zanim athamen ponownie ożył wibracją – czas, który Młoda Sędzia uznała za imponująco krótki jak na tak niedoświadczoną Poszukiwaczkę. Jakość kontroli mentalnej Quin musiała być pierwszorzędna.

Cały ten czas Sędziowie spędzili w sali szpitalnej. Z wolna zapadała noc. Pielęgniarki wchodziły i wychodziły, zauważalnie wystraszone mrocznym spojrzeniem Średniego. Kiedy athamen rozwibrował się po raz drugi, Sędziowie stanęli plecami do drzwi, trzymając sztylet pomiędzy sobą. Młoda, Stary i Średni ułożyli palce wokół pierścieni na rękojeści.

Drugi wstrząs był znacznie silniejszy od pierwszego. Błyskawicznie ogarnął pomieszczenie i w chwilę później na korytarzu dały się słyszeć paniczne okrzyki. Dygot ścian przesuwiał wózki ze sprzętem medycznym w sąsiednich salach. Na korytarzu trzasnęła szyba.

Silnym drganiom towarzyszyły drobniejsze, choć intensywne echa w pierścieniach athamenu. Stary Sędzia wypowiedział nazwy dwóch symboli,

w których poczuł wibrację silniejszą niż w pozostałych. Młoda nazwała kolejne dwa, a Średni podał trzecią parę.

Wibracja urwała się, rezonując im w uszach jeszcze przez chwilę, aby wreszcie zgasnąć. Mistrz wsunął athamen do kieszeni swojej jesionki, po czym wziął długopis i kartkę ze stolika obok łóżka Briaca. Dla Młodej Sędzi znów stał się człowiekiem obecnej epoki, kiedy przyłożywszy długopis do papieru, szybko nakreślił sześć symboli, których nazwy wypowiedzieli na głos.

Starzec przyjrzał się kartce, a potem uniósł ją tak, aby wszyscy widzieli, co napisał. Szereg symboli stanowił zestaw współrzędnych miejsca, w którym wyłoniła się Quin i jej athamen.

– Londyn – powiedział.

– Ona idzie do Johna – odezwał się Briac z łóżka. Mówił cicho, z wysiłkiem i gramolił się nerwowo, próbując usiąść. W oczach miał błysk, który nie przypadł Młodej Sędzi do gustu. Mężczyzna nie chciał odzyskać athamenu. On pałał żądzą zemsty. Spojrzał na Starego Sędziego i spytał: – Co wiecie o domu Johna?

## Rozdział 55

### Shinobu

Wije trochę mocniej, niż bym chciał – powiedział Shinobu – ale kiedy zejdziemy nieco niżej, powinniśmy być osłonięci od podmuchów.

Była noc, a oni tkwili na dachu studziesięciopiętrowego londyńskiego drapacza chmur. Wiał porywisty wiatr, sprawiając, że budynek kołysał się lekko tam i z powrotem niczym okręt na fali. Ale wiatr nie był ich jedynym problemem. Sądząc po gromadzących się w oddali chmurach, niebawem mieli zmoknąć.

Stali przy okalającej dach balustradzie, za plecami mając wznoszące się stromo ściany ozdobnej piramidy stanowiącej zwieńczenie wieżowca pod ich stopami. Piramidę dzieliła od balustrady tylko niewielka strefa wolnej przestrzeni i w tym wąskim przejściu porozstawiali cały swój sprzęt.

Athamen Quin wyprowadził ich stamtąd do Londynu, a potem, metodą prób i błędów, manipulując wszystkimi sześcioma pokrętłami, zdołali wyciąć anomalię prowadzącą do wnętrza właściwego budynku, skąd, przy pomocy sprzętu spawalniczego i odrobiny brutalnej siły, przedostali się na dach.

Marszruta Obieżyświata nad Londynem była powszechnie znana i wyszukiwarka internetowa skwapliwie podsunęła im mapę. Ze swojego miejsca na dachu Shinobu widział, jak olbrzymi statek wchodzi w powolny skręt w dolnej części ósemki, którą zakreślał na niebie, przygotowując się do zawrócenia w ich stronę.

Wiatr rozrzucał włosy Quin na jej twarzy w sposób rozpraszający uwagę chłopaka, który dociągał paski jej uprząży – niełatwe zadanie – podczas gdy ona próbowała zebrać niesforne kosmyki, aby mu nie przeszkadzały.

– Będziesz zabawiać się włosami, czy wreszcie spróbujesz się skupić? – zirytował się w końcu, przerywając swoje czynności, aby poluzować pasek podbródkowy samurajskiego hełmu, który odziedziczył po swoim przodku i który tkwił teraz ciasno na jego głowie. W istocie cała zbroja okazała się nieprzyjemnie ciasna. Do jej założenia pchnęła go rodowa duma oraz żywiona potajemnie niejasna nadzieja, że w jakiś sposób przywróci mu to jego własny honor, niestety, jego praprapradziadek najwyraźniej był raczej nikczemnej postury. – A może sam mam wykonać cały plan?

Quin sięgnęła do kieszeni spodni i wyłowila stamtąd gumkę. Zaczęła zbierać włosy, aby je związać.

– Wielki mi plan! – odparła, podnosząc głos, aby słowa mogły przebić się przez wiatr. – Rzucić się z dachu wieżowca!

– Mimo to warto się chyba przygotować, co? Przestań bawić się włosami!

– Znowu to robisz! – zawołała do niego i porozumiała się wzrokiem z Brianem, który układał sprzęt pod balustradą.

– Znaczy co? Próbuje dopilnować, żebyśmy się nie pozabijali?

– Wrzeszczysz!

– Bo wieje!

Brian bez słowa wręczył Quin plastikową butelkę wypełnioną brązowoczarnym płynem. Dziewczyna ściągnęła zatyczkę i wcisnęła butelkę Shinobu.

– Pij! – rozkazała. – I tym razem nie kilka łyčzków. Co najmniej połowa ma zniknąć, zanim wypowiesz następne słowo.

– Chcesz, żebym za parę minut narzygał ci na głowę? To raczej nie ułatwi nam lądowania.

Wziął jednak butelkę i posłusznie zaczął pić. Wiedział, że przechodzi przez głód opiumowy, sziwowy i zapewne jeszcze kilka innych. Mistrz Tan uwarzył gigantyczny gar nowego, jeszcze bardziej okropnego naparu, aby pomóc mu w przezwyciężeniu objawów po odstawieniu dragów i Brian poutykał butelki z lekarstwem we wszystkich ich plecakach. Smak nie był z rodzaju tych, do których można się przyzwyczaić, ale bez tych ziółek Shinobu zapewne cierpiałby teraz męki zwinięty w kłębek w jakimś kącie, wyjąc i miotając się z bólu. Co, z drugiej strony, mogło być jednak lepsze od tego, co zamierzali zrobić.

Quin odczekała cierpliwie, aż wypije pół butelki, a potem przecierpi kilka chwil skurczów żołądka i drgawek, nim wreszcie umysł zacznie mu się rozjaśniać.

– Przepraszam – mruknął.

Nocny Londyn prezentował się pięknie z miejsca, w którym stali, ale Shinobu zauważył, że dziewczyna koncentruje się raczej na bliższym otoczeniu. Brian wciąż kucał pod balustradą, całkowicie ignorując widoki. Powodowani wiernością wpojonym im regułom Poszukiwaczy Quin i Shinobu uzgodnili, że nie wyjaśnią chłopakowi, w jaki sposób przenoszą się do Londynu, jemu zaś taki układ wydawał się odpowiadać. Odkąd zasłonili mu oczy opaską i przeciągnęli przez anomalię z Hongkongu, wielki Azjata był jednak dziwnie milczący. Teraz przycinał lonty rakiet do pożądanej długości i układał je starannie przy wyrzutni, mamrocząc coś pod nosem. Większość tego, co mówił, zabierał wiatr, ale od czasu do czasu do Shinobu docierały strzępki takich słów jak „czarna magia” i „obłąd”.

– Skąd on może znać się na rakietach? – spytała Quin, kiwając głową w stronę Briana.

– Wie, co robi. Często używaliśmy materiałów wybuchowych przy dużych pracach podwodnych.

– I fajerwerków?

– To prawie to samo.

– Ale pamiętasz, że nie jesteśmy pod wodą?

– Nie? Teraz mi mówisz? To po co ja brałam ponton?

Uśmiechnęła się, zadowolona, że już na nią nie pokrzykiwał.

- Denerwuję się – wyznała.
- Może herbatki? – Podsunął jej swoją butelkę.
- Quin znowu się uśmiechnęła.
- Nie, dziękuję.
- Spróbuj myśleć o czymś innym tak długo, jak tylko się da.
- Oczy dziewczyny rozbłysły nagłą myślą.
- Co się stało z moim koniem?
- Koniem?
- Z Yellenem. No wiesz, kiedy przenieśliśmy się do Hongkongu.

Shinobu potrząsnął głową, przypominając sobie jak gdyby odległy sen – płataninę rąk, nóg, siodła, rzemieni i pasów, w której znaleźli się, kiedy po ataku na posiadłość uciekli Tam.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odpowiedział. – Bałem się, że umrzesz, co zresztą zrobiłaś. Nie wydaje mi się, żeby Yellen przedostał się z nami, ale jeśli tak, to pewnie jest teraz żywą ozdobą czyjegoś ogródka. Wiesz, jakie są te posiadłości wokół Wzgórza Wiktorii.

Quin zadumała się, ale wtedy Brian zaczął im rzucać metalowe walce. Zawieszali je sobie w każdym dostępnym miejscu uprząży, choć na Shinobu trudno było znaleźć wolne miejsce. Niósł już zwój liny wspinaczkowej oraz palnik z wielkim zbiornikiem paliwa.

Kiedy zdołali jakoś przymocować wszystko do siebie, chłopak poruszył się na próbę i odkrył, że sprzęt obija mu kości. Czuł się tak, jakby chodził obwieszony od stóp do głów młotkami stolarskimi. Bez względu na to, jak doskonale wyjdzie im skok, lądowanie będzie bolesne.

– Gdzie mój układ naprowadzający, Sandaczkę?! – zawołał Shinobu.

Brian rzucił mu cylindryczny przedmiot, niepokojąco podobny do fajerwerków, których zestaw właśnie przygotowywał. Chłopak przymocował go do klamer u swojego lewego biodra, a potem on i Quin założyli rękawice.

Shinobu wgramolił się – razem z całym wiszącym na nim osprzętem – na balustradę i usiadł na niej, zwieszając nogi po wewnętrznej stronie, nad dachem. Dziewczyna poszła w jego ślady, starając się nie patrzeć w dół. Na balustradzie wiatr wiał silniej, ale porywy były teraz rzadsze.

Obieżyświat znajdował się niecały kilometr od nich, zbliżając się od południa. W metalowym poszyciu odbijały się światła miasta. Quin i Shinobu założyli gogle.

Skacząc z Mostu Tranzytowego w Hongkongu, chłopak przypomniał sobie, co John powiedział kiedyś o niedostępności Obieżyświata dla Poszukiwaczy. Uświadomił sobie wówczas, że statek musiał zostać zaprojektowany tak, aby athamen nie mógł przenieść nikogo na pokład. Współrzędne, do jakich mogli dotrzeć za pomocą athamenu Quin, zawsze określały stacjonarną lokalizację.

Sztylet nie mógł zaprowadzić ich do miejsca ruchomego jak Obieżyświat, którego współrzędne zmieniały się nieustannie. Dlatego obmyślił plan przedostania się tam inną drogą.

Spojrzał na dziewczynę.

– Jesteś gotowa?

– Nie kłamałeś, prawda? Kiedy mówiłeś, że już to kiedyś robiłeś? – spytała ostrożnie.

Była to kwestia sporna. Shinobu skakał z hongkońskich drapaczy chmur wielokrotnie, ale jeszcze nigdy obwieszony taką ilością sprzętu, przy tak złej pogodzie ani z zamiarem trafienia w ruchomy cel. W tamtej chwili nie było jednak sensu dzielić włosa na czworo.

– Pewnie, że robiłem. Wiele razy.

Bardzo, bardzo ostrożnie podniósł się i stanął na balustradzie zwrócony bokiem do dachu i przodem do Quin. Powierzchnia, na której stał, mierzyła ponad pół metra szerokości, ale Shinobu, ze wszystkim, co miał na sobie, był jeszcze szerszy. Ustawił ciało w położeniu równowagi, a potem pomógł dziewczynie się podnieść. Stała odwrócona do niego plecami, również patrząc wzdłuż balustrady. Brian przytrzymał ich za nogi.

Shinobu widział, że Quin zerka w dół. U ich stóp budynek urywał się pionową ścianą, opadającą stu dziesięcioma piętremi do samej ziemi. Ostrożnie przestawiając stopy, dziewczyna przesunęła się do tyłu, aż znalazła się zaledwie kilka centymetrów od niego. Zapiął karabińczyki łączące tył jej uprząży z przodem jego własnej i przyciągnął ją mocno do siebie.

– O Boże – sapnęła.

Obróciła głowę w stronę miasta. Shinobu obserwował, jak jej oczy mierzą odległość od dachu, na którym stali, do zbliżającej się powoli sylwetki Obieżyświata. Statek unosił się w powietrzu czterysta metrów od nich i znacznie bliżej ziemi.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał jej do ucha.

Brian stał przy balustradzie u ich stóp, także obserwując zbliżający się statek. Po chwili zarzucił sobie wyrzutnię na ramię i wsunął do środka pierwszą raketę.

– Gotowy do boju, Barakuda – oznajmił.

– Ja chyba nie dam rady – wyszeptała dziewczyna.

Sięgnęła do tyłu i złapała go za dłoń. Ścisnęła ją mocno. Shinobu czuł, jak drży pod warstwami sprzętu. To, co mieli zrobić, było – musiał to przyznać – kompletnym szaleństwem. Żadne słowa nie były w stanie tego zmienić.

– Quin? – zagadnął.

– Tak.

– Czy tam, w piwnicy, próbowałaś mnie pocałować?

Stała tyłem do niego i widział tylko część jej policzka i lewe ucho, ale kiedy



jedno i drugie zalał głęboki róz, wiedział, że zdołał na chwilę odwrócić jej uwagę.

Nie dając jej żadnego ostrzeżenia ani czasu na roztrząsanie grozy sytuacji, Shinobu zeskoczył z balustrady, porywając Quin ze sobą.

W następnej straszliwej, wykręcającej trzewia chwili lecieli w dół na łeb na szyję, z prędkością, która wydawała się stanowczo za duża. Dziewczyna wrzeszczała. Shinobu poczuł, że żołądek zaciska mu się boleśnie, a wnętrzności próbują wyrwać się na wolność przez gardło. Jego ciało było pewne rychłego zgonu.

Ale przecież skakał już wcześniej z budynków. Przyjął pozycję do swobodnego spadania, co automatycznie ustawiło Quin w odpowiednim położeniu pod jego ciałem. Obieżyświat był przed nimi. Widział go wyraźnie. Skręcił w jego stronę, czując, jak pęd powietrza szarpie jego rękami i nogami.

– Spadochron! – zawołała dziewczyna.

– Jeszcze nie! – odkrzyknął.

Tysiące okien śmigły na obrzeżach jego pola widzenia, drapacze chmur rozmazywały się w pędzie, pękaty masyw Obieżyświata był coraz bliżej.

– Otwórz spadochron! – wrzasnęła Quin.

Smuga czerni przecięła przestrzeń po ich lewej stronie, zmierzając prosto w stronę statku. Chwilę później eksplozja różowości wypełniła pole widzenia i powietrzem wstrząsnął huk. Pierwszy fajerwerk wybuchł przed nosem Obieżyświata.

– Spadochron!

– Wiem, co robię! – krzyknął Shinobu, zdumiony własną umiejętnością przemawiania z taką pewnością siebie, podczas gdy jego słowa były prawdziwe jedynie w dużym przybliżeniu.

Ziemia pędziła im na spotkanie. Byli już prawie nad statkiem, lecąc między kolejnymi rozbłyskami kolorów i kłębam gryzącego dymu.

– Shinobuu! – usłyszał rozpaczliwy wrzask.

Otworzył spadochron.

## Rozdział 56

### Maud

Na dachu niższego budynku stało troje Sędziów, obserwując lot Obieżyświata nad Londynem. Towarzyszył im Briac Kincaid. Uparł się, że ma prawo, jako prawowity właściciel athamenu, do uczestnictwa w wyprawie mającej na celu jego odzyskanie. Wyglądało na to, że mężczyzna nie ufa żadnemu z Sędziów w dostatecznym stopniu, aby uwierzyć, że wypełnią swoją obietnicę.

Mógł chodzić dzięki czemuś, czym lekarze nafaszerowali mu rany oraz potężnej porcji białych pigułek, które połknął tuż przed ich przeskokiem do Londynu. Osobiście Młoda Sędzia była zadowolona z jego obecności. Choć jego noga z godziny na godzinę funkcjonowała coraz lepiej, Briac wciąż był ciężko ranny. Dla kogoś w jego stanie taka wyprawa mogła skończyć się fatalnie.

Młoda stała przy swoim mistrzu, spoglądając spod skózanego hełmu na wielki statek powietrzny pływający w oddali. Zastanawiała się, jakim cudem tak wielka maszyna mogła unosić się nad ziemią. Mistrz zapowiedział jej setki lat wcześniej, że świat będzie inny za każdym razem, kiedy się ocknie z rozciągnięcia, ale przy transformacjach, jakie widziała w ciągu kilku ostatnich przebudzeń, wszelkie poprzednie zmiany wydawały się trywialne.

Sędziowie spędzali większość swojego czasu w posiadłości oraz towarzysząc świeżo upieczonym Poszukiwaczom przy ich pierwszych zadaniach, dlatego w swoim długim życiu Młoda rzadko odwiedzała miasto. Londyn wydał się jej wielki czterysta lat temu, kiedy odwiedziła go ostatnio. Teraz musiał być co najmniej dziesięć razy większy – niebosiężny las z metalu i szkła, ciągnący się tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem.

Stary Sędzia znów miał na sobie mniszą szatę, ale jego twarz nadal wyglądała dziwnie pozbawiona brody. Jego oczy bacznie śledziły statek, podczas gdy palce manipulowały pokrętłami na rękojęści kamiennego sztyletu. Trafili do Londynu w ślad za athamenem Quin i choć przemieściła się od czasu pierwszych przenosin, jej ostateczny cel był oczywisty.

Ze swojego obecnego stanowiska na dachu budynku Sędziowie powinni rzecz jasna udać się do tamtego miejsca, gdzie mistrz będzie musiał precyzyjnie utrafić we współrzędne poruszającego się statku. Żaden inny athamen nie mógł sprowadzić Poszukiwacza do ruchomej lokalizacji i żaden człowiek oprócz mistrza nie potrafił odnaleźć drogi do wnętrza czegoś przemieszczającego się z tak wielką prędkością jak Obieżyświat. Statek został zbudowany po to – jak zrozumiała Młoda Sędzia – aby chronić jego pasażerów przed Poszukiwaczami wyposażonymi w zwyczajne athameny. Jednakże ten, kto go skonstruował, nie zdawał sobie sprawy, że nie był on w stanie zatrzymać Sędziów – nie, jeśli dysponowali athamenem jej mistrza oraz jego biegłością w posługiwaniu się nim.

- Nie zabiję jej, mistrzu – powiedziała cicho Maud do Starego Sędziego. Stała tuż przy nim, podczas gdy dwaj pozostali czekali w pewnej odległości.
- Nie sądzę, abyś ją zabiła – przytaknął mistrz.
- To byłoby niesprawiedliwe – wyszeptała.
- Jest tak, jak mówisz.
- Czy naprawdę oddamy athamenu Briacowi Kincaidowi?

Nie odpowiedział od razu. Obserwował płynący w oddali statek. Obieżyświat był coraz bliżej. Sunął między budynkami.

– Naszą powinnością jest zaprowadzać ład – rzekł po dłuższej chwili. – Jeżeli oznacza to przekazanie athamenu we właściwe ręce, czy wolno nam poniechać zamiaru?

- Kto wybiera właściwe ręce? – spytała cicho.

Nie odpowiedział wprost na to pytanie, ale po chwili przerwy dodał:

– My, Sędziowie, nie powinniśmy żyć w przebudzeniu wszyscy w jednym czasie. Aby czynić sprawiedliwość, dość jednego, jeżeli wszyscy odebrali nauki. Athamen to mała rzecz. Aby dać ją komuś, wystarczy para rąk. Czyje będą to ręce?

Obieżyświat był coraz bliżej. Młoda czekała cierpliwie, aż Stary Sędzia odpowie na swoje własne pytanie. Ale zamiast odpowiedzi usłyszała:

- Jesteś przygotowana?
- Jestem.

Mistrz pokiwał głową i gestem przywołał do siebie Średniego i Briaca. Następnie szybko ustawił pokrętła athamenu i uderzył sztyletem o smukłe krzesiwo. Przy narastającym pomruku wibracji bystre oczy Młodej Sędzi pochwyliły ruch wysoko ponad nimi, obok budynku tak wysokiego, że z miejsca, w którym stała, trudno było dostrzec jego szczyt. Natychmiast rzuciła tam swój wzrok i dostrzegła dwa złączone kształty spadające z olbrzymią prędkością w stronę lecącego statku. Kształty były ludźmi, płataniną broni i kończyn.

Nagle erupcje koloru wypełniły nocne niebo, odciągając jej uwagę od lecących postaci. Różowa gwiazda wykwitła przed nosem Obieżyświata, a zaraz po niej następne: niebieska i zielona. Po niebie przetoczył się głęboki, przeciągły grzmot. Wyglądało na to, że Quin przybywała na pokład Obieżyświata w wielkim stylu.

Stary Sędzia wyciął portal. Młoda oderwała oczy od rozbłysków na niebie i wstąpiła w huczącą czerń za mistrzem. Za nią poszedł Średni, na końcu zaś, powłócząc zranioną nogą, tętniącą energią granicę pomiędzy tu i Tam przekroczył Briac.

Anomalia jeszcze nie zdążyła się zamknąć, kiedy starzec znów przebiegł palcami po pokrętłach athamenu i uderzył nim o krzesiwo. Z poprzednim portalem wciąż huczącym za plecami nakreślił w powietrzu nowe przejście, które otworzyło się na korytarz i przekrój konstrukcji podłogi. Patrzyli na wnętrze Obieżyświata

przez otwór wycięty między pokładami, odsłaniający zbyt mało wolnego miejsca, aby mogli bezpiecznie przejść.

Palce Starego Sędziego niezwłocznie powędrowały z powrotem do pokręteł, aby dokonać subtelnej korekty. Mistrz po raz trzeci uderzył athamenem o krzesiwo, obrócił się nieznacznie i tuż obok nakreślił kolejny portal. Otworzył się na ten sam korytarz co poprzednio, ale tym razem znalazł się dokładnie na wprost nich. Młoda Sędzia doświadczyła chwilowego zawrotu głowy, patrząc w dwie anomalie ukazujące tę samą przestrzeń z dwóch różnych perspektyw.

W obu królował chaos. Wewnętrzne lampy Obieżyświata migotały ostrzegawczo, ludzie krzyczeli, korytarz rozbłyskiwał barwnymi wybuchami światła.

Dobytując broni, troje Sędziów i Briac Kincaid przekroczyli krawędź anomalii i weszli na pokład statku.

## Rozdział 57

### Quin

Shinobu pociągnął linkę i wyrwana z pokrowca czasza spadochronu rozkwitła nad nimi, nagłym szarpnięciem spowalniając ich upadek. Kiedy tylko wypełniła się wiatrem, mocny podmuch poderwał ich wyżej i gwałtownie zakołysał na boki.

Lecieli na pewną śmierć – Quin była przekonana, że to ich ostatnie chwile. Wszędzie wokół wybuchały fajerwerki, miotając płonące fragmenty na wszystkie strony. Palily jej się spodnie. Uderzała nogą o nogę, próbując stłumić płomień, ale tryskająca zielonym ogniem bryłka fajerwerku przeżerała się przez materiał.

Obieżyświat był tuż pod nimi. Z daleka bezgłośnie, oglądane z bliska olbrzymie wirniki nośne napępiały powietrze grzmiącym hukiem. Shinobu szarpał rozpaczliwie za taśmy spadochronu, klnąc, na czym świat stoi, ale porywisty wiatr prawie uniemożliwiał sterowanie.

Kolejna rakietka wybuchła, rozsyłając oślepiające złote zawijasy po bezmiarze wszechświata. Huk był ogłuszający. Chłopak zaklął głośniejszym i zaczął się szarpać. Wykręciwszy głowę w górę, Quin ujrzała, że płonąca struga złotego popiołu zapaliła jedwabne pasy jego zabytkowej zbroi. Płomienie wyjadały też dziurę w czaszy spadochronu. Wiatr właśnie zniósł ich za Obieżyświata, a Shinobu wyraźnie tracił panowanie nad lotem.

– Trzymaj się! – krzyknął. – Zawracamy.

W uszach dziewczyny eksplodował syk zapalającej się mieszanki prochowej i potężna siła zakręciła nimi oszalałego młyńca. To Shinobu odpalił raketę przypiętą do jego lewego biodra, a jej odrzut pchnął ich obłąkańczym zwrotem z powrotem w stronę statku.

Zapierające dech szarpnięcie prawie odwróciło Quin głową w dół, ale oto chłopak złapał raketę przez rękawicę i wycelował za siebie, zamiatając płomieniem na boki, aby wygasić kołysanie na linkach spadochronu. Po chwili zdołał wyrównać lot i znów znaleźli się nad ogromnym kadłubem Obieżyświata.

– Trzymaj się! – krzyknął raz jeszcze, a nieopodal wybuchł kolejny fajerwerk.

Shinobu odpiął raketę i odrzucił od siebie. Quin patrzyła, jak jego ręka sięga do uchwytu wyczepienia czaszy. W następnej chwili kłęb materiału odfrunął, oni zaś runęli w dół – bez zapasowego spadochronu, bez nadziei na ratunek, gdyby chybili celu.

Na dwie przerażające sekundy jej wnętrzości przemieniły się w galaretę, po czym grzmotnęli twardo o poszycie statku i potoczyli się po nim, pchnięci impetem uderzenia. Powierzchnia, która z góry wydawała się niemal pozioma, okazała się pochyłością. Ręce i nogi Quin rozpaczliwie poszukiwały chwytu; metalowe walce,

porozwieszane wokół jej ciała, obijały się o nią jak małe kowadła. Ślizgali się coraz szybciej, nie mogąc się zatrzymać. Dziewczyna była pewna, że kadłub za chwilę się skończy, i runą w dół na pewną śmierć, ale kilkanaście metrów dalej zatrzymał ich poziomy pylon jednego z wirników nośnych.

Shinobu natychmiast poderwał się na kolana, pociągając Quin ze sobą i pośpiesznie odczepiając łączące ich karabińczyki.

– Nic ci nie jest?! – spytał.

Sam wyglądał na mocno wstrząśniętego. Wichura nie słabła, więc musiał prawie krzyknąć.

Dziewczyna poruszyła ostrożnie kończynami, przy okazji zauważając, że ślizg po lądowaniu ugasił pożar na jej spodniach, których duża część znikła, odsłaniając lśniący materiał pod spodem. Kombinezon ochronił ją przed ogniem.

– Kości całe – powiedziała, zdumiona, że wciąż jest w stanie artykułować słowa. – A ty?

– Być może zmoczyłem się w spodnie. Nie jestem pewien.

Oboje roześmiali się, zadowoleni z faktu, że wciąż są cali i zdrowi, po czym Shinobu zabrał się do pracy. Z jednej z kieszeni wydobył hak wspinaczkowy i wbił go w kadłub. Metalowe ostrze przebiło poszycie Obieżyświata, a potem automatycznie wkręciło się głębiej, zapewniając im pewne oparcie. Założyli na nim asekurację, przypinając się za pomocą lin i karabińczyków, tak jak chłopak uczył ją, kiedy pakowali sprzęt w Hongkongu.

Quin zauważyła, że jego samurajska zbroja wciąż się tli, rozjarzając pomarańczowymi plamami żaru w rytm podmuchów wiatru. Podczas gdy regulował liny, biła w drewniany pancerz pięściami, dopóki ogień nie zgasł całkowicie.

– Dzięki – rzucił.

Ze swojego miejsca, patrząc w stronę dziobu, widzieli większą część pochyłego dachu Obieżyświata. Za sobą mieli cztery wirniki nośne, a za wirnikami górna powierzchnia kadłuba załamywała się stromo w dół i kończyła wyobloną rufą.

Kolejny fajerwerk wybuchł przy dziobie statku. Quin i Shinobu przykucnęli, osłaniając głowy ramionami, podczas gdy zlepki błękitnych iskier spadały wokół nich jak grad. Rozbłyski chwilowo oślepiły dziewczynę, która miała nadzieję, że podobnie podziałały na kamery nadzoru Obieżyświata.

– Dawaj palnik! – rozkazał chłopak, przekrzykując wiatr. Strzepywał z ich ubrań płonące iskierki.

Quin odpięła masywny przyrząd od jego uprząży i wręczyła mu. Shinobu popełził na czworakach wzdłuż ściany kadłuba, wlokąc sprzęt za sobą. Dziesięć metrów dalej zawołał:

– Jest klapa!

Ostrożnie ruszyła za nim. Chłopak wbił kolejny hak, zaczepił karabińczyk, a potem zapalił błękitny płomień palnika, pochylił się nad kadłubem i zaczął ciąć.

Wtedy lunął deszcz. Wielkie krople rozbijały się na blachach poszycia, moczyły twarz Quin i czeły w obłoczkach pary w zetknięciu z rozgrzanym przez palnik metalem. Kiedy dziewczyna dotarła do Shinobu, wytopiona przezeń szczelina obejmowała już połowę obwodu włazu.

Wciąż na kolanach, jedną ręką trzymając się białego przez chłopaka haka, drugą odpięła uprząż i rzuciła ją na pylon. Następnie umocowała sobie morfer u pasa i namacała noże, które poukrywała na ciele.

Rozpostarła płaszcz Shinobu, do tej pory zwinięty ciasno i przypięty za jej plecami. Założyła go na siebie i sprawdziła kieszenie. Wyjąwszy athamen i krzesiwo, przytroczyła je u pasa, po czym sprawdziła, czy pozostałe przedmioty wciąż bezpiecznie tkwią w płaszczu. Wprawdzie athamen nie mógł przenieść jej do ruchomego celu, takiego jak ten statek, ale znakomicie nadawał się do ewakuacji w przeciwnym kierunku – musiała tylko utrzymać go w swoim posiadaniu.

Odpięła z uprzęży jeden długi pasek, przewiesiła go sobie przez ramię, zaciągnęła ciasno i zawiesiła na nim kilka metalowych walców.

– Gotowe! – oznajmił Shinobu.

Wokół włazu dymił prostokąt wypalonej szczeliny. Padało coraz mocniej, co oznaczało, że wybuchy fajerwerków – choć wciąż oślepiające – miały mniejszą szansę na podpalenie im ubrania. Ponadto deszcz szybko chłodził rozżarzone brzegi wyciętej palnikiem dziury. Po kilku chwilach metal ostygł w wystarczającym stopniu, aby mogli wetknąć w rozstęp osłonięte rękawicami palce. Kłapa była ciężka i nie poddawała się łatwo, ale wyteżywszy wszystkie siły, w potoku niecenzuralnych słów lejącym się z ust Shinobu, zdołali dźwignąć ją w górę i odepchnąć na bok.

Za kłapą znaleźli drabinę, prowadzącą w głąb statku. Wewnątrz błyskały światła alarmowe i Quin usłyszała wzburzone głosy załogi. Serce łomotało jej w piersi, przepełnione mieszkanką strachu i podniecenia. „Dam radę. Dam radę”. Naciągnęła na twarz maskę przeciwgazową.

– No to jazda!

Shinobu złapał ją za ramiona i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Tak! – Żyły pęczniały jej od adrenaliny.

Chłopak skinął głową i Quin położyła się na kadłubie statku, podciągając w stronę otworu. Shinobu złapał za pasek okalający jej tors i opuścił ją, głową naprzód, w głąb postrzępionej dziury w poszyciu.

Wytknęła głowę na szeroki korytarz. Na dalszym końcu ludzie biegali tam i z powrotem z jednego pomieszczenia do drugiego, podczas gdy wokół statku wciąż wybuchały fajerwerki.

Wisząc głową w dół, odpięła jeden z metalowych walców od paska na ramieniu. Obróciła dźwignię zwalniającą i cisnęła walec w głąb korytarza, w stronę sterówki. Pojemnik zakręcił się w powietrzu, odbił się od podłogi i potoczył w kierunku dziobu statku, sycząc wirującą spiralą dymu.



## Rozdział 58

### John

Korytarze wypełniały się gazem – gęste, zawiesziste kłęby rozchodziły się po wnętrzu statku. Wstrzymując oddech, John opuścił hermetyczne, klimatyzowane wnętrza sterówki i szybkim krokiem ruszył wzdłuż skażonego gazem przejścia, odpychając z drogi kilku mężczyzn, kaszlących i słaniających się na nogach. Nie mógł się zatrzymać, aby im pomóc, bo szybko sam padłby ofiarą zatrucia.

Starł się zachować spokój, utrzymując niski puls, aby dotrzeć do końca długiego górnego korytarza bez zaczerpnięcia tchu. Ostatnich dwadzieścia metrów musiał przebiec, czując ogień w płucach, ale w końcu dopadł swojego apartamentu, wszedł do środka i szybko zatrzasnął za sobą drzwi.

Zaciągając się głęboko świeższym powietrzem kabiny, otwierał szafkę za szafką, szukając skrzynki z zestawem ratunkowym. Odnalazłszy ją, wysypał zawartość na podłogę i ze sterty medykamentów wyłuskał maskę przeciwgazową. Następnie wyjął rozrywacz z sejfu i umocował go sobie na piersi. W drodze powrotnej ku drzwiom minął lustro i przystanął przed nim na chwilę. Wyglądał przerażająco – z twarzą obleczoną w maskę przypominał potwora niosącego przed sobą średniowieczne narzędzie tortur.

„Powinien przerażać. Jego przeznaczeniem jest siać grozę – przypomniał sobie. – Mam jej matkę, mam rozrywacz, bez względu na to, co planuje, mogę zastraszyć ją, zmusić, aby mnie wysłuchała. Przekonam ją. Nie spotka jej nic złego”.

Kiedy uwięził Fionę, spodziewał się, że Quin pojawi się w Londynie, aby negocjować warunki jej uwolnienia. Ponieważ athamen nie mógł przenieść jej na pokład Obieżyświata, był pewien, że on i jego ludzie znajdą ją na długo, zanim zdąży wykonać swój ruch – na tym polegała zaleta mieszkania w latającym domu. Najwyraźniej jednak jej nie docenił. Połowa jego ludzi przeczesywała ulice Londynu, szukając dziewczyny, podczas gdy ona wymyśliła coś zupełnie innego.

Wyrzwał przez jedno z okien swojego apartamentu, podziwiając eksplozje fajerwerków, rozkwitające na niebie za sterburtą. Co kilka sekund nowy wybuch oślepiał zewnętrzne kamery statku. Johna ogarnęły wątpliwości. „Czy to tylko Quin?”. A jeśli polowali na niego także Sędziowie? Zdarzało się im już zadzierać z jego rodziną, ale teraz nie miał niczego, na czym mogłoby im zależeć – ani athamenu, ani księgi, nie był nawet Poszukiwaczem. Nie, chciał zwabić Quin do Londynu i doczekał się jej – oto przybyła, aby uratować Fionę.

Sprawdził szczelność maski i wyszedł na korytarz. Obieżyświat pogrążał się w chaosie. W przejściach leżały ciała. John przykląkł przy dwóch mężczyznach i sprawdził im puls. Ich serca biły mocno – gaz obezwładniał, ale nie był trujący.

„Nie jest morderczynią – pomyślał. – Ja też nie. Razem potrafilibyśmy

wybierać właściwie. Oszczędzilibyśmy tych, których należałoby oszczędzić”.

Podszedł do grupy trzech mężczyzn, którzy, wciąż przytomni, pęzli w stronę klatki schodowej w poszukiwaniu czystego powietrza.

– Na drugim pokładzie przy końcu korytarza znajdziecie maski – powiedział, pomagając im dźwignąć się na nogi. – Idźcie, weźcie broń. Ale nie strzelać, dopóki nie usłyszycie rozkazu ode mnie, jasne?!

Mężczyźni, słaniając się, znikli na schodach.

John dotknął boku rozrywacza, budząc broń do życia. Jej niepokojący elektryczny wizg przebił się przez hałasy otoczenia, pomagając mu w skupieniu myśli. Oto niósł przed sobą własne fajerwerki. Jeśli zdoła przerazić Quin na tyle, aby zaczęła go słuchać, będzie mógł położyć kres temu szaleństwu bez rozlewu krwi.

## Rozdział 59

### Shinobu

Shinobu przywarł do rufy statku, zabezpieczony jedną wążką linką, opierając się deszczowi i wiatrowi, które usiłowały zepchnąć go w otchłań. Miał za zadanie pograć Obieżyświata w ciemności, a potem dołączyć do Quin w środku.

Za pomocą palnika wyciął sobie przejście w poszyciu jednej z gondoli silnikowych i przedostał się do jej ciasnego wnętrza. Wypełniał je gąszczem zaworów, kabli i rur oplatających ogromny motor i kierujących się węzowymi skrętami do wnętrza pylonu łączącego gondolę z kadłubem. Jediną rzeczą, o której zapomniał, była latarka, a w mrocznej komorze silnika nie było widać zbyt wiele, poza momentami eksplozji fajerwerków, które z kolei były tak jasne, że praktycznie go oślepiały.

Przed akcją wyszperał w internecie domniemany schemat instalacji elektrycznej słynnego Obieżyświata, ale teraz, w konfrontacji z rzeczywistością, uświadomił sobie, że tamte rysunki były całkowicie bezużyteczne. Musiał zdać się na własną wiedzę o elektrotechnice – zdobytą niemal w całości podczas cięcia na kawałki starych wraków i zatopionych maszyn.

Mrużąc oczy, wypatrzył sieć przewodów elektrycznych. Śledząc ich przebieg, odszukał wiązkę kabli grubą jak jego ramię. Sięgnął tam palnikiem, by delikatnie przeciąć wszystkie po kolei.

Tyle że w działaniu palnika nie było nic z delikatności. Płomień przepalił nie tylko kable, ale też to, co było pod nimi, roztopiając prawie trzydzieści centymetrów ażurowej wręgi wraz z przymocowanymi do niej rurami hydrauliki i różnymi podzespołami, które sprawiały wrażenie ważnych.

Niemal natychmiast w dźwięk silnika wdarła się urywana nuta, a w widocznych przez dziurę w gondoli oknach kadłuba światła zamigotały i zgasły. Obieżyświat przechylił się, zbaczając z kursu, a w jego wnętrzu rozbrzmiał sygnał alarmowy tak głośny, że Shinobu słyszał go wyraźnie przez deszcz i wicher.

Zgasił palnik i czekał, sprawdzając broń przed wkroczeniem na pokład. Ale po krótkiej chwili alarm umilkł, okna znów zapłonęły światłem, a statek dźwignął się leniwie, wyrównując lot. Obieżyświat musiał mieć układy zapasowe, dublujące wszystkie ważne instalacje, a zapewne także układy zapasowe układów zapasowych.

Shinobu rozejrzał się, szukając kolejnych rzeczy do przecięcia.

## Rozdział 60

### Maud

Młoda Sędzia musiała oddychać, ale w razie potrzeby potrafiła obejść się bez powietrza bardzo długo. Wraz z towarzyszami przemierzała zadymione korytarze wielkiego statku powietrznego, idąc za głosami ludzi, których gaz jeszcze nie pozbawił przytomności. Młoda, tak jak dwaj starsi Sędziowie, rzuciła umysł do własnych płuc i serca, aby zmusić ciało do poruszania się, a krew do krążenia w żyłach bez dopływu tlenu z zewnątrz. Nie mogła ciągnąć tego w nieskończoność, ale dziesięć minut mieściło się w granicach jej możliwości. Już kiedyś wstrzymała oddech na tak długo, pod wodą, przytrzymywana przez Średniego.

Nagle zgasły wszystkie światła, a statek bez ostrzeżenia przechylił się w lewo, wytrącając ich z równowagi. Rozległo się zawodzenie syren tak ogłuszające, że Młoda zastanawiała się, czy jej słuch zdoła to przetrwać. Szli jednak dalej, nie zwracając uwagi na hałas.

Chwilę później statek wyrównał, a jego wnętrze rozjaśniły inne światła, ciemniejsze, pozostawiając części korytarzy w cieniu. Syreny umilkły.

Briac Kincaid nie nadązał za nimi. Wstrzymywał oddech tak długo, jak było to możliwe, a teraz wciągał łapczywie powietrze przez płaszcz, którym owinął sobie twarz. Nie był to najskuteczniejszy sposób na odfiltrowanie gazu. W końcu, zanosząc się kaszlem, mężczyzna padł na kolana obok Młodej Sędzi, a potem runął twarzą na podłogę.

Stary Sędzia przypatrywał się Młodej w milczeniu, jakby mówił: „Briac upadł. Co chciałabyś w związku z tym uczynić?”

Zanim zdążyła sformułować odpowiedź, Średni podbiegł korytarzem naprzód i wrócił kilka chwil później z maską, którą musiał zerwać z czyjejś głowy. Założywszy ją Briacowi na twarz, dźwignął go na nogi i czekał, aż nałyka się czystego powietrza. W końcu jego kaszel ucichł i cała czwórka wznowiła marsz.

„Ci dwaj przechowują nawzajem swoje tajemnice – pomyślała Maud po raz kolejny, zmuszając mięśnie do ruchu. – I utrzymują się nawzajem przy życiu”.

Wiedziała, co czeka ją w przyszłości, ale postanowiła zmierzyć się z tym później. Kiedy jej mistrz wróci Tam, aby rozciągnąć się znowu na setki lat, ona pozostanie sama ze Średnim i Briakiem. Tymczasem miała za sobą otwarty atak na Średniego i wyraziła swoją żądzę uśmiercenia go. Nie było powodu, aby przypuszczać, że on i Briac pozwolą jej żyć.

## Rozdział 61

### Shinobu

Shinobu wykonał kilka kolejnych nacięć w instalacjach Obieżyświata, co statek zniósł bez skargi. W tym czasie chłopak powinien już dołączyć do Quin, dlatego atakował agresywniej, szukając przewodów, których przecięcie pozbawiłoby zasilania tylko kabiny załogi, nie posyłając całej maszyny na ziemię.

Gruba wiązka izolowanych kabli oplatała silnik, wijąc się między elementami jego osprzętu. Do tej pory omijał ją, obawiając się uszkodzenia motoru, ale teraz, odchylając płomień ukośnie, aby osłabić jego destrukcyjne działanie, wycelował palnikiem w przewody.

– Proszę, tylko nie silnik. Proszę, tylko nie silnik... – powiedział na głos, gubiąc słowa na wietrze.

Palnik w jednej chwili przetopił kable i z nadszpiewaną łatwością wgryzł się w korpus. Przez jedną krótką chwilę Shinobu patrzył w osłupieniu, jak błękitny płomień zagłębia się w dygoczący mocą zespół napędowy, po czym ze szczeliny, niczym z pieca hutniczego, wyrwał się strumień rozpalonego powietrza, przemieniając deszcz w kłęby pary.

– O szlag! – zdążył wrzasnąć chłopak, uskakując na bok, aby uniknąć parzącego podmuchu.

Gogle ocaliły mu wzrok, ale na policzkach czuł smugi piekącego bólu w miejscach, gdzie dosięgły go strumienie pary.

Z silnika dobył się piekielny jazgot i statek zakołysał się gwałtownie, wyrzucając intruza z wnętrza gondoli. Shinobu zawirował w powietrzu, poczuł łamiące kości szarpnięcie i zawisł na linie asekuracyjnej, zataczając opętane kręgi. Utrzymał go hak wbity w kadłub Obieżyświata, który wisiał ponad nim jak góra, przewracająca się prosto na niego. Jego pole widzenia nagle wypełniły ulice Londynu, wirujące oszałamiająco daleko pod nim.

Nowy ból przeszył mu nogę – to palnik obijał mu się o kostkę, przepalając samurajskie nogawice, ubranie, a nawet żaroodporną warstwę bielizny ochronnej. Shinobu krzyknął i panicznym wierzgnięciem spróbował odtrącić dyszę. Potem pochylił się, aby ją złapać, ale fakt, że zarówno on, jak i palnik tańczyli dziko w powietrzu, poważnie utrudniał mu zadanie.

Układy stabilizujące Obieżyświata zaskoczyły wreszcie i statek zaczął wyrównywać lot, wyjął ocalałymi silnikami, pracującymi teraz pod zwiększonym obciążeniem. Chłopak kopał wściekle płonąca dyszę, aż wreszcie zdołał ją zgasić.

Przez pół sekundy wisiał na końcu liny, napawając się uczuciem ulgi, po czym rzucił się do gorączkowej wspinaczki. Zbroja jego przodka, choć w połowie zwęglona od fajerwerków, wciąż była tak ciasna, że nie był w stanie w pełni rozłożyć rąk. W przyptywie desperacji wbił palce w nadpalone resztki jedwabnych

taśm, zerwał z siebie pozostałości pancerza i cisnął na ulice poniżej, przepaszając w duchu swoją mamę.

Korzystając z osadzonych w poszyciu uchwytów, zdołał wciągnąć się z powrotem na kadłub, ale nie zdążył nawet ucieszyć się z odzyskania twardego gruntu pod stopami, gdy kolejny silnik zagrział ogłuszającym hukiem i statek runął nosem ku ziemi.

Shinobu został ciśnięty ponad rufowe wirniki, zatoczył łuk nad kadłubem i pofrunął w stronę dziobu daleko poza pierwszy otwór, który wyciął w poszyciu statku. Lina asekuracyjna zatrzymała go gwałtownie, rzucając na oszklony dach na przedzie kadłuba. Chwilę później, kiedy próbował złapać dech po uderzeniu w pancerną szybę, silniki zwiększyły obroty i powstrzymały Obieżyświata przed runięciem na ziemię.

Kiedy znów zaczął oddychać, twarz miał dociśniętą do szkła. Wewnątrz statku było ciemno, ale on zauważył jakiś ruch. W mroku tańczyła chmara kolorowych iskier. Nagle iskry wystrzeliły tęczową smugą, która zawirowała i rozprysła się po drugiej stronie szyby o centymetry od jego twarzy. Ktoś w środku strzelił z rozrywacza. I było wielce prawdopodobne, że strzelał do Quin.

Szkło było śliskie od deszczu i Shinobu co chwila tracił oparcie pod nogami, pośpiesznie podciągając ku sobie taśmę, na której był zawieszony palnik. Oparzona kostka i policzki piekły go wściekle, bolały go też poobijane żebra, ale prawie tego nie czuł.

Dysza rozbłysła płomieniem.

## Rozdział 62

### Quin

Korytarz był ciemny od dymu z jej własnych pojemników. Quin przedzierała się przez górny pokład w stronę dziobu. Szyba jej maski zaparowała od środka, dodatkowo pogarszając widoczność. Pod stopami czuła nierówny dygot uszkodzonych silników, powietrze drżało od skowytu syren alarmowych, w którym tonęły wszystkie inne dźwięki.

Przed nią, w ścianie po prawej stronie, otwierało się szerokie przejście prowadzące z korytarza do przestronnej kabiny. Wewnątrz widziała sylwetki ludzi, w tym cztery osoby pod przeszkloną kopułą na dziobie. Byli tam dwaj strażnicy w maskach przeciwgazowych, a między nimi siedząca na krześle postać ze zwieszoną głową. Quin mignęła czerwienią jej włosów – Fiona! Jej mama była zaledwie kilka metrów od niej.

John także tam był. W masce i z zawieszonym na piersi rozrywaczem wyglądał jak stwór z nocnego koszmaru. Czy naprawdę był gotów użyć rozrywacza wobec niej? Wobec jej matki? Dziewczyna pomyślała o tamtej nocy w posiadłości i przeszył ją strach.

„Tak, zrobiłby to – pomyślała. – Jest zdesperowany”.

Nikt z obecnych w kabinie nie dostrzegł Quin, która stała przy wejściu na korytarzu, z plecami przyciśniętymi do ściany. Zerknęła za siebie. Gdzie był Shinobu? Co się działo z silnikami?

Alarm ucichł, ale wibracja wyczuwana przez podłogę stała się jeszcze ostrzejsza. Nagle głęboki i niepokojący dygot wstrząsnął całym statkiem i Obieżyświat zakołysał się, obniżając rufę.

Wstrząs rzucił Quin na ziemię. Światła znów zgasty. Przez chwilę statek dźwigał się, mozolnie wyrównując lot, po czym zakołysał nim wybuch w jednym z silników. Zanurkował, celując nosem w ulice pod sobą.

Dziewczyna zaczęła się zsuwać po rosnącej stromiźnie podłogi. Mijając wejście do wielkiej kabiny, kątem oka zarejestrowała przewracające się krzesła, książki, stoły i inne przedmioty, które sunęły chaotycznie w stronę dziobu wraz z czterema ludzkimi postaciami wymachującymi panicznie kończynami. Coś błysnęło i przez salę przemknął rój kolorowych iskieł – rozrywacz Johna wypalił.

Quin zdołała zatrzymać się, łapiąc framugę drzwi. Podciągnęła się w górę pochylonego korytarza i wpełzła do kabiny. Z ulgą powitała widok iskieł rozrywacza rozpraszających się w szaleńczych wirach pod przeszklonym stropem pomieszczenia. Skoro iskry fruwały swobodnie pod sufitem, to nikt nie został trafiony. Jeszcze nie.

W narastającym huku silników statek zdołał wyhamować upadek i przeszedł do powolnego dryfu z nosem wciąż skierowanym w dół.

Jakaś postać poruszała się na pochylonej podłodze. Dziewczyna spostrzegła rude włosy. To była jej matka. Przytomna, ale bez maski przeciwgazowej, zanosila się gwałtownym kaszlem. Quin ruszyła w jej stronę, a tymczasem Fiona, na trzęsących się rękach i nogach, podpełzła do ściany i uderzyła w coś pięścią. Rozległ się szum otwartych wywietrzników i do kabiny wtargnął wilgotny, zimny powiew, szybko rozcieńczając gaz.

Dziewczyna wciągnęła do płuc ostatni haust filtrowanego powietrza, po czym zdarła z głowy zaparowaną maskę, aby móc dostrzec cokolwiek w niższym, ciemniejszym końcu pomieszczenia. John i jego dwaj ludzie utknęli pod stosem mebli przy dziobowej ścianie, ale już gramolili się spod nich i lada chwila mieli odzyskać swobodę ruchów. Na szklanym suficie wciąż migotały iskry, ale tym razem wszystkie miały ten sam kolor – gdyby Quin miała czas zastanowić się nad tym, być może skojarzyłaby, że był to kolor palnika Shinobu.

Fiona, podparta na łokciach i kolanach, łapczywie zaciągała się czystym powietrzem. Quin złapała mamę w pól i razem przedarli się przez lawinę książek, po czym podpełzły w stronę drzwi.

W połowie drogi dziewczyna uniosła wzrok i ujrzała przed sobą cztery postacie: troje Sędziów i swojego ojca. Stali przy przechylnym prostokacie wejścia na szeroko rozstawionych nogach i oddychali głębokimi, pośpiesznymi haustami. Cztery pary oczu obserwowały athamen i krzesiwo zawieszony u jej pasa.

Pociągnęła mamę do drugiego wyjścia bliżej dziobu, ale jeden z ludzi Johna już tam stał, odcinając tę drogę ucieczki.

Chłopak wyswobodził się wreszcie spod sterty przedmiotów i wspinał się po pochyłości podłogi w jej stronę. Jego ręka manipulowała już przy pulpicie rozrywacza na piersi. Quin wiedziała, że musi działać szybko, zanim zdąży wystrzelić.

– John! – zawołała.

Wyrwała athamen i krzesiwo z futerału u pasa i rzuciła na podłogę przed nim.

Średni i Młoda natychmiast ruszyli w stronę kamiennego sztyletu. Huknęły strzały i Quin usłyszała złowrogi trzask pocisków, które odbiły się rykoszetem na ścianach tuż za nią – to ludzie Johna strzelali do Sędziów.

Ku jej zaskoczeniu Briac nie skoczył po athamen, ale ostrożnie, aby nie poślizgnąć się na pochyłej podłodze, ruszył w jej stronę. Był ranny w nogę i ramię, ale w dłoni dzierżył utwardzony morfer i wyglądał na gotowego zginać, jeśli taka miała być cena za wymierzenie jej kary. Ciął z rozmachem na wysokości głowy. Quin zrobiła unik.

– Nic dziwnego, że okazałaś się bezużyteczna – wysyczał głosem miękkim i złowrogim jak oleista substancja, z której wykonano morfery. – Dlaczego twoja



zapijaczona matka musiała dać mi dziewczynę? Zawsze byłaś jak kula u nogi. Beztalencie. Zdrajczynie.

Quin błyskawicznie utwardziła swój morfer i odparowała kolejny cios, jednocześnie odkrywając, że w głębi duszy waha się. Lata treningów wpoili jej nawyk podążania za Briakiem bez namysłu. Zamiast postąpić naprzód i zaatakować, cofnęła się o krok, w stronę matki.

Dopiero w tym momencie mężczyzna zauważył obecność Fiony i jego gniew, niczym światło reflektora, przesunął się i skupił na nowym celu.

– Proszę, oto i moja żona! – zawołał drwiąco. – Tchórzliwa jak zawsze. Tyle lat szkolenia i zabrakło ci odwagi, żeby przystąpić do przysięgi. Wystraszyłaś się tego, co wyczytałaś w mojej głowie? Strach cię obleciał, bo zobaczyłaś trochę krwi i krzyków? Powiniennem być pozbyć się was obu!

Quin spojrzała na mamę wytrzeszczającą na Briaca przerażone oczy, niezdolną do wykonania ruchu, z wyrazem twarzy, który błagał: „Nie krzywdź mnie, proszę, nie krzywdź mnie”.

Miarka się przebrała.

Ten wyraz twarzy... Widywała go niezliczone ilości razy, kiedy była małą dziewczynką. Próbowwała nie zwracać uwagi. Miała nadzieję, że tylko jej się wydawało, ale czyż w głębi serca nie wiedziała od zawsze, że w oczach Briaca nie ma ani krzty miłości i miłosierdzia? Czyż nie przeczuwała, że jeśli mu się sprzeciwi, nie będzie przebaczenia? Nawet jeżeli nie była tak uległa jak jej matka, czyż nie myślała tak jak ona: „Wierzę we wszystko, co mówisz, Briac. Zrobię, co tylko zechcesz, tylko nie rób mi krzywdy”?

– Odsuń się, Quin – rozkazał, odpędzając córkę gestem, aby móc ruszyć na Fionę.

Nawet teraz zakładał, że posłucha go bez wahania.

Dziewczyna patrzyła na ojca, jego wzniesiony miecz, wykrzywioną twarz, postać emanującą nieludzką nienawiścią. Czar prysł.

– No dalej! – krzyknęła. – Spróbuj nas zabić!

I uderzyła. Znienacka, mocno i celnie. Briac zatrzymał cios własnym morferem, ale cofnął się o krok, na chwilę tracąc równowagę. Wyglądał na wstrząśniętego tym, że ośmieliła się zaatakować. Quin naparła na niego, biorąc kolejny zamach.

Tym razem się nie zawahał. Wprawnie odparł jej cios i natychmiast ruszył do kontrataku. Dziewczyna błyskawicznie uniosła miecz i odtrąciła jego klingę.

– Próbowalaś zabić mnie w posiadłości – wycedził głosem żrącym jak kwas, wyprowadzając kolejne cięcie.

Przyjęła cios na zastawę, z jedną ręką na rękojeści, a drugą na sztychu morfera. Briac naparł na głównię, która niemal dotknęła czubka jej nosa.

– Jaką trzeba być córką, żeby chcieć zabić własnego ojca? – spytał

jadowicie, przybliżając twarz do jej twarzy. – Cóż za potwora wychowałem?

Nienawiść wezbrała w Quin przemożną falą. Patrząc prosto w jego ciemne oczy – tak bardzo przypominające jej własne na powierzchni, tak całkowicie różne w swojej głębi – pomyślała: „Jak mogłam kiedykolwiek cię słuchać?”.

– To ty jesteś potworem – oznajmiła. – A ja już z tobą skończyłam.

Przesunęła ramiona i wypchnęła ręce do przodu, wkładając w ten ruch siłę całego ciała. Miecz Briaca osunął się w bok, a on sam zachwiał się na pochyłej podłodze i runął naprzód.

Stuknął skronią o ziemię z siłą, która powinna go była ogłuszyć, ale on tylko machnął ręką, próbując złapać ją za nogę. Dziewczyna odskoczyła, unosząc miecz nad głowę, gotowa rozplatać mu czaszkę na dwoje.

Zanim zdążyła to zrobić, Briac zniknął pod kłębem kończyn, kiedy coś dużego i wrzeszczącego spadło z sufitu prosto na niego. Ktoś przygniótł go do podłogi i okładał pięściami z furją, która dorównywała wściekłości Quin. Mężczyzna wiał się i klął pod gradem ciosów, skrobiąc palcami podłogę w rozpaczliwych próbach uwolnienia się od napastnika.

Nagle uderzenia ustały i Briac rzucił się w bok, uchodząc z zasięgu dziewczyny najszybciej, jak potrafił. Jego napastnik przetoczył się na plecy, ściskając się za krwawiący bok.

To był Shinobu. Spadł przez przeszkłony sufit. Spojrzał na Quin oczami pełnymi bólu oraz triumfu.

– Rany, jak ja go nienawidzę – wyszeptał do niej.

## Rozdział 63

### Maud

W niższej części pochylonej kabiny Średni Sędzia i Młoda Sędzia zbliżali się do Johna i jego dwóch ludzi. Młoda widziała athamen i krzesiwo leżące kilka metrów za chłopakiem. Kamienne przedmioty zatrzymały się na przewróconym biurku.

Ludzie Johna ostrzeliwali się. Odległość była niewielka i Sędziowie powinni stanowić łatwy cel dla kul, ale Młoda i Średni spowolnili swoje subiektywne poczucie czasu do poziomu, jaki często stosowała podczas walki, kiedy uderzenie serca trwało minutę, a jeden oddech godzinę. Widziała pociski opuszczające lufy pistoletów – zanim do niej dotarły, jej ciała nie było już na ich trajektorii. Dla innych obecnych w kabinie osób Sędziowie wyglądali teraz jak niewyraźne smugi ruchu.

Środkowy rozpostarł swój morfer i przebił sztychem najbliższego z mężczyzn. Młoda już wcześniej dobiła broni, przygotowując się do ataku na drugiego z przeciwników. Odchyliła się w bok, przepuszczając kolejny pocisk koło głowy, po czym uniosła miecz – załatwi to szybko.

Zanim uderzyła, obejrzała się na swojego mistrza, który stał za nimi, trzymając się z dala od walki. Kiedy ich oczy spotkały się, jej umysł powędrował jeszcze wyżej.

Z jej pamięci wypływały obrazy. Mistrz szkolił ją od lat, był dla niej ojcem, uczył ją o pomrunku wszechświata. Athamen miał przenosić wielkie umysły poprzez granice, ale nie było wielkich umysłów. Tylko dobre serca. Czy była własnością? Wystarczy jednej pary rąk, aby przekazać athamen; jednego umysłu, aby zdecydować. Gdzie była sprawiedliwość Sędziów?

Nagle zrozumiała. Stary Sędzia nie mógł sam pozbyć się Średniego. Przyczyna była tajemnicą, ale fakt pozostawał faktem: jej mistrz był związany ze Średnim. Dlatego szukał, być może od tysięcy lat, młodego Sędziego, który zrobiłby to, co było słuszne.

Nie zwlekając ani chwili dłużej, odsunęła miecz od sługi Johna i wbiła go w grzbiet Średniego, tak jak po wielekroć wyobrażała to sobie w przeszłości. Kiedy uniósł ostrze, aby zadać chłopakowi śmiertelny cios, jej klinga lekko przeszła mu serce.

Mężczyzna zatoczył się w tył, przebity mieczem na wylot, a Młoda Sędzia złapała go, kiedy upadał. John wpatrywał się w nią wielkimi oczami, a na jego twarzy szok mieszał się z wdzięcznością.

Jej mistrz stał teraz u jej boku. Przybliżył usta do jej ucha.

– To było słuszne – wyszeptał.



## Rozdział 64

### John

John patrzył na moment własnej śmierci. Sędziowie wdarli się na pokład Obieżyświata razem z Quin i choć nie wydawali się jej pomagać, ich obecność zniszczyła wszelką nadzieję na uniknięcie walki.

Athamen i krzesiwo leżały kilka metrów za nim i Sędziowie byli gotowi pójść po nie po trupach.

W rozmytej chmurze ruchu Średni już unosił miecz, aby zabić chłopaka.

Nagle coś długiego i cienkiego wysunęło się z jego piersi, ociekając czerwienią. John patrzył w przerażeniu, jak obiekt cofa się i znika w torsie mężczyzny, który znieruchomiał i runął w tył, prosto w ramiona Młodej Sędzi.

Na krótką chwilę jego wzrok spotkał się z nieobecny spojrzeniem dziewczyny. Ocaliła mu życie. Pomogła mu. A potem oddaliła się, odciągając Średniego na bok.

John odwrócił się w stronę athamenu i ujrzał przy nim Briaca Kincaida. Mężczyzna utykał, a twarz miał całą we krwi, ale wydawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Oczy płonęły mu żądzą zemsty.

Huknął strzał i coś szarpnęło chłopaka za ramię. W lewej dłoni Briaca dymił pistolet. Ten człowiek zamierzał go zabić. Tyle że John dzierzył w dłoniach coś znacznie gorszego niż śmierć. Czekał na tę chwilę od tamtego dnia, wiele lat temu, kiedy ze swojej kryjówki pod podłogą ujrzał upiorne tęczowe światełka. Czekał na tę chwilę od dnia wizyty w starej stodole, gdzie Briac stał nad uwiędłą postacią w szpitalnym łóżku, pouczając ich o niebezpieczeństwach związanych z użyciem rozrywacza.

Ostatni ocalały strażnik Johna rzucił się na mężczyznę, aby go powstrzymać. W tej samej chwili chłopak położył dłoń na pulpicie. Rozległ się wysoki, przenikliwy wizg i urządzenie wystrzeliło tysiącem iskier.

Kabinę raz jeszcze wypełniło tęczowe światło i elektryczne skwierczenie. Chmura iskier zderzyła się z obydwojma mężczyznami, żołnierzem Johna i Briakiem, splecionymi ze sobą w walce.

Człowiek Johna odskoczył w tył, bijąc się pięściami po głowie, która pływała wśród elektrycznych błysków, Briac runął zaś na podłogę, wypadając z zasięgu chmury iskier. Nie był jednak całkowicie od nich wolny. Nieliczne, może trzy lub cztery, wciąż tańczyły wokół jego głowy. Pole zakłócające podzieliło się pomiędzy nich – John nie miał pojęcia, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Briac potoczył się po podłodze, bijąc dłońmi w iskry, jakby opędzał się od much.

Chłopak odwrócił się, rozglądając się gorączkowo za athamennem i krzesiwem.

„Quin rzuciła mi athamen! – pomyślał, przepełniony tak wielką ulgą i tak

euforycznym poczuciem szczęścia, że ledwie panował nad sobą. – Postanowiła dać go mnie!”.

Jego dłonie zamknęły się na rękojeściach kamiennych przedmiotów. Ale coś się nie zgadzało. Ich dotyk był inny, niż powinien. Zamiast chłodu kamienia pod skórą poczuł coś miękkiego, ciepłego. Uderzył athamenem o przewrócone biurko, a ten rozkruszył mu się w dłoni.

To był podstęp. Nie dała mu prawdziwego sztyletu. Nie miała zamiaru mu pomóc. John stał przez chwilę bez ruchu, czując, jak wzbiera w nim rozpacz. A po niej przyszedł gniew.

Podniósł wzrok na Quin i Fionę klęczące nad kimś na wyższym końcu pochylonej kabiny. Wspiąwszy się bliżej, rozpoznał leżącą postać: Shinobu MacBain. Ocalenie dziewczyny na Moście nagle przestało być zagadką. Shinobu był tam przez cały ten czas. Pomagał jej. Być może tam, w Hongkongu, zajął w jej życiu miejsce Johna. Być może przez minione półtora roku on i Quin byli razem. Wyobraził sobie dziewczynę dotykającą go, całującą, pomagającą mu tak, jak nie chciała pomagać Johnowi. Wizja wprawiła go w furję.

– Możesz się ruszać? – usłyszał, jak Quin pyta Shinobu.

Chłopak ścisnął się za bok, a jedną nogę miał wykręconą w nienaturalny sposób.

– Jasne – stęknął. – Dam radę.

– Pociągniemy cię – powiedziała dziewczyna. – Złap mnie za rękę.

Zanim Shinobu zdążył się poruszyć, John ujął swój morfer obiema dłońmi, wziął zamach i uderzył rękojeścią w bok jej głowy najmocniej, jak tylko potrafił.

Quin runęła na podłogę, ogłuszona.

Od strony rufy dobiegł ich straszliwy jęk poddającej się konstrukcji, a zaraz potem ogłuszający zgrzyt rozrywanego metalu.

Obieżyświat runął ku ziemi.

## Rozdział 65

### Quin

Kabina kołysała się szaleńczo. Coś uderzyło w Quin. Uderzyło ją w głowę tak mocno, że teraz nie mogła skupić wzroku. Świat wokół niej zdawał się wirować, ale była też pewna, że kabina kręci się naprawdę. Przez jej ogromne okna widać było drapacze chmur, rozmazane w pędzie niczym światelka karuzeli.

Razem z Fioną i Shinobu ślizgali się po rozkołysanej podłodze, ale był z nimi ktoś jeszcze. Czuła jego oddech na szyi. Wczepił się w nią kurczowo, trzymając przy sobie, podczas gdy przetaczali się tam i z powrotem. Jego dłonie szukały czegoś pod jej płaszczem.

– Nie! – sapnęła.

– Dlaczego nie mogłaś wybrać mnie? – wyszeptał John. – Choć raz.

Musiła powstrzymać go przed przeszukaniem jej kieszeni. W głowie wciąż jej szumiało, a mięśnie tylko częściowo były posłuszne jej woli, ale zadała cios. Odrzucił jej rękę jak źdźbło trawy.

– Jest! – usłyszała go. – Oto i on.

To był naprawdę John. I wydawał się zadowolony. W dłoni trzymał athamen i krzesiwo, te prawdziwe, które przed nim ukryła.

– Nie, John...

Szukał dalej pod połami jej płaszcza. Próbowwała go odepchnąć, ale w jej rękach nie było już siły.

Wyjął z jej kieszeni coś jeszcze. Słyszała, jak zachłysnął się, zaskoczony.

Z najwyższym wysiłkiem, mrużąc oczy od koszmarne bólu głowy, Quin odwróciła się ku niemu i zmusiła do skupienia wzroku. Chłopak wpatrywał się w księgę w skórzaną okładkę przewiazaną rzemieniem. Sięgnęła po nią, ale zrezygnowała, widząc własną rękę przesuwającą się w niewłaściwą stronę.

– Nie chcesz tego – wyszeptała.

Ale słowa wydawały się kłamać. Oczywiście, że John tego chciał. Patrzyła, jak przewraca strony, z twarzą rozjaśnioną nagłym przyływym radości. Jeszcze raz spróbowała wyrwać mu książkę, ale tylko machnęła ręką bezsilnie, daleko od celu.

„Nic nie szkodzi” – pomyślała. Nawet w tym zamroczeniu pamiętała, że zabranie książki przez chłopaka nie było jeszcze katastrofą. Przecież sama przyniosła ją tutaj jako kartę przetargową, czyż nie? Nie bez przyczyny mogła z niej zrezygnować. Podjęła pewne kroki...

– Skąd to masz? – spytał ją głosem dziecka w świąteczny poranek.

– Briac...

Znowu zjechali do przeciwległej ściany. John nachylił się nad dziewczyną, aby mogła spojrzeć mu w twarz.

– A jednak mi pomogłaś – wyszeptał, a w jego głosie była autentyczna wdzięczność. – Dziękuję ci, Quin. Dziękuję.

Poczuła na policzku jego usta, miękkie i ciepłe, a potem chłopak puścił ją i odjechał po pochyłości podłogi, znikając jej z pola widzenia.

Statek zdawał się krzyczeć z bólu. Obieżyświat kołysał się w przód i w tył, opadając spiralą ku ziemi. Czyjaś ręka złapała Quin za ramię. Ktoś ją szarpał. Odwróciła głowę. To Shinobu próbował przyciągnąć ją bliżej. Jej matka leżała obok i grubym kłębem tkaniny usiłowała powstrzymać krwawienie z głębokiej rany w jego boku.

Kiedy chłopak wpadł do kabiny przez sufit, morfer Briaca trafił go w pierś. Cienki pancerz ochronny, który miał pod ubraniem, zatrzymał ostrze, które prześliznęło mu się po torsie, by w końcu przebić pancerz na boku. Wzdłuż nogi Quin czuła ciepłą wilgoć – Shinobu uniknął natychmiastowej śmierci, ale wciąż paskudnie krwawił.

Statek zadarł nos do góry niczym ranne zwierzę usiłujące podźwignąć się na nogi. Silniki wyły w różnych tonacjach. Chłopak złapał Quin za koszulę.

– Spadamy – wyszeptał.

– Trzymaj się mnie – odparła. – Wyciągnę cię stąd. – Głowa wciąż pulsowała jej bólem, ale przynajmniej odzyskała jasność myślenia, a jej kończyny znów zaczynały jej słuchać.

– To przeze mnie spadamy – powiedział. – Chyba trochę krwawię...

– Wszystko będzie dobrze. Trzymaj się mnie.

Część silników umilkła i statek pogłębił przechył, a te, które pozostały, zdwoiły wysiłki, próbując utrzymać Obieżyświata w powietrzu. Shinobu i Quin zjechali w bok i zatrzymali się na ścianie. Grawitacja przycisnęła ją mocno do jego ciała.

– Mów do mnie – wyszeptała, widząc, że opadają mu powieki.

– Czy on... wziął athamen?

– Tak. To nieważne.

– Czy ja umieram?

– Nie umierasz.

– Quin...

– To tylko trochę krwi, serio. Wytrzymaj.

Objęła go mocniej, jak gdyby jej ramiona mogły ochronić go w spadającym statku. Ich policzki zetknęły się.

– Quin, jesteśmy kuzynami dopiero w trzeciej linii, wiesz?

– Półkuzynami w trzeciej linii – wyszeptała mu prosto do ucha. – Praktycznie niespokrewnionymi.

– Czy tam, w piwnicy... chciałaś mnie pocałować?

– Tak – westchnęła. – Bardzo.



Budynki na zewnątrz przeszklonej kopuły zataczały się jak pijane. Statek opadał, kręcąc się wokół własnej osi.

Shinobu podciągnął ją tak, aby zrównać jej twarz ze swoją. Potem pocałował ją w usta, powoli i czule, jak gdyby wcale nie tkwili w rozkołysanym spadającym statku, jakby mieli dla siebie cały czas świata.

– Kocham cię – wyszeptała.

– Kocham cię – odpowiedział i rzucił się naprzód, przykrywając ją własnym ciałem.

Z ostatnim wrzaskiem wysiłku silniki poderwały nos statku w górę i Obieżyświat zderzył się z ziemią w Hyde Parku.

Przeszklony strop trzasnął tysiącami pajęczych pęknięć i runął w dół wielkimi taflami. Quin nie mogła się ruszyć pod ciężarem chłopaka, który uchronił ją przed gradem spadającego szkła. Kilka metrów dalej jej matka kulila się w osłoniętym zakątku, gdzie spotykały się dwie ściany. Dziewczyna pomyślała, że spróbuje wydostać się spod Shinobu i przeciągnąć go do tego bezpiecznego miejsca, ale wtedy rozległ się huk i olbrzymia szyba wylądowała mu na plecach, zgniatając ich i wyciskając Quin dech z piersi.

Potem nastał już bezruch, ale nie cisza. Statek postękiwał, osiadając w wybitej przez siebie dziurze, wszędzie wokół zawodziły syreny. Wszystkie karetki, radiowozy i wozy strażackie w promieniu trzydziestu kilometrów zmierzały do miejsca katastrofy.

– Chodź – powiedział głos do walczącej o oddech Quin.

Młoda Sędzia dźwignęła szklaną taflę w górę. Dziewczyna nie traciła czasu na zastanawianie się, jak taka drobna istota jest w stanie unieść coś tak ciężkiego. Tak szybko, jak tylko potrafiła, oddychając coraz swobodniej, wysliznęła się spod nieruchomego Shinobu. Młoda Sędzia trzymała athamen.

Głęboka wibracja przeniknęła Quin, kiedy wraz z Fioną przeciągała bezwładne ciało Shinobu przez ciemny krąg w ciemnej kabinie, w strumieniu energii zasysanej do wewnątrz, w stronę kompletnej czerni. Chwilę później nie było ich już na statku. Były Tam.

## Rozdział 66

### Quin

Kiedy wyłoniły się z powrotem na świecie czterysta metrów dalej, nikt nie zwrócił na nie uwagi. Każdy człowiek w promieniu wielu kilometrów patrzył tylko na strzaskane cielsko Obieżyświata, wciśnięte w zielen Hyde Parku.

Fiona słaniała się na nogach, aż w końcu usiadła ciężko na ziemi. Quin i Młoda Sędzia uklękły przy Shinobu, który leżał nieprzytomny na chodniku. Quin zabrała się do przewiązywania jego rany pasem wełny wydartym z płaszcza. Oprócz pęcherzy oparzeń na obu policzkach miał złamaną i koszmarnie poparzoną nogę, a dziewczyna była pewna, że to niejedyna złamana kość w jego ciele. Oddychał jednak, a serce biło mu mocno.

Uniosła wzrok, żeby spojrzeć na chaos pojazdów ratunkowych wokół miejsca kraksy. Złapawszy Fionę za rękę, przyciągnęła ją bliżej Shinobu.

– Zostań z nim – poleciła. – Nie pozwól mu się ruszać.

Jej matka potrzebowała chwili na zrozumienie komunikatu, ale w końcu skinęła głową.

– Zaraz wracam!

Quin odkryła, że mimo oślepiającego bólu głowy może biec.

Ruszyła truchtem w stronę zamieszania w oddali, szukając wzrokiem najbliższej karetki. W połowie drogi zauważyła, że Młoda Sędzia biegnie obok niej. Kiedy dotarły do granicy tłumu, zatrzymały się, szukając kogoś, kto mógłby im pomóc.

– Patrz – powiedziała cicho Młoda, wskazując coś poprzez kłębiących się ludzi.

W oddali, w pobliżu wraku, ładowano do karetki mężczyznę. Wysoki, barczysty, o dzikim wyglądzie, miotał się wściekle, podczas gdy grupa sanitariuszy wypychała go do pojazdu. To był Briac. Jej ojciec przeżył.

Młoda położyła dłoń na ramieniu Quin i wskazała w innym kierunku. Dziewczyna podążyła za jej spojrzeniem. W alejce po ich lewej stronie, nieopodal parku, sylwetka Johna Harta, ledwie rozpoznawalnego z tej odległości, wśliznęła się w cienie między budynkami i znikła bez śladu.

– Tu nasze drogi się rozchodzą – rzekła miękko Młoda.

Quin skinęła głową.

Młoda wyjęła athamen Sędziów spod płaszcza i zważyła go w dłoni.

– Gdzie twój mistrz? – spytała Quin.

– Śpi – odpowiedziała dziewczyna. – Czas był najwyższy.

Płaszcz Młodej Sędzi wydawał się Quin inny – za duży i bardziej wyświechtany, niż kiedy widziała go ostatnio. Jego wewnętrzne kieszenie wyglądały na wypchane ukrytymi przedmiotami, których obecności do tej pory nie

zauważyła.

Zanim zdążyła zastanowić się nad tą zmianą, usłyszała syreny. Odwróciła się i ujrzała kilka karetek zmierzających w ich stronę. Zamachała rękami.

– Mój mistrz mówi, że jestem teraz Młoda, Średnią i Starą – dodała dziewczyna, patrząc na athamen w jej ręce. – A może nie jestem żadną z nich. Czas pokaże.

Kierowca karetki zahamował przy Quin na widok krwi Shinobu pokrywającej połowę jej ciała. Ruszyła w stronę samochodu, ale Młoda Sędzia złapała ją za ramię.

– Ty będziesz to mieć – powiedziała.

Quin obserwowała, jak dziewczyna wkłada jej w dłoń athamen. Powiodła spojrzeniem po smukłej główce i symbolach na pierścieniach rękojeści. Kciukiem namacała koniec wąskiego krzesiwa spoczywającego w zagłębieniu klingi. Ten athamen był o wiele delikatniejszy, ale też – czuła to – potężniejszy od jej własnego.

Spojrzała na znak wyryty na gałce. Nie było to zwierzę. Symbol przedstawiał trzy splecione owale – rysunek atomu. Serce Quin zabiło szybciej.

– Dlaczego? – spytała.

– Taka jest moja decyzja – odparła Młoda Sędzia. – To tymczasowy dar. Moc tego athamenu nie należy wyłącznie do mnie. Możesz korzystać z niej przez jakiś czas. Mam dług do spłacenia i sprawę z drugim athamenem.

– Ma go John.

– Tak, ma go John – zgodziła się dziewczyna, po czym wyciągnęła dłoń, tak jak robi to współczesny człowiek, kiedy chce się przedstawić. – Quin – powiedziała. – Jestem Maud.

– Maud – powtórzyła Quin, ujmując podsuniętą dłoń. Imię pasowało. – Miło mi cię poznać i przykro żegnać.

– Nie żegnamy się na zawsze – odparła Maud. – Spotkamy się znowu. Wkrótce. Bądź tego pewna.

W sposobie, w jaki to powiedziała, było coś niezbyt przyjemnego – jakby sugestia, że kiedy spotkają się następnym razem, niekoniecznie będą stały po tej samej stronie barykady. Potem Maud, Młoda Sędzia, piętnastoletnia dziewczyna, która nijak nie przypominała zwykłej piętnastoletniej dziewczyny, wtopiła się w tłum, zmierzając w stronę, w którą pobiegł John Hart.

Quin wróciła z karetką i wskazała Shinobu sanitariuszom. Kiedy wnieśli go do pojazdu, zajęła miejsce obok chłopaka, naprzeciwko Fiony. Ujęła jego dłoń i mocno ścisnęła. Był nieprzytomny, ale czuła ciepło jego ciała i miarowy rytm serca.

Zbyt dużo czasu zajęło jej uświadomienie sobie, że są dwiema częściami jedności; że Shinobu jest jej dopełnieniem, tak jak ona jest dopełnieniem jego. Było

tak, odkąd skończyli po dziewięć lat. Wiedziała, że nie będzie spełniona, dopóki cokolwiek mu grozi.

Podczas gdy zostawiali za sobą cichnący chaos, Quin ujrzała swoją przyszłość rysującą się przed nią jasno i wyraźnie. U jej boku po obu stronach wisały: athamen i morfer. Na lewym nadgarstku widniało piętno, którym ją naznaczono.

Nie odrywając wzroku od Shinobu, spytała:

– Kim ja jestem, mamó?

Odpowiedź była oczywista, ale Fiona nie udzieliła jej od razu, jakby lękała się słów, które miała wypowiedzieć.

– Jesteś tym, kim zawsze miałaś być – rzekła ostrożnie. – Jesteś Poszukiwaczką.

– Tak – zgodziła się Quin.

John zabrał oprawny w skórę dziennik, ale dziewczyna zdążyła przejrzeć księgę, podczas gdy przygotowywali się do akcji w Londynie, i poznała przynajmniej część jej zawartości. Było tam dziesięć obrazów narysowanych w odpowiedniej kolejności, a wśród nich lis i orzeł. Lis był athamenem Johna, orzeł – Shinobu. Ten został zniszczony. I był też rysunek trzech splecionych owali reprezentujących athamen wiszący obecnie u boku Quin. Pozostawało siedem symboli. Każdy reprezentował inny athamen, a każdy athamen należał do innego rodu...

Catherine i wielu innych zbierało wiedzę od bardzo długiego czasu, księga zaś była ścieżką, którą mógł podążać Poszukiwacz... Ale dokąd?

Dziewczyna wyjrzała przez tylną szybę karetki. Im bardziej oddalali się od miejsca katastrofy, tym na ulicach panował większy spokój. Londyn wokół nich stopniowo pograżał się w ciemnościach.

– Jestem Poszukiwaczką, taką, jakie istniały na samym początku – powiedziała. – Czego szukam? Prawdy. Początku i końca. Nasza wiedza musiała się gdzieś kiedyś zacząć. I gdzieś kiedyś się skończy.

Zanim opuścili Hongkong, Quin sfotografowała każdą stronę skórzanego dziennika i każdy arkusz welinu złożony i wsunięty do środka. Fotografie, kompletna kopia księgi, czekały na nią ukryte w bezpiecznym miejscu. A teraz miała też athamen – ten, którego nikt nie spróbuje ukraść. Przynajmniej przez pewien czas.

– Poszukiwacze żyli na długo przed tobą i będą żyli na długo po twojej śmierci – wymamrotała Fiona. – Nie mamy na to wpływu, Quin.

Jej matka powiedziała to w taki sposób, jakby była to magiczna formuła albo modlitwa, której nauczono ją w dzieciństwie. Dziewczyna wyobraziła sobie rzesze Poszukiwaczy od pokoleń powtarzających to samo, zapewniających swoje dzieci i dzieci swoich dzieci, że mogą przetrwać wszystko, że ich władza nad życiem

i śmiercią będzie trwać aż po kres czasu. Że mają prawo zabić tego, kto ich zdaniem nie powinien żyć.

– A właśnie że mamy – odparła, wplatając palce w dłoń Shinobu. – Zamierzam z tym skończyć raz na zawsze. Zaczynając od Johna.

## Podziękowania

Moim pierwszym odruchem jest przypisanie wszelkich zasług za powstanie tej książki sobie. Odhaczone?

Jestem pewna, że czytelnik nie musi wiedzieć o burzliwej, prowadzonej w rytm spadających na biurko ciosów karate konwersacji, w której moja agentka Jodi Reamer pouczała mnie z wielką pasją, jak *moja własna* postać zachowywałaby się bądź nie zachowała w określonej sytuacji. Chciałam wtedy powiedzieć: „Jodi, ja nie próbuję mówić ci, jak masz wykonywać swoją pracę... Albo wiesz co? Odwołuję to! Jak najbardziej chcę mówić ci, jak masz wykonywać swoją pracę. To ja stworzyłam te postacie. W ich świecie jestem bogiem. Bogiem!”. W rzeczywistości nie tyle *chciałam* to powiedzieć, ile faktycznie powiedziałam, może tylko w ciut mniej odważnej formie.

Niestety z czasem zaczyna się zauważać, że może i jest się stwórczynią we wszechświecie swojej książki, ale na pewno nie jedyną mieszkającą tam osobą. Natomiast agentka skłonna rozgościć się w owym świecie tak gruntownie, że wpada dosłownie w *furię*, kiedy coś zdaje się w nim zgrzytać, jest absolutnie bezcenna. Taka agentka jest jak najlepsza z przyjaciółek, jaką miałaś od czasu liceum – taka, która powstrzyma cię przed zażyciem narkotyku albo posadzi i przeprowadzi poważną rozmowę o twoich niefortunnych wyborach w kwestii fryzury. Taka agentka sprawia, że świat w książce wygląda lepiej, autorkę zaś czyni lepszą kreatorką w jej własnym świecie. Dlatego, hmm, no wiesz (odkaslnięcie)... dzięki i w ogóle, Jodi. Zapłaciłam raz za kolację, więc chyba jesteśmy kwita.

Krista Marino, jeżeli to czytasz (taki żarcik – wiem, jako moja redaktorka *musisz* to przeczytać), jesteś dla mnie przedstawicielem zupełnie obcego gatunku. Jestem raczej pewna, że walczysz po stronie dobra, ale ta twoja niesłychanie dyskretna przewrotność. Przewrotność! Udawałaś, że pozwoliłaś mi wyperswadować sobie kilka poprawek, ale jakimś cudem w końcu *wprowadziłam je wszystkie sama*. Jak to się stało? Wudu? Hipnoza? Czy może otworzyłaś przede mną drogę do zrozumienia, że twoja umiejętność poprawiania tekstu jest subtelną supermocą? Jasne, nie tak bezpośrednio efekciarską jak latanie czy telekineza, niemniej równie potężną.

Potajemnie wprowadziłaś się do mojego wszechświata i urządziłaś sobie tam dom, jeszcze zanim podpisałam umowę z Random House. Pojawiłam się w świecie *Poszukiwaczki*, aby sporządzić nowy szkic, a ty już tam byłaś, zerkałaś znacząco na zegarek i przytupywałaś stopą. „Gdzieś ty się podziewała? Czekam tu od wieków”.

Zatem, no wiesz... dzięki i takie tam.

Robi się coraz łatwiej.

Dzięki, Barbaro Marcus. Dawno temu, kiedy to wszystko się zaczęło,

zostawiłaś mi piękną wiadomość. Proszę, nie mów nikomu, ale trzymałam ją w telefonie i odsłuchiwałam od czasu do czasu, kiedy książka sprawiała mi kłopoty.

Dziękuję, Beverly Horovitz, za wprowadzanie mnie w tajniki wydawniczego świata. Spodobało mi się twoje proste wyjaśnienie, że „wszystko w książce jest rezultatem decyzji”. Idąc tym tropem, chciałabym podziękować wszystkim utalentowanym decydom z Random House, którzy nadali tej książce kształt i życie:

Dziękuję Alison Impey za obdarowanie *Poszukiwaczki* zachwycającą okładką, która zdaje się promieniować własnym wewnętrznym życiem. Ogromne podziękowania należą się Johnowi Adamo, Kim Lauber, Stephanie O’Cain oraz Dominique Cimina za wyprowadzenie *Poszukiwaczki* na szeroki świat. Dziękuję też Judith Haut za jej wsparcie i entuzjazm.

Dziękuję też swoim dzieciom, którym zadedykowałam tę książkę i które z tej przyczyny nie muszą być wspomniane po raz drugi, tym bardziej że nieustannie odciągały mnie od pisania.

Z drugiej strony dzieci utrzymują mnie w czujności oraz napełniają życie miłością i przygodą, co okazuje się szalenie istotne, kiedy przedziera się przez zawile i czasem krwawe wątki.

Dziękuję ci, Sky Dayton. Ciebie wymieniam na końcu, ale tobie chciałabym podziękować najgoręcej. Zbyt osobista byłaby to opowieść, gdybym miała wymienić wszystkie sposoby, na jakie czynisz moje życie lepszym. Na szczęście ty już to wiesz.

## O autorce

Arwen Elys Dayton poświęca długie miesiące zbieraniu informacji do swoich książek. Jej poszukiwania zawiodły ją do wielu zakątków świata, w tym do piramid w Gizie, Hongkongu z jego licznymi wyspami oraz niezliczonych ruin szkockich zamków.

Arwen mieszka ze swoim mężem i trójką dzieci na zachodnim wybrzeżu USA. Możecie odwiedzić ją na stronie [arwendayton.com](http://arwendayton.com) oraz śledzić @arwenelysdayton na Twitterze i Instagramie.



Przekład: Bartłomiej Ulatowski

Redakcja: Anna Włodarkiewicz

Korekta: Anna Jagiełło, Ilona Siwak, Katarzyna Włodarczyk-Gil

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3313-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal  
Sp. z o.o.  
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, blue, sans-serif font. The letter "v" is lowercase and has a white outline, while the rest of the letters are solid blue.

